

*Dzientelmen  
nie  
w każdym calu*

MARY JO  
PUTNEY



Romans historyczny

*Putney Mary Jo*

*Zagubieni lordowie 03*

*Dżentelmen nie w każdym calu*

*On nie jest dżentelmenem.*

*Ale jest księciem z bajki...*

*Damian Mackenzie to nieodpowiednie towarzystwo dla panny z towarzystwa.*

*Lecz dla lady Kiri Lawford jest bohaterem – bardziej nieustraszonym niż rozbójnicy, z których rąk ją ocalił, bardziej honorowym niż niejeden lord, jakiego spotkała, i bardziej pociągającym niż jakikolwiek mężczyzna, jakiego trzymał ją w ramionach.*

*Ale Damian jest też bardziej tajemniczy, niż chciałby przyznać, a jego sekret może przynieść obojgu śmiertelne niebezpieczeństwo...*

## *Prolog*

### *Londyn, początek listopada 1812 r.*

Wzmianka o jego śmierci, zamieszczona w londyńskiej gazecie, była krótka, ale przyciągnęła uwagę wielu osób. Trzech hazardzistów, przyjaciół Szalonego Maca, spotkało się w klubie i wzniosło kielichy w pożegnalnym hołdzie dla Damiana Mackenziego.

- Przynajmniej wywinął się od stryczka - zauważył z niekłamanym podziwem jeden z nich i kieliszki znów uniosły się w dowód szacunku.

Kilka dam z towarzystwa westchnęło z żalem; niejedna może otarła łzę szczerego smutku. Co za szkoda! Taki okaz męskości w pełnym rozkwicie. .. choć bywał niekiedy irytujący.

Pewien człowiek, który podawał się za przyjaciela Mackenziego, zaklął i gwałtownie zmiął gazetę w garści.

Do Willa Mastersona, przyrodniego brata Maca, który w odróżnieniu od zmarłego mógł się poszczycić legalnym pochodzeniem, wieść o tej śmierci dotarła kilka dni później, gdyż przebywał w Portugalii. Will cierpiał, choć nie przelewał łez - ale jakoś nie mógł uwierzyć, że jego nieznośny braciszek naprawdę rozstał się z życiem.

Dawna nauczycielka Mackenziego z powodzeniem zastępująca mu matkę, lady Agnes Westerfield, na tę wieść przymknęła oczy i rozpląkała się. Oczywiście Szalony Mac nawet w takiej chwili musiał wszystko zrobić na opak! Młodzi nie powinni umierać przed starszymi. To niedorzeczne. I niesprawiedliwe!

Mac, czytając swój nekrolog, zmarszczył brwi. Miał nadzieję, że jego brat Will nie zauważy tej wzmianki w prasie. Odkładając gazetę, pocieszał

się myślą, że nie będzie musiał zbyt długo udawać nieboszczyka. Śmierć nie pomaga w interesach.

***Hrabstwo Kent, koniec października 1812 r.***

Z dźwięcznym śmiechem, unosząc nieco spódnicę swej amazonki, Kiri umknęła długim korytarzem, zanim złotowłose młodzienc zdażył się zdeklarować. Kiedy jednak dotarła do drzwi na końcu korytarza, zatrzymała się i z prowokacyjną miną zerknęła przez ramię na wielbiciela.

Czcigodny Godfrey Hitchcock odpowiedział uśmiechem. Jasnowłosey i pewny siebie po prostu olśniewał, zwłaszcza teraz, gdy słońce znów się pojawiło po wielu dniach deszczu.

- Wrócimy do tej rozmowy nieco później, lady Kiri. A wówczas ponowię moją prośbę... czy też propozycję, którą zamierzałem przedstawić już teraz. Kiri Lawford rzuciła mu uśmiech, który zaparłby dech każdemu mężczyźnie i znikła za drzwiami. Gdy była już niewidoczna dla swego wielbiciela, przystanęła; na jej twarzy odmalowała się zaduma. Godfrey był czarujący, podobał się jej najbardziej ze wszystkich konkurentów - a miała ich niemało, odkąd przed rokiem przybyła do Londynu wraz ze swą rodziną. Czy jednak naprawdę chciała go poślubić?

Towarzystwo Godfreya sprawiało jej wyraźną przyjemność podczas przejażdżki późnym popołudniem, przez którą omal się nie spóźnili na obiad. Kiri nie chciała stracić ani minuty z tego słonecznego dnia, zwłaszcza że dobra pogoda była w Anglii rzadkością: od chwili przybycia do Grimes Hol Kiri nie mogła się ruszyć z domu lorda i lady Norland, którzy zaprosili ją do swej wiejskiej rezydencji. Na szczęście Godfrey okazał się znakomitym jeźdźcem i dotrzymywał jej kroku podczas szaleńczego galopu przez wzgórze i doliny hrabstwa Kent.

Oficjalnie Kiri była tylko jednym z wielu gości, zaproszonych do Grimes Hol. Wszyscy jednak dobrze wiedzieli, że przybyła tu, by zawrzeć znajomość z rodziną Godfrey, a i z nim samym zapoznać się bliżej w tej jakże kojącej i malowniczej scenerii. Matka Kiri, Lakshmi, początkowo zamierzała również odwiedzić Grimes Hol, ale w jej londyńskim domu rozszalała się odra; musiała więc pozostać w stolicy. Na szczęście Kiri mieszkała w Ashton House u swego brata i nie była narażona na kontakt z tą paskudną chorobą. Mogła zatem udać się do Kent wraz ze starszym małżeństwem, zaproszonym również na przyjęcie u lorda i lady Norland. Wizyta Kiri w ich wiejskiej posiadłości wydawała się jak najbardziej udana. Cały klan Hitchcocków dokładnie się przyglądał Kiri, co wskazywało na to, że już w niej widzą przyszłego członka rodziny. Kiri ze swej strony uznała, że są raczej sympatyczni - na swój chłodny, angielski sposób. Małżeństwo z Godfreyem nie byłoby dla Kiri olśniewającym sukcesem, gdyż był on zaledwie trzecim synem barona, podczas gdy jej ojciec, a także brat Adam, mieli tytuł księcia. Jednak Godfrey naprawdę się jej spodobał. W ciągu roku, który upłynął od ich przyjazdu z Indii do Anglii, Kiri nie spotkała nikogo, kto zrobiłby na niej korzystniejsze wrażenie.

Przede wszystkim Godfrey nie widział w niej jakiejś egzotycznej hurysy, nie zasługującej na szacunek. A poza tym całował ją w bardzo miły sposób, co stanowiło cenną zaletę u przyszłego męża. Odkryła w nim również pewną buntowniczość, charakterystyczną także dla niej. Czy były to jednak wystarczająco solidne podstawy, by mogli na nich zbudować małżeństwo? W żyłach matki Kiri płynęła krew indyjskich królów, toteż Lakshmi, choć wydawała się uosobieniem łagodności, potrafiła przeciwstawić się tradycji: wyszła za mąż dwukrotnie i za każdym razem za Anglika. W obu wypadkach było to małżeństwo z miłości. Ojciec Kiri, szósty książę Ashton, zmarł, zanim jego córka przyszła na świat, ale Kiri od dzieciństwa widziała, jak wielką miłość łączy Lakshmi i jej drugiego męża, Johna Stillwella. Ojczym Kiri - generał słynący w Indiach ze swego męstwa - był jedynym ojcem, jakiego znała. I to dobrym ojcem, gdyż traktował swą pasierbicę tak samo jak dwoje własnych dzieci.

Godfrey okazał się wesołym i zajmującym kompanem, ale nie wytrzymywał porównania z generałem Stillwellem; nie dorastał mu do pięt! Podobnie było zresztą z większością znanych Kiri mężczyzn. Chociaż... jej brat Adam, nawet w porównaniu z generałem wypadł ciałkiem dobrze. Tak samo jak większość jego niezwykłych przyjaciół, dodała Kiri po zastanowieniu. Szkoda, że wszyscy traktowali ją jak młodszą siostrę. Może jednak nie była sprawiedliwa w stosunku do Godfreya? Nie znali się aż tak dobrze, by mogła w pełni docenić głębię jego charakteru.

Powinna przyjąć propozycję jego matki, lady Norland, która zasugerowała, by Kiri zabawiła u nich jeszcze tydzień, gdy reszta gości się rozjedzie. Zastanawiając się, czyjej rodzice byliby już w stanie przybyć do Grimes Hol, gdyby została tu jeszcze przez tydzień, Kiri postanowiła zajrzeć do małego salonu lady Norland. Zastanie tam zapewne baronową, o ile nie udała się już do swego pokoju, by przebrać się do obiadu i będzie mogła się upewnić, czy istotnie będzie mile widziana, jeśli pozostanie w Grimes Hol nieco dłużej. Z pewnością jeszcze jeden tydzień, spędzony w towarzystwie Godfreya, pomoże jej w podjęciu decyzji, czy pasują do siebie, czy nie. Mały salon lady Norland był równie przytulny jak uroczy, toteż pani domu spędzała tu wiele czasu na pogawędkach ze swymi przyjaciółkami. Kiri po cichu uchylila drzwi i zatrzymała się, ujrawszy, że lady Norland rozmawia ze swoją siostrą, lady Shrimpton. Obie damy, siedząc wygodnie na kanapie, plecami do drzwi, nie zauważyły wchodzącej. Kiri doszła do wniosku, że może porozmawiać z panią domu kiedy indziej, i miała już odejść, gdy lady Shrimpton odezwała się: - Czy Godfrey naprawdę zamierza się ożenić z tą kreaturą?! Kiri skamieniała, słysząc szyderstwo w jej głosie. Co u licha? - Na to wygląda - odparła lady Norland. - Ona, zdaje się, całkiem straciła dla niego głowę. Jakaż dziewczyna mogłaby się oprzeć tak przystojnemu i czarującemu młodzieńcowi?

- Jestem zaskoczona, że ty i Norland zgadzacie się na podobny związek! - wyraziła swą dezaprobatę jej siostra. - Nigdy bym nie pozwoliła żadnemu z moich chłopców ożenić się z cudzoziemką... w dodatku z takim mieszańcem. I cóż to za bezczelna, wulgarna dziewczucha! Zauważyłam, że wodzi na pokuszenie wszystkich mężczyzn. Kłębą się wokół niej jak psy wokół goniącej się suki! Godfrey nie będzie miał żadnej pewności, czy nie obdarzy go bękartami. Kiri przycisnęła rękę do piersi, serce biło jej jak na alarm. Adam, jej brat, przekonał się na własnej skórze, jak groźne mogą być przejawy

wrogości wobec „mieszkańców”. Ale jego siostrę - jak dotąd - traktowano z większą tolerancją. Może dlatego, że była tylko kobietą, a nie księciem, parem Anglii? Choć niektóre osoby z wyższych sfer spoglądały na nią z dezaprobatą, zazwyczaj były taktowne i nie wyrażały głośno swego potępienia. Kiri nigdy dotąd nie słyszała, by ktoś mówił o niej z takim jadem.

- No cóż... ta dziewczynka jest półkrwi Angielką, a jej ojczym to słynny generał Stillwell. Wpojono jej więc zapewne jakieś zasady przyzwoitości. -Lady Norland wyrzekła te słowa takim tonem, jakby wcale nie była o tym przekonana.

- Najważniejsze, że jest córką księcia i będzie miała istic księżęcy posag. Godfrey ma kosztowne upodobania, a nie znajdzie żony bogatszej niż ta. Zresztą, choćby nawet usiłowała podrzucić mu kukułcze pisklę, obaj starsi bracia Godfreyja już się postarali o męskie potomstwo. Nie ma więc obawy, że zła krew skazi kiedyś nasz rodowy tytuł.

- Pokażny posag może istotnie zrekompensować wiele niedostatków -przyznała lady Shrimpton. - Ale pomyśleć, że będziesz musiała spotykać się na gruncie towarzyskim z tą okropną karlicą, jej matką! Brrr... poganka, i w dodatku taka czarna!

- Lady Kiri ma znacznie jaśniejszą cerę, a jej posag olśniewa blaskiem złota! - roześmiała się lady Norland. - Chyba rzeczywiście nie mogłabym ostentacyjnie ignorować jej matki, ale możesz mi wierzyć, nasze rodziny będą się spotykały jak najrzadziej - mimo powinowactwa z generałem Stillwellem!

Kiri zrobiło się czerwono przed oczyma. Owładnął ją płomienny, morderczy gniew. Jak one śmiały mówić w ten sposób o jej matce - najmądrzejszej, najszlachetniejszej, najlepszej ze wszystkich kobiet?! Matka była prawdziwą damą, według wszelkich obowiązujących na tym świecie kryteriów. Kiri pragnęła udusić własnymi rękami te dwie potworne me-giery! Z jaką rozkoszą uciszyłyby raz na zawsze ich szyderstwa...

Co więcej, była w stanie tego dokonać. Jako dziewczynka, Kiri fascynowała się do tego stopnia opowieściami o bohaterskich władczyniach starożytnych Indii, że nalegała z uporem, by pozwolono jej razem z hinduskimi kuzynami zgłębiać starodawną sztukę walki, zwaną kalarippayattu. W dodatku okazała się niezwykle utalentowaną uczennicą. Teraz zaś aż się paliła do wypróbowania swych umiejętności na tych dwóch podłych babach!

Jednak zabicie pani domu podczas wizyty pod jej dachem byłoby szczytem złego wychowania. Nie wypadało również mordować Godfreyja, tego



kłamcy, oszusta i łowcy posagowego. Kiri odwróciła się i półprzytomna, po omacku, ruszyła w stronę swego pokoju. Zrobiło się jej niedobrze, gdy przypomniała sobie, jak poważnie zastanawiała się nad poślubieniem tego człowieka. Uderzyła się pięścią w usta, jakby w ten sposób mogła zetrzeć z nich ślad pocałunków Godfreya.

Niemal równą wściekłość jak ohydne wyzwiska, którymi obrzucono jej matkę, budził w Kiri odrażający zarzut pod jej własnym adresem, że jest zwykłą ladacznicą, wabiącą ku sobie mężczyzn. Kiri wychowała się w obozie wojskowym, wśród mężczyzn, i bardzo lubiła ich towarzystwo. Od chwili, gdy nauczyła się jako tako chodzić, podkomendni generała Stillwella droczyli się z nią, rozmawiali z nią, uczyli ją jeździć konno i strzelać, zabierali na polowania... Kiedy dorosła, młodzi oficerowie nieraz zakochiwali się w niej na zabój. To jasne, że nie była nieśmiałą angielską panienczką, która boi się odezwać do mężczyzny, jeśli nie jest to ktoś z jej rodziny.

Kiri z ulgą weszła do swojej sypialni. Nie pozostanie w tym domu ani dnia dłużej. Ani godziny! Pożyczy sobie jednego z koni Norlandów i pojedzie najkrótszą drogą, na przelaj, do Dover. A z tego tętniącego życiem portu bez trudu będzie mogła odjechać dylizansem do Londynu.

Drżącymi rękoma rozpinęła guziki, niemal zdzierała z siebie nowiutką amazonkę, włożoną specjalnie na popołudniową przejażdżkę z Godfrey-em. Tak się starała być pod każdym względem angielską damą, ale z tym już koniec!

Uwolnwszy się od fałdzistej amazonki, Kiri poszperała w szafie i wyciągnęła podniszczone, przywiezione jeszcze z Indii spódnicospodnie. W tym stroju mogła jeździć konno po męsku. Z powodzeniem może je włożyć i teraz!

Wjasnobrązowej spódnicy, rozdzielonej biegnącym pośrodku szwem na coś w rodzaju dwóch szerokich nogawek, Kiri czuła się znakomicie; był to przecież dobrze jej znany ubiór. Uzupełniła go marynarską kurtką, niemal mundurową, i przejrzała się w lustrze, ukrytym we wnętrzu szafy. Ciemne włosy, intensywnie zielone oczy, wzrost wysoki, nawet jak na Angielkę. Cera ciemniejsza niż u przeciętnej mieszkanki Wysp Brytyjskich, ale nie rażąca...

To właśnie była prawdziwa Kiri Lawford - córka Imperium Brytyjskiego, pół Angielka, pół Hinduska, dumna z jednego i z drugiego dziedzictwa. Ubrana w sari, z czerwonym znakiem wysokiej kasty pomiędzy brwiami,

wydawała się pełnej krwi Hinduską. W modnej amazonce można ją było wziąć za rodowitą Angielkę. Nie była jednak w pełni ani jedną, ani drugą. I wcale jej na tym nie zależało. A już z pewnością nie zamierzała się o to starać dla przyjemności wrednych starych kocic, takich jak lady Norland albo jej siostra!

Odjeżdżając stąd konno, nie mogła wziąć zbyt wielu rzeczy, toteż uważnie rozejrzała się po pokoju, zastanawiając się, czy musi zabrać ze sobą coś prócz pieniędzy. Przywiozła do Grimes Hol kilka najwspanialszych toalet, ale nie zostanie tu przecież wyłącznie po to, żeby pilnować swojej garderoby!

Zawinęła swą biżuterię w komplet zapasowej bielizny, a następnie w indyjski szal. Wepchnęła to wszystko do skórzanej sakwy; bez trudu przytroczy ją z tyłu do siodła.

Choć najchętniej wybiegłaby natychmiast z tego domu, musi dowieść, że jest dobrze wychowana - nie odjedzie bez słowa wyjaśnienia. Napisze ze dwa uprzejme zdania do starszej damy, z którą tu przyjechała. Zostawi też kilka słów do Godfrey'a, choć nie będzie to łatwe zadanie. Nie zdoła się jednak zmusić do napisania pożegnane listu do lady Norland. Usiadła przy biurku. Jak chętnie wykrzyczałaby im w oczy, co o nich myśli! W kilku skreślonych naprędce zdaniach nie wyładowuje ogromu swej furii.

W końcu napisała do Godfrey'a tylko: „Musisz zapolować na inną posażną pannę. Każ odesłać moje rzeczy do Ashton House”. Z ponurą satysfakcją wymieniła nazwę książęcej rezydencji swojego brata. Może Hitchcockowie uważali ją za ladacznicę, ale - na Boga - przypomni im, że jest wysoko urodzoną ladacznicą!

Ponieważ pokojówka Kiri uwięziona w nawiedzonym przez odrę londyńskim domu Stillwellów i przechodziła tam kwarantannę, w rezydencji Norlandów oddano do dyspozycji Kiri inną dziewczynę, ani zręczną, ani bystrą. Kiri pozostawiła jednak okrągłą sumkę w podzięce za jej starania - i czym prędzej opuściła pokój.

Na szczęście nie natknęła się na nikogo z gospodarzy ani z gości, zarówno zbiegając po schodach na parter, jak spiesząc z domu do stajni. Dobrze wiedziała, którego z wierzchowców chce sobie pożyczyć. Był to Herszt, wspaniały gniady wałach pełnej krwi, należący do najstarszego brata Godfrey'a, George'a Hitchcocka.

Napuszony George, spadkobierca rodzinnego tytułu, ożenił się ze słodką blondyneczką i spłodził już dwóch płowowłosych synków, Anglików w każdym calu. Stanowczo nie zasługiwał na tak wspaniałego konia jak Herszt! Kiri od początku marzyła o tym, by dotrzeć tego cuda.

W stajni panowała głucha cisza. Kiri domyśliła się, że stajenni jedzą zapewne kolację. Nic nie szkodzi: zdążyła się w ciągu ostatniego tygodnia zaprzyjaźnić z Hersztem. Chodziło tylko o to, które z siodła wybrać.

Siodło Godfrey'a było najbardziej odpowiednie, ale Kiri poczuła dreszcz obrzydzenia na samą myśl o wykorzystaniu czegoś, co należało do tego młodzieńca. Zdecydowała się więc na inne, nie wiadomo czyje. Osiodłanie Herszta i wyprowadzenie go ze stajni zajęło Kiri zaledwie kilka minut. Wskoczyła na konia bez wysiłku, jak chłopak, zawróciła Herszta w kierunku Dover - i opuściła na zawsze Grimes Hol.

## 2

Dobrze, że ten gniew tak mnie rozgrzewa, pomyślała kwaśno Kiri, bo inaczej trzęsłabym się z zimna!

Pod koniec października noc zapadała równie szybko, jak niebo pokrywało się chmurami, a temperatura gwałtownie się obniżała. Choć Herszt był wspaniałym wierzchowcem, posuwali się noga za nogą, gdyż po długotrwałej ulewie grunt stał się grząski. Droga, którą Kiri wyruszyła na północ, do Dover, wiodła to w górę, to w dół; okolica była dzika, teren nierówny, a podróż skutkiem tego stawała się coraz dłuższa.

Jednak od Dover dzieliło ją zaledwie kilka mil. I nie mogła zabłądzić, trzymając się traktu, który biegł równolegle do wybrzeża. Z pewnością spędzi tę noc w zajeździe pocztowym - wygodnym, ciepłym zajeździe - a nazajutrz rano wróci do Londynu dylizanssem. Podróż dylizanssem pocztowym, w odróżnieniu od luksusowego, prywatnego powozu, powinna okazać się interesującym przeżyciem. Kiri lubiła nowe doświadczenia, nawet jeśli trzeba było znieść przy tym pewne niewygody.

Droga wiodąca w dół, do podnóża góry, była stroma i tak wąska, że ledwie starczało miejsca dla jednego jeźdźca. Na szczęście, w Anglii podróżowało się znacznie bezpieczniej niż w Indiach: tam rozbójnicy mogli

się czaić dosłownie wszędzie. Kiri marzyła właśnie o trzaskającym ogniu, płonącym na kominku, gdy - minawszy zakręt - zetknęła się nos w nos z karawaną jucznych kuców, zmierzającą w przeciwnym niż ona kierunku. Co u licha? Trwało chwilę, nim ogarnęła przytomnym wzrokiem dużą grupę podejrzanie wyglądających mężczyzn, którzy pędzili obładowane kuce i przyświecali sobie tak zwanymi „ślepyimi latarkami”.

Przemytnicy! Skoro tylko ta myśl przemknęła jej przez głowę, Kiri spróbowała zawrócić konia i uciec, ale przemytnicy także ocknęli się już ze zdumienia.

- Brać go! - huknął czyjś ostry głos. - Nie możemy pozwolić, żeby jakiś obcy nas zakapował!

Rzucili się całą gromadą na Kiri. Trzasnęła najbliższego napastnika szpicrutą po głowie i wbiła pięty w boki Herszta. Ale inni już na nią nacierali, a ścieżka była zbyt wąska, by koń mógł błyskawicznie zawrócić. Celnymi kopniakami Kiri unieszkodliwiła kolejnych dwóch napastników, innych smagała szpicrutą; zanim jednak zdołała się przebić na wolność, ostry głos znów ryknął:

- Jed, zarzuć sieć na ptaki!

Obciążona ciężarkami, cuchnąca sieć rozwinęła się w powietrzu i opadła na Kiri, pętając jej ręce i nogi. Zanim dziewczyna zdołała się z niej wyplątać, ściągnięto ją z konia. Walnęła z impetem o ziemię i wybuchnęła potokiem hinduskich przekleństw.

Rudowłosy przemytnik pochwycił ją i wrzasnął:

- O rany, toż to baba!

- W portkach, jeździ okrakiem - i baba? - rzucił sceptycznie inny.

- Myślisz, że nie poznam cycka, jak mi w rękę wpadnie?

Chudy mężczyzna o pociągłej, posępnej twarzy podszedł i przyklęknął obok Kiri. Kapelusz spadł jej z głowy, w wąskiej smudze światła ze ślepej latarki dziewczęca twarz była wyraźnie widoczna.

- Racja, baba - stwierdził chudy autorytatywnym tonem. - A właściwie dziewczucha. I pyskuje w jakimś pogańskim języku. Ej, mówisz po angielsku, mała?

- Lepiej od ciebie!

Kiri usiłowała walnąć go kolanem w krocze, ale sieć tak krępowała jej ruchy, że nie zdołała go dosięgnąć.

- W tych portkach, kapitanie Hawk, wygląda mi na dziwkę - zauważył jeden z przemytników.

- Nie jestem żadną dziwką!

I Kiri znów obrzuciła ich gradem wyzwisk, tymi razem w języku angielskim. Wykorzystała najmocniejsze wyrażenia, z jakimi zapoznała się jeszcze w dzieciństwie na żołnierskich kwaterach.

- Może nie dziwka, ale z pewnością nie dama! - stwierdził ktoś, nie bez uznania.

- Zakneblować i zasłonić jej oczy - rzucił zwięźle Hawk. - A potem związać jak się patrzy i przerzucić przez siodło. Howard, Jed, zawieźcie ją do jaskini. Uważać, żeby nie zwała! Mackie Majcher dziś nas odwiedzi, przyjmą go jak należy, jakby się zjawiał, nim wszyscy wrócimy. Potem się zobaczy, co zrobić z tą małą.

- Ja bym już wiedział, co z nią zrobić, kapitanie! - rzucił któryś i zaśmiał się rubasznie.

- Ani się waż! - przyhamował go Hawk i dodał, przyglądając się z podziwem Hersztowi - Ten koń wart jest kupę pieniędzy. Pewnie i dziewczucha też!

- Z okupem lepiej uważać - ostrzegł potężnie zbudowany mężczyzna. - Jeśli jej rodzina to jakieś ważniaki, mogą nam ściągnąć na kark szwadron żołnierzy! Lepiej pofiglować z dziewczuchą, a potem kamień do szyi - i za burtę.

Kiri zdrętwiała. Jeśli się dowiedzą, że jest siostrą księcia, gotowi tak się przerazić ewentualnych konsekwencji, że zabiją ją od ręki! Dyskretnie przekreśliła swój pierścionek z brylantami tak, by widoczna była tylko prosta, złota obrączka.

- Nie jestem bogata ani ważna, nie musicie mnie zabijać.

- Mówisz jakjaka dama. - Oczy kapitana zwięźły się. - Jak się nazywasz? Kiri pośpiesznie wymyśliła imię i nazwisko trochę podobne do swojego.

- Carrie Ford.

- W Deal jest sporo Fordów - wyrwał się ktoś nieproszony. - Ale ona do nich podobna jak pięść do nosa!

Kiri hołdowała zasadzie: „Trzymaj się prawdy, kiedy tylko można”. Powiedziała więc:

- Jestem z Londynu, nie z Deal.

- A skąd wytrzasnęłaś tego cacanego konika? - zainteresował się Hawk. Kiri wykrzywiła usta.

- Ukradłam go, żeby uciec od kogoś, kto mnie oszukał. Była to szczerza prawda.

Przemytnicy ryknęli śmiechem.

- Wygląda na to, że to dziewczucha tej samej maści, co my!

- Kto wie, czy nie łże - skrzywił się Hawk. - Rozeznamy się w tym później. Na razie związać ją, ale nie robić jej krzywdy. Pora nam w drogę!

Choć Kiri wrywała się jak szalona, przemytnicy wypłatali ją z sieci i związali jej nadgarstki cienką mocną linką. Chciało się jej wyc z bezsilnego gniewu, bo nie zdołała oswobodzić się na tyle, by stanąć do walki. Powinna była zabrać ze sobą nóż, ale postanowiła udawać dobrze wychowaną damę podczas tej cholernej wizyty u Norlandów! Howard, potężnie zbudowany opryszek, próbował zatkać jej usta brudną szmatą.

- Ty wieprzu! - warknęła i ugryzła go w rękę.

- Suka!

Walnął ją w twarz i wcisnął jej knebel do ust tak mocno, że aż zabołało. Miała tylko tę satysfakcję, że ugryzła go do krwi.

Po tym wyczynie przemytnicy odnosili się do niej podejrzliwie i skrepowali ją fachowo. Jed, ryży i żyłasty, zawiązał jej oczy chustką. Potem spętana Kiri przerzucono przez siodło Herszta i przywiązano do końskiego grzbietu.

Był to diabelnie niewygodny sposób podróżowania, tym bardziej, że niczego nie widziała. Wyteżyła więc słuch i pozostałe zmysły i zorientowała się, że wiozą ją w dół zbocza ścieżką tak wąską, że stopy Kiri raz i drugi otarły się o chropowatą skalną ścianę.

Mało brakowało a dostałaby torsji, ale koń zatrzymał się wreszcie, ają odwiązano i ściągnięto z siodła. Zachwiała się, lecz czyjaś twarda ręka schwyciła ją za łokieć.

- Niczego tu nie ma do oglądania, same skały - rozległ się głos Jeda. - Chyba jej odsłonię oczy. Niech idzie sama!

Choć zapadła już noc, po zdjęciu opaski z oczu Kiri udało się zorientować, jak wygląda najbliższe otoczenie.

Oprzytomniała też nieco. Znajdowali się w kotlinie górskiej, osłoniętej ze wszystkich stron wielkimi głazami. Jeden koniec kotliny odgradzono, tworząc najprostszy wybieg dla koni. Para znajdujących się na nim kuców podskubywała siano z wielkiej sterty.

Spoglądając z pewną obawą na Herszta, Jed spróbował uwolnić konia od ciężkiego siodła, ale wałach za dobre chęci kłapnął go tylko zębami. Rozcierając powiększający się błyskawicznie siniak na przedramieniu, Jed warknął:

- Jak wolisz, to stój w uprzęży i niech cię gniecie, podła szkapo!

Herszt wszedł na wybieg całkiem chętnie: siano go skusiło. Był naprawdę wspaniałym zwierzęciem i Kiri miała nadzieję, że znajdzie się w bandzie przemytników ktoś, kto rzeczywiście będzie dbał o niego. Nie miała jednak Jedowi za złe, że się zląkł. Herszt był dumnym i humorza-stym końskim arystokratą - i najwyraźniej nie chciał się zadawać z pospólstwem.

Jed chwycił Kiri za ramię i poprowadził ją ścieżką niewidoczną między dwoma głazami. Nie mogąc się posłużyć związanymi rękoma, Kiri pewnie by się przewróciła, gdyby Jed jej nie podtrzymawał. O ucieczce nie było co marzyć: Howard szedł tuż za nimi.

Ścieżka wiodła po występie skalnym do wąskiego wejścia do nadmorskiej jaskini, by następnie, rozdwoiwszy się, skierować się w dół, na skrawek kamienistej plaży. Została jeszcze odrobina światła, więc Kiri zdołała dojrzeć kilka łodzi przycumowanych w niewielkiej naturalnej przystani. Otóż i flota przemytników: ryby za dnia, szmuglowany koniak w nocy! Była to znakomita kryjówka, której statki akcyźników, kursujące wzdłuż wybrzeża, nie zdołały albo nie pofatygowały się wytropić.

Jed wprowadził Kiri do jaskini, która, mimo wąskiego wejścia, okazała się zdumiewająco obszerna. Kiri uznała, że wewnątrz pieczary dorównuje niemal wielkością sali balowej w Ashton House.

Kiedy znaleźli się już we wnętrzu, z dala od wejścia, Jed zapalił latarnię, a jej blask oświetlił niemal całą pieczarę. Stworzone przez naturę nisze zostały wypełnione kontrabandą, zwłaszcza winem oraz innymi trunkami w niewielkich, poręcznych skrzynkach. Kiri słyszała, że szmuglowane spirytualia były tak mocne, że większa ilość takiego napitku mogła nawet spowodować zgon; musiano więc rozcieńczać je przed konsumpcją.

Znajdowały się tam również, owinięte w nieprzemakalne płachty, paki jakichś innych towarów, prawdopodobnie herbaty i tytoniu. W pozostałych niszach przechowywano zapewne bele materiałów, koronki oraz inne przedmioty zbytku. Kiri nie miała pojęcia, ile mogły być warte te wszystkie towary. Z pewnością dużo!

Zapędzono Kiri w najodleglejszy kąt jaskini; zanim sobie uświadomiła, co zamierza zrobić I loward, zbir zatrasnął jej kajdanki na przegubie lewej ręki. Choć miotła ją wściekłość, że zostanie przykuta do ściany jak pojmane zwierzę, Kiri zachowała spokój, gdy Howard przecinał zbędne już pęta na jej nadgarstkach. Linka, mocno i fachowo zaciśnięta, wżarła się w nie boleśnie.

Kiri starała się rozmasować bolesne bruzdy po więzach, kiedy Howard położył ciężką łapę na jej piersi i ścisnął mocno. Oburzona Kiri szarpnęła się do tyłu i z całej siły kopnęła go w podbrzusze.

Nie wycelowała bezbłędnie, ale jej but do konnej jazdy ugodził Howarda wystarczająco dotkliwie. Zbir wrzasnął i zatoczył się do tyłu, osłaniając rękoma poszkodowane krocze.

- Ty suko! - Aż zgiął się z bólu i z trudem chwytając powietrze, sięgnął po nóż. - Jeszcze tego pożałujesz!

- Nie dziwię się dziewczusze, że nie życzyła sobie macanki - Jed powstrzymał wzniesione ramię towarzysza. - Kapitan będzie wiedział najlepiej, co z nią zrobić. Rozpal ogień, a ja przyrządzę grog. Chłopaki będą chciały napić się czegoś gorącego, jak wróca.

Howard mamrotał coś gniewnie, ale zrobił, co mu kazano - i po kilku minutach obaj przemytnicy siedzieli już przy ogniu i na zmianę pociągali dzin z flaszki. Ostry zapach płonącego jałowca docierał aż na drugi koniec jaskini, do Kiri.

Dzin utrzymywał Howarda we względny spokoju, podczas gdy Jed przyrządzał grog. Najpierw zawiesił nad ogniem spory kociołek, pełen wody, a następnie doprawił ją cukrem, cytryną i szczyptą gałki muszkatołowej.

Przemyt nieźle się widać oplacał, jeśli stać ich było na takie zbytki.

Miłe wonie gałki muszkatołowej i cytryny rozchodziły się w powietrzu, a dym zniknął w szczelinach skalnego sklepienia. Kiri domyśliła się, że gdy tak doprawiona woda zagotuje się, doleją do niej rumu czy jakiegoś innego trunku. Sama chętnie by go skosztowała: bardzo jej się chciało pić i przeziębiam do kości.

Ponieważ jednak nie było na to żadnej rady, siadła pod ścianą, opierając się o nią plecami. Podciągnęła do góry kolana, złożyła na nich nadgarstki i obejrzała dokładnie kajdanki. Były zardzewiałe, zapewne na skutek panującej w jaskini wilgoci, ale nadal wyglądały całkiem solidnie.



Ale czy tak było rzeczywiście? Kiri obróciła metalową obręcz na lewej ręce i wyczuła dotykiem, że kajdany bardziej przerdzewiały, niż sądzili ci, cojąwnie zakuli. Gdyby takjeszcze nadkruszyć w jakiś sposób przeżarte rdzą żelazo... może zdołałaby się uwolnić od tych piekielnych więzów?

Na prawej ręce Kiri miała pierścionek, prezent od rodziców na osiemnaste urodziny. Był elegancki, ale nie rzucał się zbyt w oczy. Zdobiło go siedem niewielkich, lecz nieskazitelnie pięknych brylantów, ułożonych rzędem: pośrodku największy, a mniejsze pod nim i nad nim. Kiri wiedziała, że diamenty są niesłychanie twarde, toteż ten rząd siedmiu brylancików powinien zadziałać jak miniaturowa piła. Gdyby udało się jej nadkruszyć nimi przerdzewiały metal, pozbyłaby się może kajdan.

Zacęła więc trzeć tą diamentową piłą żelazną obręcz tam, gdzie była najbardziej nadgryziona przez rdzę. Na szczęście huk fal zagłuszał wszelkie inne dźwięki. Jeśli zdoła zrzucić kajdanki, zanim zjawi się reszta przemytników, postara się wymknąć niepostrzeżenie z jaskini. To, że ani Jed, ani Howard niczego nie podejrzewali, powinno jej pomóc w ucieczce. A niech się tylko znajdzie na grzbiecie Herszta, popędzi galopem - i zanim jej prześladowcy połapią się, co się stało, ona będzie już w połowie drogi do Dover!

Brylanciki wgryzały się coraz głębiej w metal, ale szło to wolno, okropnie wolno. Kiri nadal była skuta, gdy zjawiała się reszta przemytników. Wszyscy w doskonałych humorach - wrócili przecież szczęśliwie i przywieźli cenne łupy. Nawet gdyby Kiri zdołała teraz uwolnić się od kajdan, musiałaby wymknąć się z rąk całej bandy.

Gdy podszedł do niej Hawk, Kiri pospiesznie złożyła obie ręce na kolanach i palcami prawej ręki zasłoniła nieco nadwężone kajdanki.

- Co my z tobą zrobimy, dziewczyno? - mruknął kapitan. Howard zaśmiał się hałaśliwie.

- Uważaj, kapitanie! Ta klaczka wierzga i gryzie! Musowo trza ją ujeździć. Zgłaszam się na ochotnika!

- Jesteśmy przemytnikami, nie bandziorami - rzucił sucho Hawk. - Wielka szkoda, że to nie miejscowa dziewczuszka, bo taka nie puściłaby pary z gęby.

- Nie zaprzataj sobie tym na razie głowy, Hawk! - Jeden z towarzyszy podał kapitanowi kubek parującego grogu. - Teraz trza się cieszyć, że tak nam szczęście dopisało.

Kapitan odwrócił się do rozmówcy, zapominając o Kiri.

- Poślij kropelkę grogu na górę dla Swanna. Czekaj tam na Maca i przyda mu się coś na rozgrzewkę.

Kiri obserwowała przemytników z niepokojem. Większość z nich była żonata, dzieciata i nie rwała się do zabijania. Ale trunek nieraz już zmienił rozsądnych ludzi w dzikie bestie, a Howard zabiłby ją, nie mrugnawszy nawet okiem. Może by się znalazło i paru innych... W posepnym nastroju Kiri wróciła do żmudnego pilowania kajdan. Musi czymś się zająć albo zwariuje!

Czas mijał, przemytnicy byli coraz bardziej pijani... I nagle wkroczył do jaskini prawdziwy diabeł z piekła rodem.

### 3

Dreszcz strachu przebiegł po grzbiecie Kiri, zanim uświadomiła sobie, że nowo przybyły jest po prostu silnie zbudowanym mężczyzną, oświetlonym blaskiem pochodni, niesionej przez idącego za nim przemytnika.

Powiewające fałdy ciemnego, obszernego płaszcza i niespokojne błyski pochodni sprawiały, że przybysz wyglądał jak szatan, który zjawia się po duszę Fausta.

Wszedłszy do nieźle oświetlonej jaskini, nieznajomy zdjął kapelusz osłaniający mu twarz. Okazało się, że jest przystojny i nie wygląda bynajmniej na zagłębionego w ponurych rozmyślaniach.

- Witajcie! - odezwał się z całą swobodą. Jego głos docierał bez trudu do najdalszych zakątków jaskini. - Jak się miewają najwspanialszy w świecie przemytnicy?

W odpowiedzi posypał się grad przyjaznych pozdrowień.

- To Mackenzie!

- Ajakże, Mackie Majcher we własnej osobie!

- Dam głowę, że wszystkim schlebiasz tak samo, wygadany diabelcu!

- Gdzieżeś się podziewał, szelmo?

- Przysiadź się do nas, Mac!

- Przepraszam za spóźnienie - usprawiedliwił się lekkim tonem Mackenzie - ale zauważyłem w pobliżu oddział akcyzników i pomyślałem, że

nie będziecie mi wdzięczni, jeśli ich tu sprowadzę. - Uśc isnęli sobie ręce z kapitanem. - Udało się wam przeszwarcować wszystko, o co prosiłem?

- Reńskiego mamy o jedną beczkę mniej, ale cała reszta jest dokładnie według zamówienia. - Hawk nalał wina do kieliszka. - Spróbuj tego czerwonego, Mac. Jeszcze młode, ale cholernie dobre!

Mackenzie wziął do ręki kieliszek i pił powoli, z namysłem oceniając trunka.

- Wyborne! Następnym razem z pewnością je zamówię. Podsunął kieliszek, dopraszając się dolewki.

- A tu masz ten swój francuski tytoń. - Hawk podał mu pakunek. - Nieźle pachnie, ale po mojemu żaden tytoń nie jest wart takiej forszy, jaką bulisz za przemycenie akurat tego!

Mackenzie powąchał z uznaniem zawiniątko, zanim ukrył je w czeluściach swego płaszcza.

- Dla mnie wart każdego grosza, jaki wydam. Chwileczkę... - Sięgnął do innej kieszeni i wyciągnął dwie płócienne sakiewki - większą i znacznie mniejszą. Obie brzęknęły, gdy wręczał je Hawkowi. - To za tytoń. A to za wino i mocniejsze trunki, które powędrują do Londynu.

- Prawdziwa frajda robić z tobą interesy - stwierdził kapitan i uśmiechnął się, co rzadko mu się zdarzało.

Kiri zauważyła, że nie przeliczył pieniędzy. Mackenzie musiał być stałym i godnym zaufania klientem.

Nowo przybyły wyróżniał się wzrostem, urodą i elegancją, ale to nie one sprawiały, że wszyscy zebrani w jaskini wlepiali w niego wzrok. Określenie „charyzma” samo się Kiri nasunęło. Miała przelotny flirt ze studentem z Cambridge, który wmawiał jej, że obdarzona jest darem charyzmy, gdyż jej piękność zniwala wszystkich, gdy tylko Kiri wejdzie do pokoju. Charyzma działa jak magnes! To właśnie ona sprawia, że wokół urodzonych przywódców gromadzą się tłumnie ich zwolennicy.

A potem student obdarzył Kiri wierszem, który napisał po grecku. Było to urocze z jego strony... choć podejrzewała, że ukrywał w ten sposób smutną prawdę, iż był nie najlepszym poetą. Wmawianie Kiri, że odznacza się charyzmą, było zwykłym pochlebstwem - ale ten Mackenzie naprawdę miał w sobie coś niezwykłego. Wszyscy przemytnicy, nawet złośnik Howard, po prostu promienieli, gdy ten obcy wyróżnił ich spojrzeniem czy uśmiechem.

Mackenzie delectował się czerwonym winem... i nagle jego wzrok padł na Kiri.

- Co to za dziewczyna? - spytał i skierował się w jej stronę. Hawk, Howard i Jed ruszyli za nim.

- Tylko z nią kłopot! - stwierdził sucho kapitan. - Jechała konno i wpadła prosto na nas, kiedyśmy wracali z towarem. Musieliśmy ją zgarnąć, a teraz nie bardzo wiem, co z nią zrobić. Chyba sprawdzimy, ile jej rodzina gotowa jest zapłacić za odzyskanie tej dziewczyny.

- Byliby głupi, gdyby zapłacili choć złamanego szeląga! - burknął Howard. - To prawdziwa jędrza, aż się prosi, żeby ją ktoś wreszcie ujeździł. Pierwszy się do tego zabiorę!

Posypały się rubaszne żarty, ale Mackenzie nie zwracał na nie uwagi. Przyklęknął obok Kiri, by przyjrzeć się jej z bliska. Choć nieźle udawał beztrioskiego wesołka, miał ruchy dzikiego zwierzęcia, zwinnego i czujnego. A może żołnierza zwiadowcy? Kogoś, kto zna się na zabijaniu. Kiri nie wyczuwała w nim jednak obłąkańczej żądzy mordu.

- Gdyby jej spojrzenie mogło zabijać, wszyscy leżelibyśmy już trupem! - zauważył z rozbawieniem Mac. - Może byłaby nawet ładna, gdyby nie ten knebel. Czy to konieczne?

- Trza jej było zatkać gębę, tak nas znieważała swoim świńskim gadaniem - wyjaśnił posepnie Hawk. - Klnie toto jak pijany majtek.

Przemytnikom to wyjaśnienie wydało się bardzo zabawne i wjaskini rozległy się ryki śmiechu.

Kiri znów poczuła dreszcz strachu. Uświadomiła sobie, że wszyscy spili się tak, iż nikt już nie dbał o konsekwencje swoich czynów.

- No i co z nią zrobicie? - spytał Mackenzie.

- Boja wiem? Pewnie znalazłby się ktoś, komu na niej zależy, ale diabli wiedzą, gdzie go szukać. - Kapitan skrzywił się. - A ona nie z takich, co by się z nami dogadały po dobremu.

- Zęby majak ryś, a wierzga jak cholerny muł! - mruknął Howard.

- Ikry jej nie brak - przyznał Hawk. - Nie bałaby się polecieć prosto do akcyźników i podpuścić ich, żeby na nas zapolowali. Na pewno już się połapała, gdzie leży nasza kryjówka i jak do niej trafić. Do kata! Nie wiem, słowo daję, co zrobić z tym fantem.

- Uwiązać kamień do szyi i utopić! - odpowiedział Howard.

Kiri rzuciła mu wściekłe spojrzenie. Nie miała żadnych złych zamiarów wobec tych ludzi. Choć nie pochwałała przemytu, wiedziała, że takie zajęcia w tych stronach jest nie tylko akceptowane, ale nawet przynosi chlubę. Nie zamierzała wtrącać się w ich sprawy.

Nie mogła jednak pozostać dłużej neutralna po tym, jak ją potraktowano! Rozwścieczona, miała ochotę zrobić dokładnie to, czego kapitan tak się obawiał: oddać tych podłych porywaczy w ręce prawa... choć zdecydowanie wolałaby zamordować Howarda własnymi rękami.

- Powiada, że podwędziła komuś tego fantastycznego konika, ale po mojemu to bogata dziewczucha! - ciągnął dalej Hawk. - Ubrana cudacznie, ale nie jak bida z nędzą...

- Jakbyśmy ją oddali rodzinie za okupem - przekonywał Howard - byłyby z tego same kłopoty. Lepiej się z nią pobawić, a potem uciszyć jędzę na amen.

- Szkoda takiego smakowitego kąska. - Mackenzie nie odrywał od Kiri oczu, nie mogła jednak odgadnąć ich wyrazu.

- Jak się nazywa? Może mógłbym wam powiedzieć, czy to cenna osobka.

- Powiada, że Carrie Ford, ale kto wie, czy nie łże - odparł kapitan, marszcząc czoło. - Znasz jakichś bogatych Fordów?

- Nie, ale może powiedziałyby coś więcej, gdyby jej wyjąć ten knebel? Miała już czas przemyśleć sprawę.

- Uważaj, żeby cię nie ugryzła! - ostrzegł go Jed.

- Albo kopnęła wjaja - dorzucił Howard. - Prawdziwa z niej zaraza!

- Nie takie zarazy widziałem - Mackenzie pochwycił spojrzenie Kiri i zmusił dziewczynę, by spojrzała mu w oczy. - Jeśli wyjmę knebel, nie wolno ci gorszyć moich kompanów przekleństwami, rozumiano?

Kiri miała ochotę wyrznąć go w tę przystojną gębę, żeby znikł z niej chytry uśmieszek... Ale jeszcze bardziej pragnęła uwolnić się od tej brudnej, dławiącej ją szmaty, skinęła więc głową.

Mackenzie pochylił się nad nią i rozwiązał gałgan, przytrzymujący knebel. Kiri odetchnęła głęboko, z wdzięcznością wciągając powietrze w płuca.

- Paskudnie ci się to werżnęło w buzię.

Przez chwilę obejmował jej twarz rękami. Omal się nie rozkleiła pod wpływem tego ciepłego dotyku. Miała ochotę przytulić się policzkiem do jego dłoni i wybuchnąć płaczem. Był to pierwszy życzliwy odruch, jakiego zaznała od chwili, gdy ją porwano.

Nie mogła sobie jednak pozwolić na taką słabość. Ukryła więc wzruszenie i powiedziała tylko:

- Dziękuję. - Oczy jej się zwęziły. - Z wdzięczności za wyjęcie knebla nie ugryzę cię ani nie kopnę, póki nie doliczę do trzech. Raz, dwa...

- Naprawdę ładna z ciebie dziewczyna - stwierdził z podziwem, odsuwając się na bezpieczną odległość. - Nazywasz się Carrie Ford?

Podał dziewczynie swój kieliszek wina, opróżniony do połowy. Wypiła łyk. Z przyjemnością zwilżyła gardło; przyjemnie też było pozbyć się wstrętnego smaku brudnej szmaty.

- Możesz mnie nazywać, jak ci się podoba.

- Doskonale, dziewczusko. - Nie odrywając oczu od Kiri, Mackenzie zwrócił się do kapitana: - Odkupię ją od ciebie, Hawk, i zapewniam, że nie będzie z nikim paplać o tej małej przygodzie.

Hawk najpierw się zdumiał, potem spytał ciekawie:

- A ile dajesz? Mac zastanowił się.

- Mam przy sobie pięćdziesiąt złotych gwinei. Powinno to według mnie wystarczyć.

Była to doprawdy niemała sumka i nieoczekiwana gratyfikacja za trudy ostatniej nocy. Kapitan zmrużył oczy, rozważając propozycję Maca.

- Może jej rodzina dałaby więcej.

- Może i tak - zgodził się Mackenzie. - Ale odnalezienie jej bliskich nie byłoby łatwe i mogłoby się okazać niebezpieczne. - Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza jeszcze jedną sakiewkę i podrzucił ją na dłoni. Złoto brzęknęło kusząco. - A tu macie gotówkę z rączki do rączki i bez kłopotu.

Hawk w zamyśleniu drapał się po szczeciniastej brodzie.

- Wygląda mi to na całkiem dobry interes. - Obejrzał się na swoich ludzi, którzy słuchali w napięciu. - Co wy na to? Wszyscy potakiwali i skłonni byli zgodzić się na propozycję Maca, dopóki Howard nie odezwał się wojowniczo:

- Ja się nie zgadzam! Chcę tej suki dla siebie. A z tym londyńskim spryciarzem mogę się bić. I wtedy się okaże, kto ją dostanie!

- Ale nam przepadnie pięćdziesiąt gwinei! - poskarżył się ktoś.

- Sam zapłacę pięćdziesiąt gwinei! - odparował Howard.

- Masz tyle forsy? - zdumiał się ktoś inny. Howard wlepił w Kiri płonące gniewem oczy.

- Od ręki mogę dać trzydzieści, a resztę się odliczyć z mego udziału w zyskach.

Kiri starała się ukryć przerażenie. Może powinna być dumna, że Howard gotów jest wydać na nią wszystkie swe oszczędności i zadłużyć się na przyszłość, ale wiedziała, że nie pożyje długo, zostawszy jego własnością.

Niektórzy z przemytników wyraźnie się zafrasowali; innym jednak cała ta sprawa wydawała się znakomitym kawałem.

- Jasne, zaczekamy na forszę, aż się z tobą rozliczą - zapewniał ktoś pijackim głosem. - Ale kiedy już skończysz z tą dziewczuchą, oddasz ją nam, zgoda?

- Nie będzie już tak ładnie wyglądała - uprzedził go Howard. - No to na co walczymy, Mackenzie? Na pukawki czy noże? A może się jednak wycofasz? Ja upatrzyłem ją sobie pierwszy!

- Zgoda, podejmuję wyzwanie. Ale nie na pukawki ani na majchry. Nie znoszę widoku krwi. Zwłaszcza własnej. - Mackenzie zastanowił się. - Tyrzuciłeś mi wyzwanie, więc wybór broni należy do mnie. Wybieram karty.

Howard wyszczerzył w uśmiechu zepsute zęby.

- No to jakbym już ją miał! Nikt w całym Kent nie gra lepiej w karty niż ja.

- Nawet dobry gracz miewa czasem pecha. - Mac sięgnął do kolejnej kieszeni płaszcza. - Mam tu nowiutką talię kart. Możesz sprawdzić, że nie znaczone. W co zagramy?

Howard ze zmarszczonym czołem obejrzał uważnie karty.

- W pokera. To gra w sam raz dla mnie.

- Doskonale! Wygrywa ten, kto ma trójkę kart nie do przebicia. I niech szczęśliwy traf decyduje o zwycięstwie!

Howard przeliczył karty.

- Umiem grać, mam gdzieś szczęśliwy traf!

Ponieważ można było grać w pokera na kilka różnych sposobów, przeciwnicy ustalili reguły gry, zanim ustawiono dla nich w pobliżu ognia mocno sfatygowany stół i dwa stołki. Kibice zaczęli zakładać się między sobą o to, kto wygra. Howard miał stanowczo więcej zwolenników.

Obaj przeciwnicy zasiedli przy stole. Howard podał Macowi potasowane karty, a ten przetasował je raz jeszcze.

- A więc gramy o tę damę - rozważał głośno Mackenzie. - Słowo daję, od lat nie bawiłem się tak dobrze!

Kiri wolałaby, żeby mniej go to bawiło, a bardziej zależało mu na wygranej. Scena była niesamowita, jakby żywcem wzięta z *Piekle* Dantego. Kłęby pary z kotła nadal unosiły się w powietrzu, przemytnicy otoczyli graczy zwartym kręgiem, by obserwować uważnie grę. Ich pełne chciwości twarze były wyraźnie widoczne w świetle latarni i w blasku ognia.

Kiri zacisnęła usta i w dalszym ciągu pocierała kajdany pierścionkiem. Panował taki hałas, że nikt nie słyszał zawziętego piłowania. Nareszcie czuła, iż jej starania dają pewne wyniki. Wkrótce będzie mogła wyswobodzić się z więzów, a wówczas niepostrzeżenie przemknie się obok pijaków, zanim do nich dotrze, co się święci!

Gdyby jednak nie zdołała tego dokonać, błagała wszystkie bóstwa, zarówno chrześcijańskie, jak hinduskie, żeby wygrał Mackenzie. Nie wiedziała, co o nim sądzić, ale był mniej brutalny niż Howard. I znacznie od niego czystszy. A poza tym będzie miała znacznie większe szanse powodzenia, starając się wymknąć jednemu mężczyźnie, a nie dwudziestu kilku ludziom.

Sylwetki obu graczy rysowały się wyraźnie na tle ognia: Howard cały spięty i groźny jak wilk i Mackenzie - przystojny, elegancki i beztroski, aż do przesady. Ich kolejnym posunięciem w grze towarzyszyły jęki zawodu lub okrzyki aprobaty ze strony kibiców.

Obaj zawodnicy wydawali się równie mocni. Kiri wiedziała, że większość angielskich dżentelmenów nie wyobraża sobie życia bez hazardu, domyśliła się więc, iż Mackenzie jest wytrawnym graczem. Obawiała się jednak, że Howard okaże się jeszcze lepszy. Przygryzła mocno wargę, zorientowawszy się, iż gra doszła do punktu kulminacyjnego.

- Trzy w jednym kolorze, Mackenzie! - odezwał się z przechwałką w głosie Howard, wykładając swe karty. - Chyba tylko cudem mógłbyś to przebić!

- Wygląda na to, że masz rację - przytaknął Mackenzie, ku rozczarowaniu Kiri. - Ale sprawdźmy, co też zsyła mi bogini Fortuna.

Całe audytorium zamilkło a napięcie jeszcze wzrosło. Karty opadły na stół z szelestem, przypominającym odległy szum fal. Z nerwami napiętymi do ostateczności Kiri pocierała uparcie kajdanki brylantami, choć palce odmawiały jej posłuszeństwa a ręce drętwiały ze zmęczenia. Była już bliska celu, taka bliska...

Kibice aż jęknęli ze zdumienia, a Mackenzie zauważył z niejakim zadowoleniem:



- Pomyśleć tylko! Też mam trzy do koloru, i to sanie figury, bez dzokera. W takim razie wygrałem i dama należy do innie.

- Po moim trupie, psiakrew! - Floward zerwał się na równe nogi, przewracając stolik. - To podłe oszukaństwo! Mackenzie także wstał, ale nie był ani trochę wzburzony.

- Ja miałbym oszukiwać? Jakim sposobem? Floward zawahał się.

- Nie jestem pewien, ale to podła sztuczka - i, do stu diabłów, nie ujdzie ci na sucho!

Rzucił się na przeciwnika, a Mac zwinnie uniknął ciosu.

Ni stąd, ni z owąd, zaczęła się ogólna bijatyka. Zupełnie jakby kilka iskier padło na czarny proch. Howard zjadle atakował Mackenziego, ten zaś z niezwykłą zręcznością uchylał się od kolejnych ciosów. Zwolennicy jednego i drugiego brali się za łby, najwyraźniej dla samej przyjemności okładania się nawzajem.

Kocioł pełen wrzącej wody przechylił się niebezpiecznie i zalany ogień zgasł. Ponieważ walczące ze sobą pary miały się w tę i we w tę, przewrócono trzy latarnie, jedną po drugiej. Jedynie garstka żarzących się jeszcze węgla rozjaśniała przerażające ciemności.

Nadeszła chwila, której nie sposób było nie wykorzystać. Kiri z całej siły szarpnęła kajdankami - i metalowa obręcz pękła. Jeszcze jeden równie energiczny ruch... i była wolna.

Zerwała się na równe nogi i ruszyła w stronę wejścia do jaskini, najszybciej jak tylko mogła, starając się omijać uczestników szaleńczej bijatyki. Okazało się to jednak niewykonalne. Jakiś cuchnący rumem typ wpadł na Kiri.

Podcięła mu nogi i zwałił się z wrzaskiem.

Krok dalej zderzyła się z jeszcze potężniejszym osiłkiem. Gdy próbowała wymknąć mu się, schwycił ją mocno.

Walnęła go łokciem w brzuch. Zaklął, ale nie puścił jej.

Raczej wyczuła niż dostrzegła jego wzniesione do ciosu ramię. Domyśliła się, że miał w ręku nóż; zdołała schwycić go za nadgarstek i wykręcić mu rękę do tyłu. Napastnik zawył z bólu i puścił ją wreszcie.

Kierując się instynktem, wyszarpnęła mu nóż z osłabionej garści. Rada, że ma jakąś broń, skierowała się znów w stronę wyjścia. Teraz, gdy była uzbrojona, nikt i nic nie przeszkodzi jej w ucieczce!

#### 4

Mackenzie nie tylko unikał zrećnie ciosów Howarda - zdołał jeszcze przy okazji potraćić kocioł tak, że się przechylił i zalał ogień, potem zaś, niby to niechcący, przewrócił jedną z latarni. Pozostałych nie musiał wywracać: okładający się na oślep przemytnicy dokonali tego bez jego pomocy.

Pod osłoną nieprzeniknionych ciemności Mac skierował się w stronę ściany, do której przykuto dziewczynę. Miał nadzieję, że ustawiczne zderzenia z uczestnikami bijatyki nie pozbawią go do cna orientacji w terenie. Skalna ściana okazała się bliższa niż przypuszczał i uderzył o nią wyciągniętymi przed siebie rękoma. Wyczuł pod palcami chropowatą kamienną powierzchnię; był przekonany, że znajduje się w pobliżu miejsca, gdzie uwiązano branke.

Nie mógł jednak znaleźć tej przeklętej dziewczuchy! Czyżby aż tak zmylił kierunek?

Nie, pod ręką zagrzechotał mu łańcuch. Palce Maca sunęły dalej - od ogniwa do ogniwa - ale dziewczyny nie było. Co u diabła?!

Niewiarygodne: żelazny pierścień został złamany i wygięty! Panna Carrie Ford okazała się znacznie groźniejszym przeciwnikiem, niż przypuszczał. Mac odwrócił się błyskawicznie i skierował w stronę wylotu jaskini. Miał nadzieję, że po drodze nie wplącze się znów w tę cholerną bijatykę.

Ktoś nagle wrzasnął:

- Ta dziewczucha ucieka!

- Łapcie ją! - ryknął Howard.

Odzywało się coraz więcej głosów, zaciekawionych lub niespokojnych. Mac tymczasem dotarł do wyjścia i odnalazł dziewczynę dzięki jej perfumom. Zauważył już wcześniej, że pachniała niezwykle kusząco - kwiatem bzu i jakimiś egzotycznymi korzeniami. Ucieszył się, że uciekiniarka jest zdrowa i cała, objął ją opiekuńczym ramieniem... i omal nie zwałił się na ziemię, gdy fachowo podcięła mu nogi. Odruchowo uchwycił się dziewczyny i upadli oboje: ona na skalne podłoże, on na nią.

Usiłowała mściwie walnąć go kolaniem w krocze. Uniemożliwił jej to, przygniótł ją całym swym ciężarem i syknął jej do ucha:

- Zwariowałaś?! Chcę ci pomóc! Przestała się szamotać.

- No to zmykajmy stąd, do diabła!

Puścił ją natychmiast i oboje zerwali się na równe nogi. Mac cisnął do wnętrzajaskini sakiewkę, zawierającą pięćdziesiąt gwinei, po czym ruszył skalnym korytarzem za dziewczyną.

Na zewnątrz lało jak z cebra, ale było znacznie widniej niż w jaskini. Tam, w nieprzeniknionym mroku, nic nie mogli zobaczyć; tutaj - przynajmniej z grubsza - widzieli, co znajduje się w ich najbliższym otoczeniu.

Carrie biegła przodem, nie okazując lęku, najpierw po skalnym występie, potem po kamienistej ścieżce, szybko jak górską kozica. Mackenzie uśmiechnął się szeroko, gdy ją dogonił. Musiała być przerażona, kiedy ją pojmano, ale nie dopuściła do tego, by strach ją sparaliżował. Zuch dziewczyna! Tym lepiej, gdyż z pewnością wkrótce ruszy za nimi w pościg Howard, a może i kilku innych przemytników.

Z powodu deszczu ścieżka była niepokojąco śliska. Carrie dobiegała już do niewielkiej polany, na której urządzono wybieg dla koni, gdy nagle potknęła się i upadła. Co gorsza, zaczęła się ześlizgiwać po pochyłości na skraj urwiska. Niewiele brakowało, a runęłaby na poszarpane skały w dole. Dosłownie w ostatniej chwili Mac uczeplił się jakiegoś powyginanego krzewu jedną ręką, drugą zaś z całej siły pociągnął Carrie ku sobie. Wystarczył jeden zdecydowany ruch jego ramienia i dziewczyna znalazła się znów w bezpiecznym miejscu, przy skalnej ścianie. Przez chwilę oboje leżeli bez ruchu, przytuleni do zimnego, mokrego kamienia. Upajająca kompozycja woni - kwiatów bzu, egzotycznych korzeni i kobiecego ciała - poraziła Maca z taką siłą, że ze szczętem zapomniał o tym, iż banda pijanych i rozwścieczonych przemytników już ich zapewne goni.

Oprzytomniał nagle, gdy dziewczyna warknęła:

- Puszczaj, durniu!

Uwolnwszy się od niego, Carrie pobiegła dalej ścieżką. Mac dotarł na polankę chwilę później. Słyszał, jak dziewczyna zatrzymuje się przed furtką, ciężko dysząc, i odgadł, że stara się opanować, by nie spłoszyć zwierząt na wybiegu.

Zanim się z nią zrównał, Carrie zdążyła już otworzyć furtkę i znalazła się wśród kudłatych kuców. Wielki koń z białą gwiazdką na czole parsknął na widok dziewczyny i podbiegł do niej. Przemówiła doń pieszczotliwie i pochwyciła go bez trudu. Mac zauważył z zadowoleniem, że wierzchowiec jest osiodłany i gotów do drogi. Nie świadczyło to najlepiej

o dbałości przemytników o konie, ale dla nich obojga było w tej chwili nad wyraz dogodne.

Mackenzie sądził początkowo, że jego wizyta w jaskini przemytników będzie krótka, nie rozsiadła więc swego wierzchowca i mogli teraz odjechać bez zwłoki. Ponieważ zaś ostatnimi czasy deszcz groził nieustannie, Mac zabrał ze sobą zapasowy płaszcz, zwinął go i przytroczył z tyłu do siodła Cezara. Teraz zabrał stamtąd okrycie, rozwinął, strzepnął i podał wojowniczej dziewczynie, gdy wyprowadzała swojego konia z wybiegu.

- Weź to!

Odwróciła się błyskawicznie. W ręku błysnął jej nóż.

- Odwal się! Natychmiast!

- Schowaj nóż - powiedział spokojnie. - Proponuję ci płaszcz, żebyś nie zamarzała na śmierć.

- Przepraszam - mruknęła bez większego przekonania, ale nóż zniknął, a płaszcz przyjęła. -1... dziękuję.

Mackenziemu zdawało się, że usłyszał lekkie szcęknięcie zębów, gdy Carrie otulała się jego płaszczem. Dla większości kobiet to okrycie byłoby stanowczo za długie i wlokłoby się po ziemi, ta dziewczyna była jednak taka wysoka, że płaszcz falował wdzięcznie wokół jej kostek.

- Pomóc ci przy wsiadaniu? - zaproponował Mac. Zerknęła na wielkie konisko i burknęła niechętnie:

- Tak.

Nie marnowała słów po próżnicy, a jej głos był bardziej lodowaty niż zimne powietrze nocy. Wsparła się obutą stopą na splecionych dłoniach Maca i jednym skokiem znalazła się w siodle. Mackenzie przyglądał się jej z podziwem, zastanawiając się, czy nie warto by rozpropagować wśród innych dam takich rozszywanych pośrodku spódnic do konnej jazdy? Carrie tymczasem, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, spięła piętami swego wierzchowca i ruszyła przodem po stromej ścieżce, wiodącej pod górę. Nie ulegało wątpliwości, że jeździła konno niemal od kolebki.

Kręcąc głową z rozbawieniem, Mac odpędził kilka zbyt ciekawskich kuców od furtki, zamknął ją i dosiadł swego Cezara. Mrok i deszcz spowolniły tempo jazdy Carrie, nie wyprzedziła więc zbyt wiele swego towarzysza. Kiedy Mackenzie dotarł na szczyt, przekonał się, że dziewczyna zatrzymała konia i rozgląda się dokoła, o ile było to możliwe w taką pochmurną noc. Fałdy obszernego płaszcza powiewały wokół niej.

Mac domyślił się, że Carrie nie ma pojęcia, dokąd teraz jechać; zatrzymał więc konia tuż przy niej.

- Do Dover jeszcze wiele mil i droga niezbyt bezpieczna; w pobliżu nie ma żadnych osad ludzkich, a deszcz ostro zacina. Lepiej więc poszukajmy jakiegoś schronienia - zaproponował. - Jest tu niedaleko, o jakieś pół godziny drogi, całkiem wygodna stodoła. Wątpię, by przemytnicy zapędzili się w pogoni za nami aż tak daleko.

Twarz dziewczyny była jedynie bladym, nikłym owalem na ciemnym tle nocy.

- Ale mogliby to zrobić?

- Zostawiłem im, zgodnie z umową, pięćdziesiąt gwinei. Powinno to usatysfakcjonować większość z nich. -

Przypomniała mu się jednak wściekła mina Howarda, dodał więc: - Ale całkiem możliwe, że Howard jest tak pijany i do tego stopnia rozwścieczony, że pociągnie za nami. Może też zdoła namówić kilku kompanów, by mu towarzyszyli. Lepiej zadbać o to, żeby dzieliła nas od nich jak największa odległość.

- Nie ma tu żadnych „nas”, panie Mackenzie - stwierdziła lodowatym tonem. - Zamierzam rozstać się czym prędzej także z panem. A już z pewnością nie udamy się razem do żadnej stodoły!

- Od strony kanału La Manche dmie jak wszyscy diabli - zwrócił jej uwagę Mac. - Czy nie byłoby lepiej kontynuować tę dyskusję pod jakimś dachem?

Popatrzyła na ociekające deszczem niebo i wzdrygnęła się. Po dłuższym zastanowieniu powiedziała:

- Da mi pan słowo dżentelmena, że nie będzie mnie napastować w tej stodole?

- Daję słowo, że nie wyrządę pani żadnej krzywdy. Nie jestem jednak dżentelmenem, więc moje słowo to żadna gwarancja. Musi pani zaufać własnej intuicji.

- Prawdę mówiąc, trudno drzeć ze strachu przed człowiekiem, który otwarcie przyznaje, że pojedynek to dla niego zbyt wielka fatyga, a poza tym nie lubi widoku własnej krwi - przyznała z westchnieniem. - Taka jestem zmęczona, że zawierzę pańskiemu dość wątpliwemu honorowi. Ta wiara - i mój nóż - powinny mi zapewnić bezpieczeństwo.

- Może się pani nie obawiać, jestem absolutnie nieszkodliwy - odparł z rozbijającą szczerością. - Z kobietami bywa zwykle mnóstwo kłopotów,

nawet jeśli są całkiem chętne. Po cóż miałbym zaczepiać taką, która nie okazuje chęci?

Prychnęła pogardliwie.

- No dobrze... Ale niech pan nie zapomina, że mam broń, panie Mackenzie!

Nie było to zbyt entuzjastyczne wyrażenie zgody, ale wystarczyło mu i takie. Mac popędził konia we właściwym kierunku, a jego wojownicza towarzyszka ruszyła w ślad za nim.

Stodoła, o której wspomniał Mackenzie, stała na pustkowiu. Nigdzie w pobliżu nie było innych zabudowań gospodarskich. Kiri zatrzymała się przy niej z prawdziwą ulgą. W tej chwili każde schronienie byjej odpowiadało, bo była przemoczona do suchej nitki i kompletnie wyczerpana. Wprost niewiarygodne, że ten długi i męczący dzień rozpoczął się od pysznego śniadania, złożonego z gorącej czekolady i świeżutkiego pieczywa, które podano jej do łóżka w jakże wygodnym pokoju gościnnym w Grimes Hol.

Jej nieproszony towarzysz podróży zsiadł z konia i otworzył wrota stodoły, by mogli wprowadzić swe wierzchowce do wnętrza.

- Powinno tu być siano - zachwalał. - Warto się w nim zakopać, od razu zrobi się pani cieplej! Wyręczę panią, wytrę także i jej konia.

Kiri zsiadła z Herszta, czując, że skrzypią jej wszystkie stawy i bolą wszystkie mięśnie.

- Sama zadbam o swego wierzchowca.

- Od razu widać, że naprawdę zna się pani na koniach - stwierdził z aprobatą. - W takim razie zobaczę, czy uda mi się rozpalić ogień. Nie ma tu w pobliżu nikogo, kto mógłby zauważyć, że tu obozujemy.

Ciekawe, skąd znajdziesz suche drewno? - pomyślała Kiri, zdejmując z Herszta siodło i derkę. Podczas gdy jej koń podskubywał siano, ona też wzięła kilka garści, żeby wytrzeć swego wierzchowca jak należy.

Uporawszy się z jednym końskim bokiem, zabierała się właśnie do drugiego, kiedy spostrzegła ze zdumieniem, że Mackenzie znalazł trochę drewna i rozpala właśnie ogień. Od kilku iskier z krzesiwa podpałka zajęła się natychmiast, podobnie jak przygotowane już szczapki.

- Co za luksusy! Mamy nawet zapas drewna - zdumiała się Kiri. Dym tymczasem znalazł już drogę do drzwi, które Mac z rozmysłem pozostawił

uchylone. - Czyżby pańscy przyjaciele korzystali z tej stodoły, przechowując w niej przemycane towary?

- Od czasu do czasu, i właśnie dzięki temu znaleźliśmy tu dziś dość opału. Ale przemytnicy nie należą do moich przyjaciół. - Krzesiwo znikło w fałdach jego płaszcza. - Łączą nas wyłącznie interesy.

- Wspólne popijanie nazywa pan interesem?

- Ależ skąd! Prowadzę... przedsiębiorstwo, które nie mogłoby należycie prosperować bez wina i mocniejszych trunków najlepszej jakości. - Widząc, że ogień ładnie się rozpałił, Mac zabrał się do obrządzania swojego konia. - A zakup spirytualiów bezpośrednio od kapitana Hawka jest gwarancją ich dobrej jakości.

- Bardzo praktyczne podejście do rzeczy, choć nie całkiem zgodne z prawem. - Kiri ponad grzbietem Herszta popatrzyła na nieładnego, acz długonogiego wierzchowca Maca. - Co za brzydak!

- To prawda, Cezar nie zrobiłby pewnie furory na Rotten Row; nigdy jednak nie spotkałem równie wytrwałego wierzchowca. - Mackenzie poklepał konia po szyi. - Kupiłem go w Portugalii za kapciuch tytoniu. Był tak niewydarzonym źrebakiem, że omal go nie oddano do jatki na mięso. Od tej pory trzymamy się razem, Cezar i ja - i dobrze nam ze sobą.

Niekrywane przywiązanie Mackenziego do brzydkiego konia rozczerowało Kiri. Ale, co tu kryć, Herszt prezentował się o całe niebo lepiej.

W stodole było kilka pustych boksów dla koni (nadawały się znakomicie do przechowywania w nich beczek czerwonego wina), toteż Kiri, oporządziwszy Herszta, wprowadziła go do jednej z takich zagród i dopilnowała, by koń miał pod dostatkiem siana i wody. Potem zasiadła przy ogniu. W jego migotliwym blasku obejrzała uważnie nóż, odebrany przemytnikowi. Była to poręczna, starannie wykonana broń, tak mała, że mogła ją ukryć w rękawie lub za cholewą buta. Pięknie grawerowana rękojeść noża i jego krótkie, śmiercionośne ostrze świadczyły niezbicie, że jest to broń z prawdziwego zdarzenia, a nie jakaś tam zabaweczka.

Kiri sprawdzała właśnie, czy nóż jest należycie wyważony, gdy Mackenzie usiadł obok niej przy ogniu. Spojrzał z zainteresowaniem na wymierzone w niego ostrze.

- Czy to ostrzeżenie, żebym się zanadto nie zbliżał?

- Być może. - Kiri obróciła w palcach nóż, wpatrując się w refleksy ognia na klindze. - Czemuż miałabym panu ufać?

- Nie jestem jednym z tych, którzy panią pojмали i zakuli w kajdany. Oczy Kiri zwiężyły się.
- To prawda, ale nie wydawał się pan specjalnie przejęty tym, w jaki sposób pańscy „wspólnicy w interesach” obchodzili się ze mną.

Mac uniósł brwi.

- Myśli pani, że dużo by to dało, gdybym wykrzyknął z oburzeniem: „Niecni brutale! Zwróćcie natychmiast wolność tej młodej damie!”

Kiri spuściła wzrok i pomyślała, że jej towarzysz jest doprawdy niepokojąco przystojny.

- Roześmialiby się panu w nos i może nawet zakuliby pana w kajdany tak jak mnie. A gdyby próbował pan mnie oswobodzić, natychmiast powstrzymaliby pana od tego.

- No właśnie. Trzeba wiedzieć, jak się do kogo zabrać - podsumował. -Gdyby nie Howard, może udałoby mi się panią wykupić, ale ponieważ on nie chciał z pani zrezygnować, trzeba było zmienić taktykę. Gra w karty o panią wyraźnie ich rozbawiła.

Kiri wzdrygnęła się.

- Sprytne posunięcie, ale równie dobrze mógł pan przegrać. I nawet wtedy, gdy się panu poszczęściło, ten podły Howard zarzucił panu oszustwo.

- Podły to on jest, ale nie głupi - stwierdził Mackenzie z uśmiechem. -Rzeczywiście oszukiwałem.

Kiri aż jęknęła, zaszokowana tym, że tak łatwo przyznał się do równie haniebnego postępuku. •

- Oszukuje pan podczas gry w karty?!

- Jeśli nie ma innej rady, to tak - odparł Mackenzie. - Nie chciała pani przecież, żebym przegrał z Howardem?

Czuła, że oczy jej się robią wielkie jak spodki.

- No, nie, ale jest pan dżentelmenem i takie zachowanie panu nie przystoi.

- Wcale nie jestem dżentelmenem - odparł ze śmiechem. - Prawdę mówiąc, daleko mi nawet do pozorów szacowności. I dzięki temu znacznie wygodniej mi się żyje, niż gdybym był dżentelmenem.

Ponieważ Kiri przez całe życie miała do czynienia z ludźmi honoru, była teraz wprost zafascynowana, spotkawszy kogoś, kto nie tylko wiódł naganne życie, ale nawet je sobie chwalił.

- Jakim cudem Howard nie zauważył, że pańska talia była znaczone?!



- Wcale nie była znaczona. Nowiutka, dokładnie tak, jak mówiłem. Ale miałem i drugą talię, identyczną, tyle że znaczoną. Kiedy już wygrałem i Howard się do mnie przyczepił, wywróciłem kocioł i jedną z latarni, żeby powiększyć zamieszanie. To nam ułatwiło ucieczkę.

Nie zdołała całkiem się powstrzymać od śmiechu.

- A ja się cieszyłam, że pan wygrał, bo wiedziałam, że łatwiej mi będzie wymknąć się panu jednemu niż całej bandzie przemytników! -przyznała otwarcie.

- Do rana sztorm powinien minąć, a wtedy objaśnię pani dokładnie, jak najprędzej dotrzeć do Dover. I uwolni się pani ode mnie na dobre. -Z jednej ze swych niezliczonych kieszeni wyciągnęła niewielką flaszkę. -Niech się pani napije: to powinno panią rozgrzać.

Flaszka była jeszcze ciepła od stałego kontaktu z ciałem Mackenziego. Kiri ostrożnie pociągnęła łyk i odkryła, że buteleczka zawiera potężnie działający, acz zwodniczo łagodny w smaku francuski koniak.

- Widzę, że trunki z przemytu są naprawdę wyborne!

- Nie podaję moim klientom niczego, co nie byłoby pierwszej jakości. - Sięgnął do kolejnej wewnętrznej kieszeni i wydobył nieregularny pakunek, owinięty w serwetkę. - Jeśli dokuczają pani głód... proszę, oto ser naprawdę wart tego, by zatopić w nim nóż.

Tym razem Kiri nawet nie próbowała powstrzymać się od uśmiechu.

- Wyczarował już pan z tych kieszeni pieniądze, karty, koniak - a teraz jedzenie! Ile właściwie jest skrytek w pańskim płaszczu?

- Sporo. - Wyjął jeszcze dwie bułki, a potem wynalazł w stosie drewna dwa cienkie patyki i zaostrzył ich końce. - Mam zamiar przysmażyć swój ser nad ogniem. A pani?

Gorący posiłek!

Kiri uświadomiła sobie, że umiera z głodu. Pokroiła ser na zgrabne kawałki i połowę oddała Macowi.

- A teraz pokroję bułki, żebyśmy mieli także grzanki.

- Znakomity pomysł! - Wręczył Kiri bułkę do pokrojenia. - Piękny nóż. Nie zdążyła go pani wydobyć, zanim ją pojмали?

- Jeszcze nie miałam wtedy tego noża. - Położyła go na dłoni, by Mac mógł lepiej obejrzeć zdobyczne чудо. - Odebrałam go przemytnikowi, który chciał mnie nim dźgnąć, gdy próbowałam uciec.

Mackenzie zrobił przerażoną minę.

- Nie wiem, co z dwojga złego byłoby gorsze: lękać się, że w każdej chwili mogą panią zranić, czy wiedzieć, że pani może w każdej chwili zadźgać mnie. Na samą myśl o rozlewie krwi robi mi się słabo.

Roześmiała się.

- W tej chwili bardzo się cieszę, że pana nie dźgnęłam!

Połowa jej bułki pięknie się przyrumieniła, Kiri zdjęła ją więc ze szpikulca i nadziała nań kawałek sera. Kiedy kremowa bryłka cheddara zaczęła się topić, pachnąc smakowicie, Kiri rozsmarowała ją na grzance i zatopiła w niej zęby.

Pikantny smak topionego sera i chrupkiej przyrumienionej grzanki złożyły się na istne arcydzieło kulinarne. Kiri aż westchnęła z rozkoszy.

- To po prostu ambrozja!

Mac ugryzł kawał swojej grzanki z serem i również pełen był zachwyty.

- Istotnie, pokarm godny bogów. Nic tak nie dodaje smaku najprostszym potrawom jak zimno, plucha i głód... nie mówiąc już o strachu o własne życie.

- Jestem niesłychanie szczęśliwa, że nie zadźgałam pana tym nożem -oświadczyła Kiri. - Gdybym to zrobiła, nie miałabym teraz jedzenia, picia ani dachu nad głową.

- Czasem i ja mogę się na coś przydać. - Wziął się do opiekania drugiej bułki. - Ale proszę powiedzieć, jakim sposobem taka zaradna młoda dama jak pani wpadła w łapy przemytników?

Kiri westchnęła, przypomniawszy sobie, co sprawiło, że znalazła się w niewłaściwym miejscu.o niewłaściwej porze.

- Byłam z wizytą u znajomych na wsi i przypadkiem usłyszałam coś, co mnie... niezwykle rozdrażniło. Bezwłocznie wyjechałam do Dover w nadziei, że złapię tam dylizans, którym wrócę do domu. Po drodze natknęłam się jednak na przemytników powracających z trefnym towarem, a oni zlekli się, że wydam ich w ręce stróżów prawa. Gdyby droga była szersza, zawróciłabym Herszta i ucieklibyśmy im, ale była strasznie wąska. Spętali mnie siecią na ptaki, zanim się spostrzegłam.

- A to pech! - stwierdził Mac ze współczuciem. - Wypożyczyła pani konia, żeby dojechać do Dover?

- Ktoś bardzo surowych zasad powiedziałby pewnie, że go ukradłam - przyznała. - Ale byłam taka wściekła!

Gdybym tam dłużej została, mogłabym wyrządzić komuś krzywdę, słowo daję! Wobec tego zabrałam Herszta.

Odeślę go, jak tylko dotrę do Dover.

- Wcale nie wątpię, że mogłaby pani wyrządzić komuś krzywdę - oświadczył z leniwym, pełnym podziwu uśmiechem, który wywoływał w brzuchu Kiri dziwne doznania. - Ale gdyby nie podsłuchiwała pani tamtej rozmowy, nigdy byśmy się nie spotkali. Jestem zatwardziałym egoistą, więc cieszę się, że tak czy owak nasze drogi się skrzyżowały.

- Ja też się cieszę. Nie zdołałabym przecież uciec bez pańskiej pomocy.

- Jakim cudem udało się pani ściągnąć kajdanki? Czy były aż tak przeżarte rdzą, że pękły?

- Rzeczywiście, były zardzewiałe... - Kiri uniosła prawą rękę i brylanty zapłonęły w blasku ognia. - Ale użyłam też tych kamieni z pierścionka. Piłowałam nimi żelazo tak długo, że w końcu pękło.

- Jest pani zdumiewającą kobietą! - stwierdził, pełen podziwu. Kiri spuściła oczy, nagle onieśmielona.

- Dopilnuję, żeby zwrócono panu tych pięćdziesiąt gwinei, jak tylko wrócę do Londynu.

Usta Maca wygięły się w uśmiechu.

- Prawdę mówiąc, wolałbym inną nagrodę.

Ręka Kiri zacisnęła się na nożu. Jeśli ten typ wyobraża sobie, że ona pójdzie z nim do łóżka!

- Wcale nie to miałem na myśli, moja wojownicza panno! - Mac uśmiechnął się szeroko. - Ale z prawdziwą przyjemnością skradłbym pani całusa.

## 5

Carrie Ford nie zareagowała na tę propozycję ani dziewiczym oburzeniem, ani pełną aprobatą doświadczonej, zmysłowej kobiety. Zamiast tego oczy jej zmrużyły się jak u kota. Zmierzyła wzrokiem Mackenziego niczym intrygujący artefakt niewiadomego pochodzenia.

- Całusa? To by mogło być interesujące... - Wbiła nóż jak najgłębiej w siano. - Ale tylko jednego!

- W takim razie muszę się postarać, żeby to było, doprawdy, niezapomniane przeżycie.

Przysunął się do niej i siedzieli teraz obok siebie, tak blisko, że ich uda się stykały.

Dotknął dłonią jej policzka.

- Pani oczy mają niezwykle odcień zieleni - powiedział cicho, dodając w myśli, że nie tylko kolor oczu, ale wszystko było w niej niezwykle. - Są jak najdoskonalsze szmaragdy.

Brwi Kiri uniosły się ze zdumienia.

- A pan ma oczy nie do pary. Jedno piwne, drugie szaroniebieskie. Jakie to dziwne.

- Mówiono mi nieraz, że takie oczy pasują w sam raz do takiego jak ja dziwadła - odparł, myśląc przy tym, że to prawdziwa rozkosz przyglądać się Carrie z tak bliska.

Gdy ujrzał ją po raz pierwszy, miała zakneblowane usta i pękała wprost ze złości; teraz jednak, kiedy się odprężyła, była uderzająco piękna. Jej lśniące ciemne włosy rozwichrzyły się i opadały swobodnie na ramiona burzą loków.

Mac odgarnął je do tyłu i znów poczuł wyraźnie zapach jej perfum

- Bez i jakieś zamorskie korzenie - orzekł. - Zapach bardzo kobiecy, acz dość pikantny.

- Zna się pan na perfumach.

Łatwiej poznać tajniki perfum niż kobiet... Przede wszystkim jednak pragnął zgłębić tajemnice tej kobiety, w której delikatnych rysach było coś egzotycznego. Musnął leciutko palcami jej szyję. Ta cudowna karnacja o ciepłej barwie śmietanki z Devonshire nie przypominała bieli rozwodnionego mleka, jaką lansowała najnowsza moda.

- Wygląda pani nad wyraz apetycznie...

- Widać zjadł pan zbyt mało chleba z serem.

Powiedziała to z miną niewiniątka, ale jej zielone oczy skrzyły się wesołością.

Dotknął leciutko wargami jej warg, zamierzając potraktować je z najwyższą delikatnością. Pochyliła się ku niemu, istne uosobienie niewinnej ciekawości. A potem jej usta rozchyliły się... i nagle buchnął płomień. Mac miał wrażenie, że poraził go prąd elektryczny o wielkiej mocy.

Gwałtownie przycisnął dziewczynę do siebie, aż piersi jej przywarły do jego torsu. Objęła go rękoma w pasie, czuł przez ubranie jej ostre jak u tygrysa pazurki.

- Boże wielki, Carrie! - wykrztusił ochryplym szeptem, ugniatając dłońmi mięśnie jej pleców. - Jesteś jeszcze bardziej zdumiewająca, niż sądziłem!

Z trudem zaczerpnęła tchu, jej wargi rozchyliły się zapraszająco... Nie oparłby się nawet święty.

- Stanowczo lepiej się do tego nadajesz niż Howard.

- No, myślę!

Pocałował ją znowu, ona zaś nie wytknęła mu, że dostał już przecie obiecane całusa. Puls Maca całkiem się rozszalał. Z jej tętnem było podobnie. A jeszcze ta woń bzu, korzeni i świeży, słodki zapach zgniecionego ich ciężarem siana...

Mac uświadomił sobie nagle, że oboje leżą bokiem na sianie. Jego kolano wcisnęło się między kolana Carrie, a jego ręka spoczęła na jej piersi. Ich biodra poruszały się w zgodnym rytmie, jakby starały się zedrzeć rozdzielającą ich tkaninę, która nie pozwala im zespolic się całkowicie.

- To nierozsądne... - szepnęła Carrie, a w jej głosie było tyleż namiętności, co wątpliwości.

- Masz całkowitą rację. - Nie mógł się jednak pohamować. W nadziei, że dziewczyna okaże więcej rozsądku od niego, wykrztusił chrapliwie: -Każ mi przestać, Carrie! Albo uderz mnie... Nie za mocno, ale tak, żeby mi rozum wrócił!

- Naprawdę nazywam się Kiri, nie Carrie - wyznała ze śmiechem. -Nie chciałam, żeby przemytnicy dowiedzieli się, kim jestem.

- Nieważne - odparł z roztargnieniem. - Jesteś piękna, jakkolwiek byś się nazywała.

Chwileczkę... Kiri?

Tylko raz słyszał to imię. Zabrakło mu tchu. Puścił ją nagle, jakby miał w ręku płonący węgiel.

- O Boże... Kiri! Lady Kiri Lawford. Siostra Ashtona!

A niech to wszyscy diabli! Powinien był domyślić się tego, gdy tylko zobaczył te zielone oczy. Kiri i jej brat byli do siebie uderzająco podobni.

- Znasz mojego brata? - spytała zadowolona i znów przyciągnęła do siebie Maca. Na kilka sekund, oszołomiony, całkiem zapomniał, dlaczego nie wolno mu już jej całować. Dopiero gdy poczuł na karku ostre pazurki, wrócił do przytomności.

Wyteżając całą swą wolę, przetoczył się na plecy i wpatrzony w belki stropowe usiłował zaczerpnąć tchu.

- Gdybym cię znowu tknął, wpakuj mi ten swój nóż w serce! Lepsza taka szybka śmierć od czekania, kiedy Ashton rozedrze mnie na strzępy.

Uniosła się na łokciu i spojrzała na Maca ze zdumieniem.

- Co ty wygadujesz, na litość boską?! Adam to najlepszy i najłagodniejszy z braci!

- Ale i najbardziej niebezpieczny człowiek w Anglii, jeśli poweźmie do kogoś urazę - stwierdził posepnie Mac. - A z pewnością uznałby to za zniewagę, gdyby się dowiedział, że omal nie uwiodłem jego siostry podczas igraszek na sianie.

- Adam istotnie jest mistrzem walki wręcz - przyznała. - Ale pierwsze słyszę, że tak łatwo się obraża. A to, co między nami zaszło, nie było żadnym uwodzeniem, tylko wspaniałym całowaniem. Czyż nie mieliśmy prawa uczcić w ten sposób naszego ocalenia?

- Nie mieliśmy! - Mac siadł prosto na sianie i pomyślał, że Kiri jest bardziej naiwna niż przypuszczał, jeśli nie zdawała sobie sprawy, jak wielką pokusę stanowią dla siebie nawzajem i jak mało brakowało, by jej ulegli. Jeszcze kilka minut i całkiem by się wyzbyli rozsądku. - Musimy natychmiast stąd wyjechać! Deszcz niemal już ustał.

Kiri popatrzyła na niego tak, jakby nagle postradał zmysły.

- Jesteście wrogami, ty i mój brat?

- Nic podobnego! Ale to jeszcze nie znaczy, że przyglądałby się obojętnie, jak cię całuję. - Albo pozwalam sobie na znacznie większe poufałości niż całowanie, dodał w myśli. - Znam Ashtona jeszcze ze szkolnych lat. Był, zdaje się, dwie klasy wyżej ode mnie.

- A więc studiowałaś w Westerfield Academy! Uczelni dla młodzieńców odznaczających się dobrym pochodzeniem i fatalnym zachowaniem! - zauważyła z humorem. - Z pewnością jesteś więc dżentelmenem. I to prawdziwym, a nie takim jak podlec, za którego omal nie wyszłam za mąż. Nie widzę zatem żadnego problemu.

Pochwycił jej spojrzenie i usiłował wzrokiem przekonać Kiri, że mówi całkiem poważnie.

- Większość absolwentów naszej Akademii to prawdziwi dżentelmeni. Niektórzy z nich mają nawet hrabiowskie czy książęce tytuły, jak choćby Ashton. Ale nie ja - nieślubny syn aktorki, a w dodatku karnie wydalony z wojska oficer. Na domiar złego jestem jeszcze właścicielem klubu łączącego w sobie zalety wykwintnej restauracji i domu gry.

Twój ojczym,

generał Stillwell, ujrawszy takiego kawalera u twego boku, chwyciłby za szpicrutę!

Podniósł się z ziemi i wyciągnął rękę do Kiri, by pomóc jej wstać.

- Jeśli wyjedziemy stąd od razu, powinniśmy dotrzeć mniej więcej za godzinę do Westerfield Academy.

- Zauważyłam, że w twojej postawie i ruchach jest coś z żołnierza - rozważała Kiri, marszcząc brwi. - To prawda, że generał nie byłby zachwycony, jeśli zostałeś karnie usunięty z wojska. Jak do tego doszło?

- To skomplikowana sprawa.

Była nie tylko skomplikowana, ale zbyt drastyczna, by opowiadać o niej młodej panie, która - choć z natury pełna ognia i odwagi - chowana była pod kloszem.

Strzepnęła źdźbła siana ze spódnicy.

- Musimy koniecznie jechać do lady Agnes?

- To niezbędne ze względu na twoją reputację. Jesteś damą wysokiego rodu, lady Kiri, i zawsze może się zjawić ktoś, kto z radością obrzuci cię błotem.

- Dlatego że nie jestem czystej krwi Angielką? - spytała bez ogródek.

- Tak - odparł równie szczerze. - Zawsze będziesz musiała pilnować się bardziej niż inne kobiety. Nie brak ludzi, którzy krzywo patrzą na każdego, kto różni się czymś od otoczenia.

Mackenzie co prawda nie pojmował, jak można uprzedzić się z góry do istoty tak pięknej i niezwykłej jak Kiri Lawford, znał jednak świat wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że Kiri jest wymarzonym celem napaści dla ludzi zawistnych i ograniczonych.

Kiri skrzywiła się.

- Zdążyłam już to zauważyć.

Mac zastanawiał się, co taką rozgoryczyło.

- Przy odrobinie szczęścia opinia publiczna nigdy nie dowie się o tym, że zostałam porwana. Ale - na wszelki wypadek - lepiej będzie, jeśli spędzisz resztę nocy pod skrzydłami lady Agnes, której nikt nie ośmieliłby się niczego zarzucić.

- Przecież taka reformatorka jak ona musi mieć w sobie ducha buntu - argumentowała Kiri. - Skąd więc to przeświadczenie, że tylko ona może ocalić moją nadwątloną reputację?

- Lady Agnes jest córką i siostrą księcia, i wszyscy ją poważają, toteż, choć ma opinię czarującej ekscentryczki, nikt nie ośmieliłby się nazwać jej

buntowniczką. - Mac narzucił płaszcz na ramiona Kiri. Bez, egzotyczne korzenie i woń kobiecości... Odetchnął głęboko i ciągnął dalej: - A więc noc spędzona pod jej dachem ocali cię od ewentualnych przykrych konsekwencji.

- To dlaczego od razu nie zabrałeś mnie do Westerfield Academy?

- Bo zmusiłoby to nas do dłuższej o godzinę jazdy po nocy i podczas ulewy. Poza tym sądziłem, że im mniej osób widziało nas razem, tym lepiej. Jednak teraz wiem już, kim jesteś, a to całkiem zmienia sprawę. - Wskazał ręką na uchylone wrota stodoły. - Deszcz ustał, więc ta dodatkowa godzinka na końskim grzbiecie nie będzie już taką udręką.

Kiri naciągnęła kaptur na swe ciemne włosy.

- Pomyślałam, że wyglądasz dziwnie znajomo, gdy ujrzałam cię po raz pierwszy w jaskini... Może spotkaliśmy się przelotnie w domu mojego brata?

Mac pokręcił głową.

- Nie należę do tak zwanego eleganckiego towarzystwa. Ale być może zetknęłaś się z lordem Mastersonem? To mój przyrodni brat. Jesteśmy do siebie bardzo podobni.

- Ależ oczywiście! Will Masterson, uroczy człowiek. - Zmierzyła Maca bystrym spojrzeniem. - Za to charakterem bardzo się różnicie.

Mac uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Pewnie to miała być zniewaga, ale trafiłaś w sedno. Will to uosobienie trzeźwości, odpowiedzialności i honoru. Jest moim absolutnym przeciwieństwem.

- Obaj macie dobre serce - powiedziała miękko.

- Will z całą pewnością. - Mac zignorował komplement pod własnym adresem, który wprowadził go w zakłopotanie. -

Gdyby nie jego wielkie serce, Bóg raczy wiedzieć, gdzie bym skończył. Najpewniej w więzieniu Newgate.

- Za oszustwa karciane?

- O, jest znacznie więcej sposobów, żeby wylądować w Newgate! - Mac wyprowadził Herszta z boksu i zaczął go siodłać. - Po śmierci matki trafiłbym do przytułku dla ubogich, gdyby jej pokojówka nie odesłała mnie do domu mojego ojca. Will od razu się do mnie przywiązał, więc nie było już mowy o odesłaniu mnie gdzie indziej. A że syn i spadkobierca lorda Mastersona powinien zdobyć jak najlepsze wykształcenie, a nasz ojciec nie miał ochoty posyłać swego bękarta do Eton, wylądowaliśmy obaj z Willem u lady Agnes.



Kiri sprawdziła swoje siodło i popręg.

- Z tego, co słyszałam o lady Agnes od innych „zagubionych lordów”, było to chyba najlepsze, co mogło się wam przytrafić?

- Bez wątplenia. Kiri skrzywiła się.

- No cóż, zwykła uczciwość każe mi przytaknąć, ale nie palę się do wizyty u niej.

Uśmiechnął się szeroko.

- Pociesz się myślą, że wyśpisz się w porządnym łóżku, a nawet będziesz mogła wziąć gorącą kąpiel.

Gdy siodłał Cezara, Kiri poprosiła:

- Opowiedz mi o tym swoim klubie.

Mac zawahał się. Jednakże teraz, gdy Kiri знаła jego nazwisko, mogła bez trudu dowiedzieć się o nim wszystkiego, skoro tylko wróci do Londynu.

- Nazywa się Klub Damiana... i mam nadzieję, że nigdy o nim nie słyszałaś. To nie jest odpowiednie miejsce dla młodej damy.

- Oczywiście że o nim słyszałam! - wykrzyknęła. - Ten klub jest bardzo modny. Jak możesz narzekać na złą opinię, jeśli księżę regent należy do stałych bywalców twojego klubu?

- Księżę regent nie jest, doprawdy, wzorem cnoty. - Mac otworzył szeroko wrota. Noc była chłodna i wietrzna. Księżyc w pierwszej kwadrze płynął wysoko po niebie, rzucając srebrną poświatę na pola. Mac wrócił do stodoły, by starannie zgasić ogień. - A poza tym, właściciel klubu stoi na drabinie społecznej zaledwie o jeden szczebel wyżej od lokaja. Podsumujmy więc: nie tylko jestem nieślubnym synem i usuniętym z armii oficerem, ale w dodatku kimś, kto para się czymś tak haniebnym jak zbijanie pieniędzy.

- Powiadają, że Klub Damiana może się poszczycić najlepszym szefem kuchni w całym Londynie. I że dżentelmeni mogą do tego klubu zapraszać damy na obiad - odezwała się znów Kiri, skoro tylko wyprowadzili oba konie ze stodoły.

- Mój szef kuchni jest rzeczywiście niezrównany, ale co się tyczy dam, to wkraczają w moje progi jedynie te z mocno zaszarganą reputacją - odparł powściągliwie. - Albo takie, które w ogóle nie są damami.

- Bale maskowe w twoim klubie też się cieszą zasłużoną sławą. Wsparła się stopą na jego splecionych dłoniach - i już siedziała w siodle.

Na chwilę rozum odmówił mu posłuszeństwa i Mac był w stanie myśleć tylko o zapachu bzów, korzeni i kobiety. Ta cholerna piękność była naprawdę niebezpieczna!

- Raczej niesławą - zdobył się na odpowiedź, gdy w głowie nieco mu się rozjaśniło.

Zmierzyła go spojrzeniem pełnym zadumy.

- Teraz już rozumiem, dlaczego są ci tak potrzebne najlepsze trunki z przemytu. A skąd się wzięła nazwa twojego klubu?

- To proste: mam na imię Damian. Zamknął wrota stodoły i dosiadł Cezara. Kiri zachichotała.

- To prawda, że nie pasowałyby do ciebie tak powszechnie używane imię jak George czy Robert... Ale Damian?!

- Nie zapominaj, że moja matka była aktorką. Miała słabość do osobliwych imion.

Puścił konia truchtem, kierując się w stronę Westerfield Academy. Powinien trzymać się jak najdalej od niepokojąco uroczej lady Kiri Lawford!

## 6

*Kiri* - nie wierząc własnym oczom - przyglądała się, jak Mackenzie rzuca kamykami w podwójne okno na piętrze Westerfield Manor.

- Więc to tak zawiadamiasz o swoim przybyciu lady Agnes, najdostojniejszą, najbardziej godną szacunku damę, która ma ocalić moją reputację?

- Nie zapominaj, że lady Agnes jest nie tylko wielką damą, ale i ekscentryczką, a także nauczycielką. Nie ja jeden ośmielam się w ten sposób zakłócać jej sen. - Rzucił w okno kolejnym kamykiem. - W takiej sytuacji jak ta lepiej nie budzić całego domu.

Już sięgał po następny kamyk, gdy okno nad nimi otwarło się i ściszony, ale wyraźny głos zapytał:

- Który to z moich młodych nicponi dobija się tak po nocy?

- To ja, Damian Mackenzie, lady Agnes. - On również zniżył głos, by nie obudzić śpiących. - Jest tu ze mną pewna młoda dama. Musimy ocalić jej reputację!

Po głosie przełożonej można było poznać, że jest nie tyle zaszokowana, co ubawiona:

- Jeśli zadaje się z tobą, mój panie, jej reputacja już jest w strzępach!... No dobrze, spotkamy się przy bocznych drzwiach.

- Tędy!

Gdy okno się zamknęło, Mackenzie chwycił Kiri za rękę i pociągnął w stronę niewielkich drzwi na tyłach skrzydła budynku.

Kiri zastanawiała się, czy Mac trzymają za rękę, gdyż domyśla się, że jest do cna wyczerpana i lada chwila może się przewrócić? W wielkiej stajni, gdzie pozostawili swoje wierzchowce, Kiri miała ogromną ochotę zwinąć się w kłębek i zasnąć na sianie pod końską derką.

Mac słusznie postąpił, nie namawiając jej wcześniej na wyprawę do Westerfield Manor. Była to długa i męcząca droga, nawet przy stosunkowo dobrej pogodzie. Podczas ulewnego deszczu chyba nie zniosłaby takiej katorgi.

Drzwi się otwały. Stała w nich lady Agnes z lampą w rękę. Była równie wysoka jak Kiri, miała na sobie szkarłatny szlafrok, sięgający ziemi; z ramienia zwisał jej gruby warkocz. Gdy tylko nocni goście przestąpili próg, przełożona wykrzyknęła:

- Toż to lady Kiri! Jakim sposobem zadała się pani z tym utrapieńcem?!

W pierwszej chwili Kiri odebrało mowę. Potem ogarnęły ją wątpliwości, jak dalece może być szczerą w rozmowie z przełożoną. Aczkolwiek zostały sobie oficjalnie przedstawione w Ashton House, w gruncie rzeczy prawie nie znała tej kobiety.

Jednakże Adam darzył lady Agnes absolutnym zaufaniem. Kiri postanowiła więc pójść za przykładem brata.

- Zostałam porwana przez bandę przemytników, a pan Mackenzie pomógł mi w ucieczce. I uznał, że - przez wzgląd na przyzwoitość - najlepiej będzie przyjechać tutaj.

Lady Agnes wybuchnęła śmiechem.

- Ty dbasz o przyzwoitość, Mac? Coś podobnego! Uważaj, bo jeszcze stracisz swą solidnie ugruntowaną fatalną opinię!... Ale nie stójmy w drzwiach. Co wolicie: zaprowadzić was najpierw do kuchni, żebyście mogli coś przekąsić, czy prosto do łóżka?

- Wolałabym od razu iść do łóżka. Tylko... czy mogłabym się przedtem trochę umyć?

- Widzę, że nieźle się ubłociliście! - potwierdziła przełożona. - A co z tobą, Mac?

- Ja bym chętnie coś przegryzł, lady Agnes.

- W takim razie marsz do kuchni! Spotkamy się tam, jak tylko zaprowadzę lady Kiri do jej pokoju.

Przełożona zapaliła świecę i podała ją Mackenziemu, a potem dała znak Kiri, żeby szła za nią.

Wchodząc po schodach na górę, Kiri zauważyła:

- To zdumiewające: traktuje pani nasze wtargnięcie tutaj jako coś zupełnie normalnego. Czy takie niespodziane odwiedziny często się tu zdarzają?

- Owszem, wszelkie niespodzianki są tu na porządku dziennym. - Starsza dama roześmiała się. - Jako przybrana matka wielu już roczników nieujarzmionych chłopaczysków, których rozpiera energia, stałam się odporna na wszelkie wstrząsy.

Kiri chętnie dowiedziałaby się czegoś więcej o chłopięcych wyczynach Maca, ale była zbyt zmęczona, by wypytywać o to lady Agnes; jej szczerze przywiązanie do dawnego wychowanka nie ulegało wątpliwości.

- Ponieważ Westerfield Manor znajduje się tuż przy drodze do Dover, mam zazwyczaj przygotowany co najmniej jeden lub dwa pokoje gościnne - ot tak, na wszelki wypadek. Chwileczkę, wezmę dzbanek z wodą z mego pokoju. Z dzbankiem w ręku zaprowadziła gościa do innej sypialni, przyjemnie, choć skromnie urządzonej. Gdyby Kiri nie była aż tak ubłocona, natychmiast padłaby na łóżko, jak stała.

Lady Agnes postawiła dzbanek na umywalce i podpaliła drwa, ułożone już na kominku.

- Na gorącą wodę trzeba by dość długo czekać, lady Kiri. Chyba więc na razie wystarczy zimna?

- Tak, w zupełności. - Kiri westchnęła. - Pomyśleć tylko, że ten dzień zaczął się tak spokojnie... Nie miałam pojęcia, co mi przyniesie.

- Kiedyś opowie pani o tym wnuczętom, a one pomyślą, że to była wspaniała przygoda. Ale musi minąć trochę czasu, zanim spojrzy pani na całą sprawę w ten sposób. - Uśmiechnęła się. - W szafie znajdzie pani nocną koszulę i szlafrok. Dobrej nocy, lady Kiri. Jutro przekona się pani, że świat jest znów normalny.

Przełożona wyszła, zamykając za sobą drzwi. Półprzytomna Kiri rozebrała się i rozwiesiła wilgotny płaszcz, pożyczony od Mackenziego i swoją ubłoconą spódnicę na oparciu stojących koło kominka foteli. Przy odrobinie szczęścia ubranie powinno wyschnąć przez noc. Tylko że potem warto by porządnie oczyścić i płaszcz, i spódnicę z zeschniętego błota, żeby wyglądały jako tako...

Umyła się pospiesznie i włożyła nocną koszulę. Była trochę za krótka, ale cóż to szkodzi? Na koniec wgramoliła się do łóżka i nakryła kołdrą po uszy. Materac wydawał się jej najwygodniejszy ze wszystkich, na jakich w życiu leżała... Pewnie dlatego, że całe jej obolałe ciało marzyło o wypoczynku.

A jednak, mimo ogromnego zmęczenia, myśli nadal kotłowały się w jej głowie. Kiri nie raz i nie dwa wymieniała pocałunki z najprzystojniejszymi ze swych wielbicieli. Na przykład całowanie się z Godfreyem sprawiało jej dużo przyjemności. I właśnie to był jeden z powodów, dla których zastanawiała się, czy nie wyjść za niego.

Jednakże ów „bynajmniej nie szacowny” Damian Mackenzie reprezentował, jeśli chodzi o całowanie, poziom o całe niebo wyższy niż Godfrey i reszta jej adoratorów. Nawet teraz na wspomnienie jego uścisków czuła pożar we krwi. Czy działo się tak dlatego, że był bardziej doświadczony w takich sprawach? Ze - jako człowiek światowy - z pewnością miał wiele kochanek, i to nie byle jakich?

A może połączyła ich jakaś niezwykle istotna, całkiem nieoczekiwana więź? Coś takiego, jak zadziwiająco trafne połączenie dwóch aromatów, na przykład olejku różanego z żywicą olibanową? Ich kompozycja jest czymś znacznie wspanialszym od walorów każdej z tych woni z osobna. Wziąwszy pod uwagę, jak zauroczony wydawał się Mackenzie po ich pocałunkowym szaleństwie, Kiri skłonna była przypuszczać, że istotnie zaszło coś niezwykłego. Jedynym sposobem upewnienia się o tym mogły być tylko dalsze pocałunki. To zaś nie wydawało się łatwe do zrealizowania, gdyż jutro rano każde z nich uda się w swoją stronę.

Jeśli zatem należało coś uczynić, to - bez wątpienia -jeszcze tej nocy!

Mac rozprawił się już z połową leżących na talerzu plastrów szynki, gdy do kuchni weszła lady Agnes. Chciał wstać, ale powstrzymała go ruchem ręki.

- Nie przeszkadzaj sobie w tej spóźnionej kolacji. Wyglądasz, jakbyś musiał czym prędzej pokrzepić nadwątlone siły. - Usiadła na krześle na wprost Maca, po przeciwnej stronie sosnowego, wyszorowanego do białości stołu. - Sądząc z dwóch kieliszków, napełnionych tym wyśmienitym czerwonym winem, w które nas hojnie zaopatrujesz, zakładam, że chcesz, byśmy napili się go wspólnie?
- Spozrzegawcza jak zawsze. Brawo, lady A.! - Podał jej kieliszek. -Zaopatrywanie Westerfield Manor w trunki to doprawdy skromny wyraz wdzięczności za dobrodziejstwo, jakim jest dla mnie możliwość korzystania z bezpiecznego schronienia pod tym dachem.
- Przełożona sączyła czerwone wino z wyraźnym upodobaniem.
- Czy dzisiejsza awantura nie popsuje twoich przyjacielskich stosunków z przemytnikami?
- Nie sędzę. Jestem dla nich zbyt cennym klientem. Kiedy się wyśpią i wypocą z siebie nadmiar trunku, naprawdę zły na mnie będzie tylko jeden paskudny typ, który miał wielką ochotę zgwałcić, a następnie zabić lady Kiri.
- Lady Agnes wzdrygnęła się na samą myśl o tym.
- Często zjawiałeś się tu niespodziewanie, ale nigdy dotąd w towarzystwie damy potrzebującej pomocy. I to w dodatku siostry Ashtona!
- Nie miałem z początku pojęcia, kim onajest, ale z pewnością potrzebna jej była pomoc. - Przypomniał sobie, jak przepiłowała kajdanki i jak dzielnie przebijała się przez tłum walczących, by wydostać się z jaskini. - Choć może i sama zdołałaby stamtąd uciec. Jest zdumiewająca! I nieustraszona.
- Nic dziwnego, przecież to siostra Ashtona, z dodatku niezwykle do niego podobna. I równie dobrze jak on opanowała kalaripayattu, sztukę walki. - Lady Agnes wzięła z półmiska plasterek sera. - W rodzinie jej matki utrzymywała się od pokoleń tradycja gruntownego zapoznawania z tą sztuką wszystkich synów, a także córek, jeśli były tym zainteresowane.
- A zatem lady Kiri wprowadzał w tajniki kalaripayattu ten sam mistrz, który uczył Ashtona. To wiele wyjaśnia! - Mac uśmiechnął się szeroko. -Lady Kiri omal nie okaleczyła mnie na całe życie, zanim ją przekonałem, że chcę jej pomóc. Kiedy o niej myślę, przypominają mi się starożytne legendy o hinduskich królowych wojowniczkach, które Ashton niekiedy nam opowiadał wieczorową porą.
- Kiri pochodzi w prostej linii od tych wojowniczek - odparła z całą powagą lady Agnes. - Jednym z powodów, dla których jej rodzina prze-

niosła się do Anglii, było pragnienie obojga rodziców, żeby ich córki mogły poślubić Brytyjczyków, ale chyba nie znajdzie się tu wielu mężczyzn, którzy potrafiliby w pełni docenić niezwykle zalety lady Kiri.

Oczywiście piękna młoda kobieta z okazałym posagiem bez trudu znajdzie męża na matrymonialnym targowisku. Była to całkiem logiczna konkluzja, ale Mac - nie wiedzieć czemu - stracił nagle apetyt. Owinął kawał szynki w cienutki muślin i zaniósł z powrotem do spiżarni.

- Chyba się już położę, lady Agnes. Tam gdzie zawsze? Skinęła potakująco głową.

- Postaraj się nie robić hałasu: w sypialni obok śpi lady Kiri. Tylko te dwa pokoje były dziś gotowe na przyjęcie gości.

Trzymając świecę w jednej ręce, drugą objął swą mentorkę i uściskał z całej siły.

- Dzięki za to, że zawsze pani tu jest, lady A. Odwzajemniła się równie serdecznym uściskiem.

- A ja ci dziękuję, Mac, że dbasz o to, by moje życie nie stało się nudne.

- O, w Akademii z pewnością nigdy nie zabraknie pani mocnych wrażeń! - odparł ze śmiechem.

Pozostało w nim akurat tyle energii, że z ogromnym trudem zdołał wejść po schodach i dotrzeć do bezpiecznego schronienia w tym samym co zawsze pokoju. Z racji swojej - nieprzynoszącej chluby - działalności, Mac odwiedzał Westerfield Manor dość regularnie. Zawsze miło mu było spotkać się z lady Agnes, nawet jeśli nie zapatrywała się zbyt entuzjastycznie na jego konszachty z przemysłowcami. Rozumiała jednak, że były niezbędne.

Rozpalił ogień na kominku. Rozebrał się do koszuli i kalesonów, po czym narzucił na nie szary wełniany szlafrok, który wisiał w szafie. W końcu rozsiadł się wygodnie przy ogniu w podniszczonym fotelu z uszakami, wyciągnął nogi jak najdalej i próbował pozbierać myśli.

Zawsze wiódł dość skomplikowane życie na obrzeżach wielkiego świata. Przyjaciele z Westerfield okazali się szczerzy i wierni. Z pewnością powitaliby go serdecznie w swoim świecie i próbowaliby go wciągnąć do towarzystwa. Inni jednak nie okazaliby zapewne tyle tolerancji. Ponieważ Mac wkroczył w życie bez majątku, tytułu, a na dodatek z piętnem bękarta, wołał obracać się w mniej wysublimowanych sferach, gdzie przyjmowano go takim, jakim był.

Nie tęsknił bynajmniej do nudnych rautów czy innych rozrywek, popularnych w eleganckim towarzystwie. Skłamałby jednak, twierdząc, że nie zazdrości swym przyjaciółom, zrodzonym w świętym związku małżeńskim, poczucia bezpieczeństwa i przynależności do otaczającego ich świata. Życie na jego obrzeżu, albo zgoła poza nawiasem, było ciekawe, ale niekiedy męczące.

Pomyślał, że dobrze by mu zrobiło trochę koniaku, wyjął więc swą podręczną flaszkę i wracając z nią na dawne miejsce obok kominka, wpadł na drewniane krzesło, które się przewróciło. Nie był aż tak pijany, żeby nie panować nad swoimi ruchami; uznał więc, że wszystkiemu winne było zmęczenie. A jednak nadal siedział, wpatrzony w migoczące płomienie, zamiast położyć się do łóżka.

Dobrze wiedział, kim i czym jest. Ale było w nim dość ludzkiej słabości, by odczuwać żal z powodu czegoś, co nigdy nie mogło stać się jego udziałem.

## 7

Stłumiony łoskot wyrwał ze snu Kiri; coś upadło w sąsiednim pokoju. Chwilę trwało, nim przypomniała sobie, gdzie się znajduje. Ach tak... ta okropna zniewaga, przywłaszczenie sobie konia, przemytnicy, porwanie, ucieczka... i Damian Mackenzie. Człowiek, którego gotowa była zabić, a on stał się jej opiekunem i sprzymierzeńcem.

Nadal panowała czarna noc. Kiri czuła zresztą, że nie spała długo. Ktoś, zapewne Mackenzie, upuścił coś na ziemię albo wpadł na jakiś mebel, i to ją obudziło.

Mackenzie. Damian. Na samą myśl, że Mac jest w sąsiednim pokoju, że być może się rozbiera, oblała ją fala gorąca. Była normalną kobietą i zawsze podziwiała atrakcyjnych mężczyzn. Ale chociaż uściski i pocałunki sprawiały jej przyjemność, do dziś nie miała pojęcia, jak potężna bywa namiętność. W tej chwili pragnęła wtargnąć do pokoju Maca, zedrzeć z niego ubranie i owinać się wokół niego. Myśl **ta** podniecała ją, ale i budziła niepokój.

Kiri przygryzła wargę. Porządne kobiety nie wyrabiają takich rzeczy -a ona, choć miała w sobie buntowniczą żyłkę, była przecież porządną



dziewczyną. A przynajmniej porządnie ją wychowano. Nie mogła jednak pozwolić, by najbardziej pociągający mężczyzna, jakiego spotkała, odjechał w siną dal, żeby nigdy już nie powrócić!

Mackenzie dał jej do zrozumienia, jasno i wyraźnie, że dzieląca ich przepaść jest nie do przebycia. Kiri mogła się zgodzić na to, że istnieje jakaś przepaść, ale nie do pokonania?! Tego wcale nie była pewna!

Jeśli nad rozdzielającą ich otchłanią dałoby się przetrzucić most, Kiri gotowa była wykonać pierwszy krok. A tej nocy nadarzała się być może jedyna po temu okazja. Chyba więc musi się na to zdecydować, mimo że była taka zmęczona, a to, na co chciała się poważyć, wydawało się tak bardzo niewłaściwe...

Serce Kiri zabiło mocniej z niepokojem. Niełatwo byłoby jej znieść upokorzenie, gdyby Mackenzie tylko się roześmiał w odpowiedzi na jej awanse. Nie, z pewnością Mac nie zachowałby się tak okrutnie - ale mógł w uprzejmy sposób odrzucić jej propozycję. Na pewno stykał się z niezliczoną liczbą pociągających, doświadczonych kobiet. Po cóż miałby zawracać sobie głowę jakąś niedoświadczoną gąską... w dodatku mieszanej krwi?

A jednak oboje zareagowali tak gwałtownie, gdy przyszło do pocałunku! Kiri czuła instynktownie, że tak silne pożądanie było czymś rzadko spotykanym.

Czy łącząca ich namiętność wystarczy? Cóż, zobaczymy! Kiri przypomniała sobie, że wywodzi się z długiej linii królowych wojowniczek. Wstała i zapaliła świecę od ognia na kominku. Dla przyzwoitości otuliła się szlafrokiem. Ze świecą w ręku wyszła ze swego pokoju i zastukała do sąsiednich drzwi. Wstrzymała dech, mając nadzieję, że Mac jeszcze nie śpi.

I równocześnie - prawie tak samo żarliwie - zapragnęła, żeby już spał.

Na jej nieśmiałe stukanie odpowiedział prawie szeptem:

- Proszę wejść!

Kiri zaczerpnęła głęboko powietrza i otworzyła drzwi.

Mackenzie siedział przy ogniu, z nogami wyciągniętymi przed siebie. Na jego twarzy malowało się znużenie. On także miał na sobie szlafrok, trochę za krótki. Sączył właśnie koniak ze srebrnej flaszki. Blask ognia złocił jego mocne rysy. Wydawał się Kiri taki przystojny, że było to aż niepokojące.

Podniósł na nią wzrok - i zakrztusił się koniakiem. Przez chwilę kasłał, ale trwało to krótko. Zmierzył ją groźnym spojrzeniem.

- Powinnaś już spać snem niewiniątka lady Kiri.
- Nie jestem już takim niewiniątkiem, jak ubiegłej nocy. Popatrzył na nią ze skruchą.
- Bardzo mi przykro, że cię pocałowałem. Uniosła dumnie głowę.
- Mnie tam nie jest przykro.
- No cóż... mnie również, jeśli o to chodzi - odparł cierpko. - Ale nie powinienem był tego robić.
- Może i tak. - Nie stałaby tu na bosaka i nogi byjej nie marzły, gdyby nie ten pocałunek. - Ale co się stało, to się nie odstanie. Pan mnie... interesuje, panie Mackenzie. Chciałabym znów się spotkać z panem w Londynie.

Wyraz lekkiego rozbawienia znikł z jego twarzy.

- I ja bym tego pragnął, lady Kiri. Ale nie możemy spotykać się w Londynie.
- Ma pan żonę? - spytała, zbierając wszystkie siły, by jakoś znieść odpowiedź, która nie byłaby po jej myśli.
- Nie, uchwaj Boże! - wykrzyknął i na jego twarzy odmalowało się przerażenie. - Należymy jednak do dwóch odmiennych światów. I tak już musi pozostać.
- Dlaczego?

Zrobiła krok w jego stronę. Była nie tylko córą walecznych królowych, ale i słynnych piękności, niesłychanie kuszących. Nie raz i nie dwa wybuchały wojny o prawo do ręki którejś z jej prapraprababek. Usiłując rozbudzić w sobie zmysłowość swych poprzedniczek, Kiri starała się uwierzyć, że jest równie piękna jak one. I równie godna pożądania.

- O Jezu! - Mac zerwał się z fotela i cofał się przed nią w popłochu, jakby wymachiwała wielkim mieczem. - Nie ułatwiasz mi zadania, lady Kiri, gdy próbuję zachować się jak należy!
- Mów mi po prostu Kiri. - Uśmiechnęła się ze złośliwą radością, widząc, że jej urok działa na niego. Widocznie odziedziczyła jednak to i owo po kusicielskich babkach. - Nie zamierzam ułatwiać ci sprawy. Chcę się tylko dowiedzieć, czy to... ma dla ciebie jakieś znaczenie.

Osaczyła go koło okna i oparła mu lekko ręce na ramionach, unosząc twarz do pocałunku.

- Do wszystkich diabłów!

Zaklął, upuścił flaszkę i z całej siły przyciągnął Kiri do siebie.

Ogień zapłonął znów między nimi, a podsycalo płomienie także i to, że oboje mieli na sobie tylko cienką nocną bieliznę. Kiri wyraźnie wyczuwała kości Maca, jego mięśnie - i coś więcej. Znacznie więcej!

Jego usta były zgłodniałe i nie oszczędzały jej ust. Lęk opuścił Kiri, pozostało tylko pożądanie i coraz większe podniecenie. Nawet sobie nie wyobrażała, że pocałunki mogą być tak intensywne, a jednak czuła, że wszystko jest właśnie tak, jak być powinno. Ich uściski były czymś rzeczywistym, bardziej rzeczywistym od wszystkiego, czego doświadczyła.

Rozum opuścił Maca, gdy tylko Kiri przyłgnęła do niego z taką szokującą poufałością. Była upajająca, pragnął jej tak, jak tonący pragnie ostatniego łyku powietrza. Wdychał zapach jej ciała, gdy pieścił jego rozkoszne okrągłości. Łóżko było zaledwie o kilka kroków...

Nie! Zawsze był dumny ze swego opanowania, ale tym razem musiał wyteńczyć wszystkie siły, by schwycić Kiri za ramiona i odsunąć ją od siebie na odległość wyciągniętej ręki. Chwiała się lekko, wpatrzona w niego ogromnymi, pełnymi żalu, zielonymi oczyma.

- Co było nie tak?

Sam już nie wiedział, śmiać się czy płakać. Puścił ją i odparł:

- Diabeł cię tu przysłał za moje grzechy, żebyś mnie kusiła, lady Kiri. Przygryzła wargę.

- Czemu mam być diabelską pokusą? Stokroć wolałabym być dla ciebie nagrodą. Czyżby twoje grzechy były tak wielkie, nie do wybaczenia?

- Mało kto wybacza bez trudu.

Odsunął się jak najdalej, żeby nie mogła go dotknąć, i rozpamiętywał wszystkie swoje postęпки, których żałował. Grzebiąc tak w swojej przeszłości, wyznał:

- Najlepsze, co mogę o sobie powiedzieć, jest chyba to, że nigdy nie zabiłem nikogo bez powodu. I nie spałem z kobietą, której bym naprawdę nie lubił.

Ciemne brwi Kiri zbiegły się w jedną kreskę.

- To mężczyźni śpiąją z kobietami, których nie lubią? Naprawdę była z gruntu niewinna, mimo swej płomiennej natury.

- Czasami - odparł sucho. - Kobietom też się to niekiedy zdarza. Żądza ma niewiele wspólnego z przyjaźnią czy przywiązaniem.

Kiri zastanowiła się nad tym.

- Myślałam, że pragnienie się zwiększa, jeśli kogoś lubimy.

Starał się nu- patrzeć na jej zgrabne bosc nóżki.

- Bo tak jest. Właśnie dlatego zawsze wybierałem kobiety, które lubilem. Przechyliła głowę na bok i jej ciemne, jedwabiste włosy opadły na ramię.

- Mnie ta siła, która nas do siebie popycha, wydaje się czymś rzadkim i niezwykłym, czymś, czego nie wolno zmarnować, ale nie mam większego doświadczenia. Może się mylę? Czy takie gwałtowne pożądanie to nic szczególnego?

- To naprawdę jest coś niezwykłego - odparł, bo czuł, że teraz powinien mówić szczerą prawdę. - Ale namiętność to ból, a nie rozkosz, jeśli nie można jej uszanować... oddać jej czci, jak należy. Boleję nad tym, że tak właśnie jest tym razem. - Istotnie, cierpiał z tego powodu. - Nasze wzajemne oczarowanie mogłoby trwać tylko przez chwilę.

Zmysłowe usta Kiri zacisnęły się.

- Nie jestem wcale pewna, czy nie mogłoby nas połączyć nic więcej!

- Największą wadą namiętności jest to, że odbiera rozum - odparł ostro. - Wchodzą w grę tylko dwie możliwości, lady Kiri. Chcesz mieć romans? Dobrze urodzona panna, która by sobie pozwoliła na coś takiego, zrujnowałaby wszystkie swoje życiowe szanse. A gdybym ruszył w konkury? Cała twoja rodzina, jak jeden mąż, wyrzuciłaby mnie za drzwi, i postąpiłaby słusznie.

- Wcale nie dostrzegam tej niezgłębionej przepaści między nami. - Zmarszczyła brwi. - Wiem, że należysz do ludzi pracujących, ale nie zbierasz przecież starych szmat ani nie handlujesz rybami na targowisku! Twój ojciec był parem Anglii, chodziłeś do tej samej szkoły co mój brat, wyglądasz i mówisz jak dżentelmen. Czemu nie możemy spotykać się w towarzystwie i tańczyć ze sobą na balu? Albo jeździć razem konno po parku?

Mac pokręcił głową.

- Właśnie przez wzgląd na twego brata, to się musi skończyć jeszcze dziś. Zbyt go szanuję, by zranić jego lub ciebie. Nie mówiąc już o tym, że Ashton uratował mi kiedyś życie, gdy pewien podlec z arystokracji próbował przy pomocy swoich kompanów zatłuc mnie na śmierć. - Mac pochwycił spojrzenie Kiri. Czuł, że musi ją przekonać, iż to on ma słuszość. - Zdolność do odczuwania tak płomiennych uczuć to wielki dar, lady Kiri. Ale to, co czujesz teraz do mnie, kiedyś w przyszłości poczujesz do kogoś innego' kto nie przyniesie ci wstydu jako mąż ani kochanek. Zaczekaj na niego.

- Czy nie możemy być choćby przyjaciółmi? - spytała cicho.

Jeśli potrafiła ranić sztyletem równie celnie jak słowami, każdy jej przeciwnik z pewnością padał trupem. Kiedy Mac był już pewny, że głos go nie zawiedzie, odparł:

- Bardzo bym chciał, żeby to było możliwe. Ale biorąc pod uwagę siłę, z jaką się wzajemnie przyciągamy. Nie, lady Kiri, nie możemy zostać przyjaciółmi. Nikt by nie uwierzył, że nic więcej nas nie łączy. I mieliby rację, gdyż nie byłbym w stanie upilnować własnych rąk.

Jego słowa sprawiły, że zbladła, ale po dłuższej chwili z wdziękiem skłoniła głowę, przyjmując do wiadomości swoją porażkę.

- W takim razie... dziękuję ci za szczerłość, Damianie. I za to, żeś pomógł mi wydostać się z łap przemytników. Dobrej nocy.

- Już mnie tu nie będzie, gdy zbudzisz się jutro rano. - Zawahał się, ale dodał jeszcze: - To była prawdziwa przyjemność poznać cię.

- Tak, to było przyjemne... i pouczające. - Uśmiechnęła się blado. - Wielka szkoda, że jesteś taki honorowy, choć nie cieszysz się ogólnym szacunkiem. Wolałabym, żeby było wręcz odwrotnie.

Omal się nie roześmiał.

- Zmykaj, szelmo! Nim tydzień minie, będziesz mi wdzięczna, że się pohamowałem.

Uśmiech Kiri znikł.

- Bardzo bym chciała, żeby tak się stało. I wyszła z pokoju.

Rozpaczliwie pragnął dogonić ją, chwycić na ręce, przynieść z powrotem do tego pokoju, do swego łóżka... Nie tylko dlatego, że była piękna i godna najwyższego pożądania. Zachwycił go także jej dowcip, jej siła i witalność.

Rozświetlała swym blaskiem każde pomieszczenie, do którego weszła. Nigdy jeszcze nie spotkał takiej kobiety.

Była cudowna! Ale nie dla niego.

## 8

Kiri udało się jakoś zasnąć po tym, jak wyszła z pokoju Mackenziego, ale jej sny pełne były przemytników, ostrych noży i upajających pocałunków. Zdecydowanie niespokojne.

Obudziły ją wrzaski młodych istot tryskających energią. Domyśliła się, że na tyłach Westerfield Manor znajdują się szkolne tereny rekreacyjne. I choć sama nie czuła się w tym momencie ani młoda, ani pełna energii, zmusiła się jakoś do tego, by wstać i powitać nowy dzień. Odkryła przy tym, że podczas jej snu wślizgnęła się po cichu do sypialni pokojówka, zabrała jej spódnicę i płaszcz Maca, po czym przyniosła je z powrotem, wyczyszczone i nadające się do włożenia.

Pod wpływem nagłego impulsu Kiri wzięła do ręki płaszcz i wtuliła twarz w jego ciężkie, ciemne fałdy. Okrycie nadal pachniało Damianem i przywodziło wspomnienie jego szerokich, potężnych ramion oraz przekornych oczu, z których każde było innej barwy. Od chwili gdy Kiri przestała uważać Mackenziego za wroga, z radością przebywała w jego towarzystwie. Gwałtowne pożądanie, idące w parze ze szczerą sympatią, stanowiło doprawdy mieszankę piorunującą

A jednak Mac nie mylił się, niech go wszyscy diabli! Ich wzajemne uczucie nie miało żadnej przyszłości. Nie znajdzie w nim kochanka ani męża. Może stałoby się inaczej, gdyby okoliczności pozwalały na tradycyjne zaloty, podczas których mogliby pogłębić swą znajomość? O tym jednak nie było mowy, musiała więc być mu wdzięczna za powściągliwość, jaką okazał.

Z westchnieniem Kiri odłożyła płaszcz. Gdyby był cenny i elegancki, zwróciłaby go, rzecz jasna, właścicielowi. Ale to proste wełniane okrycie, w dodatku podniszczone, mogło należeć do pierwszego lepszego ciężko pracującego biedaka. O ile Mackenzie nie zażąda wyraźnie zwrotu płaszcza, Kiri postanowiła zachować go na pamiątkę spędzonych razem pięknych, choć krótkich chwil.

Pokojówka zostawiła w sypialni także dzbanek wody, która nadal była ciepła. Podczas gdy Kiri się myła, młoda służąca uchyliła drzwi, zajrzała do pokoju, a potem weszła, widząc, że gość już wstał.

- Teraz, kiedy panienka się obudziła, może mogłabym pomóc przy ubieraniu?
- Z ubieraniem poradzę sobie sama, ale byłabym bardzo wdzięczna za coś do jedzenia.
- Na śniadanie trzeba zejść po schodach na dół, a potem na lewo -odparła natychmiast dziewczyna. - Powiem lady Agnes, to się z panią spotka w jadalni dla rodziny.

Pokojówka dygnęła i wyszła, zanim Kiri zdążyła powiedzieć, że nie chce przeszkadzać lady Agnes w pracy. Potem jednak doszła do wniosku, że przełożoną z pewnością bardzo trudno byłoby skłonić do czegoś, na co nie miałyby ochoty. Spokojnie więc zakończyła toaletę i zeszła na dół.

Rozważyła dokładnie swoją obecną sytuację. Damian Mackenzie zniknął z jej życia, czcigodnym Godfreyem Hitchcockiem nie musiała już zawracać sobie głowy. Nie otrzymała ani jednej propozycji małżeńskiej, która wzbudziłaby w niej choć odrobinę zainteresowania. Była jednak żywa, zdrowa i czekało ją smaczne śniadanie. A zatem szczęście raczej jej dopisało, nie powinna być w minorowym nastroju.

Humor jeszcze się jej poprawił, gdy ujrzała podgrzewane półmiski oraz imbryk z gorącą herbatą, które już na nią czekały w jadalni przeznaczonej dla rodziny.

Kiri nałożyła sobie na talerz jajecznicę z boczkiem, fasolki, grzanek -i dodała do tego imponującą porcję kedgeree. Zabierała się na dobre do jedzenia, gdy weszła lady Agnes.

- Jak się pani czuje dziś rano, lady Kiri? - uśmiechnęła się starsza dama. - Poza tym, oczywiście, że głód pani dokucza.

Kiri grzecznie wstała na powitanie pani domu.

- Istotnie, zjadłabym konia z kopytami. Pan Mackenzie podzielił się wczoraj ze mną chlebem i serem, ale to jest mój pierwszy porządny posiłek od wczorajszego ranka. - Na znak lady Agnes Kiri znów usiadła. - Czuję się jednak znakomicie i jestem wdzięczna losowi, że nie spotkało mnie nic gorszego. Przypuszczam, że pan Mackenzie odjechał już do Londynu?

- Istotnie. - Lady Agnes nalała sobie herbaty i zajęła miejsce naprzeciw swego gościa. - Moje pytanie nie było jedynie grzecznościowym frazesem, lady Kiri. Porwanie przez bandę przemytników musiało być dla pani szokującym przeżyciem. - Wypiła w zadumie łyk herbaty. - Gdy podróżowałam po Indiach, napadli nas tamtejsi rozbójnicy. Kilku mężczyzn zostało ciężko rannych a wartownik zabity. Było to doprawdy przerażające. - Lady Agnes uśmiechnęła się z autoironią. - Nazywano mnie wówczas „zwariowaną Angielką, która się niczego nie boi”, ale przez kilka miesięcy po tej napaści nie byłam wcale nieustraszona.

Kiri utkwiała wzrok w talerzu, wspominając własny lęk i bezsilną wściekłość.

- Ma pani słuszność, to było przerażające. Takie przeżycie może raz na zawsze zmienić czyjeś spojrzenie na świat. Szczerze mówiąc, naprawdę byłam w wielkim strachu!

- Strach jest naturalną reakcją na niebezpieczeństwo - odparła przełożona. - Gdyby jednak dręczyły panią skutkiem tego jakieś koszmary, niech się pani nie krępuje zwrócić do mnie. Nie będę zbyt daleko, wystarczy skreślić kilka słów.

- Bardzo dziękuję. - Kiri wpatrywała się uważnie w twarz lady Agnes, zastanawiając się, ile też przełożona ma lat. Nie była w gruncie rzeczy taka stara... może koło pięćdziesiątki? - Teraz już rozumiem, czemu wszystkie te zagubione lordziątka tak za panią przepadają.

Lady Agnes roześmiała się.

- Ja też za nimi przepadam. Większość z nich jest trochę zwichrowana, ale to dobrzy chłopcy. Trzeba im tylko poświęcić nieco czasu i okazać trochę sympatii. - Po czym dodała całkiem innym, rzeczowym tonem: - Rozumiem, że pani konia należy gdzieś odesłać?

- Do Grimes Flol.

- Dopilnuję tego. Mój powóz już czeka, by zawieźć panią z powrotem do Londynu. A żeby przyzwoitości stało się zadość, pojedzie z panią moja pokojówka.

- Jestem ogromnie zobowiązana, lady Agnes. Zamierzałam wrócić do Londynu dylizansem - wyznała Kiri. - Jakże pani wielkoduszna dla nieproszonego gościa.

- Każdy przyjaciel Mackenziego jest tu mile widziany - stwierdziła przełożona.

- Nie zaliczam się do jego przyjaciół - odparła z pewną goryczą Kiri. - Byłam tylko nieznajomą, której, na szczęście, zechciał udzielić pomocy w potrzebie.

- Przyjaźnie zawiązują się niekiedy bardzo szybko w tak dramatycznych okolicznościach - zauważyła lady Agnes. Czyżby to miało być dyskretne ostrzeżenie dla mnie, żebym nie wiazała zbyt wielu nadziei z osobą Damiana Mackenziego? - zastanawiała się Kiri. O Boże! Chyba Mac nie zwierzył się swej dawnej wychowawczyni,



że Kiri wtargnęła do jego pokoju? Niemożliwe! Lepiej jednak zmienić temat i pomówić o koniu.

- Będę gotowa, jak tylko pożegnam się z Hersztem. Wspaniały z niego wierzchowiec.

- Wróci do swego domu jeszcze dziś wieczorem - obiecała lady Agnes. Podniosła się i uścisnęła rękę Kiri. - Cieszę się, że miałam okazję bliżej panią poznać. Spotkamy się znowu w Londynie, jestem tego pewna.

Ponieważ Kiri nie miała żadnych rzeczy do pakowania prócz woreczka z biżuterią, zaraz po śniadaniu udała się do stajni. Herszt wydawał się zadowolony z życia, choć może nieco znużony. Gdy podsunęła mu pod nos trochę cukru, zlizął go delikatnie z jej dłoni, po czym pieszczotliwie trącił ją w ramię w nadziei, że dostanie więcej.

Gładząc konia po lśniącej szyi Kiri myślała o swej nieoczekiwanej i niebezpiecznej przygodzie. Ucieczka z Grimes Hol mogła być posunięciem nieprzemyślanym, choć całkiem zrozumiałym, wzięwszy pod uwagę wszystko, co usłyszała. Gdyby pozostała dłużej w „gościnnym” domu Norlandów, skreśliłaby komuś kark. Zdarzyło się już kilkakrotnie, że zachowała się równie impulsywnie, ale - na szczęście - zawsze dotąd udawało się jej wyplątać z kłopotów, w jakie się wpakowała.

Jednakowoż lekkomyślność Kiri przeistoczyła się w czyste szaleństwo, w chwili gdy Mackenzie ją pocałował. Co też jej odebrało rozum?! Teraz, w bezlitosnym świetle dnia, nie ulegało wątpliwości, że jej zachowanie wobec Maca przekroczyło wszelkie granice zuchwałości i głupoty.

Kiri po prostu nie myślała, tylko upajała się namiętnością - zapierającą dech w piersi i nieokiełznaną. Nie zważała na konsekwencje, żyła wyłącznie chwilą bieżącą. Gdyby nie opanowanie Mackenziego, zostaliby z pewnością kochankami. Mogłoby to być cudowne, ale skutki byłyby opłakane.

Po raz ostatni poklepała Herszta, a potem odwróciła się na pięcie i skierowała w stronę powozu, który czekał na nią przed frontem We-sterfield Manor. W zwykłych okolicznościach ona i Mackenzie nigdy by się ze sobą nie zetknęli. A teraz wszystko przemawiało za tym, że nigdy więcej się nie spotkają.

Gdyby jednak się spotkali... no cóż, następnym razem poważnie się zastanowi nad przykrymi konsekwencjami, zanim zachowa się jak skończona idiotka.

Nie minęło pół godziny i Kiri wracała już do domu eleganckim powozem lady Agnes. Towarzysząca jej pokojówka była spokojną, starszą niewiastą, która wytrwale zajmowała się cerowaniem, jeśli tylko nie jechali po zbyt rychłych wybojach. Kiri przez większość podróży wyglądała przez okno, podziwiając soczystą zieleń angielskiego krajobrazu.

Wydarzenia poprzedniego dnia wydawały się Kiri niemal snem. Szydercze uwagi lady Norland nadal raniły ją, ale już nie tak dotkliwie. Doszła do wniosku, że rodzina Hitchcocków znacznie bardziej się przejmie utratą rasowego konia niż ucieczką niedoszłej synowej - co prawda posażnej, ale nie tak czystej krwi jak Herszt.

Szczyście jej dopisało: wraca do domu, nie poniósłszy uszczerbku ani na zdrowiu, ani na honorze. Nie potrafiła jednak zapomnieć o Macu. Gdyby nie był właścicielem osławionego klubu, istnego rajy dla ha-zardystów, może zawarcie z nim małżeństwa nie byłoby aż tak wykluczone?

Biorąc jednak pod uwagę nieczyste interesy Maca, wszelkie kontakty z nim były groźne nie tylko dla reputacji Kiri, ale dla całej ich rodziny. Jej młodsze, przyrodnie rodzeństwo - Thomas i Lucia Stillwellowie - było, podobnie jak ona, tylko półkrwi Anglikami. W dodatku Lucia zbliżała się już do wieku, kiedy panienka zaczyna poważnie myśleć o małżeństwie. Każdy niebaczný krok Kiri odbiłby się na życiu jej siostry i brata. I matki.

Takie rozumowanie było oczywiście słuszne. Dlaczego więc pozostawiało w sercu Kiri uczucie dojmującej pustki? Kiedy wreszcie Mac dotarł do swego domu w Londynie, czuł się kompletnie wyczerpany. Nie udało mu się już zasnąć po wizycie Kiri Lawford, opuścił więc Westerfield Manor o świcie. Pospiesznie napisał list do lady Agnes, dziękując jej za udzielenie gościnyjemu i jego towarzyszenie. Usprawiedliwiał się, że musi czym prędzej wracać do Londynu. Zapewniał, iż dobrze wie, że lady A. zatroszczy się o Kiri jak matka. Wszystko to była prawda, a jednocześnie tchórzowskie wykręty. Mac zastanawiał się, czy Kiri spało się tej nocy lepiej niż jemu?

W Londynie spotkał się od razu z Francuzem, Jean-Claudem Bapti-ste'm, który zarządzał Klubem Damiana. Mackenzie chciał mieć pewność, że w klubie nie wydarzyło się nic złego pod jego nieobecność. Baptiste

roześmiał się tylko i poradził szefowi, by wracał spokojnie do domu, co było łatwe do wykonania, jako że Mac mieszkał o dwa kroki od swojego klubu.

Odsypiał właśnie spędzone bezsennie dwie i pół doby, gdy wyrwały go z błogiej nieświadomości czyjeś skradające się kroki. Wytrzeźwiał natychmiast, ręka sama zacisnęła się na sztylcie. Obiegł wzrokiem pokój, wypatrując przeciwnika... po czym, z uczuciem ulgi, opadł znów na poduszki.

- A, to ty, Kirkland! Po kiego licha się skradasz?!

Jego stary przyjaciel Kirkland odparł z łagodnym wyrzutem w głosie:

- Potrafię się wcale nieźle skradać; nie przypuszczałem, że cię obudzę. Ale skoro już się tak stało, gdzie mój bezcenny tytoń?

Mackenzie ziewnął, zasłaniając usta ręką. Sądząc po niebie, prawie się już zmierzchało. I tak musiałby niebawem wstać.

- W wewnętrznej kieszeni płaszcza, po prawej.

Kirkland znalazł płaszcz na fotelu - tam, gdzie go Mac rzucił - i wyciągnął pękaty woreczek francuskiego tytoniu. Otworzył i wytrwale czegoś szukał wśród wonnych, kruszących się w palcach liści. Po chwili obwieścił:

- Eureka!

Wydobył maleńką fiolkę, w tym samym odcieniu brązu co tytoniowe liście. Błyskawicznie otworzył ją i wydobył zwitek cieniusieńkiego papieru. Ze zmarszczonym czołem przebiegł wzrokiem po mikroskopijnych, ale czytelnych literach zaszyfrowanego tekstu.

- Złe wieści?

Mac spuścił nogi z łóżka. Czuł się okropnie: rozczochrany, niechlujny, w wymiętym ubraniu.

- Mniej więcej takie, jakich można się było spodziewać. Potem przestudiuję to dokładniej.

Kirkland owinął fiolkę ze zwitkiem papieru w chusteczkę i schował ją do kieszeni.

- Są jakieś wieści o Wyndhamie?

Mac zawsze pytał o ich szkolnego kolegę, od dawna zaginionego. Znajdował się na terenie Francji, kiedy zerwano pokój w Amiens i od tej pory słuch o nim zaginął.

Mac niezmiennie zadawał to pytanie, a Kirkland również niezmiennie odpowiadał:

- Nie ma. Chociaż mój informator twierdzi, że dotarły do niego pogłoski o jakimś angielskim jeńcu, który z grubsza by pasował do rysopisu Wyndhama. Staramy się zdobyć dalsze informacje.

Mac nie pozwalał sobie na żywienie płonnych nadziei. Było już zbyt wiele fałszywych tropów przez te wszystkie lata.

- A jeśli któraś z tych pogłosek okaże się prawdziwa, to co wtedy?

- Wydostaniemy go stamtąd - odparł z przekonaniem Kirkland. - Wyciągnięcie go z Francji może nie być łatwe, ale podejmę to wyzwanie w każdej chwili, bez namysłu.

- Pomocników ci nie zabraknie.

Mac podszedł do umywalki i obmył twarz. W głowie trochę mu się przejaśniło. Zawsze tryskający energią, diablo dowcipny Wyndham cieszył się sympatią wszystkich wychowanków Westerfield Academy. Nawet teraz, po tylu latach, odczuwali boleśnie jego brak.

Łatwiej byłoby to znieść, gdyby wiedzieli coś pewnego o jego losie. Myśląc realistycznie, Mac był niemal pewny, że Wyndham nie żyje. Pokój w Amiens został nagle zerwany i internowano wówczas każdego Anglika, od osiemnastego do sześćdziesiątego roku życia, przebywającego na terenie Francji. Wyndham z pewnością w takich okolicznościach stawiałby opór i prawdopodobnie zapłaciłby za to życiem. A jednak nie otrzymano oficjalnego potwierdzenia jego śmierci i nadzieja nigdy nie zgasła całkowicie.

- Dufam, że twoja wizyta u przemytników upłynęła spokojnie, bez żadnych niespodzianek?

- Prawdę mówiąc, nie. Przemytnicy porwali młodą damę, która miała pecha i natknęła się na nich, gdy wracali z towarem. - Mac przesunął ręką po szczeciniastym podbródku i sięgnął po przybory do golenia. Właściciel eleganckiego klubu musi prezentować się nienagannie. - Jak się okazało, ową nieszczęsną branką była lady Kiri Lawford.

- Dobry Boże! - Kirkland zerwał się jak piorunem rażony. - Nic jej się nie stało?

- Lady Kiri miewa się znakomicie. - Mac wziął pędzel do golenia i pokrył dolną część twarzy równą warstwą piany.

- Sama już była na najlepszej drodze do oswobodzenia się, kiedy pojawiłem się na scenie. Przy mojej niewielkiej pomocy zdołała wymknąć się porywaczom. Odwiozłem ją do lady Agnes.

Kirkland wyraźnie się odprężył.

- To dobra wiadomość. Jeśli lady Agnes wzięła ją pod swoje skrzydła, zakładam, że całą sprawę da się zatuszować. Lady Kiri z pewnością nie wyszłoby na dobre jeszcze jedno wykroczenie przeciw sztywnym regułom wielkiego świata.

- Czyżby miał już coś podobnego na sumieniu? - spytał Mac, z większym zainteresowaniem, niż powinien. - Nie zetknąłem się z lady Kiri wcześniej, nie mam więc pojęcia, jaką opinią się cieszy.

- Córka księcia - w porządku. Wielki posag - znakomicie. Domieszka hinduskiej krwi - o, to już godne pożałowania!

- odparł zwięźle Kirkland. - Męska połowa londyńskiej socjety twierdzi, że lady Kiri to piękność; ale damska, a zwłaszcza matki panien polujących na mężów, uważa, iż w tak uderzającej urodzie jest coś zdecydowanie wulgarnego.

Mac roześmiał się.

- Lady Kiri nie wygląda na taką, co by ukrywała swój blask pod korcem.

- Bo nie ukrywa. - Kirkland nabił fajkę swoim dopiero co przesznużowanym z Francji tytoniem. - Nie tylko jest równie błyskotliwa jak piękna, ale znacznie bardziej bezpośrednia w kontaktach towarzyskich niż Ashton. A choć jej manieri są doskonałe i na wskroś brytyjskie, w pewnych kręgach jest uważana za nazbyt śmiałą. - Zmarszczył czoło.

- Podejrzewam, że są też dżentelmeni skłonni widzieć w niej egzotyczną kusicielkę, która chętnie by przyjęła ich awanse.

Mac czterokrotnie pociągnął za sznur od dzwonka, umówiony znak dla służby, że życzy sobie kawy i kanapek, po czym wyjął brzytwę i zabrał się do golenia, nie przerywając rozmowy.

- Zakładam, że szuka męża. A może już znalazła?

- Jeszcze nie. Poszłoby jej łatwiej, gdyby mówiła łagodnym szeptem i unikała rozgłosu jak jej matka, ale to nie w stylu lady Kiri. - Kirkland uśmiechnął się szeroko. - Każdy mężczyzna, obdarzony choć szczyptą rozumu, od razu się zorientuje, że miałby pełne ręce roboty z taką żoną.

Mac odłożył brzytwę, żeby sobie przypadkiem nie poderżnąć gardła, gdy uprzytomnił sobie, jak mogłyby wyglądać owe „pełne ręce roboty z taką żoną”. Odetchnął głęboko i powrócił znów do golenia.

- Jeśli jakiś niepożądany typ kręci się wokół niej i jej posagu, pewien jestem, że Ashton i generał Stillwell przepędzą go na cztery wiatry!

- Mam wrażenie, że coś takiego wydarzyło się już, raz czy drugi. Wątpię, by jakaś inna dziewczyna w Londynie miała równie groźną obstawę.

Tym lepiej! - pomyślał Mac. Lady Kiri jest pełna życia, jedyna w swoim rodzaju... W pełni zasługuje na to, by mieć oddanych opiekunów, którzy potrafią utrzymać z dala od niej podejrzane typki w rodzaju Damiana Mackenziego. Był naprawdę rad, że Kiri jest tak znakomicie strzeżona. Powinno to powstrzymać również jego - Maca - od głupstw, do jakich mogłoby go popchnąć jego gorsze ja. Jeśli to go powstrzyma, wyjdzie to wszystkim na dobre. Czyżby?

## 9

Ponieważ odra nadal szalała w domu jej rodziców, Kiri kazała się zawieźć do Ashton House. Londyńska rezydencja jej brata była tak ogromna, że Kiri mogła wędrować po niej całymi dniami, nie wchodząc nikomu w drogę. Uznała Ashton House za swój drugi dom i serdecznie zaprzyjaźniła się zarówno z Adamem, jak z jego żoną Mariah. Majordomus powitał ją niemal po ojcowsku.

- Jak to miło, że jest znów pani w Londynie, lady Kiri! Jej księżęca mość wyszła, ale gdyby chciała pani zobaczyć się ze swoim bratem, zastanie go pani w gabinecie.

- Zawsze mam ochotę spotkać się z moim bratem, Holmes - odparła Kiri równie serdecznym tonem.

Miała na sobie płaszcz Mackenziego i powinna oddać to okrycie majordomusowi, ale... nie chciała się z nim rozstawać. Była niewątpliwie idiotką!

Zastukała do drzwi księżęcego gabinetu i weszła, gdy tylko Adam zawołał:

- Proszę!

Księżę popatrzył na nią znad biurka, po czym wstał i uśmiechnął się leniwie, jak to on.

- O, Kiri! Co za miła niespodzianka! Jak się udała wizyta w domu przyszłego męża?

Kiri zamierzała odpowiedzieć lekkim tonem, że doszli z Godfreyem do wniosku, iż jednak nie pasują do siebie, ale - ku swej konsternacji - wybuchnęła płaczem.

- Och, Adamie!

Brat błyskawicznie pokonał dzielącą ich odległość i objął Kiri ramionami. Był zaledwie średniego wzrostu, niewiele wyższy od niej, ale jego siła i serdeczność sprawiały, że stanowił idealne oparcie w tej burzy uczuć.

Gdy tylko Kiri trochę podrosła, dowiedziała się że ma starszego brata, który jest księciem w dalekim kraju, gdzieś na drugim końcu świata. Snuła marzenia o tym straconym, zdawałoby się, na zawsze dla ich matki i dla niej bracie, i zastanawiała się, czy też kiedyś się z nim spotka. Nie przypuszczała jednak, że ów starszy brat będzie mógł ofiarować jej tyle przyjaźni, pociechy i życzliwej rady.

Poklepywał ją teraz po plecach, a ona ukryła twarz na jego ramieniu.

- Rozumiem, że sprawy nie ułożyły się najlepiej?

- To stanowczo za słabe określenie. - Kiri udało się powstrzymać łzy, Adam zaś podprowadził ją do grubo wyściełanej, obitej skórą kanapy. - Niechcący usłyszałam, jak matka Godfrey'a tłumaczy swojej siostrze, że wyłącznie ze względu na okazały posąg uznano mnie za odpowiednią żonę dla jej najmłodszego syna, choć się na nią nie nadaję. Obie damy orzekły, że jestem wulgarna, zarzucam sieci na mężczyzn, i dlatego zawsze roją się wokół mnie. I wygadywały takie okropne rzeczy o naszej mamie.

Adam podał siostrze chusteczkę i zaklął pod nosem.

- Miałem nadzieję, że nigdy się nie zetkniesz z takimi uprzedzeniami, ale widać jest to nieuniknione.

Kiri otarła zapłakaną twarz.

- Lady Norland była raczej chłodna w stosunku do mnie, ale myślałam, że obawia się, czy zdołam uszczęśliwić jej syna. Nie miałam pojęcia, że aż tak mną pogardza.

- Ludzie podlejszego gatunku często okazują wzdrganie tym, którzy w ten czy inny sposób różnią się od otoczenia - odparł Adam uspokajającym tonem. - Tylko to daje im poczucie złudnej wyższości.

Jego słowa sprawiły, że Kiri uśmiechnęła się przez łzy.

- Tak, chyba masz rację. Ale to mimo wszystko upokarzające, że jakaś podła kreatura gotowa jest tolerować mnie jedynie ze względu na mój posąg. Może nie powinieneś był wyposażyć mnie aż tak hojnie?

- Co za brednie! - odparł brat. - Jesteś, tak samo jak ja, książęcym dzieckiem, masz więc pełne prawo do posagu, odpowiadającego twojej pozycji. Bogactwo przyciąga łowców posagowych, to prawda, ale nie brak

ci przecież zdrowego rozsądku. - Obdarzył ją promiennym uśmiechem. - Ani kochającej rodziny, która potrafi się upewnić, czy kandydat do twojej ręki jest godny takiego zaszczytu.

Kiri przypomniała się uwaga Mackenziego, że jej brat to jeden z najbardziej niebezpiecznych ludzi w Anglii. Uznała to za jakąś pomyłkę, gdyż Adam był niezwykle opanowany, a poza tym pełen miłości do swej niedawno odzyskanej rodziny. Jednakże Mackenzie nie mylił się: księżę Ashton nie był kimś, komu można bezkarnie wejść w drogę.

- Taka opieka ma swoje dobre i złe strony - zauważyła cierpko Kiri. - Wy, opiekunowie, możecie okazać się zbyt wymagający. Co się stanie, jeśli ty albo generał będziecie innego zdania niż ja co do któregoś z konkurentów? Adam uśmiechnął się szeroko.

- Wówczas trzeba będzie rozsądnie negocjować... i czekać. Upływający czas kładzie zwykle kres nierozsądnym fascynacjom, ale utrwała głębokie uczucia.

Brzmiało to rozsądnie. Za jakieś dwa tygodnie pewnie uda się jej zapomnieć o Macu. Jednak w tej chwili...

Kiri zorientowała się, że porzuciła płaszcz Mackenziego koło drzwi, gdy wybuchnęła płaczem. Miała teraz ochotę podbiec i schwycić znów to okrycie; powstrzymała się jednak.

- Ale moja historia nie kończy się na wysłuchaniu zniewag lady Norland i jej równie okropnej siostry. Wpadłam w taką wściekłość, że bez namysłu zabrałam z ich stajni najlepszego wierzchowca, by udać się na nim do Dover, a stamtąd wrócić dylizansem do Londynu. Było jednak dość późno, gdy wyruszyłam w drogę, a kiedy zapadła noc, natknęłam się na bandę przemytników przewożących swe nielegalnie zdobyte towary.

Adam skamieniał.

- Ico?

- Schwytali mnie i zawieźli do swej kryjówki nad brzegiem morza. Kiedy tam popijali grog i zastanawiali się, co ze mną zrobić, zjawił się jeden z ich klientów z Londynu - i pomógł mi wydostać się stamtąd. Okazało się, wyobraż sobie, że to jeden z twoich dawnych szkolnych kolegów.

Adam uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Niech się zastanowię... Damian Mackenzie? Kiri zmarszczyła brwi.



- Chyba to niezbyt sprzyja interesom Mackenziego, jeśli wszyscy w Londynie wiedzą, że ma konszachty z przemytnikami?

- Wątpię, czy ktokolwiek potrafiłby mu tego dowieść. Ludzie co najwyżej podejrzewają, że nie mógłby w swoim klubie podawać tak wybornych win i mocniejszych trunków, gdyby nie korzystał z dobrodziejstw kontrabandy - wyjaśnił. - Nie obawiaj się o niego. Większość najwybitniejszych polityków i dyplomatów odwiedza regularnie klub Maca, przymykając oczy na pochodzenie podawanych tam spirytualiów, gdyż wszyscy zbyt dobrze czują się u Damiana.

Kiri miała nadzieję, że się nie myli. Przedstawiając w nieco złagodzonej wersji wydarzenia pamiętnej nocy, powiedziała:

- Mackenzie najszybciej jak mógł odprowadził mnie do Westerfield Academy i oddał pod opiekę lady Agnes. Czy sądzisz, że zostałam nieodwołalnie skompromitowana tylko dlatego, że przez kilka godzin jechaliśmy razem konno? Zrobił na mnie wrażenie dżentelmena.

- To brat Willa Mastersona, można by więc powiedzieć, że jest w pełni godny zaufania... Niestety, jego klub cieszy się ogromnym powodzeniem i dość dwuznaczną sławą - zauważył Adam. - To ładnie ze strony Maca, że odprowadził cię do lady Agnes, a potem dyskretnie zniknął, by nie narazić na szwank twojej reputacji.

- Lady Agnes ma o nim, zdaje się, jak najlepsze mniemanie - nastroszyła się Kiri.

- Ona kocha wszystkich swoich dawnych wychowanków, za co jestem jej głęboko wdzięczny. - Adam zmarszczył brwi. - Zamierzasz opowiedzieć rodzicom, co ci się przydarzyło?

Kiri zawahała się.

- Nie chcę ich oszukiwać, ale... po co ich martwić? Matkę bardzo by zabolalo to, co usłyszałam w Grimes Hol, a generał zapragnąłby od razu popędzić tam i rozbić kilka łbów. Może lepiej powiedzieć im tylko, że doszłam do wniosku, iż Godfrey jednak mi nie odpowiada, i wyjechałam stamtąd czym prędzej, by uniknąć niezręcznej sytuacji?

- Złagodzona nieco prawda jest zazwyczaj najlepszym rozwiązaniem - zgodził się Adam. - Przypuszczam, że lada dzień skończy się związana z odrą kwarantanna, ale lepiej by było, żebyś została u nas, przynajmniej na razie.

- Jesteś stanowczo najlepszym z braci! - odparła z głębokim przekonaniem.

Adam wybuchnął śmiechem.

- Ty i Thomas znacie się jak łyse konie i trudno by mu było, biedakowi, zasłużyć na tak wygórowane pochwały. Nic więc dziwnego, że pokonałem go w tej konkurencji.

Drzwi się otwały i dwie piękne blondynki - obie w jasnozielonych sukniach - weszły do pokoju. Księżna Ashton i jej siostra bliźniaczka wróciły z jakiejś wyprawy. Kiri wstała i serdecznie uściskała bratową.

- Za każdym razem, gdy was widzę, łatwiej mi rozróżnić ciebie i Sarah. Mariah wybuchnęła śmiechem i poklepała się po wydatnym już brzuszku.

- Spoglądam tęsknie na Sarah i obiecuję sobie, że kiedyś, pewnego dnia, będę znowu smukła i śliczna jak ona.

- Kiedy nadejdzie ten dzień, mam nadzieję, że nie będziesz już potrzebowała tyle snu - stwierdziła stanowczo Sarah Clarke-Townsend. - Wyobraź sobie, Adamie: Mariah drzemała w powozie przez całą drogę powrotną. Tak się zmęczyła tą wyprawą, że musi zaraz iść na górę i odpocząć.

- Wcale nie muszę! - zniecierpliwiła się Mariah. - Czemu wszyscy tak się ze mną cackają? Rodzenie dzieci to całkiem naturalny proces. Poprzyj mnie, Kiri. Potrzebuję kogoś, kto twardo się opowie po mojej stronie!

- Na mnie nie licz - odparła Kiri z szerokim uśmiechem. - Rodzenie dzieci jest całkiem naturalne, podobnie jak odczuwanie zmęczenia podczas ciąży. Pogódź się z losem, wasza księżęca mość, i pozwól się rozpieszczęć.

- A jeśli nie pozwolisz, to zaniosę cię na górę nawet wbrew twej woli - oświadczył Adam z przekornym błyskiem w oku. - Z dużą przyjemnością.

Roześmiana Mariah wsparła się na ramieniu męża i pozwoliła, by wyprowadził ją z pokoju. Kiedy oboje wyszli, Sarah odezwała się z westchnieniem:

- Czy to okropny grzech, że zazdroścę własnej siostrze takiego cudownego, kochającego męża?

- Jeśli to grzech, to i ja mam go na sumieniu. - Kiri poczuła ucisk w sercu i jej myśli znów pobiegły mimo woli do tego przekłętogo Mac-kenziego. - Chociaż nie brak w pobliżu innych wspaniałych mężczyzn. Trzeba tylko cierpliwie czekać na tego przeznaczanego przez los.

Oczy Sarah posmutniały. Kiri przypomniała sobie, że siostra Mariah była już zaręczona, ale jej narzeczony zmarł, nim zdążyli się pobrać. Pragnąc oderwać ją od bolesnych wspomnień, Kiri pociągnęła za sznur od dzwonka.

- Napijmy się herbaty! Z pewnością i ty jesteś zmęczona po tej wyprawie na zakupy.

- Doskonały pomysł!

Siadając na obitej skórą kanapie, Sarah spojrzała ze zdziwieniem na płaszcz Mackenziego, który nadal leżał na podłodze.

Kiri podniosła okrycie, złożyła je i powiesiła na oparciu fotela. Gdy zjawił się lokaj, poleciła mu przynieść herbatę, po czym zwróciła się znów do Sarah:

- Zauważyłam, że zapach pomarańczy jest coraz wyraźniejszy w tych perfumach, które dla ciebie zrobiłam. Czyżby przyszła pora na następny eksperyment?

Sarah powąchała swój nadgarstek.

- Racja, zapach pomarańczy staje się coraz wyraźniejszy. Masz niesamowicie wrażliwy nos. Ale właśnie taki zapach najbardziej mi odpowiada... zwłaszcza na dzień. Jeśli znajdziesz chwilę czasu, może byś mogła obmyślić dla mnie coś odrobinę mocniejszego, bardziej kusicielskiego na wieczór?

- Z największą przyjemnością. Każda kobieta powinna mieć zarówno garderobę, jak perfumy dostosowane do tego, w jakim jest nastroju. A swoją drogą interesujące, jak odmiennie pachnie ta sama kompozycja na tobie i na Mariah. - Tu Kiri dała upust swej ciekawości. - Jeśli chodzi o identyczne bliźnięta... Wiem, że pytanie, które chcę ci zadać, jest okropnie niedyskretne. Nie musisz na nie odpowiadać. Ale biorąc pod uwagę, że ty i Mariah jesteście takie podobne do siebie pod każdym względem. Powiedz, czy nie jesteś ani troszkę zakochana w Adamie?

Sarah spojrzała na nią ze zdumieniem. Najwyraźniej nie myślała już wcale o swej dawnej, nieszczęśliwej miłości.

- Skądże znowu. To znaczy, kocham go, tyle że jak brata. Jest doprawdy wspaniały i tworzą z Mariah idealną parę, ale bynajmniej nie przyprawia mego serca o silniejsze bicie.

- Tym lepiej.

Przyniesiono właśnie tacę z herbatą i Kiri naląła ją do dwóch filiżanek. Sarah popijała herbatę powolutku, w zamyśleniu.

- Mariah i ja rzeczywiście wyglądamy bardzo podobnie i mamy wiele wspólnych cech. Zdarza się nam czasem, że przypadkiem wybieramy stroje w tych samych kolorach. - Sarah wskazała na swą jasnozieloną spacerową toaletę w niemal identycznym odcieniu co suknia Mariah. - Ponieważ

jednak wychowywałyśmy się osobno, każda z nas jest trochę inna. Mariah olśniewa swoim czarem każdego, kto ją tylko ujrzy. A ponieważ Adam zachowuje się raczej z rezerwą, znakomicie dopełniają się nawzajem.

- Jeśli uzupełnianie się przeciwieństw jest według ciebie podstawą idealnego związku - spytała zaciekawiona Kiri - to jaki mąż najbardziej by ci odpowiadał?

- Mariah została wychowana w dość nietypowy sposób i ustawicznie musiała dostosowywać się do nowych warunków. Ubóstwia więc Adama, który jest uosobieniem stałości i niezawodności - wyjaśniła Sarah. - **jj** natomiast otrzymałam tradycyjne wychowanie, a w dodatku mam usposobienie płochliwej myszki, toteż pociągają mnie mężczyźni, w których jest coś dzikiego, nieujarzmionego. - Skrzywiła się zabawnie. - Podejrzewam, że nie jest to dla mnie najlepszy omen.

- Wcale nie przypominasz płochliwej myszki! - obruszyła się Kiri. - Widzę jednak, że poważnie zastanawiałaś się nad tym zagadnieniem. Ja ciągle jeszcze usiłuję dociec, jaki mężczyzna by do mnie pasował.

Sarah poczęstowała się pierniczkiem.

- Jeśli nadal się nad tym głowisz, to widać doszłaś do wniosku, że Godfrey Hitchcock niezbyt ci odpowiada?

- Zupełnie mi nie odpowiada.

Głos Kiri zabrzmiał bardzo ostro. Sarah zmarszczyła brwi.

- Co się stało? - Gdy Kiri zawahała się, Sarah dodała jeszcze: - Jeśli wydarzyło się coś okropnego i zwierzyłaś się Adamowi, to on z pewnością powtórzy to Mariah, a ona mnie. Możesz więc równie dobrze powiedzieć mi to od razu. Kiri roześmiała się.

- Masz słuszość. Powiem ci, ale pod warunkiem, że nie powtórzysz tego nikomu więcej.

- Nie powtórzę - zapewniła ją Sarah. - Nikt inny się o tym nie dowie. Wiedząc, że słowu Sarah można zaufać, Kiri opowiedziała pokrótce

czemu uciekła z Grimes Hol, i co się wydarzyło potem. Sarah słuchała jej z najwyższym zainteresowaniem.

Gdy Kiri skończyła, Sarah odezwała się z nutką zazdrości:

- Pomyśleć tylko: zostałaś wybawiona z opresji przez Damiana Mac-kenziego we własnej osobie. Słyszałam cuda o jego klubie, od czasu gdy został otwarty przed trzema laty. To podobno najchętniej odwiedzane

miejsce wieczornych rozrywek w Londynie. - Sarah w dwóch kęsach rozprawiła się z ciasteczkiem migdałowym. - Zwłaszcza bale maskowe w Klubie Damiana cieszą się ogromnym powodzeniem. Ostatni taki bal w tym roku ma się odbyć za dwa dni od dziś. Strasznie bym chciała wziąć w nim udział, ale moja matka zemdlałaby chyba na samą myśl o tym.

- Moja też. - Kiri zastygła nagle z filiżanką herbaty w pół drogi do ust, gdyż w jej głowie zrodziła się zdumiewająca myśl. - Wpadłam właśnie na wspaniały pomysł: możemy wybrać się razem na ten bal maskowy! Powinnam zwrócić Mackenziemu pieniądze, które wyłożył, bym mogła odzyskać wolność, a przy okazji będziemy mogli obejrzyć słynny Klub Damiana.

Czuła również, że musi ujrzeć Maca w jego własnym świecie, jeśli chce wybić go sobie raz na zawsze z głowy. Skonsternowana Sarah zrobiła wielkie oczy.

- Jakże bym mogła odważyć się na coś podobnego?!

- Oczywiście że mogłabyś. Klub Damiana znajduje się przecież na Pall Mall, nie tak znów daleko od królewskich rezydencji... i od większości innych, szacownych klubów. Nie w jakiejś tam zakazanej dzielnicy nad Tamizą, obok portu - persadowała Kiri. - Każda z nas ubierze się w domino z kapturem, zakrywające włosy i całe ciało, i włoży maskę osłaniającą pół twarzy. Nikt nas nie rozpozna. I wymkniemy się z klubu, zanim przyjdzie chwila, gdy wszyscy zdejmują maski.

- Jednak wybranie się tam w tajemnicy to coś bardzo niestosownego. - Sarah przygryzła wargę. - Strasznie bym chciała choć raz zachować się niestosownie, ale jakim cudem mogłoby się nam coś takiego udać?

- Co prawda, obie już mamy skończone dwadzieścia jeden lat, i w zasadzie możemy robić, co nam się podoba... jednak byłoby lepiej, gdyby ta sprawa się nie wydała - myślała głośno Kiri. - Ponieważ z racji tej odry pozostaną jeszcze przez kilka dni w Ashton House, może byś tak napomknęła, Sarah, że z przyjemnością też zostałabyś tu dłużej i dotrzymałabyś mi towarzystwa?

- Znakomity pomysł. Od kiedy Mariah spodziewa się dziecka, oboje z Adamem zwykle wycofują się do swych apartamentów zaraz po obiedzie. Mogłybyśmy wymknąć się z domu wkrótce potem.

- Poproszę Murphy'ego, maształarza Adama, by zawiózł nas obie do klubu i zczekał tam na nas. Chyba zdołam go przekonać, żeby nie wygadał się przed czasem i nie zdradził naszego sekretu.

Sarah zmarszczyła brwi.

- Czy on... nie straci przez to pracy? Kiri pokręciła głową.

- Nie, Adam bardzo ceni Murphy'ego. Zapewnił go, że będzie tu miał pracę do końca życia - za pomoc, jakiej Murphy udzielił mu w przeszłości.

- No to w porządku. Możemy następnego dnia przyznać się do wszystkiego Adamowi i Mariah. Wątpię, by powtórzyli to naszym rodzicom.

- Jeszcze jedno: skąd weźmiemy dwa domina? Ja ich nie mam. - Kiri zerknęła z żalem na spódnicospodnie, którym nawet porządne czyszczenie w Westerfield Manor nie przywróciło dawnej świetności. - Ponieważ z Kentu uciekłam bez bagażu, a z domu rodziców nie zabiorę swoich rzeczy, póki tam szaleje odra, mogę wystąpić tylko w dominie, zakryta od stóp do głów.

- Moi rodzice mają maskaradowe stroje. Jesteś bardzo wysoka, więc włożysz domino mego ojca - rozpromieniła się Sarah. - Cóż to będzie za przygoda.

Kiri skrzywiła się, przypomniawszy sobie uwagi lady Agnes na temat przygód.

- Przekonałam się na własnej skórze, że przygody nie zawsze bywają takie podniecające, jak się sądziło.

- Rzeczywiście, nie nazwałabym porwania przez bandę opryszków najwspanialszą przygodą w życiu - zgodziła się Sarah. - Ale udział w balu maskowym, na terenie-klubu może niezbyt szacownego, ale bezpiecznego, to przygoda w sam raz dla nas obu. Cóż złego może nas tam spotkać? Najwyżej ktoś skradnie nam całusa.

Kiri łatwo mogła sobie wyobrazić, jak sytuacja wymyka im się z rąk, ale w końcu Sarah miała chyba rację. Ona zaś będzie mogła oddać pieniądze Mackenziemu, przepłoszyć natrętne wspomnienia i spędzić przyjemnie wieczór.

W sposób może nie całkiem szacowny, ale bezpieczny.

## **10**

Kiri zajrzała do szafy, by nasycić oczy widokiem domina. Wszystko szło zgodnie z planem: Sarah przeniosła się na jakiś czas do domu siostry

i szwagra i przemyciła wśród swoich rzeczy domina rodziców. Bal maskowy w Klubie Damiana miał się odbyć tej właśnie nocy i obie panny były niesłychanie podniecone. Czekala je taka miła, bezpieczna przygoda, a Kiri miała w dodatku doskonały pretekst, by spotkać się z Mackenzie.

Pragnąc zająć swe myśli czymś innym, zasiadła przy biurku, by napisać kilka listów. Jednak przeszkodziło jej w tym stukanie do drzwi. Zawołała: Proszę wejść! i w drzwiach ukazał się Holmes, majordomus.

- Jakiś dżentelmen pragnie się z panią widzieć, lady Kiri. Nie podał swego nazwiska, ale robi wrażenie osoby z towarzystwa. - W głosie majordomusa dała się jednak słyszeć nutka dezaprobaty, gdyż ów dżentelmen nie wyjawiał, kim jest. - Czeka w małym salonie.

Serce Kiri podskoczyło. Mackenzie. Czyżby strawił dwa ostatnie dni na myśleniu o niej, tak jak ona myślała o nim? Nie, znacznie bardziej prawdopodobne, że chce po prostu odzyskać swoje pieniądze. Starając się nie okazać wzburzenia, Kiri odparła:

- Chyba wiem, kto to taki. Zobaczę się z nim.

Zanim zeszła na dół, zerknęła z niechęcią do lustra. Włosy nie były potargane, ale jej garderoba stała się ostatnio tak uboga, że Kiri miała na sobie skromną zieloną sukienkę „na po domu”, której nie zabrała z Ashton House, wybierając się do Kentu.

Schodząc teraz po schodach, pocieszała się tym, że Mackenzie widział ją już w znacznie mniej twarzowym stroju. Nie okazując zbytniego pospiechu, wpłynęła do salonu i zastała tam... czcigodnego Godfreya Hitchcocka. Taki był złotowłosy i przystojny, że przypomniła sobie bez trudu, czemu to nie tak dawno była niemal o krok od poślubienia go.

Teraz jednak zdumiała się na jego widok, nie bardzo wiedząc, czy obrzucić go stekiem hinduskich przekleństw, czy dumnie oddalić się bez słowa. Stała tak z ręką na klamce i już miała odejść, gdy Godfrey wykrzyknął: - Błagam, lady Kiri. Proszę mi powiedzieć, w czym zawiniłem? - Zbliżył się do niej o krok - myślałem już, że doszliśmy do porozumienia... A potem pani nagle wyjechała, pozostawiając mi tylko liścik z radą, bym „poszukał sobie innej posażnej panny”. To prawda, że ma pani więcej pieniędzy ode mnie, ale i ja nie jestem bez grosza. Oboje o tym wiedzieliśmy. Skąd więc ta nagła zmiana? Jeśli czymś panią obraziłem, proszę dać mi szansę, a wszystko naprawię. Kiri nie odeszła, ale ton jej głosu był lodowaty, gdy spytała go:

- Przyjechał pan tu aż z Kent, żeby mi to oznajmić?

- Życzyła sobie pani, by tutaj odesłać jej rzeczy; postanowiłem więc, że sam je odwiozę. Właśnie przenoszą je z mego powozu do pani apartamentów. - Błękitne oczy Godfrey'a były pełne niepokoju. - Przede wszystkim jednak musiałem z panią porozmawiać. Chciałbym zrozumieć, co się właściwie stało.

Albo był niezrównanym aktorem, albo naprawdę nie zdawał sobie sprawy z poglądów matki... choć trudno było w to uwierzyć.

- Doszłam do wniosku, że nie pasowalibyśmy do siebie, więc dalszy pobyt pod państwa dachem byłby krępujący - odpowiedziała Kiri. - Wydawało mi się, że najprościej będzie odjechać.

- Aż tak krępujący że zarekwirowała pani konia z naszej stajni i wyjechała późnym popołudniem, choć nadciągała burza? - Godfrey pokręcił głową. - Tak przyjemnie spędziliśmy ze sobą ten dzień. Gotów byłem oświadczyć się w każdej chwili, a pani zdawała się przychylnie do tego usposobiona. Ale choćby nawet odmówiła mi pani swej ręki, z pewnością uczyniłaby to w tak delikatny sposób, że nie byłoby mowy o żadnej krępującej sytuacji. Pani jednak zamiast tego uciekła, jakby ścigały panią demony.

Kiri westchnęła i pomyślała, że Godfrey jest bardziej spostrzegawczy, niż sądziła.

- Naprawdę chce się pan tego dowiedzieć? Wątpię, by sprawiło to panu przyjemność.

- Teraz też nie jest mi zbyt przyjemnie - powiedział stanowczo. - Jeśli mi to pani wyjaśni, przynajmniej będę wiedział, o co chodzi.

- No, dobrze. Po naszej konnej przejażdżce udałam się do małego salonu, żeby powiedzieć pańskiej matce, że przyjmuję z wdzięcznością jej propozycję pozostania nieco dłużej w Grimes Hol - powiedziała Kiri. - Przeczuwałam, że pan mi się oświadczy, i doszłam do wniosku, że powinniśmy jeszcze lepiej się poznać.

- Nie powie mi pani, że mama cofnęła swoje zaproszenie? - zdumiał się Godfrey, całkiem zdezorientowany. - Żywiła przecież nadzieję, że przyjmie pani moje oświadczenia.

- Owszem, żywiła taką nadzieję... ze względu na mój posag - odparła Kiri z goryczą. — Miałam właśnie wejść do salonu, gdy usłyszałam, że pańska matka rozmawia z lady Shrimpton, pana ciotką. Mówiły...

Zawahała się. To, co musiała powiedzieć, było takie bolesne.



- Cóż takiego?

Kiri wzięła głęboki oddech.

- Mówiły, że jestem wulgarną i niemoralną dzikuską, ale mój okazały posag jakoś to zrównoważy. Bardzo się przyda jej młodszemu synowi, który ma kosztowne upodobania. Na szczęście, pańscy starsi bracia doczekali się już synów, więc przyszłe pokolenia szlacheckiego rodu Norlandów nie zostaną splugawione domieszką hinduskiej krwi.

Godfreyowi odebrało mowę, a Kiri ciągnęła nieubłaganie dalej:

- To, co mówiły na mój temat, było okropne, ale tego, jak się wyrażały o mojej matce, nie mogłam wybaczyć.

Czułam, że muszę natychmiast opuścić Grimes Hol, bo z wściekłości rozbiję wszystko w drobny mak. Rozbudziły we mnie najniższe instynkty. Teraz już pan rozumie, co się stało?

Godfrey robił wrażenie chorego.

- Wierzyć mi się nie chce, że moja matka mówiła takie rzeczy.

- Dobra? - spytała ostro Kiri.

Chciał coś odpowiedzieć, ale w końcu pokręcił tylko głową.

- Ona ma... przestarzałe poglądy na wiele spraw. I szczeni się ogromnie czystością naszej krwi. Sądziłem jednak, że polubiła panią, lady Kiri. Jest pani taką piękną, pełną życia dziewczyną. Potrafiłaby pani wzbudzić miłość nawet w martwym kamieniu... A poza tym pani rodowód jest jeszcze bardziej imponujący od naszego. I wielki posag. - Z trudem przełknął ślinę. - To także ma swoje znaczenie. Pewnie tak mi zależało na tym, by moja matka przyjęła panią z otwartymi ramionami, że dostrzegałem w całym jej zachowaniu tylko dowody życzliwości.

- Owszem, lady Norland gotowa była mnie zaakceptować ze względu na moje bogactwo. Z pewnością przez jakiś czas byłaby dla mnie uprzejma, póki nie zirytowałabym jej jakąś drobnostką. A może tylko wypiłaby kiedyś zbyt dużo kseresu... i wyszłoby na jaw, jak bardzo mną gardzi. - Kiri oparła się plecami o drzwi. - Przykro mi, że musiałam panu to powiedzieć, Godfreyu, ale sam się pan tego domagał.

- Proszę, niech pani mnie nie opuszcza. - błagał. - Przysięgam, że nie podzielam uprzedzeń mojej matki. Wierzy mi pani, lady Kiri?

Przypomniała sobie słodkie pocałunki, jakie wymieniali. Czy rzeczywiście nie miał przesądów rasowych, czy też pragnął jej w tej chwili tak mocno, że nie chciał pamiętać o jej pochodzeniu? Zapewne jedno i drugie, po trochu. Być może sam nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Owszem, wierze panu - odparła, chcąc jak najszybciej zakończyć tę przykrą scenę. - Ale chyba nie mamy już sobie nic więcej do powiedzenia. Zegnaj, Godfreyu.

- A więc chcesz mścić się na mnie za grzechy mojej matki? - W jego oczach był szczery ból. - Przecież to mnie miałaś poślubić, nie ją. Gdybyś tego chciała, nie mielibyśmy z nią nic więcej do czynienia.

On mówi szczerze, pomyślała Kiri, ale spojrzawszy na Godfreya ujrzała jedynie pięknego chłopca. W ostatnich zaś dniach uświadomiła sobie, że jej mężem może być tylko prawdziwy mężczyzna.

- Małżeństwo wiąże ze sobą nie tylko przyszłych mężów i żony, ale całe rodziny. Nigdy nie wejdem do takiej, która mnie nie chce. Nie chciałabym również odrywać cię od twojej matki, Godfreyu. - Wyciągnęła do niego rękę. -

Rozstańmy się w przyjaźni.

Ujął jej dłoń i ścisnął przez chwilę, nim wreszcie puścił.

- Dziękuję za twą szczerą i wielkoduszność, lady Kiri. I przepraszam za ból, jaki ci sprawiły wstrętne i głupie uprzedzenia mojej matki.

Kiri wzruszyła ramionami.

- Jestem rada, że odkryłam w porę jej prawdziwe uczucia. Godfrey westchnął, ale skinął potakująco głową i odszedł. Nie minie

zapewne wiele czasu - i znajdzie sobie miłą, jasnowłosą Angielkę, która spełni wszelkie oczekiwania jego rodziny.

Kiri wróciła do swego pokoju i przekonała się, że pokojówka rozpakowuje już jej rzeczy, przywiezione przez Godfreya.

Uśmiechnęła się kwaśno. Przynajmniej miała się teraz w co ubrać.

Sarah aż jęknęła z zachwytem, wpatrzona w lśniącą kopułę, stanowiącą sklepienie sali balowej.

- Klub Damiana jest tak wspaniały, jak mówiono... może nawet jeszcze bardziej.

Kiri zgadzała się z nią w zupełności. Nawet na kimś, kto - jak ona - mógł podziwiać przepych hinduskich świątyń, klub Mackenziego sprawiał imponujące wrażenie. Kolorowa sala balowa nakryta była wielką, olśniewającą malowidłami kopułą. Salę oświetlał ogromny gazowy żyrandol. Kiri widywała już gazowe latarnie uliczne, ale Klub Damiana był pierwszym nowoczesnym budynkiem, w jakim była, oświetlonym wyłącznie gazem.

Bal maskowy rozkręcił się już na dobre; w wielkiej sali tłoczyła się ciżba głośno śmiejących się i paplających uczestników tej imprezy. Niektórzy z nich narzucili tylko swe domina na ramiona, niczym płaszcze, by zadziwić otoczenie bogatymi strojami i klejnotami. Inni - jak Kin i Sarah - osłaniali głowę i całą postać fałdami domina, a twarz maską.

Sarah upięła włosy na czubku głowy, by jasne loki nie zdradziły, kim jest. Kiri włożyła spódnicospodnie i buty do konnej jazdy; ledwie je było widać spod czarnego domina, ale dzięki nim oraz jej wysokiemu wzrostowi, można było wziąć ją za mężczyznę. Obie razem wyglądały raczej na młodą parę, co wzbudzało znacznie mniej ciekawości niż dwie samotne dziewczyny poszukujące towarzystwa. Znalazszy się na sali balowej, stanęły pod ścianą tak, by mogły obserwować innych. Kilkoro lukrowatych drzwi łączyło salę balową z sąsiednimi pokojami, w których można było pograć w karty czy kości, a także pokrzepić się jakimś smakołykiem lub trunkiem. Kiri postukiwała stopą w takt muzyki. Przygrywała gościom kilkusobowa orkiestra, zgromadzona na wysokiej galerii. Zarówno utwory muzyczne, jak ich wykonanie, były najlepsze z najlepszych - podobnie jak wszystko w Klubie Damiana.

Zamaskowani mężczyźni w czarnych wieczorowych strojach, którzy krążyli po sali, roznosząc na tacach wysokie kieliszki z szampanem, robili wrażenie silnych i sprawnych. Kin domyśliła się, że do ich obowiązków należało nie tylko roznoszenie trunków, ale i zapobieganie różnym niepożądanym incydentom.

Może jednym z tych zamaskowanych mężczyzn był sam Mackenzie? Chyba nie. Żaden nie przypominał go z postury ani z ruchów. Możliwe zresztą, że Kiri oszukiwała samą siebie, wmawiając sobie, że potrafi rozpoznać Mackenziego w tłumie przebierańców.

Jakiś dżentelmen podszedł do nich i skłonił się nisko przed Sarah. Młodzieńczym, sympatycznym głosem spytał: - Zgodzisz się zatańczyć ze mną, piękna damo? Sądząc po głosie, był zapewne świeżo po studiach; wydawał się równie jak one urzeczony maskaradą u Damiana. Nie wyglądał na niebezpiecznego. Sarah zerknęła na Kiri, ta zaś przyzwalająco skinęła głową.

Omówiły już tę sprawę z góry. Ciemnoniebieskie domino Sarah wyróżniało się korzystnie w chmarze czarnych płaszczy, a jej maska połyskiwała cekinami. Można się było spodziewać, że zwróci czyjąś uwagę. Na

wszelki wypadek Sarah miała przy sobie gwizdek, by w ten sposób wezwać pomocy, gdyby znalazła się w tarapatkach. Po usłyszeniu tego sygnału Kiri miała bezzwłocznie ruszyć na pomoc i albo wykorzystać znajomość szlachetnej sztuki kalarippayattu, albo posłużyć się nożem, który - odebrany przemytnikowi - tkwił teraz w pochewce przymocowanej do przedramienia wojowniczką.

Kiri nie bardzo wierzyła, by zaszła potrzeba posłużenia się tą bronią; bale w Klubie Damiana były doskonale zorganizowane i należycie nadzorowane. Dostrzegła kilka par, wymieniających namiętne pocałunki, ale nic nie wzbudziło w niej obaw.

Ustaliły z Sarah, że za kwadrans dwunasta spotkają się w holu, tuż obok wyjścia, by wymknąć się chyłkiem, unikając zdemaskowania. Murphy uniósł co prawda brwi, gdy Kiri spytała go, czy zawiezie je do Klubu Damiana, ale orzekł, że powinny tam być całkiem bezpieczne. I obiecał, że podjedzie zamkniętym powozem pod same drzwi klubu tuż przed północą.

Gdyby zaś panienki nie wyszły z Klubu Damiana zaraz po północy, Murphy dał słowo, że sam wejdzie do środka i wyciągnie je stamtąd. Z pewnością zdołałby tego dokonać. Ten były żołnierz stanowił dla nich znakomitą ochronę podczas takiego nocnego wypadu.

Podczas gdy Sarah beztrosko płaszała z zamaskowanym partnerem, Kiri wyruszyła na poszukiwanie Mackenziego, podziwiając przy okazji klubowe wnętrza, urządzone z niezwykle przepychem. W gruncie rzeczy maskarada u Damiana nie różniła się zbyt wiele od wielkiego balu w jakiejś prywatnej rezydencji, jeśli nie liczyć tego, że wszyscy nosili maski i domina. Stwarzało to atmosferę tajemniczości, gdyż pod maską mógł się kryć każdy - zarówno jakiś nieznajomy, jak bliski przyjaciel. Jeśli zaś chodzi o damy, to prócz żadnych grzechu były tu całkiem cnotliwe, w rodzaju Sarah Clarke-Townsend, które zapragnęły na chwilę zapomnieć o konwenansach.

Z salą balową łączyły się bezpośrednio trzy pokoje; dwa z nich przeznaczone były dla graczy, w trzecim ustawiono wielki bufet i stoły, przy których można było zjeść kolację. Kiedy Kiri weszła do karcianego pokoju po lewej, podszedł do niej ubrany na czarno lokaj i zaoferował kieliszek szampana. Przyjęła poczęstunek z wdzięcznością. Mówiła umyślnie niskim głosem, by nikt nie miał pewności, czy rozmawia z kobietą, czy z mężczyzną.

Popijając powoli szampana, Kiri przechadzała się bez pośpiechu, chłonąc wszystkimi zmysłami atmosferę klubu. Przede wszystkim posługiwała się swym zmysłem powonienia. Było ono równie czułe jak przysłowiowy słuch absolutny w muzyce. Tak wrażliwy nos to prawdziwy skarb dla wytwórcy czy sprzedawcy perfum. Kiri potrafiła rozróżniać i analizować najbardziej złożone kompozycje zapachowe, a nawet odtwarzać je potem w swoim laboratorium.

W sytuacjach takich jak obecna, Kiri nauczyła się ignorować spotykane na każdym kroku a nieistotne zapachy, które mogłyby przytłumić wszelkie inne wonie. Sprawiało jej jednak większą satysfakcję identyfikowanie perfum, których używali poszczególni uczestnicy imprezy. Nietrudno było, oczywiście, wytropić popularną wodę kolońską lub węgierską czy też fiołki parmeńskie.

Ambitniejszym wyzwaniem dla Kiri było rozróżnianie subtelnych zmian, jakim ulegał zapach perfum, w zależności od osoby, która stale ich używała. Na przykład, woda węgierska w zetknięciu z jedną skórą nabierała „posmaku” lawendowego czy miętowego, podczas gdy na innym ciele wyraźniej dochodziły do głosu cytrusy. W pewnej chwili Kiri zmarszczyła nos, mijając kobietę, która - biedactwo - zalaatywała zjełczałym chypre'em. Trafiali się tacy nieszczęśnicy, którzy doprawdy nie powinni się w ogóle perfumować, gdyż coś w naturalnej woni ich ciała sprawiało, że nawet najdoskonalsze pachnidła jakby fermentowały w zetknięciu z nim.

Kiri wchodziła właśnie do jadalni, gdy nagle ktoś zderzył się z nią i w dodatku oblał ją szampanem.

- Och, tak mi przykro.

Po skruszonym głosiku od razu można było poznać, że jest to panienka z dobrej rodziny, ogromnie przejęta. Miała na sobie domino w kolorze fioletu - tak ciemnego, że graniczył z czernią. Jej pachnidła były z pewnością wykonane na zamówienie, i to z bardzo drogich składników. Panienka stanowczo zbyt obficie oblała się perfumami, które w dodatku odpowiednio były nie dla młodziutkiej dziewczyny, tylko dla kobiety dojrzałej. Może dobrała się do toaletki swojej mamy?

- Nic nie szkodzi - odpowiedziała Kiri, nie starając się tym razem mówić jak mężczyzna. Uznała, że kobiecy głos mniej zaniepokoi tę małą. - Kilka kropel szampana z pewnością nie zostawi śladu na czarnym dominie.

- Pani jest bardzo łaskawa. - Oczy dziewczyny błysnęły zza maski. -Prawda, jakie to wszystko ekscytujące? Jak cudownie rozmawiać z kimś bez całego tego powitalnego ceremoniału.

- Tak, człowiek naprawdę czuje się tu swobodnie - zgodziła się z nią Kiri. - Jestem w Klubie Damiana po raz pierwszy i bardzo mi się tu podoba.

- Dla mnie to też pierwszy raz.

Dziewuszka była wyraźnie zachwycona, że znalazła pokrewną duszę -jeszcze jedną nowicjuszkę w tych progach. Kiri zas była rada, że Klub Damiana jest tak bezpiecznym miejscem. Ta mała sprawiała wrażenie tak naiwnej, że mogłaby wpaść w tarapaty w miejscu mniej pilnie strzeżonym. Pogawędziły jeszcze przez chwilę, a potem rozeszły się, każda w swoją stronę. Kiri poszła sprawdzić, jak sobie radzi Sarah, a dziewczyna ubrana w fioletowe domino wróciła do jadalni, by wypić jeszcze trochę szampana i skosztować pasztecików z homara.

Kiri rozejrzała się po sali balowej i spostrzegła, że Sarah tańczy i śmieje się wesoło; najwyraźniej bawiła się wyśmienicie. Niestety, nadal nie było ani śladu Mackenziego. Kiri miała nadzieję, że wręczy mu ciężką sakiewkę, pełną złotych gwinei, którą ukrywała pod płaszczem. Pragnęła zwrócić swój dług, a jeszcze bardziej - zaspokoić swą ciekawość.

Musiała jednak przedtem odnaleźć Mackenziego, niech go lichy.

## **11**

Mackenzie krążył wśród tłumu, radując się ostatnim balem maskowym w tym sezonie, i nadstawiał ucha, żeby mieć pewność, iż nie zdarzyło się nic, co mogłoby zamącić spokój. Klub Damiana był jednym z nielicznych lokali w Londynie, gdzie dobrze urodzeni mężczyźni i kobiety mogli potańczyć, napić się wina i pograć w karty. Mac nie zamierzał dopuścić do tego, by coś w jego klubie odstraszyło kobiety; to właśnie ich obecność sprawiała, że schodziły się tu tłumy, a Klub Damiana górował nad wszystkimi innymi.

Mac omiół wzrokiem salę balową, szukając Jean-Claude'a Baptiste'a, człowieka, któremu powierzył zarządzanie klubem. Ten szczupły, ciem-

nowłosy Francuz opuścił swą ojczyznę w czasach terroru, będąc jeszcze młodzieniaszkiem. Teraz, po wielu latach spędzonych w Londynie, tylko leciutki cudzoziemski akcent zdradzał jego pochodzenie. Chociaż Baptiste był, jak niemal wszyscy, w czarnym wieczorowym ubraniu i w masce, Mac dostrzegł go bez trudu. Zarządzający rozmawiał właśnie ze swym przyjacielem, lordem Fendallem. Ten dżentelmen, odziany zawsze według najświeższej mody, był stałym bywalcem Klubu Damiana i zapewniał jego właścicielom niebagatelny zysk.

Wtopiwszy się w tłum anonimowych czarnych płaszczy, Mac niepostrzeżenie zbliżył się do rozmawiających i stanął tuż za plecami Baptiste'a. Na tyle głośno, by zostać usłyszanym mimo panującego na sali radosnego gwaru, spytał:

- Jakież problemy?

Baptiste wzdrygnął się gwałtownie.

- Jeśli umrę na atak serca, będzie to wyłącznie twoja wina, *mon ami*. Nie mamy żadnych problemów oprócz tego, że zwaliło się znacznie więcej gości, niż oczekiwaliśmy.

- I nic dziwnego - wtrącił Fendall z leniwym uśmiechem. - Wszak to ostatni bal maskowy u Damiana aż do wiosny, więc każdy chce czerpać radość pełnymi garściami, nie pozostawiając ani okruszka.

- Z pasztecików z homara wkrótce też nie pozostanie ani okruszka -zauważył Mac.

- Kolejną ich porcję właśnie dostarczono z kuchni - uspokoił go Baptiste. - A z piwnicy wydobyto dalsze butelki wina i innych trunków. Doskonale się złożyło, że dopiero co otrzymaliśmy nową dostawę spirytualiów.

- A co z obsługą? - spytał Mac. - Nie wszyscy należą do naszego stałego personelu.

- Zaprosiłem na naszą imprezę wielu bezrobotnych aktorów, obiecując im darmowe picie i wyzerkę, a także trochę gotówki, gdyby zechcieli nam pomóc w pracy. - Baptiste ruchem głowy wskazał najbliższego mężczyznę w czerni, z tacą pełną kieliszków z szampanem. - Wszyscy aż się rwali do pomocy. Cienko przęda, biedaczyska.

- Oto dobre, praktyczne rozwiązanie. - Mac błogosławił dzień, w którym zatrudnił w swoim klubie Baptiste'a.

Francuz był doskonałym zarządzającym; zdjął z barków Maca mnóstwo rutynowych obowiązków. -Zajrzę jeszcze do karciarzy.

Baptiste skin;!)! głową i rozeszli się, każdy w inną stronę. Mac wsłuchiwał się w urywki rozmów, toczących się wokół niego; były to jednak tylko banalne zalecanki albo uwagi na temat dzisiejszego balu czy też nowego wystroju klubowych pomieszczeń.

Podczas maskarad Mackenzie spędzał większość czasu na pilnowaniu porządku przy karcianych stołach. Co prawda bardzo wielu sprawiających kłopoty graczy trzymało się z dala od Klubu Damiana, ale Mac wiedział z doświadczenia, że maski i domina znakomicie ułatwiają zadanie szulerom.

Zakończył już prawie swój obchód i przemyślał właśnie o tym, że zajrzy jeszcze do bufetu, gdy zauważył, że dzieje się coś niedobrego przy stoliku w głębi drugiego z pokoi karcianych. Dwie osoby grały przy nim w pikietę i atmosfera była tak pełna napięcia, że Mac widział niemal, jak burzowe chmury zbierają się nad stolikiem. Podeszedł tam, niby to przypadkowo, i ocenił sytuację doświadczonym wzrokiem.

Kapturek jednego z graczy opadł mu na plecy, odsłaniając jasną czuprynę i złane potem czoło. Sądząc po nieosłoniętej maską części twarzy, był to młody, przerażony chłopak. Jego przeciwnik z wyraźną wprawą rozdawał karty. Na stole obok niego leżało sporo zapisanych karteluszków, zapewne skryptów dłużnych, wystawianych przez młokosa po każdej przegranej.

Oczy Maca zwięzły się, gdy śledził zręczne ruchy rąk starszego z graczy. Co się zaś tyczy jego tożsamości, niewielka blizna na grzbiecie ręki potwierdziła słuszność podejrzeń Mackenziego.

- Dobry wieczór, Digby. Jak to ładnie z twojej strony, że zechciałeś dać temu młodemu dżentelmenowi przykładową lekcję, jakich sztuczek należy się wystrzegać podczas gry w karty.

Mac położył rękę na ramieniu szulera pozornie przyjaznym gestem, ale jego palce wpiły się boleśnie w to ramię.

- Czy pan Digby uprzedził, że to tylko niewinna zabawa, dla pogłębienia pańskiej edukacji?

Młody człowiek podniósł wzrok. W jego oczach, ledwie widocznych w otworach maski, błysnęła rozpaczliwa nadzieja.

- Nie. Nic takiego nie powiedział. Czy doprawdy... graliśmy tylko na niby?

- Taka lekcja odnosi zwykle lepszy skutek, jeśli instruowany gracz naprawdę się przestraszy - zauważył jowialnie Mac, zgarniając ze stołu skrypty dłużne. Odczytał nazwisko nabazgrane na pierwszym z nich. -



Proszę zaczekać tu na mnie przez chwilę, panie Beato... Opowiem panu więcej o naszym programie edukacyjnym dla młodych graczy, jak tylko zamienię kilka słów z panem Digby.

Chłopak skinął potakująco głową, nie mogąc jeszcze uwierzyć w swoje szczęście Digby zaś mruknął pod nosem coś paskudnego, kiedy bolesny uścisk Maca zmusił go do wstania z krzesła. Mackenzie niby to po przyjacielsku otoczył szulera ramieniem; skierowali się ku bocznym drzwiom. .

- Cóż za wulgarny język - zauważył Mac z niesmakiem. - Proszę mieć wzgląd na obecne tu damy.

I uśmiechnął się od ucha do ucha, usłyszawszy w odpowiedzi jeszcze bardziej soczyste przekleństwo, wypowiedziane wszakże tak cicho, że nikt prócz Maca nie mógł podziwiać tej wiązanki.

Gdy tylko wyszli z pokoju karcianego na korytarz dla służby Mackenzie odezwał się jedwabistym tonem:

- Czyżbym wyraził się me dość jasno, kiedy stwierdziłem, że me życzę sobie nigdy więcej widzieć cię w moim klubie, panie Digby? Czy napomknąłem coś, co mogłoby sugerować, że podczas balu i w tym operetkowym przebraniu będziesz tu mile widziany?

Digby z groźnym pomrukiem wyszarpnął rękę z bolesnego uścisku.

- Ktoś przecie musi oskubać tego żółtodzioba, no nie? Czemu nie ja, do cholery?

\_ Być może ktoś go oskubie, ale nie u Damiana. - Mac zmarszczył brwi i nadal prowadził Digby'ego korytarzem, niczym aresztanta do celi - Prawdę mówiąc, to by nie był wcale głupi pomysł, takie pokazowe lekcje dla niewiniątek z prowincji, jak można zostać oszukanym podczas gry w karty. Co bystrzejsi nauczyliby się lepiej pilnować swojej sakiewki.

- Większość z nich tylko by się nauczyła, jak oszukiwać - sarknął Digby.

- No to miałbyś zdrową konkurencję. - Dotarli do drzwi wyjściowych. Mac zacisnął znów palce na nadgarstku szulera. - Zapamiętaj, Digby to ostatnie ostrzeżenie: jeśli zjawisz się tu jeszcze raz, wszystko jedno wja-kim przebraniu, przekonasz się, czemu nazywają mnie Mackie Majchrem.

Digby znów mu się wyrwał.

- Bez obawy. Moja noga nigdy już nie postanie w tym przeklętym klubie. . Zerwał maskę, odsłaniając twarz podobną do pyszczka łasicy.

- Jak to miło, że jesteśmy jednomyślni w tym względzie.

Mac przytrzymał drzwi, póki Digby nie znalazł się na ulicy, po czym zamknął je na klucz.

Teraz należało przemówić do rozumu niemądrej ofercie Digby'ego. Mac zastał młodego George'a Beatona dokładnie tam, gdzie go zostawił. Młodzieniec kurczowo zaciskał w rękę pusty kieliszek po szampanie.

Mackenzie zajął miejsce opuszczone przez Digby'ego i spytał łagodnie:

- Cóż cię opętało, młody człowieku, żeby grać - i to tak wysoko - z nieznajomym na maskaradzie? Choćbyś nawet znał swego przeciwnika, jeśli jest zamaskowany, trudno coś wyczytać z jego twarzy. I tym łatwiej wówczas przegrać.

Widoczna część twarzy chłopca poczerwieniała.

- Z początku to była przyjacielska partyjka...

Mac wyjął z kieszeni zmięte skrypty dłużne i zaczął je przeglądać, pogwizdując przez zęby, gdy sumował przegrane kwoty.

- Ale niezbyt długo to trwało, co?

Wpatrywał się bacznie w częściowo zasłoniętą maską twarz chłopaka.

- Jesteś synem Alfreda Beatona? - Gdy dzieciak przytaknął, Mac dodał: - Słyszałem, że niedawno zmarł. Szczerze ci współczuję.

Młody Beaton wymamrotał coś, co miało być zapewne podziękowaniem, a wówczas Mackenzie podniósł rękę z pokaznym pękiem jego skryptów dłużnych.

- Jak myślisz, byłby teraz z ciebie dumny?

Czerwona przed chwilą twarz chłopca nagle zbieleła. Mac bezlitośnie kontynuował:

- Coś mi się zdaje, że nie zdołałbyś spłacić tych zobowiązań, nie zaciągając długu hipotecznego na rodzinnym majątku. Masz młodsze siostry, prawda? I matkę, która dopiero co owdowiała? Myślisz, że będą szczęśliwe, wegetując w jakiejś ruderze, kiedy przegrasz w karty rodzinny dom? Mam też nadzieję, że twoim siostrom przypadnie do gustu profesja guwernantki, bo jeśli nadal będziesz się tak hazardował, z pewnością pozbawisz je posagu.

- Ależ ja nie chciałem zrobić nic złego. Mac westchnął.

- Nałogowi gracze wiecznie to powtarzają. I nigdy nie jest to ich wina, jeśli doprowadzą do ruiny swoich najbliższych. Winne są zawsze złe karty, albo kości, albo nieprzychylna pani Fortuna.

- Przyznaję, że zachowałem się jak ostatni dureń. - Beaton nic odrywał wzroku od skryptów dłużnych w ręku Maca.
- Nigdy już nie postąpię tak głupio. Czy zwróci mi pan te skrypty?
- Mac doszedł do wniosku, że nauczka powinna być nieco boleśnieszka.
- Zachowam je... powiedzmy, na trzy lata. Jeśli nadal będziesz się hazardował, dowiem się o tym wcześniej czy później, i wystawię te skrypty dłużne na widok publiczny, żeby cały świat mógł im się przyjrzeć. Zostaniesz zdemaskowany jako głupiec bez honoru, który gra nadal, choć dawno już wszystko stracił.
- To by zniszczyło moją reputację.
- Wolisz zniszczyć wszystkich, których kochasz? - rzucił oschłym tonem Mac. - Nie przyszło ci do głowy, że mądrzej byłoby wyrzec się gry w karty?
- Wszyscy w nie grają. - zjeżył się Beaton. - Mój ojciec zawsze odwiedzał Klub Damiana, ilekroć był w Londynie.
- Ale nigdy nie przegrał więcej, niż mógł sobie na to pozwolić. - Mac pojął, że dzisiejsza nocna eskapada Beatona miała coś wspólnego ze śmiercią jego ojca i z tym, że chłopiec chciał dowieść samemu sobie, że jest już mężczyzną.
- Jeśli nie wyobrazasz sobie życia bez kart, powiem ci, jak możesz w nie grać, nie doprowadzając się do ruiny. Będzie to metoda, którą z powodzeniem stosował twój ojciec.
- Młody Beaton zmarszczył brwi.
- Na czym ona polega?
- Zdecyduj, ile możesz przegrać jednego wieczoru. Dziesięć funtów? Pięćdziesiąt? Z pewnością nie więcej. Miej tę sumę przy sobie, w gotówce - i nigdy jej nie przekraczaj. Póki karta będzie ci szła, możesz grać, ile zechcesz. Kiedy jednak przegrasz to, co miałeś przy sobie, koniec na dziś. Żadnych skryptów dłużnych, żadnych ustnych zobowiązań. - Mac spojrział na pusty kieliszek Beatona. - I nigdy nie pij więcej niż dwa kieliszki podczas gry, choćbyś grał przez całą noc.
- Co za bzdury. Takie nędzne stawki? - wykrzyknął chłopiec. - Wszyscy przyjaciele wytykaliby mnie palcami.
- Może warto w takim razie poszukać innych przyjaciół? Tacy, którzy cię zachęcają, żebyś się zrujnował dla ich uciechy, nie zasługują na to piękne miano. - Mac pomachał trzymanymi w ręku karteluszkami. -

A jeśli całkiem się zatracisz w hazardzie i roztrwonisz cały swój majątek, z przyjemnością zniszczę twą ceną reputację.

- Przecież to szantaż - stwierdził Beaton, raczej ze zdumieniem niż z gniewem.

- I owszem - odparł beztrąsko Mac. - No i jak, skutkuje? Beaton odetchnął głęboko.

- Chy... chyba tak. Nigdy jeszcze nie czułem się tak podle jak w chwili, gdy dotarło do mnie, ile przegrałem. - Poruszył nerwowo grdyką. - Rozumiem teraz, dlaczego niektórzy popełniają samobójstwo, utraciwszy wszystko. Aleja grałem nadal, bo jedyny ratunek widziałem w tym, że kiedyś karta się odwróci i odzyskam wszystko.

- Nie najlepsza strategia, zwłaszcza gdy się gra z doświadczonym szulerem.

- To on oszukiwał?

Mac wziął do ręki karty, zręcznie je potasował i zauważył, że niektóre były znaczone.

- Owszem. Ale choćby nawet nie oszukiwał, pewnie by i tak wygrał, bo to wytrawny gracz. Zapamiętaj: choćbyś się uważał za nie wiem jak utalentowanego gracza, zawsze się znajdzie ktoś, kto jest w tym lepszy od ciebie. Albo ma więcej szczęścia.

Beaton uśmiechnął się krzywo.

- Pańska lekcja odniosła zamierzony skutek. Nie pozwolę się dłużej wodzić za nos ludziom, którzy wcale nie dbają o moje dobro. Mam zaszczyt rozmawiać z panem Damianem Mackenzie, nieprawdaż? Dziękuję, że poświęcił pan tyle czasu, by wyciągnąć mnie z kłopotów, w które sam się wpakowałem. I dziękuję, że natarł mi pan porządnie uszu.

- O, jedynie w przenośni. Nie byłaby to zbyt dobra reklama dla klubu, gdybyśmy się pastwili nad naszymi gośćmi, i to bez powodu. Proszę zajrzeć do naszego bufetu; to bardziej poprawia nastrój niż gra w karty.

Mac pożegnał młodego Beatona skinieniem głowy i odszedł. W Klubie Damiana wygrywano i przegrywano ogromne sumy, ale Mackenzie nie mógł pozwolić, by doprowadzono tu do całkowitej ruiny naiwnych niedorostków. Miał wrażenie, że ten dzieciuch wyciągnie właściwe wnioski z dzisiejszej przygody.

Przystanął w drzwiach sali balowej, by popatrzeć na tańczące pary. Lubił, gdy jego goście dobrze się bawili. I lubił taniec. Może po kulmi-

nacyjnym punkcie balu, którym będzie zdjęcie masek, pozwoli sobie na jeden czy dwa tańce, o ile wszystko będzie szło gładko.

Jakaś postać, odziana w czarne domino, zatrzymała się tuż przed nim i także przyglądała się tańczącym. Mac nagle skamieniał. Całe jego ciało przeszył dreszcz. Kwitnące bzy, egzotyczne korzenie i kobieta, której nie sposób się oprzeć...

Bez zastanowienia objął ją ramieniem w talii i przyciągnął tak mocno do siebie, że przywarła plecami do jego klatki piersiowej. Była smukła i silna jak pantera pod fałdami okrywającego ją domina. Krew tętniła mu w żyłach, gdy szepnął jej do ucha:

- Jakież to szalonego pomysłu sprowadził cię tu dziś w nocy, lady Kiri?

## 12

Kiri zeszywniała, gdy Mackenzie wyłonił się z niebytu i przyciągnął ją nieustępliwie do swej twardej piersi.

Ogarnęło ją gorąco - od łopatek po siedzenie. Nie wiedziała, czy wyrwać mu się, czy też wtulić się w niego jeszcze mocniej. Nie zdecydowawszy się ani na jedno, ani na drugie, odpowiedziała mu równie cicho:

- Chciałam oddać pięćdziesiąt gwinei, które jestem panu winna, panie Mackenzie.

- To nie była pożyczka, lady Kiri - odparł zaskoczony. - Zrobiłem tylko to, co zrobiłby na moim miejscu każdy mężczyzna. Wcale nie liczyłem na zwrot pieniędzy.

- Może i nie. Ale ja nie chcę być panu nic dłużna, a pięćdziesiąt gwinei to niebagatelna sumka. Czyżby duma panu nie pozwalała przyjąć pieniędzy od kobiety?

- Nigdy się nie unoszę dumą, gdy idzie o pieniądze. - Puścił Kiri i roześmiał się. Poczwała ciepło jego oddechu. - Nie powinna pani jednak wręczać mi tak okazałej kwoty na oczach ludzkich. Przejdźmy do mojego gabinetu; jest w nim sejf.

Ujął ją stanowczo pod ramię i poprowadził przez jeden z pokoi karcianych ku drzwiom ukrytym w boazerii. Znajdował się za nimi długi korytarz, oświetlony niewielkimi gazowymi kinkietami. Po zamknięciu

drzwi do Kiri i Maca docierał już tylko stłumiony gwar rozmów i ciche dźwięki muzyki, mogli więc porozumiewać się bez przeszkód.

- To gazowe światło robi duże wrażenie - zauważyła Kiri, omiatając wzrokiem korytarz. - Mój brat zastanawia się nad zainstalowaniem takiego oświetlenia w Ashton House. Namówię go na to.

- To światło jest silniejsze i mniej migotliwe niż blask świecy czy oliwnej lampy. Jak tylko na pierwszej z londyńskich ulic - Pall Mail - zainstalowano latarnie gazowe, postarałem się, żeby i w moim klubie było takie oświetlenie. - Dotykając nadal ramienia Kiri, poprowadził ją korytarzem na tyle szerokim, że mogli iść obok siebie.

- Przyszła tu pani sama?

Pokręciła głową.

- Wybrałyśmy się we dwie... i mamy zapewniony bezpieczny powrót do domu, jak tylko opuścimy klub.

Mac uśmiechnął się krzywo.

- Cóż za ironia losu. Robię wszystko, co w mojej mocy, by każdy, kto odwiedzi mój klub, czuł się w nim bezpiecznie, a mimo to niepokoję się o bezpieczeństwo takiej zaradnej i samodzielnej młodej damy.

- Nie ma najmniejszej potrzeby, żeby się pan o mnie niepokoił - odparła cierpko.

Skręcili w korytarz na lewo, potem znów na prawo.

- Istny labirynt - zauważyła, gdy znaleźli się w tylnej części budynku. Mac ściągnął maskę.

- Ten klub powstał z połączenia trzech różnych budynków. Stąd mnóstwo korytarzy i pewne niekonsekwencje w rozkładzie pomieszczeń. Tamte drzwi na prawo prowadzą do mego gabinetu.

Jednak zamiast do niego wejść, wpatrywał się z natężeniem w Kiri. Potem zdjął jej maskę. Poczula na włosach lekkie muśnięcie jego ręki. Powietrze między nimi doszło do stanu wrzenia.

- Kiedy byliśmy razem w stodole, odebrałem już zapłatę w innej monecie - powiedział zdławionym głosem. - Jeśli więc chce mi pani zwrócić pieniądze, muszę oddać to, co wtedy wzięłem.

Przyciągnął ją do siebie i zwrócił pocałunek z procentem.

A niech to wszyscy diabli - myślała bezradnie Kiri, otwierając ochoczo usta pod naporem jego ust. Owo wrażenie, że ogarnął ich oboje płomień, nie było złudzeniem. Pragnęła tulić się do Maca, przemawiać do niego,

śmiać się razem z nim... Było to wzajemne przyciąganie, zarówno umysłowe, jak fizyczne.

Miała jednak do czynienia z człowiekiem światowym, który z pewnością pożądał wielu kobiet. I kierował się w życiu swymi zachciankami. Inaczej nie byłby taki biegły w sztuce całowania, że aż jej to odbierało rozum. Ani w odnajdywaniu na jej ciele najwrażliwszych miejsc i drażnieniu ich językiem, ani w głaskaniu pleców Kiri tak, że czuła, iż stapia się z nim w jedno.

Przypomniała sobie, że niektóre z najstojniejszych londyńskich piękności są stałymi bywalczyniami Klubu Damiana - między innymi mężatki, które wprost się rwały do romansów. Uprzytomnienie sobie tego sprawiło, że Kiri zdołała powiedzieć, choć brakło jej tchu:

- Pocałunek został uczciwie zwrócony. - I uwolniła się z jego objęć. - Kiedy oddam pieniądze, wszelkie rachunki między nami będą wyrównane.

Wpatrywał się w nią przez długą, pełną napięcia chwilę, nim otworzył drzwi, wiodące do jego gabinetu. Kiri weszła do środka i zdumiała się na widok ciemnowłosego mężczyzny, który stał pochylony nad biurkiem i przeglądał teczkę pełną dokumentów.

Kiri odniosła wrażenie, że ten ktoś ma się na baczności i jest chyba niebezpieczny.

Ciemnowłosa mężczyzna podniósł głowę, jego twarz przybrała miły, przyjazny wyraz. Dobry Boże, toż to szkolny kolega jej brata, lord Kirkland. Ten bogaty szkocki przedsiębiorca okrętowy bywał regularnie w Londynie i za każdym razem odwiedzał Adama i Mariah. Kiri zawsze uważała go za niezwykle uprzejmego, dowcipnego, nieco tajemniczego dżentelmena. Nigdy jednak nie przyszło jej do głowy, że mógłby być niebezpieczny.

Skłonił się elegancko.

- Dobry wieczór, lady Kiri. Chyba nie powinienem pytać, co panią do nas sprowadza? - Uśmiechnął się, na ogorzałej twarzy pojawiły się niewielkie zmarszczki wokół oczu. - Mackenzie opowiedział mi o pani przygodzie; wyjaśniam to na wypadek, gdyby pani była tego ciekawa.

- Owszem, byłam - przyznała, podając mu rękę. - A przyszłam tu, by spłacić swój dług. Ale chciałam również zwiedzić słynny Klub Damiana, o którym tyle słyszałam.

- Mam nadzieję, że nie rozczarowała się pani?

- Bynajmniej. - zapewniła go. - Ten klub spełnia wszelkie oczekiwania.

- Nie sądziłem, że zjawisz się tu dziś wieczorem, Kirkland - zauważył Mackenzie, odsuwając oprawną w ramy karykaturę, pod którą znajdował się sejf z bardzo skomplikowanym zamkiem.

- Wydarzyło się coś, o czym muszę z tobą pomówić - wyjaśnił Kirkland. - To nic wielkiego, ale ma związek z naszymi interesami.

Ton głosu był lekki, ale oczy Kirklanda spoglądały poważnie.

- Mało kto o tym wie - wyjaśnił Mackenzie, otwierając sejf - ale Kirkland i ja jesteśmy współnikami. Klub Damiana należy do nas obu.

Szkot wzruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, wszystko spoczywa na głowie Maca. Ja pomagam mu tylko od czasu do czasu w nudnych problemach finansowych. A klub był od początku znakomitą inwestycją.

Mackenzie uśmiechnął się szeroko.

- Problemy finansowe mogą się wydawać nudne, ale mają pierwszorzędne znaczenie.

Przypomniawszy sobie o pieniądzach, Kiri rozpięła domino, by sięgnąć po sakiewkę z pięćdziesięcioma gwineami.

Wręczając ją Macowi, odezwała się przesadnie oficjalnym tonem:

- Panie Mackenzie, proszę przyjąć wyrazy mojej wdzięczności. Okazał pan tyle odwagi i poświęcenia. Posunął się pan nawet do oszukiwania podczas gry w karty.

Mac roześmiał się i przyjął pieniądze. Jego palce musnęły przy tym paluszki Kiri. Poczowała coś w rodzaju niewielkiego wyładowania elektrycznego. O ileż byłoby prościej, gdyby ich wzajemny pociąg okazał się tylko przelotnym efektem wspólnie przeżytej przygody. Było w tym jednak coś więcej. Kiri czuła się w jakiś sposób związana z tym człowiekiem. Siłą się na lekki ton, spytała:

- Nie sprawdzi pan, czy zwróciłam dokładnie tyle, ile należało? Mackenzie uniósł brwi.

- Podejrzewam, że raczej by pani przepłaciła, niż urwała coś z należnej zapłaty. - Zważył sakiewkę na dłoni. - Ale w oparciu o swe bogate doświadczenie w operacjach finansowych sędzę, że jest tu dokładnie pięćdziesiąt gwinei. Był diabelnie spostrzegawczy. Kiri zastanawiała się, czy nie włożyć do sakiewki większej kwoty, ale nie miała pojęcia, jak wycenić to wszystko, co dla niej zrobił.



- A zatem, jeśli sprawa załatwiona, pozwolą panowie, że ich pożegnają. - Kiedy Mac chciał do niej podejść, powstrzymała go ruchem ręki. - Nie musi pan mnie odprowadzać, panie Mackenzie. Znajdę bez trudu drogę powrotną. Już najwyższy czas odnaleźć mą towarzyszkę i opuścić klub.

- Bardzo się cieszę, że całkiem już pani doszła do siebie po tym porwaniu.

Powiedział to uprzejmym tonem, ale w jego oczach kryła się tęsknota, dorównująca jej tęsknocie. A zatem nie tylko ona cierpiała na skutek tego niepojętego wzajemnego przyciągania.

Otworzyła drzwi gabinetu, zastanawiając się, jakie to niezmiernie ważne, typowo męskie sprawy będą w nim omawiane, skoro tylko ona znajdzie się poza zasięgiem ich głosów. Gdy przestąpiła próg, dostrzegła kątem oka jakiś ruch po prawej, na skrzyżowaniu dwóch korytarzy.

Kiri odwróciła się w tamtą stronę, żeby wyraźniej widzieć, co się tam dzieje... i nagle zapało jej dech. Pięciu zamaskowanych mężczyzn ciągnęło, nie wiadomo dokąd, drobniejszą, dziewczęcą postać, odzianą w znane już Kiri ciemnofioletowe domino.

- Mac! Kirkland! - krzyknęła przeraźliwie. - Napadnięto kobietę!

I co sił w nogach pomknęła jej na ratunek. W biegu rozpięła ostatni guzik swego domina i pozwoliła mu opaść na podłogę, dzięki czemu odzyskała swobodę ruchów. Słyszała, jak Mackenzie i Kirkland wypadają z gabinetu i biegną w ślad za nią.

Napastnicy i ich ofiara zniknęli za zakrętem w prawo. Gdy Kiri dotarła do skrzyżowania korytarzy, dostrzegła na końcu krótkiego pasaży drzwi wychodzące na alejkę za klubem. Porywacze dotarli już niemal do tych drzwi.

Depcząc im po piętach Kiri przekonała się, że ofiarą porywaczy była istotnie panią, z którą poprzednio rozmawiała. Wyrwijącej się dziewczynie zdarto maskę z twarzy i ciężka łapa zacisnęła się na jej ustach. Czemu tych pięciu mężczyzn zaatakowało niewinne dziewczątka? Czyżby chodziło o idiotyczny zakład po pijanemu? A może miał to być wstęp do zbiorowego gwałtu?

Choć Kiri nie była w stanie pokonać w pojedynkę pięciu mężczyzn, mogła powstrzymać ich na kilka bezcennych sekund, w czasie których przybiegną Mackenzie i Kirkland. Uniesienie bitewne sprawiło, że wydała mrozący krew w żyłach okrzyk i wykorzystała całą swą znajomość kalarippayattu, by pokrzyć szyki przeciwnikom i zbić ich z tropu.

Porywacze odwrócili się, zaskoczeni jej okrzykiem. Kiri podskoczyła, wierzgnęła nogą w powietrzu i czubkiem ciężkiego buta walnęła z całej siły najbliższego z nich w pachwinę.

- Ty bydlaku! - syknęła z wściekłością.

"wrzasnął rozpaczliwie i skulony upadł na podłogę, osłaniając rękoma krocze. Niezmiernie rada, że ma na sobie spódnicospodnie i buty do konnej jazdy, Kiri wyciągnęła z rękawa zgrabny nożyk, zdobyty na przemytniku. Gdy dźgnęła tą bronią następnego opryszka, zawył i rzucił się do ucieczki. Ostrze tak głęboko utkwilo w jego mięśniach, że rękojeść wyslizgnęła się Kiri z ręki.

- Na dwór - warknął wysoki mężczyzna głosem nawykłym do rozkazywania. Wydawał się przewodnikiem tej grupy; to właśnie on szamotał się z porwaną dziewczyną w pobliżu drzwi.

Nie było czasu na odzyskiwanie noża, gdy porywacze chcieli wywlec swą ofiarę z budynku. Kiri - nieustraszona wojowniczką - skoczyła za nimi... i ujrzała wycelowany w siebie pistolet. Trzymał go w ręku zbir najmocniej zbudowany i najgroźniej wyglądający z całej piątki.

Ponieważ na korytarzu nie można się było nigdzie ukryć, Kiri biegła zygzakiem, modląc się w duchu, by strzelający spudłował. On jednak uśmiechnął się tylko paskudnie i uniósł broń.

Wystrzał rozbrzmiał groźnym echem w całym korytarzu, a twarz osiłka zmieniła się w straszliwą papkę strzaskanych kości i krwi. Kula ugodziła go z zatrwającą celnością. W chwili gdy padał, jego pistolet także wypalił, ale pocisk utkwiał w ścianie, nie wyrządzając nikomu krzywdy.

Kiri obejrzała się do tyłu i zobaczyła Kirklanda. Stał w miejscu, gdzie korytarze krzyżowały się ze sobą; w ręku miał dymiący jeszcze pistolet i z lodowatym spokojem ładował go po raz drugi. Mackenzie doścignął pozostałych porywaczy i okładał ich pięściami z nieubłaganą celnością zawodowego boksera.

Przywódca napastników sięgnął jedną ręką do klamki, drugą przytrzymał wyrywającą się dziewczynę. Kiri dopadła go i kopnęła w rękę, którą zaciskał na ramieniu małej.

Zaklął i rozluźnił chwyt. Kiri chwyciła nieznajomą w talii i odciągnęła ją od drzwi. Przywódca porywaczy rzucił się na obie kobiety, chcąc odzyskać swą zdobycz.

- Nie, do wszystkich diabłów. Zbyt cenny z ciebie ptaszek, żebym ci pozwolił uciec.

Nie wiedzieć czemu, Kiri miała wrażenie, że jest w tym człowieku coś z dandysa o kosztownych upodobaniach. Dźgnęła go w szyję sztywnymi, wyprostowanymi palcami. Wydał jakiś zdławiony dźwięk. Bezradna wściekłość błysnęła w jego jasnych, złych oczach. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wypadł na zewnątrz, omal nie tracąc przy tym równowagi. Dwaj jego ludzie natychmiast wybiegli za nim.

Mackenzie popędził za uciekającymi.

- Podłe sukinsyny! - przeklinał, ścigając ich w ciemnej alejce. - Nie ujdzie wam to na sucho.

Gdy drzwi zatrzęsły się za nim, Kiri nadal mocno obejmowała drżącą z przerażenia panienkę.

- Nic się pani nie stało?

Dziewczyna potrząsnęła głową. Łzy spływały jej po twarzy, choć starała się panować nad sobą. Miała niebrzydka buzię, ale daleko jej było do oszołamiającej piękności, która doprowadza mężczyzn do szaleństwa. A przy tym wyglądała bardzo, ale to bardzo młodo.

- Oni... nie zrobili mi nic złego.

Podszedł do nich Kirkland, w ręku miał pistolet, zwrócony lufą do dołu.

- Na szczęście powstrzymaliśmy ich, zanim...

Urwał nagle i zapadła przytłaczająca cisza, gdy wpatrywał się w panienkę, ubraną w fioletowe domino.

Potem przyklęknął na jedno kolano i pochylił głowę w ukłonie.

- Bogu niech będą dzięki, że nic się nie stało Waszej Wysokości. Waszej Wysokości? Zaszokowana Kiri gapiała się na uratowaną przez

nich dziewczynę - i nagle dotarło do niej znaczenie słów Kirklanda.

Zdołali właśnie ocalić księżniczkę Charlotte, jedyne ślubne dziecko księcia regenta, przyszłą następczynię angielskiego tronu.

### **13**

Kiri nigdy dotąd nie zetknęła się z księżniczką Charlottą, ponieważ dziewczyna miała zaledwie szesnaście lat i - jak wszyscy wiedzieli - chowano ją pod kloszem. Przypominała jednak z wyglądu innych przedstawicieli

władającej Anglią dynastii hanowerskiej: była wysoka jak na swój wiek, jasnowłosa i dość tęga.

Co więcej, Kirkland nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, kim jest to dziewczątka. Ponieważ księżniczka wyglądała już lepiej i można było przypuszczać, że utrzyma się na nogach, Kiri wypuściła ją z objęć i złożyła głęboki ukłon.

- Wasza Wysokość, błagam o wybaczenie, jeśli nie okazałam należnego szacunku.

- To ja winna jestem najszczerzą wdzięczność za to, co pani dla mnie uczyniła. - Jasnoniebieskie oczy Charlotty rozbłysły. - Nigdy nie widziałam kobiety, która potrafiłaby się bić jak pani.

- Uczono mnie od młodości starodawnej hinduskiej sztuki walki - wyjaśniła Kiri i wyprostowała się. Serce jej biło przyspieszonym rytmem po emocjach walki i z powodu tego zdumiewającego spotkania. - Ale bez pomocy lorda Kirklanda i pana Mackenziego znalazłybyśmy się obie w poważnym kłopotcie.

Spojrzenie księżniczki padło na krwawe zwłoki mężczyzny zastrzelonego przez Kirklanda. Poza tym jeszcze jeden człowiek leżał bez ruchu w kałuży krwi, twarzą do podłogi. Był nieprzytomny, ale wciąż jeszcze oddychał. Kiri pomyślała, że być może jest to porywacz, którego raniła w ramię; nie mogła jednak zdobyć się na dokładne oględziny, żeby przekonać się, czy w ranie nadal tkwi nóż.

Twarz Charlotty pobladła na widok nieruchomych ciał, księżniczka lekko się zachwiała. Kiri chwyciła ją za ramię.

- Zaprowadzę Jej Wysokość do gabinetu. Czy znajdzie się tam koniak?

- W szafce z trunkami. Kiedy pani już zaaplikuje księżniczce dawkę koniaku, proszę pociągnąć trzykrotnie za sznur od dzwonka. Zjawi się wówczas dwóch strażników, którzy będą odpowiadać za wasze osobiste bezpieczeństwo.

Widać było, że Kirkland przeżył nie lada szok, zdołał jednak opanować się po mistrzowsku.

- Trzeba będzie odwieźć Jej Wysokość do domu, zapewniając jej całkowite bezpieczeństwo. Wjaki sposób pani, lady Kiri, dotarła do klubu?

- Przyjechałam tu powozem wraz z Sarah Clarke-Townsend. Przywiózł nas Murphy, główny stajenny Adama.

- Proszę wysłać jednego ze strażników na poszukiwanie panny Sarah; niech ją przyprowadzi do gabinetu. Drugi z nich odnajdzie powóz i Murphy'ego, i poleci mu, żeby podjechał pod boczne wejście do klubu.

- Pani, lady Kiri, i panna Sarah odwieziecie księżniczkę do domu. Tamci dwaj oraz Murphy zapewnią wam bezpieczeństwo. - Kirkland zmierzył twardym wzrokiem leżących na podłodze opryszków. - A ja przez ten czas dowiem się, czego tylko zdołam, o tych łajdakach i o ich zamiarach.

Obie damy z prawdziwą ulgą skrzyły w główny korytarz, gdzie nie było krwi ani trupów. Kiri, podtrzymując księżniczkę, zaprowadziła ją do gabinetu. Po drodze podniosła domino, które z siebie zrzuciła. Nagłym chłodem przejęła ją myśl, że ataku na księżniczkę na pewno dokonano z premedytacją. Tych pięciu mężczyzn rozpoznało Charlotte i z całą świadomością usiłowało ją uprowadzić z Klubu Damiana. Ale w jakim celu? I skąd wiedzieli, gdzie jej szukać?

Gdy tylko znalazły się w gabinecie, Kiri podprowadziła Charlotte do najwygodniejszego fotela.

- Przypuszczam, że Wasza Wysokość pragnęła przeżyć miłą, niewinną przygodę, ale wydarzyło się coś znacznie groźniejszego, niż Wasza Wysokość oczekiwała.

Charlotte uśmiechnęła się krzywo.

- Wszyscy traktują mnie jak dziecko i nie pozwalają mi brać udziału w życiu towarzyskim. A w Klubie Damiana miało być podobno całkiem bezpiecznie. Mieszkam w Warwick House, całkiem blisko, kiedy więc moja guwernantka i reszta domowników udała się na spoczynek, wymknęłam się, przebrana w domino i maskę. Pożyczyłam je sobie od mojej matki.

- Wasza Wysokość przyszła tu pieszo? I sama?

Kiri starała się, żeby w jej głosie nie było słycać przerażenia, jakie nią owładnęło.

- Nikt nawet nie próbował mnie zaczepić. - Księżniczka wydawała się niemal zawiedziona. - To było takie podniecające: wyrwać się wreszcie na wolność, gdy zawsze się żyje w klatce. Kiedy dotarłam do Klubu Damiana, myślałam, że nic mi już nie grozi. Bawiłam się cudownie. A potem w pokoju karcianym jakiś mężczyzna odezwał się półgłosem: „Wasza Wysokość”. Obejrzałam się, oczywiście, całkiem zapominając, że nikt tu przecież nie może wiedzieć, kim jestem... Wtedy ten człowiek i kilku innych skupili się tak wokół mnie, że nikt nie zauważył, gdy ich prowadyr

schwycił mnie mocno i zatkał mi ręką usta. Wywlekli mnie z karcianego pokoju na korytarz. Opierałam się, ale nie mogłam sobie poradzić z nimi wszystkimi. Gdyby nie pani... Księżniczka zadrżała.

- Pora na koniak. - Kiri otworzyła niewielką szafkę i znalazła w niej trunki i kieliszki. Wyjęła butelkę ze srebrną etykietką, głoszącą wszem i wobec, że to francuski koniak, nalała szczodłą porcję i podała kieliszek księżniczce. - Proszę pić powoli. Z pewnością jest mocny.

Charlotta ostrożnie pociągnęła łyk, zakrztusiła się, ale skosztowała znów koniaku.

- Istotnie mocny, ale dodaje ducha. Kiri napełniła drugi kieliszek.

- Wasza Wysokość pozwoli? — I nie czekając na odpowiedź, wypła łyk. Z przyjemnością poczuła, że piekący trunek spływa jej do gardła. -Podobnie jak Wasza Wysokość przeżyłam przygodę znacznie bardziej przerażającą niż ta, na jaką liczyłam.

Charlotta opróżniła swój kieliszek i podsunęła go Kiri, by dołała jej koniaku.

- Zechce pani podać mi swoje nazwisko? I nazwiska pozostałych dwóch dzielnych wybawców?

Kiri zwymyślała się w duchu od ostatnich. Jak mogła popełnić takie niedopuszczalne uchybienie w etykiecie?

- Błagam o wybaczenie. Lady Kiri Lawford, siostra księcia Ashtona, do usług Waszej Wysokości.

Charlotta zmierzyła ją badawczym spojrzeniem.

- A więc ma pani w sobie hinduską krew, podobnie jak on? Nic dziwnego, lady Kiri, że jest pani taka piękna i obeznana w orientalnych sposobach walki.

Wyraźnie jej zazdrościła. Kiri zarumieniła się.

- Dziękuję Waszej Wysokości. A dwaj dżentelmeni, którzy pospieszyli nam na pomoc, to lord Kirkland, który pierwszy rozpoznał Waszą Wysokość, i pan Mackenzie, właściciel Klubu Damiana. - Kiri trzykrotnie pociągnęła za sznur od dzwonka, po czym usiadła i wzięła znów do ręki kieliszek z koniakiem. - Zanim się zjawia strażnicy, którzy zapewnią nam bezpieczeństwo, może Wasza Wysokość wolałaby znów włożyć maskę?

Charlotta zrobiła to natychmiast.

- Gdyby sprawa wyszła na jaw, wybuchnąłby straszny skandal, nieprawdaż?

- I skandal, i ogólne oburzenie z powodu takiego potraktowania Waszej Wysokości. - Kiri zawahała się, nie wiedząc, czy księżniczka była aż tak chowana pod kloszem, że nie zdawała sobie sprawy, jak ważną jest osobistością. - Wasza Wysokość cieszy się ogromną sympatią i przywiązaniem wszystkich mieszkańców tego kraju. O wiele większą niż ojciec Waszej Wysokości.

Charlotta rozpromieniła się.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Radość dziewczyny na wieść o tym, że jest ogólnie lubiana, była tak wielka, iż Kiri ścisnęło się serce. Rodzice Charlotty - księżę regent i jego niemiecka kuzynka, Karolina Brunświcka - nigdy nie powinni byli zawierać małżeństwa. Nie znosili się nawzajem i wkrótce po przyjściu na świat ich córki zdecydowali się na separację. Co gorsza, traktowali swoje nieszczęsne dziecko jak pionka we wzajemnych rozgrywkach.

Wezwani trzykrotnym dzwonkiem dwaj strażnicy zjawili się spieszenie. Byli to wysocy, silnie zbudowani mężczyźni w wieczorowych strojach. Kiri rozpoznała w nich lokajów, którzy podawali szampana w salach recepcyjnych.

Wyglądali na równie bystrych jak silnych.

- Lord Kirkland życzy sobie, by jeden z panów odnalazł stojący w pobliżu klubu powóz i woźnicę o nazwisku Murphy.

Kiri opisała niewielki, podniszczony pojazd, który postanowiły wykorzystać, gdyż mniej rzucał się w oczy niż kareta z herbem Ashtonów.

- Ja się tym zajmę, madame - oświadczył jeden ze strażników; skinął głową i opuścił gabinet.

Kiri zwróciła się do drugiego „lokaja”, którego nieco zniekształcone rysy twarzy świadczyły o tym, że był dawniej bokserem.

- Pańskim zadaniem będzie odnalezienie wśród uczestników maskarady pewnej damy i przyprowadzenie jej tutaj. Jest ubrana w ciemnoniebieskie domino i maskę, ozdobioną złotymi cekinami.

Strażnik zmarszczył brwi.

- Mało prawdopodobne, by zechciała udać się dokądkolwiek z nieznanym mężczyzną.

Kiri przyznała mu słuszność i dodała:

- Proszę jej powiedzieć, że jest to wiadomość od Mumtaz. Gdy ich opiekun oddalił się, Charlotta spytała ciekawie:
- Cóż to za Mumtaz?
- Mumtaz Mahal to ukochana żona wielkiego władcy Mogołów, Szachdża-hana - wyjaśniła Kiri. - Był zrozpaczony, gdy zmarła przy porodzie. Zbudował dla uczczenia jej pamięci Tadź Mahal, najpiękniejsze w świecie mauzoleum. Oczy Charlotty były wielkie i okrągłe jak spodki.
- Cóż za romantyczna historia.
- Mnie by się wydawała znacznie bardziej romantyczna, gdyby oboje dożyli szczęśliwie razem późnej starości - zauważyła sucho Kiri. - Ale ponieważ Mumtaz była obiektem tak gorącej miłości i tak wielkiego oddania, nazwałam jej imieniem perfumy, które przygotowałam dla panny Clarke-Townsend.
- To pani wyrabia perfumy? - Spojrzenie księżniczki wyrażało najwyższy podziw. - Ma pani tyle niezwykłych talentów.
- Kobiety z rodziny mojej matki były od wielu pokoleń znane z wyrobu doskonałych pachnideł - wyjaśniła Kiri. - W Indiach ich głównym składnikiem są różne gatunki kadzidła. Tu, w Europie, z ogromną przyjemnością eksperymentuję z ekstraktami kwiatowymi.
- Już miała zaproponować księżniczce, że jej pokaże, jak przygotowuje swoje perfumy, ale się opamiętała. Córce regenta nieczęsto pozwalano przyjmować gości, a jej - Kiri - z pewnością by nie zaliczono do grona tych wybranych. Zresztą, -kto wie, czy po wydarzeniach dzisiejszej nocy księżniczka Charlotta nie zostanie zamknięta, dla bezpieczeństwa, w londyńskiej Tower?
- Kieliszek Kiri był już pusty, więc odstawiła go na bok.
- Niepokoję się o pana Mackenziego, który wyruszył w pościg za uciekającymi porywaczami. Mam nadzieję, że już wrócił, cały i zdrowy. Czy Wasza Wysokość pozwoli, że opuszczę ją na kilka minut? Będę w pobliżu i natychmiast się zjawię, gdyby mnie Wasza Wysokość potrzebowała.
- Jeśli dostanę jeszcze trochę koniaku, doskonale mi zrobi chwila samotności.
- Jeszcze trochę koniaku... i nazajutrz rano Wasza Wysokość będzie się czuła fatalnie, jak po całonocnej hulance.
- Nawet sobie pani nie wyobraża, lady Kiri, jak bym chciała prowadzić hulaszczcze życie - oświadczyła Charlotta, a oczy jej błysnęły podejrzeniem.



Dziwnie to przypominało wyznanie Sarah, że miałyby ochotę na coś niestosownego. Tym angielskim dobrze urodzonym dziewczętom nie dawano zbyt wiele swobody, a księżniczkom królewskiej krwi ani trochę. Nalawszy księżniczce jeszcze odrobinę koniaku, Kiri wyszła z gabinetu i szybkim krokiem dotarła do skrzyżowania korytarzy, na którym doszło do zabójstwa. Zastała tam Kirklanda: klęczał przy ciele jednego z porywaczy i z posępnym wyrazem twarzy zamykał zmarłemu oczy. Drugi zabity leżał na boku. Nie było widać jego zmasakrowanej twarzy, co sprawiło Kiri ulgę.

- Pan Mackenzie jeszcze nie wrócił? - spytała.

- Jeszcze nie, ale proszę się tym nie przejmować - pocieszył ją Kirkland. - Mac potrafi doskonale zadbać o siebie.

- Mam nadzieję, że się pan nie myli. - Odwróciła wzrok od zabitych i poczuła, że koniak burzy się jej w żołądku. -

Ten człowiek jeszcze oddychał, zanim przeszliśmy do gabinetu... Był śmiertelnie ranny?

Twarz Kirklanda zmieniła się w nieprzenikloną maskę.

- Owszem, ale zdołałem dowiedzieć się od niego kilku rzeczy, zanim umarł.

Kiri zrobiło się niedobrze. Pomyślała, że być może ten człowiek jeszcze by żył, gdyby Kirkland nie musiał wydobyć od niego informacji. Nie, szczerze mówiąc, wolała nie wiedzieć, czy to prawda. Tego wieczoru pojęła jasno, że ten przemily przyjaciel jej brata potrafi być bezwzględny. Jeśli przesłuchanie przyspieszyło zgon porywacza... no cóż, zbir niewątpliwie zasłużył sobie na taki koniec.

Kirkland podniósł z podłogi nóż.

- Czy to pani własność? Ostrze tkwiło w jego ramieniu. Kiri skinęła głową.

- Odebrałam go jednemu z przemytników i wzięłam dziś ze sobą na wypadek, gdyby potrzebna była jakaś broń. Co prawda, nie spodziewałam się żadnych poważnych kłopotów.

Kirkland starannie wytarł ostrze o płaszcz zmarłego, zanim podał Kiri nóż.

- To dobra broń. Spojrzała na nią niepewnie.

- On... chyba nie zmarł od rany, która mu zadałam?

- Nie, nie - zapewnił Kirkland. - Opóźniło to jednak ich ucieczkę i wyrównało nasze szanse. Nawet jeśli nie ma już pani ochoty używać

tego noża, powinna go pani zatrzymać na pamiątkę swego bohaterskiego postępu. Gdyby nie pani, księżniczka Charlotta zniknęłaby bez śladu.

- Ale dlaczego?

Kiri wzięła nóż, który na szczęście wydawał się całkiem czysty. Przysięgła sobie jednak, że wyparzy go we wrzącej wodzie, zanim skorzysta z niego - kiedyś, w przyszłości. Podciągnęła rękaw, by schować z powrotem nóż do pochewki przymocowanej do ramienia.

Znajdujące się kilka stóp od nich drzwi wyjściowe otwarły się nagle. To Mackenzie wrócił do klubu. Wyglądał na zmęczonego i zirytowanego, ale wyraz jego twarzy uległ zmianie, gdy ujrzał obnażone ramię Kiri.

- Nareszcie jakiś widok radujący serce.

Zarumieniona, ale bynajmniej nie zde gustowana tą uwagą, Kiri wsunęła nóż do pochwy i opuściła luźny rękaw.

- Udało się uciec tym łajdakom? Mac zmarszczył brwi i potarł lewą rękę.

- Czekał na nich powóz. Pakowny, zmieściłoby się w nim, jak nic, pięciu chłopca i dziewczyna, gdyby im szczęście dopisało. Omal nie schwytałem jednego z nich, ale wtedy zaatakowali mnie wszyscy trzej, a tego było już trochę za wiele.

Kirkland wstał, miał bardzo poważny wyraz twarzy.

- Ta dziewczyna, którą usiłowali porwać, to księżniczka Charlotta. Mackenzie wybałuszył oczy.

- Księżniczka Charlotta? Córka księcia regenta? Kirkland przytaknął.

- Właśnie. Spokojnie, Mac, ramię ci krwawi. Mackenzie spojrzał na kapiącą krew.

- To nic - wymamrotał. - Zwykle zadrapanie. I runął nieprzytomny na podłogę.

## **14**

Mackenzie. - Głęboki, melodyjny głos lady Kiri. Pospieszne kroki. Zapach bzu i korzeni, szelest materiału, gdy uklęka przy nim. - On jest ranny.

Gdy jego umysł wynurzył się z kołujących ciemności, Mac zadumał się gorzko nad tym, czy może być cios bardziej bolesny dla męskiej dumy, niż omdlenie na widok własnej krwi w obecności pięknej dziewczyny, na której chciało się zrobić wrażenie?

Odsunął jednak od siebie tę niemiłą myśl. Później jakoś się z tym upora. Było mu tak słabo, że nie mógł otworzyć oczu, a co dopiero podnieść się z zimnej podłogi, na której rozciągnął się jak długi. Nie stracił jednak słuchu ani węchu. Pewnie wkrótce odzyska także mowę.

- Rana, zdaje się, nie jest groźna.

To powiedział Kirkland, opanowany jak zawsze, choć w jego głosie można było wyczuć lekki niepokój. Ukłąkł przy Macu z drugiej strony i z niewątpliwą wprawą zbadał jego ranę.

Po minucie czy dwóch dźgania i obmacywania, Kirkland oświadczył:

- Niezbyt głębokie cięcie w ramię i to wszystko, moim zdaniem. -Zaimprovizowanym bandażem zaczął owijać leżącą bezwładnie lewą rękę przyjaciela. - Mackenzie nigdy nie mógł znieść widoku własnej krwi.

Lady Kiri zaraz wybuchnie śmiechem. Mac był tego pewien. Żałował, że nie jest całkiem nieprzytomny: nie musiałby tego słuchać.

Ona jednak, zamiast się roześmiać, powiedziała w zamyśleniu:

- Chirurg wojskowy w Indiach wyjaśnił mi kiedyś, że omdlenie na widok własnej krwi nie jest bynajmniej rzadko spotykanym zjawiskiem. Często właśnie najsilniejsi, najodważniejsi mężczyźni tak reagują.

Gładka dłoń spoczęła na czole Maca. Usiłował coś powiedzieć i zdobył się na chrapliwy szept:

- Wielka mi pociecha.

Z trudem zdołał otworzyć oczy. Kiri odjęła już rękę od jego czoła, nadal jednak pochylała się nad nim. Na jej prześlicznej twarzy malował się niepokój, ale nie paniczny strach. Odrobinę niepokoju mógł znieść. Ataku dziewczęcej hysterii po prostu by nie wytrzymał.

Dziewczęcej? Księżniczka Charlotta. Wielki Boże. Z trudem podniósł się do pozycji siedzącej.

- Księżniczka... była tutaj? Omal nie została porwana? Nic się jej nie stało?

- Czuje się doskonale. Za kilka minut lady Kiri i panna Clarke-Town-send odwiozą ją z powrotem do Warwick House - odparł Kirkland. - Tym

niepozornym powozikiem, którym tu przyjechały. Dwóch naszych klubowych strażników będzie im towarzyszyć. Mac potarł czoło, starając się złożyć kawałki łamigłówek w logiczną całość.

- A niech to wszyscy diabli. Teraz, kiedy już wiem, kogo chcieli porwać, cała sprawa nabiera sensu - mrucał. - Francuzi próbowali już takich sztuczek i widać znów zaczynają.

Kirkland znieruchomiał nagle.

- To zdecydowanie potwierdza informacje, jakie wyciągnąłem od jednego z porywaczy, zanim umarł.

Ponaglony ważnością sprawy, Mac zerwał się na równe nogi i wsparł się ręką o ścianę, próbując obmyślić na poczekaniu plan działania. Jego spojrzenie padło na dwa ciała, leżące na podłodze. Jeden z zabitych był wysoki i potężnie zbudowany, drugi - znacznie niższy, węższy. Obaj mieli na sobie eleganckie czarne stroje wieczorowe.

Od strony głównego korytarza dotarł odgłos czyichś kroków. Kiri podniosła głowę.

- To pewnie Sarah spieszy do gabinetu. Zaraz we dwie odwieziemy księżniczkę do domu.

- Chwileczkę. - Mac, ze zmarszczką na czole, rozważał swój nowy plan. - Czy panna Clarke-Townsend nie wystarczy księżniczce jako dama do towarzystwa? Proszę zostać, lady Kiri, musimy o czymś pomówić. Zapewnimy pani bezpieczny powrót do domu. - Jego spojrzenie padło na ciała zabitych. - i... proszę nie wspominać o mnie, dobrze? Załóżmy, że nadal zażarcie ścigam porywaczy.

Kirkland popatrzył na niego z zainteresowaniem.

- Co ci chodzi po głowie?

- Może to nic mądrego, ale nie będę miał żadnej pewności, póki nie omówimy tego dokładnie.

Podczas gdy tamci dwoje oddalali się, Mac z marszem na czole spoglądał na ciała zabitych i zastanawiał się, czy obmyślony przez niego plan jest niezbędny. Miał nadzieję, że nie, ale po wypadkach tej nocy dręczyły go jak najgorsze przeczucia.

Kiedy Kiri wróciła do gabinetu, zastała Charlotte, która opisywała próbę porwania - na szczęście nieudaną - Sarah, ta zaś słuchała, prze-

rażona, a równocześnie zafascynowana. Teraz, gdy zagrożenie minęło, księżniczka czuła się bezpieczna, a nawet, po dwóch pełnych kieliszkach mocnego koniaku, całkiem dobrze się bawiła. Było to dla niej z pewnością niezwykle emocjonujące przeżycie. Kiri miała nadzieję, że Charlotta nie bawiła się aż tak dobrze, by w przyszłości wymykać się znowu spod skrzydeł swych opiekunów.

Wchodząc do pokoju, Kiri odezwała się:

- Wasza Wysokość, pora wracać do domu, zanim ktoś zauważy nieobecność Waszej Wysokości. Odwiedzisz Jej Wysokość do Warwick House, Sarah? Lord Kirkland i ja musimy omówić pewną ważną sprawę.

Sarah wstała i podała Kirklandowi rękę na powitanie. Podobnie jak Kiri, widywała go często w domu swojego szwagra.

- Nie chciałabym wracać do Ashton House bez Kiri, milordzie.

- Osobiście ją tam odwiozę - zapewnił Kirkland. Sarah zerknęła na Kiri, ta zaś uspokoiła ją.

- Nic mi się nie stanie. Odwieź, proszę, księżniczkę Charlottę do domu.

- No dobrze... - odparła Sarah, nadal z nutą niepewności w głosie - ale obiecaj, że zajrzysz do mego pokoju zaraz po powrocie. Bez względu na to, która to będzie godzina.

- Na pewno to zrobię. - Kiri dygnęła ceremonialnie przed księżniczką. - Mam nadzieję, że uda mi się jeszcze kiedyś zobaczyć Waszą Wysokość.

Charlotta miała smutną minę.

- Chyba nie będą wiecznie trzymać mnie w klatce. Już się nie mogę doczekać dnia, kiedy spotkamy się oficjalnie, lady Kiri.

Księżniczka i Sarah odeszły, eskortowane przez dwóch bystrych i opiekuńczych strażników, którym udało się odszukać zarówno pannę Clarke-Townsend, jak powóz i Murphy'ego. Kiedy już odjechali, Kiri zagadnęła Kirklanda:

- Czy ma pan pojęcie, milordzie, co też zamierza pan Mackenzie?

- Mógłbym snuć jedynie przypuszczenia na ten temat; lepiej chyba zaczekać i przekonać się, co sam wyjawí nam obojgu. - Kirkland skierował się ku drzwiom. - Powiem mu, żeby wślizgnął się do gabinetu, starając się nie zwracać niczyjej uwagi.

Po wyjściu Kirklanda znużona Kiri opadła na fotel. Podczas walki z porywaczami dorobiła się kilku guzów i siniaków, które dopiero teraz zaczęły dawać się jej we znaki.

Gdy obaj mężczyźni zjawili się znów w gabinecie, Mackenzie miał tak poważną minę, o jaką Kiri nigdy by go nie podejrzewała, a Kirkland był posepny jak noc. Kiri otworzyła znów szafkę z alkoholami.

- Dla obu panów koniak... czy coś innego?

- Ja się napiję szkockiej - oświadczył Mac. - Za to Kirkland potrafi wyłopać całe morze koniak.

Kiri zerknęła na Kirklanda, który uśmiechnął się blado.

- Nie zaprzeczę.

Nalała więc whisky dla Mackenziego, koniak dla Kirklanda i czerwonego wina dla siebie, gdyż nie byłoby z jej strony rzeczą rozsądną raczyć się w dalszym ciągu mocniejszymi trunkami. Kiedy już wszyscy zajęli miejsca, spytała:

- Czemu obaj macie takie marsowe miny? Rozprawiliśmy się przecież z porywaczami. I o czym pragnie pan ze mną pomówić, panie Mackenzie?

- Musimy zyskać jak najwięcej informacji, lady Kiri - odparł. - A pani miała najbliższy kontakt z porywaczami. Czy potrafiłaby ich pani opisać?

Kiri zmarszczyła czoło i usiłowała sobie przypomnieć najdrobniejsze szczegóły.

- Wszystko wydarzyło się tak szybko, a oni byli zamaskowani, co do jednego. Ich przywódca wyróżniał się słusznym wzrostem, miał zdaje się ciemnoblonde włosy, nieco przerzedzone nad czołem. Nie ulega wątpliwości, że to był dżentelmen. I chyba dandys.

Mackenzie skinął potakująco głową.

- Zauważyłem w jego ruchach coś znajomego. Zapewne zjawił się nie po raz pierwszy w Klubie Damiana. Czy dostrzegła pani jeszcze coś?

- Pachniał wodą kolońską, którą można dostać tylko w Les Heures, bardzo drogim sklepie z perfumami na St. James

- odparła Kiri. - Ten gatunek wody kolońskiej nosi nazwę Alejandro. Wszystkie perfumy pachną nieco inaczej na każdej osobie, która ich używa. Przypuszczam, że byłabym w stanie zidentyfikować tego człowieka po zapachu, gdybym go spotkała ponownie.

Obaj mężczyźni popatrzyli na nią ze zdumieniem.

- Mogłaby pani tego dokonać? - spytał Mackenzie. Kiri skinęła głową.

- Niewykluczone, że ta woda kolońska może pachnieć bardzo podobnie na kimś innym, jednak Alejandro kosztuje wyjątkowo drogo, toteż mało

kto używa tego gatunku. A z im mniejszą grupą użytkowników mamy do czynienia, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo, że znajdą się w niej dwie osoby pachnące identycznie.

Ponieważ obaj słuchacze nadal spoglądali na nią z niedowierzaniem, Kiri wstała i podeszła bliżej do Kirklanda.

- Pachnie pan, milordzie, wodą cesarską, koniakiem... i tajemnicami. - Spojrzała prosto w jego zdumione oczy. - A jeśli chodzi o wodę cesarską, to w zetknięciu z pańską skórą ma przede wszystkim zapach goździków.

Kirkland wpatrywał się w nią pełen zdumienia.

- Ajaki zapach mają tajemnice?

- Mroczny. Głęboki. Niczym morskie odmęty, w których czają się potwory. - Uśmiechnęła się. - A woda cesarska pomaga panu w tworzeniu złudnego obrazu beztróskiego dżentelmena, którym mydli pan oczy całemu światu. Taki zapach, stanowiący coś w rodzaju kamuflażu, można zmieniać z godziny na godzinę, a nawet z minuty na minutę. Każdy jednak ma swoją własną, niepowtarzalną woń, równie wyraźną i nie do podrobienia jak brzmienie głosu.

- Jest pani naprawdę niepokojącą kobietą, lady Kiri - przyznał Szkot i oczy mu się zwęziły.

- Kirkland już się głowi, jakby wykorzystać pani talenty - dorzucił

Mackenzie.

Kiri roześmiała się i podeszła z kolei do niego. Jego własny, niepowtarzalny zapach знаła już doskonale.

Rozróżniłaby go wszędzie. Ale podczas tego małego eksperymentu ograniczy się do rzeczy najprostszych, łatwych do sprecyzowania.

- Czuję lekki zapach rozmarynu. Zapewne mydło. - Ich oczy zwały się ze sobą. Te niezwykle tęczaówki w różnych kolorach wywierały na nią hipnotyczny wpływ. Błękitna była w tej chwili raczej szaroniebieska. - Pachnie więc pan rozmarynem, krwią, whisky - i kłopotami.

- Nie przypuszczałem, że kłopoty mają zapach.

- Owszem, podobny do ostrych, tropikalnych przypraw; kłopoty również drażnią powonienie i pozostawiają piekący smak na języku.

- Ani rusz nie pojmuję, co to wszystko ma znaczyć. - Odetchnął głęboko, jakby chciał zerwać łączącą ich więź. - Ale istotnie, kłopoty to moja specjalność.

- To wcale nie żart, tylko szczerą prawdą - przytaknął Kirkland. - Mac jest naprawdę ekspertem w tej dziedzinie. Mac puścił mimo uszu jego uwagę.
- A co może pani powiedzieć o pozostałych porwaczach, lady Kiri? Usiadła znów na fotelu i zastanawiała się przez chwilę, przymknąwszy oczy.
- Jeden z nich miał ciemne włosy i dość charakterystyczny zapach... może to Francuz? W każdym razie amator czosnku, skrapiający się wodą węgierską. Drugi z nich był potężnie zbudowany, jak bokser. A pachniał tak, jakby niezbyt lubił się kąpać. - Kiri otworzyła oczy i powiedziała na zakończenie: - Bardzo mi przykro, niczego więcej nie pamiętam. Może później coś sobie przypomnę. Czy panowie mogliby jeszcze coś dodać na ich temat?
- Ten osiłek walczył rzeczywiście jak zawodowy bokser - stwierdził Mackenzie. - Lepiej władał lewą ręką niż prawą. Rozpoznałbym go po stylu walki, gdybyśmy się jeszcze kiedyś spotkali.
- Ten, któremu strzeliłem prosto w twarz, to chyba także bokser - dorzucił Kirkland. - Było coś znajomego w jego sposobie poruszania się. Spróbuję przypomnieć sobie jego nazwisko. Coś jeszcze, Mac?
- Kiedy ścigałem pozostałą trójkę, rozmawiali ze sobą po francusku - odparł Mackenzie. - To nie było porwanie dla okupu, tylko część dalekosiężnego planu... choć nie poznałem żadnych jego szczegółów. Ale z pewnością spróbują znów dopiąć swego.
- Na co mogłaby się przydać Francuzom ta szesnastoletnia dziewczuszka? - zdumiała się Kiri.
- W pewnym sensie można by to nazwać zgadywanką - wyjaśnił Kirkland. Na jego czole znów pojawiły się zmarszczki. - Ale biorąc pod uwagę to, co słyszał Mac, oraz informacje, które przekazał mi przed śmiercią ranny porwacz, ci spiskowcy zdaje się sądzą, że jeśli księżniczka Charlotta znajdzie się w rękach Francuzów, Anglia będzie bardziej skłonna do zawarcia pokoju, byle tylko Jej Wysokość szczęśliwie wróciła do domu. Kiri zakrztusiła się czerwonym winem.
- Nie liczą chyba na to, że się poddamy?
- Nie chodzi o poddanie się. Jedyne o zawarcie pokoju z Francją. Armia napoleońska w tym roku nieźle oberwała na Półwyspie Iberyjskim.



Zresztą, już jakieś trzy lata temu Napoleon chętnie by zawarł z nami pokój. Miały nawet miejsce tajne pertraktacje z naszym premierem, chociaż w końcu nic z tego nie wyszło.

- Tak więc Napoleon zgodziłby się - i to dość chętnie - na porozumienie z Brytanią: my byśmy zaprzestali działań wojennych, a Francuzi wycofali się z Hiszpanii i Portugalii - stwierdził pograżony w myślach Mackenzie. - Francja, rzecz jasna, zatrzymałaby wszystkie inne podbite przez nią ziemie.

- Innymi słowy, większą część Europy. - Kiri pokręciła głową. - Nie sędzę, żeby Napoleon był na tyle głupi, by wierzyć w możliwość takiego układu. Nawet gdyby Brytania wyraziła zgodę na coś podobnego, pozostali wrogowie Francji z pewnością nie przystaliby pokornie na usankcjonowanie dotychczasowych francuskich podbojów.

- No nie, ale Brytania była zawsze najbardziej konsekwentnym i skutecznym ze wszystkich przeciwników Napoleona - stwierdził Kirkland. - Mogąc zatem liczyć na naszą neutralność, cesarz znalazłby się w znacznie korzystniejszym położeniu, gdyby doszło do przetargów lub walnej bitwy z resztą wrogów.

- Nawiasem mówiąc, ten spisek wcale nie musi być pomysłem samego cesarza. - Mackenzie wpatrywał się w zadumie w swoją whisky. - Skrytobójstwo nigdy nie było w jego stylu. Moim zdaniem to któryś z nazbyt ambitnych fagasów Napoleona pragnie tym „mistrzowskim posunięciem” wzmocnić własną pozycję.

- Czy w ogóle porwanie księżniczki mogłoby się im udać? - spytała Kiri. - Mała Charlotta cieszy się w całym kraju niezwykłą popularnością, a biorąc pod uwagę że zarówno król jak książę regent nie odznaczają się żelaznym zdrowiem, w każdej chwili może zostać królową.

- Wielu naszych rodaków nie popiera tej ciągnącej się latami wojny, ale rząd jest zdecydowany doprowadzić do ostatecznej klęski Napoleona - odparł powoli, lecz dobitnie Kirkland. - Choćby jednak sam pomysł spisku był głupi, konspiratorzy traktują sprawę z całą powagą i wydają się niezłe przygotowani. Następnym razem może im się udać.

- Albo księżniczka może przypadkiem zostać zabita - odezwał się Mackenzie.

Kiri wzdrygnęła się na samą myśl, że taki mógłby być koniec tej nieszczęsnej, młodziutkiej, spragnionej życia dziewczyny.

- Trzeba ją otoczyć nieustanną opieką.
  - Rezydencja księżniczki, Warwick House, nie jest wystarczająco zabezpieczona - stwierdził Kirkland. - A w dodatku spiskowcy mają z pewnością swego agenta wśród ludzi z najbliższego otoczenia Charlotty. To właśnie ta osoba podsunęła jej zapewne pomysł wzięcia udziału w balu maskowym u Damiana. W każdym razie porywacze zostali powiadomieni nie tylko o tym, że księżniczka wymknęła się z domu do klubu, ale nawet o kolorze domina, jakie miała na sobie.
  - Istnieje również duże prawdopodobieństwo, że ktoś z naszego klubu jest z nimi w zмовie - zauważył Mackenzie lodowatym tonem. - Porywacze jakimś cudem nie zostali dostrzeżeni przez naszych strażników i poruszali się po całym budynku z taką swobodą, jakby byli u siebie w domu. A przecież nikt z zewnątrz nie zna rozkładu naszych pomieszczeń. I właśnie dzięki temu spiskowcomomal się nie powiodło.
- Kiri wstrzymała dech.
- I teraz nie wiadomo, komu można zaufać. Jeśli w najbliższym otoczeniu księżniczki znajduje się zdrajca, mógłby równie dobrze wprowadzić porywaczy do Warwick House.
- Kirkland skinął głową potakująco.
- Trzeba koniecznie przenieść księżniczkę Charlottę w bezpieczne miejsce. Najlepiej do Windsor Castle - będzie tam razem z królem, królową i swoimi ciotkami księżniczkami. Co prawda, Charlotta niechętnie tam przebywa, ale jest tam o wiele bezpieczniej niż w Warwick House.
- Sama nie wiedząc, co robi, Kiri wyciągnęła swój nóż z ukrytej w rękawie pochewki i obracała go nerwowo w ręku. Nie podnosząc oczu, odezwała się:
- Podejrzewam, że obaj jesteście uwikłani w jakieś wielce sekretne sprawy. Czyżby to było szpiegostwo?
- Kirkland odparł wymijająco:
- Na niektóre tematy lepiej nie dyskutować. Mackenzie pokręcił głową.
  - Lepiej wyjawić lady Kiri nieco więcej i zaspokoić jej ciekawość, bo może wpakować się w kłopoty, usiłując coś wywęszyć na własną rękę.
  - Niezwykle pan spostrzegawczy - rzuciła kąśliwie Kiri. - Istotnie, moja ciekawość została pobudzona, a to, przyznaję, niebezpieczny rys charakteru.
- Godząc się z nieuniknionym, Kirkland wyjaśnił:

- Jak pani już wie, moje statki zaczęły przewozić oprócz towarów także informacje. Stałem się swego rodzaju specjalistą od przekazywania, odbierania i odczytywania wiadomości będących tajemnicą wojskową.

W tym momencie podjął narrację Mackenzie.

- Kirkland ugrzązł w tej działalności na serio, ja jestem tylko kurierem. Stworzyliśmy Klub Damiana między innymi po to, żebym miał godziwy pretekst do kontaktów z przemytnikami, którzy kursują regularnie do Francji i z powrotem. Dzięki temu stała się możliwa ciągła wymiana informacji między Kirklandem a brytyjskimi agentami na kontynencie. Odebrałem taką wiadomość także i tej nocy, gdy poznałem panią, lady Kiri.

- Mackenzie nie docenia wagi własnych dokonań - stwierdził Kirkland. - Przede wszystkim to on opracował trasę wypraw przemytników, ułatwiającą wymianę informacji. A poza tym zadbał o to, by Klub Damiana stał się niezwykle modny, a do jego częstych gości należeli dyplomaci i wyżsi urzędnicy państwowi. Niekiedy bywają oni bardziej rozmowni niż powinni, czy to pod wpływem trunków, czy w gorączce hazardu.

- A niezwykle sympatyczny gospodarz zawsze krąży po klubie, doradzając swoim gościom w kłopotach, wysłuchując ich zwierzeń i, być może, zbierając przy tym różne użyteczne informacje - skomentowała z uśmiechem Kiri. - Lepiej niech pan uważa, panie Mackenzie: gdyby pańska działalność wyszła na jaw, ludzie mogliby uznać pana za bohatera narodowego, zamiast, jak teraz, za czarujące nic dobrego.

Mac był wyraźnie zażenowany.

- Sam nie wiem, co z dwojga złego byłoby lepsze.

W chwili gdy Kiri miała już schować nóż do pochwy, Mackenzie zagadnął:

- To sztylecik, który pani zdobyła na jednym z przemytników, prawda? Teraz, gdy przyjrzałem mu się z bliska, widzę, że przypomina pewien nóż, z którym miałem do czynienia dawno temu. Mogę?

Kiri podała mu broń.

- Ta zabaweczka jest równie ładna jak niebezpieczna. Może pochodzi z Turcji? To oczywiście tylko przypuszczenie. Mac przyglądał się z uwagą kunsztownie rzeźbionej rękojeści. Potem uchwycił nóż obiema rękami i obracał nim tak, jakby chciał odśrubować rączkę od klingi. Gdy nic to nie dało, spróbował ją odkręcać w odwrotnym kierunku. I wówczas rękojeść noża oddzieliła się od reszty - wzdłuż linii

wyglądającej jak element skomplikowanej ornamentacji sztyletu. Okazało się, że rączka jest wydrążona, a w jej wnętrzu znajduje się ciasno zwinięty kawałek papieru.

Kiri aż jęknęła z wrażenia.

- Nie miałam pojęcia, że wewnątrz jest skrytka.

Mackenzie rozwinął papier i przyjrzał się uważnie drobnymi znakom.

- To mi wygląda na francuski szyfr. A ty, Kirkland, co o tym powiesz? Jego przyjaciel przypatrywał się w skupieniu miniaturowym literkom.

- Masz słuszość. W dodatku jest to szyfr, z którym miałem już do czynienia. Twoja wesola banda przemytników nie gardzi, jak widać, żadnym zarobkiem. Daj mi chwilę czasu, być może zdołam coś z tego wyczytać.

Mackenzie powąchał wydrążoną rękojeść noża.

- Pozostał nikły ślad jakiegoś zapachu. Czy potrafi pani odgadnąć, co to takiego, lady Kiri?

I podał jej obie połówki noża.

Kiri przyknęła oczy, żeby się bardziej skupić.

- Ten zapach jest bardzo słaby. Sądzę, że mogłabym wyczuć coś więcej z papieru.

Kirkland podał jej karteczkę z szyfrem. Zwinęła ją równie mocno jak przedtem i powąchała. Oczy jej otworzyły się nagle.

- To bez wątpienia woda kolońska Alejandro. Pachnie dokładnie tak samo, jak wódz porywaczy.

Mackenzie gwizdnął z cicha.

- Jeśli nie omylił pani nosek, godny ogara, nasi porywacze-spiskowcy korzystają również z usług bandy Hawka w przekazywaniu i odbieraniu wiadomości z Francji i do Francji. Czy pani przypuszcza, że ich przywódca mógł się znajdować w jaskini, kiedy my tam byliśmy?

Kiri wróciła myślą do pamiętnej nocy, gdy ją porwano. Przykuta do skały, przez cały czas obserwowała uważnie przemytników, choć większość z nich znajdowała się zbyt daleko, by mogła wyczuć ich zapach. Nie miałaby zresztą na to ochoty, z całą pewnością. Była to wyjątkowo niechlujna banda.

- Cóż... niewykluczone, ale nie zauważyłam ani nie wyczułam wówczas nikogo, kto by pachniał i poruszał się jak ów przywódca. Pan był w tym towarzystwie jedynym mężczyzną zasługującym na miano dżentelmena.

- Zapewne nie było tam tego prowodyra - zgodził się Mac. - Ciekawe, który z przemytników zdecydował się na współpracę z nim? Większość

z nich to lojalni Anglicy, ale zdarzają się i tacy, co zrobiliby wszystko dla pieniędzy.

Kirkland odebrał od Kiri kartkę i znów wczytywał się w tajny szyfr. Na koniec zaklął.

- A niech to wszyscy diabli! Najmocniej przepraszam, lady Kiri. To spisak zakrojony na znacznie większą skalę, niż myśleliśmy. Zamierzają nie tylko porwać księżniczkę Charlotte, ale zamordować też księcia regenta i tylu jego braci, ilu zdołają.

Kiri jęknęła rozpaczliwie:

- O Boże... Cóż za chaos zapanowałby w Anglii. Mackenzie wydawał się równie zaszokowany jak ona.

- Król szalony, księżę regent i jego bracia zamordowani, następczyni tronu uwięziona gdzieś we Francji... To nie do pomyślenia.

- Nawet spiskowcy nie mogliby przewidzieć, czym się to skończy, gdyby zrealizowali swoje zamiary - stwierdził ponuro Kirkland. - Chaos jednak zapanowałby z całą pewnością. Może spiskowcy dążą do obalenia torysowskiego rządu? Wigom zawsze mniej zależało na tej wojnie.

- Ci spiskowcy to durnie - palnął bez ogródek Mackenzie. - Gdyby im się powiódł ten generalny zamach na rodzinę królewską, cała ludność Brytanii zerwałaby się do ataku na Francję. Niedorostki chwyciłyby za kamienie, sędziwe babcie za swoje kijki i patelnie. I wszyscy walczyliby do upadłego, dopóki by Paryż nie skapitulował, a Napoleona nie zakuto w kajdany.

- Francuzi nie mają pojęcia, co to za siła ten zacięty upór Brytyjczyków - przytaknął Kirkland. - Jednak to, że spiskowcy obrali niewłaściwą taktykę, nie oznacza wcale, że nie powiedzie im się zamach na regenta albo jego braci. Trzeba im przeszkodzić, i to za wszelką cenę.

- Będziesz musiał rzucić do walki ze spiskowcami wszystkich swoich ludzi - westchnął Mackenzie. - Aja? Chyba najlepiej zrobię, rozstając się z tym światem.

## 15

Kiri wpatrywała się w Maca z przerażeniem.

- Mam nadzieję, że nie mówi pan tego poważnie!

- No, nic, ale będzie chyba lepiej, jeśli cały świat uwierzy, że zostałem zabity dziś w nocy. - Skrzywił się. - Właśnie dlatego starałem się, żeby nikt mnie nie zobaczył, póki nie obgadamy tej sprawy. Mężczyzna, któremu kula zmasakrowała twarz, jest niemal dokładnie mojego wzrostu i postury, a poza tym ubrany prawie tak samo jak ja. Gdybyś ty, Kirkland, stwierdził, że to moje zwłoki, nikt nie miałby co do tego żadnych wątpliwości.

- Pewnie by tak było - zgodził się Kirkland i znów zmarszczył czoło. - Ale czemu miałbyś udawać nieboszczyka?

- Nieopatrznie skłamałem po francusku tych porywaczy, zorientowali się więc z pewnością, że podsłuchałem ich rozmowę o następnej próbie porwania księżniczki. Jeśli uwierzą, że już gryzę ziemię, poczują się bezpieczniej. Padło kilka strzałów, więc bez trudu dojadą do wniosku, że i ja oberwałem.

- Ależ z pewnością się zorientują, że ten człowiek, który został zabity, gdzieś im się zawieruszył - wtrąciła rozsądnie Kiri. - Czyż nie domyślą się, że to nie pan zginął, tylko jeden z nich?

- Mam wrażenie, że bokserzy, których wzięli sobie do pomocy, czym prędzej się zaszyli w londyńskich slumsach, więc przywódca spiskowców nie ma pojęcia, kto zginął, a kto po prostu dał nogę - wyjaśnił Mackenzie. - Jeśli więc umiejętnie zmienię swój wygląd, bez trudu będę mógł pojawić się tam, gdzie Damian Mackenzie we własnej osobie zbyt by się rzucał w oczy.

- Jest pan istotnie .dobrze znaną postacią w Londynie - zgodziła się Kiri, której zupełnie się nie podobał ten pomysł ze śmiercią Maca, nawet jeśli miała to być tylko bajeczka. - Ale wystarczą pańskie osobliwe oczy, żeby w każdym przebraniu pana rozpoznano.

- Moja matka była aktorką, a mnie można by nazwać „ekspertem od charakteryzacji”. - Mackenzie dolał sobie whisky. - Ten wódz porywaczy robił wrażenie dżentelmena i hulaki, a co najmniej jeden z jego ludzi był zawodowym bokserem. Jest więc spora szansa, że mógłbym natknąć się na kogoś z nich w jaskiniach gry albo na na meczach bokserskich czy innych imprezach sportowych.

Kiri mogła sobie wyobrazić Maca wkraczającego do tych przybytków radości dla „prawdziwych mężczyzn”, gotowego do bitki. Wątpiłajednak, czy rozpoznałby tam kogoś ze spiskowców. Nie przyglądał im się przecież z bliska ani zbyt dokładnie.

I nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł - równie fascynujący, jak szokujący. Odwróciła się i zastanowiła głęboko. Tak, miała ochotę podjąć to ryzyko.

- Przydałaby się panu pomoc. Moja pomoc. Nie wyobrażam sobie, jakim sposobem mógłby pan rozpoznać któregoś z tych ludzi: byli przecież zamaskowani, a pan ledwie rzucił na nich okiem. Powinnam więc towarzyszyć panu, gdyż przyjrzałam się im dokładniej, a poza tym potrafię rozpoznawać ludzi za pomocą węchu.

Mac wpatrywał się w nią, skonsternowany.

- Nie ma mowy, żeby udała się pani do jednej z tych nor, gdzie ich będę szukał.

Ubawiona jego reakcją spytała:

- A to dlaczego?

- Przecież jest pani damą - odparował. - A większość tych lokali to niebezpieczne, plugawe spelunki.

- Z pewnością zauważył już pan, że całkiem nieźle potrafię się bronić - odparła nie bez słuszności. - I jeśli znajdziemy się tam razem, każde z nas będzie bardziej bezpieczne, niż gdyby wybrało się na polowanie w pojedynkę. Sądzę również, że moja obecność może zapewnić nam sukces.

Zanim Mackenzie zdążył zaprotestować, odezwał się - całkiem rozsądnie Kirkland.

- Talenty lady Kiri naprawdę mogą się nam przydać. W obecnej chwili nie mamy prawie nic, na czym by się można było oprzeć.

- Rodzina lady Kiri nigdy nie wyrazi zgody na coś podobnego. Ashton i generał Stillwell są wręcz nadopiekuńczy w stosunku do siostry i pasierbicy.

- Jestem pełnoletnia - oświadczyła Kiri. - Może im się to nie spodobać, ale nie mogą mi tego zabronić.

- Wyróżniałaby się pani w każdej z tych spelunek, niczym łabędzica w kurniku - upierał się Mac.

Kiri wspomniała czule O'Neila, starszego sierżanta z regimentu jej ojczyma. Ileż się nauczyła od tego Irlandczyka.

Obserwowała także z uwagą wszystkie kobiety towarzyszące armii. I oto nagle, w jednej sekundzie, Kiri zmieniła się z damy w markietankę. Pochyliła się nieco do przodu, stanęła na szeroko rozstawionych nogach. W całej jej postawie i w głosie było teraz coś szorstkiego i wulgarnego.

- Myślisz pan, panie fadny, że nie spotrafie ruszać się i gadać jak lalunia prosto z Dublina, co? - wypaliła z najczystszy irlandzkim zaśpiewem.

Mac zrobił wielkie oczy.

- Gdzie, na litość boską, nauczyła się pani mówić *i* ruszać jak dubliń-ska ku... rdzenna dublinianka?

- Niech pan nie zapomina, że wychowałam się w Indiach, na kwaterach wojskowych. Wielu żołnierzy pochodziło z Irlandii. - Uśmiechnęła się figlarnie. - Podobały im się moje ciemne włosy i zielone oczy. Mówili, że wyglądam całkiem jak irlandzka dziewczuszka. Spędzałam mnóstwo czasu w towarzystwie szeregowców i podoficerów.

Nauczyłam się od nich wielu interesujących rzeczy.

- I generał Stillwell pozwalał na to? - zdumiał się zafascynowany jej opowieścią Kirkland.

Kiri wyprostowała się i przemieniła znów w niewinną młodą damę.

- Mój ojciec miał zawsze tyle ważnych spraw na głowie. Skąd miałby wiedzieć, gdzie przebywam przez cały czas?

- Gdyby miał choć szczyptę rozumu, trzymałby cię pod kluczem do dwudziestego piątego... nie, do pięćdziesiątego roku życia - warknął Mackenzie.

- Lady Kiri nie byłaby z pewnością tak interesującą damą, jaką jest dziś, gdyby tak postąpił. - Kirkland przyglądał się Kin bacznie, z jakimś chłodnym wyrachowaniem. - Ona ma naprawdę większe szanse rozpoznania kogoś z porwaczy niż ty czyja, Mac.

Mackenzie przegarnął włosy palcami i sapnął niecierpliwie.

- Może i twoja teoria jest słuszna, Kirkland, ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić lady Kiri wykradającej się każdego wieczoru z Ashton House, by towarzyszyć mi w zwiedzaniu tych spelunek, co noc to innej.

- Adam i Mariah wybierają się niebawem do swej wiejskiej posiadłości, a cała moja rodzina razem z nimi - powiadomiła ich Kiri. - Gdybym po cichu została w Londynie, wszyscy byliby przekonani, że pojechałam do Ralston Abbey.

- Mam dom przy Exeter Street, w pobliżu Covent Garden. Goszczę tam moich znajomych, którzy pragną zaszyć się w jakimś cichym kącie -oznajmił Kirkland. - Moglibyście oboje zatrzymać się tam, bo i ty, Mac, potrzebujesz teraz nory, żeby się w niej schować.



Mackenzie znów spojrzał na Kiri, jeszcze bardziej zaszokowany taką ewentualnością.

- W żadnym wypadku nie możemy zamieszkać pod jednym dachem. Gdyby tak się stało, lady Kiri byłaby skompromitowana raz na zawsze.

- Bardziej się pan troszczy o moją reputację niż ja sama - stwierdziła cierpko Kiri. - Czyżby losy ojczyzny i rodziny królewskiej nie były ważniejsze od takich dyrdymalek?

- Nie będziecie tam sami - dodał Kirkland. - Oprócz małżeństwa, które opiekuje się domem, mieszka w nim także Cassandra. Poproszę ją, żeby została w Londynie i pomogła nam w tropieniu spiskowców. Lady Kiri będzie więc miała przyzwoitkę z prawdziwego zdarzenia.

- Cassandra jest zdumiewająco dobrym agentem, ale przyzwoitką? - rzucił Mac tonem tak sceptycznym, że Kiri zapragnęła czym prędzej zawrzeć znajomość z tą kobietą.

- Jej obecność rozwieje wszelkie wątpliwości co do rodzaju łączących was stosunków - oświadczył Kirkland. - I zwiększy bezpieczeństwo lady Kiri.

Prychnięcie, na jakie pozwolił sobie Mac, wyrażało niedwuznacznie jego opinię na ten temat. Pochwyciwszy spojrzenie Kiri, zaprotestował gwałtownie:

- To będzie niebezpieczne śledztwo, lady Kiri. Nie żadna gra sportowa ani przygoda. Ponośliaby pani ogromne ryzyko, mogłaby nawet stracić życie. Powinna pani trzymać się od tego z daleka... chyba że naprawdę wierzy pani, iż jej pomoc w schwytaniu tych złoczyńców okaże się nieoceniona. Z racji tego, kim i czym pani jest, Kirkland, ja i wszyscy inni będziemy musieli szczególnie panią osłaniać, a to zwiększy jeszcze nasze, i tak pokaźne, ryzyko. Czy nie ma pani żadnych wątpliwości, że powinna narażać na to siebie i nas?

Cała wesołość Kiri gdzieś znikła. Na samą myśl o Macu ginącym w jej obronie, serce jej się ścisnęło. Jednak nic skłoniło jej to do zmiany zdania. Wzbudziło w niej jedynie gniew.

- Czemuż to wyłącznie mężczyźni mają przywilej podejmowania ryzyka, gdy idzie o cele wyższe? Nie jestem porcelanową lalką, którą można odłożyć na półkę i zapomnieć o niej. Kto wie, czy nie będę w stanie pomóc wam - a wy, moi panowie, potrzebujecie teraz każdej pomocy, jaką się wam uda zdobyć.

- Ma rację - oświadczył Kirkland. - Musimy działać szybko i sprawnie. Lady Kiri jest piękną i wielką damą, ale ma prócz tego serce wojownika i niezwykle zdolności, cenne dla nas.

Z głębokim westchnieniem Mackenzie skapitulował.

- Pewnie masz słuszość, ale nie podoba mi się to. - Wstał i z gniewnym grymasem zwrócił się do Kiri: - Mam szczerą nadzieję, że generał Stillwell zamknie cię, lady Kiri, w twoim pokoju, podejrzewam jednak, że tak się nie stanie. Czy zgodzisz się przynajmniej omówić ten swój zamiar z rodziną? Może choć jedno z twoich bliskich zdoła cię przekonać lepiej niż ja.

- Oczywiście że omówię to z nimi.

Ale nie zmieni zdania pod wpływem ich argumentów.

- W takim razie już mnie tu nie ma. Kirkland, powiadom Willa, żeby nie ufał zbytnekrologom, dobrze?

Oficerowi, pełniącemu służbę wojskową w Hiszpanii, należy oszczędzić trosk, które by go rozpraszały.

- Wyślę mu ostrzeżenie, żeby nie wierzył temu, co podaje prasa - obiecał Kirkland. - jak zamierzasz upozorować własną śmierć?

- Ułożę zwłoki w alejce na tyłach klubu - odparł Mackenzie. - W taki sposób, jakby ci dwaj nawzajem się pozabijali.

- A kiedy tego dokonasz, powinienesz czym prędzej zniknąć. - Kirkland sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta. - Wiesz, który to dom. Masz tu klucz.

Mackenzie uśmiechnął się szeroko.

- Mieszkałem już przy Exeter Street. Myślisz, że nie dorobiłem sobie klucza?

Kirkland wybuchnął śmiechem i schował swój do kieszeni.

- Aż wstyd, że się tego nie domyśliłem.

Ich nocna przygoda definitywnie dobiegła końca. Kiri uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczona.

- W tej chwili chyba już nic nie poderwałoby mnie do czynu. - Ziewnęła, zakrywając ręką usta. - Czy ktoś mógłby mnie odwieźć do domu? Jutro będę potrzebowała wszystkich sił, żeby przekonać swoich rodziców, że król, księżniczka i ojczyzna nie dadzą sobie rady beze mnie.

- Gdybyś zawsze była taką przykładną córką, lady Kiri, nie byłoby cię tutaj dzisiejszej nocy - stwierdził sucho Mackenzie.

- Racja. - Kiri uśmiechnęła się szelmowsko. - Staram się jednak nie szokować rodziców bardziej, niż jest to konieczne.

- Postaram się o jakiś powóz. - Kirkland wstał. - Do zobaczenia na Exeter Street, Mac. Jak spotkasz Cassandrę, powiedz jej o spisku. Kto wie, może przyjdzie jej do głowy coś ciekawego?

- Pomysłów jej nie brak.

Kiedy Kirkland opuścił gabinet, Mackenzie otworzył ukryty za obrazem sejf i wyjął z niego pięćdziesiąt gwinei, które tam niedawno schował. Odwracając się do Kiri oznajmił:

- Muszę się już pożegnać i zająć tymi nieboszczykami. Kiri skrzywiła się i wstała.

- Dość upiorne zajęcie. Dasz sobie z tym radę?

- Chodzi ci o to, czy znów nie zemdleję? - Uśmiechnął się krzywo. - Nie sprawi mi to przyjemności, ale widok cudzej krwi nie robi na mnie tak piorunującego wrażenia.

A jednak ociągał się z odejściem i nie spuszczał oczu z Kiri. Wyglądał tak, jakby równie gorąco pragnął uciec od niej, jak całować ją. Kin nie miałyby nic przeciwko pocałunkom, choć było czystym szaleństwem podsycanie ich wzajemnego pożądania, zwłaszcza że mieli przez jakiś czas mieszkać pod tym samym dachem.

- Lepiej już sobie pójdę, zanim wpakuję nas oboje w jeszcze gorsze tarapaty - powiedział wreszcie. - Kirkland będzie cię informował, co i jak.

- Uważaj na siebie. - Wyciągnęła do niego rękę. - Zeby z udawania nieboszczyka nie wyszło coś znacznie gorszego, Boże broń.

Ujął jej dłoń w obie ręce. Jego uścisk był ciepły i opiekuńczy.

- Możesz się nie obawiać. Złego diabli nie wezmą, już nieraz to udowodniłem.

- A jak się diabły na ciebie zawezmą, panie Mackenzie?

- Ty to potrafisz człowiekowi dodać ducha - odparł kwaśno. - Tej nocy możesz się o mnie nie obawiać. Mieszkam w sąsiednim domu i dostanę się tam sekretnym wejściem - prosto do mojej charakteryzatorni. Jak stamtąd wyjdę, najbliżsi przyjaciele mnie nie poznają.

- Jeśli nie zmienisz swego zapachu, znam kogoś, kto rozpozna cię bez trudu - odparła z wesołym błyskiem oczu.

- Jedyne nosy, które mogłyby się równać z twoim, lady Kiri, należą do ogarów. - Uśmiechnął się. - Ale ty masz znacznie ładniejszy nosek.

Kiri przygryzła wargę. Omal nie straciła do reszty kontroli nad sobą.

- Lepiej już idź. Im dłużej będziesz zwlekał, tym większe ryzyko że ktoś cię zobaczy.
- Tak jest. Odejść. Natychmiast. - Jego ręce zacisnęły się na jej dłoni. - Zanim me popełnię jakiegoś głupstwa. Tak. Już mnie tu nie ma.
- Panie Mackenzie - powiedziała drżącym głosem - proszę puścić moją rękę.
- Jeszcze tego nie zrobiłem? O, przepraszam. - Ale zamiast puścić jej rękę, podniósł ją do ust i ucałował wewnątrz dłoni. Uwalniając ją wreszcie z wyraźnym żalem, dodał jeszcze: - Mam nadzieję, że następnym razem spotkamy się w mniej dramatycznych okolicznościach. Uważaj na siebie, moja wojownicza panno. Drzwi zamknęły się cicho - i już go nie było.

## **16**

Kiri zacisnęła rękę w pięść, jakby ukryła w niej pocałunki Maca  
Nadal jeszcze wpatrywała się w drzwi, za którymi zniknął, gdy powrócił Kirkland.

- Powóz czeka, lady Kin.

Przemagając ogromne znużenie, Kiri zabrała swoje domino i wyszła za Kirklandem z gabinetu. Podprowadził ją do bocznych drzwi przed którymi czekał już powóz. Na koźle siedział jeden z czarno ubranych strażników klubu.

Gdy Kirkland pomagał Kiri przy wsiadaniu, odezwała się:

- Nie musi mi pan towarzyszyć, milordzie. Jestem przekonana że pański woźnica odwiezie mnie bezpiecznie do domu. A pana z pewnością czeka mnóstwo zajęć w klubie, zwłaszcza dziś.

Kirkland wszedł jednak do powozu i zajął miejsce naprzeciw niej

- Przyrzekłem panie Clarke-Townsend, że osobiście odwiozę panią do domu. - Nie należał do tych, co łatwo zapominają o przyrzeczeniach - Czy życzyłyby pani sobie, żebym był obecny, gdy jutro powiadomi pani rodzinę o swych zamiarach?

- Myśli pan, że będzie mi potrzebny sprzymierzeniec? - spytała cierpkim tonem. - Prawdę mówiąc, chyba istotnie się przyda. Porozma-

wiam z Adamem przy śniadaniu, jeśli będzie miał czas. Pańska obecność dodałaby naszej dyskusji oficjalnego charakteru.

- W takim razie stawię się jutro rano.

Kiedy powóz ruszył z turkotem, Kiri - mimo ciemności - przyjrzała się uważnie Kirklandowi. Był niewątpliwie przystojnym mężczyzną, znacznie bardziej interesującym, niż początkowo sądziła. A jednak jego dotknięcie nie robiło na niej wrażenia; był to dotyk brata. Jedynie muśnięcie ręki Mackenziego sprawiało, że jej mózg zmieniał się w kipiącą owsiankę.

Z cichym westchnieniem Kiri opadła na obite skórą poduszki. Życie byłoby zdecydowanie łatwiejsze, gdyby to ona i Kirkland mieli się ku sobie. Był bogaty, dobrze urodzony, należał do przyjaciół jej brata... Gdyby zechcieli się pobrać, spotkałoby się to z ogólną aprobatą.

Tak, małżeństwo zaaranżowane przez rodzinę nie było wcale głupim rozwiązaniem. Natomiast poleganie wyłącznie na wzajemnym pociągu, czy tam miłości, wydawało się nieco ryzykowne. Kobieta mogła zadurzyć się nieopatrnie w całkiem nieodpowiednim mężczyźnie, za którym nie przemawiało nic - prócz jego inteligencji, poczucia humoru czy niezwyklej atrakcyjności.

Kiri przemocą oderwała się od tych bezowocnych rozważań i spytała Kirklanda:

- Sądzi pan, że zdołamy zapobiec tym zamachom na członków rodziny królewskiej? Większość z nich to niewiele wariaci utracjusze, ale z małą Charlottą wiązą się nadzieje Anglii na pomyślne jutro.

- Jeśli księżniczka przeniesie się do Windsoru, powinna być tam bezpieczna - orzekł Kirkland. - Jej ojciec i stryjowie są w znacznie większym niebezpieczeństwie, gdyż rozbijają się po całym Londynie. A w dodatku to uparciuchy; licho wie, czy uwierzą, że naprawdę coś im grozi. Szczerze mówiąc, możemy liczyć tylko na siebie. Spisek jest co prawda dobrze zorganizowany, ale spiskowców nie ma chyba zbyt wielu.

- Zakładam, że będziecie ich zwalczać na wszelkie możliwe sposoby. - Kiri usiłowała coś wyczytać z kamiennej twarzy Kirklanda. - Jak się to właściwie stało, milordzie, że zainteresował się pan akurat szpiegostwem? Czyżby uznał to pan za nieodparte wyzwanie, coś w rodzaju pojedynku na umysły? A może powodowały panem względy patriotyczne?

- Chyba wszystkiego po trosze. - Kirkland westchnął. - Ostatecznie, ktoś musi się tym zajmować.

- Dlaczego akurat pan?! Po dłuższej chwili odparł:

- Głównie przez przypadek. Czy słyszała pani od Ashtona albo innego absolwenta Westerfield Academy o Wyndhamie?

- O tym waszym koledze, który zniknął, gdy pokój w Amiens został zerwany? Nadal nie daje to wam spokoju, nieprawdaż?

Kirkland uśmiechnął się blado i niewesoło.

- Wspomnienie o Wyndhamie prześladowuje nas jak duch, gdyż nie wiadomo, czy on jeszcze żyje, czy nie. A taki był pełen życia, wszyscy za nim przepadali. Nieokiełznany, ale nie znalazłby w nim ani krztyny prawdziwego zła. Zanim wyruszył do Francji, umówił się z nami, że urządzimy spotkanie chłopaków z naszej klasy, gdy tylko wróci. Po rozstaniu ze szkołą i lady Agnes wszyscyśmy się rozbiegli w różne strony, więc nie mogliśmy doczekać się chwili, kiedy się znów zbierzemy razem. Zamierzaliśmy zaprosić na to spotkanie także kolegów z dwóch niższych roczników, gdyż nasza Akademia była niewielka i wszyscy znaliśmy się jak łyse konie.

- Ale Wyndham nigdy nie wrócił - dokończyła cicho Kiri.

- We Francji zapanował chaos, gdy przestało obowiązywać zawieszenie broni.

Kirkland zamilkł na chwilę. Kiri trafnie odgadła, że Szkot zastanawia się, jak dużo może jej powiedzieć. Po chwili podjął swą opowieść.

- Ze względu na rozległe stosunki, które zawdzięczałem należącemu do naszej rodziny towarzystwu okrętowemu, to właśnie ja rozpocząłem poszukiwania w nadziei, że wpadnę na jakiś ślad naszego przyjaciela na terenie Francji.

Choć nie osiągnąłem zamierzonego celu, udało mi się zdobyć inne informacje, niezwykle istotne dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

- I tak od rzemyczka do koniczka - mruknęła Kiri.

- Kiedy przekazałem, komu trzeba, to, czego się dowiedziałem, powiedziano mi, że panowie z Whitehall byliby bardzo radzi, gdybym nadal zdobywał dla nich informacje. - Kirkland wzruszył ramionami; Kiri raczej to wyczuła, niż dostrzegła z powodu ciemności. - Bywają takie chwile, które decydują o całym ludzkim życiu.

- Ale nigdy nie dowiedział się pan, jaki los spotkał Wyndhama?

- Nie. - Po dłuższej chwili dodał: - Może kiedyś dowiem się tego. Kiri poznała po jego głosie, że Kirkland nie ma większej nadziei. Nie dawał jednak za wygraną.

Pomyślała, że woli mieć w tym człowieku przyjaciela niż wroga.

Kiri wślizgnęła się do Ashton House na paluszkach; była zbyt zmęczona, żeby w tej chwili tłumaczyć się przed kimś. Obiecała jednak powiadomić o swym powrocie Sarah, zapukała więc do jej drzwi.

Sarah otworzyła niemal natychmiast. Była już w nocnym stroju, ale się jeszcze nie położyła. Na jej twarzy odmalowała się ulga na widok Kiri; zaprosiła ją gestem do środka.

- Dzięki Bogu, jesteś już z powrotem. Strasznie mnie gryzło sumienie, że zostawiłam cię samą.

- Nic mi nie groziło, słowo daję - zapewniła ją Kiri, zamykając za sobą drzwi. - Lord Kirkland chciał się po prostu dowiedzieć o wszystkim, co zauważyłam, jeśli chodzi o porywaczy. Czy księżniczce udało się po cichu wrócić do domu, bez wywoływania niepotrzebnej sensacji?

Sarah przytaknęła.

- Księżniczka wynalazła bardzo pomysłowy sposób wymykania się z Warwick House tak, by nikt tego nie zauważył. Czy wiesz, że okna jej pokoju wychodzą prosto na Carlton House? Jej ojciec mógłby w każdej chwili mieć córeczkę na oku, gdyby zadał sobie choć trochę trudu.

- Nawet jeśli księżniczka wróciła do sypialni, nie zwracając niczyjej uwagi, to, co dziś przeżyła, z pewnością wpłynie na całe jej życie. -W drodze powrotnej do domu Kiri zastanawiała się, jak dalece może być szczerą wobec Sarah.

Doszła do wniosku, że powie jej tylko tyle, że było to prawdziwe, groźne porwanie. Nic więcej. - Kirkland podejrzewa, i nie bez powodu, że za tym porwaniem stoją Francuzi. I z pewnością znowu spróbują biedactwo porwać.

Sarah jęknęła.

- Okropność. Chyba księżniczka zostanie przewieziona w jakieś lepiej strzeżone miejsce?

- Chyba tak. Najpewniej do Windsor Castle. Tam powinna być bezpieczna.

- Mam nadzieję. Teraz, kiedy już ją znam, naprawdę polubiłam księżniczkę Charlotte. Ma takie okropne życie: rodzice ją sobie wyrywają,

a i dziadkowie próbują im ją odebrać. Ale jest naprawdę słodka i ma takie dobre serce.

- Daj Boże, żeby miała też trzeźwy umysł, bo wszystko wskazuje na to, że zostanie prędzej czy później królową Anglii. - Kiri stłumiła ziewnięcie. - Muszę się położyć.

- Ja także, kiedy jesteś już w domu, zdrowa i cała. - Sarah skrzywiła się. - Myślę, że mam dość przygód na dłuższy czas.

Dla Kiri jednak wielka przygoda dopiero się zaczęła.

Mac z prawdziwym zjawstwem rozmieścił oba ciała w alejce na tyłach domu i zrobił, co mógł, by potężniej zbudowany nieboszczyk jak najbardziej przypominał Damiana Mackenziego. Dokonawszy tego, przebył niewielką odległość dzielącą ową ustronną alejkę od muru otaczającego jego własny dom.

Najprościej byłoby wejść z ogrodu prosto do domu przez podwójne francuskie okno od frontu, ale były także nie rzucające się w oczy drzwi przy końcu prawej bocznej ściany. Wchodziło się przez nie do dawnego składziku na narzędzia. Ponieważ można się tam było dostać zarówno z wnętrza domu, jak od ogrodu, Mac postarał się o dobre, mocne zamki na jednych i drugich drzwiach, i uczynił z tego pomieszczenia centrum operacyjne swoich niecznych - a w każdym razie sekretnych - działań.

Mackenzie już w dzieciństwie bardzo lubił przyglądać się, jak jego matka przebiera się, charakteryzuje - i staje się kimś innym. W latach chłopięcych sam chętnie przeistaczał się w kogoś innego. Być może wyzwał się w ten sposób od własnego „ja”, które go nie zadowalało.

A choć jako dorosły czuł się pewniej we własnej skórze, współpraca z Kirklandem nieraz zmuszała go do tego, by przybierał postać robotnika, marynarza czy woźnicy, dzięki czemu mógł swobodnie poruszać się po Londynie, wiedząc, że nikt go nie pozna. Miał więc mnóstwo ubrań i wszelakich akcesoriów, pozwalających mu wcielić się, w kogo tylko zechce - od salonowego gogosia do szmaciarza.

Owe przebieranki wymagałyby zapewne mniej wysiłku, gdyby Mac był średniego wzrostu i szczuplejszy. Nauczył się jednak paru sztuczek, pozwalających zamaskować — w pewnym stopniu - jego imponujący wzrost i atletyczną budowę. Na przykład, w watowanej kamizelce wydawał się niższy i tęższy. Jego włosy nie rzucały się zbyt w oczy: były



dość ciemne, i tyle. Tej nocy zupełnie mu to nie wadziło, zaopatrzył się jednak przezornie w zapas farby, dzięki której włosy stawały się niemal czarne i pozbawione blasku.

Następnie zasłonił swoje piwne oko przepaską a la pirat. Były one ostatnio w modzie, nie zwracały więc szczególnej uwagi, a w jego wypadku pozwalały ukryć, że oczy ma „nie do pary”. Odsłonięte oko miało zmienną barwę - niebieską, szarą, a nawet zielonkawą, w zależności od koloru ubrania. Bardzo użyteczna cecha dla kameleona. Zdecydował się na obszerny płaszcz woźnicy - w dobrym gatunku, choć trochę podniszczony, jak przystało na szacownego przedstawiciela tego zawodu. Buty też były wygodne, ze specjalnymi podeszwami, zmieniającymi nieco jego chód.

Jak wszystkie okrycia Maca, tak i ten płaszcz woźnicy, ozdobiony kilkoma krótkimi pelerynkami, posiadał nieprawdopodobną ilość kieszeni - od wewnątrz i na zewnątrz. Mac dodał jeszcze gruby zwitek banknotów do pięćdziesięciu złotych gwinei zwróconych mu przez lady Kin. Miał co prawda rachunek bankowy na fałszywe nazwisko i mógł z niego skorzystać w razie konieczności, wiedział jednak, że nie ma to jak gotówka, jeśli chodzi o łapówki i najszybsze wydobywanie się z kłopotliwej sytuacji.

Ukrywając kilka egzemplarzy różnego rodzaju broni w rozmaitych zakamarkach, do których łatwo mógł sięgnąć, i zaopatrzywszy się w inne niezbędne akcesoria, Mac gotów był do drogi. Posługiwał się kilkoma fałszywymi nazwiskami; tym razem zdecydował się na „Danielsa”. Było to miano na tyle zbliżone fonetycznie do jego imienia, że reagował na nie odruchowo, z całą naturalnością.

Zamykając za sobą drzwi, a następnie furtkę, Mac zastanawiał się, czy lady Kiri Lawford zdołałaby go rozpoznać w tym przebraniu? Pewnie tak, bo nie skropił się potężnie wodą kolońską, by zatuszować swój naturalny zapach.

Myśli Maca nie były zbyt pogodne, gdy maszerował tak po ciemku. A choć jego główne zadanie polegało na obronie członków rodziny królewskiej oraz interesów państwa, gdyby musiał teraz wybierać między ocaleniem księżniczki Charlotty a uratowaniem życia Kiri Lawford, ratowałaby Kiri, a z królem, księżniczką i Anglią niechby się działo co chce!

- Milordzie. Musi pan tam pójść... natychmiast.

Ubrany na czarno lokaj, który zwrócił się tak obcesowo do Kirklanda, był niezwykle blady.

- Za domem leżą dwaj zabici... chyba obaj z naszego klubu.

- Niech to szlag. - Kirkland zerwał się raptownie zza biurka. Odprowadziwszy lady Kiri do domu, wrócił do klubu.

Udał się do

gabinetu Maca i czekał tam, aż ktoś odkryje zwłoki. Rozpoznał tego lokaja: był to ich stały pracownik nazwiskiem Borden.

- Jakim sposobem natknąłeś się na te trupy?

- Wyszedłem z sali balowej, żeby chwilę odpocząć. Pomyślałem, że najspokojniej będzie na tyłach klubu. - Borden odetchnął głęboko. Głos mu drżał. - I tam ich znalazłem.

- No, toś niewiele odpoczął. - Kirkland szedł spiesznie głównym korytarzem obok lokaja. - Powiadomiłeś już pana Mackenziego? Jeśli ci zabici to nasi stali goście, z pewnością ich rozpozna.

- Obawiam się, milordzie... - Lokaj był taki blady, jakby miał za chwilę zemdleć. - Obawiam się, że pan Mackenzie...

- Borden z trudem przełknął ślinę - pomyślałem, że najlepiej sprawdzę w gabinecie, ale był tylko pan, sir.

- Więc chodźmy tam czym prędzej - odparł żywo Kirkland.

Nie dostrzegł po drodze żadnych śladów krwi, które mogłyby zdradzić, gdzie obaj mężczyźni zginęli. Mac wywiązał się znakomicie ze swego zadania: wysprzątał korytarz aż miło.

Borden zostawił latarnię obok tylnego wyjścia. Podniósł ją teraz, by oświetlić drogę do alejki za klubem. Ciała znajdowały się zresztą w odległości zaledwie kilku kroków. Jeden z zabitych ścisnął w dłoni pistolet. Drugiemu broń wypadła widać z ręki, bo leżała obok.

- Wygląda na to, że się nawzajem pozabijali - stwierdził Kirkland. -Może doszło do sprzeczki podczas gry w karty i postanowili rozstrzygnąć to od razu, z bronią w ręku. Nie domyślasz się, Borden, kim oni mogą być?

- Milordzie - wyszeptał Borden - Niech się pan przyjrzy temu większemu...

Kirkland starał się zachowywać jak człowiek, który nie podejrzewa niczego. Podeszedł bliżej do potężnie zbudowanego mężczyzny o zmasakrowanej twarzy. Nie było jej zresztą widać, bo zmarły leżał plecami

do nich. Włosy miał tego samego koloru co Mac i mniej więcej tej samej długości. Borden pochylił się i w świetle latarni błysnął złotem sygnet na lewej ręce zmarłego. Kirkland spojrział - i serce zamarło mu z przerażenia.

- Boże wielki.

Nie. To niemożliwe. Widział przecież Maca żywego i zdrowego przed niespełną godziną.

Czując bolesny kurcz żołądka, przyklęknął obok trupa. Pistolet zaciśnięty w martwej ręce tak podobnej do ręki Maca. I ten sygnet.

Uniósł bezwładną rękę, by przyjrzeć się dokładnie herbowi wygrawerowanemu w złocie. Tak, to był herb Mastersonów, przekreślony czarną poprzeczką z onyksu - tradycyjnym symbolem nieprawego pochodzenia.

- To sygnet Mackenziego - wykrztusił, bo gardło miał zaciśnięte. -Dostał go od brata, lorda Mastersona.

Jakże ubawiła wówczas Maca ta jawna proklamacja jego równocześnie arystokratycznego i nieprawego pochodzenia. Tym bardziej, że prezent pochodził od Willa. Obaj zaśmiewali się, podziwiając pierścień.

- Ja... miałem nadzieję, że się mylę - mówił Borden załamującym się głosem. - Pan Mackenzie uratował mi życie, milordzie. Wpadłem w nie lada tarapaty, o mało mnie nie zesłali do Botany Bay, ale on wstawił się za mną i dał mi pracę. Nie mogę uwierzyć, że nie żyje.

Słowa Bordena uleczyły Kirklanda z nagłego paraliżu mózgu. Ależ oczywiście. Mac doskonale wiedział, że sygnet będzie najlepszym dowodem tożsamości zwłok. A przerażająca chwila, gdy nawet on - Kirkland -uwierzył w śmierć przyjaciela, doda rumieńców życia scenie identyfikacji.

- Sprowadź tu Baptiste'a i dwóch ludzi do pomocy. Niech wezmą koce, żeby zakryć zwłoki. I niech ktoś zawiadomi policję.

Wiedząc, jak Macowi drogi był ten sygnet, Kirkland nie mógł pozwolić, by skradł go jakiś przygodny złodziejaszek. Ściągnął więc pierścień z zimnej jak lód ręki.

- Lord Masterson z pewnością zechce go zachować na pamiątkę. Borden wrócił do klubu, wyraźnie rad, że nie musi czuwać przy

zwłokach. Kirkland ze znużeniem podniósł się z klęczek. Mac był żywy i zdrowy. Niebawem będzie mógł powrócić do dawnego życia. Byli jednak inni, których Kirkland wysyłał tu czy tam - nieraz na śmierć. Pamięć o nich ciążyła mu nieznośnie w mrokach takiej nocy jak ta.

Jego przyjaciel Wyndham był jednym z nich.

Nie minęło nawet pięć minut i Baptiste wybiegł z klubu w towarzystwie swego przyjaciela, lorda Fendalla, i dwóch krzepkich lokajów niosących koce.

- Kirkland! Powiedz, że to nieprawda! - krzyknął rozpaczliwie Baptiste.

- Obawiam się, że to prawda. - Kirkland otworzył zaciśniętą dłoń i pokazał mu sygnet. - Mackenziemu strzelono prosto w twarz... i niełatwo go rozpoznać. Ale zdjąłem to z jego palca.

Baptiste spoglądał na pierścień z przerażeniem.

- Nie! Nie! Mackenzie nie mógł umrzeć!

Jego spojrzenie mimo woli skierowało się w stronę potężnego, barczystego trupa, którego lokaj zakrywał właśnie kocem. Zarządzający klubem wydał jakiś zdławiony dźwięk i odwrócił się pospiesznie. Gdy torsje minęły, oparł się drżącą ręką o ścianę.

Fendall podszedł do Kirklanda.

- Co się tu wydarzyło? - spytał cicho, jakby bał się zakłócić sen zmarłych.

- Przypuszczam, że Mackenzie przyłapał na gorącym uczynku złodzieja, a ten postanowił go uciszyć. - Kirkland potrząsnął smutno głową. - Pewnie nigdy się nie dowiemy, jak to naprawdę było.

- Cóż za niepowetowana strata - powiedział Fendall z żalem. Odwrócił się od zwłok. - Zaczekasz tu na policję, milordzie?

Kirkland skinął głową potakująco.

- Pomyślałem, że lepiej niczego nie ruszać, póki nie zjawią się stróże prawa.

Baptiste oderwał się od ściany i otarł usta chusteczką. Nadal był blady, ale jakoś się pozbierał.

- To wprost niewiarygodne: Mackenziego już nie ma. Wydawał się taki... niespożyty.

Kirkland powtórnie skinął głową; nadal był wstrząśnięty.

- A Klub Damiana? - mówił z pewnym wahaniem Francuz. - Co się z nim stanie? Czy lord Masterson, ten jego brat, oficer, odziedziczy klub po Macu?

No cóż, życie musi toczyć się dalej. Baptiste mógł się przejąć śmiercią swego chlebowdawcy a zarazem przyjaciela, ale, zupełnie zrozumiale, niepokoił się o swoją pracę.

- Nie - wyjaśnił Kirkland. - Mackenzie i ja byliśmy współwłaścicielami klubu, z prawem do dziedziczenia całości w razie śmierci wspólnika. - Szkot wpatrywał się w okryte kocem zwłoki i myślał, że niewiele brakowało, a mógłby to naprawdę być Mackenzie. - Żaden z nas nie spodziewał się... czegoś takiego.

Baptiste smętnie pokiwał głową.

- I pomyśleć, że zabił go jakiś nędzny szuler. Lepiej by było machnąć ręką na jego draństwo, niż stracić życie przez takiego podleca.

- Wielka szkoda, że nikt z nas nie może przewidzieć przyszłości - przytaknął Kirkland. - A co się tyczy klubu, to nie przewiduję na razie żadnych zmian. Proszę zarządzać nim jak zawsze. - Pokręcił głową. - Choć Klub Damiana bez Maca to już nie będzie to, co dawniej.

Baptiste skinął głową, w pełni zgadzając się z nim.

- Pewnie, że nie. Ale... gdyby pan jednak postanowił, milordzie, pozbyć się kłopotu... może dałby mi pan możliwość odkupienia „Damiana”?

Kirkland przytaknął ruchem głowy.

- Zasłużył pan na prawo pierwokupu, Baptiste. Ale na razie niech zostanie po dawnemu.

W ciszy, która zapadła, Kirkland zastanawiał się, ile czasu upłynie, nim Mac znów będzie mógł zająć należne mu miejsce.

## *17*

Kiri położyła się do łóżka, ale niespokojne myśli nie pozwalały jej zasnąć. Skutek był taki, że zeszła na śniadanie, ziewając. Adam był już w pokoju śniadaniowym i kończył jeść, przeglądając od niechcienia gazetę. Wstał z uśmiechem na powitanie siostry.

- Dzień dobry, Kiri. Coś mi się zdaje, że miałaś nie najlepszą noc. Obdarzyła go siostrzanym pocałunkiem.

- Istotnie. Czyżby Mariah dziś zasnęła? Zazwyczaj jest o tej porze niesmacznie wprost przytomna.

- Postanowiła skorzystać z przywilejów swego błogosławionego stanu i zjeść śniadanie w łóżku. Sarah jej towarzyszy. - Uśmiechnął się szeroko. -

Wychodząc, słyszałem, że śmieją się jak szalone, więc nie przypuszczam, by któraś z nich zjawiła się niebawem tu, na dole. Gdy brat usiadł z powrotem, Kiri powiedziała:

- Wkrótce energia zacznie ją rozpierać. Tak przynajmniej twierdzi lady Julia. Co za szczęście, że najserdeczniejsza przyjaciółka Mariah jest położną. - Kiri naląła sobie filiżankę gorącej, aromatycznej kawy z jednego ze srebrnych dzbanków; potrzebowała tego ranka czegoś zdecydowanie mocniejszego od herbaty. — Poważnie się obawiam, że wkrótce sprzykrzy ci się moje towarzystwo i wyrzucisz mnie ze swego domu prosto na ulice Mayfair.

- Nie ma mowy - odparł ze śmiechem. - Późno osiągnąłem status *paterfamilias* i nieprędko mi się to znudzi. Nie mogę się doczekać przyszłego tygodnia, kiedy zgromadzę was wszystkich pod moimi skrzydłami w Ralston Abbey.

- Dolał sobie herbaty. - Dostałem wczoraj liścik od generała Stillwella; jak wiesz, zastanawia się od pewnego czasu, czy nie kupić jakiejś posiadłości. Podczas najbliższej wizyty u nas zamierza obejrzeć Blythe Manor, leżącą w pobliżu Ralston.

- Jakaż to podnosząca na duchu nazwa. I jakie dogodne położenie: mieszkalibyśmy blisko siebie, ale nie na tyle, by deptać sobie po piętach. Można by odrobić cały ten stracony czas, kiedy żyliśmy na przeciwległych krańcach świata. Nakładając sobie na talerz porcję kedgeree z podgrzewanego srebrnego półmiska, Kiri zastanawiała się, czy to odpowiednia chwila, by wyznać bratu, iż nie zamierza wybrać się do Ralston wraz z resztą rodziny.

Nim zdołała podjąć jakąś decyzję, otworzyły się drzwi pokoju śniadaniowego i weszli jej rodzice. Lakshmi, ubrana w angielskim stylu, wyglądała jak maleńka ciemnowłosa Wenus, generał zaś prezentował się dokładnie tak, jak przystało na generała: wysoki, przystojny, nawykły do rozkazywania mężczyzna, nadal w tak dobrej kondycji, że bez większego wysiłku mógłby nie zsiadać z konia przez cały dzień i połowę nocy, gdyby zaszła potrzeba.

Kiri zapomniała o swoim śniadaniu i przemknęła przez pokój, by paść w objęcia matki. Myślała przy tym, jak wiele się wydarzyło, odkąd widziała ją po raz ostatni.

- Och, mamusiu, jak to cudownie, że wyrwałaś się wreszcie z tego więzienia.

- Nie widziałam cię prawie od miesiąca, Kiri. Stanowczo za długo.

Lakshmi Lawford Stillwell, niegdyś wdowa po księciu Ashton, chociaż nigdy nie używała tytułu „księżnej wdowy”, ze swymi śmiejącymi się zielonymi oczyma wydawała się stanowczo zbyt młoda na matkę dwojga dorosłych dzieci. Była też - zdaniem Kiri - najmądrzejszą i najbardziej kochającą ze wszystkich matek. Już sam jej uścisk sprawił, że córka poczuła się lepiej.

- Teraz moja kolej - upomniał się Adam. - Ja też nie widziałem mamy od miesiąca.

Kiri witała się z generałem, podczas gdy jej brat obejmował Lakshmi.

- Jestem szczęśliwy, że uwolniliście się wreszcie od tej kwarantanny - zapewniał Adam. - Czy Thomas i Lucia przyjechali razem z wami?

- Już się trochę pozbierali po odrze, ale nadal łatwo się męczą. Uznałam, że będzie najlepiej, jeśli zostaną w domu - odparła Lakshmi swoim melodyjnym głosem. - Możesz ich odwiedzić, jeśli chcesz.

- Bardzo chętnie. - Adam potrząsnął ręką generała. - Jesteście już po śniadaniu?

- Owszem - odparł Stillwell, uściskawszy Kiri - ale nie odmówię herbaty z tymi cynamonowymi bułeczkami, które dostrzegam na kredensie.

Podczas gdy Adam podsuwał krzesła matce i ojczymowi, Kiri naląła im herbaty i postawiła obok bułeczki z cynamonem. W Ashton House nie brakowało służby, ale Kiri przepadała za atmosferą pokoju śniadaniowego, gdzie członkowie rodziny sami się obsługiwali.

Powróciwszy na swoje miejsce przy stole, Kiri jadła w milczeniu, podczas gdy reszta rodziny gawędziła z ożywieniem. Teraz, gdy zebrali się razem jej najbliżsi, brat i rodzice, Kiri miała okazję podyskutować z nimi -i to ze wszystkimi naraz - o swoich zamiarach.

Lecz jakże mogła oznajmić im ni z tego, ni z owego: A tak przy okazji -ubiegłej nocy wymknęłam się potajemnie do jednego z najmodniejszych w Londynie klubów, byłam świadkiem uprowadzenia księżniczki Charlotty i przyczyniłam się do uwolnienia jej z rąk porywaczy. W związku z tym zamierzam niebawem przenieść się do domu w podejrzanej dzielnicy, zawierać znajomości z niebezpiecznymi osobnikami, ubierać się jak ladacznica i odwiedzać najgorsze spelunki, żeby gapić się na nieznanomych i sprawdzać węchem, czy przypadkiem nie należą do groźnego francuskiego spisku.

Zanościło się, doprawdy, na burzliwą rodzinną dyskusję.

Kiri szukała jakichś najbardziej odpowiednich słów i argumentów, gdy drzwi znowu się otwały i tym razem pojawił się w nich lord Kirkland. Mimo pełnej mocnych wrażeń nocy był doskonale opanowany, jak zwykle. Adam uśmiechnął się do przyjaciela i wyciągnął rękę na powitanie.

- Czyżby nasz pokój śniadaniowy stał się miejscem spotkań najwytworniejszych mieszkańców Londynu?

- Na to wygląda. - Kirkland rozejrzał się po pokoju i zdołał wymienić przelotne spojrzenie z Kiri. - Moje uszanowanie, lady Kiri... Łaskawa pani Stillwell... Panie generale...

Kiri poczuła wyraźną ulgę na myśl, że może liczyć na poparcie ze strony Kirklanda podczas zbliżającej się dyskusji. Szkot nalał sobie kawy i usiadł przy stole, naprzeciw generała i jego żony.

- Bardzo się cieszę, że zastałem tu wszystkich państwa, gdyż musimy rozstrzygnąć pewien istotny problem związany z osobą lady Kiri.

Generał wydawał się zaskoczony, ale i uradowany.

- Chce się pan ożenić z moją małą dziewczynką, milordzie? Czasem niesforne z niej dziecko, ale z pewnością nie pożałuje pan swojej decyzji.

Lakshmi i Adam też byli zaskoczeni, ale było to nie w porównaniu z konsternacją, jaka odmalowała się na twarzy Kirklanda.

- Wielki Boże, nie! - wykrzyknął.

Uświadomiwszy sobie poniewczasie, jak niegrzecznie to zabrzmiało, dodał pośpiesznie:

- Lady Kiri jest piękna, czarująca, utalentowana i niewykłże inteligentna, ale nie wiąże z jej osobą żadnych romantycznych nadziei. To Brytania potrzebuje lady Kiri, właśnie ze względu na jej zdumiewające talenty.

- Popatrzyl na nią. - Czy woli pani sama opowiedzieć całą historię?

Widząc, że oczy wszystkich zwróciły się w jej stronę, Kiri zebrała siły i przekonała się z radością, że panuje nad swoim głosem.

- To był dla mnie tydzień pełen przygód - zwróciła się do swoich rodziców. - Zamiast powiadamiać was o nich listownie, postanowiłam poczekać do chwili, gdy będę mogła opowiedzieć wam to wszystko osobiście.

Kiri wołałaby, rzecz jasna, nie wspominać o przemytnikach; nie było to jednak możliwe, gdyż jej porwanie wiązało się bezpośrednio z osobą Damiana. Opisała więc pokrótce, jak opuściła Grimes Hol, po wysłuchaniu - mimo woli - pewnej rozmowy na temat jej posagu. Nie wspomniała o odrażających uwagach pod jej adresem; jednak cień, który przebiegł po



twarży Lakshmi, świadczył wyraźnie, że matka domyśliła się wszystkiego, co córka przemilczała.

Jak było do przewidzenia, generał wybuchnął gniewem, dowiedziawszy się o pojmaniu Kiri przez przemytników, i odruchowo sięgnął po broń, której na szczęście nie miał przy sobie. Lakshmi położyła uspokajająco rękę na ramieniu męża, a Kiri pospiesznie dodała:

- Jak widzicie, jestem tu, zdrowa i cała. Pozwólcie mi mówić dalej. Adam wzdrygnął się.

- Spotkało cię coś jeszcze?!

- Obawiam się, że tak.

Opisała pokrótce swoją wizytę w Klubie Damiana, stosując się ściśle do zasady Kirklanda: mówić jedynie to, co konieczne. O udziale Sarah w tej eskapadzie w ogóle nie wspomniała. Brat i rodzice Kiri okazywali w różnym stopniu zdumienie i dezaprobatę, które przerodziły się w prawdziwy szok, gdy padło imię księżniczki Charlotty. Kiri zakończyła swą opowieść słowami:

- Ponieważ udało mi się zapamiętać kilka szczegółów, dotyczących porywaczy, między innymi określić charakterystyczny dla kilku z nich zapach, lord Kirkland uznał, że mogłabym być pomocna w wykryciu spiskowców, zanim spowodują jeszcze większe nieszczęście.

Z wyrazu twarzy Adama Kiri domyśliła się, że wiedział coś niecoś o okrytej tajemnicą działalności swojego przyjaciela. Spytał podejrzliwym tonem:

- Na czym miałyby polegać ta twoja pomoc, Kiri?

- Zamiast udać się z wami do Ralston Abbey, zostanę w Londynie i odwiedzę lokale, w których prawdopodobnie bywają spiskowcy - odparła takim tonem, jakby mówiła o czymś najzwyklejszym pod słońcem. - Wykorzystam wówczas swą zdolność do rozpoznawania zapachów, by zidentyfikować przestępców. Jeśli mi się to uda, może trafimy przez nich do pozostałych konspiratorów.

Nim zdążyła dodać coś więcej, generał zerwał się na równe nogi i walnął pięścią w stół, aż brzęknęły filiżanki.

- Chcesz włączyć się po spelunkach i jaskiniach gry? Kategorycznie zabraniam.

Kiri zacisnęła kurczowo ręce i odparła:

- Jestem już pełnoletnia, ojczu. Nie możesz mi tego zabronić.

- Właśnie że mogę! Związę cię jak barana, wywiozę do Ralston Abbey i zamknę w jednej z tych klasztornych cel. Kiri dostrzegła pod maską wściekłości trawiący ojczyzna lęk. Adam zwrócił się do przyjaciela głosem znacznie spokojniejszym niż Stillwell, ale ostrym i pełnym napięcia:

- Z pewnością nie brak innych sposobów odnajdywania spiskowców, Kirkland. Moja siostra nie może się narażać na takie niebezpieczeństwo.'

- Jej zdolność rozpoznawania zapachów jest wprost niewiarygodna -odparł Kirkland. - Zaręczam słowem honoru, że lady Kiri będzie zawsze pod ochroną. Może zatrzymać się w należącym do mnie domu, gdzie zawsze przebywa kilku agentów śledczych najwyższej klasy. Nigdy nie opuści tego domu bez kogoś, kto będzie odpowiadał za jej bezpieczeństwo.

- Choćby nie wiem ilu się nią opiekowało, nigdy nie można zagwarantować, że nic się nie stanie - warknął generał. - A nawet gdyby nie doznała ciężkich obrażeń, co z jej reputacją?

W tym momencie po raz pierwszy zabrała głos Lakshmi.

- Zapominasz, o kim mówisz, Johnie: Kiri nie jest cieplarnianą roślinką. To urodzona wojowniczka, wywodząca się z bohaterskiego rodu i wychowana pod dachem żołnierza. Nauczono ją, co to honor i obowiązek. Jeśli jest potrzebna ojczyźnie, jak mogłaby odmówić?

Generał był wyraźnie w szoku.

- Czy nic cię to nie obchodzi, że twoja córka może się znaleźć w śmiertelnym niebezpieczeństwie?

- Oczywiście, że mnie to obchodzi. Ale życie nie daje nam przecież żadnych gwarancji - odparła cicho Lakshmi. - Gdyby ta odra rozsrożyła się jeszcze bardziej, moglibyśmy stracić Thomasa albo Lucię, a nawet oboje. A Kiri, towarzysząc nam do Ralston Abbey, mogłaby spaść z konia i skrócić kark. - Wskazała mężowi najstarszą córkę. - Spójrz na nią. Aż się rwie do tego zadania, któremu nikt prócz niej nie podoła. Wypełni je, by służyć ojczyźnie i sprawdzić się przy rozwiązywaniu niezwykle trudnego problemu. Pozbawiłbyś ją takiej życiowej szansy? Nie mógłbyś tego uczynić - uśmiechnęła się leciutko - choćbyś nawet chciał.

W pokoju zaległa absolutna cisza na dziesięć, może dwanaście sekund. Lakshmi niewątpliwie rozumiała doskonale swą nieujarzmioną córkę. Ciszę przerwała Kiri, pytając z ożywieniem:

- A teraz, kiedy wszystko zostało już ustalone, kto chce jeszcze herbaty?

Odpowiedział jej chóralny śmiech; wszystkich opuściło napięcie. Z wyjątkiem generała, który wpatrywał się w Kiri oczyma pełnymi rozpaczy.

- Tatulku - zwróciła się do niego czule, z rozmysłem używając pieszczotliwego miana, jakie nadała mu, będąc dzieckiem. - Słyszałam kiedyś o młodym chłopcu z pastorskiej rodziny. Był bardzo inteligentny i jego bliscy wiązali z nim wielkie nadzieje. Studia w Oksfordzie, potem dobra prebenda, może po latach nawet biskupstwo. Ale ten chłopak marzył tylko o tym, by zostać żołnierzem. Opierał się wszelkim próbom pokierowania inaczej jego losem, choć czyniono to wyłącznie dla jego dobra. Zbierał swych rówieśników z sąsiedztwa, organizował zbrojne drużyny i wiódł je do boju. Wyczyniał cuda, godne wytrawnego kawalerzysty, na swoim starym kucyku. Nauczył się łaciny tylko po to, by czytać *Pamiętniki* Cezara w jego ojczystym języku. Ku wielkiemu żalowi jego rodziców nigdy nie mianowano go biskupem. Został jednak znakomitym i sławnym generałem, nieprawdaż?

Jej ojczym odetchnął z trudem.

- Dobrze już, dobrze, moja droga... Poddaję się. Nie wolno zmuszać własnego dziecka do czegoś, co jest sprzeczne z jego naturą. Nie urodziłaś się po to, by całymi godzinami haftować, czy malować akwarelki. Ale jeśli już musisz zrobić to, czego pragniesz, bądź przynajmniej ostrożna. Wypływasz na bardzo niebezpieczne wody.

Kiri wstała i podbiegła do ojca, by uściskać go z całej siły.

- Będę bardzo, ale to bardzo ostrożna, tatulku. I będę miała wokół siebie ludzi, którym naprawdę zależy na tym, by nic mi się nie stało.

- Zapewniam, sir - poparł ją Adam - że Kirkland ma ogromne doświadczenie w tych sprawach i cieszy się zaufaniem najwyższych przedstawicieli rządu. A ci, co z nim współpracują, to same asy. Nie wątpię, że zapewni Kiri absolutne bezpieczeństwo... o ile człowiek może coś takiego zagwarantować.

Zimne spojrzenie Ashtona mówiło wyraźnie: lepiej, by jego siostrze nie spadł włos z głowy, bo inaczej on już komuś zęby porachuje. Generał spytał:

- Kiedy Kiri ma przystąpić... do spełniania swoich obowiązków?

- Jak najszybciej - odparł Kirkland. - Choćby dziś. Lakshmi westchnęła.

- Pojedziesz z nami do domu zobaczyć się z bratem i siostrą, nim wyruszysz, by spełnić swą powinność?

Jeszcze dziś. Serce Kiri zabito gwałtownie w radosnym oczekiwaniu.

- Oczywiście - odparła matce. - Bardzo chciałabym się z nimi zobaczyć. No i muszę spakować swoje rzeczy.

Kirkland obrzucił ją nieufnym spojrzeniem.

- Nie za wiele strojów. Prawie cała pani garderoba będzie jawnym dysonansem tam, gdzie pani zamieszka.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Chciałabym jednak zabrać ze sobą niektóre akcesoria, niezbędne przy wyrobie perfum.

Mogą się okazać przydatne.

Kirkland spojrzał na nią, jakby chciał spytać, do czego, u licha, mogłyby się przydać - ale ponieważ sam mianował Kiri ekspertem od zapachów, jakoś się powstrzymał. zaproponował natomiast:

- Czy mogę przyjechać po panią do domu jej rodziców o czwartej po południu?

Dokonawszy szybkiego obliczenia, Kiri przytaknęła.

- Możemy wracać do domu natychmiast, jeśli chcecie - zwróciła się do matki i ojczyma.

Wyrazili zgodę; polecono więc służącej spakować rzeczy Kiri, pozostawione w Ashton House. Pożegnawszy się z Mariah i Sarah, Kiri w towarzystwie rodziców opuściła dom swojego brata.

Owładnęło ją jakieś dziwne uczucie, będące mieszaniną niepokoju i podniecenia. Była przeświadczona, iż wyjdzie z tego cało. Czuła jednak w kościach, że zadanie, którego się podjęła, stanie się punktem zwrotnym w jej życiu.

Ciszę, jaka zapanowała po odjeździe Stillwellów i Kiri, przerwał Kirkland, zwracając się do Ashtona:

- I ja muszę już iść. Czeka mnie mnóstwo roboty.

- Wyobrażam sobie. - Ashton wpatrywał się znów w przyjaciela z niesłabnącym natężeniem. - Czy wciągnięcie mojej siostry w sprawę tego spisku było dla was jedynym rozwiązaniem?

- Nie jedynym, ale najlepszym - odparł uczciwie Kirkland. - Twoja siostra jest obdarzona niezwykłymi zdolnościami i dzięki niej zdołamy, być może, zapobiec nieszczęściu i udaremnić ten zbrodniczy spisek.

- Zwerbujesz Roba Carmichaela do waszego zespołu?

- Oczywiście.

- Cieszę się. To naprawdę as.

Wypowiedziawszy te słowa, Adam przybrał znów minę pełną godności i wziął do ręki gazetę, na którą rzucił okiem, gdy goście wychodzili. Wielkie litery nagłówek krzyczały: OGÓLNIENIE ZNANY WŁAŚCICIEL LONDYŃSKIEGO KLUBU ZABITY PRZEZ ZŁOCZYŃCĘ. W innych gazetach z pewnością przyciągały wzrok tytuły o podobnej treści. Zamordowanie kogoś tak popularnego w eleganckim świecie z pewnością stanie się tematem dnia. Wywoła gorące dyskusje w większości londyńskich domów. Ba, w całym kraju.

Ashton znów się odezwał:

- Wielka szkoda, że to właśnie Mackenzie padł ofiarą tych twoich spiskowców.

W jego głosie było jakby nieśmiałe pytanie.

Kirkland zawahał się. Miał zwyczaj zachowywać wszystko w tajemnicy, ale - do stu diabłów - przecież to był Ashton, jeden z jego najstarszych i najbardziej godnych zaufania przyjaciół.

- Nie należy wierzyć we wszystko, co wypisują w gazetach - burknął. A potem odwrócił się na pięcie i opuścił książeczkę rezydencję, modląc się w duchu, by wszystko potoczyło się właściwym torem i żadne nieszczęście nie spadło na tych, którzy obdarzyli go zaufaniem.

## 18

**Noc** zapada wcześniej w listopadzie, toteż było już prawie ciemno, gdy nieduży i niepozorny powóz wjechał w Exeter Street, by zatrzymać się pod numerem jedenastym. Kiri przyglądała się przez okno ulicom, które stawały się coraz węższe i bardziej niechlujne. Kirkland odezwał się:

- Może się pani jeszcze rozmyślić, lady Kiri. Odwróciła się do niego i spytała ciekawie:

- Gdybym postanowiła wrócić do domu, w jaki sposób starałby się pan schwytać spiskowców?

- W ten sam co teraz; trzeba by tylko było dłużej poczekać na pomyślne zakończenie. W moim fachu należy wykorzystać do ostatka wszelkie środki, jakimi się dysponuje. Jeśli jakiś problem rozpracowuje duża grupa inteligentnych osób, z pewnością uporają się z nim prędzej czy

później. - Po dłuższej chwili dodał cicho: - Czasem jednak następuje to zbyt późno.

W takim razie łatwiej być żołnierzem niż szpiegiem, pomyślała Kiri. I znacznie prościej.

- Może mi pan opowiedzieć o innych mieszkańcach tego domu? Będzie tam Mackenzie, to wiem. Ale wspominał pan, zdaje się, o jakimś małżeństwie, które opiekuje się domem?

- Tak, państwo Powell. Są bardzo zaradni i absolutnie dyskretni. Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, wystarczy zwrócić się do któregoś z nich.

- A jaka jest ta moja przyzwoitka, Cassandra? Kirkland uśmiechnął się lekko.

- Prawdę rzekłszy, trudno mi o niej myśleć jako o przyzwoitce. Jest jedną z moich najlepszych agentek. Niedawno wróciła z Francji. Zatrzymuje się przy Exeter Street, ilekroć jest w Londynie. Jeśli zapragnie, by dowiedziała się pani o niej czegoś więcej, sama pani o tym powie.

Powóz zatrzymał się przed frontem dość dużego domu.

- Jest większy, niż sądziłam - zauważyła Kiri.

- Była tu kiedyś elegancka dzielnica. Potem wytworne towarzystwo przeniosło się do zachodniej części miasta, ale solidnie zbudowane domy pozostały. Większość z nich rozparcelowano na niewielkie mieszkania lub pojedyncze pokoje do wynajęcia. Dom pod numerem jedenastym uchodzi za pensjonat, gdyż różni ludzie często tu przybywają i wkrótce znikają bez śladu. - Kirkland otworzył drzwiczki powozu. Najpierw wysiadł sam, a potem odwrócił się, by pomóc Kiri zejść po schodkach. - Mam nadzieję, że nie pożałuje pani nagłego impulsu, pod wpływem którego zgłosiła się pani do tego szczególnego zadania.

- Nie sądzę, bym tego pożałowała. - Kiri skorzystała z pomocy swego towarzysza i wysiadła z powozu. Uścisk ręki Kirklanda nadal był li tylko braterski, ale nie miała nic przeciwko braterskim uściskom. - Nie zwykłam oglądać się wstecz. Kiedy popełnię jakąś niemądrą pomyłkę, godzę się z jej następstwami i mówię sobie tylko: Nie popełnij już nigdy tego błędu.

Kirkland roześmiał się.

- Wyjątkowo rozsądna z pani dziewczyna.

- Moja babka mawiała, że choć jestem młoda, mam starą i mądrą duszę, ale ona mnie kochała, więc nie potrafiła spojrzeć na mnie obiek-

tywnie. Gdybym naprawdę miała taką duszę, nie popełniłabym w życiu tylu błędów - odparła z całą szczerością Kiri. - Gdyby nie była pani córką księcia, lady Kiri, bez wahania zwerbowałbym panią na stałe do grona moich agentów - oświadczył Kirkland z przekonaniem. - A teraz proszę wejść do środka i zapoznać się z osobami, z którymi przyjdzie pani mieszkać przez jakiś czas pod jednym dachem. O, i jeszcze coś - byłoby lepiej, gdyby nie używała pani własnego nazwiska. Mackenzie wspomniał, że przedstawiła się pani przemysłnikom jako Carrie Ford. Czy możemy nadal zachować to miano?

- No. niech tam. Jest rozbijająco pospolite. - Wchodząc na frontowe schody, Kiri mówiła dalej, pograżona w myślach: - To doprawdy niezwykle doznanie: przestanę na jakiś czas być lady Kiri Lawford.

- Na pewno wróci pani z radością do swego prawdziwego ja, gdy zadanie zostanie wykonane. - Kirkland otworzył drzwi frontowe własnym kluczem. - Nasze osobiste problemy mają przynajmniej jedną zaletę: są nam dobrze znane. Wprowadził Kiri do głównego holu. Stół i stojące po obu jego stronach dwa fotele były skromne, a zawieszona nad nimi akwarela przedstawiająca Tamizę z pewnością nie należała do wybitnych dzieł sztuki; wszystko jednak lśniło wprost od czystości. Wkrótce pojawiło się małżeństwo w średnim wieku, za nimi zaś potężnie zbudowany mężczyzna - służący, sądząc z wyglądu.

Kirkland przedstawił ich Kiri.

- Panno Ford, oto państwo Powell. Oboje otoczą panią troskliwą opieką. Pani Powell była niska i pulchna, miała bystre niebieskie oczy i twarz pełną niezmaconego spokoju.

- Serdecznie witamy, panno Ford. W zasadzie nasi lokatorzy sami troszczą się o siebie, z tym że raz na tydzień sprzątam we wszystkich pokojach. Ale jego lordowska mość uprzedził już nas, że będzie się pani u nas stołowała. Może też pani, oczywiście, robić sobie herbatę w kuchni, kiedy tylko zechce.

- Jestem pewna, droga pani Powell, że będzie mi tutaj bardzo wygodnie - zapewniła ją Kiri i dodała: - A czy do pana Powella nie powinnam zwracać się raczej „panie sierzancie”?

- To jeszcze aż tak widać, panno Ford?

- O, to był jedynie strzał na oślep - zbagatelizowała sprawę Kiri, odwzajemniając uśmiech byłego sierzanta.

Pani Powell poleciła służącemu:

- Daniels, zanieś rzeczy panny Ford na drugie piętro. Ostatni pokój na końcu korytarza.

Służący kiwnął głową i skierował się ku drzwiom, ciężko stąpając. Gdy przechodził obok Kiri, poczuła jego zapach. Na sekundę zapało jej dech. Potem odwróciła się pospiesznie i zagadnęła go:

- Dobry wieczór, panie Daniels. Czyśmy się już kiedyś nie spotkali? Mężczyzna miał opaskę na jednym oku. Drugie iskrzyło się wesołością.

Był to, ma się rozumieć, Mackenzie, choć starszy, tęższy i w niczym nie przypominający eleganckiego właściciela modnego klubu.

- Chyba nie, panienko - odparł głosem zgoła odmiennym od jego zwykłego sposobu mówienia. - Na pewno bym zapamiętał taką aligancką paniusię.

I przymrużył znacząco odsłonięte oko, zanim poczłapał po jej bagaż. Kiri uśmiechnęła się szeroko, a Kirkland wyciągnął do niej rękę na pożegnanie.

- Może mieć pani pełne zaufanie do wszystkich mieszkańców tego domu, panno Ford. Życzę szczęścia... i pomyślnych łowów.

- Zrobię, co w mojej mocy. - Przechyliła głowę na bok. A więc jestem już oficjalnie agentem brytyjskiego wywiadu?

- Jak najbardziej. - W jego oczach nie było uśmiechu. - Niech pani będzie ostrożna. Wolałbym nie świecić oczyma przed pani bratem, gdyby coś się stało.

- Postaram się, żeby pan nie musiał - obiecała.

A potem Kirkland odszedł i Kiri mogła już liczyć tylko na siebie. Czy odniesie sukces, czy też się nie sprawdzi, będzie to zależało wyłącznie od niej, a nie od tego, że jej ojczym był generałem, matka pochodziła ze starożytnego hinduskiego rodu, a ojciec i brat nosili tytuł księcia Ashton. Ta myśl dodała Kiri ducha.

Mackenzie zdążył już wnieść do pokoju Kiri większość jej bagaży, zabrała się więc do ich rozpakowywania. Pokój był skromnie urządzony, ale bardzo miły. Nie nazbyt wielki, nieskazitelnie czysty, z wygodnym łóżkiem i nieco podniszczonym, lecz nadal puszystym dywanem na podłodze. Gdy układała porządnie w komodzie poszczególne części garderoby, uświadomiła sobie, jak starannie zaprojektowano wnętrza w tym domu.



Nie było tu żadnych wspaniałości, które mogłyby niepotrzebnie zwrócić uwagę w tutejszym raczej ubogim środowisku.

Ajednak całe to skromne umeblowanie zostało starannie skompletowane; znajdowało się tu wszystko, czego lokatorzy mogliby potrzebować, włączając stojący w kącie parawan, umywalkę i biureczko z niezbędnymi materiałami piśmiennymi. Było nawet kilka książek, między innymi egzemplarz Biblii Króla Jakuba. Kirkland stworzył na Exeter Street idealną przystań dla swoich agentów, wyczerpanych fizycznie i psychicznie na skutek wyteżonej pracy. Ten dom witał nowych mieszkańców w sposób może niewyszukany, ale ze szczerą gościnnością. Serce Kiri podskoczyło, gdy rozległo się stukanie do drzwi. Czyżby Mackenzie z resztą bagażu? Kiedy jednak otworzyła, ujrzała na progu kobietę o powierzchowności tak dalece nierzucającej się w oczy, iż nie musiała wtapiać się w tłum, by stać się niedostrzegalna.

Nowa znajoma wyglądała na starszą o kilka lat od Kiri, choć jeszcze nie dobiegała chyba trzydziestki, aczkolwiek trudno byłoby to stwierdzić z całą pewnością. Wzrost miała średni, włosy dość ciemne, podniszczoną brązową suknię z perkalu i niebieskie, niczym się nie wyróżniające oczy. Wszystko to składało się na wygląd wprost idealny dla agenta wywiadu.

Domyślając się, kogo ma przed sobą, Kiri odezwała się:

- Jestem pewna, że pani to Cassandra. Serdecznie witam w moim skromnym gniazdku.

- Mów mi Cassie. - Agentka weszła do pokoju. Poruszała się bezszelestnie. - Naprawdę masz na imię Kiri, ale będziesz występować tu jako Carrie, a ja mam służyć ci radą i postarać się, żebyś nie wpadła w poważne tarapaty, tak?

Mierzyły się oczyma, czujne jak koty.

- Cassie i Carrie - zauważyła Kiri. - Czy to nie nazbyt podobne? Jeszcze się kto pomyli... No i jak? Nadaję się, tak na oko?

Cassandra westchnęła.

- Nie powinnaś brać się do takich spraw. Możesz włożyć niby to skromną sukienkę, ale po sposobie bycia od razu widać, że jesteś bogata i należysz do arystokracji.

Kiri przyjrzała się jej dokładniej i uświadomiła sobie, że niebieskie oczy Cassandry bynajmniej nie są przeciętne. Miały w sobie taką głębię,

że sięgała chyba na samo dno piekieł. Otrzeźwiona tym spostrzeżeniem Kiri odpowiedziała:

- Nadal wychodzi ze mnie lady Kiri, co? Muszę się lepiej postarać.

- Mam nadzieję, że ci się to uda - odparła Cassie bez większego przekonania. - Potrafisz mówić i zachowywać się jak mieszkanka londyńskich slumsów?

Akcent i wymowa Kiri zmieniły się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Przeobraziła się w rdzenną mieszkankę East Endu.

- Mówić to ja potrafię, bez obawy. Powiedz lepiej, gdzie znaj ść jakieś porządne łachy. Musze sie obsprawić.

Cassie uniosła brwi.

- Nieźle mówisz gwarą - przyznała - ale to jeszcze nie wszystko. Poruszasz się jak kobieta piękna i pewna siebie, która wie, że wszystkie oczy zwrócą się na nią, gdy tylko wejdzie do pokoju. Do lady Kiri pasuje to w sam raz, ale ona od razu rzucałaby się tu w oczy jak rasowa klacz w oborze.

Kiri natrudziła się porządnie, nim przyswoiła sobie taki właśnie styl bycia; jako córka generała zdawała sobie sprawę, jak niezbędna jest pewność siebie. Gdyby okazała bojaźliwość albo słabość, uzuchwaliłaby podłe szakale, których nie brak na londyńskich salonach. Rzuciłyby się na nią z entuzjazmem. Zaraz po przyjeździe do Londynu doszła do wniosku, że lepiej być krytykowaną za zuchwalstwo, niż pogardzaną za słabość.

Przymknęła teraz oczy i postarała się zapomnieć o tym, że jest ary-stokratką i generalską córką. Zamiast tego przywołała wspomnienie chwil takich jak ta, gdy lady Norland wyszydzała ją jako „mieszkańca”. Matka Kiri mogła być księżniczką i należeć do najwyższej kasty braminów, jej ojciec i brat mogli być angielskimi książętami, ale Carrie Ford była zwykłym kundlem, w dodatku bezpańskim.

Jej jedynymi atutami były bystry umysł, odrobina urody, mogącej przyciągnąć męskie oko i zaciekle wola przetrwania za wszelką cenę w tym okrutnym świecie. Wcześniej nauczyła się, że warto zwracać na siebie uwagę mężczyzn, ale nie należy być zbyt łatwą. I trzeba zawsze zachować pewność siebie, żeby trzymać na odległość wredne szakale.

Nagle Carrie stała się dla niej kimś równie rzeczywistym jak Kiri. Otworzyła oczy, jej postawa była teraz nieco mniej butna. I Carrie przemówiła:

- Kto mówi, że dziewczyna takajakja nie może mieć porządnej kiecki za pare szylingów? Cós tam zawsze się znajdzie w szmaciarni, wykroi się plamy, przypasuje - i będzie leżeć jak ta lala. Uwidziało ci się, że ze mnie bogaczka i harystokratka? No i fajnie. Najwyższy czas, żebym się zaczęła bardziej drożyć. - Zakręciła biodrami jak obozowa markietanka, rozglądająca się za klientem. - Dziewczyna musi wykorzystać, co jej Bozia dała, nim się zestarzeje, i wydoić z życia, ile się da.

W pierwszej chwili Cassie zaniemówiła, potem wybuchnęła śmiechem.

- Słowo daję, masz prawdziwy talent. Powinnaś była wiedzieć, że Mackenzie nie każe mi niańczyć jakiegoś tam zera, pierwszej lepszej. Ale naprawdę potrzebujesz na gwałt odpowiedniej garderoby. Jest tu w pobliżu całkiem porządny sklep z ubraniami z drugiej ręki. Powinnyśmy jeszcze zdążyć przed zamknięciem... chyba że jesteś zbyt zmęczona, żeby od razu tam się wybrać.

- Zmęczona? Ja? - Kiri pomyślała o bezbronnej małej księżniczce, która będzie bezpieczna dopiero wtedy, gdy wszyscy spiskowcy znajdą się pod kluczem. - Im szybciej pójdę w ruch, tym lepiej.

Znowu ktoś zastukał do drzwi. Tym razem był to Mackenzie z niewielką kasetą, obitą skórą. Miał zmęczoną twarz zaharowanego sługi. Pragnąc, by weszło jej to w przyzwyczajenie, Kiri zwróciła się do niego z absolutną obojętnością:

- Postaw to na stole, Daniels.

Miał już wykonać jej polecenie, gdy Cassie odezwała się cierpkim tonem:

- I tak wszyscy wiedzą, że to ty, Mackenzie, więc przestań się garbić. Natknęliście się dziś na coś wartego zachodu? Mackenzie uśmiechnął się od ucha do ucha i spod maski niemrawego sługi wynurzył się dziarski eksoficer.

- Próbowaliśmy sporządzić z Carmichaelem listę lokali, zwłaszcza „piekiełek” i legalnych domów gry, w których najprędzej można się będzie natknąć na któregoś z porywaczy, sądząc z tego, co o nich wiemy. Niestety, nie wiemy zbyt dużo.

Carrie znów uniosła brwi.

- Odwiedzić te wszystkie miejsca? To ponad ludzkie siły.

- I dlatego właśnie staramy się część tego odsiać. Postawił skóraną kasetę na biurku.

- Czy na waszej liście znajduje się Les Heures? - Napotkawszy jego zdumione spojrzenie Kiri dodała: - To perfumeria na St. James, w której można kupić wodę kolońską Alejandro, używaną przez przywódcę porywaczy. Ponieważ jest to jedyne, co wiemy na jego temat, chyba warto od tego zacząć.

- W szanującym się sklepie nie zdradzą nam, kto kupuje takie czy inne wyroby — zwrócił jej uwagę Mackenzie.

- Może i nie, ale spróbować warto. Na przykład jutro rano. - Kiri uśmiechnęła się. — Przebierz się za mego wiernego lokaja.

Skłonił się uniesieniem, niczym dworski parobek

- Jak sobie milady życzy.

- Może być Carrie albo Kiri, ale „milady” sobie wypraszam.

- Ona ma słuszną - zawyrokowała Cassandra. - Powinieneś być mądrzejszy, Mac. Trzymaj się tego, co ustalone, inaczej wszystko ci się popłącze.

- Pokornie przyznaję: zawiniłem. - Mackenzie postukał palcem w skórzaną kasetę, którą właśnie wniósł. - Co tam jest w środku? Podejrzanie pobrzękuje. Czyżby podręczny barek z alkoholami? Jesteś stanowczo za młoda, by folgować takim nałogom.

- Za młoda i zbyt rozsądna na coś takiego - odrzekła, otwierając wieko. - To moja podróżna kasetka z perfumami. - Ukazały się trzy rzędy starannie zabezpieczonych fiolek ustawionych na specjalnych stojakach. - Wszystkie kobiety z rodziny mojej matki wyrabiały perfumy, zanim się świat na dobre wyklął z jajka. W domu mam daleko większy wybór zarówno aromatów i esencji, jak i wyposażenia; tym razem jednak potrzebne mi było coś, co łatwo przenieść z miejsca na miejsce.

- Po co przywiozłaś to tutaj? - spytała Cassie, marszcząc brwi.

- Ponieważ mój wyszkolony nos sprawił, że otrzymałam ważne zadanie, pomyślałam, że może mi się to przydać. A nawet jeśli się nie przyda, bardzo lubię eksperymentować z perfumami.

Mackenzie ze zmarszczonym czołem zastanawiał się nad czymś, co Kiri powiedziała przed chwilą.

- Co miał znaczyć ten „świat, który się wyklął z jajka”?

- To hinduski mit o powstaniu świata - wyjaśniła. - U nas w rodzinie zawsze się mówi „zanim świat się wyklął z jajka” zamiast „od niepamiętnych czasów”.

Tylko Adam nie używa tego zwrotu - uświadomiła sobie nagle Kiri. Sama spędziła większość życia w Indiach i czuła się mocno związana ze swoim hinduskim „ja”. Ale jej brat, bardzo młodo zostawszy księciem, musiał udowodnić, że jest rdzennym Anglikiem... i z konieczności wyrzec się swego orientalnego dziedzictwa. Teraz dokładał wszelkich starań, by odrobić szkody, jakie poniósł, i odzyskać to, co utracił.

Cassie z zainteresowaniem przyglądała się fiolkom.

- Mogę otworzyć którąś z tych buteleczek?

- Jak najbardziej. - Kiri wskazała jej najwyższą półeczkę. - To są najczęściej spotykane zapachy, które służą mi niejako za podstawę przy wyrobie perfum. A te fiolki zawierają aromaty, którymi można wzbogacić tę podstawę. - Tu wskazała środkowy rząd. - Tutaj zaś, na samym dole, przechowuję kilka gatunków perfum, które udały mi się najbardziej. Ta fiolka, której dotknęłaś, to Kwiaty wiosny.

Cassie wyciągnęła koreczek i ostrożnie powąchała. Potem uśmiechnęła się radośnie i od razu stała się o wiele młodsza.

- To naprawdę pachnie jak ogród na wiosnę. - Ostrożnie zakorkowała fiolkę i wybrała inną, tym razem z górnej warstwy. Powąchała i nozdrza się jej rozdęły. - Piżmo.. .To dla mnie zbyt mocne.

- To dlatego, że wybrałaś tym razem zapach podstawowy. To nie są jeszcze dopracowane perfumy - wyjaśniła jej Kiri. - Niektórzy wytwórcy pachnidła łączą ze sobą podobne wonie dla wzmocnienia efektu, ale ja wolę bardziej finezyjne kompozycje. Moja specjalność to obmyślanie takiego połączenia aromatów, by kompozycja wyrażała osobowość właścicielki perfum. Oczywiście, taka kompozycja musi również pachnieć jak najpiękniej w zetknięciu z jej skórą, trzeba więc dokonywać wielu prób. Przypomina to trochę strojenie skrzypiec przed koncertem, żeby wydobyć z nich potem doskonale brzmienia.

Cassie wzięła do ręki fiolkę olejku różanego, powąchała i westchnęła jakby z żalem.

- Nie mogłabyś pewnie wymyślić nic odpowiedniego dla mnie?

- Zrobię to z prawdziwą przyjemnością, ale muszę przedtem lepiej cię poznać. - Kiri przyjrzała się uważnie swej rozmówczyni. - Kryjesz w sobie wiele tajemnic i bardzo skomplikowany charakter. Jeśli to mają być perfumy specjalnie dla ciebie, powinny być odbiciem tego wszystkiego.

Twarz Cassie straciła nagle wszelki wyraz. Dziewczyna zakorkowała olejek różany.

- Lepiej nie staraj się poznać mnie bliżej. No, chodź, zaprowadzę cię do tej szmaciarni.
- Pójdę z wami - zaofiarował się Mackenzie - i odniosę wasze zakupy do domu jak wzorowy lokaj.
- Nie potrzebuję aż takiej pomocy - perswadowała mu Kiri. - Muszę kupić tylko to, co najpotrzebniejsze z garderoby.
- Ale może ci się przydać obstawa, żebyś bezpiecznie tam dotarła i wróciła.

Cassie prychnęła pogardliwie.

- Gdybym podejrzewała, że z rozmysłem chcesz dać do zrozumienia, iż sama nie zapewnię Carrie bezpieczeństwa, drogo by cię kosztowała ta uwaga.

Na ruchliwej twarzy Maca odmalował się przesadny strach.

- Skądże znowu. Jakbym śmiał tak cię spostonować? - Po czym uśmiechnął się niewinnie. - Chciałem z wami pójść, bo cholernie mi się nudzi.

- To potrafię doskonale zrozumieć - stwierdziła Kiri.

- Niech będzie - uległa Cassie. - Zabierzemy cię ze sobą, ale zachowuj się przyzwoicie.

Mackenzie przybrał minę urażonej niewinności.

- Ja miałbym wam sprawić kłopot?

- Kłopoty to twoja specjalność - zawołały zgodnym chórem Kiri i Cassie, popatrzyły jedna na drugą i wybuchnęły śmiechem.

- Może jednak zmienię swoją specjalność? - rozważał głośno Mac, przepuszczając obie damy przed sobą, gdy wychodzili z pokoju Kiri. - Co byście powiedziały na to, bym został ekspertem w dziedzinie sztuki wojennej starożytnych Brytów... albo ludowych tańców szkockich? A może...

- Pozostań już lepiej specjalistą od kłopotów. Najbardziej do ciebie pasują - zawyrokowała Kiri z oczyma pełnymi śmiechu.

Udział Mackenziego w ich wieczornej wyprawie nie był wcale konieczny. Odczuwała jednak głęboką, niemal grzeszną radość na myśl, że będzie im towarzyszył.

Szmaciarnia była mała, skąpo oświetlona i wypełniona po brzegi ubraniami z drugiej ręki do tego stopnia, że przypominała czarodziejską grootę

Alladyna, pełną skarbów. Gdy Kiri usiłowała odkryć jakiś logiczny zamysł w tym chaosie, Cassie zawołała:

- Klientki, pani B. Przyprowadziłam przyjaciółkę; bicdulka, nie ma się w co ubrać.

Coś zaszeleściło na zapleczu i wyłoniła się stamtąd żwawa starsza dama, z zaciśniętą w zębach, acz wygaszoną fajeczką z gliny.

- To ty, Cassie? A to twoja przyjaciółka? - Przystanęła obok Kiri i zmięła w palcach rękawjej sukni. - Nienajgorsza kiecka. Znudziła ci się? Dam ci za nią dwie inne... może i więcej. Zależy, co wybierzesz.

Kiri pochlebiała sobie, że potrafi dostosować się do każdego warunków, ale na myśl o przymierzeniu którejś z tych brudnych szmat, które nie wiedzieć kto nosił, poczuła dreszcz obrzydzenia.

- Najpierw zobaczę, co tu macie. A te sukienki mamuśka mnie uszyła, zanim wzięła i umarła. Za nic bym jej nie oddała.

Fajeczka drgnęła w ustach starej damy.

- Nie masz czegoś innego, co uszyła? Ze wszystkim tak ci się trudno rozstać?

Kiri dostrzegła ironiczny błysk w oczach Cassie i zorientowała się, że agentka bardzo jest ciekawa, jak Kiri poradzi sobie z ubiciem interesu w środowisku tak odmiennym od wielkiego świata. Pokręciła głową, udając żal.

- Nie mam nic więcej, co mi szyła mamuśka. Zostałam w tej jednej sukieneczynie. Uciekłam od mojego chłopca - byle dalej, choćby z gołym tyłkiem. Dlatego żem tu przyszła. - Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej złotą gwineę. - Ale mam to. Cóż się da za to kupić, no nie?

Oczy sklepikarki rozbłysły. Mackenzie tymczasem wyszperał gdzieś zieloną atlasową suknię, uniósł ją do góry i zaproponował:

- Przymierz to. Powinno być dla ciebie w sam raz.

- Jak ci się marzy, Daniels, że już się szukam innego chłopca, to się lepiej puknij w łeb. A w ogóle, trzeba mi sukni na co dzień, a nie jakichś tam toaletów... nie powiem po kim, bo nie chce się wyrazić.

- No, przymierz - namawiał Mac. - Dobrze ci w zielonym. Może bym cię zabrał do teatru, albo co?

- Jak ci już tak na tern zależy... - ustąpiła Kiri, udając, że robi mu łaskę. Wyraźnie flirtowali ze sobą na modłę par z londyńskich slumsów,

zachowując wszakże bezpieczną odległość. Okazało się, że Carrie Ford potrafi równie dobrze jak lady Kiri Lawford dać do zrozumienia, że nie

jest pierwszą lepszą, choć czyniła to w odmienny sposób. Sytuacja stawała się coraz bardziej interesująca.

- Znajdzie się tu jakiś kąt, gdzie bym mogła toto przymierzyć? Nie chce, żeby ten tam przystojniak sobie wyobrażał Bóg wie co, jakbym zaczęła zdejmować kiecki na jego oczach. - Zatrzepotała rękami na użytek Maca i odbierając od niego zieloną suknię, przesunęła końcami palców po jego nadgarstku. Próbował schwycić ją za rękę, ale mu się wymknęła, wołając:

- Pomożesz mi, Cassie?

- O tu, w tym kącie.

Pani B. zaprowadziła je do miniaturowej przymierzalni, odgródzonej od reszty sklepu starymi kotarami. Prawie tu nie docierało światło, nie było też dość miejsca dla Kiri i Cassie. Pani B. wróciła na swoje dawne miejsce i śmiejąc się chrapliwie, zaczęła się przekomarzać z Mackenzie, który odwdzięczał się jej pięknym za nadobne.

- Jak mi idzie? - spytała Kiri, gdy Cassie pomagała jej zdjąć suknię.

- Całkiem dobrze, ale nie minęło więcej jak pięć minut. - Cassie fachowo to rozpinęła, to zapinała guziki, rozluźniała i zaciskała sznurówki. - Pani B. ma doprawdy niezły towar, ale uprzedzam: potrafi zedrzeć skórę z klienta.

- Zobaczysz, że mną nie pójdzie jej tak łatwo.

Kiedy zielona suknia leżała już jak należy, Kiri spojrzała na swą obnażoną klatkę piersiową.

- Gdyby dekolt był głębszy o pół cala, miałabym pępek na wierzchu. Cassie zachichotała.

- W takiej sukni bez trudu zbliżysz się do każdego z graczy, jeśli wybieriecie się do jakiejś szulerni. Tylko czy poradzisz sobie potem z obroną cnoty?

Kiri zmarszczyła brwi. Stała w obliczu kolejnego problemu.

- Aż za dobrze. Muszę tylko uważać, żeby nie połamać zbyt wielu kończyn. Znasz może jakieś łagodniejsze sposoby zniechęcania nachalnych facetów?

Cassie była z początku zdumiona, potem zaintrygowana.

- Porozmawiamy o tym później. - Zmierzyła wzrokiem swą postać nie budzącą aż takich zapalów. - Nigdy nie musiałam bronić swojej cnoty tak zażarcie jak ty. Ale już najwyższy czas, żebyś wyszła z tej dziury i olśniła pełnego nadziei wielbiciela.



Jeszcze jednym talentem, jaki przejawiały wszystkie kobiety z rodziny Kiri, od czasu gdy świat wyklął się z jajka, była wrodzona umiejętność potęgowania lub pomniejszanie - zgodnie z własnym życzeniem - swoich uroków. Gdy Kiri wracała do centralnej części sklepu pani B., zbijała wprost z nóg swoim czarem.

Mackenzie wlepił w nią wzrok. Zadrżał mu mięsień w policzku.

- Jak nie kupisz tej kiecki, sam ją kupię dla ciebie. Uśmiechnęła się słodko, zastanawiając się, ile w jego zapałach było

szczerości, a ile udawania.

- Żebyś sobie wyobrażał, że jestem ci coś winna? Jeszczem do reszty nie zgłupiała. - Wygladziła jedwabną spódnicę. Na materiale było kilka zaciągniętych nitek i nieduża plamka, ale suknia z pewnością robiła wrażenie, choć może nie najprzyzwoitsze. - Daleko bardziej mi potrzebne insze ubrania niż taka kiecka.

Twarz Mackenziego spochmurniała.

- Może się jeszcze namyślisz?

Może i tak. Na razie jednak o wiele zabawniej było dręczyć Maca.

Ostatecznie Kiri opuściła sklep pani B. jako właścicielka zielonej jedwabnej sukni i drugiej toalety wieczorowej - złocistej, ale mniej wyzywającej niż ta zielona. Nabyła ponadto suknię na po domu i szereg innych niezbędnych części garderoby. Jej wrodzony talent do targowania się zęb za zęb sprawił, że Macowi i Cassie zaparło wprost dech ze zdumienia. Kiedy wreszcie Kiri wydała całą swą gwineę do ostatniego pensa, obarczyła Mackenziego imponującą stertą ubrań.

- Pokaż, przystojniaku, że możesz się na coś przydać... bo inaczej nigdy mie nie zobaczysz w tej zielonej kiecce.

- Wedle rozkazu, panno Ford - odparł potulnie, ale jego odsłonięte oko błyszczało wesołością.

Kiedy hultajska trójka była w połowie drogi do domu, Cassie zagadnęła Kiri:

- Gdzieś ty się nauczyła tak targować? Myślałam, że pani B. rozplynie się we łzach, zanim ją puścisz z torbami.

- Stara wiedźma bawiła się równie dobrze jak ja. - Kiri uśmiechnęła się od ucha do ucha. - A co do tego, gdzie się nauczyłam targować, to nie ma lepszej szkoły niż bazar na Dalekim Wschodzie, żebyś wiedziała.

Tamtych dwoje wybuchnęło śmiechem, a Kiri poczuła, że Cassie zapatruje się już mniej sceptycznie na jej dalszą karierę w nowym zawodzie. Zdała pomyślnie swój pierwszy egzamin.

## 19

Mac powątpiewał, czy Kiri ubierze się w zieloną jedwabną suknię na ich wyprawę do Les Heures, ale człowiek powinien zawsze mieć nadzieję?

Jego pierwszą reakcją było gorzkie rozczarowanie, gdy Kiri spłynęła ze schodów, prosto na niego, spowita w czerń. Jednak, gdy przyjrzał się jej dokładniej, kompletnie go zamurowało. Kiri miała na sobie elegancki wdowi strój, który przywiozła z domu. Otumaniony Mac odnosił mętne wrażenie, że częścią tego stroju powinno być *fichu* — koronkowa chustka, osłaniająca, gwoli przyzwoitości, ramiona i dekolt. Jednakowoż żadnego *fichu* nie było, dzięki czemu olśniewające kształty Kiri rysowały się wyraźnie, a każdy mężczyzna, zasługujący na to miano, po prostu musiał jej pożądać, i wstydzić się zarazem swych grzesznych namiętności.

Z żałobnego czepeczka Kiri spływały całe jardy czarnej woalki, unosząc się niczym obłoczek wokół jej głowy i ramion. Skutkiem tego rysy jej twarzy były zamglone, całość jednak tym silniej przemawiała do każdego swoim tragicznym pięknem, że pozostawała zupełnie anonimowa.

Oddychaj głęboko, stary - powtarzał sobie Mackenzie.

Gdy jego umysł zaczął znów funkcjonować jak należy, Mac odezwał się:

- Wyglądasz niczym postać żywcem wzięta z jakiejś gotyckiej powieści: wdowa wszetecznicza.

- Znakomicie. - Kiri wzięła do ręki wachlarz z czarnej koronki i delikatnie się nim wachlowała. - Zamierzałam co prawda być tylko nieutuloną w żalu, aczkolwiek apetyczną wdówką... w nadziei, że taka mieszanka współczucia i żądzy ułatwi mi zdobycie cennych informacji.

- Ci nieszczęśnicy z Les Heures nie wywiną się nawet cudem - stwierdził Mac z przekonaniem.

- Mam nadzieję. - Kiri wydobyla ze swego woreczka żałobną opaskę i zawiązała ją na ramieniu swego lokaja. - Służba powinna także nosić żałobę. Co prawda, lokaj obdarzony naprawdę dobrym gustem nigdy by nie wystąpił w pirackiej przepasce na oku, ale to milutko z twojej strony, że zatroszczyłeś się o to, by pasowała kolorem do szarej liberii.

- Nie znoszę pudrowanych peruk, ale dbałość o takie szczegóły ma ogromne znaczenie, jeśli chce się bezbłędnie odegrać jakąś rolę.

I Mac podprowadził swoją panią do czekającego już powozu.

Kirkland miał w Londynie kilka pojazdów do swej dyspozycji. Jednym z nich była zwracająca ogólną uwagę karetka z jego herbem na drzwiczkach, innym - niepozorny, niby to wynajęty powozik, z którego korzystano, gdy komuś zależało na anonimowości.

Powóz, który Mac pożyczył sobie tym razem, był wytworny, ale nie rzucał się zbyt w oczy. Pasował w zupełności do eleganckiej St. James Street.

Mackenzie skinął głową stangretowi, jednemu z agentów Kirklanda, i pomógł Kiri wsiąść do powozu.

Podciągnąwszy następnie do góry schodki i zamknąwszy drzwi, zajął miejsce - jak wypadało - na specjalnej grzędzie dla lokaja, z tyłu powozu. Co prawda, byłoby mu znacznie przyjemniej odbywać drogę we wnętrzu pojazdu, razem z Kiri, ale odgrywał, niestety, rolę służącego. W tej chwili potrzebował zresztą niezbitego dowodu dzielącej ich przepaści społecznej, gdyż Kiri ani na chwilę nie schodziła mu z myśli.

Kiedy dotarli do Les Heures, Mac pomógł wysiąść swojej pani. Wsunęła mu przy tym do ręki zwinięty kawałek papieru i szepnęła:

- Przygotuj się, będziesz robił notatki. Notatki?

- Tak jest, milady - odparł potulnie.

W sposób jak najbardziej ceremonialny otworzył przed nią drzwi sklepu i przytrzymał je, póki nie wpłynęła do wnętrza, potem zaś - jak każdy znający swe obowiązki sługa wielkiej damy - pospieszył za nią. Spowita czarnym woalem Kiri wydawała się równocześnie majestatyczna i bezbronna. I nieco starsza niż w rzeczywistości.

Wnętrze Les Heures pachniało wonnościami i odznaczało się dyskretną elegancją. Za kontuarem stał elegancko ubrany mężczyzna w dojrzałym wieku. Ożywił się natychmiast, gdy wkroczyła Kiri, a za nią jej sługa.

Żałobna wdowa zmysłowym głosem zwróciła się do sprzedawcy.

- Dzień dobry panu. Mówiono mi, że macie tu najwytworniejsze perfumy w Londynie.

- Tak jest, w samej rzeczy. Nazywam się Woodhull. Mam zaszczyt rozmawiać z lady?

Zawiesił pytająco głos.

Kiri gestem ręki ucięła sprawę.

- Jeśli łaska, bez nazwisk, panie Woodhull... aczkolwiek nie wątpię, że mnie pan rozpoznał. Doprawdy, niezbyt to właściwe z mojej strony zaglądać do sklepu z pachnidłami, kiedy mój drogi mąż nie ostygł jeszcze w grobie.

Mac był pełen podziwu. Ten uroczo załamujący się głosik. Nieutulona wdowa, dzielnie stawiająca czoło okrutnej rzeczywistości. Kiri mówiła dalej:

- Odkryłam jednak, że subtelne wonie mogą po części rozproszyć melancholię.

- Nie jest pani odosobniona w tym mniemaniu, milady - oświadczył z namaszczeniem Woodhull. - Słyszałem o tym już od wielu osób. A zatem. .. to nasz święty obowiązek spieszyć z pomocą tym, którzy potrzebują wsparcia w tak trudnym dla nich czasie.

- To szczerą prawdą - odparła z żywą wdzięcznością. - A jakie perfumy uznałby pan za największe osiągnięcie waszej firmy?

Zesznurował wargi i zamyślił się głęboko.

- Dla pani, milady, jak sądzę, najodpowiedniejsze byłyby Królewskie fiołki. - Po otwarciu oszklonej gablotki wyjął z niej uroczy flakonik, ozdobiony motywem złotych liści. - To ulubione perfumy cesarzowej Józefiny.

Kiri westchnęła z zachwytem.

- Cudownie. Chciałabym sprawdzić, jak pachną.

Zaczęła bez pośpiechu ściągać rękawiczkę; mlecznobiała skóra tworzyła przepyszny kontrast z jej czernią.

Pan Woodhull wpatrywał się w Kiri jak urzeczony. Mac był niemniej zafascynowany, a jednocześnie bawiła go ta komedia. Po zdjęciu rękawiczki, na rękę Kiri błysnęła prosta złota obrączka - widomy znak jej małżeńskiego pożycia i tragicznego wdowieństwa. Jak widać, Kiri również doceniała wagę takich szczegółów. Z wdziękiem wyciągnęła dłoń w stronę pana Woodhulla.

- Mógłby pan kapnąć odrobinę tych Królewskich fiołków - tu, na przegub ręki?

Sprzedawca z trudem wciągnął powietrze, ale był posłuszny. Kiri podniosła rękę i delikatnie, przez woalkę, powąchała nadgarstek.

- Doprawdy cudowne... Ale to nie tylko fiołki, prawda? Wyczuwam leciutki zapach goździków i... chyba konwalii?

Sprzedawca uniósł w zdumieniu brwi.

- Cóż za niezwykle czule powonienie.

Długie, czarne rzęsy Kiri zatrzepotały skromnie. Było to doskonale widoczne, mimo woalki.

- Z przyjemnością zapoznałabym się też z innymi waszymi wyrobami. Pan Woodhull był jak najbardziej chętny do współpracy. Z zamkniętej

gablotki wydobył szereg innych flakoników i nanosił ich zawartość - po kropelce - na różne strategiczne punkty przedramienia klientki, by następnie dyskutować o ich walorach zapachowych. Kiri nie tylko zadziwiła sprzedawcę swoim znawstwem, ale sprawiła, że ów nieszczęśnik aż potniał, z trudem ukrywając swe pożądanie. Mac ryczałby ze śmiechu, gdyby nie to, że sam był równie urzeczony jak Woodhull.

W końcu Kiri zdecydowała się na jedno z prezentowanych jej perfum i bez mrugnięcia okiem zapłaciła astronomiczną sumę, i to w złocie. Mackenzie zaczął się już zastanawiać, w jaki sposób całe to przedstawienie może im pomóc w wykryciu przywódcy spiskowców, gdy nagle dama pochyliła się konfidencjonalnie w stronę pana Woodhulla i zwierzyła się zmysłowym szeptem:

- Jest jeszcze pewna sprawa, w której chciałabym zasięgnąć pańskiej rady. Zdaje się, że można tu dostać również wodę kolońską o nazwie Alejandro?

- Jak najbardziej, milady. Jest to woda dla dżentelmenów o najbardziej wyrafinowanych gustach, jeśli wolno mi tak się wyrazić. - Zdobył się na desperacką próbę oderwania wzroku od dekoltu rozmówczyni i spojrzenia jej w oczy. - Czy tej właśnie wody używał pani nieodżałowanej pamięci małżonek?

- Mój mąż wolał zwykłą wodę kolońską, która jest, oczywiście, znakomita, choć moim zdaniem zbyt wiele osób dziś jej używa. Rzuciła mu spojrzenie pełne bólu. - Czy mogłabym powąchać Alejandro, żeby się upewnić, czy dobrze ten zapach zapamiętałam?

- Ależ oczywiście, milady.

Sprzedawca otworzył inną gablotkę i wydobył odpowiedni flakon. A Kiri raz jeszcze wysunęła ku niemu smukłą rączkę.

Potem uniosła nadgarstek do nosa i z przymkniętymi oczyma napawała się zapachem zachwalanej wody kolońskiej.

- Och... Jest dokładnie taki, jak zapamiętałam. Wezmę ten flakonik.

- Bardzo proszę, milady. - Pan Woodhull zainkasował znów pokaźną sumę. Cena Alejandra okazała się nawet wyższa niż Królewskich fiołków. Owijając flakon grubym pergaminem, sprzedawca spytał: - Czy to na prezent?

- To... tak trudno wyjaśnić. - Kiri spuściła wstydliwie oczy, wsuwając kolejny flakonik do swego woreczka. -

Poznałam pewnego dżentelmena w raczej... niemiłych okolicznościach. Był dla mnie taki uprzejmy, potrafił uszanować mój ból... Bardzo bym chciała spotkać go znowu i podziękować za jego dobroć, ale okoliczności rozdzieliły nas, nim zdążyłam poznać jego nazwisko. Od samego początku wydawało mi się, że używał wody Alejandro, a teraz jestem już całkiem pewna.

- Nie ma pani co do tego żadnych wątpliwości? - wolał się upewnić pan Woodhull.

Kiri delikatnie uniosła brwi.

- Nigdy się nie mylę, jeśli chodzi o zapachy.

- No tak, oczywiście - przytaknął spiesznie. - Pani znawstwo w tej dziedzinie może się równać z doświadczeniem profesjonalisty. A więc kupiła pani tę wodę kolońską, by zachować żywe wspomnienie uprzejmości tamtego dżentelmena? Zapachy w znacznym stopniu pobudzają pamięć.

- Prawdę mówiąc, mam nadzieję go odnaleźć. Ponieważ Alejandro to rzadki i bardzo kosztowny gatunek wody kolońskiej, z pewnością nie ma zbyt wielu klientów, którzy stale jej używają. Chyba nie byłoby w tym nic niestosownego, gdyby wspomniał mi pan, kto ją kupuje?

Uśmiechnęła się czarująco.

Pan Woodhull zmarszczył brwi, rozdarty wewnętrznie. W jego duszy głęboko wpojona zasada dyskrecji zawodowej zmagiła się z pragnieniem przypodobania się pięknej damie.

- Nie wiem, czy byłoby to właściwe, gdybym zdradził nazwiska i prywatne upodobania moich klientów...

- Jak używanie tej czy innej wody kolońskiej można uważać za czyjś sekret, jeśli pierwszy lepszy przechodzień od razu to pozna po zapachu? - rezonowała Kiri.

- To prawda - odparł Woodhull, nie całkiem jeszcze przekonany - ale liczba klientów używających tej wody nie jest aż tak mała. Trudno by mi było wyliczyć ich wszystkich. Czy mogłaby pani opisać tego dżentelmena?

- Zdecydowanie wysoki. - Kiri wskazała ręką jak wysoki. - Dobrze zbudowany, barczysty, a przy tym zgrabny. Chyba między trzydziestką a czterdziestką. Ciemny blondyn, włosy mu już odrobinę rzedną...

- To nieco zawęża pole działania - przyznał pan Woodhull.

W dalszym ciągu targały nim wątpliwości, nie mógł jednak oprzeć się spojrzeniu ogromnych, pełnych nadziei oczu Kiri. Wyciągnął rejestr z szuflady. Nawet stojący na drugim końcu pokoju Mac zdołał odczytać wypisane wielkimi literami na skórzanej okładce słowo Alejandro.

Kiri przysunęła się nieco bliżej, by spojrzenia pana Woodhulla skupiały się na niej, a Mac mógł w spokoju wyciągnąć papier i ołówek, które mu wręczyła. Pan Woodhull przerzucał kartki rejestru.

- Zastanówmy się... kto też odpowiada temu opisowi? Lord Hargreave? Chyba tak. Pan Sheraton również... i kapitan Hawley. A może i...

W miarę jak wyliczał kolejne nazwiska, Kiri starała się wszystkie spamiętać, a Mac zapisywał je skrzącnie. Wymieniwszy mniej więcej tuzin nazwisk, Woodhull zamknął rejestr.

- To byłoby wszystko, milady. Jak pani słusznie zauważyła, niezbyt wielu mężczyzn używa wody Alejandro, a jeszcze mniej spośród nich odpowiada rysopisowi dżentelmena, którego pani chce odnaleźć.

- Jaki pan dobry. - Kiri pochyliła się i leciutkim pocałunkiem - przez woalkę - musnęła policzek życzliwego sprzedawcy. - Zasłużył pan na moją dozgonną wdzięczność.

Pan Woodhull rozjaśnił się uśmiechem, ale w jego oczach pozostał cień smutku. On musiał się zadowolić przelotnym pocałunkiem, podczas gdy ów tajemniczy nieznajomy, o ile piękna dama go odnajdzie, otrzyma znacznie więcej dowodów jej zainteresowania i wdzięczności.

- Rad jestem, że mogłem się na coś przydać, milady.

Kiri rzuciła mu ostatni promienny uśmiech, odwróciła się i skierowała ku drzwiom. Mac otworzył je przed nią, po czym wyszedł za swoją panią na ulicę, jak przystało na lokaja znającego swoje obowiązki.

Powóz Kirklanda czekał na nich w niewielkiej odległości. Kiedy tam dotarli, Mac znów pomógł Kiri przy wsiadaniu, po czym, zapominając

o wszelkich względach przyzwoitości, rzucił stangretowi: „Na Exeter Street”, wsiadł również i zajął miejsce naprzeciw Kiri.

Uśmiechnęła się do niego szeroko, odrzucając do tyłu żałobny welon, zakrywający jej twarz.

- Poszło nam całkiem dobrze. Ale czy nie powinieneś jechać na zewnątrz?

- Przez dwie godziny musiałem się zachowywać tak przyzwoicie, że muszę czym prędzej wrócić do mego naturalnego sposobu bycia. - Wyjrzał przez okno, lękając się spoglądać na Kiri z tak bliska. Niestety, nawet gdy nie patrzył na jej kuszące kształty, był aż do bólu świadom rozkosznych woni, które ją otaczały. Odetchnął powoli i głęboko. - Czemu te wszystkie perfumy były takie niesamowicie drogie?

- Składniki, z których się je wyrabia, są kosztowne, a ich wytwórcy ponoszą i inne koszty, na przykład płacą czynsz. No i chcą dorobić się majątku na tych pachnidłach. A klienci Les Heures myślą zapewne, że im perfumy droższe, tym będą lepsze. Alejandro to niezła woda kolońska, ale te Królewskie fiołki to nic ciekawego. Muszę popracować nad nimi, żeby nabrały trochę wyrazu.

- Po co je w takim razie kupiłaś? - Ponieważ wyglądanie przez okno podczas rozmowy z kobietą byłoby oczywistym dziwactwem, Mac starał się spoglądać z grubsza w stronę Kiri, nie wpatrując się jednak w nią. - Chyba że chciałaś wprowadzić go w dobry humor, kupując bez opamiętania jego wyroby.

- Na tym mi również zależało, ale przede wszystkim pomyślałam, że warto wszystkich agentów, którzy mają tropić tych spiskowców, zaznajomić z zapachem Alejandro. - Kiri pogrzebała w woreczku i wyciągnąwszy flakon, podała go Mackenziemu. - To charakterystyczna woń, toteż większość z nich powinna ją potem rozpoznać, nawet jeśli nie dostrzeże subtelnych zmian, zależnych od tego, kto tej wody używa.

Mac odkorkował flakonik i pociągnął nosem.

- Wygląda mi to na kombinację piżma i czegoś... czegoś ostrego. Nie powiem, żeby mi się to podobało.

Zakorkował buteleczkę i oddał ją Kiri.

- Masz niezły nos. - Schowała Alejandro do woreczka. - Ale zapach jest zdecydowanie męski, a woda kosztowna, co imponuje niektórym klientom. Czy mówią ci coś nazwiska, które sprzedawca wyliczał?



- Większość tych panów odwiedziła Damiana przynajmniej raz czy dwa. Żałuję, że nie przyjrzałem się temu draniowi dokładniej. Zobaczyłem akurat tyle, żeby zgodzić się z rysopisem, jaki podałaś, ale nie dość, by rozpoznać kogoś z naszych gości.

- Może Kirklandowi przyjdzie coś na myśl, gdy obejrzy sobie tę listę. -W głosie Kiri zabrzmiał śmiech. - Czemu nie patrzysz na mnie? Tak cię zraziła moja kokieteria? Mam przecież zbierać informacje, jak tylko się da.

Mac najchętniej zgrzytnąłby zębami.

- Myślałem, że znikniesz wraz z tym Woodhullem za kontuarem, by pozostawić mu wspomnienia, które nigdy nie zbledną.

- Przyznam, że to było nawet miłe: taki flirt absolutnie bez konsekwencji - powiedziała w zadumie.

Absolutnie bez konsekwencji?

Pozwolił sobie wreszcie spojrzeć na nią - mroczną kusicielkę Lilith -równie ponętą jak tamta ze wschodniej legendy i równie skutecznie nawołującą do grzechu. Pospieszenie zasłonił oba okna powozu, odwrócił się i przyciągnąwszy Kiri do siebie, zaczął ją namiętnie całować.

Był przygotowany na kuszący smak jej ust i miękki dotyk jej warg. Ale nie przewidywał, że Kiri rzuci mu się w ramiona i gorąco odwzajemni jego pocałunki. Jej usta otworzyły się zapraszająco, jej ręce owinęły się wokół jego szyi. Serce zabiło mu jak młotem, a wszelkie sensowne myśli uleciały.

Jakimś cudem Kiri znalazła się na jego kolanach, ich nogi splotły się ze sobą. Wtopili się jedno w drugie. Ich ciała, podobnie jak usta, nie mogły się od siebie oderwać. Po rozsądku nie pozostało już nawet wspomnienie. Mackenzie mógł myśleć jedynie o Kiri jako niepokonanej i nieodparcie pociągającej pokiśnicy.

Jego ręka sama zakradła się pod jej spódnice i sunęła coraz wyżej po jej nodze, by wreszcie zacisnąć się na doskonałej wypukłości jej pośladka.

- Dobry Boże - jęknął Mac. - Kiri...

Omam nie zmiażdżył jej w objęciach, wstrząsany spazmem rozkoszy -i nagle z przerażeniem zdał sobie sprawę ze swego szaleństwa. Boże wielki. Rozluźnił uścisk na tyle, że Kiri zdołała zaczerpnąć tchu, i ukrył twarz w jej jedwabistych, pachnących włosach. Żalobny czepek Kiri i wszystkie jej szpilki do włosów gdzieś przepadły. On sam także postradał w którymś momencie swą pudrowaną perukę.

Oddychając z trudem, Kiri spytała:

- Czy to było to, co mi się zdaje?

Z najwyższym wysiłkiem trochę się opamiętał.

- Obawiam się, że tak... Głęboko nad tym ubolewam, lady Kiri. Nie zachowałem się równie haniebnie od czasu, gdy byłem głupim smarkaczem.

- Ubolewasz? Z pewnością nie czujesz się tak podle, jak ja teraz. - Podniosła głowę, oczy miała błędne, i ugryzła go w ramię. Z całej siły. — Oszaleję przez ciebie, Mackenzie.

- To jest... obustronne, rozumiesz? - Wyraz jej twarzy i zachowanie świadczyły niezbitnie, że była równie boleśnie pobudzona jak on, a wszystko przez niego. Czemu pozwolił sobie na coś, czego nie miał prawa uczynić? - Pozwól, bym choć trochę to naprawił.

Objął ją ramieniem i posadził obok siebie. Pochylił się, by całować ją znowu, podczas gdy jego ręka sunęła po łuku jej łydki, po kolanie i gładkim, twardym udzie. Usta Kiri były zgłodniałe, jej kolana rozchyliły się zapraszająco. Mac nie spieszył się, ale zapuszczał się ze swymi pieszczotami coraz wyżej, aż oddech Kiri stał się chrapliwy. Czuł wilgoć i żar jej ciała, słyszał jej zdławiony jęk, gdy po raz pierwszy dotknął jej - tam.

Krzyknęła, ale jej okrzyk utonął w ich pocałunku, gdy kilkoma delikatnymi muśnięciami doprowadził ją do orgazmu. Kiedy znieruchomiała, tulił ją do siebie, uspokajając ją i przeklinając samego siebie za to, że był takim durniem bez krzty honoru.

Przywarli mocno do siebie. Ich splecione ciała były zlane potem. Do wnętrza powozu, w którym zapanowała cisza, przerywana tylko ich coraz spokojniejszymi oddechami, wdzierały się odgłosy miasta: turkot pojazdów pokrzykiwania ulicznego sprzedawcy ostryg, wyzwiska rozwoziciela piwa.

Trzymanie Kiri w ramionach było dla Maca szczęściem, o jakim nawet nie marzył. Rozumiał teraz, co mówiła o swoistym zapachu każdego człowieka. Nawet pod warstwą pachnideł i potu wyraźnie wyczuwał jedyną, niepowtarzalną woń Kiri. Nigdy już jej nie zapomni. Ta woń była odbiciem jej siły, jej wesołości i przekory.

A jednak z tym wielkim szczęściem spleciona była rozpacz. W żadnym wypadku nie powinien był dopuścić do takiego zbliżenia między nimi. Tylko pragnął jej przez to coraz więcej i więcej, gorzko świadom tego, że pozwolił sobie na zbyt wiele.

Kiri szepnęła schrypniętym głosem:

- Powiedz, jak to możliwe, że coś, co jest takie... słuszne, takie naturalne, uważa się za złe?

- Namietność wykracza poza granice dobra i zła. To siła zapobiegająca wymarciu ludzkości. - Westchnął i gładził palcami ciemną, lśniąca grzywę włosów, które sięgały Kiri do pasa. - Ale społeczeństwo ma swoje powody, domagając się, by nie folgowano namietności bez ograniczeń. To rozsądne powody; większość z nich ma na celu obronę kobiet i dzieci. A ponieważ jesteśmy członkami społeczeństwa, nie wolno nam lekceważyć jego przepisów.

- A mnie się wydawało, że gwizdziesz na wszelkie przepisy - rzuciła kąśliwie.

- Na niektóre tak. Ale nie na takie, których przekroczenie może spowodować czyjaś krzywdę. - Odgarnął jej włosy do tyłu, odsłaniając delikatną linię jej policzka. - A zwłaszcza krzywdę kogoś, na kim mi zależy.

- Naprawdę zależy ci na mnie?

Smutek w jej głosie sprawił, że serce mu się ścisnęło.

- Jakże by mogło mi nie zależeć na tobie? Jesteś taka niezwykła, taka piękna. - Jego wargi wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu. - Gdyby mi nie zależało, bez trudu zachowałbym się znacznie przyzwoiciej.

- Cieszę się, że nie byłeś taki całkiem przyzwoity. - Uniosła głowę, opartą na jego ramieniu. Nawet w mrocznym wnętrzu powozu widział szmaragdowy blask jej oczu. - Masz rację, że łamiąc prawa, narzucone przez społeczeństwo, czynimy to na własną zgubę. Ale dzięki temu przeżyliśmy niezapomnianą chwilę, oboje wymknęliśmy się poza ciasne granice życia. Zamierzam to wykorzystać. - Jej oczy błysnęły przekornie. -1 ciebie również.

Mac roześmiał się, jeszcze bardziej urzeczony tą niezwykłą mieszaniną znajomości świata i naiwności. Wychowanie w obozie wojskowym i wrodzona dociekliwość Kiri sprawiły, że jej doświadczenia były znacznie bogatsze niż przeciętnej młodej damy z wyższych sfer. Jej charakterystyczną cechą był szlachetny zapach młodości, którego nie zdołały jeszcze przytłumić niesprawiedliwość świata i poczucie własnej winy.

Cechowała ją także arogancja, charakterystyczna dla osób wysoko urodzonych, i przeświadczenie, że nie grożą jej żadne przykre konsekwencje, gdyby złamała jakieś obowiązujące wszystkich reguły. To mogło stać się

przyczyną poważnych kłopotów. Każde z nich należało do odmiennego świata i zetknęli się ze sobą tylko przez przypadek.

Uprzytomniwszy sobie to wszystko, Mackenzie odezwał się:

- Takie chwile są czymś bezcennym, ale postanowiłem, że nigdy cię nie wykorzystam. Zrobię też wszystko, co w mojej mocy, byś i ty nie wykorzystyła mojej słabości.

Objął ją w pasie i przeniósł na siedzenie naprzeciw siebie. W ogóle nie powinien był jej stamtąd ruszać.

- Postarajmy się teraz doprowadzić do jakiegoś takiego porządku, bo z pewnością zbliżamy się już do Exeter Street. Kiri odsłoniła okna.

- O Boże. Wyglądamy okropnie. Zupełnie jakbyśmy robili... dokładnie to, co robiliśmy. Potrafisz odnaleźć choć kilka moich szpilek do włosów?

Bynajmniej nie wyglądała okropnie, tylko wspaniale, lecz nawet na Exeter Street, gdzie niezbyt zważano na dobre maniery, należało zachować choćby pozory elementarnej przyzwoitości. Mac przykucnął więc i zdołał pozbierać z podłogi kilka szpilek.

- Czy to ci wystarczy? Wiem, że miałaś ich znacznie więcej, ale reszty nie mogę znaleźć.

- Wystarczy.

Z wprawą upięła swoje gęste włosy w kok, wygładziła zmiętą suknię, włożyła czepek i zasłoniła twarz woalką.

Trzeba by się było bardzo dokładnie jej przyjrzeć, by dostrzec pewne niepokojące oznaki...

Żałując, że sam nie może zakryć twarzy welonem, Mac podniósł z podłogi swą pudrowaną perukę i wcisnął ją na głowę.

- Czy wyglądam na lokaja, czy raczej na podchmielonego jegomościa z minionej epoki?

- Niewiele można poradzić na to, że twoja liberia jest przedpotopowa. Ale z peruką da się jeszcze coś zrobić. - Kiri pochyliła się ku niemu i starannie przyglądała sztuczne włosy. Jej twarz znalazła się przy tym bardzo blisko twarzy Maca. - Gotowe. Znacznie lepiej się prezentuje.

Ich spojrzenia spotkały się i Mac mimo woli pomyślał: Czy z mojej twarzy równie łatwo można wyczytać, jak bardzo jej pragnę? Z ogromną czułością pochylił się nad Kiri i musnął ustami jej usta w słodkim i smutnym pocałunku.

- Lepiej by było, gdybyśmy się nigdy nie spotkali - szepnął, rozkoszując się ciepłem i subtelnością tej pożegnalnej pieśniedy. - Ale nie potrafię żałować tego, że nasze drogi jednak się zeszły... choć to szczyt egoizmu z mojej strony.
- Ja też tego nie żałuję. - Westchnęła i oparła się znów plecami o ścianę. - Tylko w przeciwieństwie do ciebie wcale się nie wstydzę swojego egoizmu. Nieraz egoistyczne postępowanie bywa najrozsądniejsze.
- Mac zamrugał oczyma, słysząc te wywody, a potem wybuchnął śmiechem.
- Mój brat Will powiada, że Ashton w równej mierze hołduje chrześcijaństwu i hinduizmowi, ale ty, moja wojownicza panno, jesteś poganką bez domieszki.
- Uśmiechnęła się do niego leniwie, wyzywająco.
- I całe szczęście.

## 20

- Zanim dotarli na Exeter Street, Mackenzie przeobraził się w doskonałego lokaja o nieodgadnionym wyrazie twarzy. Kiri miała nadzieję, że jej kunszt aktorski sięga podobnych wyżyn, kiedy Mac pomagał jej wysiąść z powozu i wiernie jej towarzyszył do wnętrza domu.
- Skoro tylko weszli do środka, Mackenzie zerwał z głowy pudrowaną perukę, pozbywając się równocześnie przesadnej godności.
- Nie znoszę tego paskudztwa. Zupełnie jakbym miał na głowie zdechłego zwierzaka.
- Kiri uśmiechnęła się; jej napięcie osłabło.
- Słodkiego króliczka? A może zwinną łasicę?
  - Raczej nastroszonego borsuka. Szorstkie to jak diabli. - Spoważniał nagle i dodał: - Teraz, gdy zdobyliśmy już te nazwiska, skrobnię kilka słów do Kirklanda i umówimy się na naradę wojenną z nim i z Cassie.
- Kiri skupiła całą uwagę na zdejmowaniu czepka; posłużyło jej to za pretekst, by odwrócić się od Mackenziego. Zawsze był diabelnie atrakcyjny, a im dalej posuwała się ich zażyłość, tym bardziej ją pociągał.
- A jaką rolę ma w tym odegrać Cassie?

- Jest półkrwi Francuzką i spędza wiele czasu we Francji. Zamierza teraz odwiedzić niektóre kluby i gospody w Londynie, do których się garną przede wszystkim francuscy emigranci.
- Wybierze się tam sama? - Kiri gotowa była zapuścić się do jaskiń wszelkiej nieprawości, ale - choć doskonale znała sztukę samoobrony - nie poważyłaby się udać w takie miejsce w pojedynkę, chyba że byłaby to kwestia życia lub śmierci.
- Będzie jej, oczywiście, towarzyszył jakiś mężczyzna, prawdopodobnie Rob Carmichael. To agent z Bow Street, ale współpracuje też z Kirklandem i znakomicie mówi po francusku.
- Załóżę się, że to jeszcze jeden absolwent Westerfield Academy. Choć miał to być tylko żart, Mackenzie ze śmiechem przyznał jej rację.
- Jakbyś zgadła. Mocno się razem trzyma nasza stara paczka. Nawet jeśli w latach szkolnych ktoś nie należał do naszych najbliższych przyjaciół, mamy do niego pełne zaufanie, jeśli był jednym z zagubionych lordów lady Agnes. Kiri skierowała się w stronę schodów.
- A przy wypełnianiu tego właśnie zadania wzajemne zaufanie jest niezwykle istotne.
- Tak, odgrywa jeszcze większą rolę niż zwykle. — Mac zmarszczył brwi. - W innych okolicznościach Baptiste, zarządzający moim klubem, stanowiłby idealną eskortę dla Cassie, gdyż jest autentycznym Francuzem i ma mnóstwo znajomych wśród francuskich emigrantów. Od lat ufam mu całkowicie, jeśli chodzi o interesy. Jednak po tej próbie porwania nie ośmieliłbym się zawierzyć nikomu, kto pracuje w Klubie Damiana.
- Widziałam Baptiste'a podczas balu maskowego. - Kiri rozglądała się wówczas przede wszystkim za Makiem, ale nie sposób było nie zauważyć eleganckiego Francuza, który miał baczne oko na wszystko, co się dzieje w klubie. - Z pewnością był bardzo przygnębiony, dowiedziawszy się o twojej śmierci.
- Kirkland wspomniał, iż Baptiste tak się tym przejął, że aż dostał torsji. - Na twarzy Maca pojawił się szeroki uśmiech. - Ale gdy tylko trochę się pozbierał, zwrócił się do Kirklanda z prośbą o prawo pierwokupu, gdyby klub miał zostać sprzedany. Praktyczni ludzie z tych Francuzów, co?
- Kiri znieruchomiała u podnóża schodów, z ręką na balustradzie.
- A może on jest w duchu bonapartystą i pomagał spiskowcom?

- Rozważyłem i taką możliwość - odparł Mackenzie po chwili namysłu. - Gdyby jednak rzeczywiście tak było, Baptiste musiałby być jednym z najwspanialszych aktorów w Londynie. Zawsze okazywał pogardę dla rewolucji francuskiej i nienawiść do cesarza. Połowa jego rodziny zginęła w czasach terroru, a on sam ledwie uszedł z życiem. Czoło Kiri przecięła zmarszczka.

- Jeśli ty odkryłeś, że w Klubie Damiana są idealne warunki do podsłuchiwania niedyskretnych rozmów, Baptiste mógł dojść do podobnego wniosku.

Mackenzie zastanawiał się głęboko, marszcząc brwi. Kiri pochlebiało, że Mac rozważa jej sugestie, zamiast odrzucić je z góry, jako „babskie wymysły”.

- Teoretycznie tak, ale zdążyłem poznać Baptiste'a na wylot. Ilekroć padnie nazwisko Bonapartego, nienawiść po prostu go zalewa. Nie ulega wątpliwości, że stała się integralną częścią jego osobowości.

Ponieważ Mac dobrze znał Baptiste'a, ona zaś prawie wcale, Kiri uwierzyła mu na słowo. Nigdy zresztą nie odniósłby takich sukcesów w interesach, gdyby nie znał się na ludziach.

- Powiadom mnie o terminie naszej narady wojennej. I daj mi tę listę nazwisk, to zrobię kilka kopii.

- Doskonały pomysł.

Zwrócił Kiri ołówek i papier, na którym zanotował nazwiska. Kiri udała się na górę, nawet się nie obejrzała na niego. Gdyby się obejrzała, nie byłaby w stanie rozstać się z nim.

Zbliżając się do swego pokoju, zauważyła, że towarzyszy jej nieco onieśmielony bury kot. Burasek nie był zabiedzony i miał lśniąca sierść, prawdopodobnie należał więc do kucharki. Kiri lubiła koty, toteż nie zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, tylko odsunęła się, pozwalając kotu wejść.

Spojrzawszy na Kiri trochę nieufnie, kot przemknął obok niej, wbiegł do sypialni, a potem wskoczył na łóżko.

Obrócił się kilka razy, zanim ulokował się ostatecznie w nogach łóżka.

- Widzę, że nie będę musiała spać samotnie - zwróciła się do niego Kiri. - Dzięki ci za to, kotku.

Zielone oczy otwały się, obrzuciły dziewczynę aroganckim spojrzeniem i znów się przymknęły. Kiri miała wrażenie, że kocisko nie od dziś upodobało sobie ten pokój i nie pozwoli, by jakaś tam ludzka istota uniemożliwiła mu korzystanie z dotychczasowych wygod.

Wyczepana wydarzeniami tego ranka, Kiri opadła na drewniane krzesło. Starła się nie myśleć o tym, co przeżyła w ramionach Mackenziego, ale nie potrafiła skupić myśli na niczym, prócz jego dotyku, ciepła, siły. Przeszył ją gorący dreszcz i okazał się silniejszy od wszelkich postanowień, że będzie rozsądna.

Mackenzie nie mylił się: namiętność wymykała się wszelkim zasadom, obowiązującym w społeczeństwie. Kiri miała w sobie buntowniczego ducha, ale jej rodzina nie powitałaby z otwartymi ramionami hazardzisty o wątpliwej reputacji. A generał byłby wstrząśnięty, gdyby choć wspomniała o kimś, kogo karnie usunięto z wojska.

Może i byłaby gotowa walczyć z całą rodziną o swoje prawo do szczęścia, choćby nawet z nieodpowiednim mężczyzną. Nie mogła jednak zrobić niczego, co zmąciłoby szczęście jej najbliższych. Albo zniweczyło życiowe szanse jej siostry - młodszej, mniej śmiałej, dobrze ułożonej. Przekomarzały się z Lucią ustawicznie, ale były sobie bardzo bliskie. Kiri ubóstwiała swoją małą siostrzyczkę od dnia, gdy Lucia przyszła na świat. Ubóstwiała również Thomasa, choć nigdy nie zrobiłaby mu wstydu, przyznając się do tego głośno.

Lucia i Thomas byli Stillwellami z krwi i kości, zdrowo myślącymi

i praktycznymi. Za to Adam okazał się nieodrodnym bratem Kiri, mimo że wychowali się na przeciwległych końcach świata. Cechował ich oboje ten sam romantyzm, odziedziczony po ojcu, który przez tak krótki czas był księciem Ashton. Do tego stopnia nie mógł znieść myśli o porzuceniu ukochanych Indii, że wolał umrzeć, niż rozstać się z nimi na wieki. Przynajmniej Adam tak sobie tłumaczył przedwczesną śmierć ojca.

Gdyby zatem tylko Kiri musiała znosić wszelkie przykre skutki swego mezaliansu, rzuciłaby się bez wahania w ramiona Mackenziego, tak jak uczyniła to w powozie, skoro tylko ją pocałował. Jeśli okazałaby choć odrobinę zdrowego rozsądku, nie doszłoby do niczego - z wyjątkiem pocałunku.

Jednak trawiące ją pożądanie okazało się silniejsze od niej i sprawiło, że posunęli się znacznie dalej. Wielka szkoda, że teraz nie mogła myśleć wyłącznie o sobie.

Miała rodzinę, którą szczerze kochała i nie chciała ściągnąć na nią hańby, ale mimo wszystko panowanie nad sobą było niesłychanie trudne. Może i lepiej, że Mackenzie nie należy do tych, co się żenią. Kiri miała wrażenie, że naprawdę zależało mu na niej, lecz była też pewna, że w jego



życiu nie brak kobiet, na których mu kiedyś zależało. Nie myślał widać o żeniactwie z żadną z nich, bo już by się do tej pory ożenił.

Dla kogoś takiego jak Damian Mackenzie małżeństwo było czymś niemiłym i zgoła zbędnym - po prostu zawadą w życiu. Kiedy pragnął kobiety, miał doprawdy w czym wybierać. Gdyby się w końcu zdecydował kiedyś na żonę, wybrałby zapewne jakąś aktorkę, równie ekstrawagancką jak on i równie mało dbającą o swoją reputację.

Kiri jednak, całkiem poważnie, postanowiła wykorzystać w pełni ten krótki czas, jakże różny od jej zwykłego życia. Przez kilka dni - a może tygodni - będzie ich łączyć wspólne zadanie, będą mieszkali pod jednym dachem. Nic złego się nie stanie, jeśli złamię w tym czasie kilka reguł, obowiązujących w zwykłym świecie. Nawet jeśli nie mogła liczyć w życiu na nic więcej, prócz tych kilku tygodni, postanowiła wykorzystać je w całej pełni.

- Kirkland uprzedził, że może się spóźnić i że mamy zasiać do kolacji bez niego - powiadomił Mackenzie Kiri, Cassie i Roba Carmichaela, agenta z Bow Street. Carmichael był wysoki, szczupły i zamknięty w sobie; przypominał trochę Kirklanda, ale był od niego bardziej kanciasty.

Kiri doszła do wniosku, że gdyby spotkała Roba w ciemnej uliczce, wolałaby mieć w nim sprzymierzeńca niż przeciwnika.

Narada wojenna odbyła się w trakcie kolacji, złożonej z potrawy ryбно-jarzynowej i dopiero co upieczonego przez panią Powell chleba. Za ogólną zgodą skoncentrowali się raczej najedzeniu niż na rozmowie. Przpracowawszy uczciwie całe popołudnie w swoim pokoju, Kiri miała teraz dobry apetyt i właśnie kończyła drugą porcję potrawy, gdy zjawił się Kirkland.

Przywitał się z nimi, nie marnując wielu słów.

- Cieszę się, że zdążyliście już zaspokoić głód, bo to, co zaraz powiem, z pewnością odebrałoby wam apetyt. Dziś po południu miał miejsce zamach na księcia regenta.

Kiri zapało dech. Regent lubił sobie dogadzać i szastać pieniędzmi, ale, bądź co bądź, to on rządził teraz Anglią.

- Czy książę został zabity... albo ranny?

- Wszedł z tego bez szwanku, choć oczywiście bardzo nim to wstrząsnęło. Od tej pory zaczniesz chyba traktować ten spisek poważniej. - Twarz

Kirklanda miała posepny wyraz. - Ale jeden z moich ludzi, osłaniając regenta, doznał ciężkich obrażeń.

- Kto taki? - dopytywał się Carmichael. - I jak poważne były te obrażenia?

- Edmund Stevenson. Chirurg ma nadzieję, że nie będą musieli amputować mu ręki.

- Biedaczysko! - mruknął Carmichael. - Ale całe szczęście, że tam był! Mackenzie spytał:

- Schwytaliście zamachowca?

- Było ich trzech. Dwaj uciekli, trzeciego Stevenson zastrzelił. Zdaje się, że to Francuz.

- Chcecie, żebym się przyjrzała zwłokom? - spytała Cassie. - Może go rozpoznam.

- Mam nadzieję, że ci się to uda. - Kirkland zmarszczył brwi. - Bardzo mi przykro, ale i ciebie muszę o to prosić, Kiri.

Czy mogłabyś po kolacji udać się razem z Cassie i ze mną do kostnicy i sprawdzić, czy to niejeden z porywaczy, z którymi się zetknęłaś w klubie?

Jeśli Cassie mogła bez mrugnięcia okiem oglądać zwłoki, to i Kiri na to stać!

- Oczywiście.

- Możemy zaraz się tam udać, jeśli już zjedliście kolację - oświadczył Kirkland.

Cassie spojrzała nań nieugiętym wzrokiem.

- Siadaj i jedz, Kirkland! Twój mózg nie będzie pracował sprawniej na głodniaka.

Kirkland usiłował protestować, ale uśmiechnął się w końcu ze znużeniem.

- Masz rację.

I wziął się do potrawki, której nie żałowała mu Cassie. Podczas gdy Kirkland pałaszował kolację z zapalem człowieka, który rzadko miewa czas najedzenie, Mackenzie oświadczył:

- My też mamy dla was pewną nowinę. Rzucił Kiri ciepły, intymny uśmiech.

- Pamiętacie, jak lady Kiri zidentyfikowała gatunek wody kolońskiej, używanej przez przywódcę spiskowców? Dziś rano odwiedziliśmy firmę,

która produkuje i sprzedaje tę właśnie wodę. Kiri tak oczarowała właściciela, że podał jej nazwiska klientów, którzy stale używają tego Alejandro, a w dodatku odpowiadają z grubsza rysopisowi przywódcy naszych porywaczy.

Kirkland zerknął znad talerza z wyraźną aprobatą.

- Urodzony z ciebie zwiadowca, Kiri! Zaśmiała się, uradowana.

- Dobrze wiedzieć, że nawet z najgorszych cech charakteru można mieć jakiś pożytek. - Wyjęła małe fiołki, z których każda zawierała kilka kropel Alejandro. - Nie mamy pewności, że poszukiwany przez nas człowiek używa zawsze tej samej wody kolońskiej, ale jest to w każdym razie jakiś jego rys charakterystyczny.

Gdy wszyscy zapoznali się z już z zapachem, Kirkland odezwał się:

- Chciałbym dostać listę nazwisk, które ci zdradził ten perfumiarz.

- Dziś po południu zrobiłam kilka kopii tej listy. - Kiri wręczyła każdemu po jednej. - Zetknęłam się z wieloma spośród tych mężczyzn na gruncie towarzyskim, ale niewiele mogę o nich powiedzieć.

- Co najmniej pięciu z nich to Francuzi albo ludzie mający jakieś powiązania z grupą francuskich emigrantów - dodała Cassie.

Kirkland przebiegł wzrokiem listę.

- Merrit od wiosny przebywa w Indiach Zachodnich... Palmer służy we flocie i rzadko bywa w Anglii... lord Wellston to irlandzki arystokrata; nieczęsto opuszcza rodzinną wyspę...

Wyciągnął ołówek i kreślił swoje uwagi przy niektórych nazwiskach.

- Większość tych panów bywa w Klubie Damiana na tyle często, że znam ich z widzenia - oznajmił Mackenzie. - Ale wyrokować, kto z nich jest najbardziej podejrzany? To byłyby jedynie domysły!

- Człowiek, który prowadzi modny klub, lepiej chyba od innych umie snuć trafne domysły - odparował Kirkland. - No, kogo z nich uznałbyś za najbardziej podejrzanego?

Mackenzie wyliczył tych, do których miałby najmniej zaufania, i przez następną godzinę wałkowano tę sprawę na wszystkie strony. Każde z nich dzieliło się swoją wiedzą lub przypuszczeniami. Nim skończyli, lista podejrzanych wydatnie się zmniejszyła. Pozostało na niej jedynie sześć osób, które budziły największe podejrzenia.

Sir Wilbur Wilks. George Burdett. Jacques Masson. Lord Fendall. Hrabia Vasseur. Paul Clément. Kiri oznaczyła każde z tych nazwisk gwiazdką na swojej liście.

- Całkiem możliwe, że żaden z nich nie jest winny - mruknęła.

- Ale w ten właśnie sposób należy prowadzić śledztwo. Trzeba układać łamigłówkę kawałek po kawałku, aż wyłoni się wreszcie jakiś konkretny wzór. - Carmichael uśmiechnął się. - To nie jest zajęcie dla niecierpliwych.

Kirkland odsunął się z krzesłem od stołu.

- Następnego kawałka naszej układanki powinny nam dostarczyć oględziny zwłok zamachowca. Bynajmniej nie świetlanej pamięci ani nieodżałowanego. Gotowa jesteś na taką próbę, lady Kiri?

- Prowadź, milordzie!

Kiri zapanowała nad wyrazem swojej twarzy. Ładnie ze strony Kirk-landa, że miał na uwadze jej wrażliwość, wolałaby jednak uchodzić za kobietę taką jak Cassie - niezłomną i gotową na wszystko.

Martwy zabójca leżał na poplamionym stole w kostnicy nad rzeką. Kiri starała się nie wciągać powietrza nosem, gdyż całkiem by ją przytłoczyło mnóstwo przykrych zapachów, rozchodzących się po całym budynku. Gdy dotarli wreszcie do słabo oświetlonego pomieszczenia, w którym przechowywano zwłoki, Mackenzie szepnął:

- Trzymaj się, dziewczusko!

Była mu wdzięczna-za ciepły uścisk ręki, ale miała nadzieję, że nikt z pozostałych nie dostrzeże, jak bardzo jest zdenerwowana. Powtarzając sobie w duchu, że stacją przeciw na to, podeszła do stołu z jednej strony, Cassie zaś z drugiej.

Ciało, owinięte kocem aż po szyję, wyglądało całkiem zwyczajnie. Zmarły był, zdaje się, przeciętnego wzrostu albo trochę niższy. I chudy -można by rzec, sama skóra i kości.

Mackenzie uniósł latarnię tak, by światło padało prosto na twarz nieboszczyka.

- Poznajesz go?

Kiri przyglądała się uważnie pobrużdżonej twarzy, starając się wyobrazić sobie, jakby wyglądała, zakryta do połowy maską. Zmarły miał chyba koło czterdziestki, choć mógł postarzeć się przedwcześnie, jeśli żył w biedzie. Kiri zmarszczyła brwi - i nagle coś się jej przypomniało.

- Jeden z tych w klubie miał bliznę na lewym policzku. Stąd dotąd -pokazała palcem. - Dopiero teraz mi się to przypomniało.
- A ty co powiesz, Cassie? - spytał Kirkland.
- Poznaję go. - Cassie stała po przeciwnej stronie stołu, jej oczy pełne były napięcia. - Spotkałam go, raz i drugi, w gospodach chętnie odwiedzanych przez Francuzów. Nazywał się Hervé. Był jednym z tych podejrzanych typków, którzy kręcą się na obrzeżach francuskiej społeczności w Londynie. Słyszałam, że walczył w armii Napoleona, zanim zdezerterował.
- Innymi słowy, Hervé należał do ludzi, których można wynająć do brudnej roboty, na przykład jako skrytobójców?
- podsumował Kirkland.
- Właśnie! Popytam jeszcze o niego, tu i ówdzie. - Cassie wzruszyła ramionami; był to wymowny, typowo galicki gest. - Może się nawet dowiemy, kto go wynajął.
- Jeśli żadne z was nie ma już nic do dodania - Kirkland naciągnął koc na głowę Hervé'go - to wynośmy się stąd, moi państwo. Najwyższy czas rozpocząć polowanie!

## 21

Wyczuwając się w rolę „królowej nocy”, Kiri spłynęła po schodach niemal w ramiona Maca. Mieli odbyć wspólnie pierwszą wyprawę do londyńskich przybytków nieco podejrzanej rozrywki. Jedną ręką Kiri opierała się lekko o poręcz schodów, drugą podtrzymywała falbaniastą spódnicę zielonej jedwabnej sukni ze skandalicznie głębokim dekoltem. Włożyła sporo taniej biżuterii, chcąc ów dekolt nieco przesłonić. Skropiła się na tę okazję specjalnymi perfumami własnego wyrobu. Tym razem nie było żadnych bzów - wybrała bardziej zmysłowe wonie.

Wzięła również ze sobą wachlarz. Cassie poinstruowała ją, gdzie najlepiej dźgnąć złożonym wachlarzem nachalnego samca, by się przed nim skutecznie obronić.

Mackenzie czekał u podnóża schodów, nie odrywając oczu od Kiri. Zauważyła, że z trudem przełknął ślinę, zanim spytał z wyraźnym akcentem z Lancashire:

- No i co, dziewczuszko? Zwiedzamy te jaskinie rozpusty, czy nie?

- Jasne, że zwiedzamy, przystojniaczku! - odparła z charakterystycznym irlandzkim zaśpiewem, przypatrując się uważnie Mackenziemu.

Ubrany był z przesadną elegancją, dość jaskrawo. Przyciemniona umiejętnie skóra sprawiała wrażenie trwałej opalenizny. Tym razem zasłonił niebieskie oko; piwne bardziej pasowało do ogorzałej cery. Miał we włosach nieco siwizny, podwatował też sobie brzusek i robił wrażenie znacznie tęższego. Nawet bliscy znajomi mieliby trudności z rozpoznaniem go.

Oboje już wcześniej opracowali wspólnie swoje nowe role. Mac wcielił się w Daniela Mackeya, zamożnego fabrykanta z okolic Manchesteru, który przyjechał do Londynu i w interesach, i dla przyjemności. Kiri - a raczej Carrie Ford - odgrywała rolę jego kochanki. Daniel był niewątpliwym prowincjuszem, ale sprytnym człowiekiem interesu, Kiri zaś panią lekkich obyczajów, chichotką, która na niczym nie potrafi się skupić. Bardzo się jej podobała ta rola.

Poklepała kokieteryjnie swego towarzysza złożonym wachlarzem po ramieniu.

- Jeszcze nigdy nie była w Londynie, ale z ciebie człowiek bywały. Na pewno wiesz, gdzie się tu można dobrze zabawić!

- Zrobię, co się da - przyrzekł i otulił ją płaszczem, gdyż wyraźnie się ochłodziło; mgła zaczęła się podnosić nad rzeki już wtedy, gdy wybrali się na oględziny zwłok. - I mam nadzieję, że prawdziwy z ciebie nocny ptaszek, bo tam, gdzie pójdziemy, najlepsza zabawa zaczyna się o północy albo i później!

- Jasne, że ze mnie nocny ptaszek! Kto by tam chodził spać z kurami?!

Wzięła go pod ramię i wyszli z domu. Na zewnątrz czekał już podniszczony powozik, a wokół niego kłębiła się coraz gęściej mgła. Gdy Mackenzie pomagał Kiri przy wsiadaniu, zerknęła na postać na koźle.

- To jeden z ludzi Kirklanda - wyjaśnił Mac. - W stu procentach godny zaufania, a w razie jakichś kłopotów pomocnik na wagę złota.

Kiedy zajęli miejsca naprzeciw siebie i powóz ruszył, Kiri powiedziała:

- Teraz, gdy wszystko już się zaczęło, czuję się tak, jakby mnie zagnali do szukania igły w co najmniej trzech stogach siana. A w dodatku może jej nie być w żadnym. Co zrobimy, jeśli człowiek, którego szukamy, nie ma akurat ochoty na hazard? Albo jest zbyt zajęty, żeby się wybrać na miasto? Albo bywa w całkiem innych lokalach? A może skończyła mu się woda kolońska Alejandro i nie ma ochoty tracić znów tyle forsy na zakup nowego flakonika?

- No cóż, wtedy nasze dobre chęci pójdą na marne - odparł Mackenzie zdumiewająco poważnym tonem. - W pracy takiej jak ta traci się mnóstwo wysiłku na eliminowanie takich czy innych możliwości. Jeśli jednak nie przeszukamy dokładnie tych trzech stogów siana, nie będzie najmniejszej szansy na odzyskanie zgubionej igły. - Wziął Kiri za rękę. - Zresztą, nawet jeśli nam się nie poszczęści... wszystko przecież ma swoje dobre strony.

Roześmiała się cicho i splotła palce z jego palcami.

- Rzeczywiście, ma!

Kiedy powóz skręcił w Strand, Mac odezwał się znowu.

- Jest jeszcze jeden... stóg siana, który ciągle mi przychodzi na myśl. Potrafiłabyś rozpoznać tego przemytnika, któremu odebrałaś nóż?

Kiri powróciła myślą do bijatyki w ciemnej jak noc jaskini. Miała jedynie mętne wyobrażenie o wzroście czy wyglądzie swego przeciwnika. Pamiętała jak przez mgłę, że śmierdział rybami i mówił chrapliwym głosem.

- Nie jestem pewna. Wszystko wydarzyło się tak szybko - i nie było w tym człowieku nic godnego zapamiętania... chyba ten okropny rybi odór. A poza tym, czy moglibyśmy tam bezpiecznie wrócić? Rozstaliśmy się z przemytnikami w niezbyt przyjaznej atmosferze.

Mac roześmiał się.

- Bardzoś to delikatnie ujęła! Następnego dnia po powrocie do Londynu napisałem do Hawka, żeby się przekonać, czy moje zamówienia i moja osoba są nadal w Kent mile widziane. Odpowiedział mi - pozwól, że podam nieco złagodzoną wersję jego wywodów - iż większość przemytników jest zdania, że bijatyka była pierwsza klasa.

Ucieszyło ich też dodatkowe pięćdziesiąt gwinei za dziewczynę. Nadal więc jestem dla nich cenionym klientem. I jeśli się tylko postaram, żeby pannie Ford nie strzeliło do głowy ściągnąć im na kark akcyzników, nikt z nich nie będzie miał do mnie najmniejszej pretensji.

- Wątpię, czy Howard zgodziłby się z tą konkluzją - stwierdziła sucho Kiri.

- Zapewne by temu nie przyklasnął, ale cóż znaczy jeden malkontent? Będziemy bezpieczni na ich terenie, o ile udamy się tam z błogosławieństwem Hawka.

Powóz zatrzymał się przed frontem niczym nie wyróżniającego się budynku przy Jermyn Street. Niewielka mosiężna tabliczka na drzwiach głosiła: „Klub Johnsona”.

Mackenzie wysiadł pierwszy i opuścił schodki.

- Czy pojechałabyś znowu do Kent, gdyby zaszła taka potrzeba, czy też masz zdecydowanie dość przemytników? Starła się ukryć dreszcz, który przebiegł jej po plecach na samo wspomnienie porwania i godzin, które spędziła przykuta do skały.

- A oni... jakby się zachowali na mój widok? Moja obecność mogłaby ich rozjuszyć.

- Cassie tak by cię ucharakteryzowała, że nikt by cię nie poznał. Mogłabyś się przebrać za młodego chłopaka. - Uśmiechnął się szeroko. - Byłoby tylko sporo kłopotu z bandażowaniem biustu! Ale rozumiem, jeśli powiesz, że wolisz nie szukać igły zgubionej w tym śmierdzącym rybami stogu siana.

Kiri była boleśnie świadoma swojej słabości: ilekroć ktoś sugerował, że jest za słaba albo zbyt lękliwa, by czegoś tam dokonać, ona natychmiast upierała się, że to zrobi.

- Pojadę z tobą do Kent.

- Grzeczna dziewczuszka.

Objął ją w talii i wyminawszy dwóch krzepkich, czujnych „aniołów stróżów” klubu, wprowadził Kiri do wnętrza domu. Pomyślała, że stokroć woli mieć w nim obrońcę niż lokaja.

Z przedsionka przeszli od razu do obszernej sali, istnego rajy dla ha-zardzistów: nie tylko grano tu we wszelkie gry karciane, ale obracało się także zakłete koło ruletki. Zarówno dekoracje wewnątrz, jak odwiedzający te wnętrza goście, głównie przedstawiciele klasy średniej, byli znacznie mniej wytworni niż bywalcy Klubu Damiana. U Johnsona można było spotkać dość dużo kobiet; niektóre z nich grały w karty, ale młodsze i bardziej szykowne towarzyszyły jedynie swoim dżentelmenom, podobnie jak Kiri.

W pewnej chwili jakiś jegomość o bystrym spojrzeniu podszedł do nich i skłonił się.

- Dobry wieczór, nazywam się Johnson. Czy miałem już kiedyś przyjemność gościć państwa u siebie?

- Nie, dopiero co przyjechałem tu z północy na parę dni. Nazywam się Mackey.

Mac wypowiedział te słowa z bardzo wyraźnym akcentem z okolic Manchesteru. Nie przedstawił właścicielowi klubu swej towarzyszki.



Zmierzywszy Maca wzrokiem i uznawszy widać, że to człowiek godzien szacunku, pan Johnson powitał raz jeszcze nowych gości w swoim klubie. Zachęcił, by się poczęstowali winem, i oddalił się, żeby zamienić kilka słów z innymi, którzy właśnie się zjawili.

Kiri rozpięła płaszcz i pozwoliła, by Mac zdjął go z jej ramion. Poczowała przy tym podniecający dotyk jego palców na swoim karku. Miły dreszczyk przeszył ją także wtedy, gdy sporo głów zwróciło się w jej stronę.

- Miałeś rację, że ta suknia robi wrażenie!

Usłyszała w odpowiedzi dźwięk podobny do zgrzytnięcia zębami.

- Mam ochotę dać w pysk każdemu, kto się na ciebie gapi! - burknął Mac.

Odpowiedziała na to, wczuwając się w swą rolę, zdławionym chichotem.

- Wystarczy, żebyś pamiętał, kto mnie na koniec zabierze do domu! Zatrzepotała rękami i ujrzała w jego oczach isierki wesołości i błysk

pożądania. Znakomicie! Dobrze wiedzieć, że to działa.

Przez następne dwie godziny Mackenzie grał ze zmiennym szczęściem przy kilku różnych stołach, ale przy żadnym nie zabawił dłużej. Jego gra nie wyróżniała się niczym specjalnym. Stawki także nie były nadmiernie wielkie lub zbyt niskie. Wygrane Maca również niczym się nie odznaczały: tu trochę wygrał, tam przegrał - i znów mu się poszczęściło w niewielkim stopniu. Zapewne z rozmysłem grał tak, by niczym się nie wyróżniać.

Kiri natomiast przechadzała się to tu, to tam, powolutku sącąc wino z kieliszka. Ponieważ Mackenzie grał przy różnych stołach, miała okazję przyrzeć się wielu jego partnerom. Potem przez chwilę flirtowała z dżentelmenem, który zrobił sobie małą przerwę w grze.

Konsekwencją tego przelotnego flirtu była pogrożka, którą rzuciła pod adresem Kin jakaś inna dama, oskarżając ją, że podrywa jej faceta. W odpowiedzi Kiri mruknęła pogardliwie:

- Nie martw się, złotko, mam swojego chłopca. Nie muszę podkraść cudzych!

I odeszła, kręcąc prowokacyjnie biodrami. Przez krótki czas obserwowała grających w kości, potem znów wróciła do Mackenziego, który tym razem zdecydował się na wista. W klubie ciągle przybywało gości, Kin jednak nie poczuła ani razu zapachu wody Alejandro. Za to miłośników wody węgierskiej nie brakowało; nie dostrzegła jednak nikogo, kto by przypominał kogoś z porywaczy.

Wracała właśnie z toalety dla pań, gdy jakiś podchmielony miłośnik hazardu osaczył ją na korytarzu.

- Jesteś najśliczniejsza ze wszystkich, kotku! - oświadczył z pijacką wylewnością. - Dasz mi całuska?

Roześmiała się i próbowała go wyminąć

- Nie rozdaję za darmo całusów, mój panie!

- Nazwijmy to próbką towaru. Jak mi się spodoba, zapłacę, ile zechcesz. Natarł na Kiri, przypierając ją do ściany i szukając natarczywie jej ust. Zrobiło się jej niedobrze, gdy poczuła z bliska jego pijacki oddech.

Dźgnęła go energicznie wachlarzem w żebra, ale był tak zamroczony, że prawie tego nie poczuł. Zacisnął grubą łapę na jej piersi i wówczas ogarnęła ją taka złość, że omal nie wyrzuciła go z całej siły kolanem w krocze.

Nie zdążyła jednak okaleczyć pijaka na resztę życia, gdyż wydał nagle jakieś dziwne skrzeknięcie i odfrunął do tyłu.

To Mackenzie odciągnął go z całej siły za kołnierz. Tonem, od którego skamieniałby ze strachu trzeźwiejszy delikwent, Mac warknął:

- Łapy przy sobie! Nie zaczepiaj tej damy! Pijak zamrugał oczyma.

- To żadna dama - poprawił Maca z wyrzutem w głosie - tylko najśłodszy cukiereczek, jaki w życiu widziałem!

Chciałem się z nią zaprzyjaźnić, i tyle!

Mackenzie burknął coś z wyraźnym obrzydzeniem i pchnął pijaka na przeciwległą ścianę. Biedak osunął się na podłogę z głośnym „Ufff”.

Mackenzie kopnął go na dodatek w żebra, nie z taką siłą, żeby je połamać, ale wystarczająco mocno, by zostały siniaki.

- Ta dama należy do mnie. Powinieneś być mi wdzięczny, że nie pozwoliłem, by owałaszyła cię raz na zawsze!

- Chciałem jej tylko powiedzieć, jaka jest milutka - tłumaczył się żałośnie pijak.

Mackenzie dołożył mu jeszcze w żebra.

- Ona jest moja! - powtórzył, po czym odwrócił się do Kiri i podał jej ramię. - Pora już się zbierać, no nie, dziewczuszko?

Trochę wstrząśnięta tym zajściem, przytaknęła:

- Jak tylko zabiorę swój płaszcz. - Obrzuciła pijanicę pogardliwym spojrzeniem. - Przyda mi się trochę świeżego powietrza!

Wrócili do głównej sali. Jeśli nawet ktoś zauważył sprzeczkę Maca z pijakiem, nie uznał jej za tak ważną, by warto się było do niej wtrącić. Mackenzie odebrał płaszcz Kiri i okrył ją nim tak delikatnie, jakby była figurynką ze szkła. Kiedy wyszli na ulicę, Kiri otuliła się szczelniej płaszczem. Zrobiło się jeszcze zimniej, siąpił deszcz.

Podczas gdy czekali na powóz, Mac spytał:

- Masz już dość wrażeń jak najedną noc? Odetchnęła głęboko.

- Jestem gotowa odwiedzić następny klub. Wiedziałam, że mogę spotkać podobne typki jak ten pijak. Największy kłopot z tym, żeby nie poturbować takiego głupka zbyt dotkliwie.

- Dzielna z ciebie dziewczuszka.

Powóz podjechał i Mac pomógł jej wsiąść. Potem rzucił woźnicy adres kolejnego klubu, wsiadł również i objął Kiri ramieniem.

- Wypatrzyłaś kogoś podejrzanego? Przytuliła się do niego. Był taki ciepły.

- Nie brakowało amatorów wody węgierskiej, ale nie przypominali tamtych porywaczy. A ty dowiedziałeś się czegoś interesującego?

Pokręcił głową.

- Mielibyśmy wyjątkowe szczęście, gdybyśmy dowiedzieli się czegoś tak od razu. Może przyjdzie nam spędzić w ten sposób kilka tygodni - albo i miesięcy - bez żadnych rezultatów. A może znajdziemy naszego złoczyńcę już za drugim podejściem?

- Nie nadaję się do takiego szpiegowania - doszła do wniosku Kiri. - Cierpliwość nigdy nie leżała w mojej naturze.

- Mam charakter podobny do ciebie - przyznał Mackenzie. - Mimo to pomagam Kirklandowi, ilekroć zajdzie potrzeba. Nie jestem pewien, czy szpiegowanie zawsze jest niezbędne, ale zapobiec zabójstwu należy w każdym wypadku.

- Jak się nazywa ten następny klub?

- Kapitański. To zwykle piekielko, nie klub z prawdziwego zdarzenia, ale sama nazwa przyciąga wielu wojskowych, emerytowanych i w czynnej służbie. Spotkasz tutaj niewiele kobiet.

- Przynajmniej nikt mi nie wydrapie oczu z zazdrości!

- Jestem o ciebie absolutnie spokojny, z pewnością dasz sobie radę w takich babskich potyczkach - oświadczył serdecznym, pełnym ufności

tonem. - Chyba żebyś się zmierzyła z Cassie. Miałybyście wtedy równe szanse.

Roześmiała się.

- Przez cały czas nie spuszczałeś ze mnie oka, prawda? Zjawiłeś się niemal natychmiast, jak tylko się ten pijak przyplątał!

- Moim podstawowym obowiązkiem jest opieka nad tobą. Wszystko inne schodzi przy tym na dalszy plan.

- Dziękuję ci! - Wzięła go za rękę, podniesiona na duchu tym, że stanowią taki zgrany zespół. - Jutro czeka nas dalszy ciąg tego samego?

- Tak. Odwiedzimy salon gry w domu pewnej kobiety. Madame Blanche tak prowadzi swój interes, że przypomina to raczej przyjęcie towarzyskie niż jaskinię hazardu: można tam potaćzyć albo skosztować czegoś dobrego, a nie tylko rznąć w karty. Będiesz jutro potrzebowała pomocy Cassie przy charakteryzacji. - Zmarszczył brwi. - Być może udamy się także na mecz bokserki, żeby odnaleźć tego trzeciego porwacza, który uszedł z życiem.

- To powinno być interesujące. Nigdy jeszcze nie oglądałam walk zawodowych bokserów, tylko bójki wśród żołnierzy, którzy nie przestrzegali żadnych sportowych reguł.

- To, że podczas profesjonalnych meczów obowiązują reguły Brough-ona, nie znaczy wcale, że nie będzie krwi - ostrzegł ją Mac.

Nie szkodzi. Wiedziała, że przy nim będzie zawsze bezpieczna.

Klub Kapitański był mniejszy od poprzedniego i zgodnie z tym, co mówił Mackenzie, znajdowała się w nim jedynie garstka kobiet. W salonie panowała cisza, słychać było jedynie krótkie uwagi związane z grą i trzask kart, rzucanych na kryte zielonym sukrem stoły. Właściciel klubu wyszedł im naprzeciw.

- Nazywam się Smythe - oznajmił uprzejmie. - Witamy w Klubie Kapitańskim. W co chcieliby państwo zagrać dziś wieczorem?

- Dobry wieczór panu - odparł Mackenzie z silnym północnym akcentem. - Jestem Dan Mackey i mam ochotę zagrać w lombra.

- Ma pan także szczęście: przy stole do lombra gra właśnie się zaczyna. Znajdzie się tam miejsce dla jeszcze jednego gracza. - Smythe podprowadził ich do okrągłego stołu w głębi sali. Siedziało wokół niego czterech graczy. -

Pozwólcie, panowie: oto pan Mackey; pragnie się przyłączyć do

gry. Panie Mackey, to porucznik Hardy, major Welsh, kapitan Swinnerton i pan Reed.

Stojący obok Kiri Mackenzie nagle zeszytniał. Domyśliła się, że zna - i to dobrze - jednego z tych czterech mężczyzn i obawia się, że zostanie przez niego rozpoznany. Przez chwilę sądziła, że Mac oświadczy, iż wolałby zagrać przy innym stole.

Jednak pozostali gracze ledwie nań zerknęli znad swoich kart czy kieliszków, i to wyłącznie przez grzeczność. Nowy przybysz, nie będąc ani wojskowym, ani londyńczykiem, nie budził najmniejszego zainteresowania. A poza tym był doskonale ucharakteryzowany. Przemógłszy swe obawy, Mackenzie zasiadł do gry.

Gdy karty zostały rozdane, Kiri obeszła stół dokoła, by sprawdzić, czym pachną pozostali gracze. Ani śladu Alejandra! Jeden z grających używał wody kolońskiej o nazwie Jockey Club, a dwaj inni - Guard's Bouquet. Czwarty nie pachniał wodą toaletową, tylko koźmi. I to potężnie.

Gdy Kiri przechodziła obok Swinnertona - tego od Jockey Club, obrzucił ją wrogim spojrzeniem i warknął do Mackenziego:

- Pilnuj pan tej swojej lali, żeby nie zaglądała innym w karty! Kiri zaprotestowała ze świętym oburzeniem:

- Nic takiego nie robię!

Mackenzie przyciągnął wolne krzesło od sąsiedniego stolika i poklepał je zachęcająco.

- Siadaj tu, dziewczuszko. - Obrzucił ją rozkochanym spojrzeniem. -I przynieś mi szczęście!

Zuważyła, że jego północny akcent stał się jeszcze wyraźniejszy, a Mac mówi nieco wyższym głosem.

Kiri usiadła z nadąsaną miną. Stolik był mały, co dało jej pretekst do przysunięcia się tak blisko, iż jej udo przylegało do uda Maca. Ponieważ przy ich stole nikt nie bawił się w rozmówki, padały jedynie uwagi ściśle związane z grą, Kiri miała mnóstwo czasu na obserwowanie innych graczy w klubie. Choć nie znajdowali się tak blisko, by mogła wyczuć, czym pachną, spostrzegła, że nikt nie przypomina wzrostem ani postawą żadnego z porywaczy.

Na samym końcu jej spojrzenie zatrzymało się na S winnertonie, siedzącym na wprost niej. Zainteresowanie Kiri wzrosło, gdy baczniej mu się przyjrzała. Należał niewątpliwie do tak zwanych mocnych mężczyzn,

choć w chwili obecnej był nieco zmiękczonej do połowy wypitą butelką koniaku, która stała przed nim. Co prawda nie pachniał wodą kolońską Alejandro, ale jego postać i ruchy przypominały Kiri przywódcę porywaczy. Czyżby więc natrafili na tego, kogo szukali? Ostatecznie, mężczyzna nie musi zawsze używać tej samej wody kolońskiej! Przy kolejnym rozdaniu porucznik Hardy odezwał się od niechcenia:

- Słyszałeś, Swinnerton, że właściciel Klubu Damiana został ostatnio zamordowany? Powiadają, że chciał złapać złodzieja i został zastrzelony za swoje trudy.

Kiri poczuła, że mięśnie uda Mackenziego zaciskają się jak postronki, choć jego twarz pozostała niewzruszona. To musiało być niezwykle doznanie - słyszeć jak ludzie dyskutują o jego rzekomej śmierci.

Jego napięcie jeszcze wzrosło, gdy Swinnerton odpowiedział:

- Niewielka strata, Hardy! Ten bydlak Mackenzie został karnie wydalony z armii, wiesz? I lepiej, że się go pozbyliśmy.

- Nie miałem o tym pojęcia! - Hardy wachlował się trzymanymi w ręku kartami. Zmarszczka na jego czole świadczyła, że nie przypadła mu do smaku ta wiadomość. - Spotkałem Mackenziego raz czy drugi w jego klubie. Zdawało mi się, że porządny z niego chłop. Za co go wylali?

Z twarzą nieruchomą, jakby wykutą z granitu, Swinnerton odparł:

- Zgwałcił i zamordował żonę innego oficera.

## 22

To brutalne oświadczenie sprawiło, że wszystkim siedzącym wokół stołu zabrakło nagle powietrza. Ktoś wykrzyknął z przerażeniem: - Tam do diabła.

Mac złodowaciał, serce zabiło mu gwałtownie. Co za cholerny pech, że znaleźli się akurat przy jednym stole z Rupertem Swinnertonem. Co prawda, nawet w tej sytuacji nie spodziewał się, że w trakcie karcianej rozgrywki wybuchnie taka bomba. Chociaż... może powinien był spodziewać się czegoś takiego? Jego rzekoma śmierć stanowiła sensację dnia.

Mimo że od tamtych tragicznych wydarzeń minęły już trzy lata z okładem, Swinnerton wolał się nie przyznawać, że to właśnie jego żonę

zamordowano. Ta okropna historia nie ukazywała w korzystnym świetle ani Maca, ani jego.

Oczy wszystkich zwróciły się na Swinnertona. Porucznik Hardy spytał głosem pełnym zdumienia i przerażenia:

- Jeśli to prawda, czemu go nie powiesili?

- To wszystko wydarzyło się w Portugalii. Nietrudno zatrzeć ślady zbrodni w dalekim kraju, podczas działań wojennych - odparł z goryczą Swinnerton. - Mackenzie był bękartem lorda Mastersona, uznawanym przez jego rodzinę. Jego przyrodni brat i jakiś zwariowany przyjaciel postarali się o to, by oskarżenie zostało wycofane - pod warunkiem, że zabiorą Mackenziego z powrotem do Anglii i że zrzeknie się on stopnia oficerskiego.

- W takim razie widać dopadła go sprawiedliwość - mruknął major Welsh, rzucając kartę na stół.

- Sprawiedliwość... albo mąż kobiety, którą ten bydlak zhańbił - stwierdził ponuro pan Reed. - Gdyby Mackenzie skrzywdził tak moją żonę, od dawna by ziemię gryzł.

- Aż się wierzyć nie chce, że zamordowanie żony oficera uszło komuś na sucho - odezwał się Hardy, marszcząc brwi.

- Może to tylko rozdmuchane plotki?

Swinnerton pokręcił głową.

- Słyszałem o tym od naocznego świadka, oficera. Odrażająca historia. Ta kobieta romansowała z Mackenzie, więc jej mąż z pewnością nie miał ochoty trąbić o tym na cztery strony świata.

- Rozumie się. - Welsh pokiwał głową. - Biedaczysko. Stracił żonę w taki okropny sposób, a winowajcy nawet nie spotkała sprawiedliwa kara. Przypuszczam, że Mackenzie ulotnił się z Portugalii, zanim mąż zdążył go wyzwać na pojedynek?

Na to już Swinnerton nie zdążył odpowiedzieć, gdyż Reed odezwał się ze zniecierpliwieniem:

- Bardzo przykra sprawa, ale dość już o tym. Grajmy dalej. Rozmowy ucichły, ale Mac nadal był wstrząśnięty. W hiszpańskiej grze

w karty, zwanej lombrem, znacznie większą rolę odgrywała przemyślana taktyka, niż tak zwany łut szczęścia.

Dlatego zresztą Mackenzie tak tę grę lubił. W tej chwili jednak z trudem odróżniał jedną kartę od drugiej.

Nagle poczuł dotyk energicznej kobiecej ręki na swoim udzie, a głos Kiri rozległ się tuż nad jego uchem:

- Już mi się spać chce, skarbusiu. Może byśmy tak wrócili do domu, do łóżeczka?

Kiedy musnęła językiem małżowinę jego ucha, omal nie wyskoczył ze skóry. Dostarczyła mu przy tym łatwego do zaakceptowania przez wszystkich pretekstu do wycofania się z gry. Ponieważ i tak gra miała się już ku końcowi, Mac skorzystał z okazji.

- Moja dama jest już zmęczona... panowie wybaczą, że zrezygnuję z dalszej gry. Było mi bardzo miło, dobrej nocy. Pozostali gracze życzyli mu również dobrej nocy, robiąc przy tym domyślne miny i nie bez pewnej zazdrości spoglądając na Kiri. Gdy Mac wychodził razem z nią, tuliła się do jego ramienia, wyzywająco kołysząc biodrami. Nikt z obecnych przy tym mężczyzn z pewnością nie zapamiętał jej twarzy; zbyt byli skoncentrowani na innych fragmentach jej anatomii.

Przeczuwając, że Kiri zaraz go spyta, jak to naprawdę było ze Swin-ner-tonami, Mac otulił ją płaszczem i podprowadził do czekającego na nich powozu. Skoro tylko znaleźli się w jego wnętrzu, spytała cicho:

- Co się wtedy naprawdę wydarzyło?

- Nie słyszałaś? - odparł szorstko. - Zgwałciłem i zamordowałem żonę innego oficera, i cudem wywinąłem się od stryczka.

- Bzdury. Jesteś z natury opiekuńczy, nie masz w sobie nic z mordercy i gwałciciela.

Mimo ciemności Kiri odnalazła jego rękę i nakryła ją swoją. Palce Maca konwulsyjnie zacisnęły się wokół niej.

- Ależ ja zabijałem — wyznał z rozpaczą, jakby ciężar z każdego z popełnionych przezeń grzechów zwał się teraz na niego. -1 to często.

- Oczywiście, że zabijałeś. Na tym polega żołnierska służba - odpowiedziała rozsądnie. - Ale istnieją także inne sposoby wojowania. Niektórych spraw nie rozstrzyga się na polu bitwy. Pomyśl choćby o śledzeniu groźnych zamachowców. Do tego jesteś wprost stworzony. Ale do gwałcenia i mordowania bezbronnych kobiet? Nigdy w życiu.

- Dziękuję ci, Kiri. - Przymknął oczy. Był jej bezbrzeżnie wdzięczny za okazane mu zaufanie. - To okropne zostać oskarżonym o taką koszmarną zbrodnię, ale jeszcze gorsze jest to, że niektórzy dali temu wiarę.

- No więc, co się wtedy wydarzyło? - spytała cicho.

- Zamordowano Harriet, żonę Ruperta Swinnertona, który dziś o tym opowiadał.



Kiri wstrzymała dech.

- Służyliście razem?

- Bardzo krótko. Zaraz po wstąpieniu do wojska służyłem pod komendą Alexa Randalla. Kiedy jednak wysłano nas do Portugalii, zostałem przeniesiony do innej kompanii; brakowało tam młodszego oficera. Choć Swinnerton jako porucznik był moim zwierzchnikiem, rzadko się widywaliśmy. Przeważnie zaprzętały go prywatne sprawy. - Mac westchnął. - Robiłem, co do mnie należało, ale nie wkładałem w to całego serca, Kiri. Wstąpiłem do wojska tylko dlatego, że ojciec obiecał kupić mi patent oficerski, żebym zdobył jakąś pozycję w świecie. To więcej, niż się zazwyczaj robi dla swego bękarta.

- Pewnie obaj sądziliście, że będziesz się w wojsku dobrze bawił. Nie zapowiadałeś się przecież na duchownego, co? Mało brakowało, a roześmiałby się.

- Święta prawda. Szczerze mówiąc, branie udziału w bitwie było... emocjonujące. Człowiek czuł, że żyje. Ogarniał nas równocześnie lęk i uniesienie. A poza tym, było to wyzwanie. Tylko że udział w bitwie to zaledwie niewielka część żołnierskiego żywota, a reszta... No cóż, nie mogłem znieść wojskowego rygoru ani tego, że może mi rozkazywać byle dureń.

- Taki jak Swinnerton?

- On był nie tylko głupcem, ale i brutalem. Plotka głosiła, że musiał się ożenić z Harriet, boją skompromitował. Z pewnością nie byli kochającym się małżeństwem. Oboje służyli z tego, że romansują na prawo i na lewo. - Pokręcił głową, jakby dotychczas nie mógł się nadziwić własnej głupocie. - Wiedziałem, że nie powinienem się z nią zadawać, a mimo to wplątałem się w romans.

- Kochałeś ją? - spytała Kiri cicho.

Nawet teraz, trzy lata później, nie był pewien, co odpowiedzieć.

- Może trochę... była piękna i taka... pełna gniewu. A równocześnie krucha i delikatna. Chciałem się nią opiekować. Byłem samotny, więc kiedy dała mi do zrozumienia, że się jej podobam, nie zrejterowałem, choć ktoś rozsądniejszy pewnie by tak postąpił. Była zresztą naprawdę piękna i biegła w sztuce miłosnej.

- Trochę... jak bohaterka tragedii - orzekła Kiri. - A jak umarła? Każda chwila tamtej nocy wryła się Damianowi na zawsze w pamięć.

- Odwiedziłem ją, bo Swinnerton wyjechał i zdawało się, że nic nam nie zagraża. Harriet była tamtej nocy jakaś niespokojna... Kiedy miałem już odejść, ni stąd, ni zowąd zaczęła nalegać, żebyśmy razem uciekli.

- Miałeś ochotę to zrobić?

W słabym świetle wpadającym przez okno powozu twarz Kiri była pełna napięcia i taka piękna...

- Ani trochę. Przemyślałem już o zakończeniu tego romansu, a pomysł Harriet utwierdził mnie w przekonaniu, że najwyższy na to czas. Wcale mnie nie kochała. Chciała tylko wyjechać z Portugalii. Ta ucieczka zniszczyłaby życie nam obojgu. - Usta Maca skrzywiły się boleśnie. - Ale gdybym się zgodził, może żyłaby do dziś.

- Dlaczego tak ci się zdaje?

- Wściekała się na mnie, miotła się, ciskała czym popadnie, groziła: „Powiem mężowi, że usiłowałeś mnie zgwałcić”. Dzięki temu jeszcze łatwiej było mi odejść, i to z przekonaniem, że postąpiłem słusznie.

- Więc była żywa, kiedy ją zostawiłeś?

- Jak najbardziej. - Odetchnął głęboko. Nie chciał mówić o tym, co się wydarzyło później. - Swinnerton nieoczekiwanie wrócił do domu tej samej nocy... i rozpętało się piekło. Oświadczył, że zastał obie kobiety, Harriet i jej portugalską pokojówkę, w strasznym stanie: brutalnie pobite i ledwie żywe.

Kiri gwałtownie wciągnęła powietrze, ale Mac mówił dalej, chcąc się z tym jak najszybciej uporać:

- Swinnerton utrzymywał, że jego żona jeszcze żyła, kiedy ją znalazł, i przed samą śmiercią wyznała, iż to ja ją zgwałciłem i pobiłem tak okrutnie zarówno ją, jak i służącą.

- Boże święty - wyszeptała Kiri i jej ręka zacisnęła się na ręce Mac-kenziego. - Myślisz, że Swinnerton dowiedział się o waszym romansie i w ten sposób zemścił się na was obojgu?

Mac skinął głową potakująco.

- Myślę, że Harriet, nie posiadając się z gniewu, opowiedziała mu o mnie, a może również o innych swoich romansach, i wtedy Swinnerton wpadł w szal - odparł Mac. - A gdy już nie żyła, posłużył się jej rzekomym przedśmiertnym wyznaniem, by następnego ranka postawić mnie przed sądem wojennym. Zostałem uznany za winnego i skazany na chłostę, a następnie na powieszenie.

Kiri zadrżała.

- Jakim cudem uniknąłeś śmierci?

- To zasługa Alexa Randalla i mojego brata Willa. Mój sierżant powiadomił go natychmiast, a Will popędził do księcia Wellingtona. Randall tymczasem wpadł jak burza do naszego obozu, żeby się przekonać, co tu się dzieje. - Mac uśmiechnął się niewesoło. - Gdyby Swinnertonowi nie zależało na tym, by mnie spotkała chłosta przed egzekucją, pewnie zdążyliby mnie powiesić przed przybyciem Randalla. Ale nie zdążyli, zdołałem więc przekonać go o swojej niewinności i podzielić się z nim swoimi podejrzeniami.

- Bogu dzięki, że Randall zjawił się na czas i uwierzył ci - zawołała z przejęciem.

- Przede wszystkim Bogu dzięki za to, że to był właśnie Randall. - Mac pokręcił głową, jakby zdumiewało go własne szczęście. - Stał przed budynkiem, w którym mnie uwięzili, i oświadczył, że nie wierzy w moją winę. I że jeśli chcą mnie powiesić na podstawie niesprawdzonych pogłosek, to wyłącznie po jego trupie.

- Znam trochę Randalla i wiem, że byłby w stanie powstrzymać atak kompanii piechoty - odparła Kiri z głębokim podziwem. - Jak na to zareagował Swinnerton?

- Wrzeszczał i wygrażał Randallowi, gdy Wellington i Will wjechali galopem do obozu. Księżę rozkazał wszystkim natychmiast się uspokoić i wyjaśnić mu, co się tu wydarzyło. A Will przez ten czas znalazł świadka w sprawie pobicia obu kobiet. Służąca Harriet była straszliwie poturbowana, ale żyła i mogła mówić. Potwierdziła, że Harriet i ja mieliśmy romans, ale przysięgała, że tego wieczora po moim odejściu jej pani była zdrowa i cała.

- Czy zdołała zidentyfikować prawdziwego zabójcę?

- Oświadczyła, że nie widziała go wyraźnie, ale jest prawie pewna, że to był Portugalczyk, niskiego wzrostu, prawdopodobnie złodziej.

- Myślisz, że rozpoznała Swinnertona, ale nie ośmieliła się tego powiedzieć?

- Tak właśnie myślę, ale mogę się mylić. Nie było więc niepodważalnych dowodów ani przeciw niemu, ani przeciwko mnie. Swinnerton nie miał na ubraniu żadnych śladów krwi, lecz nie przeszukano jego kwatery, mógł się więc przebrać, zanim podniósł alarm. - Mac zacisnął usta. - Puszczono w obieg jeszcze jedną bajeczkę, że sypiałem nie tylko z Harriet, ale także z jej pokojówką, i dlatego kłamała, żeby mnie bronić.

- Czemu by miała bronić kogoś, kto zamordował jej panią i o mało nie zabił jej samej? - spytała Kiri. - To przecież bez sensu.

- W plotkach nie ma co szukać sensu - zauważył cynicznie Mac. - Księżę Wellington orzekł, że nie można wykonać wyroku śmierci na oficerze brytyjskim bez niepodważalnych dowodów jego winy. A gdyby nawet Harriet istotnie utrzymywała przed śmiercią, że mordercą byłam ja, każda kobieta tak straszliwie poturbowana mogła bredzić w malignie. Druga zaś z pobitych kobiet, ta, która przeżyła, twierdziła stanowczo, że to nie ja byłam zabójcą. - Po oddaleniu oskarżenia Wellington doradził mi, żebym pożegnał się z wojskiem i czym prędzej wrócił do Anglii. Posłuchałem jego rady.

Nie mógłby tego uczynić bez pomocy Willa. Był zaledwie o dwa lata starszy od Maca, ale zawsze zachowywał się wobec niego jak opiekuńczy starszy brat.

- Rozsądna decyzja. Choćby nawet nigdy już nie padły żadne zarzuty pod twoim adresem, dalsza służba w tym samym regimencie byłaby chyba nie do zniesienia.

- Cieszyłem się, że wracam do Londynu, choć nie miałem pojęcia, co tam będę robił... A potem zjawił się u mnie Kirkland i zaproponował mi całkiem inny rodzaj służby dla kraju.

Myśl o wykonywaniu naprawdę pożytecznej roboty, zamiast wiecznego obijania się po mieście w roli niepoprawnego bękarta lorda Mastersona, kusila Maca nieodparcie. Okazał się zresztą znacznie lepszym właścicielem klubu i agentem wywiadu, niż był niegdyś żołnierzem.

- Przypuszczam, że zagadka śmierci Harriet dotychczas nie została rozwiązana?

- Oficjalnie? Nie. Ten straszny wypadek zniszczył karierę wojskową aż dwóch oficerów. Swinnerton nie był zbyt lubiany, toteż podejrzewano go o to morderstwo prawie tylu, ilu obwinięło mnie. Rodzina Swinnertonów załatwiła mi więc przeniesienie do regimentu w Indiach Zachodnich, żeby uniknąć najprzykrzejszych konsekwencji tego skandalu.

- Ale była to zarazem sroga kara, biorąc pod uwagę, ile chorób tam się szerzy - stwierdziła Kiri. - Swinnerton ma podejrzenie żółtą cerę, mimo opalenizny. Być może pozbył się swego patentu oficerskiego ze względu na zdrowie.

- Nie miałem pojęcia, że on jest znów w Londynie; musiał dopiero co wrócić. - Mac skrzywił się. - Bez żalu rozstałem się z armią, ale wolałbym pożegnać się z nią z innego powodu.

- Tak mi przykro, że musiałeś przeżyć coś takiego.

Kiri odwróciła się, oparła głowę na ramieniu Maca i objęła go w pasie. Jaka była ciepła... Jak cudownie, że tak się do niego tuliła...

- Rupert Swinnerton to prawdziwy potwór - mówiła dalej. - Całkiem możliwe, że był jednym z porywaczy.

Mac oprzytomniał nagle.

- Poczujesz znów zapach Alejandra?

- Nie, ale przypomina z wyglądu tego ich prowodyra. Znacznie bardziej niż wszyscy inni, których obejrzelismy sobie dziś wieczorem.

- Jesteś pewna, że to on?

- Nie jestem pewna - zastrzegła się. - Ale uważam, że lepiej go mieć na oku.

Mac zbierał w myśli wszystko, co wiedział o Swinnertonie. Ten człowiek był zimny jak lód i bezlitosny jak wąż. A w wojsku nauczył się wielu rzeczy przydatnych dla zamachowca.

- Chciałbym być względem niego obiektywny, ale według mnie Rupert Swinnerton jest zdolny do wszystkiego.

- Mam nadzieję, że należy do spiskowców - powiedziała Kiri niemal tęsknie. - Jest taki antypatyczny.

- A zatem dokonaliśmy czegoś dzisiejszej nocy. Dobrze się rozpoczęło nasze śledztwo. - Rad z osiągnięcia i wdzięczny Kiri za zrozumienie Mac pochylał się, by cmoknąć ją w gładki policzek.

Kiri obróciła się - i przyjacielskie cmoknięcie przerodziło się w namiętny pocałunek. Ta zielona jedwabna suknia doprowadzała Maca do szaleństwa od pierwszej chwili, gdy Kiri włożyła ją na siebie. Teraz zaś niczego nie pragnął bardziej, niż wyłuskać ją z tej sukni. Piersi Kiri - takie pełne, takie doskonałe... Ajej zapach, ten jedyny, niepowtarzalny zapach, został jeszcze wzbogacony wonią egzotycznych perfum, które uderzyły Macowi do głowy.

Kolanko Kiri wślizgnęło się pomiędzy jego kolana, ajej łapki były równie aktywne jak jego ręce... Doznali prawdziwego szoku, gdy powóz zatrzymał się nagle. Byli znów na Exeter Street pod numerem jedenastym.

Drżąc jak w gorączce, Mac wypuścił Kiri z objąć.

- Przejazdki powozem bywają niebezpieczne - sapnął. - Cały rozsądek mnie opuszcza, kiedy gdzieś jadę z tobą.
- To całkiem zrozumiałe - odparła, tłumiąc śmiech. - W powozie jesteśmy sami i siedzimy bardzo blisko siebie. Nic dziwnego, że ilekroć to się zdarzy, rzucają się jedno na drugie.
- Rozumujesz niesłuchanie logicznie. - Z czułością przytulił jej główkę do swego ramienia. - I potrafisz rzucać się na mnie jak nikt.
- To dlatego, że uważnie obserwuję koty. - Ręka Kiri wślizgnęła się między jego nogi i ze zdumiewającą zręcznością dosięgła celu. - A ponieważ zapędziliśmy się już tak daleko, najrozsądniej chyba będzie przemknąć się teraz do mego pokoju i kochać się do upadłego.

## 23

Słowa Kiri przemknęły lotem błyskawicy prosto z mózgu Mackenziego do jego krocza. Każdy mięsień w ciele Maca sprężył się, gdy usiłował odzyskać kontrolę nad samym sobą. Znajdowali się przecież w wynajętym powozie, na litość boską. Naprzeciwko domu, w którym obecnie mieszkali. Muszą, po prostu muszą wysiąść i wejść do budynku. Mignęła mu przed oczyma wizja ich dwojga, kochających się w po-woziku, który trząsał się i podskakiwał jak szalony. Kiedy dotarło do Maca, jaki by to był zabawny widok, nieco oprzytomniał.

- Musimy opuścić ten powóz i pozostawić za sobą całe to szaleństwo - powiedział stanowczo. - A potem wejdziemy do domu i każde z nas uda się do swojej sypialni, by tam - w samotności - zasnąć snem sprawiedliwego.

Tyle tylko, że on z pewnością nie zmruży oka przez całą noc. Będzie go dręczyć żądza tak gwałtowna, że dałby sobie odciąć prawą rękę, byle ją zaspokoić.

- Nie pleć głupstw - odparła cierpko Kiri, poprawiając ubranie i szukając po omacku czepka. - Może i nie mamy nadziei na wspólną przyszłość, ale jest przecież chwila obecna. Pragniemy się nawzajem, a żyjemy teraz jakby poza zwykłym światem, a w każdym razie poza zasięgiem opinii publicznej. Tak długo, jak będzie trwało nasze śledztwo, możemy zachowywać się jak chcemy.

Starając się nie zważać na tę kuszącą wizję, Mac otworzył drzwiczki powozu i pospiesznie wysiadł. Tym razem nie zaoferował Kiri swojej pomocy, gdyż obawiał się dotknąć choćby jej ręki. Z całą pewnością była zresztą zdolna do wydostania się z powozu o własnych siłach.

Dowiodła tego natychmiast, po czym obróciła w perzynę wszystkie dobre intencje Maca, wspierając się na jego ramieniu.

W milczeniu dotarli po frontowych schodkach do drzwi i Mackenzie je otworzył. W niewielkim holu pozostawiono dla ich wygody nocną lampę, dość słabo świecącą. Na stole czekała już tylko jedna świeca, a zatem reszta mieszkańców wróciła wcześniej do domu i udała się na spoczynek.

Zniżając głos do szeptu, Mac wypalił:

- W rajskim ogrodzie był Adam, Ewa i wąż. A pani, lady Kiri, z pewnością pochodzi od węża, który kusił Adama i Ewę, by zawładnąć ich duszami.

Zamiast się obrazić, Kiri wybuchnęła śmiechem.

- Czytałam gdzieś, że wąż jedynie otworzył im oczy na zwykłą ludzką zmysłowość... i że od tamtej pory wszyscy Adamowie i Ewy sięgają po owo rajskie jabłuszko z niestygnącym zapałem. - Śmiech Kiri ucichł. Zaczęła ściągać rękawiczki, odsłaniając kształtne dłonie o długich palcach. - Czemu i my nie mielibyśmy postąpić tak samo? Cóż by się stało złego?

Myśl o tych ślicznych, obnażonych paluszkach, błędzących swobodnie po jego ciele, sprawiła, że Mac z trudem przełknął ślinę i odwrócił wzrok.

- Jesteś zbyt inteligentna, by nie zdawać sobie sprawy, jak zmienne i niebezpieczne bywają porywy zmysłów. Mogą spowodować wiele bólu i cierpienia. Mnie taki poryw omal nie zaprowadził na szubienicę.

- Nie mam męża, opętanego zazdrością, ani ty obłąkanej żony... chyba że trzymasz ją w ukryciu - zwróciła mu uwagę.

Skrzywił się boleśnie.

- Od śmierci Harriet nie miałem żadnej kobiety. Kiri aż dech zapało ze zdumienia.

- Z pewnością nie z braku okazji.

- Istotnie. Raczej... z poczucia winy. - Zmusił się do wyjaśnienia Kiri, czemu stronił od wszelkich kontaktów z kobietami. - Byłem więcej niż lekkomyślny w postępowaniu z Harriet i wynikła z tego tragedia: Harriet została zabita, a zbyt wiele innych osób ucierpiało. Od tej pory stałem się więc przesadnie ostrożny.

- Obawiam się, że I Harriet Swinnerton tak czy inaczej groziła zagłada. Gdyby mąż nie zatłukł jej na śmierć tamtej nocy, zapewne doszłoby do tego innym razem - powiedziała cicho Kiri. - Czy nie najwyższy czas, żebyś znów zaczął w pełni korzystać z życia?

Spojrzał jej w oczy, wyraźnie zielone nawet w tym słabym oświetleniu.

- Naprawdę jesteś poganką. Ale zbyt inteligentną, by nie zdawać sobie sprawy z konsekwencji takiego zachowania. Przecież gdybym nawet nie zginął od kuli twego ojca lub brata, ty mogłabyś zajść w ciążę.

- Miej że trochę zaufania do mego zdrowego rozsądku - odparła z szelmowskim uśmiechem. - Kiedy rozważałam ewentualne małżeństwo z Godfreyem Hitchcockiem, spytałam Julii Randall, naprawdę dobrej akuszerki, jak można zapobiec niepożądaney ciąży. Przybyłam więc na Exeter Street należycie wyekwipowana, bo naprawdę chciałabym wykorzystać każdą chwilę, kiedy jesteśmy razem.

- Ogromnie mi to pochlebia - odparł szczerze. - Ale nawet jeśli ty podchodzisz do tej sprawy tak... beztrosko, wątpię, czyja potrafiłbym się na to zdobyć.

Przed romansem z Harriet Swinnerton Mackenzie był zdecydowanym zwolennikiem przelotnych związków bez żadnych zobowiązań; teraz jednak nie pozostało w nim wiele z tamtego lekkoducha.

Kiri musnęła ręką jego policzek.

- Pojmuję, że jeśli twój ostatni romans zakończył się tragedią, a potem przez trzy lata żyłeś w celibacie, nigdy już żadnej przygody miłosnej nie potraktujesz beztrosko. A może zamierzasz do końca życia obywać się bez kobiet? Zadrżał pod dotknięciem jej palców.

- Oczywiście że nie. Ale chyba lepiej, żebym folgował grzesznemu ciału z kobietą starszą od ciebie i mającą więcej doświadczenia; obejdzie się wtedy bez przykrych konsekwencji.

- Nie musi być żadnych konsekwencji naszej małej przygody, najwyżej odrobina żalu, gdy przyjdzie chwila rozstania. - Kiri zdjęła czepek i okazało się, że skutkiem ich namiętnych pocałunków w powozie jej lśniące loki uroczo się potargały. - Nie uważasz, że rozkosz, której wspólnie zaznamy, będzie tego warta?

Mac nie wiedział, śmiać się czy płakać.



- Nie jesteś podobna do żadnej ze znanych mi kobiet. Gdybym miał choć szczyptę rozumu, popędziłbym na górę i zaszyłbym się w swoim pokoju, zamknąwszy drzwi na klucz.

W słabym świetle nieco cygańska uroda Kiri nabrała zdecydowanie orientального charakteru.

- Uważasz mnie - niesłusznie - za Angielkę, gdyż dostrzegasz jedynie moje europejskie dziedzictwo, a ja jestem w równym stopniu córą Indii. Mój umysł nie zawsze działa w sposób zrozumiały dla ciebie.

- To zdążyłem już zauważyć. - Starał się nie gapić na nią, gdy zdejmowała płaszcz, odsłaniając znów przepastny dekolt i powabne okrągłości. - Czy wszystkie Hinduski to kusicielki, którym nie sposób się oprzeć?

- O nie. Tylko nieliczna garstka. - Uśmiechnęła się figlarnie. - Po prostu dopisało ci szczęście.

Hol był nieduży i Mac nie miałby gdzie uskoczyć, choćby chciał, gdy zarzuciła mu ręce na szyję. Ale jej głos, jej zapach, jej piękne, smukłe ciało - wszystko to działało mu na zmysły.

Powiedziała szeptem:

- Uważasz mnie za kompletne niewiniątko, które wymaga opieki... Aleja wcale nie jestem niewiniątkiem.

I potwierdziła to pocałunkiem, palącym jak żywy ogień.

- Udało ci się zniszczyć resztki moich skrupułów, Kiri - powiedział łamiącym się głosem, gdy tylko odzyskał dech. - Już niemal ci wierzę, gdy twierdzisz, że moglibyśmy zostać kochankami, nie powodując kolejnej katastrofy. A choćby nawet stało się inaczej, w tej chwili nie ma to dla mnie znaczenia.

- Naprawdę możemy być razem, nie niszcząc się wzajemnie. - Kiri odsunęła się o krok i schwyciła go za rękę. - Daję ci na to słowo. A teraz chodź.

Zapalił świecę od płomyka nocnej lampy i pozwolił, by Kiri pociągnęła go za sobą na górę. Płomień świeczki migotał jak szalony, bo na schodach hulały przeciągi, a Kiri dzięki ternu przypominała raczej ulotną zjawę niż żywą dziewczynę. Była niewiarygodnie piękna, niepodobna do żadnej innej. I silna, niewymagająca nieustannej podpory. A w dodatku obdarzała wszystkim, nie żądając w zamian niczego.

Zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Jednak tej nocy rozpaczliwie pragnął wierzyć, że to prawda.

Przepełniona najwyższą radością, a zarazem lękiem z powodu własnego zuchwalstwa, Kiri ciągnęła Mackenziego na górę, do swojego pokoju. Uważała to pomieszczenie za całkiem przestronne; teraz jednak szerokie ramiona i potężny wzrost Mackenziego sprawiły, że jej sypialnia dziwnie zmałała.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nimi, Mac postawił świecę na biurku i pochwycił Kiri w ramiona. Fascynował ją, gdy mężnie usiłował się opierać; teraz jednak, kiedy już nie krył swego pożądania, nie było nawet mowy o tym, by oprzeć się jemu.

W pokoju oświetlonym jedną małą świeczką Kiri raczej wyczuwała swego kochanka powonieniem i dotykiem, niż go widziała. Był cudowny: pragnęła go smakować, rozkoszować się nim, wchłonąć go w siebie.

Jego długie, zręczne palce błędziły po jej plecach. Takie to było rozkoszne, że Kiri dopiero wówczas zorientowała się, iż Mac całkiem rozpiął jej suknię, gdy odsunął się nieco i chłodny zielony jedwab opadł jej do stóp. Koszula i gorset osłaniały ją równie szczelnie jak suknia, ale Mac wydawał się urzeczony.

- Czemu damska bielizna jest tak nieodparcie pociągająca? - spytał ze zdumieniem w głosie, wodząc palcem po brzegu gorsetu, biegnącym przez pierś.

- Bo to coś zakazanego - odparła gardłowym głosem, a jej skóra nabierała życia pod każdym dotknięciem Maca. - Ale teraz kolej na ciebie.

Podeszła jeszcze bliżej i rozwiązała mu krawat, obnażając przy tym szyję Mackenziego. Kiedy pochyliła się, żeby ją ucałować, poczuła pod wargami jego gwałtownie bijący puls. Zauważyła też leciutki posmak soli, wzbogacający tajemniczy, niepowtarzalny zapach Damiana. - Trzymaj się mocno - uprzedziła go. - Zamierzam doprowadzić cię do szaleństwa.

- Już ci się to udało - jęknął, ale stał bez ruchu, niczym posąg, gdy zdejmowała mu surdut, wyciągała koszulę ze spodni i przebiegała dłońmi po skórze, pod którą kryły się twarde mięśnie. Była zachwycona włoskami na jego piersi, a zwłaszcza tym, że w blasku świecy połyskują czerwienią i złotem.

Niecierpliwie ściągnęła mu koszulę przez głowę, po czym zdjęła watowaną kamizelkę, którą włożył, by wyglądać na tęższego, niż był w istocie. Przez cały ten czas, ilekroć jej palce otarły się o plecy Maca, czuła zaskakującą chropowatość skóry. Zdumiona obeszła go od tyłu, by zbadać gruntownie sprawę.

Wciągnęła raptownie powietrze. Całe plecy Maca były pokryte gęstą siecią blizn. Wychowana w obozie wojskowym Kiri od razu zorientowała się, co to takiego. Delikatnie dotknęła rozpostartą ręką skatowanych pleców.

- To rezultat chłosty, której Swinnerton tak się domagał? Aż dziw, że nie zatłukli cię na śmierć.

- Niewiele brakowało - odparł bezbarwnym głosem. - Zażądał tysiąca dwustu uderzeń, to dozwolone maksimum, ale straciłem przytomność po pięciuset, czy coś koło tego. Swinnerton upierał się, że muszę otrzymać resztę przed powieszeniem, więc na razie zabrali mnie stamtąd i wzięli pod klucz. Zjawił się chirurg, żeby mnie trochę podkurować przed kolejną chłostą.

- I wtedy właśnie przybył Randall? Wspomniałeś, że gdyby Swinnerton nie upierał się tak przy tej chłostie, powieszono by cię, zanim się zjawiła pomoc.

Potężna klatka piersiowa Mackenziego jeszcze się rozszerzyła, gdy odetchnął głęboko.

- Zostało mi jeszcze tyle przytomności, że zdołałem powiedzieć Ran-dallowi, co się stało. Miał już przedtem do czynienia ze Swinnertonem, co ułatwiło sprawę. Do chwili gdy zjawił się Will z księciem Wellingtonem, pozbierałem się już i mogłem całkiem przytomnie odpowiadać na pytania.

Kiri walczyła ze łzami.

- W takim razie cieszę się z tych blizn... bo gdyby nie chłosta, straciłbyś życie, zanim cię spotkałam.

- Byłoby lepiej dla ciebie, gdyby tak się stało, moja wojownicza panno - stwierdził posepnym tonem. - Nie zaznasz dzięki mnie nic dobrego.

- Bzdura - zaprotestowała. - Jesteś taki wspaniały: nigdy mnie nie nudzisz. Ileż bym straciła, nie znając ciebie.

- Nic byś nie straciła, gdybyś nie miała pojęcia o moim istnieniu - odparł głosem suchym jak klekot kości, rozsypywanych pustynnym wiatrem. - Ale gdyby mnie powiesili, pozostałbym w ludzkiej pamięci jako gwałciciel i morderca. Nie chciałbym, żeby przeze mnie ciążyło na Willu takie przekleństwo.

- Doskonale cię rozumiem. - Nawet człowiek tak opanowany jak Will Masterson załamałby się pod brzemieniem podobnej hańby. Kiri obiema rękami powiodła po plecach Maca. - Ale ty przecież nie popełniłeś żadnej zbrodni.

- Prawnie mi tego nic dowiedziono, ale te blizny to pamiątka mojej zbrodniczej głupoty. Jarriet Swinnerton zarzucała sidła także na innych oficerów. Czy Will dałby się jej obalamucić? Albo Randall? Nawet wówczas, gdy byli młodszymi oficerami, mieli więcej rozumu niż ja.

Kiri zorientowała się, że postrzegał te szramy nie tylko jako smutną pamiątkę własnej głupoty, ale i piętno hańby. Objęła go obiema rękami w pasie i przytuliła się policzkiem do jego skatowanych pleców.

- Te blizny są przede wszystkim dowodem wielkiej niesprawiedliwości -powiedziała miękko. - Omal nie straciłeś życia z powodu zbrodni, której nie popełniłeś. To właśnie dlatego zabiegasz tak o to, by sprawiedliwości stało się zadość, prawda? To jedna z przyczyn, dla których współpracujesz z Kirklandem. Zmieniłeś się i stałeś lepszym człowiekiem.

Po dłuższej chwili odparł z wahaniem:

- No... chyba tak.

W dalszym ciągu Kiri obejmowała go, wsłuchując się w bicie jego serca, śledząc każdy wdech i wydech Damiana. Był taki silny, męski, pełen życia. A jednak mało brakowało, a zabiliby go, ona zaś nie miałaby pojęcia, ile straciła.

- Czy lepiej być mądrym od urodzenia - zastanawiał się głośno - czy też zmądrzeć po popełnieniu jakiegoś kolosalnego głupstwa?

Kiri rozważyła sprawę.

- Łatwiej od razu urodzić się mądrym. Moja siostra Lucia odziedziczyła po ojcu zdrowy rozsądek i zawsze była roztroptym dzieckiem. - W odróżnieniu od niej, Kiri. -Jednak jak spojrzeć na to z teologicznego punktu widzenia, to chyba warto zmagać się ze sobą i przemoc własną ułomność, żeby potem stać się kimś lepszym. - Roześmiała się nieoczekiwanie. -W każdym razie jest to z pewnością bardziej interesujące.

Mackenzie odwrócił się, przycisnął ją z całej siły do swojej piersi i ukrył twarz w jej włosach.

- Nie wątpię, że Lucia to śliczna i godna podziwu młoda dama. Śliczna z całą pewnością, jeśli choć trochę podobna do ciebie... Ale z pewnością nie tak urzekająca jak ty. I nie potrafiłaby zaprowadzić takiego ładu w moich myślach i wspomnieniach, jak ty to zrobiłaś dzięki swej inteligencji i piękności.

- Inni mężczyźni tak rzadko wspominają o mojej inteligencji, a już nigdy nie stawiają jej na pierwszym miejscu, przed pięknnością. Dlatego

właśnie jesteś dla mnie zbyt cenny, żebym cię mogła stracić - stwierdziła z wyraźną aprobatą w głosie. Nie był natomiast zbyt potężny, by mogła go objąć. Zachwycała się siłą jego szerokich ramion i muskularnym ciałem. Urzekła ją też sposób, w jaki Mac całował ją i pieścił; zupełnie jakby była największym cudem świata. Radowało ją niezmiernie także i to, że każda cząstka jej ciała reagowała na niego, pragnęła go przywabić, ulec mu, stopić się z nim.

Zręczne palce Damiana rozsznurowały gorset Kiri i rozmasowały ściśnięte nim boki. Jego ręce uniosły się ku jej piersiom. Delikatnie ugniatał poddające się jego pieszczocie ciało, okryte już tylko bawełnianą koszulką, drażnił kciukami sutki, aż Kiri z rozkoszy przeżyła grzbiet niczym kotka. Z trudem wysapała:

- Muszę... zajrzeć za parawan, przygotować się. Rozpal na kominku i... rozbierz się, dobrze?

Uśmiechnął się szeroko.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, moja królowo wojowniczo. Jakoś oderwała się od niego i nawet się nie obejrzała, wiedząc, że nie rozstałaby się z nim wówczas ani na minutkę.

Kiri - wieczna optymistka - przygotowała już wcześniej gąbkę i ocet. Wsuniecie tego środka zaradczego, gdzie należy, zajęło jej tylko chwilę. Nie była całkiem szczerą, przekonując Maca, że ich zażyłość nie będzie miała żadnych poważnych konsekwencji. Jego imię, wypisane ognistymi literami, pozostanie w jej sercu do końca życia. Uczyni jednak wszystko, co w jej mocy, by uniknąć niepożądanych skutków. Gdyby zaszła w ciążę, Mackenzie poczułby się zobowiązany do poślubienia jej - a ona wcale nie chciała męża zaciągniętego wbrew woli do ołtarza. Węgłe zagrzechotały - to Mac rozpalał ogień na kominku. Potem usłyszała szelest zrzucanego pośpiesznie ubrania i stuk butów, gdy je także ściągał. Ta możliwość śledzenia każdego jego ruchu była dla Kiri niezwykle podniecająca. Zdjęła rozsznurowany gorset, koszulę i pończochy. Zwijała każdą sztukę i przerzucała je po kolei nad parawanem.

- Wiesz, jak podsycać płomienie, co? - zauważył nie bez podziwu.

- Staram się, jak mogę.

W przystępie niepojętej, nagłej wstydlivości rozpuściła gęste, ciemne włosy i potrząsnęła głową, by opadły jej do pasa lśniącem płaszczem.

Odetchnąwszy głęboko, wyłoniła się zza parawanu. Powtarzano jej, że jest piękna, od czasów gdy byłajeszcze upartym dzieckiem. Teraz jednak czekał ją najtrudniejszy egzamin.

I wypadł bardzo pomyślnie, sądząc z wyrazu twarzy olśnionego Damiana.

- O, moja królowo - szepnął ledwo dosłyszalnie. - Jak możesz być zarazem niewinną Ewą z raju i kusicielką Afrodytą?

- Nie jestem ani jedną, ani drugą, choć miło mi, że tak sądzisz.

Jej oczy zwężyły się, gdy mierzyła wzrokiem każdy szczegół jego wspaniałej postaci - od gęstych, wijących się, dość ciemnych włosów, szerokich ramion i potężnej klatki piersiowej, po smukłe biodra i muskularne nogi. I, oczywiście, widomy dowód tego, jak bardzo Mac jej pragnął.

Mógłby służyć za model jakiemuś greckiemu rzeźbiarzowi, ale w swoim własnym, żywym ciele był znacznie bardziej ekscytujący.

- Ty też jesteś piękny, Damianie, choć na niewinnego nie wyglądasz.

- Z całą pewnością nie jestem niewinny. - Podeszedł do Kiri i wziął ją za rękę. - Tej nocy jednak wydaje mi się, że narodziłem się na nowo. Jakby to był mój pierwszy raz.

Splótł palce z jej palcami i położył sobie jej rękę na sercu.

Ten ruch sprawił, że zbliżyli się do siebie tak bardzo, iż dzieliło ich zaledwie parę cali. Kiri czuła ciepło jego ciała. Ich ręce okazały się podobnej barwy, ale Kiri cała była śniada, co kontrastowało z ścią angielską bledością jego torsu.

Podeszła jeszcze bliżej i przyłgnęła swym delikatnym ciałem do jego sprężystych mięśni i twardych kości.

Mężczyzna i kobieta, stworzeni dla siebie, objęli się ramionami i całowali, z rozkoszą poznając się nawzajem.

Trwało to jednak niezbyt długo - najwyżej tuzin sekund - i ta leniwa słodycz ustąpiła miejsca palącym igraszkom języków i żarliwym poszukiwaniom ciekawskich rąk, aż wreszcie namiętność wybuchła jak pożar lasu. Zdawało się, że sam czas pogania ich, by nie marnowali swej nagości, stojąc obok siebie, gdy znacznie lepiej mogą spożytkować ją na leżąc.

Zanim Kiri zdążyła się odezwać, Damian pochwycił ją na ręce. Jedno potężne ramię objęło jej zebra, drugim podtrzymał nagie biodra dziewczyny, sprawiając, że płynny ogień zagościł w najtajniejszych zakątkach jej ciała.

Układając Kiri na łóżku, Mac zdołał zsunąć przykrycie, tak że spoczęła na miękkich, spranych prześcieradłach. Próbowała przyciągnąć go do siebie, ale powstrzymał ją.

- Jestem wściekle głodny - stwierdził, wpatrując się w nią z natężeniem. -Zacznę więc ucztę jak należy, od przystawek, a nie od ostatniego dania.

Wzniósł się nad nią, wsparty na rękach, tak iż jego klatka piersiowa, uda i męskość dotykały jej tylko leciutko, nie wywołując groźnych erotycznych spieć. Lizał uszko Kiri, rewanżując się za jej wcześniejszą pieszczotę, a gdy zaczęła pojękiwać, usta Maca przeniosły się na jej szyję. Wierciła się pod nim, coraz bardziej i bardziej spragniona. Jego usta wędrowały w dół po jej ciele; ssał teraz piersi Kiri. Wczepiła się palcami w jego falujące włosy. Prawie nie zwracała uwagi na rękę, leniwie gładzącą jej udo, dopóki palce Maca nie wślizgnęły się do jej wilgotnego, wyraźnie stęsknionego wnętrza.

Kiri była już o włos od rozpadnięcia się na tysiące kawałków, a Mac okrywał drobniutkimi pocałunkami całe jej ciało. Badał językiem wgłębienie pępka, sunął wargami po brzuchu Kiri...

Boże miłosierny. Gdy z żarem i wprawą dotykał ustami i językiem najwrażliwszej grudki jej ciała, ukrytej między nogami, Kiri eksplodowała. Jej biodra poruszały się konwulsyjnie, jej paznokcie wbijały się niemal w czaszkę Maca. Stłumił jej krzyk, zakrywając jej ręką usta, gdy w cudownym obłąkaniu rozpadła się na drobniutkie cząsteczki.

Kiedy świadomość stopniowo zaczęła jej powracać, Mac uniósł się i wsunął między jej kolana. Wniknął w nią gładko i pewnie, jeśli nie liczyć sekundy opóźnienia: musiał pokonać niezrozumiałą przeszkodę tuż przed ich ostatecznym zespoleniem. Kiri otworzyła półprzytomne oczy i dostrzegła zaskoczenie na twarzy kochanka. Znikło ono natychmiast, gdy zakołysała biodrami, wciągając go głębiej w siebie, co wywołało dalsze niezwykle doznania.

Poruszenie się Kiri przyspieszyło też orgazm Maca, równie gwałtowny jak jej pierwsze szczytowanie. Przyczyniło się także do następnej kulminacji ich doznań. Mac jęczał, wbijając się w ukochaną raz za razem, póki nie osłabły ich równoczesne konwulsje. Kiri zacisnęła mocno powieki i upajała się bogatą gamą zapachów miłości, potem zaś niezmaconym spokojem, jaki nastąpił po burzy.

Marzyła o doskonałym spełnieniu, ale to, co dał jej Damian Mackenzie, przewyższało jej najśmielsze marzenia.

## 24

Wstrząśnięty do głębi Mac z trudem przewrócił się na bok, żeby nie przygnieść zbyt mocno Kiri. Nawet biorąc pod uwagę trzyletni celibat, taka namiętność i takie poczucie spełnienia, jakich zaznał, przekraczały jego najśmielsze fantazje.

Oboje opierali głowy na tej samej poduszce, co pozwalało Macowi podziwiać z bliska nieskazitelny profil Kiri. Serce mu się ścisnęło, gdy dostrzegł łzy, powoli wypływające spod jej zamkniętych powiek. Dobry Boże, czyżby popełnił jeszcze jeden niewybaczalny błąd, opacznie tłumacząc sobie zachowanie tej kobiety? Wydawało mu się, że pragnie zbliżenia równie silnie jak on, ale... Spytał z niepokojem:

- Co się stało, Kiri? Sprawilem ci ból?

To pytanie było wynikiem podejrzenia, jakie dręczyło go przed chwilą, zanim Kiri otworzyła oczy i obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Nie płaczę z bólu. To łzy radości.

- Bardzo mnie to cieszy, ale nawet takie łzy budzą pewien niepokój.

Oparł głowę na rękę i wpatrywał się w Kiri, okrywając ich oboje kołdrą. Ogień na kominku przygasł i w pokoju zrobiło się dość chłodno, gdy nieco ostygł trawiący ich żar.

Mac wrócił do poprzedniej myśli, która nie dawała mu spokoju. Z pewną podejrzliwością odezwał się znowu:

- Nie znam się zbyt dobrze na takich sprawach, ale przysięgłbym, że byłaś dziewicą. Zapewniałaś mnie jednak, że tak nie jest?

- Powiedziałałam, że nie jestem kompletnym niewiniątkiem. - Patrzyła mu prosto w oczy. - Ale, no cóż... ściśle rzecz biorąc, byłam chyba dziewicą.

- A niech to wszyscy diabli - wykrzyknął. Poczucie błogiego spokoju nagle go opuściło. - Gdybym wiedział, jakoś bym się opamiętał, zachował dystans... i nie wziąłbym takiego grzechu na sumienie.

- Właśnie dlatego trochę cię oszukałam, Damianie. Bardzo mi przykro, że nie byłam z tobą całkiem szczerą, ale nie żałuję absolutnie tego, co się stało.

Uśmiechnęła się do niego trochę niepewnie.

Oparł tonem, który stawał się coraz bardziej chłodny:



- Byłbym wdzięczny, gdybyś zechciała mi to wytłumaczyć. Z pewnością nie uwierzę, że zakochałaś się we mnie beznadziejnie, do szaleństwa, i postanowiłaś mnie uwieść, żebyśmy musieli się z tobą ożenić. Nie jestem aż tak dobrą partią.

Na jej twarzy odmalował się smutek.

- Wiem, że nie należysz do tych, co rwą się do żeniaczki. Aja, choć zwabiłam cię do swego łóżka, ani myślę podłym kłamstwem ciągnąć cię do ołtarza.

- Więc czemu to zrobiłaś? - spytał zdezorientowany. - W porywie namiętności? Owszem, to potężna siła. - Bywała rzeczywiście niewiarygodnie potężna, odbierała ludziom rozum. - Ale to mi nie pasuje do takiej zdecydowanej młodej damy, która dobrze wie, czego chce.

- To... skomplikowana sprawa. Spojrzenie Kiri przeniosło się na sufit.

- Wobec tego zechciej mnie oświecić, żebyśmy wiedzieli, czy jest się o co złościć, czy nie - odparł sucho.

- Mam nadzieję, że nie będziesz na mnie bardzo zły, choć masz do tego prawo. - W dalszym ciągu nie patrząc na niego, mówiła dalej: - Kiedy jeszcze byłam w Indiach, zakochałam się w jednym z młodych oficerów, podkomendnych mojego ojca. Była to pierwsza miłość, gorąca, zbijająca z nóg... Charles, będąc człowiekiem honoru, przysiągł, że mnie nie zhańbi, ale byliśmy tacy młodzi, tak rozpaczliwie w sobie zakochani... Spotykaliśmy się sam na sam, kiedy tylko było to możliwe.

Bezradność, malująca się na twarzy Kiri, tak bardzo różniła się od jej zwykłej, beztrioskiej pewności siebie.

Domyślając się już, do czego ta opowieść zmierza, powiedział cicho:

- I wypróbowaliście we dwoje wszelkie możliwe sposoby zaspokajania swej namiętności, nie posuwając się do ostatecznego spełnienia?

Przytaknęła i przygryzła mocno wargę.

- To było cudowne, upajające!

- A potem on... rozmyślił się?

Mackenzie miał nadzieję, że ów Charles nie porzucił Kiri ze względu na jej hinduską krew. Jeśli rzeczywiście tak było, doścignie tego szubrawca choćby na końcu świata - i skręci mu kark.

Zaśmiała się niewesoło.

- Wolalabym, żeby tak było. Ale ten przeklęty głuptas stracił życie. Był ze swoimi ludźmi na patrolu w górach, wspinali się wąską ścieżką po

zboczu... i nagle grunt usunął się im spod nóg. Połowa żołnierzy wpadła do rwącej rzeki, która płynęła w dole. Charles był wspaniałym pływakiem, więc skakał do wody raz za razem. I udało mu się uratować wszystkich... prócz jednego. Kiedy płynął na ratunek temu ostatniemu, opadł całkiem z sił i po prostu nie przeżył tego.

- Mój Boże - powiedział cicho Mackenzie. - Tak mi przykro. Ale dobry oficer troszczy się o swoich żołnierzy, a twój Charles był nim bez wątpienia. Zginął jak bohater.

- Wiem. - Zdołała jakoś powstrzymać łzy. - Ale wolałabym, żeby to szczytne poczucie obowiązku nie zabiło go. Mac przygarnął ją do siebie.

- Nie wydaje mi się jednak, moja kochana dziewczuszko, żeby pójście do łóżka z kimś, kogo nie kochasz, rozwiązało sprawę. Bardzo żałuję, że nie okazałem się właściwym lekarstwem.

- Ależ tak, okazałeś się. - Podniosła na niego oczy; ich twarze znajdowały się bardzo blisko siebie. - Kiedy straciłam Charlesa, miałam taką pustkę w sercu... Czulałam taki gniew. Żałowałam, że nie zostaliśmy naprawdę kochankami. Miałabym przynajmniej to.

- Przecież ja nie jestem Charlesem. Wcale go nie przypominam. - Uśmiechnął się krzywo. - Heroizm nie należy do listy moich cnót, bardzo zresztą ograniczonej. Nie miałbym też wcale ochoty zostać marną namiastką Charlesa.

Kiri pospiesznie pokręciła głową

- Wcale nie o to chodzi. Naprawdę jesteście zupełnie do siebie niepodobni, ale potrafisz mnie rozśmieszyć tak samo jak on. - Zmarszczyła brwi. - I... pragnę cię, jak nigdy nikogo nie pragnęłam od śmierci Charlesa. Może nawet pragnę cię bardziej niż jego - choć to może się wydawać brakiem lojalności.

Trudno się dłużej irytować, gdy niezwykle piękna młoda kobieta wyznaje coś podobnego.

- Teraz już wiesz, co was ominęło, ciebie i Charlesa. - Mac powiedział to całkiem miękko. - Chociaż będąc z Charlesem czułabyś równocześnie i pożądanie, i prawdziwą miłość, a to by dodało waszym przeżyciom niezwyklej głębi.

- Pewnie masz rację, ale minęło sporo czasu od śmierci Charlesa. Nie jestem już tą młodziutką dziewczyną, którą byłam wówczas. W każdym

razie, po dzisiejszej nocy mogę wreszcie pogodzić się z tamtą ogromną stratą. - Powiodła ręką po piersi Damiana. - Ty i ja będziemy teraz razem, jak długo się da, a potem pójdziemy każde swoją drogą. A gdy już będę stateczną starą damą, wspomnę czasem o tobie z tęsknym uśmiechem i z pewnością nie będę miała wyrzutów sumienia z twego powodu. Mac roześmiał się.

- Nigdy nie będziesz stateczną damą, Kiri.

- Jeśli nie mogę być stateczną, zostanę ekscentryczną starą damą -odparła ze spokojem. -I będę hodowała koty, takie jak ten, który właśnie się zmaterializował w nogach łóżka.

Mackenzie popatrzył w tamtą stronę - i rzeczywiście ujrzał burego kota zwiniętego w kłębek. Kot miał taką minę, jakby im towarzyszył przez całą noc.

- Skąd on się tam wziął, u licha?

- Nie jestem pewna. Mam wrażenie, że spryciarz odkrył jakiś sekretny sposób wchodzenia do tego pokoju i opuszczania go.

Mac pokręcił głową.

- Coś mi się zdaje, że ekscentryczna to ty już jesteś, ale nic nie szkodzi. Arystokraci mogą sobie pozwolić na znacznie większe dziwactwa niż my, prości ludzie. - Usiadł na łóżku i poczuł na skórze chłodny powiew, jako że kołdra opadła. - Nie zdołam odrobić tego, co się właśnie stało), ale jestem w stanie dopilnować, żeby się to nie powtórzyło. Nie czujesz już pustki w sercu, możesz więc spokojnie poszukać mężczyzny bardziej ciebie godnego, gdy wrócisz do swojego dawnego życia.

Pogładziła go po udzie.

- Jak słusznie zauważyłeś, nie da się odrobić czegoś, co już się stało. Po cóż więc mielibyśmy odmawiać sobie tego, czego oboje pragniemy? Możemy jeszcze przeżyć dwa, albo i więcej tygodni wspólnej radości. Czy nie żałowałbyś potem, gdybyś okazał się teraz nazbyt szlachetny?

- Żałowałbym - odparł stanowczo. - Lepiej jednak żałować, niż zachować się jak ostatni łajdak.

Już miał wstać z łóżka, gdy łapka Kiri przemknęła po jego udzie. Najwyraźniej miała zakusy na jego męskość. Mac skamieniał. Chwilę przedtem przysiągłby, że jest kompletnie wyczerpany i niezdolny do jakichkolwiek erotycznych wyczynów przez co najmniej kilka godzin.

I nie miałby racji.

- Kiri - wymamrotał bezradnie, niezdolny do myślenia, niepewny już, co jest słuszne, a co niesłuszne. - Ilekroć jesteście razem, zwiększa się ryzyko, że skrzywdzimy się nawzajem.

- Nic podobnego. Wcale się nie skrzywdzimy.

Czując, co się z nim dzieje pod dotykiem jej ręki, przyciągnęła kochanka do siebie, żeby go pocałować.

Prawie już świtało, gdy Mac wrócił do swego pokoju.

Tego wieczora pani Powell popisała się znakomitym udźcem baraninami i kartofelkami zapiekanyymi z serem. Mac skupił całą uwagę na jedzeniu; obawiał się choćby zerknąć na Kiri, żeby nie wyczytała z jego twarzy Bóg wie czego. A ona siedziała po drugiej stronie stołu i również nie patrzyła na Damiana. W nim zaś nadal rozsądek zmagał się z pożądaniem. Te wielkie zielone oczy Kiri były takie przekonujące, gdy zapewniała go, że pozostając w dalszym ciągu jego kochanką, nie skompromituje się bardziej, niż uczyniła to, spędzając z nim ubiegłą noc. Wszystkie szlachetniejsze instynkty Maca wołały wielkim głosem, że nie powinien już nigdy dotykać tej dziewczyny - a jednak Kiri zdołała osłabić jego siłę woli, co nie udało się dotąd żadnej kobiecie.

Musi odzyskać kontrolę nad samym sobą, nim wydarzy się coś jeszcze bardziej niepokojącego. Dobry Boże, co by powiedziała lady Agnes, dowiedziawszy się, że on, Mac, sypia z siostrą Ashtona? Wzdrygnął się *na* samą myśl o tym.

Wszedł Kirkland, zmizerowany i nieludzko zmęczony. Nie protestował, gdy Cassie postawiła przed nim kopiasty talerz i pełny kieliszek.

- Mac, po otrzymaniu wiadomości od ciebie zadbałem o to, by miano odtąd na oku Swinnertona. Cassie, czy dowiedzieliście się z Robem czegoś interesującego?

Skinęła głową.

- Zidentyfikowaliśmy tego zastrzelonego boksera. To był zawodowy pięściarz z Dublina, występował jako Ruffian O'Rourke. Przybył do Londynu z nadzieją na sławę i fortunę, ale okazało się, że nie jest aż tak dobry, by je zdobyć. Zniżył więc loty i wynajmował się ostatnio do niezbyt czystych robótek.

Kirkland skrzywił się.

- W takim razie pora zająć się pogrzebem Maca. Gdyby odbył się w Londynie, zjawiłoby się na nim zbyt wielu ciekawskich. A to mogłoby

nam skomplikować sprawy, w chwili gdy Mac wróci do życia. Zamieszczę więc notatkę w prasie, że pogrzeb odbędzie się w wąskim gronie przyjaciół poza Londynem. Ciało tego O'Rourke'a odeślemy do Dublina, gdzie można go będzie pochować pod jego własnym nazwiskiem.

- Napisałeś do Willa? - dopytywał się Mac.

To, że obcy ludzie uważają go za nieboszczyka, niewiele go obchodziło, ale Will to co innego. Will był całą jego rodziną.

- Napisałem zaraz po twojej rzekomej śmierci - zapewnił go Kirkland. - Powinien dostać mój list, zanim którakolwiek z londyńskich gazet dotrze do Hiszpanii. - Spojrzał na Cassie i Carmichaela. - Dowiedzieliście się od znajomków O'Rourke'a czegoś, co nam pomoże dotrzeć do reszty porwaczy?

- Za dzień lub dwa powinniśmy wywęszyć coś więcej - odparł Car-michael.

Kirkland kiwnął głową i rozmowa przybrała ogólny charakter. Kiedy obiad dobiegł końca i agenci rozchodzili się już do swoich pokojów, żeby się przygotować na kolejny pracowity wieczór, Kirkland odezwał się znowu:

- Mackenzie, możesz zostać jeszcze chwilę? Muszę z tobą pomówić. Już sam fakt, że Kirkland zwrócił się do niego oficjalnie, po nazwisku,

nie wróżył nic dobrego. Mac został, oczywiście, ale miał się na baczności. Zastanawiał się, co takiego Kirkland ma mu do powiedzenia w cztery oczy?

Szkot zaczekał, aż drzwi jadalni zamknęły się wreszcie i zostali sami, po czym zauważył uszczypliwym tonem:

- Mam nadzieję, że nie będę musiał gęsto się tłumaczyć przed Ash-tonem, że to przez moje niedopatrzenie uwiodłeś mu siostrę.

Mac. poczuł, że cała krew odpływa mu z twarzy.

- Skąd ci przyszło do głowy coś podobnego?

- Nie jestem głupi - odparł zwięźle Kirkland. - Ciągnie was do siebie, ślepy by to zobaczył, a zadanie, które wam powierzono, jeszcze was do siebie zbliża. Lady Kiri to niewinna dziewczyna, nic więc dziwnego, że wpadł jej w oko taki zuchwały łotrzyk, ale ty, do wszystkich diabłów, powinieneś mieć więcej rozumu i nie bawić się w zalecanki.

Jeśli Kirkland uważał Kiri za wcielenie niewinności, to najwyraźniej niewiele o niej wiedział. I nie miał pojęcia, co się wydarzyło ostatniej nocy. Bogu dzięki. Kirkland zazwyczaj wiedział o wszystkim.

- Dobrze wiem, jaka jest lady Kiri - odparował Mac. - A gdybyśmy naprawdę mieli wzgląd na jej młodość i pozycję, nie pozwolilibyśmy jej uczestniczyć w tym śledztwie.

Kirkland zacisnął usta.

- Bardzo żałuję, że okazało się to konieczne.

- Niemniej jednak wyraziłeś zgodę na jej udział w dochodzeniu -dowodził Mac. - Zbytne poczucie obowiązku nieraz nas zmusza do podejmowania niełatwych decyzji. Szczerze mówiąc, rad jestem, że to nie ja musiałem decydować o tym, czy wykorzystać niezwykle, godne ogara talenty lady Kiri, czy pozostawić ją w jej bezpiecznym świecie. Nie zrzucaj więc na mnie winy za to, że ona tu jest.

- To nie była łatwa decyzja, ale gramy o wyjątkowo wysoką stawkę. Po oczach Kirklanda można było poznać, jak bardzo jest znużony.

Podejmował stanowczo zbyt wiele trudnych decyzji przez te wszystkie lata tajnej służby.

Jednak współczucie Maca znacznie osłabło, gdy Kirkland dodał:

- Ogranicz swoje zapędy uwodzicielskie do lepiej znających świat by-walczyń Klubu Damiana. Powrócisz tam za kilka tygodni. Możesz chyba obejść się przez ten czas bez kobiety?

Nawet gdyby Mac nie przeżył kilku lat w celibacie, ta uwaga doprowadziłaby do wybuchu.

- Nie każdemu odpowiada życie braciszka zakonnego - warknął. Na twarzy Kirklanda nie drgnął ani jeden mięsień; nie uległo jednak

wątpliwości, że ogarnął go wściekły gniew.

Mac dał sobie w duchu potężnego kopa za tę aluzję do przeszłości, o której nikt nie ośmielał się wspomnieć.

Powiedział ze skruchą:

- Przepraszam. To była niestosowna uwaga.

- Bardzo łagodne określenie - burknął Kirkland.

- Miejże choć trochę zaufania do lady Kiri, ona z pewnością wie, czego chce. - Mac starał się mówić ugodowym tonem. - To inteligentna, znająca dobrze świat kobieta. I nie taka znów młodziutka. Większość jej rówieśniczekjestjuż mężata i dzieciata.

- Wiem, że masz słusność - westchnął Kirkland - ale lady Kiri to nie tylko odważna młoda kobieta. Ona jest jedyna w swoim rodzaju.

- Jak najbardziej. - Myśląc o tym, co wydarzyło się ostatniej nocy, Mac kontynuował: - Jeśli cię to choć trochę uspokoï, daję słowo, że nie

będę jej uwodził. - Mam szczerzy zamiar jej bronić, a nie działać na jej zgubę.

Kirkland znalazł swój kapelusz i zbierał się do wyjścia.

- Wybacz, że nie okazałem ci zaufania. Powinienem być rozsądniejszy, ale to dla mnie wyjątkowo ciężki tydzień.

- Dla każdego z nas. Jeśli to wszystko, co miałaś mi do powiedzenia, lepiej, żebym się już udał do siebie. Czeka mnie wyprawa do kolejnych jaskiń gry w towarzystwie wspomnianej przez nas damy.

Kirkland skinął głową i Mac opuścił pokój. Został z rozmysłem wprowadzony w błąd poprzedniej nocy, gdy Kiri tak dobierała słówka, by sugerowały coś niezgodnego z prawdą. Kłamstwo w intencji, nawet jeśli nie w ścisłym znaczeniu tego słowa. A teraz on sam zachowuje się identycznie w stosunku do Kirklanda. Mac nie szukał dla siebie usprawiedliwienia. Ubiegłej nocy uległ rozkoszom czarom Kiri; nie mógł jednak pozwolić, by to się powtórzyło. Doskonale wiedział, jak winien postąpić. Nie był tylko pewny, czy zdoła tego dokonać.

## 25

Idąc z Cassie schodami na górę, Kiri zwróciła się do niej:

- Wybieramy się dziś z Mackenzie do jakiejś tam madame Blanche. Mac powiedział, że powinnam cię poprosić o pomoc przy ubieraniu się i charakteryzacji. Czy mam się wystoić jak ładacznicą, czy jak dama?

Cassie zastanowiła się.

- Raczej jak dama. U Blanche jest trochę tak jak w Klubie Damiana: schodzą się tam ludzie z wielkiego świata, którzy szukają bardziej wyrafinowanych przyjemności. Całkiem możliwe, że spotkasz tam swego znajomego, który używa wody kolońskiej Alejandro, a jeszcze bardziej prawdopodobne, że rozpoznasz tam kogoś, z kim zetknęłaś się w eleganckim towarzystwie.

- Przebywam w Anglii dopiero od wiosny i nie jestem tu ogólnie znana.

- Ale twoja oryginalna uroda rzuca się w oczy. Postaramy się nadać ci bardziej pospolity wygląd. Wezmę ze swego pokoju to i owo do

charakteryzacji i spotkamy się u ciebie. - Skręcając w stronę swojej sypialni, Cassie dodała jeszcze: - Włóż tę złotą suknię. Jest bardziej nobliwa od tamtej zielonej.

- Nie tak znów bardzo. Agentka uśmiechnęła się szeroko.

- Powiedzmy... nobliwa na miarę Madame Blanche. A teraz zrób sama, co tylko możesz, żeby nikt nie domyślił się od razu, że jesteś córką księcia.

Złocista suknia wieczorowa nie miała aż tak głębokiego dekoltu jak zielona jedwabna, ale bez wątpienia nie był to strój odpowiedni dla młodej panienki. Kiri bardzo to cieszyło: nie znosiła cnotliwych białych muślinów.

Cassie zjawiała się w samą porę, by pomóc Kiri przy wkładaniu złotej toalety.

- Wyglądasz w tej sukni na starszą niż jesteś i bardziej obytą w świecie. Tym lepiej - mówiła do Kiri, zawiązując jej szarfę. - Warto zmienić też barwę włosów. Przyda ci się peruka; przyniosłam dwie do wyboru.

Podniosła obie do góry: jedna miała dość ciemne włosy, przetykane delikatną siwizną, druga była ciemnoblond, z krótko przystrzyżonymi loczkami.

- Wolę tę. - Kiri wzięła do ręki kędzierzawą perukę. - Zawsze się zastanawiałam, czy byłoby mi do twarzy z krótkimi włosami.

- Nikt, mając włosy takie jak ty, nie obcinałby ich. Ale teraz musisz upiąć je bardzo ciasno, żeby weszła na nie peruka.

I Cassie wyjęła całą garść szpilek do włosów.

Kiedy czarne pukle-Kiri znikły już pod peruką, a ta trzymała się jak należy, Cassie zapowiedziała:

- Upudruję ci teraz twarz, bardzo mocno. To rozjaśni ci cerę i będzie pasowało do peruki. A poza tym doda ci tyle lat, że każdy pomyśli: „Podstarzała baranina udaje jagniątko”.

- Choć w rzeczywistości jestem jagniątkiem, które chce koniecznie wyglądać na łykowatą baraninę. - Kiri przyklepała swoje loczki. - Nawet mam kędzierzawe runo, jak przystało na jagniątko.

Cassie otworzyła kasetkę z kosmetykami i zabrała się do roboty. Kiedy była już zadowolona ze swego dzieła, poleciała Kiri:

- Przejrzyj się w lustrze.

Kiri posłuchała... i zdumiała się bezgranicznie. Nie poznała siebie samej w tej bladolicej Angielce. W dodatku Cassie wyrysowała ciemne kreski wokół jej ust i w kącikach oczu, po czym przypudrowała je obfi-



cie. Wyglądało to jak autentyczne zmarszczki, niezręcznie zamaskowane kosmetykami. Cassie zrobiła też coś z oczyma Kiri, nie były już tak intensywnie zielone.

- Postarzałam się o dobre dziesięć lat i wyglądam na rdzenną Angielkę. Rodzona matka chyba by mnie nie poznała. Cassie pokiwała głową z zadowoleniem.

- O to mi właśnie chodziło.

Kiri otworzyła swoją kasetę z perfumami i wyjęła jedną z fiolek.

- Oto mój skromny przyczynek do dzieła, mającego odmienić mnie całkowicie: ten zapach jest bardzo lekki, kwiatowy, niczym nie przypomina perfum, których zwykle używam. Rozpoznajemy ludzi także po zapachu, choć nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę.

Uperfumowała się, po czym podała fiolkę Cassie. Agentka pociągnęła nosem i orzekła:

- Bardzo przyjemny zapach i pasuje do tych loczków. Rozumiem, co miałaś na myśli, Kiri: pachniesz jak ktoś całkiem inny. - Dotknęła nieśmiało innych fiolek. - Nie zdawałam sobie sprawy, jak mało wiem o zapachach.

Kiri odczytała bezbłędnie tęskną nutkę w głosie Cassie i podała jej jedną z buteleczek, zawierających gotowe już perfumy.

- Spróbuj tych. Może będą ci odpowiadały.

Była to skomplikowana kompozycja; podstawę jej stanowił *frangtpant*, wzbogacony ciemniejszą, bardziej intensywną wonią cedru i orientального kadzidla, które zdawały się podkreślać tajemnicze głębie charakteru osoby, używającej tych perfum. Cassie powąchała - i twarz jej się od razu rozjaśniła.

- Fantastyczne. Mogę się poperfumować?

- Możesz wziąć całą buteleczkę, jeśli chcesz. Nazwałam te perfumy Pieśnią lasu.

- Są cudowne. -1 Cassie wtarła w szyję odrobinę Pieśni lasu. - Przypominają mi... - Jej twarz straciła nagle wszelki wyraz. - Bardzo dziękuję, Kiri, za tak cenny dar.

- Z przyjemnością przygotuję kompozycję specjalnie dla ciebie - obiecała Kiri.

- Może kiedyś, ale najpierw musimy ocalić Anglię. W głosie Cassie zabrzmiała nutka autoironii.

Wzmianka o tym, że los całego narodu może spoczywać w jej niedoświadczonych rękach, a choćby nawet zależeć od jej niezwykle czulego powonienia, podziałała na Kiri jak przysłowiowy kubel zimnej wody.

- Jeśli o mnie chodzi, to mogę się wam przydać tylko dlatego, że niechcący byłam świadkiem porwania. To ty, Cassie, i pozostali agenci jesteście prawdziwymi bohaterami, choćby nawet wasz trud nie miał nigdy wyjść na jaw.
- Działalność agentów wywiadu nie jest taka romantyczna, jak ci się zdaje. - Cassie skrzywiła się lekko. - To zawsze ciężka, a nieraz i brudna robota. Z gatunku tych, co odzierają bezlitośnie z młodości i wszelkich złudzeń.
- To samo można by powiedzieć o harówce kuchennego popychadła, ale wam przyświeca przecież szczytny cel. - Kiri przerzuciła płaszcz przez ramię. - Pora już iść. Pomyślnych łowów.
- I nawzajem.

Kiri zeszła na parter i skierowała się do frontowego salonu, w którym mieli się spotkać z Mackenzie. Otworzyła drzwi... i ujrzała zmęczonego życiem, sędziwego dżentelmena, który siedząc przy kominku, czytał gazetę.

Wiedząc już z doświadczenia, że nie należy żadnej z osób spotkanych w tym domu oceniać po pozorach, Kiri zwróciła się żywo do staruszka:

- Czy to pan będzie mi towarzyszył dziś wieczorem, szanowny panie? Mówiono mi, że zaprowadzi mnie do domu madame Blanche przystojny, dziarski młody człowiek... Wygląda na to, że zostałam wprowadzona w błąd.
- Mac zerknął na nią-znad gazety i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- A mnie powiadomiono, że mam towarzyszyć wyjątkowo uroczej młodej dziewczusce - odparł chrapliwym, starym głosem. - Może ją aścka spotkałaś na górze? Wysoka, ciemnowłosa i bardzo elegancka.

- Nigdzie nie widziałam takiej dziewczyny - zapewniła Kiri afektowanym głosem, przyglądając się z podziwem przebraniu Maca.

Odłożył gazetę i wstał. Włosy miał niemal całkiem siwe, plecy zgarbione. Tym razem nie zakrył oka opaską, ale nosił ciemne okulary, tak że jego tęczęwki „nie do pary” nie rzucały się w oczy. A na dodatek opierał się ciężko na lasce. Wracając do swego zwykłego sposobu mówienia, Kiri zauważyła:

- Wezmą mnie za twoją córkę.
- O ile nie rozpoznają któregoś z nas. - Odebrał od Kiri płaszcz i narzucił go jej na ramiona. - Poświęci się pani dla

starego człowieka i podaruje mu jeden niezapomniany wieczór?

- Tylko pod warunkiem, że nie umrze pan na atak serca, zanim ów szalony wieczór dobiegnie końca.

Wzięła go pod ramię i opuścili salon. Jej dotychczasowe, jakże przyzwoite życie nigdy nie było równie ekscytujące jak to.

Kiri przekonała się ze zdumieniem, że ekskluzywny salon gier madame Blanche znajduje się na obrzeżach modnej dzielnicy Mayfair. Gdy wchodzili po frontowych schodach, Mackenzie poinformował ją dyskretnym szeptem:

- Madame Blanche jest wdową, która po śmierci męża musiała sama zatroszczyć się o siebie i swoje dzieci. Udało się jej to znacznie lepiej niż jej nieodżałowanemu małżonkowi. Stali bywalcy Klubu Damiana często zjawiają się także u niej; dlatego właśnie zadałem sobie tyle trudu, by zmienić swój wygląd. A i ty możesz tutaj spotkać wielu znajomych swojej rodziny.

- Jeśli nawet tak będzie, z pewnością nikt mnie nie pozna - odparła płaskim głosem, z wyraźnym akcentem mieszkanki Midlands. - Ale z tego, co mówisz, wnoszę, że znasz tę damę całkiem dobrze. Czy ona cię nie rozpozna?

- Być może... Jeśli nawet tak się stanie, z pewnością nie zrobi na ten temat najmniejszej uwagi. Madame Blanche to uosobienie dyskrecji.

Zastukał do drzwi masywną kołatką. Otworzył im lokaj, który niemal niezauważalnie zainkasował opłatę za wstęp i zabrał płaszcz Kiri oraz paltot Mackenziego. Gdy wkroczyli do wielkiej sali, pełnej roześmianych i rozgadanych gości, wyszła im na spotkanie madame Blanche.

Właścicielka domu gry była damą w nieokreślonym wieku i odznaczała się bystrym wzrokiem, który - jak Kiri już się zorientowała - był cechą charakterystyczną przedstawicieli tej profesji. Witając się z nowo przybyłymi, madame Blanche spojrzała z uwagą na Mackenziego i w jej oczach coś błysnęło, choć twarz nie zmieniła wyrazu.

Potraktowała oboje jak nowych klientów: wyjaśniła, na jakie rozrywki mogą tu liczyć, i życzyła im dobrej zabawy. Pomaszerowali więc dalej. Mac jedną rękę zacisnął mocno na lasce, na jego drugim ramieniu wspierała się Kiri.

- Całe szczęście, że madame Blanche jest taka dyskretna - zauważyła szeptem.

- Istotnie - odparł równie cicho, po czym spytał już głośniejszym głosem: - Może rozejrzemy się dokoła, moja droga, nim zdecydujemy się, w co zagramy?

- Doskonale. Tak tu ładnie.

Rzucił jej zza okularów rozbawione spojrzenie i wyruszyli na zwiedzanie domu madame Blanche. Wśród jej gości było prawie tyle kobiet co mężczyzn i panował taki gwar, że Kiri i Mac - ścisząc nieco głos - mogli swobodnie rozmawiać, bez obawy, że ktoś ich podsłucha.

Kiri udawało się bez trudu zbliżyć na tyle do innych gości, by zidentyfikować gatunek perfum lub wody kolońskiej, której używali. Kilka osób spojrzało w jej stronę, ale niewiele. W ich wzroku było też znacznie mniej zainteresowania niż wówczas, gdy Kiri nie nosiła przebrania. Stwierdziła więc, że stała się kimś nie rzucającym się na szczęście w oczy.

Kiedy jednak wkroczyli do pierwszego pokoju karcianego, dotarł do Kiri zapach Alejandra. Natychmiast obudziło to jej czujność. Woda kolońska pachniała nieco inaczej niż na poszukiwanym przez nich człowieku, Kiri jednak podeszła do stołu, przy którym z całą pewnością siedziała osoba spryskana tą wodą. Starając się okazywać jak najmniej inteligencji, zagadnęła swego towarzysza:

- W co oni grają, mój drogi?

- W bakarata. To taka francuska gra. Chcesz spróbować?

Mac mówił pobłażliwym tonem mężczyzny, który wie, że jego kobietka nie grzeszy rozumem, i któremu całkiem to odpowiada.

- Och, nie. Tak tylko pytałam. I Kiri ruszyła dalej.

Gdy oddalili się nieco, Mackenzie spytał:

- Co wyniuchałaś?

- Alejandro, ale na całkiem niewłaściwej osobie. - Kiri wzruszyła ramionami. - Ta siwa dama tak się uperfumowała. Ostatecznie, żadne prawo nie zabrania kobiecie używać wody kolońskiej dla panów.

Zatrzepotała rękami, mizdrząc się do Maca.

- Moglibyśmy popatrzeć na tańce?

- Niech będzie. - Westchnął. - Przykro mi, ale jestem już za stary na pąsy, dziewczuszko.

- Nic nie szkodzi.

Niestety, nie była to prawda. Kiri uświadomiła to sobie z przykrością, gdy weszli na salę balową. Przyłapała się na tym, że wymachuje dłonią

w takt muzyki. Jaka szkoda, że nie mogą przyłączyć się z Mackenzie do kadryła. Kto wie, czy będą mieli jeszcze kiedyś taką okazję? Biorąc jednak pod uwagę rzekome starcze niedołęstwo jej towarzysza, musieli, chcąc nie chcąc, trzymać się z dala od parkietu.

Okrażali zatem wolnym kroczkiem salę, trzymając się blisko ściany i nie wchodząc w drogę tanecznikom.

Większość z nich była stosunkowo młoda i poruszała się z energią, ale znajdowało się wśród tańczących kilka par w starszym wieku. Przyglądając się takiej siwowłosej parze, Kiri zastanawiała się, jakby to było, gdyby oboje mieli już tyle lat, a mimo to nadal tańczyli ze sobą?

Tylko że jej i Maca nie czekała podobna przyszłość. Należeli do dwóch różnych światów, a Mac w dodatku zaliczał się do zatwardziałych kawalerów. W tej chwili jednak miała go przy sobie. I to musiało jej wystarczyć.

Obeszli już do połowy salę balową, gdy Kiri nagle coś poczuła i zeszywniała. Mac zauważył to i spytał cicho:

- O co chodzi?

- O tych mężczyzn, których właśnie minęliśmy - wyjaśniła szeptem. - Cofnijmy się o kilka kroków i zatrzymajmy się, dobrze?

Raz jeszcze, bardzo uważnie, wciągnęła interesujący ją zapach w nozdrza. Obserwowała przy tym grupę mężczyzn kątem oka. Gdy była już pewna swego, wzięła znów Mackenziego pod rękę i podjęli przerwana przechadzkę.

Gdy oddalili się na bezpieczną odległość, Mac spytał:

- Możesz teraz powiedzieć coś bliższego? Kiri zmarszczyła czoło.

- Jeden z tych mężczyzn pachniał Alejandrem. Niemal identycznie jak tamten, którego szukamy, a jednak coś nie tak. Jest zresztą za niski. To ten w granatowym surducie, odwrócony plecami do tańczących.

- Znam go - mruknął Mackenzie. - To lord Fendall. Znajduje się na naszej liście podejrzanych. To stały bywalec Damiana, przyjaciel Baptiste'a, zarządcy mojego klubu. Nie wiem jednak zbyt wiele o Fendallu, poza tym że lubi się hazardować i na przemian to wygrywa, to przegrywa wielkie sumy. To Kirkland nalegał, by znalazł się na tej liście. Nie bardzo wiem czemu.

- Jeśli to przyjaciel twojego zarządzającego, może dobrze znać wszystkie wyjścia i korytarze w klubie - rozważała Kiri - ale na wodza porywaczy jest stanowczo za niski. I zbyt szeroki w barach.

- No cóż, lepiej mieć go na oku, podobnie jak Ruperta Swinnertona. To trochę za wiele zbiegów okoliczności. — Mackenzie zmarszczył brwi. — Czy indywidualny zapach jakiejś osoby może ulegać fluktuacji? Czasem być taki, jaki zapamiętałaś, a czasem inny?

Kiri zawahała się.

- Być może... Ale Fendall jest za niski - i wyższy już nie będzie. A poza tym, jakoś mi nie pasuje. Nie sądzę, żeby był jednym z porywaczy. Ale może, oczywiście, należeć do spisku.

- Kłopot z tym, że jako nieboszczyk nie mogę spytać Baptiste'a o Fen-dalla - mruknął Mac. - Będzie to musiał zrobić Kirkland.

- Wygląda na to, że robimy postępy, więc nie będziesz już zbyt długo nieboszczykiem.

Mackenzieму najwyraźniej to odpowiadało, ale Kiri znacznie mniej, gdyż musiałaby niebawem wrócić do normalnego życia. A pobyt na wsi wydawał się jej nudny w porównaniu z tym, co się działo teraz.

Tak wiele osób przewinęło się przez dom madame Blanche, że dopiero po północy Kiri udało się „sprawdzić nosem” resztę gości. Nie znalazła zresztą innych podejrzanych.

Opuszczali ten dom wraz z wieloma grupami i grupkami gości... i nagle wrażliwy nos Kiri wyczuł jeden z zapachów, których zajadle poszukiwała. Była to woń czosnku, czegoś nieuchwytnie francuskiego i jakiegoś pach-nidła, którego nazwa wyleciała jej z pamięci.

Kiri wbiła paznokcie w ramię Mackenziego, gdy schodzili frontowymi schodami na ulicę. Oczy jej biegały w różne strony, starając się zlokalizować źródło tego zapachu. Mac spytał cicho:

- Kto?

Oczy Kiri zatrzymały się na szerokich barkach samotnego mężczyzny, który był już na ulicy.

- To on - szepnęła Kiri. - Pachnie identycznie jak tamten Francuz w Klubie Damiana.

- To chyba Paul Clement, też z listy podejrzanych. Doskonale się składa: zmierza w stronę, gdzie czeka nasz powóz. Choć Mac nadal wspierał się na lasce, wyraźnie przyspieszył kroku. Poruszając się całkiem żwawo, minęli powóz i szli dalej. Kiri spostrzegła,

że ich woźnica wyraźnie się ożywił, ujrawszy, że idą krok w krok za podejrzanym i skręcają w pustą boczną ulicę.

- Ja do niego zagadam - rzuciła Kiri szeptem i zaraz potem odezwała się głośno: - Proszę pana. Proszę pana. Czy my się już nie znamy? Zdaje się, w Almack's?

Idący przed nią mężczyzna zawahał się, ale zaraz potem odwrócił. Odezwał się taktownie w płynnej angielszczyźnie, acz z wyraźnym francuskim akcentem:

- Nie sądzę, żebym miał tę przyjemność, madame. - Skłonił się zgrabnie. - Z pewnością nie zapomnielibym tak uroczej damy. A teraz proszę mi wybaczyć, ale...

Tym razem znaleźli się tak blisko, że Kiri z łatwością wyczuła jego zapach. To z pewnością on. W dodatku miał bliznę na lewym policzku. Niezbyt wysoki i ubrany raczej nieciekawie, nie wyglądał wcale na groźnego międzynarodowego szpiega. Ale Kiri wiedziała już, że dla agentów najcenniejszą zaletą był niepozorny wygląd.

- To on - powiedziała do Maca. - Bez wątplenia.

Francuz zauważył nieustępliwy ton jej głosu i przystąpił błyskawicznie do działania. Wyciągnął z zanadru pistolet i odbezpieczył go.

- Nie wiem, za kogo mnie bierzecie, ale zapewniam: nie jestem nikim ważnym. A jeśli chcecie mnie ograbić, lepiej poszukajcie łatwiejszej zdobyczy. Strzelę bez wahania, uprzedzam.

Zanim Clement skończył mówić, Mackenzie zamachnął się swoją laską jak maczugą. Obciążony ołowiem koniec laski uderzył w rękę Francuza, nie bez szkody dla mięśni i kości. Pistolet potoczył się po bruku.

Kiri schyliła się, by podnieść broń, a Mackenzie - cudem odmłodzony - rzucił się na Clementa. Klnąc w ojczystym języku, Clement walczył jak szalony, usiłując się wyrwać na wolność. Mackenzie miał jednak laskę, którą parował zażarte ciosy przeciwnika. Walka dobiegła końca, gdy Ma-cowi udało się wykręcić Francuzowi obie ręce do tyłu, a Kiri przytknęła mu lufę pistoletu do piersi.

- Nie ruszaj się - ostrzegła - bo to będzie twój ostatni ruch. Clement przestał się szamotać, jego twarz straciła wszelki wyraz.

Mackenzie stał nadal za plecami Francuza. Rozległ się jakiś metaliczny szcęk - i Mac odsunął się od jeńca, wyjaśniając Kiri:

- Skułem mu ręce, ale uważaj na niego, kiedy będę go obszukiwał.

- Miałaś przy solne kajdanki? - zdumiała się Kiri.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać - odparł Mackenzie, obszukując Clementa.

Kiri uśmiechnęła się szeroko. Pewnego pięknego dnia sprawdzi wszystkie kieszenie płaszcza Mackenziego: Bóg raczy wiedzieć, co w nich jeszcze nosił.

Mac znalazł przy zatrzymanym nóż i jakieś papiery; skinął na powóz, który w ślad za nimi wjechał w boczną ulicę. Woźnica trzymał lejce w jednej ręce, a pistolet w drugiej. Rzeczywiście, pomocnik na wagę złota, jak się wyraził Mac.

Otwierając drzwiczki powozu, Mackenzie zwrócił się do Francuza:

- Wsiadaj. Czy Paul Clement to twoje prawdziwe nazwisko, czy tylko *nom de l'espionage*?

- Nazywam się Paul Clement i nie pojmuję, o czym pan mówi - odparł zimno Francuz.

Ma chyba koło czterdziestki, pomyślała Kiri, i nerwy z hartownej stali.

Wezbrała w niej wściekłość. Podbiegła do jeńca i dźgnęła go lufą pistoletu w przepoń. Blizna, zapach, budowa ciała - wszystko się zgadzało. To był ten człowiek.

- Nie wykręcisz się łgarstwem - syknęła. - Widziałam cię w Klubie Damiana.

Coś błysnęło w oczach Clementa, ale twarz miał nadal nieprzeniknioną.

- Bywam w tym klubie, madame, podobnie jak wielu innych. Nie wiedziałem, że to zbrodnia.

- Bywanie w klubie nie - powiedziała cicho. - Ale porwanie i morderstwo jak najbardziej.

- Nic z niego nie wyciągniesz - orzekł Mackenzie. - Ale mamy kolegów z większym darem przekonywania. Im *monsieur* Clement wyśpiewa wszystko, co wie. A jeśli okaże się chętny do współpracy, może nawet nie postrada żadnej kończyny?

Kiri nie była pewna, czy Mackenzie mówi poważnie, czy tylko próbuje zastraszyć pojmanego. Jednakże trzeba było czegoś mocniejszego od pogróżek słownych, by przerazić Clementa. Kiri cofnęła się więc i nie przytykała mu już pistoletu do piersi; pozostawiła jednak broń odbezpieczoną.

Mackenzie wepchnął Francuza do powozu i podał woźnicy kolejny adres. Kiri wsiadła także, z pistoletem nadal wycelowanym we francuskiego szpiega. Ten oświadczył sucho:



- Mam nadzieję, że pani nie zastrzeli mnie przypadkiem, jeśli zdarzą się na drodze wyboje.  
- Jeśli już do kogoś strzelam, nie robię tego przypadkiem. Jeden z twoich kompanów porywaczy przekonał się o tym na własnej skórze w Klubie Damiana. - Prawdę mówiąc, akurat tam Kiri nikogo nie zastrzeliła, ale co jej szkodziło podkreślić, jaka jest bezlitosna? - A propos klubów: czy wybrałaś się do madame Blanche na spotkanie z lordem Fendallem? A może z kimś innym?  
Nie odpowiedział na jej pytanie i zapatrzył się w ciemność za oknem.  
- Zawsze wiedziałem, że kiedyś nadejdzie koniec - odezwał się po chwili pozbawionym wyrazu głosem. - Ale nie sądziłem, że zdarzy się to już tej nocy.  
Nie powiedział nic więcej. Powóz zatrzymał się przed niepozornym budynkiem w pobliżu Whitehall. Mackenzie pomógł elementowi wysiąść, a następnie wprowadził go do wnętrza domu. Czekał na powrót Maca, Kiri zastanawiała się, co teraz stanie się z Francuzem. Niewątpliwie potrzebowano na gwałt informacji o spisku. Być może trzeba je będzie zdobyć, nie przebierając w środkach...  
Na myśl, że ten człowiek zostanie zapewne poddany torturom, Kin zrobiło się niedobrze. Gdyby jednak okazało się to konieczne... miała przynajmniej nadzieję, iż uzyskane tą drogą informacje pomogą udaremnić spisek.

## 26

Kiri prawie już spała, gdy Mac wrócił do powozu. Skoro tylko ruszyli w kierunku Exeter Street, spytała:  
- Co się teraz dzieje z Clementem?  
- Został zamknięty w celi. Kiedy tylko się zjawi Kirkland, zacznie się przesłuchanie.  
A zatem Kirkland znów będzie musiał obejść się bez snu. Mac wiedział z doświadczenia, że wytrzymałość jego przyjaciela jest doprawdy imponująca. Ale wszystko ma przecież jakieś granice.  
Po dłuższym milczeniu Kiri spytała:

- Pójdzie na tortury? No, wiesz: będą mu wykręcać palce, rozciągać członki, przypiekać stopy?
  - Z pewnością nie od razu. - Mac zmarszczył brwi. - Zresztą tortury zapewne niewiele by dały; Clement wydaje się świadomy ryzyka, związanego z jego profesją. Nie sądzę, by łatwo się załamał.
  - I mnie się tak zdaje.
  - Wezmę udział w porannym przesłuchaniu. - Patrzył na Kiri, ale w ciemnym wnętrzu powozu nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy. -Chciałabyś pójść ze mną?
  - Czy moja obecność jest konieczna?
  - Nie. Już go zidentyfikowałaś; niczego innego od ciebie nie wymagamy. Ale może sama chcesz wziąć w tym udział?
  - Zostanę raczej w domu i zajmę się korespondencją albo moimi perfumami aż do wieczora i naszej kolejnej wyprawy. - Kiri westchnęła. -Dziś w nocy uświadomiłam sobie wreszcie, że to nie zabawa. Za moją przyczyną ten obcy człowiek dostał się do więzienia... i może stracić życie. Wytrzeźwiałam nagle. To przecież coś całkiem innego niż zranienie, a nawet zabicie kogoś w obronie własnej.
  - Cóż, taki jest charakter naszej pracy. Wróg stara się zdobyć informacje na nasz temat, a my usiłujemy temu przeciwdziałać. To jedna wielka partia szachów.
  - Moim zdaniem wykradanie informacji to jedno, a odbieranie życia to całkiem co innego. .
  - Zgadzam się. - Aczkolwiek kradzież informacji mogła pociągnąć za sobą zagładę wielu istnień. - Zwłaszcza jeśli chodzi o zabijanie szesnastolatek, prawie dzieci...
  - O to właśnie chodziło, gdy włączyliśmy się do gry. Kiri wzięła go za rękę. Mac splótł jej palce ze swoimi, radując się tym dotykiem.
  - Jeżeli Clement zdradzi nam, kim są pozostali spiskowcy, cała sprawa zostanie rozwikłana w ciągu jednego albo dwóch dni.
- A potem lady Kiri Lawford będzie mogła wrócić do swego dawnego życia, a on do swojego. Całkiem sam. Kiedy dotarli na Exeter Street, Kiri trzymała Mackenziego za rękę, póki nie znaleźli się wewnątrz domu. Po burzliwych wydarzeniach ostatniego wie-

czora marzyła, by jak najprędzej znaleźć się w jego ramionach. Postanowiła jednak zapanować nad sobą do chwili, gdy znajdą się w jej pokoju, sam na sam.

Kiedy dotarli na górny podest schodów, Kiri zerknęła w stronę frontowej części budynku i ujrzała, że jakiś mężczyzna - prawie niewidoczny w cieniu - stuka do drzwi Cassie. Rob Carmichael? Cassie otworzyła -i znalazła się w jego objęciach. Ucałowali się gorąco i zniknęli w jej pokoju.

Gdy drzwi zamknęły się za nimi, Kiri wyszeptała:

- Mają ze sobą romans?

- To przyjaciele i towarzysze broni. - Mackenzie wziął Kiri za rękę i pociągnął ją korytarzem w stronę jej pokoju. - A co robią za zamkniętymi drzwiami, to wyłącznie ich sprawa.

- No tak, ale to bardzo interesujące. - Podczas gdy Mac prowadził ją do jej pokoju i zamykał za nimi drzwi, Kiri usiłowała sobie wyobrazić małomównego Carmichaela i Cassie w intymnej sytuacji. - Mimo niezbitych dowodów, trudno było wyobrazić ich sobie jako parę kochanków. Oboje są tacy poważni.

- Miłość miewa różne oblicza. - Mac podszedł do kominka i rozpałił na nim ogień. Gdy płomienie strzeliły w górę, wyprostował się - wysoka, ciemna sylwetka, obrzeżona ognistą obwódka. - Ci dwoje przeżyli rzeczy, które, bez wątplenia, złamałyby całkowicie ludzi słabszych duchem. I jeśli teraz mogą znaleźć trochę pociechy w swoich ramionach, jest to cenny dar, którego nie należy marnować.

Kiri wytłumaczyła sobie jego słowa w ten sposób, że Cassie i Carmichael dzielą wspólnie łóżko, ale nie związali się ze sobą na całe życie. Uznała, że to samo można by powiedzieć o niej i Mackenzie. Ich rozkosz i namiętność mogły być krótkotrwałe, lecz jak najbardziej realne. Dopiero zeszłej nocy w pełni doceniła siłę namiętności, a teraz życzyła tamtej drugiej parze wspólnego szczęścia, jak długo będą mogli darzyć się nim nawzajem.

Jeśli pojmanie Clementa istotnie doprowadzi do ostatecznego zniweczenia spisku, to jej i Macowi pozostało już tylko kilka wspólnych nocy. Nie chcąc tracić ani chwili, objęła go rękoma w pasie i uniosła twarz do pocałunku.

- No to nie marnujmy cennego daru.

Musnął jej usta leciutkim pocałunkiem, a potem uwolnił się z jej objęć i odsunął się co najmniej o jard.

- Pójdiesz sama do łóżka, Kiri. Aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Przecież się zgodziłeś, żebyśmy byli odtąd kochankami.

- Prawdę mówiąc, wcale się z tym nie zgodziłem - odparł ze smutkiem. - Po prostu nie mogłem ci się oprzeć wczoraj w nocy. Ale moje obawy nie znikły. Raczej się nasiliły. Nie pomogło także i to, że Kirkland wyczuł coś między nami i tego mi przyłożył, mówiąc w przenośni. Bogu dzięki, nie miał pojęcia, co się naprawdę stało.

- Kirkland nie jest moim ojcem ani bratem! - wykrzyknęła, nie wierząc, że Mac mógłby zrezygnować z tego, co się między nimi nawiązało. - On nie ma prawa mnie potępiać.

- On nie potępia ciebie, tylko mnie - zauważył sucho Mackenzie. - Ty według niego jesteś uosobieniem skrzywdzonej niewinności, a ja bezmyślnym uwodzicielem.

Szczęka jej opadła.

- Wiesz przecie, że wcale tak nie było.

- Pewnie że nie. Jesteś silną, niezależną kobietą, która doskonale wie, czego chce. - Zmarszczył brwi, szukając właściwych słów. - Jednakże Kirkland, kiedy wyraził zgodę na twój udział w polowaniu, zobowiązał się wobec twojej rodziny otoczyć cię taką opieką, jaką byś miała pod rodzicielskim dachem. Zaufał mi, że cię nie skompromituję, aja zawiodłem jego zaufanie. Ale to się już nigdy nie powtórzy.

- Wcale nie czułam się zhańbiona wczoraj w nocy. - Chwyliła go za rękę, pewna, że potrafi wpłynąć na jego decyzję.

- A ty?

Zawahał się.

- Namiętność zakłóca jasność myślenia. Ubiegłej nocy nie zważałem na honor, ani twój, ani mój. Dzisiaj nie mam już nawet takiego usprawiedliwienia.

Objęła go mocno, przytuliła się do jego pięknego, silnego, męskiego ciała. Pragnął jej równie mocno jak ona jego; miała tego niezbity dowód.

- Jak może następna wspólna noc skompromitować mnie jeszcze bardziej, jeśli już zostałam pozbawiona czci?

- Przestań. - Odsunął się raptownie, oddech mu się rwał. - Wyobraź sobie, że ty jesteś mężczyzną, aja kobietą. Gdyby tak istotnie było i gdybyś nalegała, żebym z tobą spał, choćby to było sprzeczne z moim sumieniem i poczuciem honoru, jak nazwałabyś takie zachowanie?

Wzdrygnęła się gwałtownie, jakby ją uderzył. Po dłuższej chwili przejmującej ciszy przyznała:

- Powiedziałałabym, że takie zachowanie było niegodne dżentelmena.

- I miałabyś słuszność - odparł cicho. - Z pewnością wiesz, że pragnę cię równie mocno jak ty mnie. Ale cenię także honor.

- Czymże jest właściwie honor? - spytała bezradnie. -1 czemu nasze wzajemne, tak bardzo silne pożądanie ma być czymś złym?

- Samo pożądanie nie jest złe. Ale postępowanie pod jego wpływem może być niegodne. - Sztywnymi palcami przeczesał jej włosy. - Ludzie definiują honor na różne sposoby - i według żadnej z tych definicji mój honor nie jest wiele wart. Nie noszę godnego szacunku nazwiska; rozstałem się z armią w podejrzanych okolicznościach; mam stałe kontakty z półświatkiem i światem przestępczym. Nie mogę sobie pozwolić na utratę tej nędznej resztki honoru, jaka mi jeszcze pozostała.

Kiri zdawała sobie sprawę z tego, że mogłaby zapewne zmusić Maca do zmiany zdania. Jego pożądanie było widoczne na każdym kroku. Gdyby tylko Kiri roztoczyła czar, z którego słynęły jej rodaczki, zdołałaby przełamać jego opór i wkrótce leżeliby nago w jej łóżku, odurzeni namiętnością, upojeni spełnieniem.

A jednak w ten sposób wyrządziłaby kochankowi wielką krzywdę. Zmusiłaby Maca do złamania jego własnego kodeksu honorowego, który opracował z wielkim trudem. Pozbawienie go tej ostoji byłoby niegodziwością.

Zacisnęła więc ręce z całej siły i powiedziała:

- Dobrze. Nie stracisz z mojej winy honoru. Odetchnął z wyraźną ulgą.

- Bogu dzięki. Ja naprawdę nie zdołałbym ci się oprzeć.

- Wiem. - Usta Kiri wykrzywiły się. - Mnie równie trudno wyrzec się ciebie. Dzisiaj będę spała samotnie i zastanowię się nad różnymi znaczeniami słowa „honor”. Ale najpierw, proszę, rozepnij mi suknię. Nie zdołam jej zdjąć bez pomocy.

Odwróciła się - bardzo sztywno - plecami do niego. Pozwoliło to jej ukryć oczy przed kochankiem. Instynkt podpowiadał Kiri, że Mac jest bardzo wrażliwy na kobiece łzy, a byli w stanie trzymać się z dala od siebie tylko wówczas, gdy żadne z nich nie osłabło.

- Dziękuję za zrozumienie - powiedział cicho.

Pospiesznie rozsznurował i rozpiął jej suknię. Chociaż starał się nie dotykać Kiri, każde muśnięcie jego palców przyprawiało ją o dreszcze.

Zastanawiała się, czy była to dla niego próba równie ciężka jak dla niej? Bardzo możliwe, że tak.

- Dobranoc, milady - powiedział, gdy stanik sukni zsuwał się już z jej ramion.

I nim się Kiri zdażyła obejrzyć, usłyszała, że drzwi zamknęły się za jej kochankiem.

Skończyła się rozbierać i włożyła bawełnianą, zdobną haftem koszulę nocną, o której wczoraj w nocy nawet nie pomyślała. Choć na kominku palił się ogień, w pokoju zrobiło się bardzo chłodno, teraz gdy Mac odszedł.

Kiri wślizgnęła się do łóżka. Pościel była zimna, ona zaś - niepoczyszona. Zawsze jej się udawało zdobyć to, czego pragnęła, ale była też z natury szczodra. Bardzo lubiła obdarzać innych - obsypywać ich albo prezentami, albo przynajmniej miłymi słowami. Ta szczodrość nie pozwalała dostrzec jej wrodzonego samolubstwa. Teraz jednak okoliczności zmusiły ją do uznania smutnej prawdy: nie powinna się domagać niektórych rzeczy, choć ich pragnęła, gdyż ktoś inny musiałby za to zbyt drogo zapłacić.

Wpatrywała się w sufit, powtarzając sobie, że nie wolno jej płakać. Łzy nic by nie pomogły, a po nieprzespanej nocy miałyby rankiem zapuchnięte oczy i czerwony nos. Zapragnęła zaznać miłości z mężczyzną, na którym jej zależało jak na nikim innym, nawet na Charlesie - i zdołała osiągnąć swój cel. Żądanie czegoś więcej byłoby dowodem zachłanności, bezwzględności i egoizmu. Byłoby niegodziwe.

Coś niewielkiego wylądowało na łóżku Kiri, a potem podreptało prosto do niej. Burasek znów w tajemniczy sposób złożył jej wizytę. Przytulił się do jej ramienia, zwinął w kłębek i mruczał zawzięcie. Kiri uśmiechnęła się. Nie była już taka spięta, gdy drapała kota pod brodą i za uszkami.

Przynajmniej nie musiała spać sama.

## **27**

Mac i Kirkland przybyli do niepozornego budynku o tej samej porze.

- Miałeś pracowity wieczór - zauważył Kirkland, gdy wchodzili do środka, ociekając deszczem. - Wskazałeś kolejnego podejrzanego, zasługującego na obserwację i schwytałeś przestępcę.

- Co wiesz o Clemencie? - spytał Mac, ściągając płaszcz. Strzepnął krople deszczu z okrycia, zanim powiesił je na wieszaku, po

czym udał się za Kirklandem do jego gabinetu.

- Clement mieszka w Londynie od wielu lat. Zawsze zapewnia, że uciekł przed republikanami. Założył warsztat krawiecki i z tego się rzekomo utrzymuje. Nie ma rodziny i prawie żadnych przyjaciół; bywa tylko, od czasu do czasu, w jednej czy drugiej oberży, gdzie zbierają się francuscy emigranci.

- Czy natknąłeś się kiedyś na jakiś dowód, czy choćby podejrzenie, że Clement jest szpiegiem?

Kirkland odpowiedział okrutnym uśmiechem urodzonego łowcy.

- Owszem, mam dowody na to, że uzyskiwał pewne informacje w sferach rządowych. Przypuszczam, że to jego główne źródło zarobkowania. Ponieważ jednak od dawna mieszka w Londynie, został zapewne zwerbowany przez spiskowców do pomocy przy porwaniu księżniczki i zamachach na życie księżąt. A ty co możesz powiedzieć na jego temat?

- Tylko tyle, że jest twardy, opanowany i trudno będzie wydobyć od niego jakieś informacje.

- Z tymi, którzy robią to wyłącznie dla pieniędzy, znacznie łatwiej można sobie poradzić - mruknął Kirkland. -

Wystarczy zaproponować wyższą stawkę niż konkurencja. Z patriotami bywa o wiele trudniej.

Pociągnął za sznur od dzwonka i już po chwili milczący sługa przyniósł na tacy dzbanek gorącej kawy, trzy cynowe kubki, talerz słodkich bułeczek, a także śmietankę i cukier w niewielkich pojemniczkach.

- Mac, mógłbyś znieść na dół tacę? Wolę mieć swobodne ręce, żeby ewentualnie złamać kilka kości, gdyby Clement próbował ucieczki.

Mac wziął tacę do rąk. On też miał wprawę w łamaniu kości, ale Kirkland - mimo zwodniczo gładkiej, cywilizowanej powierzchowności - był w tym jeszcze lepszy.

W niewielkim budynku w pobliżu Whitehall mieściła się centrala ściśle tajnej organizacji wywiadowczej Kirklanda, on zaś odpowiadał za całokształt jej działalności bezpośrednio przed pewnym wysoko postawionym członkiem rządu. Nawet Mac nie miał pojęcia, kto to taki. I wcale nie chciał wiedzieć. Pomagał zawsze przyjacielowi, gdy zaszła potrzeba, ale to Kirkland, nie on, obdarzony był zimnym i bezbłędnie kalkulującym umysłem arcyszpiega.

Teraz Kirkland z latarnią w ręku wskazywał mu drogę do piwnicy, gdzie znajdowały się dwie cele o wyjątkowo solidnych ścianach, zaopatrzone w najbardziej masywne drzwi i najpewniejsze zamki. Nigdy nie zdołał stąd uciec żaden więzień. Kirkland skinieniem głowy powitał strażnika, po czym własnym kluczem otworzył drzwi po prawej. Cella była mała i ciemna, ale nie wilgotna. Odrobina światła przedostawała się do środka przez okienko, umieszczone bardzo wysoko, element leżał na pryczy, ale pospiesznie wstał. Na jego twarzy malowała się nieufność.

- Oto przybywa kat.

- Nie każdy Francuz musi zachowywać się melodramatycznie -stwierdził zgrzyliwie Kirkland. - Napiłbyś się kawy, Clement?

- Wszystko, co gorące, byłoby mile widziane.

Mac postawił tacę w nogach pryczy i napełnił wszystkie trzy kubki, rad, że i on będzie mógł się napić. Przez kilka minut każdy z trzech mężczyzn doprawiał kawę według swego upodobania.

Clement kilkoma haustami wypił całą zawartość kubka i znów nalał sobie do pełna.

- Dobra kawa... jak na Anglię.

- Tę akurat parzył francuski emigrant - odciął się Kirkland. - Prawdziwy, nie szpieg podający się za uciekiniera.

Twarz Clementa znów straciła wszelki wyraz.

- Teraz, kiedy się nieco pokrzepiłem, pewnie zaczniecie mnie bić, licząc na to, że coś wam powiem?

- Nie zależy mi specjalnie na zadawaniu bólu - odparł Kirkland. -Choć, jak widzisz, przyprowadziłem ze sobą oprawcę.

Mac omal się nie zakrztusił kawą, usłyszawszy, jak go uhonorowano. Udało mu się jednak ukryć zaskoczenie.

Zmrużył oczy i starał się przybrać nieubłagany wyraz twarzy.

Na nic się to jednak nie zdało: Clement, który dotąd nie zwracał na niego najmniejszej uwagi, teraz przyjrzał się Macowi uważniej.

- A, dżentelmen, który mnie pojmał. Tylko nie wydaje się już taki zgrzybiały. Jest pan oprawcą? Powiedziałbym, że dama, która panu towarzyszyła, robiła wrażenie bardziej niebezpiecznej.

- Racja - odparł Mac. - Dziękuj Bogu, że to ja się zjawiłem, nie ona. Kirkland znów zabrał głos.



- Jesteś profesjonalistą, Clement. Z, pewnością wiedziałeś od początku, że dostać się w ręce wrogów to niemal pewna śmierć.

Clement, siłąc się na obojętność, wziął bułeczkę, ale ręka lekko mu drżała.

- Wiem, że mnie zabijecie. Im szybciej, tym lepiej. Francji i tak nie zdradzę. Wolałbym, ma się rozumieć, uniknąć niepotrzebnego bólu...

- Jak chyba każdy z nas - mruknął Kirkland. - Szanuję twoje przywiązanie do ojczyzny, Clement. Co prawda, łatwiej dojsć do porozumienia z kimś, komu zależy wyłącznie na forsie, niż z patriotą, ale zawsze taka motywacja jest godna podziwu. Wolałbym cię zresztą nie zabijać, więc może w końcu jakoś się dogadamy.

Clement uniósł sceptycznie brwi, ale nie zdołał ukryć błysku nadziei w oczach.

- Nie zamierzam zdradzać ojczyzny, więc o czym tu gadać?

- Skłócone ze sobą państwa ustawicznie wykradają sobie nawzajem tajemnice. To stały element gry - stwierdził Kirkland. - Uważasz, że morderstwa i porwania to także jej nieodzowna część? Nawet jeśli ofiarą ma paść szesnastoletnia dziewczynka?

Clement zacisnął usta.

- Nie ja układałem ten plan. Pełnię tylko rolę łącznika.

- Łącznika - powtórzył Kirkland w zadumie. - A zatem ów plan ma dwa końce, jeden francuski, drugi angielski. A ty jesteś kimś w rodzaju pośrednika między nimi?

Clement zmarszczył brwi, uświadomiwszy sobie, że niechcący coś mu się wymknęło. Nie odezwał się już ani słowem. Kirkland ciągnął dalej:

- A zatem, seria zamachów na brytyjską rodzinę królewską nie była twoim pomysłem. Niemniej jednak, musiałeś uznać to za właściwe rozwiązanie. I sumienie wcale ci nie dokucza? Mieszkasz przecie w Anglii wystarczająco długo, by wiedzieć, że taki plan nie doprowadzi do pokojowych rokowań francusko-angielskich. Wręcz przeciwnie.

- Brytania obejdzie się doskonale bez księcia regenta i tych darmozjadów, jego braci. A malej księżniczce nie stanie się żadna krzywda - bronił się Clement. - Osobiście bym tego dopilnował.

- Tak, ale ty już nie będziesz miał żadnego wpływu na przebieg wydarzeń. Usunąłem cię przecie z szachownicy - zwrócił mu uwagę Kirkland. - Jesteś pewny, że twoi kamraci będą równie troskliwi? A może

dojdą do wniosku, że jeśli nie da się dziewczynki porwać, wystarczy ją zlikwidować?

Francuz odwrócił wzrok; był poważnie zaniepokojony.

- Jeśli panu tak zależy na jej bezpieczeństwie, wypuście mnie, żebym mógł nad nią czuwać w razie następnego porwania.

- Dobrze wiesz, że o tym nie ma mowy. - Kirkland obserwował uważnie wyraz twarzy swego rozmówcy. - Ale mam dla ciebie pewną propozycję.

Clement spojrział znów na przesłuchującego.

- A mianowicie?

- Nie żądam, byś zdradził swą ojczyznę. Zastanów się jednak, czy będzie zdradą wobec niej wydanie kilku głupców o morderczych skłonnościach, którzy należą do tego spisku. Są niebezpieczni i mogą znacznie bardziej zaszkodzić Francji, niż jej pomóc.

- A gdybym doszedł do wniosku, że podzielam pański punkt widzenia, na co mogę liczyć? Na lżejszą śmierć?

- Na odzyskanie wolności, choć nie od razu. Zostaniesz odesłany do więzienia o mniej surowym rygorze i pozostaniesz tam do końca wojny. Z pewnością nie potrwa to dłużej niż rok czy dwa lata. Twój cesarz już jest w odwrocie. Kiedy ostatecznie skapitułuje, będziesz mógł powrócić do domu, do Francji. - Kirkland uśmiechnął się łagodnie. - Mógłbyś nawet zostać w Londynie, gdyby ci to bardziej odpowiadało. Dobrych krawców nigdy nie dosyć.

- Skąd mam wiedzieć, że dotrzymacie umowy? — spytał po dłuższej chwili Clement.

- Masz na to moje słowo. Francuz skrzywił się.

- Czy taki wspinały dżentelmen jak pan będzie chciał dotrzymać przyrzeczenia danego synowi krawca?

- A czy ten syn krawca czułby się zobowiązany do dotrzymania słowa danego angielskiemu dżentelmenowi? -

Kirkland wyciągnął rękę do Francuza. - Wzajemne zaufanie nie ma nic wspólnego z pozycją w świecie.

- To po prostu... ironia losu, ale czuję więcej zaufania do mego angielskiego wroga, niż do moich angielskich sprzymierzeńców - oświadczył po namyśle Clement. - Nie wiem jeszcze, czy zrobię to, o co pan prosi. Jednak zastanowię się nad tym. I wierzę, że można zaufać pańskiemu słowu.

Podał Kirklandowi rękę.

Gdy uścisnęli sobie dłonie, Kirkland powiedział:

- Jeśli dostarczysz mi pożytecznych informacji, Clement, przeniosę cię do całkiem znośnego więzienia. Ale nie możemy czekać na twoją decyzję w nieskończoność. Gdyby zaś ktoś z królewskiej rodziny został w międzyczasie zabity albo porwany, moja oferta przestaje być aktualna.
- Rozumie się. - Clement uśmiechnął się krzywo. - Tortury bywają niekiedy prostszym rozwiązaniem.
- Cóż, żaden z nas nie po to żyje na tym świecie, by ułatwiać życie temu drugiemu. - Kirkland obejrzał się na Maca.
- Zostaw mu kubek kawy i bulki.

Innymi słowy: tylko to, co z pewnością nie posłuży więźniowi za broń. Co prawda, cynowy kubek dałby się może - od biedy - przerobić na coś w rodzaju noża... wymagałoby to jednak sporo czasu. I narzędzi. Mac wlał resztę kawy do kubka Clementa, po czym zabrał ze sobą tacę z pozostałymi naczyniami.

Po wyjściu z celi Kirkland starannie zamknął za sobą drzwi i zwrócił się do strażnika:

- Zostawiłem więźniowi kubek. Nie zapomnij zabrać go potem z celi. Ruszyli po schodach na górę. Gdy znaleźli się znowu w gabinecie

Kirklanda, Mac zagadnął:

- Myślisz, że Clement powie ci coś istotnego?
- Całkiem możliwe. Widać wyraźnie, że nie jest entuzjastą tych zamachów ani spisku i może dojść do wniosku, że zabijanie angielskich książąt i księżniczek nie wyjdzie Francji na dobre. - Kirkland wzruszył ramionami. - Rozsądek wydawał mi się zawsze lepszym argumentem od przemocy.
- Jeśli Clement zdecyduje się przyjąć twoją ofertę, mam nadzieję, że zrobi to niebawem - westchnął Mac. - Gdy zabraknie im łącznika, pozostali spiskowcy wypełzną do swych kryjówek, i szukaj wiatru w polu.
- Może tak się wystraszą, że odechce się im spiskowania?
- Sam nie wierzysz w to, co mówisz.
- Przyznaję, że to mało prawdopodobne. - Kirkland uśmiechnął się, co rzadko mu się zdarzało. - Ale nigdy nie należy tracić nadziei.

Następny ranek był szary, mokry i jesienny - i pasował jak ulał do nastroju Kiri. Zastanawiała się, jak oboje z Mackenzie zachowają się przy najbliższym spotkaniu? Nie będzie ono łatwe. Z pewnym niepokojem zeszła do jadalni, ale zastała tam jedynie Cassie. Cassandra wydawała się trochę zmęczona, ale na jej twarzy gościł lekki uśmiech. Pewnie mile wspominała nocną wizytę Carmichaela.

Przypomniawszy sobie, że Mackenzie zamierzał przesłuchiwać Francuza do spółki z Kirklandem, Kiri przywitała się z Cassie i zabrała się do fasolki, boczku i grzanek, które popijała mnóstwem gorącej herbaty.

Cassie zagadnęła:

- Dopisało wam szczęście u madame Blanche?

Między jednym a drugim kęsem Kiri opowiedziała jej o lordzie Fen-dallu, który pachniał prawie tak jak trzeba, ale niezupełnie, a następnie o pojmaniu Francuza. Właśnie kończyła swą opowieść, gdy do pokoju wszedł Mackenzie. Nerwy Kiri od razu się napięły. Zaczęła się zastanawiać, czy Macowi spało się tej nocy tak samo źle jak jej? Ręka zaczęła jej drżeć, gdy dolewała sobie herbaty. Dzięki obecności Cassie zdołała się jakoś opanować.

- No i co, udało się wam przesłuchanie Clementa?

- Jeszcze za wcześnie, by o tym wyrokować. - Mac położył na stole cały stos listów. - Lokaj przyniósł je przed chwilą.

Kiri od razu rzuciło się w oczy pismo ojczyma na pierwszym z listów. Pospiesznie zaczęła przeglądać następne.

- Napisałam dosłownie do każdego z rodziny, żeby się nie lękali o mnie bez potrzeby. O, przepraszam, Cassie. Może tu jest coś dla ciebie.

Agentka nie oderwała nawet oczu od talerza.

- Nigdy nie dostaję listów.

- Pozwolicie, że się przysiadę i zjem śniadanie w waszym towarzystwie? - spytał Mackenzie. - Co prawda, piłem kawę z bułeczkami w towarzystwie Kirklanda i francuskiego szpiega, ale w taki zimny dzień organizm domaga się jak najwięcej paliwa.

- Siadaj, oczywiście, zjadaj i opowiedz nam o przesłuchaniu - zachęciła go Cassie.

- Kirkland po mistrzowsku zabrał się do Clementa.

Mac nałożył sobie na talerz fasoli, resztę boczku i kilka grzanek. Potem nalał sobie herbaty i zasiadł przy stole. Jadł ze smakiem i z zapalem opisywał mistrzowską taktykę Kirklanda.

Gdy skończył, Cassie skinęła głową z aprobatą.

- To było bardzo rozsądne podejście do sprawy: okazał temu Francuzowi szacunek i zwrócił mu uwagę na niezgodne z honorem zamierzenia spiskowców. Znakomite posunięcie. Mam nadzieję, że Clement pokona swoje skrupuły moralne i wyjawi nazwiska pozostałych konspiratorów.

Kiri, która nadal przeglądała listy, chcąc się dowiedzieć, od kogo pochodzi każdy z nich, kiwnęła potakująco głową.

- Bardzo się cieszę, że obyło się bez tortur. Obawiam się, że brakuje mi bezwzględności, niezbędnej dla prawdziwego agenta.

- Tortury nie dają zwykle aż tak doskonałych rezultatów - wyjaśnił Mac. - Ktoś, kto nie może znieść bólu, mówi zazwyczaj nie tyle prawdę, ile wszystko, co chcielibyśmy, jego zdaniem, usłyszeć.

- To zrozumiale. - Kiri ze zdumieniem wzięła do ręki list, skreślony na kremowym, drogim papierze nieznanym jej charakterem pisma. - Wielkie nieba. Czyżby to była królewska pieczęć?

Podniosła list do góry, by jej rozmówcy mogli przyjrzeć się woskowej pieczęci.

- Rzeczywiście, wygląda to na królewską pieczęć - stwierdziła C 'assie z zainteresowaniem. - Otwórz list.

Kiri złamała pieczęć i znalazła w środku oficjalne pismo od Jej Królewskiej Wysokości księżniczki Charlotty Augusty, która życzyła sobie, by lady Kiri Lawford przybyła do Warwick House na herbatę.

Oficjalne zaproszenie zostało wypisane, niezwykle kaligraficznie, przez królewskiego sekretarza. Pod nim jednak znajdował się nieoficjalny dopisek, skreślony młodziutką, niezbyt wprawną ręką samej księżniczki.

*Droga lady Kiri,*

*Tak bym chciała zobaczyć się z panią, zanim się przeniosę do Windsoru. Czy mogłaby pani przyjść w sen, jakie noszą damy w Indiach? Bardzo bym chciała zobaczyć coś takiego.*

*Serdecznie pozdrawiam*

*Charlotta Augusta*

Olśniona Kiri podała cenny dokument Cassie, która odczytała go na głos.

- Moje gratulacje, Kiri. Czy zwróciłaś uwagę na datę? Jesteś zaproszona na dziś po południu.

- Co takiego? - Kiri schwyciła list i przeczytała go jeszcze raz. - Wysłano go do moich rodziców i stąd to opóźnienie. Dziś po południu... Gdzie ja znajdę odpowiedni powóz?

Mackenzie błyskawicznie uwolnił ją od tego kłopotu.

- Zaraz powiadomię Kirklanda, a on przyśle tu na czas swoją najbardziej reprezentacyjną karete. Nie ma czasu do stracenia. Wzięłaś ze sobą sari?

- Tak się złożyło, że wzięłam. - Kiri przygryzła wargę. - Chyba zamarznę w nim na śmierć. Sari nie jest odpowiednim strojem na angielską jesień.

- W takim razie musisz okryć się płaszczem. I nie wpadaj w popłoch, przecież znasz już tę dziewczynę - uspokajał ją Mackenzie. - Sama ci przysłała zaproszenie, więc z pewnością ucieszy się na twój widok.

- Pojadę z tobą jako pokojówka - zaoferowała się Cassie. - Tak nawet będzie stosowniej.

- Córce księcia powinna towarzyszyć osobista służąca - przytaknął Mackenzie. - A ja pojadę z wami jako lokaj.

Wdzięczna przyjaciółom, że może liczyć na nich w potrzebie, Kiri wstała od stołu.

- Poślij po tę karete, Mac, a ja zaraz się przebiorę.

- Czy trzeba ci w tym pomóc? - spytała Cassie. - Nigdy w życiu nie widziałam sari.

- Obejdę się bez pomocy. Włożenie sari to znacznie mniejszy kłopot, niż wbicie się w jakąś angielską toaletę - wyjaśniła Kiri. - Przyjdź do mojej sypialni, kiedy się już przebierzesz za pokojówkę, a ja ci pokażę, jak się układa fałdy sari.

Rozbiegli się w różne strony: Mackenzie po najbardziej okazały powóz, a Kiri i Cassie do swoich pokojów, żeby się przebrać.

Kiri dorzuciła sari do swego bagażu pod wpływem nagłego impulsu, nie mając pojęcia, na czym dokładnie ma polegać jej udział w tajnej misji.

Teraz, dotarwszy do swego pokoju, wyjęła sari z kufra. Strój składał się z trzech części: przede wszystkim - długi na siedem jardów płat szkarłatnego jedwabiu, ozdobionego złotymi haftami, który należało umiejętnie udra-pować na jej figurze, a prócz tego - idealnie dobrane kolorem - sięgająca do kostek półhalka i obcisła bluzka, zwana *choli*. Kiri nie zabrała wpraw-

dzie swoich hinduskich sandałów, ale zastąpią je od biedy wieczorowe pantofelki i jedwabne pończoszki. Włożyła więc pończochy, halkę i *choli*, wyszczotkowała włosy i rozdzieliła je przedziałkiem pośrodku, a następnie upięła w węzeł na karku.

Wśród kosmetyków Kiri nie zabrakło specjalnej farby, niezbędnej do namalowania *bindi* - czerwonego kółka na czole, znaku najwyższej kasty.

Rozległo się stukanie do drzwi.

- Kiri? To ja, Cassie.

Gdy tylko Kiri zawołała „Proszę wejść”, na progu pojawiła się Cassie w skromnej brązowej sukni, z ważną miną służącej, która docenia swoją pozycję osobistej pokojówki. Spojrzała podejrzliwie na skąpą bluzeczkę *choli* z krótkimi rękawkami i głębokim dekoltem, kończącą się dobrych kilka cali powyżej pasa.

- Prześliczny staniczek, ale już rozumiem, co miałaś na myśli, wspominając o zamarznieniu na śmierć w tym stroju.

- Jest niewiele gorszy pod tym względem od modnej angielskiej sukni balowej. - Kiri wzięła do rąk zwinięte jedwabne sari. - Przyszedł w samą porę na punkt kulminacyjny tego ceremoniału: drapowanie sari. To jedno z moich najpiękniejszych. Można je drapować na różne sposoby. Moja rodzina pochodzi z północy i każdy Hindus pozna to od razu po ułożeniu fałd mojego sari. - Wzięła do ręki jeden jego koniec, nieozdobiony haftem, i zręcznie owinęła się nim, zbierając fałdy i umiejętnie zatykając je za pasek halki. Cassie przyglądała się temu jak urzeczona, a Kiri nadal drapowała fałdy, by wreszcie przerzucić drugi koniec sari, bogato zdobiony złotym haftem, przez lewe ramię tak, by opadał z tyłu aż do kolan.

- Zgodnie z hinduskim obyczajem, pępek powinien być dobrze widoczny, jako źródło życia i symbol wszelkiego tworenia. - Kiri sprawdziła, jak materiał się układa, potem zaś obejrzała całość w lustrze. - W Anglii jednak mogłoby się to wydać niezbyt stosowne.

- W każdym razie dla Mackenziego byłby to zbyt silny wstrząs - odparła Cassie z rozbawieniem. - Zauważyłaś, jak na ciebie spogląda? Pokaż mu jeszcze goły pępek i chłopak dostanie ataku serca.

Spojrzenie Kiri natychmiast oderwało się od lustra.

- Co takiego?

- A ty spoglądasz na niego takim samym wzrokiem. - Cassie westchnęła. - No cóż, całkiem zrozumiałe: jesteście młodzi i łączy was wspólne,

ekscytujące zadanie. Ale nie zapominaj o przyszłości, nie zbliżaj się zanadto do Maca. Niezależnie od tego zadania, masz swoje życie - i nie chciałabyś go chyba zmarnować?

Inaczej mówiąc: uważaj, bo stracisz cnotę i reputację. Zirytowana tym, że każdy chce jej dawać nieproszone rady, Kiri odcięła się bez zastanowienia:

- A pan Carmichael też spogląda na ciebie takim wzrokiem? Cassie uniosła brwi, ale nie wydawała się zażenowana.

- Widziałas nas? Nie, my nie spoglądamy na siebie w taki sposób; to nie dla starych i steranych życiem. Zresztą, jesteśmy przyjaciółmi, niczym więcej.

- Żadne z was nie jest przecież stare. I wyglądacie na kogoś więcej, nie tylko przyjaciół.

- Jesteśmy starzy. Jeśli nie wiekiem, to duchem. - Cassie zajrzała do kasety z perfumami. - Rzeczywiście, łączy nas z Robem coś więcej niż przyjaźń: jesteśmy towarzyszami broni. Stawialiśmy wspólnie czoło niebezpieczeństwu.

Kiri doszła do wniosku, że zawilosci wzajemnych stosunków Cassie i Roba przewyższają jej zrozumienie. A poza tym, to nie jej sprawa. Otworzyła więc swoją szkatułkę z klejnotami i wybrała parę długich kolczyków, sięgających niemal do ramion. Były splecione z cieniutkich złotych łańcuszków; na końcu każdego z nich połyskiwały drobne okruszki granatów. Włożyła ponadto bogaty naszyjnik, również stanowiący połączenie kilku złotych łańcuchów, oraz tuzin bransoletek, pobrządkujących na obu nadgarstkach. Zadbła o to, by księżniczka Charlotta miała widowisko godne zapamiętania.

Na koniec Kiri sięgnęła w głąb własnego serca, by mogło objawić się w pełni jej hinduskie „ja”. Kiri nie dorównywała swojej matce łagodnością, ani zdolnością do pełnej akceptacji tego, co niesie nam życie. Pozwoliła jednak swobodnie rozkwitnąć tej części swej istoty, której w żaden sposób nie można było nazwać angielską. Kiri spojrzała w lustro, poprawiła raz jeszcze fałdy sari na ramieniu i zwróciła się do Cassie:

- Jak sądzisz, czy mogę tak się pokazać Jej Wysokości?

- Wyglądasz wspaniale - orzekła Cassie. - I zupełnie inaczej niż zwykle. Twoje rysy i ogólny koloryt nie uległy wprawdzie zmianie, a jednak nie jesteś już tą samą kobietą.

- To prawda.



Kiedy ujrzała się w tym nowym wcieleniu, uprzytomniła sobie, jak wiele barier odgradzają od Mackenziego. Nie tylko różnili się przynależnością do innej klasy społecznej, odmiennością urodzenia i wychowania. Rozdzielała ich również dwoistość natury Kiri. Czy jakkolwiek Anglik byłby w stanie zrozumieć coś takiego?

Pomyślała o Mariah, żonie Adama. Była doskonałym ucieleśnieniem złocisto-pastelowej angielskiej urody - a jednak serce miała pełne zrozumienia dla czyjejś odmienności. Godfreyowi Hitchcockowi brakowało tej cechy. Jeśli Kiri było sądzone spotkać kiedyś przeznaczonego jej losem wybrańca, musiał to być człowieki pełen zrozumienia i tolerancji. Generał Stillwell, ojczym Kiri, kochał i rozumiał Indie, a Lakshmi uosabiała dla niego piękno tego kraju, w którym spędził połowę życia. Ale mężczyźni tego pokroju należeli do rzadkości.

Dość filozofowania.

- Chciałabym podarować księżniczce perfumy mego wyrobu. Nie mam teraz czasu na opracowanie specjalnej kompozycji, wyrażającej osobowość Charlotty. Myślę jednak, że przypadłby jej do gustu ten zapach. -Kiri wybrała jeden z flakoników i podała go Cassie. - Co o tym myślisz?

Cassie powąchała i zastanowiła się.

- To śliczny zapach, jak stworzony dla młodziutkiej dziewczyny. Zapach niewinności i nadziei.

- Może nie całkiem odpowiedni dla dziewczynki, której rodzice walczą o nią jak rozwścieczone psy o kość?

Dziewczynki, która pewnego dnia ma rządzić Anglią?

Kin przeszukiwała swoją kasetę z pachnidłami, żałując, że nie może teraz korzystać ze wszystkich skarbów, jakie miała w swoim laboratorium. Zdecydowała się w końcu na swą ulubioną kompozycję, której podstawę stanowił chypre, i powiedziała:

- To powinno chyba pomóc.

Wlała więc owe perfumy dla młodziutkiej dziewczyny do najładniejszego flakonika ze szkarłatnego szkła, o kształcie wdzięcznym i strzelistym jak łodyga kwiatu, po czym wzbogaciła tę kompozycję małą kropelką chypre'u. Zatkawszy koreczkiem flakon, wstrząsnęła nim, ponownie otworzyła i pociągnęła nosem. Lepiej.

- Co o tym myślisz, Cassie?

Jej towarzyszka powąchała i aż zamrugła oczyma.

- Niesamowite. Za pach stał się znacznie bogatszy. Jest w nim teraz leciutki posmak ziemi... i cień dojmującego smutku. Nie potrafię tego lepiej wyrazić.

- O to mi właśnie chodziło - Kiri zerknęła na inne flakoniki. Może by jeszcze odrobinę paproci? Nie, dość tego, gotowa zepsuć wszystko.

Miała w swoim kufierku zapas waziutkich wstążeczek. Wyciągnęła srebrną i zawiązała ją z fantazją na szyjce flakonu. A potem owinęła go w kawałek białego atlasu. Jak to dobrze, że to wszystko było pod ręką. Nawet haftowany jedwabny woreczek, ozdobiony miniaturowymi lusterkami - będzie pasował do jej hinduskiego stroju.

Chowając perfumy do woreczka, stwierdziła:

- Lepiej już wyjść i poczekać na karete na dworze.

- Milady pozwoli, że wezmę jej płaszcz.

Cassie w ułamku sekundy przekształciła się w idealną pokojówkę -kompetentną i prawie niewidoczną - i przerzuciła sobie przez ramię złożony, granatowy płaszcz swojej pani.

Ubawiona tą metamorfozą Kiri zauważyła:

- Jesteś bardziej służbista niż którakolwiek ze służących, jakie znałam.

- Przyznaję się do błędu. I obiecuję poprawę.

Cassie pozwoliła sobie na leciutki cień uśmiechu i stała się niemal dostrzegalna.

- Powinnaś być aktorką - orzekła Kiri, kierując się ku drzwiom.

- Nieraz nią bywałam.

Cassie otworzyła drzwi, by jej chwilowa pani mogła wyjść.

Pełna wdzięku i godności Kiri opuściła swój pokój i spłynęła lekko ze schodów. Rozkoszowała się dotykiem gładkiego, chłodnego jedwabiu, mimo że jej ramiona pokryły się gęsią skórką.

Mackenzie czekał w holu na dole. Usłyszawszy kroki Kiri, pochwalił ją:

- Co za wyczucie czasu. Kareta właśnie zajechała.

Podniósł oczy na Kiri i skamieniał z takim wyrazem twarzy, jakby dostał pałką po głowie. Gdyby nie był zdrowy jak koń, Kiri zlekłaby się, że dostał ataku serca, co żartem prorokowała mu Cassie.

Dotarłszy do podnóża schodów, Kiri skłoniła się nisko. Złączyła koniuszkami palców obie dłonie, tworząc z nich coś w rodzaju daszka na wysokości piersi, i pochyliła głowę.

- *Namaste, sahib.*

Mac z trudem przełknął ślinę i złożył głęboki ukłon.

- Jesteś wyjątkowo niebezpieczną kobietą, milady. Roześmiała się.

- To sari jest najbardziej wdzięcznym strojem, jaki kiedykolwiek wymyślono. Mam nadzieję, że księżniczce Charlottcie spodoba się ten egzotyczny widok.

- Z pewnością. - Mackenzie odebrał płaszcz od Cassie i narzucił go na ramiona Kiri. Przebiegł ją dreszcz, gdy opuszkami palców musnął jej obnażoną szyję. - Musimy już jechać, jeśli mamy dotrzeć do Warwick House na umówioną godzinę.

Przytrzymał drzwi wyjściowe, a Kiri wymknęła się pośpiesznie na dwór. Życie stało się znacznie bardziej interesujące, odkąd uciekła od Godfreya Hitchcocka.

## 29

Ojej - westchnęła księżniczka Charlotta, gdy Kiri weszła do jej prywatnego salonu. - Cudownie pani wygląda, lady Kiri. Zupełnie jak księżniczka z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*

Wzrost i dość pokaźna tusza Charlotty sprawiały, że wydawała się prawie dorosła, ale niewinny zachwyt w jej oczach najlepiej świadczy! o tym, że to jeszcze dziecko. Mała dziewczynka, która chce jak najszybciej poznać świat. Kiri wykonała dworski dyg; fałdy jej sari zamigotały, unosząc się lekko wokół niej.

- Wasza Wysokość jest dla mnie niezwykle łaskawa. Dziękuję z całego serca za zaproszenie.

- Chciałam spotkać się z panią, lady Kiri, zanim przeniosę się do Windsoru, a to już jutro - Charlotta skrzywiła się. - Życie w Lower Lodge jest jeszcze nudniejsze niż w Warwick House.

Ale przynajmniej nie było tam w pobliżu modnego klubu, do którego dziewczynka mogłaby się potajemnie wymknąć. No i - przy odrobinie szczęścia - mogło się okazać, że Lower Lodge jest w lepszym stanie niż

Warwick House. Kiri była zaszokowana stanem tej rezydencji królewskiej, tak bardzo zaniedbanej. Księżę regent wydawał nieprawdopodobne sumy na upiększanie własnych pałaców, a równocześnie skazywał swoją córkę, zapewne przyszłą królową Anglii, na wegetację w domku nie większym niż pensjonat pod numerem jedenastym przy Exeter Street, a w dodatku znacznie gorzej utrzymanym. Kiri zachowała jednak tę opinię dla siebie, głośno zaś powiedziała:

- Przynajmniej będzie Wasza Wysokość mieszkać na wsi. Słyszałam, że z Waszej Wysokości diablo odważna amazonka.

Księżniczka uśmiechnęła się w odpowiedzi na komplement, jakim mógłby błysnąć młody kawalerzysta.

- To prawda, ale zapominam o dobrych manierach. Proszę siadać, lady Kiri.

Kiri zaczęła, aż księżniczka pierwsza zajmie miejsce, po czym ofiarowała jej owinięty w atłas flakonik.

- Ośmieliłam się przynieść Waszej Wysokości niewielki prezent: perfumy mojego wyrobu.

Oczy Charlotty zajaśniały radością, gdy rozwijała pakuneczek. Natychmiast otworzyła flakonik i powąchała.

- Bardzo, bardzo dziękuję. Cudownie pachnie. Jak się te perfumy nazywają?

Księżniczka nie знаła się zapewne na perfumach, ale jej radość była niewątpliwie szczera. Kiri błyskawicznie zebrała myśli.

- Nazwałam je Principessa - i opracowałam tę kompozycję na wyłączny użytek Waszej Wysokości.

Z błogim uśmiechem Charlotta uperfumowała sobie szyję i przeguby rąk.

- Czy dostanę więcej, kiedy te mi się skończą? Mianuję panią moją oficjalną dostawczynią perfum.

Kiri uśmiechnęła się.

- Nic nie sprawiłoby mi większej radości, ale nie jestem profesjonalnym wytwórcą perfum, nie mam więc prawa do takiego tytułu. Proszę potraktować ten dobiąg jako skromny upominek od kogoś z przyszłych poddanych.

- Oczywiście że dama zajmująca tak wysoką pozycję nie może trudnić się rzemiosłem ani handlem - przytaknęła Charlotta.

Rozmowę przerwało wejście pokojówki z tacą. Nalanie herbaty do filiżanek i podanie drobnych ciasteczek zajęło kilka następnych minut. Kiedy znów zostały same, księżniczka powiedziała:

- Lady Kiri, pragnęłam podziękować za to, że ocaliła mnie pani tamtej pamiętnej nocy. Ale chciałam również zapytać, czy pani wie, dlaczego mnie właściwie chciano porwać? To nie było dla okupu.

- Nikt nie wyjaśnił tego Waszej Wysokości? - spytała zaskoczona Kiri. Usta Charlotty zacisnęły się w wąską kreskę.

- Ojciec skrzyczał mnie okropnie i zapowiedział, że muszę się przenieść do Windsoru, ale niczego mi nie wyjaśnił. - Po chwili pełnej napięcia ciszy dodała jeszcze - Jak mam wyrosnąć na dobrą władczynię, jeśli wszyscy traktują mnie jak dziecko?

Kiri znów ogarnęło oburzenie. Charlotta mogła być nienajlepiej wychowana i niedostatecznie wykształcona, ale nie była głupia. Pragnęła, by traktowano ją jak dorosłą - i w pełni na to zasługiwała.

Choć Kiri dobrze wiedziała, że mieszanie się w spory wyjątkowo drażliwego księcia regenta i jego córki byłoby szczytem nierozwagi, w tej chwili przepelniała ją taka złość, że zapomniała o wszelkiej ostrożności. Charlotta powinna się dowiedzieć o zagrożeniu, ze względu na własne bezpieczeństwo.

- To wielki sekret. Wasza Wysokość nie może wspomnieć o tym nikomu.

- Ręczę za to moim słowem.

Składając tę obietnicę Charlotta wyglądała na osobę znacznie starszą i odpowiedzialną.

- Porwanie Waszej Wysokości było jednym z głównych celów francuskiego spisku przeciw brytyjskiej rodzinie królewskiej - wyjaśniła pokrótce Kiri. - Spiskowcy zamierzali porwać Waszą Wysokość i zabić księcia regenta oraz jego braci. W sytuacji, gdy król niezdolny jest do rządzenia państwem, a następczyni tronu znajduje się w niewoli u wrogów, w całym kraju zapanowałoby ogromne zamieszanie... i kto wie, czy nie zawarto by pokoju na warunkach dogodnych dla Francji.

Charlotta jęknęła i pobladła.

- To... to oburzające. Jak Napoleon śmiał pokusić się o coś podobnego?

- Nie mamy pewności, czy to był pomysł samego Napoleona. Wiem jednak, że próbowano zabić ojca Waszej Wysokości już po tym nieudanym porwaniu w Klubie Damiana. - Kiri przypomniała sobie, że nie powinna

krytykować księcia regenta, i ciągnęła dalej: - Właśnie dlatego Wasza Wysokość musi się przenieść do Windsoru. Życie Waszej Wysokości jest zbyt cenne, by narażać ją na niebezpieczeństwo.

- Dlaczego ojciec mi tego nie wyjaśnił? - spytała żałośnie. Usiłując przedstawić regenta w jak najlepszym świetle, Kiri zauważyła:

- Mój ojczym często powtarza, że dzieci szybciej dorastają, niż się rodzicom zdaje... i niżby tego pragnęli. Księżę regent zachowuje się podobnie jak inni ojcowie: nie chciał zapewne przestraszyć swojej córki.

Charlotta nie wyglądała na przekonaną.

- Bardzo jestem wdzięczna, lady Kiri, że wyjawiała mi pani prawdę. - Popatrzyła na nią ze smutkiem. - Gdyby mi wolno było mieć damy dworu, natychmiast bym zażądała, by została pani pierwszą z nich.

- Wasza Wysokość jest uosobieniem łaskawości - odparła Kiri, ciesząc się w duchu, że nie grozi jej nudne dworskie życie. Gdyby musiała wiecznie towarzyszyć księżniczce, skazanej na tak monotonną egzystencję, niezawodnie by oszalała. - Kiedy przyjdzie na to czas, z pewnością nie zabraknie kandydatek zasługujących w pełni na taki zaszczyt.

- Chciałabym, żeby znalazła się wśród nich moja droga przyjaciółka, panna Elphinstone. Ale musimy się z tym wstrzymać. - Charlotta zmarszczyła brwi. - Mam nadzieję, że ci spiskowcy zostaną pojmani jak najszybciej. Za dwa tygodnie biorę udział w uroczystym otwarciu obrad parlamentu.

Boże wielki. Czy Kirkland o tym wie?

- Nie mam prawa wtrącać się do tych spraw, ale udział Waszej Wysokości w takim wydarzeniu jest chyba... dość ryzykowny. Zgromadzą się wielkie tłumy, a porywacze i zamachowcy mogliby to wykorzystać.

Charlotta dumnie uniosła głowę.

- Po raz pierwszy mam uczestniczyć w takiej uroczystości. Z pewnością nie uchylę się od tego obowiązku.

- Ależ Wasza Wysokość nie byłaby bezpieczna - wyjaśniła Kiri bez ogródek. - Spiskowcy, nie mogąc porwać Waszej Wysokości, mogliby poważnie się... nawet na zabójstwo.

Charlotta wyglądała na przestraszoną, lecz zwyciężył w niej upór i monarsza duma.

- Tchórz nie jest godzien tego, by rządzić Anglią.

- Trudno się z tym nie zgodzić. - Kiri nie chciała traktować księżniczki jak dziecka Charlotta musiała się nauczyć poczucia odpowiedzialności,

choćby z uwagi na to, jak wielkie brzemie będzie spoczywało w przyszłości na jej barkach.

- Wielu niezwykle uzdolnionych, a jeszcze bardziej oddanych ludzi zrobi wszystko, by zapewnić Waszej Wysokości bezpieczeństwo. Jednak Wasza Wysokość musi sama mieć się na baczności i zważać na to, co się dzieje wokół niej. Brwi Charlotty znów się zmarszczyły.

- Gdybym nie zareagowała wówczas, kiedy jeden z porywaczy zawołał: „Wasza Wysokość”, nie rozpoznałiby mnie. Ma pani na myśli właśnie coś takiego, lady Kiri?

- Istotnie. Przede wszystkim powinien nas strzec własny zdrowy rozsądek. - Kiri popijała bez pośpiechu herbatę, zastanawiając się, jak długo jeszcze wypada jej tu zostać. Dworska etykieta zapewne wymagała, by wizyta była jak najkrótsza. - Proszę zaufać własnej intuicji. Jeśli jakaś sytuacja albo jakaś osoba wydaje się nam dziwna czy podejrzana, bardzo możliwe, że to nasz umysł dostrzegł grożące nam niebezpieczeństwo, choć my nie uświadamiamy sobie tego w pełni.

Charlotta westchnęła.

- Ponieważ należę do królewskiej rodziny, większość otaczających mnie ludzi zachowuje się nienaturalnie. Trudno by mi było odróżnić prawdziwych wrogów od napuszonych głupców. Jednak spróbuję zastosować się do pani rad, lady Kiri. - Po czym, zmieniając nagle temat, zauważyła: - To sari jest przepiękne, ale czy te zwoje jedwabiu nie opadną ni stąd, ni zowąd na ziemię?

- Istnieją specjalne sposoby układania fałd i utrzymywania ich w równowadze; nauczanie się, jak nosić sari, zajmuje trochę czasu - odparła Kiri.

Różne sposoby wkładania i noszenia hinduskich strojów okazały się bezpiecznym tematem rozmowy. Kiri wstała z krzesła i pokazała, w jaki sposób sari należy owinać wokół ciała i zabezpieczyć tak, żeby się nie ześlizgnęło. Kiedy zaś uznała, że minęło już dwadzieścia minut, oświadczyła:

- Nie powinnam zabierać Waszej Wysokości więcej czasu. Jestem pewna, że Wasza Wysokość ma jeszcze przed wyjazdem mnóstwo spraw do załatwienia.

Charlotta przytaknęła.

- Rzeczywiście. Bardzo dziękuję, lady Kiri, że mnie pani odwiedziła. - I podnosząc się z miejsca, spytała: - Mogę dotknąć tego jedwabiu? Wydaje się taki delikatny...

- Ależ oczywiście. - Kiri przyciągnęła jedną z udrapowanych na plecach fałd, żeby księżniczka mogła ją wziąć do ręki. - Niektóre sari są z tak cieniutkiego materiału, że można je przeciągnąć przez obrączkę. To wykonano z nieco grubszego jedwabiu, ponieważ w Anglii jest znacznie chłodniej.

Niestety, grubszy jedwab nie okazał się wystarczającą osłoną przed brytyjskim zimmem.

Charlotta z podziwem wzięła do ręki jedwabną fałdę, która - gdy ją po chwili puściła - odfrunęła i opadła dokładnie tam, gdzie powinna.

- Kiedy zostanę królową, będę miała narodowe stroje ze wszystkich krajów, którymi włada Anglia.

- Jakież to piękny gest, Wasza Wysokość. - Kiri złożyła dworski dyg. - Proszę mnie powiadomić, gdy Waszej Wysokości będzie potrzebny kolejny flakonik perfum.

- Mam nadzieję, lady Kiri, że znów mnie pani odwiedzi, kiedy wrócę do Londynu. - Kiri trzymała już rękę na kłamce, gdy księżniczka nagle spytała z tęsknotą w głosie: - Czy będę kiedyś wolna i szczęśliwa?

- Nikt z nas nie jest całkowicie wolny, chyba że nie ma już nic do stracenia. A mało kto pragnąłby wolności za taką cenę. - Kiri zamilkła i w tejże chwili ogarnęło ją nagle przeczucie. Nie, to była pewność. - Ale Wasza Wysokość znajdzie miłość i szczęście. Ja to po prostu wiem.

Twarz Charlotty rozjaśniła się.

- Dziękuję, lady Kiri.

Kiri w odpowiedzi skinęła głową i wyszła z salonu. W chwili nagłego olśnienia pojęła nie tylko to, że Charlotta zazna kiedyś szczęścia, ale i to, że nie potrwa ono zbyt długo.

Przynajmniej będzie mogła go zakosztować. Nie było to dane każdemu władcy.

Ze względu na wciąż pogarszającą się pogodę Mac rad był, że wizyta u Jej Wysokości nie przeciągnęła się zbyt długo.

Kiedy Kiri wynurzyła się z wnętrza Warwick House, głowę miała już osłoniętą kapturem. Cassie skromnie postępowła z tyłu, dwa kroki za swoją panią.

Mac miał ochotę spytać, czy Kiri dowiedziała się czegoś interesującego, ale jakoś nie wypadało pod królewską rezydencją porzucać bezceremonialnie roli lokaja. Otworzył więc drzwiczki powozu i opuścił schodki, by obie jego towarzyszki mogły się czym prędzej schronić przed deszczem.



Kiedy damy znalazły się już bezpiecznie we wnętrzu karety, Mac wdrapał się na swoją wysoką grzędę w tylnej części powozu. Listopadowy wieczór był zimny i mokry, a zanim dotarli z powrotem na Exeter Street, zrobiło się całkiem ciemno. Deszcz też się jeszcze nasilił.

Rad z tego, że nie jest w rzeczywistości lokajem, Mackenzie pomógł Kiri i Cassie przy wysiadaniu. Kiri włożyła rękawiczki i nawet na niego nie spojrzała, gdy brał ją za rękę. Mimo to Mac wyczuwał, jak bardzo świadoma jest jego bliskości.

- Kirkland powiedział, że spróbuje przyłączyć się znów do nas w porze obiadu. Nie przypuszczam, żebyś dowiedziała się czegoś interesującego od księżniczki Charlotty?

- Właśnie że tak. - Kiri weszła na frontowe schodki. - Księżniczka zamierza wziąć udział w uroczystym otwarciu obrad parlamentu, od dziś za dwa tygodnie.

- Nie najlepsze wieści. Nie mogłaś jej przekonać, żeby wybiła to sobie z głowy?

Otworzył przed nimi drzwi frontowe.

- Próbowałam, ale bez skutku. Jest strasznie uparta - nieodrodna córka dynastii hanowerskiej - i powiada, że to jej powinność. Wchodząc do domu, Kiri rzuciła Macowi przelotne spojrzenie. - Trudno ją zniechęcać do czegoś, co istotnie należy do królewskich obowiązków.

- Święta prawda - Cassie weszła do domu zaraz za Kiri i od razu skierowała się ku schodom. - No to do zobaczenia przy obiedzie.

I takim oto sposobem Mac pozostał w holu sam na sam z Kiri. Podszedł do niej od tyłu, by zdjąć jej z ramion ociekający wodą płaszcz. Gdy go zdejmował, najpierw rzucił mu się w oczy węzeł jej gęstych, lśniących włosów, potem wypukłość piersi, a w końcu pas nagiej skóry poniżej szkarłatnego stanika. Skomplikowany układ jedwabnych fałd sari podkreślał jeszcze doskonałość sylwetki Kiri.

Obejrzała się przez ramię. Szkarłatny jedwab zamigotał prowokująco, zapachniały odurzające perfumy. Mac znieruchomiał, jego ręce zacisnęły się na grubej wełnie płaszcza Kiri. Była jak gorączkowy sen, piękny i kuszący, więc zapragnął wziąć ją w ramiona. A potem wyplątać ją z fałd jedwabnego sari, by objawiła się ukryta pod nimi skóra, jeszcze bardziej jedwabista.

- Czemu tak na mnie patrzysz? - spytała.

Jej głos - przejmujący niczym akord muzyczny - poraził jego zmysły. Nic dziwnego, że całe opanowanie Maca znikło. Objął Kiri ramionami i przygarnął do siebie, tak iż wtuliła się w niego plecami i doskonałym w swej krągłości tyłeczkiem. Z sercem bijącym na alarm Mac wyszeptał:

- Proszę cię, nie drażnij się ze mną, Kiri. Bóg świadkiem, że trudno mi utrzymać ręce przy sobie, kiedy jesteś w europejskim stroju, ale sari to najbardziej bezczelna prowokacja w świecie.

Przez chwilę trzymał Kiri tuż przy sobie, wyczuwając przez cienki jedwab ciepło jej ciała i gwałtowne pulsowanie krwi. Tak bardzo pragnął odgarnąć lśniąca tkaninę i pieścić te kuszące okrągłości...

Ucałował ją w szyję, Kiri wydała zdławiony jęk. Rad z tego dowodu, że nie jest względem niego obojętna, wypuścił ją z objęć i nieco się odsunął, wymyślając sobie w duchu od głupców. Czemu jej w ogóle dotykał?

Odwróciła się z szelestem jedwabiu, mocno zarumieniona.

- Sari wymyślono przede wszystkim po to, by kobieta mogła poruszać się swobodnie nawet w zabójczym upale. A to, że wyglądamy przy tym kusząco, to tylko niewielki dodatkowy plus.

- Ogromny plus - zapewnił z przekonaniem. - W tym stroju jesteś dla każdego mężczyzny ucieleśnieniem jego marzeń o zmysłowym, egzotycznym Wschodzie.

Zielone oczy Kiri zmieniły się w szparki, jak u rozzłoszczonego kota.

- A więc należysz do tych, którzy sądzą, że kobiety Wschodu to za-baweczki dla Europejczyków?

- Doskonale wiesz, że wcale tak nie jest. - Rozumiał jej drażliwość na tym punkcie. - Jesteś piękna i kusicielska o każdej porze i w każdym stroju, ponieważ stanowisz jedyne w swoim rodzaju połączenie Wschodu i Zachodu.

Gdyby pozbawić cię jednej lub drugiej połówki twego dziedzictwa, nie byłabyś aż tak nieodparta. Za to w swej dwoistości jesteś przepiękna, a jeszcze piękniejsza będziesz za pięćdziesiąt lat, gdyż każdy następny rok życia doda ci doświadczenia i mądrości.

Uśmiechnęła się do niego przepaszająco.

- Dobrze powiedziane, Mackenzie. Naprawdę poznałeś różnorodne oblicza mojej osobowości. Ponieważ jednak sari wydaje się tutaj czymś zgoła nieodpowiednim, przebiorę się przed obiadem w coś europejskiego i będę wyglądać przyzwoicie i nieciekawie.

Uniosła nieco spódnicę i ruszyła schodami na górę, jedną ręką dotykając lekko poręczy.

- Choćbyś nie wiem co włożyła, nigdy nic będziesz wyglądała nieciekawie - zapewnił ją szeptem.

Nie dała po sobie poznać, że usłyszała jego słowa. Spoglądał za nią, gdy wspinała się coraz wyżej, i wiedział, że choć wygląda pięknie w swoim sari, jest stokroć piękniejsza, nie mając nic na sobie.

Życie stałoby się dla niego znacznie łatwiejsze, gdyby nie pamiętał, i to ze szczegółami, jak cudownie wygląda Kiri bez osłonek.

Główne danie stanowiła gorąca, prosto z pieca, zapiekanka z mięsa i ziemniaków - idealna potrawa na taki zimny, mokry wieczór. Mac zauważył, że Kiri włożyła skromną suknię, zapiętą pod samą szyję - ani kawałka grzesznego ciała od podbródka po kostki u nóg. A jednak nadal cieszyła jego wzrok i inne zmysły, stokroć bardziej niż smakowita zapiekanka.

Kirkland nalał wszystkim siedzącym przy stole doskonałego czerwonego wina, po czym spytał:

- Czy któreś z was chciałoby mnie o czymś powiadomić? Odezwała się Cassie:

- Do Roba i do mnie dotarła wieść o krążących wśród francuskich emigrantów pogłoskach, że na coś się zanosi. Nikt jednak nie miał pojęcia, na co. Mówi się także o tajemniczym zniknięciu Clementa, choć raczej nie wiadano o jego karierze szpiegowskiej.

- W takim razie nie grozi nam chyba, że zjawi się ktoś, powoła na prawo *habeas corpus* i zażąda uwolnienia Clementa, ponieważ nie usłyszał, o co się go obwinia? - Kirkland pokręcił głową. - Nie jestem najlepszym znawcą angielskiego prawa.

- Nie przejmuj się tym za bardzo - poradził mu Carmichael. - Clement na pewno wie, że gdyby sądono go zgodnie z ustalonym trybem postępowania, nie wywinąłby się od najwyższego wymiaru kary i jego szanse na przetrwanie byłyby znikome.

- No właśnie. - Kirkland zachmurzył się. - Mam nadzieję, że Clement zdobędzie się w końcu na przekazanie nam większej ilości informacji. Wolałbym, żeby go nie powiesili.

Kiri powolutku sączyła wino.

- Jeśli chodzi o inne nowiny, to byłam dziś na herbacie u księżniczki Charlotty.

To niewinne stwierdzenie przyciągnęło natychmiast uwagę Kirklanda.

- Powinna już być w Windsorze,

- Wyjeżdża tam jutro i chciała mi przedtem podziękować za pomoc, jakiej udzieliłam jej w Klubie Damiana - wyjaśniła Kiri. - Podarowałam księżniczce flakonik perfum, a ona wspomniała, że weźmie udział w otwarciu obrad parlamentu za dwa tygodnie.

Kirkland zaklął pod nosem z gwałtownością, która zaskoczyła Maca. Szkot znany był ze swego opanowania, zwłaszcza w obecności kobiet. Mackenzie zauważył:

- Sądząc z twojej reakcji, przypuszczam, że udział księżniczki w tej uroczystości może być związany z jeszcze większym ryzykiem, niż myślałem.

Kirkland odsunął się z krzesłem od stołu. Wyglądał na śmiertelnie zmęczonego.

- Szpiegowskie sumienie w dalszym ciągu nie pozwala Clementowi wyjawić nam żadnych nazwisk, choć Francuz nie pochwała planowanych zamachów na rodzinę królewską. Jedynym strzępem informacji, jaki dziś nam przekazał, było ostrzeżenie, by zadbać o bezpieczeństwo rodziny królewskiej podczas uroczystego otwarcia parlamentu.

Cassie zmarszczyła brwi.

- Czyżby spiskowcy zamierzali spowodować wybuch w Pałacu West-minsterskirn? Beczki z "prochem, jak za czasów Guya Fawkesa, ukryte w podziemiach pod Izbą Lordów?

- Możesz być pewna, że cały gmach zostanie przeszukany od góry do dołu, i nie pominą żadnego schowka ani zakamarka - odparł Kirkland. - Ale zamachowcy pojedynczo mogliby bez trudu zbliżyć się do powozów rodziny królewskiej, a nawet wślizgnąć się do wnętrza budynku.

- Wszyscy najbardziej się niepokoiimy o księżniczkę Charlotte - powiedziała Cassie, ważąc każde słowo. - Może by tak Kiri została jedną z towarzyszących jej dam? Obecność córki i siostry księcia Ashton nikogo by nie zdziwiła, a stanowiłaby dodatkowe zabezpieczenie... na wszelki wypadek.

Mac cały się sprężył.

- Gdyby zaczęły się jakieś kłopoty, Kiri znalazłaby się na pierwszej linii ognia. Ashton z pewnością nie życzyłby sobie tego.

Mackenzie również.

- Przecież po to tu jestem. - Kiri popatrzyła mu prosto w oczy. - A ryzyko z pewnością nie będzie zbyt duże.

- Owszem, to może być niebezpieczne - przyznał bez ogródek Kirkland. - Dziś po południu ktoś próbował zastrzelić księcia Yorku, gdy ten opuszczał koszary Królewskiej Gwardii Konnej. Na szczęście, strzelano z daleka i niecelnie. W pokoju zapanowała cisza. Księżę Yorku, najstarszy z braci księcia regenta, był trzeci w kolejce do tronu, zaraz po Charlocie.

- A zatem spiskowcy nadal zamierzają wymordować rodzinę królewską - odezwał się Carmichael. - Miałem już nadzieję, że to, czego dokonaliśmy dotąd, wystarczy, by ukryli się znów jak szczury w ścieku.

- Niestety, nie wystarczyło. - Twarz Kirklanda była jak wykuta z granitu. - Musimy czym prędzej odnaleźć spiskowców, nie wzbudzając ogólnej paniki.

- W takim razie - zaproponował Mac, otwierając kolejną butelkę czerwonego wina i napełniając wszystkie kieliszki - wypijmy za nasz sukces.

W pierwszej chwili był prawie pewny, że jego beztroski ton sprowokuje Kirklanda i przyjaciel chluśnie mu winem w gębę. Szkot jednak zaraz się odprężył i podniósł swój kieliszek.

- Za nasz sukces.

Stuknęli się wszyscy kieliszkami i wypili. A Mac, przelękając wino, starał się nie myśleć o uroczystej formułce, jaką gladiatorzy witali cesarza Klaudiusza: *Ave, Caesar, morituri te salutant*.

Pozdrawiamy cię, idąc na śmierć.

### 30

Major William, lord Masterson, dowiedział się o śmierci Maca w Portugalii, a konkretnie w Oporto, gdzie bawił z wizytą u swego szkolnego kolegi, Justina Ballarda. Kiedy wojsko udało się na zimowe kwatery, Will postanowił wrócić na kilka miesięcy do Anglii. Częściowo ze względów zrozumiałych dla każdego, a po części dlatego, że dręczyły go jakieś niejasne przecucia. Ot, żołnierska intuicja, której lepiej nie lekceważyć.

Przybył do domu Ballarda poprzedniego dnia, a raczej późną nocą, i zasnął głęboko. Następnego ranka wszedł rozziewany do pokoju śniadaniowego. Nie zwracając uwagi na najedzenie, podszedł do okna i zapatrzył się na lśniąca wstęgę płynącej w dole rzeki Douro.

- Podoba mi się twój nowy dom, Justinie. Wczoraj, gdy przyjechałem, było już zbyt ciemno, by podziwiać widoki.  
- Nie mówiąc już o tym, że ledwo się trzymałeś na nogach ze zmęczenia. - Ballard nalał do wielkiego kubka gorącej, mocnej kawy, dolał śmietanki, dosypał cukru i podał kubek Willowi. - Cieszę się, że zabawisz u mnie kilka dni, zanim popłyniesz do Anglii.

Will wziął od niego kubek, wypił potężny łyk wrzącej kawy i poczuł się bardziej odprężony, niż mu się to zdarzało od miesięcy.

- Byłbym głupcem, gnając na łeb na szyję do tonącej w listopadowym deszczu Anglii, kiedy mogę odwiedzić producenta najlepszego portu w Portugalii.

Ballard roześmiał się.

- Nie dam głowy, czy jest to najlepsze porto w całej Portugalii, ale możesz go pić, ile zechcesz, i to za darmo. Cały nasz winny interes znajduje się teraz w stanie kompletnego chaosu po tych nieustannych bijatykach, ale dajcie nam tylko trochę czasu, a wszystko wróci do normy.

Will oderwał wzrok od rzeki, na której roiło się od łodzi i niewielkich statków, i spojrzał na swego przyjaciela.

Ciemnowłosy Ballard, z dużą domieszką krwi portugalskiej, z jednakową swobodą władający obydwoma językami, mógł bez trudu uchodzić za rdzennego Portugalczyka.

- Myślisz, że naprawdę wrócisz kiedyś na stałe do Anglii?

- Oczywiście. Mam przecież we krwi tę cholerną mgłę i to mnóstwo angielskiej zieleni. Ale Portugalię też kocham. -

Ballard popijał wolniutko kawę. - Każdemu wyszłoby na dobre, gdyby przeżył choć rok w obcym kraju.

- Zwłaszcza gdyby nie żył przy tym w wiecznym strachu, że zaraz zaczną do niego strzelać — odparł zgryźliwie

Will. - Coś mi się zdaje, że nie miałem okazji poznać z najlepszej strony ani Portugalii, ani Hiszpanii.

- Musisz tu przyjechać na dłużej, kiedy pokój wreszcie do nas zawita. - Ballard odsunął się od okna. - A teraz zjedz coś. Jajecznicą z cebulką i kiełbasą *chorizo* to dobry początek każdego dnia. A na dodatek

mam londyńskie gazety, prosto ze statku. Świeżutkie, najwyżej sprzed tygodnia.

- Widać statek pocztowy musiał trafić na dobry wiatr.

Will zgarnął na talerz podwójną porcję jajecznicy i schwycił dwie kromki jeszcze gorącego chleba. Potem usadowił się przy stole na wprost Ballarda, dolał sobie kawy i wziął do ręki londyńską gazetę, która leżała na samej górze dopiero co przyniesionego stosu. Ogromną zaletę podczas odwiedzin u starych przyjaciół stanowiło to, że nikt człowieka nie zmuszał do nieustannej konwersacji.

Will przerzucał od niechcenia strony gazety, czytając te artykuły, które przyciągnęły jego uwagę. W końcu dotarł do zawiadomień o zgonach i wypadkach - i zastygł w bezruchu. Przeszył go zimny dreszcz.

Musiał coś krzyknąć czy wybełkotać, gdyż zza drugiej gazety wyłoniła się głowa Ballarda.

- Stało się coś?

- Chyba... mój brat nie żyje. - Will odetchnął głęboko, starając się oswoić z myślą, że nie ma już nieobliczalnego Maca. - Tutaj piszą, że chciał zapobiec włamaniu do swojego klubu i został zastrzelony.

Ballard odebrał mu gazetę i przeczytał uważnie wzmiankę. Był wyraźnie zaszokowany.

- Nie mogę w to uwierzyć. Mackenzie wydawał się taki... niezniszczalny.

- Może to nieprawda - odparł Will, bo sam nie mógł i nie chciał w to uwierzyć. - Mac współpracował z Kirklandem, a to przeważnie oznacza, że sprawy wcale nie mają się tak, jakby się wydawało.

- Wszystko możliwe - powiedział cicho Ballard. - Ale... raczej bym na to nie liczył.

- Wiem. - Will wstał z krzesła. Odechciało mu się jeść. - Wolę popłynąć tam najbliższym statkiem, niż czekać tu, licho wie na co.

- Ten statek pocztowy wraca dziś po południu do Londynu. - Ballard podniósł się także. - Poślę mojego sekretarza, żeby się rozpatrzył, czy jest jakaś wolna kajuta.

- Mogę spać na pokładzie, ale muszę się dostać na ten statek - odparł zwięźle Will.

- Na pokładzie? Niezbyt mądry pomysł. Przecież to listopad. Jesteś, u diabła, oficerem, dżentelmenem, nawet angielskim baronem. Z pewnością znajdzie się dla ciebie coś lepszego niż miejsce na pokładzie.

Ballard dotknął w przelocie ramienia Willa, zanim wyszedł, by wydać polecenia swemu sekretarzowi. Will przejrzał pozostałe gazety, ale w żadnej nie znalazł dokładniejszego opisu tego tragicznego wydarzenia. Damian Mackenzie. Zabity w alejce w pobliżu klubu. Will ani rusz nie mógł sobie tego wyobrazić. Zamiast tego przypomniał mu się Mac jako mały chłopiec. Taki jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy. Matka Maca dopiero co umarła, a teraz los rzucił go między obcych. Chłopiec był przerażony, ale uparł się, że nie pokaże po sobie strachu. Ojciec obu chłopców przebywał poza domem i służba nie wiedziała, co począć z tym dziwnym dzieciakiem, którego przysłała tu pokojówka jego zmarłej matki. Sama gdzieś przepadła, ale zapłaciła za przejazd Maca dyliżansem i odprowadzenie dziecka do rezydencji barona, wraz z dokumentami potwierdzającymi, że malec jest istotnie jego nieślubnym synem. Majordomus był jak najbardziej za tym, by odstawić to kukułcze piskłę do najbliższego przytułku dla ubogich, ale Will absolutnie się na to nie zgodził. Zazwyczaj był łatwym do prowadzenia dzieckiem, z natury dobrodusznym i ustepliwym. Tego dnia jednak odezwały się w nim, uspięne dotąd, duma i bezwzględność. Zarządzający domem oświadczył, że panicz Will nie może brać pod opiekę tego obcego chłopca, bo to nie kotek czy piesek, ale Will tak właśnie postąpił. Zawsze pragnął dostać braciszka albo chociażby siostrzyczkę, ale jakoś nie miał szczęścia. A potem ten braciszek spadł mu dosłownie z nieba. W dodatku taki podobny do Willa, że od razu było widać: to ktoś z rodziny. Opór Maca zdołał pokonać bez trudu. Wystarczyło, że był dla niego dobry. Zabrał swojego nowego braciszka na górę, do pokoju dziecinnego, przedstawił go niani i oddał mu część swoich zabawek. Zanim lord Masterson powrócił, Mac stał się już integralną częścią domu, a Will bardzo wyraźnie dał do zrozumienia, że nie pozwoli zabrać braciszka nie wiadomo dokąd. Lord Masterson - podobnie jak Will - nie lubił nieprzyjemnych sytuacji. Poczuwał się zresztą do pewnej odpowiedzialności za swego nieślubnego syna, toteż Mac pozostał w jego domu. Traktowano go prawie tak, jakby był prawowitym członkiem rodziny. Prawie, ale niezupełnie. Tylko Will akceptował go bez zastrzeżeń, jakby nieprawie pochodzenie Maca nie miało najmniejszego znaczenia.



Dlatego właśnie obaj wylądowali ostatecznie w Westerfield Academy. Lord Masterson pogodził się z tym, że nie da się rozłączyć obu chłopców, nie chciał jednak afiszować się ze swoim nieślubnym synem w Eton. Tak więc Will został oddany pod opiekę lady Agnes, a Mac znalazł się na stacji u proboszcza parafii Westerfield. Pastor zajął się uzupełnieniem wykształcenia Maca, póki jego chaotyczne, przypadkowo uzbierane wiadomości nie przekształciły się w zasób wiedzy niezbędny dla chłopca rozpoczynającego naukę w szkole lady Agnes. I tak oto Mac znalazł się w Akademii, o klasę niżej niż Will.

Po ukończeniu Westerfield Academy obaj bracia nadal byli ze sobą ściśle związani, choć niekiedy znajdowali się bardzo daleko od siebie. Najpierw wstąpił do wojska Mac. Will także tego pragnął, ale jako dziedzic tytułu i majątku Mastersonów nie mógł sobie na to pozwolić. Kiedy jednak w dramatycznych okolicznościach Mac rozstał się z armią i wrócił do Anglii, Will poczuł, że ma teraz pełne prawo poświęcić się służbie wojskowej.

Zawsze jednak pisywali do siebie. Przez lata zebrały się całe stopy listów. Te od Maca były zabawne, choć nieraz diabelnie złośliwe.

Will wiedział, że jego epistoły nie są tak zajmujące. No cóż, on sam był także niezbyt interesujący. Ale takie czy inne, listy sprawiały, że łączące braci więzy nadal pozostały żywe. Gdyby któremuś z nich była pisana przedwczesna śmierć, z pewnością powinien zginąć Will - oficer w czynnej służbie podczas kampanii wojennej. Ale nie. Przeżył lata wojny bez poważniejszych obrażeń i tylko raz naprawdę ciężko zaniemógł.

Macowi w ogóle nic nie powinno było grozić. Jeśli istniała w świecie jakaś sprawiedliwość, sama wesołość Maca i jego witalność winny były zapewnić mu nieśmiertelny żywot.

Aż dziw, że Will, od tylu lat żołnierz, mógł być takim wielkim optymistą.

Nie wiedział, jak długo wpatruje się w srebrne wody rzeki Douro, ale powrót Ballarda przerwał tę zadumę.

- Masz miejsce w kajucie na statku pocztowym, który odplywa za trzy godziny - oznajmił mu przyjaciel. - Kajuta jest mała i będziesz ją dzielił z pewnym tłusciochem, kupcem winnym, ale on ma wobec mnie dług wdzięczności, więc się na to zgodził. Może wam chwilami brakować powietrza; radzę oddychać na zmianę.

- Jakoś sobie poradzimy. Dzięki, Justinie. - Will uśmiechnął się krzywo. - Dobrze, że się nie rozpakowałem.

W gruncie rzeczy był rad, że wraca do Londynu. Przede wszystkim odnajdzie Kirklanda i spyta go, co się, u diabła, naprawdę stało z jego jedynym bratem?

### **31**

Kiri ziewała przez całą drogę, schodząc na dół, do pokoju śniadaniowego. Choć odpowiadały jej spotkania towarzyskie i zawieranie znajomości z ludźmi wszelkiego pokroju, teraz - po dziesięciu dniach włóczenia się po nocnych klubach, przebywania niemal wyłącznie wśród hazardzistów i popijania rozmaitych trunków, na które w gruncie rzeczy nie miała wcale ochoty, marzyła o spokojnym wieczorze na Exeter Street. Jeszcze więcej radości sprawiłby jej wieczór w gronie rodziny, ale wszyscy przecież wyjechali na północ, do posiadłości jej brata. Kiri zdecydowanie lepiej się czuła, gdy wszyscy, których kochała, znajdowali się w pobliżu.

Znacznie gorsza od tęsknoty za rodziną była wszakże świadomość, że dzieli ich już tylko tydzień od uroczystego otwarcia parlamentu, a nie mogą się pochwalić żadnym większym sukcesem, jeśli chodzi o udaremnienie spisku. Co prawda, nie było następnych prób zamachu czy porwania, ale mogło to oznaczać, że spiskowcy czekają na odpowiednią chwilę, by zadać decydujący cios.

Kiri nie przebywała w Londynie wystarczająco długo, aby uczestniczyć osobiście w otwarciu obrad parlamentu, ale Mackenzie wyjaśnił jej, że jest to wielka uroczystość. Na ulicach Londynu zbierają się ogromne tłumy gapiów, żeby podziwiać, jak członkowie rodziny królewskiej oraz premier z całym swym gabinetem zjeżdżają się, by wziąć udział w tej gali. Z wielką pompą i zachowaniem należnego ceremoniału prezentowano całemu światu potęgę i wspaniałość brytyjskiego imperium. Była to, rzecz jasna, również znakomita okazja dla rozmaitych opryszków.

Cassie i Mackenzie jedli właśnie śniadanie. Mac spojrzął na wchodzącą Kiri i uśmiechnął się do niej serdecznie. W ciągu kilku ostatnich dni jakoś udawało się im obojgu utrzymywać wyłącznie zawodowe kontakty i zachowywać się nienagannie ku wielkiemu rozczarowaniu Kiri.

Ileć się spojrzała na Maca, przypominała się jej chwila, gdy wziął ją w ramiona, prosząc, by się z nim nie drażniła. Jedną ręką obejmował ją w talii, drugą za ramiona, tak że przylegali do siebie idealnie.

Przez krótką radosną chwilę Kiri łudziła się, że Mac zmienił zdanie w sprawie swego bezcennego honoru - ale ten przeklętnik zaraz ją puścił. Nie bez wysiłku, ale puścił. Kiri wmawiała sobie, że nie chciałaby mężczyzny, który nie potrafi się opanować, lecz nie była wcale pewna, czy w to wierzy.

Zasłaniając usta ręką, bo znów ziewnęła, Kiri przyglądała się uważnie podgrzewanym półmiskom z gorącymi daniami. Jajecznica z cebulką, kartofelki, przysmażony boczek. Coś w sam raz dla nabrania sił w ten pogodny, lecz mroźny ranek.

Do pokoju śniadaniowego wkroczył z zaaferowaną miną Carmichael.

Cassie podniosła wzrok znad talerza.

- Dobre wiadomości? - spytała. - Spiskowcy pod kluczem?

- Jeszcze nie, ale nareszcie coś drgnęło - odparł Rob. - Dziś po południu odbędzie się mecz bokserski. Nie wystąpią najświetniejsi mistrzowie, tylko pomniejsze gwiazdki, ale i one ściągają wielu mieszkańców Londynu i mniej wybrednych przedstawicieli eleganckiego towarzystwa.

Kiri od razu się ożywiła.

- Będą walczyć chłopaki w rodzaju tego porywacza z Klubu Damiana?

- No właśnie - potwierdził agent z Baw Street. - Myślisz, że poznałabyś go, Kiri?

- Może i tak - odparła ostrożnie. - Nie używał żadnej wody koloń-skiej, ale przyjrzałam mu się uważnie i pamiętam jego ruchy i sylwetkę. Zapaszek zresztą też.

- Zdecydowanie warto spróbować - orzekł Mackenzie. - Czas ucieka, a my nie posunęliśmy się ani o krok.

- Kirkland ma oprócz nas innych agentów, którzy nie próżnują. - Carmichael skrzywił się lekko. - Niestety, oni także nie odnoszą oszołamiających sukcesów.

- Karta może się odwrócić w każdej chwili. - Mackenzie spojrzał na Kiri. - Włóż coś, co by się nie rzucało w oczy.

Lepiej nie wywoływać zamieszek ulicznych.

- A poza tym jest za zimno na przepastne dekolty - zauważyła Cassie. - No więc, kto dziś wystąpi na ringu?

- Dwaj młodzi bokserzy, McKee i Cullen. Obaj uchodzą za obiecujących pięściarzy, więc powinni wypaść nienajgorzej.

- Biedni durnie - mruknęła Cassie. - Nie spodoba ci się to, Kiri.

- Chyba masz rację - odparła Kiri, przypominając sobie, co słyszała o walkach na gołe pięści. - Ale będzie to zawsze jakieś nowe doświadczenie.

Nowych doświadczeń nie brakowało jej od samego przyjazdu do Anglii. Popatrzyła uważnie na Mackenziego, który nakładał sobie właśnie na talerz. A wśród tych doświadczeń było zwłaszcza jedno, które jak najbardziej warto by powtórzyć...

Tej nocy był przymrozek, toteż dzień okazał się zimny, choć jasny. Mecz bokserski ściągnął prawdziwe tłumy miłośników tego sportu na pole za gospodą, nad brzegiem rzeki. Kiri trzymała się mocno ramienia Mackenziego, trochę zaniepokojona wyraźnym podnieceniem zgromadzonej tu cizby. Większość widzów stanowili ludzie pracy, i to ciężkiej, choć trafiały się także grupki elegancko ubranych dżentelmenów.

Cała ich czwórka - Kiri, Mac, Cassie i Rob - przyjechała na to widowisko nieco podniszczonym, ale obszernym powozem, który woźnica zatrzymał na skraju pola. Właściciele innych powozów wdrapywali się nawet na ich dachy, byle mieć jak najlepszy widok, ale czwórka z Exeter Street wmieszała się w tłum zwykłych widzów. Kobiet wśród nich prawie nie było, a żadna z obecnych nie zaliczała się do dam.

Pośrodku pola wydzielono kawałek ziemi o powierzchni ośmiu stóp kwadratowych i odgrodzono linami, przywiązanymi do czterech słupków. Dwóch mężczyzn, nagich do pasa, stało w przeciwległych narożnikach, mierząc się nawzajem gniewnym spojrzeniem. Kibice obsypywali swych faworytów przesadnymi pochwałami. Mackenzie, który prezentował się bardzo godnie w roli kupca z północnej Anglii, wyjaśniał swej towarzyszce:

- Każdy z pięściarzy ma dwóch pomocników, którzy przynoszą mu wodę i pomarańcze, a także ręczniki do otarcia krwi lub pom. Runda trwa, dopóki jeden z zawodników nie zostanie powalony na ziemię. Potem następuje przerwa - trzydzieści sekund - żeby się pozbierał, a jak wstanie, zaczyna się następna runda. Walczą do chwili, gdy jeden z nich nie zdoła się już podnieść.

Kiri skrzywiła się. Mac zapewne tego nie dostrzegł, bo czepek z szerokim rondem zasłaniał jej twarz.

- Chyba im zimno bez tych koszul - zauważyła.

- Szybko się rozgrzeją, gdy rozpocznie się walka - odparł Mac. Wiedząc, że wielu młodzieńców z wyższych sfer doskonalili się w tym

sporcie, pod kierunkiem słynnego Dzentelmena Jacksona, Kiri spytała:

- A ty uprawiasz boks?

- Miałbym narażać na szwank moją śliczną buźkę? To nie dla mnie, dziewczuszko. - Mac zabawnie poruszył brwiami.

- Zaraz się zacznie. Ten blondyn to Cullen, a ciemny - McKee.

Nie upłynęły nawet trzy minuty, a Kiri była już pewna, że nie da się nigdy więcej namówić na oglądanie meczu bokserskiego. Wzdrygnęła się i odwróciła głowę, kiedy przeciwnicy zaczęli z całej siły okładać się pięściami.

- To okropne. Wyglądają, jakby chcieli się nawzajem zatłuc na śmierć.

- Nie to jest ich celem, ale istotnie giną nieraz od brutalnych ciosów. I to wcale nie rzadko - przyznał Mackenzie. -

Ale w tym sporcie większe znaczenie ma doskonała technika od brutalnej siły. McKee to lepszy bokser, toteż trzyma się znakomicie, choć jest drobniejszy od przeciwnika. Spójrz na ruchy jego nóg, gdy szykuje się do zadania ciosu, a następnie uskakuje przed pięścią Cullena.

Kiri niechętnie uświadomiła sobie, że jej towarzysz jest naprawdę rozemocjonowany, podobnie jak wszyscy obecni tu mężczyźni.

- Nie zapominaj, po co tu przyjechaliśmy - zwróciła mu uwagę, ścisząc głos, choć tłum tak wrzeszczał, że mogła mówić całkiem głośno bez obawy, że ktoś usłyszy. - Oglądaj sobie mecz, ale czy nie byłoby lepiej przejść się dokoła? Rozejrzałabym się za tymi, których szukamy.

Mac uśmiechnął się z pewnym żalem.

- Przepraszam. To ciekawy mecz, ale masz słuszość: najpierw obowiązek, a potem przyjemność.

Zaczęli się przechadzać wokół ogrodzonego terenu, na obrzeżu tłumy. Kiri uczepliła się kurczowo ramienia Maca; trochę ją przerażała ta rozgorączkowana widownia. Dzięki temu, że czepek osłaniał jej twarz, Kin mogła swobodnie obserwować mężczyzn. Wielu z nich samych wyglądało na bokserów z muskularnymi ciałami i pokiereszowanymi twarzami, nie dostrzegła jednak nikogo, kto przypominałby choć trochę trzeciego z porywaczy, których zamierzali wytropić.

W tłumie nie sposób też było rozpoznać kogoś po zapachu - tym bardziej, że „ich” porywacz nie używał ani wody kolońskiej, ani pachnącego

mydła. Gdy ma się do czynienia z wielką niedomytą rzeszą ludzką, pochwylenie czyjegoś indywidualnego zapachu graniczy z cudem... chyba że się dosłownie leży na tej osobie. Jednakże Kiri widziała tamtego człowieka z dość bliska - i liczyła na to, że zdoła go wypatrzeć w ciżbie.

Przeszli obok Carmichaela i Cassie, którzy stali w miejscu i baczny wzrokiem przeczesywali tłum. Co prawda Carmichael - podobnie jak Mackenzie - wydawał się chwilami zbyt zafascynowany przebiegiem walki. Ach, ci mężczyźni.

Handlarze uliczni krążyli wśród tłumu, zachwalając gorące paszteciki i piwo z gospody, która wyłożyła pieniądze na zorganizowanie tego meczu, wietrząc w tym dobry interes. Mackenzie kupił paszteciki dla nich obojga i Kiri zjadła swój z apetytem.

Przystanęli na chwilę, by zjeść w spokoju. Kiri znów spojrzała w stronę zmagających się bokserów i aż się wzdrygnęła: jednemu i drugiemu krew spływała z poharatanej twarzy na klatkę piersiową.

- Czy nie pora z tym skończyć?

- Obaj zawodnicy stoją pewnie na nogach i gotowi są dalej walczyć. Ale mam wrażenie, że McKee niebawem się rozprawi ze swoim przeciwnikiem; jego przewaga nad nim staje się coraz bardziej widoczna.

Kiri odwróciła wzrok. Nie mogła dłużej na to patrzeć. Mimo wrzasków tłumu słyszała dudnienie pięści, grzmocących z całej siły przeciwnika. Zatrzymali się obok stojących z boku powozów. Kiri przyglądała się im od niechcienia. Lepiej patrzeć na konie niż na ludzkie bestialstwo.

I nagle wyteżyła wzrok. W przejściu między powozami barczysty, muskularny młodzieniec, podobny z wyglądu do tamtego boksera porywacza, został zaatakowany przez całą grupę mężczyzn. Otoczyli go i wyraźnie zanosilo się na zawziętą walkę.

Ten „jej” bokser usiłował wyrwać się napastnikom, ale wszyscy rzucili się na niego i zaczęli okładać go pięściami. Choć dzielnie walczył, nie mógł sobie poradzić z tyloma naraz. Bez trudu powalili go na ziemię. Paznokcie Kiri wbiły się w ramię Maca.

- Napadli na kogoś... chyba na człowieka, którego szukamy. O, tam, między powozami.

I bez namysłu popędziła w stronę walczących.

Mac, który zapatrzył się znowu na mecz, przywrócony raptownie do rzeczywistości, odwrócił się w mgnieniu oka. Stojące blisko siebie powozy znajdowały się z tyłu, za nimi. Zobaczył, że chyba istotnie kogoś mordują w przejściu między faetonem a kariolką na wysokich kołach. Ofiara leżała na ziemi, a napastnicy kopali ją brutalnie.

Mac skoczył w ślad za Kiri. Dziewczyna poruszała się ze zdumiewającą zwinnością, mimo swych długich spódnic, ale zdołał ją dogonić. Kiedy byli już tak blisko walczących, że ci mogli ich usłyszeć mimo ciągłych wrzasków tłumu, Mac zawołał:

- Ej, wy tam. Co się tu dzieje?

- Nie wtykaj nosa w cudze sprawy - warknął jeden z pastwiących się nad bezbronnym. - Ollie dostaje, na co zasłużył.

- Nie wygląda mi to na uczciwą walkę.

Mac znajdował się już dostatecznie blisko, by skutecznie puścić w ruch swoją laskę. Wywinął nią i rąbnął ciężką, mosiężną gałką w szyję zabijaki, który usiłował go odstraszyć. Nie był to cios śmiertelny; Mac chciał jedynie spłoszyć napastników.

Nie miał jednak szczęścia. Trzech drabów zaatakowało go równocześnie. Używał swojej laski to do parowania ciosów, to znów jako maczugi, by grzmotnąć nią to tego, to innego przeciwnika.

Kiri dotrzymywała mu kroku, psiakrew! Choć wiedział, jaka jest sprawna w walce wręcz, aż się wzdrygnął, ujrawszy, że rzuca się na brutala, który nie pozwalał Olliemu podnieść się. Kiri zaatakowała tego bydlaka tak błyskawicznie, że poleciał prosto na koło jednego z powozów, nim się rozpląszczył na zamrożonej ziemi. Nawet się nie zorientował, co tak nim rąbnęło.

Wielka szkoda, że ten błyskawiczny pojedynek nie był lepiej widoczny. Może wówczas napastnicy pojęliby, że najrozsądniej będzie wiać, gdzie pieprz rośnie. Mac z całej siły wałnął drugiego ze swych przeciwników gałką laski, celując między nogi. Uderzony wydał niesamowity pisk, pełen bólu i przerażenia, i upadł, trzymając się za krocze. Trzeci z przeciwników Maca wyciągnął nóż i uniósł go fachowym ruchem. Na szczęście uzbrojony w laskę Mackenzie mógł walczyć skutecznie na dystans. Laska nadawała się również doskonale do wytrącenia broni z ręki opryszka... O, właśnie tak.

Nagle z tyłu rozległy się dzikie wrzaski - grupa widzów rzuciła się w lukę między powozami. Widok walczącego Maca zachęcił mocno napompowanych

piwem miłośników boksu, by przyłączyli się do zabawy. Przy okazji część zwolenników McKee'a zaatakowała tych, którzy kibicowali Cullenowi.

Mac kopał i grzmocił, rozsierdzony nie na żarty, wykorzystując całe swoje doświadczenie i mobilizując wszystkie swe siły i całą wolę przetrwania. Walił laską, pięścią, nogą, łokciem, kolaniem, ale gdzie, u diabła, podziewała się Kiri? Bez względu na to, jak wspaniale potrafiła walczyć, taka rozróżba, w której nie obowiązywały żadne zasady, nie była sportem odpowiednim dla kobiety. Mac odwrócił się błyskawicznie, kręcąc młynka laską, by trzymać wszystkich na bezpieczną odległość, i mierzył bacznym okiem splecione w walce ciała.

Nagle jego rozognione spojrzenie padło na miejsce z tyłu, za faetonem - i ujrzał Kiri, leżącą w kałuży krwi.

### 32

**Kiri.** Straszliwe obrazy, wypalone w jego mózgu, zapłonęły znów przerażającym blaskiem. Serce mu zamarło, zachwiał się na nogach, ciemność zamykała się wokół niego...

**Nie.** Do jasnej cholery, nie zemdleje. Nie ma mowy. Nie tym razem.

Walcząc z ogarniającym go zawrotem głowy i potykając się co krok, Mac usiłował dotrzeć do ukochanej, przerażony jak nigdy dotąd. Kiri mogła być dla niego nieosiągalna, musiał jednak wiedzieć, że chodzi po świecie, żywa i szczęśliwa. Ta świadomość była mu niezbędna do życia.

Opierając się jedną ręką o bok faetonu, by stać prosto, i wywijając swą laską jak maczugą, Mac torował sobie jakoś drogę wśród tłukących się nawzajem miłośników sportu.

Dzielił go od Kiri może tuzin stóp, gdy dziewczyna z trudem wstała, a następnie wzięła się do podnoszenia pokiereszowanego draba. Mac widział jej zakrwawioną twarz i straszliwe plamy na jej płaszczu, lecz poruszała się tak, jakby nie była ranna. Ale tyle krwi...

Spytał chrapliwym głosem:

- Gdzie cię ranili, Kiri?

Jego przerażenie musiało być bardzo widoczne, gdyż odparła uspokajającym tonem:



- Nic mi nie jest, to nie moja krew. Nasz porywacz padając, zderzył się z powozem, zranił się w głowę i krwawi jak zarzynane prosię. - Ollie najwyraźniej próbował uciec, więc schwyciła go za surdut. - Nie pozwól, Mac, żeby się nam wymknął.

Bokser był potężnie zbudowany, ale nie mógł się równać z Mackenzie. Ten schwycił go więc za ramiona i unieruchomił. Potem wydobył kajdanki i zatrzasnął je na przegubach jeńca. W dalszym ciągu Mac stał niezbyt pewnie na nogach i starał się nie patrzeć na Kiri, gdyż tylko to poprawiało nieco sytuację. Nie mógł myśleć o tym, jak leżała w kałuży krwi. Ta przerażająca, czerwona plama na jej pięknej twarzy. Mac omal nie dostał torsji; zdołał jednak zatrzeć jakoś w pamięci ten upiorny obraz.

Pojawili się Carmichael i Cassie, zdołali przedrzeć się do nich z przeciwległego krańca pola, mimo że trwała na nim zawzięta walka. Oboje byli podrapani, wymięci, rozczochrani, ale nie odnieśli żadnych większych obrażeń. Kiri przedstawiła im Olliego:

- Oto nasz porywacz.

- Całe szczęście, że mamy obszerny powóz - zauważył cierpko Carmichael. - Zawieziemy go na spotkanie z innym porywaczem z tej samej bandy.

Schwycił Olliego za ramię i pociągnął opierającego się boksera w stronę, gdzie skromnie z tyłu, za grupą innych pojazdów, czekał na nich powóz. Cassie ubezpieczała drugi bok Olliego.

Zamiast ruszyć zaraz za nimi, Kiri wzięła Maca za rękę.

- Wyglądasz tak, jakbyś się zaraz miał przewrócić. Ranili cię?

- E tam, głupich parę siniaków - starał się mówić wesoło, ale niezbyt mu się to udawało. - Wiesz, że nie mogę znieść widoku krwi.

- Na szczęście, tym razem to nie twoja krew.

Nadal trzymając go za rękę, Kiri ruszyła niespiesznym krokiem w ślad za Cassie i Robem.

- Myślałem... że to twoja krew. - Zacisnął z całej siły powieki, starając się nie dopuścić do mózgu koszmarnych wizji, które go prześladowały. -Widok ociekającej krwią kobiety jest... jeszcze gorszy.

- Rozumiem.

Ze sposobu, w jaki to powiedziała, Mac domyślił się, że - niech to diabli! - rozumiała aż za wiele. Zrobił co mógł, żeby wziąć się w garść.

Kiedy dotarli wreszcie do powozu, Cassie, Carmichael i więzień od dawna siedzieli już w środku. Mac miał nadzieję, że opanował się na tyle, by zmylić wszystkich - prócz Kiri.

Ollie siedział pośrodku ławki zwróconej tyłem do kierunku jazdy, a Rob obok niego. Ramiona boksera drżały, gdy wpatrywał się w swoje skute ręce. Rana na głowie, obwiązana prowizorycznym bandażem, nie była już widoczna, ale na całym jego ciele widniały krwawe ślady obrażeń.

Mac zamierzał usiąść po drugiej stronie Olliego, ale Kiri go uprzedziła, sadwiąc się tam. Może chciała powąchać jeńca? Dobrze się zresztą stało, bo zajęła mniej miejsca niż Mackenzie. Gdyby siadło obok siebie trzech potężnych chłopów, byłoby im z pewnością za ciasno.

Kiedy tylko powóz ruszył w kierunku biura Kirklanda, Ollie odezwał się z wyraźnym akcentem z Newcastle:

- Co ze mną zrobicie? Przysiągłem, że słowa nie pisnę o porwaniu.

Carmichael spojrzał na Maca, w milczeniu przekazując mu prowadzenie śledztwa. Mackenzie nie miał pojęcia, czy Rob podjął taką decyzję, dlatego że Mac usiadł naprzeciw więźnia, czy też odgadł, że jego przyjaciel musi się na czymś skoncentrować, bo inaczej całkiem się rozleci.

Ollie swoim wyznaniem udowodnił niezbitcie, że jest tym, kogo szukali. Mac zerknął na Kiri, a ta potakująco skinęła głową. Tak, mieli swojego porywacza. Mac przeniósł znowu wzrok na więźnia i polecił mu:

- Spójrz na mnie.

Ollie z ociąganiem podniósł głowę i Mac od razu zauważył dwie rzeczy. Po pierwsze, że więzień jest bardzo młody - to raczej chłopiec niż mężczyzna. Po drugie, zorientował się, że Ollie doznał uszkodzenia mózgu, zapewne podczas walk na ringu. Mac doszedł do wniosku, że cierpliwie zadając więźniowi pytania, osiągnie więcej, niż usiłując go zastraszyć. Spytał więc:

- Jak się nazywasz?

- Oliver Brown - wymamrotał. - Ollie.

- Z Newcastle?

- Ano, tak - odparł chłopak, wyraźnie zdziwiony, że Mac o tym wie.

- Kto na ciebie napadł podczas meczu?

- Przysłał ich taki jeden... wielki kanciarz. - Ollie wydawał się zaskoczony i niepewny. - Chcieli mnie zatłuc. Czemu im przeszkodziliście? Co chcecie ze mną zrobić?

- Chcemy się dowiedzieć wszystkiego, co wiesz o porywaczach, żebyśmy ich mogli złapać - wyjaśnił cierpliwie Mac, spoglądając Olliemu prosto w oczy. - Jak to się stało, żeś się z nimi zadał?

Ollie przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą. Obecność aż dwóch kobiet i dwóch całkiem nieznanymi mężczyzn przekonała go widać, że nie są to wysłannicy „wielkiego kanciarza”, i że rozmowa z nimi może mu wyjść na dobre. Powiedział z wahaniem:

- Mój koleś, Ruffian O'Rourke, wiedział, że bardzo mi potrzeba forsy na powrót do Newcastle.

- Chciałeś wrócić do domu? Ollie przytaknął ruchem głowy.

- Myślałem, że jak przyjadę do Londynu, to zostanę wielkim zawodowcem i czempionem. - Uśmiechnął się gorzko.

- Ale tylko rozwalili mi łeb, że całkiem się w nim pomieszało. Mój tato jest kowalem. Nie powinienem był odchodzić z jego kuźni. No więc szukałem forsy na powrót do domu. A Ruff powiada do mnie: „Może być dla ciebie robota, bo im trza jeszcze jednego chłopca na schwał”.

- Jaka robota? - spytał Mac. Ollie wyraźnie się spłoszył.

- Ten wielki kanciarz potrzebował takich, co mają krzepę. Ruff przysięgał, że to nie będzie włamanie, więc myślałem, że to robota w porządku. Nie wiedziałem, że komuś się stanie krzywda. I że chcą porwać dziewczynę, też nic nie wiedziałem. - Usta Olliemu zadrżały. - No i zabili Ruffa. To był mój najlepszy koleś w Londynie.

- Co wtedy zrobiłeś?

- Ten wielki kanciarz był wściekły i wymachiwał pistoletem. A taki jeden żabojad próbował go uspokoić, ale pomyślałem, że lepiej zwiewać i siedzieć cicho, póki nie zarobię paru groszy, a potem wracać do domu, choćby na piechotę.

Powrót do Newcastle na piechotę teraz, gdy zima za pasem, był najlepszym dowodem, w jak rozpaczliwej sytuacji znajdował się chłopak. Mac spytał go:

- A czemu dziś wybrałeś się na ten mecz? Ollie wbił wzrok w swoje stopy.

- Czasem, jak mecz się skończy za szybko, szukają chętnych do drugiej walki. Jakbym się dobrze sprawił, miałbym na dyliżans do domu.

Albo straciłby resztę rozumu, biedaczysko.

- Ale zamiast tego wielki kanciarz domyślił się, że będziesz na tym meczu i nasłał swoich ludzi, żeby cię zatłukli, co? Ollie aż się skulił na ławce.

- Co ze mną będzie?

- Nie wiem - odparł Mac. - Decyzja nie zależy ode mnie. Ale nie będziemy cię bić i nie zostawimy cię na ulicy, żebyś wyzionął ducha.

Ollie zdobył się na ironię.

- Pewnie nie chcecie wystraszyć swoich panienek?

- Nie lekceważ tych dam - odparł Mac chłodno. - Każda z nich mogłaby cię zabić gołymi rękami. Lepiej nam pomóż, to może jeszcze wrócisz do Newcastle.

Jego słowa sprawiły, że Ollie spojrział podejrzliwie na siedzącą obok niego na ławce Kiri.

- Nie wyślą mnie na drugi koniec świata?

- Chyba nie, jeśli nam pomożesz - odparł Mac. - A teraz opowiedz o tym wielkim kanciarzu. Jak wygląda? Jak się nazywa?

- Wysoki. Chodzi zawsze w masce - mówił z namysłem Ollie. - Włosy ma nijakie, niejasne i nie ciemne. Chyba był w wojsku. Widać po tym, jak się rusza. Aligancko się ubiera i aligancko pachnie.

Mac zauważył, że Kiri ożywiła się, słysząc ostatnią uwagę, ale rozumiała oczywiście, że ktoś taki jak Ollie nie zdoła opisać dokładniej „aliganckie-go” zapachu. Potem, przez resztę drogi, Mac zadawał chłopakowi dalsze pytania, ale nie wydobyl już od niego żadnych pożytecznych informacji.

Kiedy dotarli do biura Kirklanda, Carmichael oświadczył srogim głosem:

- Sam zaprowadzę dalej więźnia. Muszę mu jeszcze zadać kilka pytań. Ollie wyglądał na przestraszonego, gdy Carmichael wyciągał go z powozu. Kiedy ruszyli znowu, tym razem na Exeter Street, Kiri spytała:

- Co się stanie z tym biednym głuptaskiem? Wydawał się taki przerażony.

- Nic dziwnego. Po tylu latach praktyki na Bow Street, Rob jedną groźną miną zdoła wprawić muchę w taką drżączkę, że biedulka pogubi skrzydła - odparł sucho Mac.

Cassie wybuchnęła śmiechem.

- Znakomita metafora. Ale mówiąc serio, przypuszczam, że Kirkland wydobędzie z tego chłopaka tyle informacji, ile tylko zdoła, po czym umie-

ści go w sąsiedniej celi, przez ścianę z elementem, do czasu, aż spisek zostanie unieszkodliwiony raz na zawsze. A wówczas zafunduje Olliemu powrót dyliżansem do rodzinnego Newcastle.

- Nie wtrąca biedaka do Newgate ani go nie deportują do kolonii? -dopytywała się Kiri.

- Co by to dało? - spytał Mac. - Przecież to nie zatwardziały złoczyńca, tylko biedny głuptas, który w ojcowskiej kuźni zdobył trochę krzepy i zamarzyła mu się sława londyńskiego czempiona.

- A ponieważ Kirkland często działa poza prawem - mruknęła Cassie - może czasem w nieszablonowy sposób zadbać o to, by zatriumfowała sprawiedliwość.

Resztę drogi odbyli w milczeniu. Mac westchnął z ulgą, gdy wczesny listopadowy zmrok wypełnił wnętrze powozu i nie było już widać krwawych plam na ślicznej twarzy Kiri; równie cieszyło go to, że ciemność okryła jego własne rysy i zaciśnięte do bólu pięści.

Kiedy powóz zatrzymał się na Exeter Street pod numerem jedenastym, Cassie powiedziała:

- Wspaniale się spisałaś, Kiri. Wytropienie aż dwóch porywaczy to ogromny sukces.

- Ale nie zdemaskowałam tego najważniejszego - odparła posepnie Kiri. - Nadal nie wiemy, kim jest „wielki kanciarz” Olliego, a w gruncie rzeczy tylko on się liczy.

- Ten przywódca grupki porywaczy nie musi być organizatorem całego spisku - zwróciła jej uwagę Cassie. -1 nie zapominaj, że nasz rodzaj pracy pochłania mnóstwo czasu i wymaga niezwyklej cierpliwości. To coś jak re-konstrukcja mapy pociętej na kawałki. Być może Rob i Kirkland zdołają wy-dedukować coś więcej, gdy doprowadzą do konfrontacji Olliego i Clementa.

Rzeczywiście istniała taka nadzieja, Mac wiedział o tym. Była ona jednak niewielka.

Jeśli zaś chodziło o jego własną osobę, modlił się tylko, by utrzymać swe skołatanе nerwy w jakim takim stanie i dotrzeć do swojego pokoju przy Exeter Street, zanim zacznie wyc i rozsypie się w kawałki.

Ollie był nieprzytomny ze strachu, gdy przyszło mu stawić czoło równocześnie Kirklandowi i Carmichaelowi.

Ściskając w obu rękach kubek gorącej, słodkiej herbaty, bokser bąknął niespokojnie:

- Tamten gość, z opaską na oku, mówił, że jak wam pomogę, to nie będziecie tacy źli na mnie...

- Być może.

Kirkland postarał się o to, by cisza, która zapadła po tej odpowiedzi, ciągnęła się tak długo, że Ollie omal nie wyskoczył ze skóry ze zdenerwowania. Wreszcie Szkot odezwał się znów lodowatym tonem:

- Czy wiedziałeś, Brown, że to porwanie, w które się wplątałeś, to nie tylko zbrodnia, karana śmiercią na szubienicy, ale zdrada ojczyzny i króla?

Twarz Olliego całkiem zbieleła pod warstwą brudu i zaschniętej krwi, a ręce tak mu się trzęsły, że herbata chlapała z kubka.

- Nie, nie, sir. Nic nie wiedziałem. Ja nie żaden zdrajca.

- W takim razie opowiedz nam wszystko, co wiesz o tym porwaniu.

- Tak jest, sir. Każdziutkie słowo.

Obaj - Kirkland i Carmichael - zadawali mu pytania. Ollie starał się jak mógł, ale wiedział niewiele więcej prócz tego, co już wcześniej wyjaśnił. Po godzinie męczących i niemal bezowocnych usiłowań, Kirkland postanowił skonfrontować Olliego z Paulem Clementem, choć nie spodziewał się, by wiele to dało.

- Zabierzemy cię na spotkanie z innym porywaczem. Może to pobudzi twoją pamięć.

Razem z Carmichaelem sprowadzili Olliego na dół, tam, gdzie trzymano więźniów, i otworzyli drzwi celi Clementa. Rob Carmichael stanął w progu, strażnik więzienny tuż za nim, aczkolwiek było mało prawdopodobne, by Ollie usiłował zbiec, zwłaszcza że miał tu zapewnione jedzenie i dach nad głową, a nade wszystko nie zagrażały mu zbiry, które przedtem usiłowały zatłuc go na śmierć. Clement natomiast, choć wykorzystałby z radością każdą realną szansę odzyskania wolności, był zbyt inteligentny, by łudzić się, że zdoła stąd uciec w tym właśnie momencie.

- Mam wrażenie, że się obaj znacie - zauważył Kirkland, wprowadzając Olliego do celi.

- Ano prawda. To ten żabojad - odparł Ollie, uradowany, że może nareszcie stwierdzić coś z całą pewnością. - On był tamtej nocy z tym wielkim kanciarzem. A kanciarz nawet się go słuchał.

Clement leżał na swojej pryczy, ale wstał na powitanie gości.

- Istotnie, ten młody człowiek i ja spotkaliśmy się tamtej przeklętej nocy. Nie znam jednak jego nazwiska.

- Nazywam się Oliver Brown - rzucił Ollie wojowniczym tonem. -I nie jestem zdrajcą.  
- Ja także nie zdradziłem mojej ojczyzny - odparł Clement z pobłażliwym uśmiechem. - Uważałem swą działalność w Anglii za służbę dla Francji, tak jak każdy żołnierz.

- Ty podły szpiegu.

Ollie chciał się rzucić z pięściami na Francuza. Kirkland schwycił go za nadgarstek i udaremnił cios. Oliver Brown nie należał może do najby-strzejszych, ale jego patriotyzm był niewątpliwie szczery.

- No i jak? Czy to spotkanie nie pobudziło waszej pamięci? Clement wzruszył ramionami.

- Pan Brown to jeden z wynajętych do pomocy osiłków. Nic nas ze sobą nie łączyło.

Ollie wyteżył mózg.

- Ten żabojad mówił do wielkiego kanciarza „kapitanie”. Może on naprawdę służył w wojsku, jak mi się zdawało? Po nagłym błysku w oczach Clementa Kirkland poznał, że Ollie trafił w sedno: przywódca porywaczy istotnie był oficerem. Zdobyli jeszcze jedną informację, która może się okazać przydatna... albo nie.

- Ale kapitan nie był Francuzem? Ollie pokręcił głową.

- Nie, to był prawdziwy Anglik, jak pan czyja.

Kirkland skłonny był przypuszczać, że Ollie odnosił się podejrzliwie do każdego cudzoziemca.

- Starczy na dziś. Miłych snów, *monsieur* Clement. Wyprowadził Olliego z celi, zamknął drzwi i sprawdził raz jeszcze

zamek na odchodnym.

- Ty zamieszkasz w tej drugiej celi, Brown. Niebawem przyniosą ci coś do jedzenia. A prócz tego ręcznik i miednicę, żebyś mógł choć z grubsza zmyć z siebie te krwawe plamy.

Strażnik otworzył drzwi sąsiedniej celi i Ollie wszedł do środka.

- Lepsze to niż spanie pod mostem - stwierdził chłopak i spojrzał z nadzieją na Kirklanda. - Trochę wam pomogłem, prawda, sir?

Mimo swej potężnej sylwetki i imponujących mięśni, Ollie był tylko wzruszająco bezbronnym dzieciakiem. Niekiedy Kirkland nienawidził z całego serca swojej profesji.

- Naprawdę nam pomogłeś. Jeśli ci się jeszcze przypomni coś ważnego, zwłaszcza o tym wielkim kanciarzu, powiedz strażnikowi, a on zawoła mnie.

- Dobrze, sir.

W milczeniu Kirkland i Carmichael udali się na górę. Kiedy dotarli do gabinetu Kirklanda, Rob wyznał:

- Czuję się tak, jakbym skopał bezbronne szczenię. Kirkland uśmiechnął się krzywo.

- To zwykły głupek. W niczym nie zawinił.

- Powinien, moim zdaniem, żyć bezpiecznie pod czujnym okiem kochającej rodziny - stwierdził Carmichael i uniósł pytająco brew.

- Kiedy uporamy się z tym wszystkim, wsadzę chłopaka do dyliżansu i odeślę go do domu - odparł Kirkland. -

Posyłanie kogoś takiego do więzienia to tylko narażanie rządu na niepotrzebne wydatki.

Carmichael skinął głową z satysfakcją. Obaj w razie konieczności zdolni byli do wykonania paskudnej roboty. Ale żadnemu z nich nie sprawiało satysfakcji maltretowanie bezbronnych szceniąt.

### 33

Mackenzie był dobrym aktorem, ale nie na tyle, by przekonać Kiri, że nic mu nie dolega. Nawet w mrocznym wnętrzu powozu zorientowała się, jak bardzo jest spięty. Podczas meczu wydarzyło się coś złego. Kiri domyślała się, że wstrząsnął nim widok jej zbroczonego krwią ciała. Pomyślał widać, że jest martwa albo śmiertelnie ranna - i omal go to nie załamało.

Ciekawe, czy Cassie także uświadamiała sobie, jak kruchy jest pozorny spokój Maca? Całkiem możliwe, Cassie była niezwykle spostrzegawcza. Nie знаła jednak Maca tak dobrze jak ona, Kiri. Choć przeżyli ze sobą tylko jedną noc, instynktownie podzielała wszystkie jego uczucia. Kiedy on cierpiał, ją też bolało.

Gdy dotarli wreszcie na Exeter Street, Mackenzie pomógł obu paniom przy wysiadaniu. Zachowywał się niczym dżentelmen w każdym calu... tylko że Kiri nawet przez rękawiczkę czuła, jak cały drży.

Skoro tylko znaleźli się we wnętrzu domu, usprawiedliwił się:



- Głowa mi trochę dokucza; położę się i chyba nie zejdem na kolację. Skłonił się grzecznie, unikając wzroku Kiri, i od razu pomaszerował na górę.

Nadal pełna niepokoju, Kiri zdjęła płaszcz i przyjrzała mu się uważnie.

- Tę krew pewnie da się wyczyścić szczotką, gdy całkiem wyschnie, ale moja suknia wielkim głosem domaga się prania. Mam nadzieję, że po nim plamy znikną.

- Wręcz obie te rzeczy pani Powell. Ma nieprawdopodobny talent do usuwania krwawych plam. - Cassie uśmiechnęła się lekko. - Tylu tu mieszka agentów Kirklanda, że musiała nabrać w tym wprawy.

- Cóż za makabryczna uwaga. - Kiri poczuła nagle, jak bardzo jest zmęczona, i skierowała się ku schodom. - Muszę się wykapać, cała jestem brudna. Jak myślisz, mogłabym zjeść kolację u siebie w pokoju?

- Powellowie z pewnością przyniosą ci do sypialni coś do jedzenia i gorącą wodę na kąpiel. - Cassie ziewnęła dyskretnie. - Chyba pójdę w twoje ślady. Bijatyka zawsze mnie męczy.

Wchodząca już na schody Kiri odwróciła się i uniosła wysoko brwi.

- Często ci się zdarza brać udział w pijackiej burdzie?

- Powiedzmy, że to dla mnie nie pierwszozna.

Cassie wyciągnęła szpilki z włosów i potrząsnęła głową. Potem zanurzyła we włosach obie ręce, jakby się jej zbierało na migrenę.

- Jeśli chcesz się wykapać, służę pachnącym olejkiem - zaproponowała Kiri. - Wolisz z róży czy z cytrynowej werbeny?

- Prawdziwe olejki do kąpieli. - Cassie rozpromieniła się. - Od tak dawna... Z róży, jeśli można.

- Przyniosę ci go do pokoju.

Kiri była rada, że sama perspektywa kąpieli z olejkiem różanym wywołała na twarzy Cassie taki radosny uśmiech. Odmłodził ją o dobrych kilka lat. Ciekawe, jakie życie wiodła niegdyś, zanim wojna ją wchłonęła i zmusiła do pracy w wywiadzie?

Kiri weszła już na schody, spoglądała więc na Cassie z góry. Nagle, zaskoczona czymś, przechyliła się przez poręcz, by przyjrzeć się uważniej.

- Twoje włosy... wydają się jakies... czerwone? Zwłaszcza przy skórze. Cassie skrzywiła się.

- Znowu trzeba je będzie ufarbować. Jestem z natury rudzielcem, ale to zbyt wpada w oczy, a ja od lat staram się nie zwracać na siebie uwagi.

Farba, której używam, jest w nieciekawym, brudnobrązowym kolorze -w sam raz dla mnie. Blaknie jednak po pewnym czasie, a i odrosty trzeba regularnie podmalowywać.

- Wspaniale potrafisz wtapiać się w tło - stwierdziła Kiri, usiłując wyobrazić sobie Cassie z rudymi włosami. Jej cera przez sam kontrast wydawałaby się z pewnością biała jak śnieg. - Chciałabym zobaczyć cię taką, jaka jesteś naprawdę. Może w przyszłości, gdy nie będziesz już ukrywać się przed całym światem?

- Choćbym nie wiem co zrobiła, pięknnością nigdy nie będę - zapewniła ją Cassie.

Może nie pięknnością, dumiała Kiri, wchodząc po schodach na piętro, ale na pewno niezwykle interesującą kobietą. Pan Powell i służący przynieśli Kiri kolację, a gdyjajadła, zagrzali wodę na kąpiel. Następnie wnieśli do jej sypialni wannę i dzbany z gorącą wodą.

Ponieważ różany olejek oddała Cassie, do swojej kąpieli dołała cytrynowej werbeny. Jej cudowny, cierpki zapach wprost upajał, a wanna okazała się na tyle duża, że Kiri mogła się w niej zanurzyć aż po ramiona, jeśli troszkę się skuliła. Gorąca woda podziałała kojąco na jej liczne siniaki. Była bardziej potłuczona, niż się jej początkowo zdawało.

Siedziała w wannie, dopóki woda nie wystygła aż skóra jej ścierpła. Potem wytarła się energicznie i włożyła nocną koszulę i szlafrok. Zastanawiała się, czym by się tu zająć? Czytaniem, odpisywaniem na listy, a może od razu położyć się do łóżka?

Nie przestawała jednak myśleć o Macu. Może wypoczynek uleczy jego stargane nerwy? Nie bardzo w to wierzyła.

Czuła, że nie zaśnie spokojnie, zanim nie przekona się na własne oczy, jak się Mac czuje.

Bynajmniej nie planowała sobie, że z zimną krwią uwiedzie Mackenziego. Zwłaszcza teraz, gdy był taki rozstrojony, nie powinien się zadrećzać, że splamił swój honor. Ona zresztą, w swej długiej do kostek koszuli i szlafroku, była nie tylko przyzwoicie osłonięta, ale - szczerze mówiąc - bezkształtna. A robione na drutach wełniane skarpety, mające chronić stopy przed zetknięciem z zimną podłogą, też nie budziły raczej grzesznych myśli.

A jednak, mimo wszystko, zaopatrzyła się w środek antykoncepcyjny, o którym wspomniała jej Julia Randall.

Wzajemny pociąg, jaki czuli

do siebie z Damianem, był zbyt silny, żeby mogła przewidzieć, co się wydarzy.

Idąc po cichutku korytarzem, Kiri przysięgała sobie w duchu, że nie będzie namawiać Maca do zrobienia czegoś, czego by potem żałował. I bez tego miał już dość zmartwień. Wystarczyło przyjrzeć się uważnie, jak wyglądał, wymykając się do swego pokoju.

Zapukała leciutko do jego drzwi. Żadnej odpowiedzi. Może gdzieś wyszedł? Instynkt podpowiadał jej, że jest u siebie, tylko nie reaguje na stukanie. Nacisnęła więc klamkę.

Drzwi otwały się bezszelestnie pod dotknięciem jej ręki. Pokój był oświetlony jedynie blaskiem niewielkiego ognia na kominku; wystarczyło to jednak, by zobaczyć posępną postać, stojącą przy oknie, wpatrzoną w wietrzną noc. Mac pozbył się surduta, butów i opaski na oko. Nie udało mu się jednak otrząsnąć z czarnych myśli, które obsiadły go jak rój diabłów.

- Szkoda wielka, że te drzwi nie mają zamków - odezwał się znużonym głosem. - Wiedziałem, że przyjdiesz, Kiri. A teraz bądź tak dobra, odwróć się na pięcie, wyjdź po cichu i zamknij drzwi za sobą.

Zamiast spełnić jego prośbę, przeszła przez pokój, stąpając bezgłośnie.

- Jeśli wiedziałeś, że się zjawię, powinieneś też wiedzieć, że nie znoszę, jak mi ktoś rozkazuje.

- Zauważyłem to - odparł sucho.

Choć na nią nie patrzył, Kiri czuła, że Mac w gruncie rzeczy cieszy się, iż nie jest już sam.

Nie powinna go dotykać. To może wywołać tylko niepotrzebne komplikacje, a niczego nie rozwiąże.

Podeszła do niego i przez chwilę oboje spoglądali na ledwo widoczne w mroku londyńskie dachy.

- Kobieta tonąca we krwi to klucz do twego prywatnego piekła, nieprawdaż?

Nic nie odpowiedział; zauważyła jednak, że zacisnął szczękę. Wydawał się taki piękny i tragiczny, jak strącony z nieba archanioł, zmierzający ku nieuchronnej zagładzie.

- Sądząc z gwałtowności twojej reakcji, nie byłam chyba pierwszą kobietą, która ujrzałaś w tak opłakanym stanie. Na mój widok ożyło wspomnienie dawnego koszmaru. - Zamilkła na chwilę, broniąc się przed strasznym podejrzeniem, że to jednak Mac zabił swoją kochankę. Może

go zdradziła, a on był pijany? Może jakoś inaczej sprowokowała? Cóż, wszystko było możliwe. - Czy przypomniała ci się Harriet Swinnerton? Z trudem zaczerpnął powietrza.

- Tak, ale to wcale nie znaczy, że ją zabiłem. Po tym, jak Rupert Swinnerton wystąpił z oskarżeniem przeciwko mnie... z rzekomo wyszeptanym tuż przed śmiercią zapewnieniem Harriet, że ginie z mojej ręki, on i jego ludzie wyciągnęli mnie z łóżka i zawlekli na miejsce zbrodni. Rupert wy-wrzaskiwał groźby pod moim adresem, a ja musiałem patrzeć, jak Harry leży zmasakrowana, ociekająca krwią.

Ten obraz nadal go prześladował. Kiri z całej siły zacisnęła ręce, by nie wyciągnąć ich do niego, nie dotknąć go.

- Może to nie była wielka miłość, a jednak zależało mi na Harriet -mówił załamującym się głosem. - Bywała nieczułą egoistką, ale potrafiła być też wesola i taka miła... Lubiłem sprawiać jej przyjemność. Chciałem jej pomagać, bronić jej, a tymczasem stałem się przyczyną jej śmierci.

Marszcząc brwi, Kiri usiłowała wyobrazić sobie tę scenę.

- Może jednak zabił ją ktoś inny, nie mąż? Gdyby Swinnerton naprawdę wierzył, że to tyją zamordowałeś, chciałby pewnie, żebyś sobie uświadomił całą groźbę swojej zbrodni.

Mackenzie pokręcił głową.

- Nie. Z całą pewnością zamordował ją Swinnerton. A czemu chciał, żebym ujrział jej ciało? Boja wiem, może z zemsty? Albo żeby się pochwalić przede mną tym, co uczynił? Cokolwiek go do tego skłoniło, obraz martwej Harriet prześladuje mnie do dziś w koszmarach sennych.

- Pewnie o to mu właśnie chodziło. Co prawda, nie przeżywałbyś tych katuszy zbyt długo, gdyby cię powiesili - rozważała z powagą. - Ciężka była dla ciebie już sama wieść o jej śmierci, ale oglądanie jej udreżonego ciała musiało być stokroć cięższe.

- Patrzenie na to... i świadomość mojej winy.

- Te dwie rzeczy zawsze łączą się ze sobą w takim tańcu śmierci -oświadczyła stanowczo Kiri. - Ty odegrałeś tylko niewielką rolę w ich małżeńskiej tragedii. Niewielką, chociaż omal nie przypłaciłeś tego życiem.

- Nie zamierzam przeczyć - odparł głuchym głosem. — Ale to dla mnie żadna ulga.

- Cóż, sumienie to prawdziwy dopust boski. Skrzywił usta w uśmiechu.

- Nie mam zbyt wrażliwego sumienia, ale gdy chodzi o śmierć młodej kobiety... . .

Było w jego głosie coś... Zapominając o swoim postanowieniu, Kiri dotknęła jego nadgarstka.

- Myślisz teraz o innej kobiecie, która zginęła tragicznie, prawda? -I nagle wszystko stało się dla niej jasne. - To była twoja matka.

Odskoczył od niej jak oparzony.

- Skąd wiesz, do wszystkich diabłów - wybuchnął. - Czyżbyś była czarownicą?

- Oczywiście że nie - odparła ze spokojem. - Po prostu cię kocham i przyglądam ci się uważnie.

Odwrócił się raptownie i popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Kochasz mnie? I to miałoby sprawić mi ulgę? Uśmiechnęła się smutno.

- Nie powiedziałam tego, żebyś poczuł się lepiej czy gorzej. To prawda, i tyle. Nie oczekuję od ciebie niczego, choć sprawiło by mi przyjemność, gdybyś był ze mną szczery.

Kiri chodziło nie tyle o siebie, ile o to, że szczerota mogła pomóc przede wszystkim Macowi.

Wzięła go za rękę i skłoniła, by przysiadł obok niej na brzegu łóżka.

- Wy tłumacz mi, Damianie... Byłeś przecież dzieckiem, kiedy twoja matka umarła. Jak mógłbyś być odpowiedzialny za jej śmierć?

Zapatrzył się w ogień niewidzącym wzrokiem.

- Moja matka, Antoinette Mackenzie, była aktorką do szpiku kości. Błyskotliwa, piękna, o zmiennych nastrojach, ambitna... Czasami okazywała mi czułość, nazywała swoim ślicznym chłopczykiem, powtarzała, jak się cieszy, że jestem podobny do swego ojca. Ale kiedy indziej me mogła znieść mego widoku. Nauczyłem się rozpoznawać nastroje matki i znikać

jej z oczu, kiedy trzeba.

Kiri zmarszczyła brwi i pomyślała, że z pewnością me lubiłaby jego matki.

- Czy Antoinette Mackenzie to było jej prawdziwe nazwisko?

- Raczej teatralny pseudonim, ale niczego pewnego nigdy się me dowiedziałem. - Chyba sobie nie uświadamiał, że jego ręka zacisnęła się na ręce Kiri. - Pragnęła zostać wielką damą i doszła do wniosku, że lord Masterson może być środkiem do osiągnięcia tego celu. Jego żona była

słabego zdrowia. Podobno właśnie dlatego jego lordowska mość wziął sobie kochankę, żeby nie obciążać żony obowiązkami małżeńskimi. Gdy zamilkł, Kiri spytała:

- Czy twoja matka łudziła się, że baron ożeni się z nią po śmierci żony?

- Była o tym przekonana. - Mac zacisnął wargi. - Zatrzymaliśmy się właśnie w Grantham, w zajezdzie przy drodze wiodącej na północ, do Yorkshire, kiedy matka przeczytała w gazecie o śmierci lady Masterson. Była w siódmym niebie... i od razu napisała do barona. Zapewne bardzo nierozważnie, coś w tym sensie, że nie może się już doczekać, kiedy nareszcie będą razem. Odpisał jej natychmiast, że nigdy się z nią nie ożeni, choć poczuwa się do pewnych obowiązków względem dziecka.

Kiri wzdrygnęła się.

- I to aż tak nią wstrząsnęło, że popełniła samobójstwo?

Dłoń Maca zacisnęła się na jej ręce z taką siłą, że Kiri czuła, jak wy-skakujaję siniaki.

- Była zawsze skłonna do ataków furii. Tym razem wybuchnęła jak ognista raca. Wrzeszczała, że tylko dlatego mnie urodziła, żeby zaciągnąć Mastersona do ołtarza. Była pewna, że baron ożeni się z nią, jeśli mu urodzi dziecko... i nic z tego. Ta okropna ciąża i bóle porodowe, całe to utrapienie na nic się nie zdało.

- Och, Damianie - jęknęła Kiri, nie pojmując, jak matka mogła powiedzieć coś podobnego swojemu dziecku. - Ona z pewnością tak nie myślała: była po prostu zła i zawiedziona.

- Owszem, była zła i zawiedziona, ale naprawdę tak myślała, jak najbardziej. Czasami wydawało się, że cieszy się z własnego dziecka. Przeważnie jednak od razu mnie odsyłała do swojej pokojówki, która -chcąc nie chcąc - została moją nianią. A tamtego dnia... - Mac zamilkł na dziesięć, może dwanaście sekund. Oddychał z trudem. - Zaklinała się, że ten przeklęty baron, ten arystokrata z piekła rodem, jeszcze tego pożałuje. Postanowiła zabić najpierw mnie, a potem siebie.

Kiri zapało dech, ale Mac bezlitośnie ciągnął dalej:

- I na dowód, że zawsze dotrzymuje słowa, moja matka poderznęła mi gardło.

### 34

Słowa Mackenziego wydawały się absolutnie niewiarygodne - a jednak nie można było w nie wątpić. Kiri zwróciła się twarzą ku niemu. Mac pozbył się już wcześniej krawata, więc tylko delikatnie rozpięła mu koszulę i odsłoniła szyję. Tuż nad obojczykiem ciągnęła się cienką, poszarpaną linią dawna blizna.

- Tak się cieszę, że nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać - wyszeptała Kiri zdławionym głosem i leciuteńko, z ogromną czułością, przeciągnęła palcem po bliźnie.

- Wrywałem się jej i próbowałem uciec, nie zdołała więc zadać mi głębokich ran - odpowiedział głosem, który zdawał się docierać z odległej dali. - Było jednak dużo krwi, uznała więc swoje starania za wystarczające. A potem z ogromnym przejęciem, tym swoim cudownym głosem szekspirowskiej Julii wykrzyknęła: „Niech to będzie nauczką dla tego potwora” - i wbiła sobie sztylet prosto w serce.

- A ty byłeś przy tym, patrzyłeś na to?

Kiri płakała w duchu nad tragedią małego Damiana. Nie pozwoliła sobie jednak na łzy. Ból, jaki odczuwała, słuchając o tych potwornościach, był zaledwie bladym odbiciem cierpienia, z którym Mac musiał się zmagać przez całe niemal życie.

Przytaknął ruchem głowy.

- Kiedy wbiła sobie nóż w serce, miała taką zdziwioną minę... jakby nie oczekiwała, że ból czy krew będą prawdziwe. Tak długo żyła teatrem, że nie zawsze już odróżniała to, co się dzieje na scenie, od rzeczywistości. Jęknęła cicho, opadła na podłogę i wykrwawiła się na śmierć.

Pozostawiając swemu synkowi niezatarty obraz matki, konającej w kałuży krwi. Niech piekło pochłonie tę podłą egoistkę. Kiri z trudem przełknęła ślinę i zdołała powiedzieć z pozornym spokojem:

- Musiała być szalona.

- Chyba tak, do pewnego stopnia. - Mac westchnął. - Miałem szczęście, że odziedziczyłem nieco opanowania i rzeczowości Mastersonów; dzięki temu nie skończyłem w domu obłąkanych. Nie wystarczyło mi tego dziedzictwa, żeby stać się kimś godnym szacunku, ale było go dosyć, bym został przy zdrowych zmysłach. - Po kolejnej długiej przerwie dodał

jeszcze: - Rozumiesz teraz, czemu Will stał się dla mnie najważniejszą istotą w świecie?

- Obdarzył cię niezmiennym przywiązaniem i zaakceptował cię bez zastrzeżeń - odparła, żalując, iż tak mało zna lorda Mastersona. Poznała go, oczywiście, gdyż należał do najbliższych przyjaciół Adama, lecz była to znajomość bardzo powierzchowna. Lord Masterson - potężnie zbudowany i zawsze opanowany - był niezwykle podobny do Mackenziego, ale znacznie od niego pogodniejszy i spokojniejszy z natury.

Gotowa była następnym razem, gdy się spotkają, paść na kolana i całować Willa po nogach za bezgraniczną dobroć, jaką okazał swemu małemu, przerażonemu braciszki z nieprawego łoża. Tak łatwo mógłby odwrócić się od niego z pogardą.

- To wielkie szczęście mieć takiego brata.

- Gdyby nie Will, skończyłbym jako popychadło u jakiegoś rzemieślnika albo w przytułku dla nędzarzy. Byłem wściekły, gdy mój brat wstąpił do wojska. Ten świat może się doskonale obyć bez kogoś takiego jak ja, ale nie może zabraknąć na nim Willa.

- Bez ciebie świat również nie może się obyć. - Pochyliła się i ucałowała bliznę, którą pozostawił na gardle Maca sztylet jego matki; czule popieściła szramę językiem. - Kiedy pomyślę, że mogłabym cię nigdy nie spotkać... Zaparło mu dech. Poczula, że tętno na jego szyi przyspiesza gwałtownie pod dotykiem jej palców.

- Byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś mnie nie poznała, moja ty królowo wojowniczo - wyszeptał, ale jego ręce zacisnęły się na talii Kiri.

Podniosła głowę i rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Rozumiem, że trudno ci docenić, jak wiele jesteś wart, gdyż twoja matka zawsze poddawała to w wątpliwość, aleja nie pozwolę na takie bzdury. Odziedziczyłeś siłę i godność po rodzinie swojego ojca, a dowcip i urok po matce - i wszystkie te zalety sprawiają, że nie jesteś byle kim, Damianie.

Twarz mu złagodniała.

- Przeceniasz mnie, milady.

- Za to ty siebie nie doceniasz. - Objęła dłońmi twarz ukochanego, wpatrując się w jego oczy. - Nie chcę pozbawiać cię honoru, Mac, ale tak bardzo pragnę cię pocieszyć.

Odchyliła głowę do tyłu i całowała go z niemal macierzyńską miłością, starając się pohamować swą namiętność.



Namiętności jednak nie dało się powstrzymać. Zapłonęło w nich pożądanie i w jego płomieniach stopniały najlepsze intencje ich obojga. Mac tak ją ścisnął, że omal jej nie udusił.

- Dzięki Ci, Boże - westchnął. - Kiri, żyjesz i jesteś cała i zdrowa. A jej krew tętniła gorączkowo w żyłach, zamiast wypływać z nich,

zwiastując rychły zgon. Mocno przytuliła się do Maca i razem padli na łóżko. Gdy znów go całowała, jego ręce błędziły jak szalone po jej ciele.

- Tak cudownie pachniesz - pomrukiwał. - Cytryną i jeszcze czymś. Świeżo, pikantnie, rozkosznie.

- To cytrynowa werbena. Masz dobić węch. - Uniosła się do góry, wsparta na nim obiema rękami. W pokoju zbyt było ciemno, by mogła dostrzec różnicę w kolorze oczu Maca, ale jego wydatne i piękne rysy w blasku ognia sprawiały wrażenie rzeźby. - Ty nie chcesz wykorzystywać mojej młodości i dość problematycznej niewinności, aleja mogę chyba korzystać z twojej dojrzałości i z ogromu twojego doświadczenia?

Przez chwilę milczał zaskoczony. Potem zaś wybuchnął śmiechem i objął ją wtulając.

- Jak mam ci się oprzeć? - Głos miał zdławiony. - Darzysz mnie szczęściem i uzdrawiasz moją duszę, a to dla mnie bezcenne dary.

- Zawsze będą czekały na ciebie, ilekroć ich zapragniesz, najdroższy Damianie.

Skrzywił się.

- „Najdroższy” jakoś mi nie pasuje do Damiana Mackenziego. Prędeż „niepoprawny”.

- Jeśli nawet jesteś niepoprawny, to ci tylko dodaje uroku. Niemal rzuciła się na niego, by go pocałować w szyję i zanurzyć palce

w jego gęstych włosach. Ich nogi wystawały poza łóżko, ale wystarczyło jedno mistrzowskie posunięcie Damiana: przetoczył się wraz z Kiri tak, iż oboje znaleźli się na materacu, ona pod spodem, Mac nad nią. Kiri znalazła się więc w pozycji idealnej do tego, by wyciągnąć Macowi koszulę ze spodni i pogłaskać go po rozgrzanych plecach. Aż podskoczył, gdy ich dotknęła.

- Ależ masz zziębnięte paluszki.

- Całkiem nieźle rozgrzewają się przy tobie - odparła z gardłowym śmiechem i zaraz potem pociągnęła za koszulę, usiłując ściągnąć mu ją przez głowę.

Dzięki zgodnej współpracy pozbyli się tej koszuli. Gdy Mackenzie zmagał się z falującym płótnem, Kiri rozpiniała mu guziki. Skamieniał, kiedy drobna rączka wślizgnęła się do wnętrza jego spodni. Wjej palcach nie było ani odrobiny chłodu, gdy go objęła.

- Nie... tak... szybko - wysapał cofając się raptownie, a jej ręka, chcąc nie chcąc, wysunęła się z jego spodni. Teraz Mac mógł już bez przeszkód podciągnąć koszulę i szlafrok Kiri aż do ramion. Kiri nie czuła chłodu powietrza, gdy usta kochanka spoczęły na jej piersi.

- Nie jadłem dziś kolacji i strasznie zgłodniałem - usprawiedliwiał się Mac. Kiri czuła na piersi jego ciepły oddech. Popiskiwała, gdy obsypywał pocałunkami całe jej ciało. Półprzytomnie zastanawiała się, jak to się stało, że inicjatywa przeszła nagle w ręce Maca, ale w gruncie rzeczy wcale jej to nie przeszkadzało. Zwłaszcza że jego pieszczoty były takie cudowne, takie kusicielskie...

- Czuję zapach octu - zdumiał się. - Czyżbyś, moja panno, zjawiła się tu w jednoznacznie uwodzicielskich zamiarach?

- Słowo daję, że nie - sapnęła, wijąc się pod dotykiem jego palców, które figlowały po jej udach i w najbliższej okolicy. - Ale wychowywał mnie generał, chyba pamiętasz? A on zawsze mi powtarzał: „Trzeba być przygotowanym na wszystko”.

- Wolałbym nie myśleć w tej chwili o generale. Gdyby wiedział, co się tu dzieje, już by sięgał po szpicrutę. I słusznie. Ajakim sposobem dochował się takiej kusicielskiej córki?

- To przede wszystkim zasługa mojej matki. Żebyś wiedział, ile ona zna sposobów, by rozniecić pożądanie...

Tu Kiri na jakiś czas straciła mowę, gdyż wprawne usta Maca dotknęły pewnej niesłychanie wrażliwej cząstki jej ciała. Fale niesamowitych doznań przepływały przez nią, oddzielając jej duszę od ciała i wciągając ją w wir nie dającej się objąć umysłem błogości.

Kiedy Kiri zaczęła spływać z powrotem na ziemię, Mac zanurzył się wjej rozpalonym ciele. Ku jej zdumieniu, rozkoszne doznania zaczęły się znów potęgować i zatoneła w nich tak dogłębnie, że nie umiałyby powiedzieć, gdzie jedno się kończyło, a drugie zaczynało. Czuła się jednocześnie obdarowującą i obdarowaną, doznawała najczulszej opieki i była przedmiotem najgłębszej czci.

Kiedy w spazmach orgazmu gwałtownie obejmowała Maca, wiedziała już, że warto było przemierzyć pół świata, by spotkać tego mężczyznę i przeżyć tę chwilę najdoskonalszego spełnienia.

Mac z trudem zaczerpnął tchu. Kiri spoczywała bezpiecznie w jego ramionach. Uwolnił się od koszmaru, jakim była dla niego jej pozorna śmierć. Teraz wiedział, że Kiri żyje i jest zdrowa - ale jaką cenę zapłacił za to szczęście?

- Mam nadzieję, że nie czujesz się pozbawiony honoru - szepnęła, nie odrywając ust od jego ramienia.

- Chyba wzbogacony darem twojej szlachetnej i szczodrej duszy. - Ucałował wgłębienie pomiędzy jej ślicznymi piersiami. - Nie wspominając już o twoim niezrównanym ciele. Jednakowoż nijak nie potrafię ocenić, jak się teraz przedstawia sprawa z moim honorem. Nawet jeśli moje intencje są jak najbardziej honorowe, i tak w oczach wielkiego świata zawiodłem cię haniebnie.

Kiri westchnęła.

- „Honorowe intencje” oznaczają, o ile mi wiadomo, chęć zawarcia małżeństwa. Tak się to przynajmniej rozumie w eleganckim towarzystwie. Moim zdaniem małżeństwo nie jest jedynym honorowym rozwiązaniem. - Po chwili milczenia dodała: - Jest to rozwiązanie szacowne i ogólnie przyjęte, ale to nie to samo.

- W tej chwili w naszych stosunkach nie ma nic szacownego, co by mogło zostać przez wszystkich zaakceptowane. A najgorsze jest to, że gdybym nawet zaproponował ci małżeństwo, to by niczego nie zmieniło.

- Co takiego? - zwróciła się do niego zaskoczona - myślałam, że nie należysz do tych, co się żenią.

- Sprawiasz, Kiri, że nawiedzają mnie zgoła nierealne marzenia. - Bawił się jej włosami, nawijając ich lśniąco pasemka na palec wskazujący. - Istnieje romantyczna tradycja, głosząca, że warto porzucić cały świat dla miłości, ale to mrzonki. Gdybyś była na tyle niemądra, by mnie poślubić, jakbyś się czuła, gdyby rodzina wyrzekła się ciebie?

Kiri przestraszyła się.

- Moja matka nigdy by mi tego nie zrobiła.

- Ale twój ojczym mógłby to uczynić - uświadomił jej. - Generał Stillwell to jeden z największych bohaterów armii brytyjskiej, ale generałowie

widzą zazwyczaj wszystko w dwóch kolorach: czarnym i białym. A ja w najlepszym wypadku jestem szary. Twój ojczym z pewnością uzna mnie za smolście czarnego, a ciebie za śnieżnobiałą.

Położyła mu rękę na ramieniu, by wyraźnie zobaczył różnice w ich karnacji.

- Wręcz przeciwnie. Ja jestem w przyjemnym odcieniu brązu, a ty... trochę niedopieczony.

- Masz słuszość, zbyt wcześnie wyciągnięto mnie z pieca - odparł ze śmiechem, lecz jego wesołość nie trwała długo. - Małżeństwo łączy nie tylko dwoje ludzi, ale dwie rodziny. Ty jesteś posażną panną, córką księcia, a ja - nieślubnym synem aktorki. Dzieli nas niezgłębiona przepaść, przerażająca dla każdego, kto wierzy, że tylko taki układ społeczny, jaki dziś obowiązuje, jest właściwy. A tak sądzi większość ludzi.

Niechętnie przyznała:

- W Indiach system podziałów kastowych jest jeszcze bardziej nieubłagany niż tutaj. Jedyne, co mi się naprawdę podoba w Anglii, to właśnie to, że ma się tu więcej wolności.

- Ale do całkowitej wolności nam daleko. - Szukał najlepszego przykładu, by jej to udowodnić. - Gdybyście, na przykład, ty i mój brat Will, zakochali się w sobie i chcieli się pobrać, spotkałoby się to z ogólną aprobatą. Pewnie by uznano, że mogłabyś znaleźć sobie kogoś lepszego, będąc córką księcia; Will jest zaledwie baronem. Ponieważ jednak należy do parów Anglii, wasze małżeństwo byłoby jak najbardziej stosowne. Twoja rodzina powitałaby go z radością jako zięcia i szwagra. Ze mną jednak sprawa przedstawia się całkiem inaczej.

- Należysz przecież do przyjaciół Adama, czyż nie? To z pewnością majakieś znaczenie.

- Jesteśmy dobrymi znajomymi, uczęszczaliśmy niegdyś do tej samej szkoły, ale nie jesteśmy serdecznymi przyjaciółmi, jak Adam i Will. -Zawahał się, nim wyznał: - Zawsze czułem, że tylko ze względu na Willa byłem tolerowany przez uczniów Westerfield Academy. Wszyscy go lubili i szanowali, akceptowano więc i mnie, żeby nie robić mu przykrości.

- Bzdura - sprzeciwiła się gwałtownie. - W waszej Akademii akceptuje się wszystkich, i to właśnie jest cudowne. Niemal każdy chłopiec, który się tam uczył, z jakiegoś powodu, i to nie urojonego, uważał się za wyrzutka. Być może ty wycierpiałeś więcej niż inni, ale zdołałeś przetrwać

i zostałeś zaakceptowany ze względu na samego siebie. Jesteś ogólnie lubiany.

Wzruszył ramionami.

- Bardziej lubiany niż szanowany. Co innego pożartować sobie z właścicielem modnego klubu, a co innego wydać własną córkę za takiego typka.

- Znów napomykasz o małżeństwie. - Oczy jej się zwięzły jak u kota. - Czy to tylko takie filozoficzne rozważania, czy podchodzisz do tego bardziej osobiście? Małżeństwo uleczyłoby twoje wyrzuty sumienia z powodu rzekomo splamionego honoru.

Nie mogąc dociec, jakie też myśli kłębią się naprawdę w tej prześlicznej główce, Mac odparował:

- Bynajmniej nie bawię się w filozoficzne rozważania. Bardzo by mi odpowiadało małżeństwo z tobą, ale sama się zastanów, Kiri. Choćbyśmy nie wiem jak pragnęli się nawzajem - przeciągnął pieszczotliwie dłonią od jej ramienia po kolano - i jak dobrze byłoby nam ze sobą... czy naprawdę przedłożyłabyś swoje uczucia do mnie nad miłość do całej swej rodziny? Jeśli odpowiesz: „Tak oczywiście”, po prostu ci nie uwierzę. Namiętność to potężna siła, ale z czasem słabnie. I właśnie dlatego małżeństwo powinno opierać się na pewniejszym fundamencie.

- Masz na myśli rodzinę i przyjaciół? Skinął głową.

- Byłbym... bardzo przygnębiony, gdyby Will wyrzekł się mnie. A mógłby to uczynić, gdyby się dowiedział, że skompromitowałem siostrę Ashtona. - Mac nie byłby przygnębiony lecz zdruzgotany, gdyby stracił brata. - Ty masz liczniejszą rodzinę, a zatem jeszcze więcej do stracenia. Nie możesz wyrzec się ich wszystkich dla przemijającej namiętności, choćby była nie wiem jak gwałtowna.

Kiri westchnęła i przymknęła oczy.

- Wiem o tym od samego początku. Hindusi są fatalistami, gotowymi pogodzić się ze wszystkim, toteż moje hinduskie „ja” wie, że małżeństwo między nami jest nie do pomyślenia. I właśnie dlatego tak bardzo pragnęłam spędzić z tobą każdą noc, dopóki jest to możliwe. - Oczy Kiri otwarły się znowu i zapłonęły niezwykłym blaskiem. - Ale moje angielskie „ja” pragnie sforsować dzielące nas bariery i sprawić, by to, co nieosiągalne, stało się możliwe. I żebyśmy byli razem jawnie, na oczach całego świata.

- Prawdziwa z ciebie królowa wojowniczką.

Objął ją ramieniem i przycisnął do serca. Choć mądra nad wiek, była jeszcze bardzo młoda. A poza tym zawsze korzystała z przywilejów ludzi bogatych i wysoko urodzonych. I to właśnie sprawiało, że naiwnie wierzyła, iż uda się im uniknąć gniewu rodziny i potępienia ze strony reszty świata, a ich związek zostanie przez wszystkich zaakceptowany.

Ale on, Mac, nie był naiwnym optymistą. Zbyt dobrze znał mroczne strony życia. I nie wierzył w cuda.

### 35

Nie ma spoczynku dla biednych śmiertelników. Choć spisek przeciw brytyjskiej rodzinie królewskiej był niewątpliwie problemem numer jeden na liście zajęć Kirklanda, miał on na głowie także inne sprawy, niemal równie palące, oraz innych współpracowników, którym należało poświęcić wiele uwagi i troski. Przybywało poza tym mnóstwo pism i raportów, które trzeba było przeczytać, rozważyć i udzielić na nie odpowiedzi.

Dochodziła już północ, gdy uporał się z tym wszystkim. Podniósł się wreszcie zza biurka i zachwiał na nogach. Czyżby ze zmęczenia? Zastanowił się nad własnym samopoczuciem i doszedł do wniosku, że czuje się podle. Chyba zbierało mu się na przeziębienie, czy coś w tym rodzaju. Nic godnego uwagi, ale jeszcze się skutkiem tego pogłębiało to piekielne, nieustające uczucie zmęczenia.

Wyszedł z niepozornego budynku, będącego siedzibą niewielkiej, ściśle tajnej organizacji, i udał się do Klubu Damiana. Starał się zaglądać tam na krótko prawie co wieczór - był ostatecznie oficjalnym właścicielem klubu. A poza tym, przecież właśnie u Damiana usiłowano porwać księżniczkę, więc Kirkland miał nadzieję, że zauważy tam kogoś lub dowie się czegoś szczególnego.

W chłodzie nocy oddech Kirklanda przemienił się w białe obłoczki pary. Było wyjątkowo zimno jak na połowę listopada. Miał jednak nadzieję, że nastąpi pewne ocieplenie przed uroczystym otwarciem obrad parlamentu.

Zdrzemnął się w powozie, jadąc do klubu. Stanowczo musi wkrótce przespać przynajmniej jedną noc - choćby po to, żeby sobie przypomnieć,

jak się czuje człowiek, gdy jest wypoczęty. Ale jeszcze nie dziś. Miał na razie zbyt wiele do zrobienia.

Kiedy dotarli na miejsce, Kirkland odesłał swój powóz. Nie był pewny, jak długo tu zabawi. Kiedy będzie już mógł wyjść, poprosi portiera, by przywołał mu dorożkę.

W klubie było dość tłoczno, choć może nie tak wesoło, jak bywało przed rzekomą śmiercią Maca. Kirkland nigdzie nie natknął się na Bapti-ste'a; w końcu któryś z lokajów napomknął, że zarządzający jest w dawnym gabinecie Mackenziego, na tyłach budynku.

Baptiste wstał natychmiast, gdy tylko Kirkland wszedł do gabinetu. Zdawało się, że Francuz stracił na wadze co najmniej dziesięć funtów i postarzał się o tyleż lat od tamtej nocy, kiedy miała tu miejsce strzelanina.

- Dobry wieczór, milordzie - powitał go Baptiste, skłonił się lekko i dodał: - Mam nadzieję, że wszystko w porządku?  
- Mniej więcej.

Ponieważ należało podtrzymać bajeczkę o śmierci Mackenziego, Kirkland usunął z jego biurka i z całego gabinetu wszystkie prywatne drobiazgi „zmarłego”. Pokój wydawał się dziwnie pusty, gdy jedyną pamiątką po dawnym właścicielu był niewielki stos listów, równo ułożonych i nierozpieczętowanych, na biurku Maca. Baptiste pozostawił je tam do wglądu Kirklanda, który był wykonawcą testamentu.

Kirkland przejrzał cały niewielki stos. Perfumowany bilecik od damy, która widać nie dowiedziała się jeszcze o śmierci Maca i kilka pism w interesach; przeważnie faktury.

- Zajmę się tym. Jak się przedstawiają zapasy trunków?

- Na szczęście, mieliśmy dostawę tuż przed... przed... - Baptiste nie był w stanie dokończyć tego zdania. - Niebawem sam się wybiorę do Kent na rozmowę z naszymi dostawcami.

Oczywiście nie padło określenie „przemytnicy”.

- Zna pan drogę do ich kwatery głównej, Baptiste? Francuz skinął głową.

- Pan Mackenzie zabrał mnie tam kiedyś i zapoznał z... kierownikiem tego przedsiębiorstwa. Na wypadek, gdyby coś...

Głos mu się załamał.

- Najlepszy dowód jego niezwykłej przezorności. Dobrze by było zdobyć od nich większy zapas tego nowego czerwonego wina.

- Postaram się. - Baptiste zasepił się nieco. - Nie najlepiej pan wygląda, milordzie. Powinien pan trochę odpocząć.

- Pomyślę o tym w wolnej chwili. Dobrej nocy.

Kirkland schował wszystkie listy do wewnętrznej kieszeni surduta i opuścił gabinet. Droga do wyjścia z klubu prowadziła przez główną salę gier. Był już blisko drzwi, gdy jakiś mężczyzna wstał od stołu, przy którym grano w ruletę, i podszedł do Kirklanda, by się z nim przywitać. Był to lord Fendall, jeden z podejrzanych o udział w spisku. Kirkland wyteńczył znów całą uwagę.

- O, Fendall. Dobry wieczór. Miło cię widzieć w naszym klubie.

- W mieście coraz tłoczniej. Mnóstwo ludzi zjeżdża do stolicy na otwarcie obrad parlamentu - wyjaśnił Fendall. -

Czy przewidziane jest nabożeństwo żałobne dla uczczenia pamięci pana Mackenziego? Jeśli tak chciałbym wziąć w nim udział.

- Czekam na instrukcje od jego brata, który przebywa w Hiszpanii - odparł Kirkland. Okropne było już to, że musieli oficjalnie uznać Maca za nieboszczyka, ale doprawdy nie czuł się na siłach uczestniczyć w lipnym nabożeństwie żałobnym. - Przypuszczam, że lord Masterson będzie chciał pochować brata w majątku rodzinnym

- Razem ze wszystkimi Mastersonami, mimo że nie nosił ich nazwiska? - Fendall uniósł brwi. - Brat Mackenziego jest doprawdy wielkoduszny.

- Byli sobie bardzo bliscy - odparł krótko Kirkland.

Dlatego właśnie napisał do Willa skoro świt następnego dnia i przesłał list do Hiszpanii pospieszną pocztą kurierską. Fendall westchnął, obiegając wzrokiem salę.

- Klub Damiana to już nie to co dawniej, odkąd zabrakło pana Mackenziego. Baptiste to mój przyjaciel, ale nie potrafi stworzyć tak niezrównanej atmosfery. Nie orientujesz się, Kirkland, czy klub zostanie sprzedany, czy zamknięty?

- Nic jeszcze nie zostało ustalone. Życzę dobrej zabawy, Fendall, ale nie do tego stopnia, by rozbić bank.

Fendall wybuchnął śmiechem.

- Jak dotąd, wieczór jest całkiem udany. Grunt to podniecająca rozrywka. A jeśli się coś przy tym wygra... tym lepiej.

Dobrze, że jego lordowska mość miał takie podejście do sprawy. Stracił w Klubie Damiana niezłą fortunę. Kirkland życzył mu dobrej nocy



i szybkim krokiem skierował się do wyjścia; nie chciał zwracać niczyjej uwagi ani wdawać się z nikim w rozmowy. Świeże powietrze rozjaśniło mu nieco w głowie. Skręcił w prawo i udał się do sąsiedniego domu. Był on własnością Maca. Tam również dostarczano mu listy. Prywatną korespondencję. Ją także należało przejrzeć. A potem będzie mógł udać się wreszcie do domu.

Kirkland miał własny klucz do siedziby Maca i posłużył się nim. W całym domu panowała cisza; obaj służący udali się już na spoczynek. Byli zresztą przyzwyczajeni do tego, że Kirkland pojawia się i znika o rozmaitych porach, nie wpadliby więc w panikę, gdyby go usłyszeli.

Skierował się do gabinetu Maca, zapalił lampę i znalazł na biurku dalsze listy. Dwa z nich były od Willa Mastersona. Kirkland miał nadzieję, że jego własny list, w którym starał się w nieco zawołowany sposób wyjaśnić Willowi sytuację, dotarł do adresata, zanim zdążył dowiedzieć się z gazet o śmierci Mackenziego. Jednakże, choć Kirkland zrobił, co mógł, wszelkie kontakty z Półwyspem Iberyjskim bywały nieregularne.

Następny list do Maca odróżniał się od pozostałych, gdyż napisany był niewprawną ręką na tanim papierze. Został przesłany do Londynu ze skrytki pocztowej, z której Mac korzystał, gdy wołał, by listy nie docierały bezpośrednio do jego domu. Zaciekawiony Kirkland złamał pieczętkę.

*Trafił się ekstradunek z Francji. Warto obejrzeć. Lepiej sam tu przyjadź. O zmroku, jak księżyc będzie na nowiu. Hawk.*

Kirkland uniósł brwi. No, no. Herszt przemysłowców uznał, że warto Maca o tym zawiadomić? Ciekawe... Trzeba to zanieść Mackenziemu jutro, z samego rana.

Czując, że znów ogarnia go zawrót głowy, Kirkland odłożył listy na biurko. Powinien je przejrzeć, ale był taki zmęczony, że ledwie mógł odczytać ręczne pismo. A w dodatku trzęsło nim przeziębienie czy inne lichy, które się do niego przyczepiło.

Nie znosił chorowania.

Jednak nawet jego siła woli miała swoje granice. Postanowił udać się na górę, do pokoju gościnnego, i położyć się na kilka minut. Może nawet na trochę dłużej, bo ledwie zdołał wejść tam po schodach.

W pokoju gościnnym złapały go znów dreszcze - i nagle uświadomił sobie, że to nie żadne przeziębienie, tylko atak febry. Nawet mu to przez myśl nie przeszło, przecież nie chorował na malarię od lat.

A może tylko nie chciał się do tego przyznać? Wolał odgrywać niezłomnego asa wywiadu? Kirkland omal się nie przewrócił, ale jakoś wgramolił się do łóżka, w butach i w ubraniu.

Przestał się opierać - i zatonął w litościwym mroku.

Kiri zeszła na śniadanie ze skromnie spuszczonej oczyma, aczkolwiek podejrzewała, że w tym domu, pełnym szpiegów, ukrycie romansu było raczej niemożliwością. Na szczęście, szpiegów nie bywali na ogół gadatliwi.

Mackenzie nie zszedł jeszcze na dół. W pokoju śniadaniowym była tylko Cassie i jadła, czytając gazetę. Podniosła oczy na wchodzącą Kiri.

- Ten olejek różany był fantastyczny Wspaniale mi się potem spało.

- Olejek różany pomaga w wielu przypadkach. Przede wszystkim ogromnie uspokaja w chwilach napięcia.

Przechodząc obok Cassie, Kiri poczuła wyraźnie zapach róż.

- W takim razie nam wszystkim dobrze by zrobiła taka kąpiel - orzekła agentka. - Myślisz, że zdołamy namówić Mackenziego i Carmichaela, by skąpali się w wodzie różanej?

Kiri uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Chyba obaj prędzej by skonali.

Aczkolwiek mężczyźni skrapiali się wodą kolońską, olejek różany uznaliby zapewne za szczyt zniewieściałości.

W holu czekał na Kiri list od generała. Nie zauważyła go wczoraj wieczorem, bo zbyt się martwiła o Mackenziego.

Teraz, nałożywszy sobie jedzenia na talerz, przełamała pieczętkę i zaczęła czytać. Już po pierwszym zdaniu wyrwało się jej mimo woli:

- Ojej. Cudownie.

Cassie znów podniosła wzrok.

- Dobre wieści? Znakomicie, tego nigdy za dużo.

- Wspaniale... tylko że nie ma to nic wspólnego z ocaleniem Anglii. Moja rodzina przebywa teraz w posiadłości Adama, mego brata, no i generał, mój ojczym, zdecydował się na kupno sąsiedniego dworu. Zamieszkamy więc wszyscy blisko siebie i będziemy się często widywali. Dopiero ubiegłej wiosny spotkaliśmy się wreszcie z Adamem i musimy odrobić te wszystkie stracone lata. A nasza matka i Adam nie mogą się wprost nacieszyć swoim towarzystwem.

Cassie uśmiechnęła się smutno.

- To brzmi fantastycznie... Ależ ty masz szczęście.

- To prawda, że mi dopisało - przyznała Kiri.

Czytała dalej, nie zapominając o jedzeniu. Gdzieś w połowie śniadania przyłączył się do nich Mackenzie. Podniosła na niego wzrok i przez jedną płomienną chwilę czuła się zespolona z nim tak mocno jak ostatniej nocy, gdy ich ciała stanowiły jedność. Dostrzegła równie silny blask w jego oczach, nim zmusił ją do odwrócenia wzroku.

- Czuję zapach róż - stwierdził beztruskim tonem. - A ponieważ nie pora teraz na róże, musi tę woń rozsiewać któraś z was, moje panie.

- Kiri użyczyła mi do kąpieli olejku z róż, który podobno niezawodnie koi nerwy - wyjaśniła mu Cassie. - Może i ty, Mac, wykapałbyś się w wodzie różanej dziś wieczorem?

Na twarzy Maca odbiło się przerażenie.

- Wolałbym umrzeć.

Kiri i Cassie wybuchnęły śmiechem.

- Co was tak bawi? - dopytywał się podejrziwie.

Kiri pokręciła głową, odmawiając wszelkich wyjaśnień; była jednak rada ze zmiany tematu. Do chwili gdy Mackenzie nałożył sobie na talerz potężną porcję i zasiadł przy końcu stołu, zdołała jakoś zapanować nad swoimi uczuciami.

A przynajmniej nie okazywała ich tak wyraźnie. Myślała, że jakoś się już pogodziła z myślą, iż ich romans nie ma przyszłości. Odkąd jednak Mackenzie ostatniej nocy wspomniał o małżeństwie, poczuła nagły przypływ optymizmu. Sytuacja co prawda nie uległa zmianie, wszelkie bariery nadal ich rozdzielały - ale może znajdzie się jakiś sposób? Nadzieja bywa okrutna.

### 36

Kiri piła drugą filiżankę herbaty, gdy Rob Carmichael wszedł do pokoju śniadaniowego z posepnym wyrazem twarzy. Cassie uśmiechnęła się do niego.

- Widzę, że zapachy dobrego angielskiego śniadania ściągnęły cię tutaj z twojej gawry.

- Nie odmówię śniadania, jeśli mnie poczęstują, ale nie ono mnie tu sprowadza. - Carmichael zbyt późno uświadomił sobie, że ma na głowie kapelusz, i ściągnął go pospiesznie. - Dostałem dziś rano wiadomość od jednego z twoich służących, Mac. Znaleźli w gościnnym pokoju Kirk-landa - kompletnie ubranego, nieprzytomnego i płonącego od gorączki.

Mackenzie zaklął pod nosem.

- Atak tej choleryjnej gorączki błotnej?

- Chyba tak. I to ciężki.

- Czy służący posłali po doktora?

- Mam nadzieję, że tak. - Carmichael nalał sobie herbaty i wsypał do niej potężną ilość cukru. - Jeszcze nie widziałem chorego. Pomyślałem, że przedtem wpadnę tutaj i zawiadomię was wszystkich.

Cassie dopiła resztkę herbaty i wstała.

- Pojadę z tobą, Rob. Wszystko wskazuje na to, że Kirklandowi przyda się pielęgniarka. Najlepiej ktoś godny zaufania, kto nie zdradzi sekretów, które mogłyby wymknąć się mu w gorączce.

- Czyżbyś była pielęgniarką, Cassie? - spytał Carmichael z pewnym zdziwieniem.

- Czyż każda kobieta nie odgrywa tej roli wcześniej czy później? - odparła cierpko.

- Gorączka błotna? To znaczy febra, czyli malaria, prawda? - Kiri nie przypuszczała, że cokolwiek może powalić nieugiętego Kirklanda. - Czy u was lekarze stosują tak zwaną „korę jezuitów”?

Carmichael był wyraźnie zdezorientowany.

- Nie mam pojęcia. A cóż to takiego?

- To kora z drzewa chinowego, które rośnie w Ameryce Południowej. Jezuici dowiedzieli się od tubylców, jak stosować ten lek w zwalczaniu febry. W Indiach ludzie często na nią zapadają, toteż moi rodzice mają zawsze zapas tego leku. Nie wiem, czy jest on równie dobrze znany w Anglii, gdyż tu malaria jest znacznie mniej rozpowszechniona niż w krajach o gorącym klimacie.

To właśnie febra zabiła ojca Kiri, zanim jeszcze przyszła na świat jego córeczka. Generał Stillwell dowiedział się o cudownych właściwościach „koryjezuitów” od jednego ze swoich przyjaciół z wojska, który odwiedził Peru i tam zaopatrzył się w zapas tego leku. Niestety, jego nazwa zazwyczaj odstraszała angielskich protestantów. Stanowczo należało nadać korze inne miano, nie budzące w nikim sprzeciwu.

- Znam aptekarza, który przeważnie ma zapas tego lekarstwa. Kupię trochę tej kory i przyniosę ją naszemu choremu.
- Doskonale. Nauczysz mnie, jak to przyrządzać i ile mu podawać -wtrąciła Cassie.
- Do filiżanki gorącej wody należy wrzucić szczyptę tej kory - Kiri pokazała na palcach, jakiej wielkości powinna być owa szczypta. - Niech się tak parzy mniej więcej dziesięć minut, a kiedy herbatka naciągnie, trzeba skłonić chorego, żeby ją wypił. Powinien pić cztery do pięciu filiżanek dziennie. Sama przygotuję mu pierwszą porcję, żeby ci pokazać, jak się to robi.
- Tak bym chciał go odwiedzić - wtrącił Mackenzie z żalem. - Ale naprawdę nie mogę pokazywać się w okolicy, gdzie tak dobrze mnie znają: uchodzę przecież za nieboszczyka.
- Nie martw się, to twoje życie pozagrobowe nie potrwa już zbyt długo - zapewnił go z wisielczym humorem Carmichael. - Wytrzymaj tylko do uroczystego otwarcia parlamentu. Potem czeka nas zwycięstwo... albo sromotna klęska. Tak czy owak, będziesz mógł powrócić do grona żyjących.
- No właśnie. Jak zamierzasz to zrobić, Mac? - zainteresowała się Kiri. - Po prostu ukazesz się publicznie i wyjawisz prawdę, że udawałeś nieboszczyka, pomagając równocześnie władzom w polowaniu na szpiegów?
- Ja miałbym wyjawić prawdę? - Mackenzie wydawał się zdęgotowany. - Cóż by to było za nudziarstwo. Nie wspominając już o tym, że uniemożliwiłoby mi to dalszą współpracę z Kirklandem.
- W takim razie, jak to załatwisz?
- Wynurzę się z czeluści Szpitala Świętego Bartłomieja, utrzymując, że otrzymałem cios w głowę podczas pościgu za opryszkami, którzy chcieli się włamać do Damiana. Przez kilka tygodni nie wiedziałem, kim jestem - wyjaśniał dalej. - Atymczasem czyjeś zwłoki zostały przez omyłkę uznane za me doczesne szczątki. Zobaczycie, że radosna wieść o tym, iż nadal żyję i dobrze się miewam, zostanie przyjęta przez wszystkich z entuzjazmem. Popularność klubu jeszcze wzrośnie, ludzie pchać się będą drzwiami i oknami, by podziwiać sensację dnia. Kiri wybuchnęła śmiechem.
- A w jaki sposób wyjaśnisz to, że twój sygnet znalazł się na palcu innego nieboszczyka?
- Ten nieszczęsny złodziejasek musiał mi go skraść, gdy byłem nieprzytomny - odparł bez wahania Mackenzie. - A Kirkland będzie utrzymywał, że

właśnie na widok tego sygnetu i pod wpływem doznanego szoku uznał, całkiem niesłusznie, że ów nieboszczyk to ja. Carmichael dał się wciągnąć do zabawy.

- A ja dodam swoje trzy grosze, wyznając, że jakoś nie mogłem uwierzyć w twoją śmierć i postanowiłem przeprowadzić śledztwo na własną rękę.

- Znakomicie. To ty znalazłeś mnie u Świętego Bartłomieja. Z urazem głowy. Pod pretekstem tego urazu będę mógł sobie pozwalać przez kilka najbliższych miesięcy na wyjątkowe bezceństwa.

Uśmiechnął się szeroko do Kiri, a w niej serce stopniało. Jak to się dzieje, że w porównaniu z nim każdy inny mężczyzna to skończony nudziarz?

- Wszystko to bardzo pięknie - rzuciła niecierpliwie Cassie - ale pospieszmy się lepiej, jeśli Kirkland ma być świadkiem twego powrotu do życia.

Jej słowa sprawiły, że wszyscy pobiegli po swoje płaszcze i kapelusze. Kiri miała nadzieję, że aptekarzowi, o którym wspomniała, znajomemu jej rodziców, nie zabrakło akurat kory chinowej. Gdyby tak się stało, niełatwo by ją było znaleźć w innych aptekach. Wiedziała, że poczuje się znacznie spokojniejsza, gdy napoi Kirklanda pierwszą dozą „koryjezuitów”. Malaria nierzadko kończyła się śmiercią.

Zresztą, gdyby nawet nie groziło to najgorsze - a Kirkland, dzięki Bogu silny i niezwykle wytrzymały, powinien zwalczyć chorobę - chodziło również o to, by wyzdrowiał jak najprędzej. Kiri była przekonana, że nikt nie poradzi sobie z ich trudnym zadaniem tak dobrze, jak on. Był jak wielki, mądry pająk, tkwiący pośrodku rozległej pajęczyny - siatki szpiegowskiej, złożonej z mnóstwa ważniejszych i mniej ważnych agentów. A w dodatku Kirkland posiadał nieocenioną umiejętność: potrafił zawsze uzyskać posłuchanie zarówno u księcia regenta, jak u premiera.

Bez Kirklanda ich szanse na sukces byłyby znikome.

Dreńczyły go niekończące się koszmary senne. Czołgał się przez palące piaski pustyni albo ślizgał po ogromnych lodowcach w szaleńczym pościgu za mordercami, których musiał unieszkodliwić za wszelką cenę.

Świadomość wracała mu powoli, stopniowo. Najpierw dostrzegł w górze nad sobą sufit. Całkiem normalny sufit. Po dłuższym czasie przyszło mu na myśl, że mógłby odwrócić głowę, co zresztą okazało się o wiele trudniejsze i bardziej niewygodne, niż być powinno.

Leżał na łóżku, okryty kołdrami i kocami, mimo że naprzeciw niego płonął na kominku ogień. Zamrugał oczyma i wszystko stało się wyraźniejsze. Znajdował się w domu Maca. A konkretnie - w jego pokoju gościnnym, gdzie zatrzymywał się wielokrotnie. Tylko dlaczego właśnie teraz i akurat tam?

- O, zdecydowałeś się wreszcie powrócić do życia. - Chłodna dłoń spoczęła na jego czole. - Gorączka zdecydowanie spadła. Jeżeli masz ochotę coś zjeść, może znajdzie się dla ciebie trochę rosołu z kury... o ile grzecznie poprosisz.

- Cassie? - Zamrugał znów oczyma i przyjrzał się jej. Miała sińce pod oczami. Przypomniało mu się jak przez mgłę, że miotał się po łóżku, a ktoś zmuszał go do wypicia bardzo gorzkiej herbaty. Zdaje się, że zrzucił także z siebie przykrycie, kiedy go paliła gorączka, i znów trzeba go było okrywać, gdy \ strząsały nim dreszcze. - Jak długo byłem nieprzytomny?

- Trzy dni. Miałeś atak błotnej gorączki. O ile mi wiadomo, późną nocą przyszedłeś do domu Mackenziego i straciłeś przytomność. Nikt nie miał pojęcia o tym, co się z tobą stało, póki służący Maca nie znaleźli cię tutaj następnego ranka.

- Aż trzy dni.

Próbował usiąść na łóżku, ale osunął się na poduszki, zbyt wyczerpany, by unieść znów głowę.

- Leż spokojnie, Jamesie - poleciła mu tonem srogiej niani. - Omal nie wylądowałeś na niebiańskim progu, bo nie dbasz o siebie, nic a mc. Nie ruszysz się z tego łóżka, dopóki w pełni nie odzyskasz sił.

Kirkland nie miał pojęcia, że Cassie wie, jak mu na imię.

- Było ze mną aż tak źle?

- Owszem.

- Dobrze, będę leżał spokojnie - obiecał potulnie. Uśmiechnęła się szeroko.

- Zgadzasz się tylko dlatego, że nie masz siły protestować. Przejrzała go na wylot. Nie zniżył się do wyraźnej odpowiedzi na jej

uwagę, spytał tylko:

- To ty czuwałaś przy mnie przez cały czas?

- Zmienialiśmy się przy tobie, twój lokaj i ja. Często też odwiedzała cię Kiri. To ona przyniosła „korę jezuitów” i pokazała nam, jak przyrządzać z niej napar. Chyba to dzięki niemu przestałeś wreszcie rzucać się i majaczyć.

I nie martw się, żadne z nas nie wyjawia twoich czarnych tajemnic. Niektóre z nich były całkiem interesujące, wiesz? Jęknął głucho, zastanawiając się, ile też wygadał w gorączce.

- Dobrze wiem, że zachowasz milczenie w podzięce za dożywotnią pensję, która pozwoli ci spędzić wygodnie resztę życia.

Natychmiast pożałował, że to powiedział. Przecież ilekroć Cassie udawała się do Francji, należało liczyć się z tym, że tam zginie i nigdy już nie powróci do Anglii.

Ale Cassie tylko się uśmiechnęła.

- O, taka obietnica z pewnością skłoni mnie do trzymania języka za zębami... póki nie otrzymam korzystniejszej propozycji.

Zbyt wyczerpany, by kontynuować takie przekomarzanki, spytał tylko:

- Co ze spiskiem? - Tu zabrakło mu tchu. - I z otwarciem parlamentu?

- Na razie nikogo nie zamordowali - uspokoiła go. - Nie było też żadnych nieudanych prób. Rob Carmichael rozpracowuje wszelkie informacje, które docierają do twojego biura. Nie ma z tym zresztą wiele

kłopotu, gdyż praktycznie nic się nie dzieje, choć twoi ludzie starają się coś wytropić. Może te przekłete lotry dały za wygraną ?

- Na to nie ma co liczyć. - Kirkland był pewny tego, co podpowiadał mu jego szósty zmysł, tak przydatny w działalności wywiadowczej. - Cholernie ciężki miecz wisi nam nad głową... i może spaść lada chwila,

- Też się tego boję. - Cassie również odznaczała się bezbłędną intuicją. - Ale z dojściem do prawdy jest jak z kłębkami nici: ani rusz nie odmotasz, jeśli nie pociągniesz za właściwy koniuszek. Kirkland przymknął oczy; wiedział, że Cassie ma słuszność: największą pomocą w każdym śledztwie bywa szczęśliwy traf. Jednak dzięki uporczywej pracy można stworzyć więcej okazji po temu, by owo szczęście dopisało. Jakieś wspomnienie zamajaczyło nagle w głębi jego umysłu. Tamtej

nocy, kiedy tu przybył, zanim gorączka zbiła go całkiem z nóg. Kirkland z trudem szukał czegoś w pamięci.

- Listy do Mackenziego... Znalazłem kilka w jego gabinecie... Jeden był od herszta tych przemytników z Kent... To chyba coś ważnego.

- Pozbieram wszystkie listy i dziś jeszcze oddam je Macowi. - Cassie uśmiechnęła się lekko. - Z pewnością zjawiłby się tutaj, gdyby nie był nieboszczykiem. Ale najwyższy czas, żebyś znów się zdrzemnął.



I chociaż brytyjskiej rodzinie królewskiej nadal groziło poważne niebezpieczeństwo, Kirkland zdumiewająco łatwo i bez oporu zamknął oczy i zasnął.

Cassie przyszła tego wieczora na kolację zmęczona, ale już nie zatrwożona. Mac spytał:

- Kirkland miewa się lepiej?

- Gorączka spadła, mówi przytomnie, tylko jest słaby jak mucha.

- To skutki gorączki - zauważyła Kiri. - Ale wreszcie odbił się od dna. Mac zmusił się do tego, by spojrzeć na Cassie.

Miał ostatnio fatalną

skłonność do gapienia się na Kiri jak cieleń na malowane wrota, jeśli się nie pilnował. Spędzili razem trzy ostatnie noce, a on im dłużej z nią był, tym goręcej jej pragnął.

- Ogromnie mu pomogła ta twoja „kora jezuitów”, Kiri. To był ciężki atak febry. Bardzo ciężki. - Cassie nie bawiła się w bliższe szczegóły. - Mac, przyniosłam z twojego domu listy do ciebie. Kirkland zamierzał ci je oddać, ale choroba nagle go powaliła. Niemal zaraz po powrocie do przytomności wspomniął o liście od przemytnika z Kent, który koniecznie musisz przeczytać. Wyraźnie podpowiadała mu to intuicja - a wszyscy wiemy, jak wyczulony jest szósty zmysł Kirklanda.

Mac wziął od niej listy i zaczął je przeglądać.

- Wybaczcie, muszę się tym od razu zająć.

Szybko odnalazł list, o którym Cassie wspomniała, i przeczytał go, marszcząc czoło.

- Hawk, herszt przemytników, jest przejęty czymś (może to zresztą ktoś, a nie coś?), co właśnie nadeszło z Francji. I życzy sobie, żebym przyjechał do hrabstwa Kent i spotkał się z nim w kryjówce przemytników. Jutro, gdy tylko noc zapadnie.

Co prawda, Hawk nie podał w liście miejsca spotkania, ale był widać pewny, że Mac dobrze wie, gdzie go szukać.

Kiri zmarszczyła brwi.

- Czy to możliwe, by Hawk nie wiedział o twojej śmierci?

- Mało prawdopodobne, by czytywał regularnie londyńskie gazety... jeśli w ogóle je czyta. Poza tym uważa pewnie, że Mackenzie to moje pseudo, zwłaszcza że to szkockie nazwisko, a ja jestem Anglikiem - odparł Mac po

zastanowieniu. - Hawk zajmuje się przemytem, bo to u nich rodzinna

tradycja, ale poza tym to lojalny brytyjski obywatel. Z pewnością wie, że przywoził dla mnie z Francji - prócz wina i koniaku - także sekretne informacje. Gdyby natknął się na coś, co jego zdaniem należałoby przekazać władzom, chyba tylko do mnie mógłby się zwrócić o pośrednictwo. Zmarszczka na czole Kiri jeszcze się pogłębiła.

- Trafił w moje ręce nóż jednego z przemytników, a w tym nożu była tajna notatka pachnąca wodą Alejandro. Śmiem więc przypuszczać, że ci przemytnicy mają jakieś konszachty ze spiskowcami. A uroczyste otwarcie parlamentu lada chwila. Czy zdążysz pojechać do Kent, pogadać z Hawkiem i wrócić na czas?

- Czasu będę miał aż nadto - zapewnił ją - ale nic strasznego się nie stanie, choćbym nawet dłużej zabawił w Kent. Carmichael i Kirkland potrafią lepiej ode mnie zapewnić bezpieczeństwo rodzinie królewskiej i wiedzą, jak w razie czego strzec Westminsteru. Moja specjalność to bratanie się z przemytnikami i inne podejrzane kontakty tego rodzaju.

- A co, jeśli Kirkland będzie nadal chory? Mac zastanowił się.

- Z pewnością wrócę na czas.

- Lepiej by było, żebym pojechała z tobą - zaproponowała Kiri. - Sam przecież namawiałeś, żebyśmy wybrali się razem do przemytników, bo kto wie, może odnajdę wśród nich przywódcę porywaczy.

Mac pokręcił głową.

- Okoliczności się zmieniły. Tym razem spotkam się chyba tylko z Hawkiem, nie z całą bandą. Gdybym przywiózł ze sobą kogoś obcego, Hawk może by nie chciał z nami gadać.

Kiri przygryzła wargę. Była wyraźnie zaniepokojona.

- Ale to niebezpieczne. Nie powinienes jechać sam.

- Nic z tego, co robimy, nie jest zbyt bezpieczne, ale z Hawkiem znamy się od lat. Jeśli go coś niepokoi, muszę z nim porozmawiać.

Kiri nadal nie była całkiem przekonana, ale pozwoliła, by uznał temat za wyczerpany. Mac zastanawiał się, czyjej obawy mają jakiś związek z ich rozkwitającym romansem. On z całą pewnością nie chciał tracić jej z oczu. Może i ona czuła podobnie? Ale przecież jego nieobecność nie potrwa długo, a to, co Hawk miał mu do powiedzenia, mogło się okazać bardzo pożyteczne. W obecnej sytuacji należało sprawdzić każdy obiecujący trop. I to bez zwłoki.

Wybrzeże w hrabstwie Kent było zimne i nieprzyjazne pod koniec listopada. I jakieś takie... niesamowite, aczkolwiek Mac nieraz już odwiedzał kryjówkę przemytników. Gdyby miał nazbyt bujną wyobraźnię, wypatrywałby pewnie ducha za każdą skalą.

Dotarł do Dover karetką pocztową, zmieniając konie na każdej stacji. Potem wynajął wytrzymałego konia, na którym już jeździł, by na jego grzbiecie pokonać kilka ostatnich mil, oddzielających go od jaskini przemytników. Choć spieszył się, jak mógł, spóźnił się nieco. Na nowiu noc była czarna, bezksiężycowa, a pędzone wiatrem chmury przesłaniały światło gwiazd. Rad z tego, że zabrał ze sobą latarnię, Mac dotarł wreszcie po kamienistej ścieżce do jaskini.

Gdy zbliżał się do niej, z przyjemnością wyczuł dolatującą z wnętrza woń dymu i płonących szczap. Hawk, jak widać, nadal na niego czekał. Mackenzie wszedł do pieczary z uniesioną wysoko latarnią, ożywiony i pełen nadziei, że jego długa jazda nie okaże się daremna.

- Hej, Hawk.

- A, udało ci się tu dotrzeć? Jużem się martwił.

Nie był to jednak głos Hawka. Stał przed nim Howard, ten rozwścieczony przemytnik, któremu tak się chciało Kiri. Mac postanowił natychmiast się wycofać, ale dwóch innych przemytników, dotąd ukrywających się w cieniu, odcięło mu drogę. Słyszeli widać, jak nadjeżdża i przygotowali się na jego przybycie.

Rzucili się na niego z pałkami w ręku. Mac był na tyle zwinny, że zdołał uniknąć większości ciosów, ale uderzenie w głowę okazało się dość celne i silne, by go powalić i pozbawić przytomności na kilka chwil, jakże istotnych w tej sytuacji.

Kiedy Mackenzie upadł, Howard warknął:

- Nie zabijać. Za żywego więcej zapłacą.

Do chwili, gdy Macowi rozjaśniło się w głowie, zdążyli mu zabrać płaszcz i okraść, z czego się da. Potem zaciągnęli go na drugi koniec jaskini i przykuli do skały. Tym razem kajdanki nie były przeżarte rdzą jak te, którymi skrupowali Kiri, ale nowiutkie, błyszczące obrączki, po jednej na każdy nadgarstek. Wyglądało to tak, jakby przygotowano wszystko w jaskini specjalnie na przybycie Mackenziego.

Gdy był już solidnie przykuty, pojawił się przed nim Howard ze śrutówką w ręku. Stanął w bezpiecznej odległości, by więzień nie mógł go kopnąć.

- No, no. Londyński aligancik okazał się na tyle głupi, że nie odróżnił moich bazgrołów od pisma Hawka. Może czeka mnie jeszcze piękna kariera fałszerza?

Wścikły na siebie, że dał się tak łatwo nabrać, Mac odparł jednak z zimną krwią:

- Zadałeś sobie wiele trudu, Howardzie, żeby mnie tu ściągnąć. Nie prościej byłoby poczekać do mojej następnej wizyty w Kent?

- Nie żałowali forsę, żebym cię tu ściągnął wcześniej. No i nie ma teraz w pobliżu Hawka, którego mógłby nam zepsuć zabawę. - Oczy Howarda zwęziły się. - Powiedz no, czy ta dziwka, coś mi ją sprzątnął sprzed nosa, była warta zachodu? Nieraz żem o tym myślał.

Maca ogarnął nagły, morderczy gniew; zdołał jednak opanować się i pokryć go lodowatą wzdardą.

- Ktoś taki jak ty nawet by nie zrozumiał, co to za zdumiewająca i niezwykła kobieta.

Howard zarechotał.

- Znaczący się, nawet ci nie stanął, co? Pewnie wolisz chłoptasiów. Obelga była tak absurdalna, że Mac uśmiechnął się mimo woli.

- Co za idiotyzm. Byłe smarkacz wymyśliłby coś mądrzejszego. Powiedz lepiej, kto ci zapłacił, żebyś mnie tu zwabił?

Howard zastanawiał się przez chwilę, zanim udzielił odpowiedzi.

- Twój dawny koleś z wojska, nazywa się Swinnerton. Teraz, kiedyś już wpadł, wyślę mu do Londynu liścik, a on raz dwa tu przyjedzie. Jak z tobą skończy, niewiele z ciebie zostanie. Dał na to słowo. Może pozwoli, żebym mu pomógł.

- Ręka Howarda zacisnęła się na broni. - To będzie miły dodatek do forsę za złapanie takiego aliganckiego ptaszka.

Howard w dalszym ciągu starał się sprowokować jeńca, ale ten już go nie słuchał. Rupert Swinnerton... Kiedy grali w karty w Klubie Kapitańskim, musiał go rozpoznać mimo przebrania. Najwyraźniej należał również do spisku.

Czyżby był jego organizatorem? Raczej nie. Rupert nie odznaczał się talentami strategicznymi. Był jednak twardy i doświadczony w walce. Zapewne dyrygował zbirami, którzy mieli porwać księżniczkę Charlotte w Damianie.

Zapadła już noc. Miną ze dwa dni, nim wiadomość dotrze do Londynu i Swinnerton przybędzie do Kent. Bardzo możliwe, że chciał się po prostu upewnić, co władze już wiedzą na temat ich spisku. Jak wszystko

dobrze pójdzie, powinien wrócić do Londynu na uroczyste otwarcie parlamentu.

Mac dyskretnie sprawdził, jak mocne są jego kajdany. Gdyby posiadał odpowiednie narzędzia, zdołałby się bez trudu oswobodzić. Nie miał jednak nawet brylantowego pierścienia jak Kiri. Dopóki sytuacja nie ulegnie zmianie, musi pogodzić się z tym, że znalazł się w potrzasku. Odetchnął powoli i głęboko, po czym usadowił się pod ścianą, najwygodniej, jak to było możliwe.

Jeśli ma spędzić w tych warunkach dwa najbliższe dni, jakoś to zniesie. Miał nadzieję, że dadzą mu przynajmniej coś do jedzenia.

### 37

Z Mackenziem działo się coś złego. Kiri czuła to w kościach. Minęły dwa dni, powinien był przez ten czas dotrzeć na wybrzeże i powrócić stamtąd,

o ile jechał swoim zwykłym tempem. Dyskusja z Hawkiem mogła, co prawda, nieco się przeciągnąć, ale Kiri jakoś trudno było w to uwierzyć. Dla takiego przemytnika czas to pieniądz, więc rozmowa musiała być krótka.

i kto wie, czy nie skłoniła Maca do powrotu w jeszcze szybszym tempie?

Przed wszystkim zaś przeczucie mówiło Kiri, że coś jest nie w porządku. Nie miała zwyczaju zamartwiać się bez powodu, wiedziała też, że Mac zazwyczaj doskonale daje sobie radę, ale tym razem jakiś głos wewnętrzny szeptał jej, iż sprawy nie potoczyły się zgodnie z planem.

Cóż jednak Kiri mogła na to poradzić? Umiała całkiem nieźle orientować się w terenie i trafiłaby zapewne do jaskini przemytników; nie była jednak pewna, czy znalazłszy się tam, wiedziałyby, co robić dalej. Istniało zbyt wiele rozmaitych możliwości - choćby taka, że nie zostanie tam Mac-kenziego. A gdyby tak było, nie miałyby pojęcia, gdzie go szukać.

Zmusiła się do stawienia czoła najgorszej ewentualności - może Mac nie żyje? W wyniku tego spisku straciło już życie parę osób. Gdyby zaś zabrakło Maca... może nigdy nie dowiedziałyby się, jak do tego doszło?

Dwa dni jego nieobecności dłużyły się jej jak dwa tygodnie, zwłaszcza że nie miała prawie nic do roboty. Nie mogła przecież chodzić sama po nocnych klubach i podejrzanych spelunkach i obwąchiwać bywalców

tych lokali. Wobec tego postanowiła udać się do domu Mackenziego pod pretekstem zaopiekowania się chorym Kirklandem, a w gruncie rzeczy po to, żeby się czymkolwiek zająć. Szkot wyraźnie wracał do zdrowia i umysł miał znów ostry jak brzytwa, ciało jednak było tak wycieńczone błotną gorączką, że z wysiłkiem przenosił się z łóżka na fotel i z fotela na łóżko. Kiri spędziła prawie cały ranek w pokoju Kirklanda, to czytając mu na głos, to rozmawiając z nim, gdy miał na to ochotę. Potem jednak jego nadopiekuńczy i nieugięty lokaj wyprosił ją z pokoju, żeby wykapać swego pana. Dzięki temu Kiri miała okazję zwiedzić cały dom Maca - urządony wygodnie, choć nieco ekscentrycznie. Czowała w nim niemal obecność ukochanego, ale nie osłabiło to jej niepokoju.

Znajdowała się akurat w salonie, gdy ktoś energicznie zakolała do drzwi frontowych. Sądząc, że to Cassie albo Carmichael, Kiri wbiegła do holu, w chwili gdy lokaj otwierał drzwi. Stojąca w drzwiach i oświetlona od tyłu postać - wysoka i barczysta - była jej doskonale znana.

- Mackenzie. - Kiri popędziła przez hol prosto w jego objęcia. - Tak się niepokoiłam.

Czując dotyk jego dłoni na swych ramionach, zmartwiała. Coś tu było nie w porządku. Odskokczyła zaś raptownie, gdy zdumiony głos spytał:

- Lady Kiri? Nie miałem pojęcia, że zna pani mojego brata. Podniosła znów wzrok i z trudem przełknęła ślinę. Serce w niej zamarło.

- Lord Masterson? Myślałam, że jest pan w Hiszpanii.

- Zamierzałem właśnie udać się do Anglii, gdy dowiedziałem się z gazet o śmierci mojego brata. - Jednym spojrzeniem odprawił lokaja i ująwszy Kiri pod ramię, zaprowadził ją do salonu. - Zaraz po przybyciu do Londynu udałem się prosto do domu Kirklanda, a jego majordomus skierował mnie tutaj. - Masterson zamknął drzwi salonu, by mogli porozmawiać bez przeszkód. - Wiem, że najprostsze sprawy często się komplikują, gdy chodzi o Maca, ale pani przed chwilą nie zachowywała się bynajmniej jak ktoś przekonany o jego śmierci.

Twarz Williama pełna była napięcia, oczy zaś - rozpaczliwej nadziei.

- Dwa dni temu, milordzie, Mac był żywy i zdrowy - zapewniła go pospiesznie Kiri.

- Bogu niech będą dzięki.

Z całej siły zacisnął powieki. Kiri była niemal pewna, że walczył ze Izami. Gdy tylko zdołał się opanować, spytał:

- Co się tu dzieje? I skąd pani tutaj, w domu mojego brata? Czyżby pani i Kirkland...

Głos uwiązał mu w gardle. Wydawało się, że nie potrafi znaleźć właściwych słów.

Spróbował jeszcze raz.

- Jeśli to ma jakiś związek z pracą Kirklanda dla rządu, to jestem wtajemniczony w całą sprawę i nieraz przesyłam mu informacje, jeśli trafię na coś, co może okazać się użyteczne.

- W takim razie siądźmy lepiej oboje, a ja postaram się wszystko panu wytłumaczyć, milordzie. Kirkland wraca do zdrowia po niezwykle ciężkim ataku febry. Męczy się teraz bardzo szybko, więc chyba lepiej, żeby dowiedział się pan ode mnie o tym, co się tu dzieje, zanim się spotkacie.

- Jest pani zdumiewająco praktyczna, lady Kiri - mruknął Masterson. - Cały się zamieniam w słuch.

Kiri siadła na krześle i przez chwilę układała sobie w myśli, co i jak ma powiedzieć. Zaczęła od tego, że została porwana przez przemytników, następnie przeszła do Damiana i jego klubu i opisała nieudaną próbę porwania księżniczki Charlotty. Następnie przekazała mu zwięźle, czego się dowiedzieli o spisku i zrelacjonowała, w jaki sposób starają się przeciwdziałać knowaniom spiskowców i nie dopuścić, by doszło do jakichś nieodwracalnych szkód.

Masterson słuchał, nie przerywając Kiri i chłonąc każde jej słowo. Gdy skończyła, odezwał się:

- Rozumiem, czemu Mac uznał, że najlepiej będzie udawać nieboszczyka. Szkoda tylko, że nie wiedziałem wcześniej, iż wszystko z nim w porządku.

- Kirkland od razu napisał do pana, milordzie, i postarał się, by list został wysłany pocztą kurierską najszybciej jak to możliwe.

- W takim razie list czeka zapewne na mnie w moim regimencie. Dosłownie w ostatniej chwili zdecydowałem się powrócić do Anglii na zimę... i dlatego właśnie wszelkie starania Kirklanda poszły na marne. - Masterson wstał. - Chciałbym zobaczyć się z nim, jeśli teraz nie śpi.

- Najlepiej będzie, jeśli pan porówna to, co panu przekazałam, z tym, co on panu powie - przytaknęła Kiri.

- Bynajmniej nie kwestionuję pani prawdomówności - zastrzegł się pospiesznie Masterson.

- Wiem. Jestem jednak zaledwi e amatorką, jeśli idzie o pracę w wywiadzie, toteż mogłam coś opacznie zrozumieć.  
- Szczerze mówiąc, niesamowicie przypomina pani Ashtona - oświadczył Will Masterson. - Ta sama jasność myśli i obiektywizm.

Kiri omal się nie zarumieniła.

- Dziękuję, milordzie. To niesłychana pochwała.

- Ani trochę nie przesadzona. - Masterson zatrzymał się przy drzwiach. - Nie pójdzie pani razem ze mną do Kirklanda?

- Będziecie mogli swobodniej porozmawiać w cztery oczy. Skinął głową na znak zgody i wyszedł.

Kiri pozostała w salonie... i zaczęła snuć pewne plany.

Nie upłynęło zbyt wiele czasu i lord Masterson powrócił. Raz jeszcze uderzyło Kiri jego ogromne podobieństwo do brata. Ponieważ obaj byli wysocy, barczyści i potężnie zbudowani, łatwo byłoby wziąć jednego za drugiego, zwłaszcza z pewnej odległości albo jeśli nie znało się ich zbyt dobrze. Nawet rysy twarzy mieli podobne, choć Mackenziego można było poznać po oczach różnej barwy i po nieco jaśniejszym kolorze włosów.

Najbardziej różnili się charakterem. Mackenzie był przekorny i pełen uroku, Mastersona cechował głęboki spokój; odnosiło się wrażenie, że jest człowiekiem, który poradzi sobie w każdej sytuacji. Kiri pomyślała, że dwaj tacy mężczyźni jak oni mogli stać się albo wrogami, z których każdy doprowadzałby drugiego-do szału, albo przyjaciółmi, doskonale uzupełniającymi się nawzajem. I rada była, że łączy ich miłość, a nie wrogość.

Masterson miał poważny wyraz twarzy. Jego początkową radość na wieść o tym, że brat żyje, przyćmiła nieco troska o przyjaciela.

- Kirkland wygląda, jakby go stratował tabun koni. W zeszłym roku w Hiszpanii sam miałem podobny atak febry i minęło wiele tygodni, nim odzyskałem siły. Kirkland myśli jednak jasno i potwierdził każde pani słowo. Cieszę się, że wróciłem do Anglii. Jeśli szykują się jakieś zamieszki podczas uroczystego otwarcia parlamentu, powinienem chyba zająć swe miejsce w Izbie Lordów i w razie potrzeby włączyć się do akcji.

- Przyda się nam każda pomoc - odparła posepnym tonem Kiri. - Tropienie spiskowców nie idzie jak po maśle, a czas ucieka.

- Czemu była pani taka niespokojna o Maca, że aż rzuciła się pani jemu, to znaczy mnie, na szyję? - W oczach Mastersona błysnął uśmiech. - Nie



powiem, że mi się to nie spodobało, ale taka reakcja to najlepszy dowód pani obaw.

- Martwię się o niego, od chwili gdy otrzymał list od herszta przemytników, wzywający go do Kent. - Kiri westchnęła w poczuciu swej bezradności. - Nie mam, co prawda, wyraźnego powodu do obaw, czułam jednak od samego początku, że grozi mu niebezpieczeństwo. A teraz, kiedy jego powrót się opóźnia, aż się skręcam ze strachu.

- Wiem z doświadczenia, że nie należy lekceważyć intuicji - Masterson mówił powoli, z namysłem. - Mnie zaczął dręczyć niepokój o Maca, gdy byłem jeszcze w Hiszpanii. Właśnie dlatego zdecydowałem się na powrót do Anglii, gdy wojsko udało się na kwatery zimowe. I choć ogromnie mi ulżyło na wieść, że Mac nie został zabity w tym swoim klubie, przyznam, że nadal odczuwam lęk.

Popatrzyli na siebie nawzajem i zadumali się.

- Zapewne jest pan zmęczony po podróży, milordzie - zaczęła Kiri głosem, któremu trudno się było oprzeć - ale może zgodziłby się pan towarzyszyć mi do hrabstwa Kent? Tak bardzo pragnę dostać się tam, tylko nie jestem pewna, czy sama zdołam mu pomóc.

- Gdybyśmy zdecydowali się udać do Kent, choćby tylko po to, by udowodnić, że nasze obawy były bezpodstawne... czy ma pani przyzwo-itkę, która mogłaby nam towarzyszyć?

Kiri uśmiechnęła się szeroko.

- Zbyt długo żyłam, nie oglądając się na żadne zakazy i nakazy, milordzie, by teraz odczuwać nagłą troskę o tak zwaną „przyzwoitość”. Po prostu jedźmy, i to jak najszybciej.

Masterson zachował, na szczęście, niewzruszony spokój. Powiedział tylko:

- Jeśli mamy zatem uciec we dwoje, milady, powinna chyba pani mówić do mnie Will.

- A ja jestem po prostu Kiri. - Zerwała się z krzesła. - Muszę wracać do pensjonatu, w którym roi się od agentów Kirklanda. Exeter Street jedenaście, w pobliżu Covent Garden. Przebiorę się w odpowiedniejszy strój i będę gotowa do drogi. A pan, a ty musisz jeszcze coś załatwić przed wyjazdem?

- Zostawię tu swój bagaż, wynajmę karetkę pocztową i podjadę po ciebie, Kiri, na Exeter Street.

- Tośmy się umówili.

I Kiri wypadła z pokoju, by poprosić lokaja o wezwanie dorożki. Zawsze miała dobre mniemanie o Willu Mastersonie, choć nieczęsto się spotykali w domu Adama. Teraz jednak doszła do wniosku, że Will jest po prostu cudowny.

Macowi nie odmówiono pożywienia, aczkolwiek odrobina sera, suchy chleb i woda wystarczały za ledwie, by utrzymać duszę w ciele. Uwolniono mu co prawdajedną rękę, żeby mógł sam jeść i zadbać o higienę osobistą, ale drugi nadgarstek pozostawał mocno skuty. A poza tym uzbrojony drab przez cały czas miał go na oku. Nie było więc żadnej możliwości ucieczki.

Co gorsza, nie było również nic do roboty. Mógł się tylko wsłuchiwać w niekończący się plusk fal. Myślenie o Kiri zdecydowanie pomagało, ponieważ nigdy, na jawie czy we śnie, nie mogłaby mu się znudzić. Kiedy pierwszy dzień dobiegł końca, Mac był niepokojąco świadom tego, że Kiri zaczyna się o niego martwić.

Pod koniec drugiego dnia miał zjawić się Rupert Swinnerton. Maca niemal cieszyła perspektywa konfrontacji z nim, gdyż kładła kres nudzie. Bardzo możliwe, że położy również kres jego życiu, i czeka go nowa przygoda: Mac przekona się, co czeka go po tamtej stronie... o ile w ogóle coś tam będzie. Z tego jednak, co wiedział o Swinnertonie, należało przypuszczać, że wynajdzie jakiś wymyślny sposób uśmiercenia go, i to taki, by podbudować przy tym własne ego. Być może Rupert uzna za stosowne odzepić choć-na chwilę jeńca od skalnej ściany - a wtedy kto wie, co może się wydarzyć.

Howard usłyszał kroki zbliżającego się Swinnertona i wyszedł mu na spotkanie. Mac przygotował się duchowo na to, co ma nastąpić. Po dwóch dniach tkwienia na uwieżi w jaskini był zziębnięty i, co tu ukrywać, wystraszony. Ale ponieważ oficjalnie uznano go już za nieboszczyka, powinien okazać stoicki spokój, stanąwszy oko w oko z autentyczną śmiercią.

Choćbyjednak nie wiedzieć jak żartował i dowcipkował, czuł, że nie zdoła całkiem pokonać strachu.

Kochał życie, kochał to, co ze sobą niosło - i kochał Kiri. Teraz, gdy koniec był bliski, Mac przyznał się do tego przed samym sobą. Nie było już czasu na wykręty czy zaprzeczenia.

Swinnerton wszedł buńczuczny krokiem gracza, który wie, że ma w ręku karty nie do przebiccia. Tego się właśnie Mac spodziewał. Absolut-

nym zaskoczeniem była jednak dla niego obecność człowieka, który szedł obok Swinnertona i niósł latarnię.

Tamten również nie był przygotowany na to spotkanie.

- Mackenzie? - krzyknął i latarnia zadrżała mu w ręku, a płomień zatańczył dziko. - Przecież zostałeś zabity. Widziałem twoje zwłoki...

Wpatrywał się w Maca czarnymi oczyma, pełnymi zdumienia.

Baptiste. Mac wiedział, że ktoś z pracowników Klubu Damiana musi być w zmowie z porywaczami i powtarzał sobie, że nikt nie jest ponad podejrzeniami. Ale - mimo wszystko - nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby to być Baptiste, nie tylko jego najbardziej zaufany współpracownik, ale i przyjaciel.

Swinnerton zaśmiał się i Mac pojął, że ten bydlak z góry się cieszył na podwójny szok, jakiego doznają zarówno Baptiste, jak Mac. Lubił sprawiać ludziom ból.

Ukrywając swoje wzburzenie, Mackenzie wycedził:

- Nie spieszyło ci się do nas, Rupercie. Jean-Claude, jestem tobą rozczarowany. Czyżbym ci za mało płacił?

Z twarzą śmiertelnie bladą Baptiste odparł:

- Powiedziano mi, że chcę tylko schwytać niemądrą dziewczynę, która uciekła z domu, zanim skompromituje się ostatecznie. Ze to sprawa rodzinna, nie żadne przestępstwo, i że nikomu nie stanie się krzywda. A potem - tu zmienił się na twarzy - ty i ten drugi mężczyzna zostaliście zabici.

- Jeśli już chciałeś, żeby ktoś cię przekupił, mogłeś sobie staranniej dobrać ofiarodawcę. - Mac przeniósł wzrok na Swinnertona. - Zdaje się, że moje przebranie nie było tak dobre, jak mi się zdawało tamtej nocy, kiedy graliśmy razem w karty.

- Omal mnie nie zwiodłeś - przyznał Swinnerton. - Ale zastanowiło mnie, czemu ta twoja damulka, klejnot pierwszej wody, klei się do takiego starego nudziarza - i przyjrzałem ci się nieco uważniej. A kiedy spostrzegłem, że rozkładasz karty w pewien sposób, dobrze mi znany, uświadomiłem sobie, z kim mam do czynienia. - Wąskie wargi kapitana wygięły się w uśmiechu radosnego oczekiwania. - A teraz dowiem się, co ty i twoi przyjaciele zdążyliście wyniuchać, jeśli chodzi o nasze plany.

Mac pospiesznie zbierał myśli. Swinnerton orientował się, że przeciwnicy mieli niejaki pojęcie o spisku, nie było więc sensu udawać kompletnej niewiedzy. Nietrudno się było domyśleć, że Kirkland i jego agenci

zorientowali się, iż spisek zagrażał przede wszystkim brytyjskiej rodzinie królewskiej. Nie powinien jednak w żadnym wypadku zdradzić, że mieli pewność, iż coś ważnego się wydarzy w dniu otwarcia parlamentu. Gdyby Swinnerton dowiedział się o tym, on i jego współpracownicy zdążyliby jeszcze zmienić plany.

Wobec tego Mac mógł przyznać się do pewnej wiedzy o ich knowaniach. Nie powinien jednak zdradzić się z tym zbyt łatwo, gdyż Swinnerton mógłby nabrać podejrzeń.

- A z jakiej to racji miałbym wam w ogóle coś powiedzieć?

- Z takiej.

I Swinnerton zamachnął się szpicrutą, której Mackenzie nie dostrzegł w mrokach jaskini. Chciał chlasnąć jeńca po oczach, lecz Mac odruchowo odskoczył i pochylił głowę. Bicz ciął go w lewą skroń, ale ból był niczym w porównaniu z panicznym strachem, jaki zbudził się w jego sercu na wspomnienie bezlitosnej chłosty, którą wymierzono mu w wojsku. Omal nie skonał wówczas na skutek tej tortury; teraz zaś, przykuty do skały, nie mógł w żaden sposób uniknąć razów.

Teraz Swinnerton przeciągnął szpicrutą po szyi Maca. I znów nie w pełni mu się to udało. Pozostawił jednak na skórze wroga piekącą pręgę. Ponieważ Mac z góry postanowił, że da się zastraszyć i wyjawi to i owo, pozwolił tym razem, by wyrwał mu się okrzyk bólu. Po trzecim uderzeniu zaczął się trząść.

- Na litość boską, Swinnerton. Co chcesz wiedzieć? Nie uniknął jednak czwartego uderzenia.

- Wiedziałem, że szybko się załamiesz - stwierdził Swinnerton ze złośliwą satysfakcją. - Po tamtej chłostie w wojsku wystarczyło się tylko zamachnąć, by wylazł z ciebie podły tchórz.

I uderzył go znowu.

- Jak nadal będziesz bił - wykrztusił Mac - po diabła mam mówić?

- Coś w tym jest - stwierdził z wyraźnym żalem Swinnerton i opuścił szpicrutę. - Mów, co wiesz.

- Nie będziesz mnie bił? - Powtarzając sobie, że to tylko rola, którą musi zagrać, Mac zdołał przezwyciężyć dumę i drżał teraz na całym ciele. To akurat przychodziło mu bez wysiłku; znacznie trudniej było zapomnieć o własnej godności. Dzięki Bogu, że nie było tu Kiri, bo wtedy pewnie dałby się zachłostać na śmierć, albo zmarł na atak serca.

- Słowo dżentelmena?

Swinnerton roześmiał się.

- Co za rozkosz patrzeć, jak się płaszczysz. No dobrze, nie będzie więcej bicia. Mam niewiele czasu, muszę zaraz wracać do Londynu. Gadaj, czegoście się dowiedzieli o naszych planach.

- Chcecie... zniszczyć rodzinę królewską i wywołać... ogólny chaos - mówił z trudem Mac. - Próbowaliście porwać... księżniczkę Char-lottę. - Baptiste wydał zdławiony jęk. - Nie udało się wam zabić regenta... ani księcia Yorku.

Chcecie chyba zmusić Brytanię do zawarcia traktatu pokojowego... na warunkach korzystnych dla Francji.

Swinnerton uniósł brwi.

- Jesteś bystrzejszy, niż na to wyglądasz.

- Nie wymyśliłem tego sam. - Krew ściekała Macowi po czole do oczu, ale nie mógł jej otrzeć z powodu kajdanków.

- Wiem, że mnie i tak zabijesz, ale wyjaśnij mi coś przedtem, dobrze?

- Czemuż miałbym dogadzać twoim zachciankom, podły morderco? - syknął Swinnerton.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że nie zabiłem Harriet - odparł Mac. - To ty zatłukłeś ją na śmierć. I usiłowałeś zwalić winę na mnie. A odpowiedzieć mi powinieneś, jeśli chcesz, bym cierpiał katusze. Będę wiedział, co się stanie - i nie zdołam temu zapobiec.

Oczy Swinnertona zwęziły się.

- To ma sens. Ale zdradzę to tylko tobie. - Machnięciem ręki dał znak swoim ludziom, żeby się odsunęli. W nieustającym szumie fal wystarczyło zniżyć nieco głos, by nikt poza jeńcem go nie usłyszał. - Nasz główny atak nastąpi podczas uroczystego otwarcia parlamentu. Znasz fotel kanclerski, ten w Izbie Lordów, obok tronu?

Mac skinął głową.

- Czerwoną kwadratową poduchę, wypchaną wełną, żeby lordowie pamiętali, co było bogactwem średniowiecznej Anglii?

- No, no, znasz historię. Jestem pod wrażeniem. - Swinnerton pokazał w uśmiechu wszystkie zęby. - Otóż na tym worku z wełną zasiądzie podczas ceremonii księżniczka Charlotta. A ukryta w środku bomba z pewnością zabije ją, księcia regenta, premiera i wielu, wielu parów Anglii. Sprytne, co?

Mac jęknął. Zrobiło mu się słabo na samą myśl o tym, co mogło się wydarzyć.

- Jakim cudem zdołacie wnieść bombę do Westminsteru i umieścić ją, gdzie trzeba, nie zwracając niczyjej uwagi?

- Umożliwi nam to pewien angielski lord, bardzo dla nas życzliwy. A z jej zdetonowaniem pójdzie nam równie gładko. - Oczy Swinnerto-na znów się zwięzły. - No, dość pytań. Brak mi już czasu i cierpliwości.

- Jeszcze jedno: używasz wody kolońskiej Alejandro? Swinnerton aż zamrugął ze zdumienia. Oczy miał podobne do węża.

- Zdziwiałające pytanie. Zwłaszcza jak na ostatnie przed śmiercią. Owszem, mam flakon tej wody, prezent od mego brata. Używam jej czasami, choć nie jest to mój ulubiony zapach. - Odwrócił się i gestem ręki przywołał pozostałych.

- Zegnaj, Mackenzie. Znajomość z tobą dostarczyła mi doprawdy wielu mocnych wrażeń.

A więc to rzeczywiście on dowodził porwaczami. Gdyby pachniał wodą Alejandro tamtej nocy w Klubie Kapitańskim, Kiri zidentyfikowałaby go z całą pewnością. Byli dosłownie o włos od zniweczenia spisku.

Swinnerton zwrócił się do Howarda:

- Potrafisz zabić Mackenziego w taki sposób, żeby się jak najdłużej męczył?

- A jakże. Z tyłu za jaskinią jest taki tunel, który biegnie w dół, aż do zatoczki. W porze odpływu można nim bezpiecznie przejść, ale podczas przyływu woda całkiem go zalewa. - Howard uśmiechnął się drapieżnie. - Wbiłem nowiutki, żelazny hak w skalną ścianę, poniżej linii przyływu. Przykuję tego drania kajdankami do haka i zostawię go tam. Niech sobie czeka na falę, co go zatopi.

Swinnerton rozważał zalety takiej powolnej śmierci. Zapewne widział już oczyma duszy, jak ofiara walczy szaleńczo o każdy łyk powietrza, a woda podnosi się coraz wyżej i wyżej.

- Bardzo mi to odpowiada - oświadczył i zdecydowanie kiwnął głową. - A zatem, do roboty. Baptiste, zostań tu, póki nie będziesz pewny, że już po nim. Rozumiesz, że on musi umrzeć, prawda?

Baptiste skinął w milczeniu głową. Nadal był blady, ale wydawał się pogodzony z losem.

- W takim razie, do zobaczenia w Londynie. - Swinnerton zabrał jedną z latarni. - Baw się dobrze podczas egzekucji. Odwrócił się na pięcie i wymaszerował z jaskini, arogancki jak zawsze. I miał do tego, podlec, niewątpliwe prawo. Odniósł zwycięstwo.

Zimny wicher od kanału La Manche przewiewał ich na wskroś. Kiri nigdy nie była bardziej świadoma tego, jak daleko na północy leży Brytania. Z radością powitałaby w tej chwili choć odrobinę zapierającego dech indyjskiego upału. Na szczęście, miała na sobie ulubione spódnicospodnie i jechała po męsku, co zapewniało nieco więcej ciepła niż jazda po damsku - bokiem i w amazonce.

- Paskudna noc. - Will Masterson jechał pomiędzy Kiri a morskim brzegiem, co osłaniało ją trochę przed wiatrem. Obszerny płaszcz barona przypominał okrycie Mackenziego; po ciemku Will był w ogóle niesamowicie podobny do brata. - Daleko jeszcze do celu?

- Jeśli próbujesz w taktowny sposób zapytać, czy nie zgubiłam drogi, oświadczam: nie. A w każdym razie, nie sędzę.

- Rozejrzała się dokoła. - Mamy jeszcze jedną, najwyżej dwie mile do przebycia.

- Wygląda na to, że znakomicie orientujesz się w terenie, podobnie jak twój brat.

- To Adam jest w tym dobry?

Znała swojego starszego brata zaledwie od kilku miesięcy, było więc mnóstwo rzeczy, o których nie miała pojęcia.

- Choć jest z natury pokojowo usposobiony, mógłby zostać pierwszorzędny oficerem. - Will pokręcił głową, udając gorzkie rozczarowanie. - I taki talent się marnuje, tylko dlatego, że Ashton jest księciem. Prawdę mówiąc, z ciebie również byłby świetny oficer, Kiri, gdyby kobiety mogły służyć w wojsku.

- Ze mnie? - spytała zaskoczona. - Co też ci przyszło do głowy?

- Masz stanowczy charakter i wyraźne cechy przywódcze. Podejrzewam także, iż zaczynasz być niespokojna, jeśli zbyt długo przesiadujesz w zatłoczonych salonach.

- Jesteś niezwykle spostrzegawczy, milordzie - odparła, troszkę zbita z tropu trafnością jego obserwacji. Sama dopiero od niedawna zaczynała sobie uświadamiać, że zgoła nie odpowiada jej światowe życie. - Znacznie przyjemniej jest pędzić tak w burzliwą noc, diabli wiedzą dokąd i po co.

- Może istotnie jedziemy diabli wiedzą po co - odparł. - Ale intuicja nadal mi podszeptuje, że wcale tak nie jest.

- Moja też - przyznała Kiri. Jej intuicja wcale nie podszeptowała, tylko wołała wielkim głosem, że niebezpieczeństwo jest wielkie, a czasu mało. - Żałuję, że nie ma księżycy, ale gdy po raz pierwszy tędyjechałam, też było ciemno.

- Księżyc na nowiu to idealna pora na ubijanie podejrzanych interesów w jakiejś kryjówce. Mac i jego znajomek, herszt przemysłowców, najwyraźniej woła, by nikt im nie przeszkadzał.

- No... chyba tak. - Kiri zauważyła w dali znajome, powykręcane wichrem drzewo. - Tu musimy skręcić. Gdy Will w ślad za nią zjechał na wąską ścieżkę, Kiri modliła się w duchu, by u celu podróży znaleźli Maca zdrowego i całego.

Howard obejrzał się na Maca, oczy błyszczały mu podnieceniem.

- Jak raz się zaczyna przypływ. Pora, żebyś się wykapał, Mackenzie. Spiesznie wydał rozkazy dwóm swoim pomocnikom. Rzucili się na

Maca i unieruchomili mu nogi, podczas gdy Howard odczepiał kajdanki od ściany. Zdjął więźniowi obrączkę z jednego nadgarstka, ale tym mocniej zatrzasnął mu kajdanki na drugim; w ten sposób mógł wlec jeńca na łańcuchu. Pociągnął go zaraz z całej siły, by zerwał się na nogi. Mac stawiał opór, ale był tak przemarznięty i zeszywniały po dwóch dniach siedzenia bez ruchu w kucki, że nie wkładał w to zbytnej energii.

Metalowa obrączka wrzynała się Macowi boleśnie w przegub prawej ręki, gdy Howard włókł go na tyły jaskini.

Wąski, nieregularny tunel opadał stromo w dół, aż do zatoczki. W sytuacji, gdy przed nim szedł Howard wraz z jednym ze swych pomocników, z tyłu zaś Baptiste z drugim, szanse Maca na ucieczkę równały się zeru. W dodatku tunel był tak wąski, że jeńiec nieustannie to wpadał na ścianę, to potykał się o wystające kamienie.

Przy samym końcu tunel nieco się rozszerzał; woda kipiała tu jak szalona. Każda fala, wpływająca do tunelu, sięgała nieco wyżej niż poprzednia. Howard przyczepił kajdanki Maca do błyszczącego metalowego haka, wbitego w skalną ścianę.

- Nie mogłem się doczekać tej chwili. - Howard zrobił krok do tyłu. Na jego twarzy malowała się najwyższa satysfakcja. - A teraz postoję sobie tutaj i popatrzę, jak się dusisz pod wodą.

Wąskość tunelu potęgowała jeszcze napór wdzierającej się do niego wody. Kolejna fala zalała buty Maca.



- Znakomicie. Jak tu zostaniesz, będę miał przynajmniej światło w ostatnich chwilach życia.

Baptiste wyrzucił zdławionym głosem:

- Howard, wróćmy lepiej na górę, zamiast stać tu i się gapić. W tym tunelu jest naprawdę za ciasno.

Howard wybuchnął śmiechem.

- Chcesz powiedzieć, że ty jesteś za miętki na patrzenie, jak ten drań wyciągnie kopyta? Ja tam nie jestem.

- Moglibyśmy pograć w karty przy ogniu, zamiast tu marznąć - przekonywał go Baptiste.

Oczy Howarda zwęziły się.

- Umiesz grać w pokera?

- Wiem, jak się w to gra - odparł Baptiste.

Gdyby Mac nie był tak poobijany i zziębnięty, ryknąłby chyba śmiechem, słysząc te słowa. Baptiste był znakomitym pokerzystą, lecz nie przyznawał się do tego, by Howard nabrał pewności, że z nim wygra.

- Zagram, jeśli stawki będą tego warte - przystał łaskawie przemysłnik. Baptiste wzruszył ramionami.

- Ustal tak wysokie jak chcesz, byleśmy tylko nie musieli tu wystawać. Jeden z ludzi Howarda odezwał się:

- Ja też bym wolał wziąć, co mi się należy, i wracać do domu. Kiedy drugi wymamrotał, że i on także, Howard wręczył im po złotej

monecie. Gdy odeszli, zwrócił się do Maca tonem pełnym satysfakcji:

- Zdechniesz po ciemku, Mackenzie. Z morzem nikt nie wygra. Woda jest zimna o tej porze roku; zaraz jej tu będzie więcej. Coraz więcej. I żebyś się nie wiem jak szamotał, zatopi cię ze szczętem. Ale to trochę potrwa. Od czasu do czasu złapiesz kapkę powietrza między jedną a drugą falą. A potem będzie już tylko słona woda, a ty będziesz się darł i zebrał o łyk powietrza, aż w końcu zdechniesz i będzie po tobie.

- Opisujesz to niezwykle barwnie, Howardzie. - Mac z najwyższym wysiłkiem zdobywał się na sarkazm. - A ja myślałem, że z ciebie tylko dureń i zdrajca.

Nie była to zbyt wyszukana obelga, ale i on nie był w najlepszej formie. Howard kopnął go w odpowiedzi. Nie trafił jednak, gdyż Mac uskoczył na głębszą wodę.

- Rzadko korzystamy z tego tunelu - syknął przemytnik. - Chyba zostawię tu ciebie, póki kraby i ryby nie obgryzą cię aż do kości.

Mackenzie wzruszył ramionami.

- Rób, co chcesz. Mnie to już nie zaboli.

Zirytowany Howard odwrócił się tyłem do Maca i zaczął wchodzić pod górę, wymachując latarnią. Baptiste trochę się ociągał.

- Przykro mi, Mac. Nigdy nie chciałem, żeby doszło do czegoś takiego.

- Piekło jest wybrukowane dobrymi chęciami - odparł Mackenzie ze znużeniem. - Wynoś się stąd, i to już.

Odwracając się, Baptiste upuścił jakiś niewielki przedmiot na piaszczyste podłoże tunelu - tam, gdzie woda jeszcze nie dotarła. I odszedł.

Gdy znikły w oddali ostatnie błyski latarni, Mac nachylił się i podniósł upuszczony przez Francuza drobiazg. Był to scyzoryk Baptiste'a - oryginalny, wymyślny model. Mac podarował go przyjacielowi w ubiegłym roku.

W odróżnieniu od większości scyzoryków, które miały ostrze i rączkę z jednego, solidnego kawałka metalu, ten nożyk mógł się poszczycić aż dwoma składanymi ostrzami. Jedno z nich było typowe, do przycinania gęsich piór, drugie zaś - tak wąskie, że zasługiwało raczej na określenie „srebrny szpikulec” - nadawało się znakomicie na wykałaczkę. Baptiste z pewnością nie upuścił tej zabaweczki przez przypadek.

Ściskając scyzoryk w zlodowaciałej ręce, Mac zdołał odgiąć cieńsze ostrze. Do tego czasu ciemności w tunelu stały się jeszcze bardziej nieprzeniknione, ale do otwarcia sprężynowego zamka kajdanków Mac nie potrzebował światła. Jednakże, choć nie był to skomplikowany zamek, sforsowanie go w kompletnej ciemności i w lodowatej wodzie, która podchodziła coraz wyżej, okazało się cholernie trudne. Nie ułatwiało sprawy także i to, że Maca przykuto do haka za prawą rękę i mógł posługiwać się wyłącznie lewą.

W chwili gdy zamek niemal już ustąpił, scyzoryk wysunął się ze zdrtwiałych palców Mackenziego. Ogarnięty przerażeniem, nabrał powietrza do płuc, ukląkł i zanurzywszy się z głową w lodowatej wodzie, począł macać dokoła siebie lewą ręką w nadziei, że odnajdzie w ten sposób zgubę na skalistym podłożu.

Niesione silnym nurtem drobne kamyki i muszelki mogły w każdej chwili zderzyć się ze scyzorykiem i przesunąć go dalej, w jakieś niedostępne miejsce.

Nie mógł go odnaleźć... Nie mógł go odnaleźć. Wyprostował się, nabrał po raz drugi powietrza do płuc i ponownie podjął poszukiwania, choć w palcach całkiem już stracił czucie. Gdzie u diabła podział się ten scyzoryk? Znów napełnił płuca powietrzem i zanurkował po raz trzeci.

Jest. Nożyk znajdował się niemal poza zasięgiem jego ręki. Wystarczyłaby jedna fala - i już nigdy Mac nie zdołałby go dosięgnąć. Udało mu się jednak schwycić scyzoryk i zacisnąć w rękę. Gdy wstał, z trudem chwytając oddech, wsunął lewą rękę pod prawą pachę w nadziei, że dłoń się trochę ogrzeje i odzyska nieco czucia w palcach. Nie mógł jednak długo zwlekać. Woda sięgała mu już do piersi i nadal podnosiła się w szybkim tempie.

Manipulując scyzorykiem z dręczącą powolnością, Mac zdołał wreszcie wetknąć koniec wykałaczkii w maleńki otwór i usiłował otworzyć sprężynowy zamek tak, by nie uszkodzić ani mechanizmu, ani swego wytrycha. Ponawiał próby raz po raz. Przepowiednia Howarda o rozpaczliwym chwytaniu powietrza między jedną a drugą falą sprawdziła się co do joty.

Sprężynowa zapadka wreszcie odskoczyła i zamek otworzył się w chwili, gdy wielka fala przelewała się nad głową Maca. Czując, jak płoną mu płuca, złaknione powietrza, uwolnił się z więzów i z wysiłkiem, przedzierając się przez wodną kipieli, ruszył pod górę. Wpadł na skalną ścianę, ale jego głowa wynurzyła się wreszcie z wody i mógł zaczerpnąć tchu.

Przez kilka minut stał oparty o ścianę, zbierając siły i starając się ocenić sytuację. Wprawdzie nie utonął, ale mógł zamarznąć na śmierć, pozbawiony jakiegokolwiek źródła ciepła oraz suchej odzieży. Nie było mowy o pozostaniu tam, gdzie był, ponieważ znaleźliby go natychmiast, kiedy przyjdą sprawdzić, czy naprawdę utonął. Nie było też żadnego miejsca, gdzie mógłby się ukryć, ani w tunelu, ani w głównej jaskini, gdzie Howard i Baptiste siedzieli teraz przy ogniu i grali w karty.

Tak czy owak, będzie musiał jakoś przemknąć się obok nich, jeśli chce pozostać przy życiu. Baptiste zapewne nie zaatakuje go, pomógł mu przecież wydostać się z wodnej pułapki. Ale Howard był uzbrojony i wystarczająco niebezpieczny, by zabić ich obu.

W dalszym ciągu przybierająca fala przypływu sięgała Macowi do podbródka; najwyższy czas wynieść się stąd. Im dłużej będzie tu zwlekał, tym gorzej będzie się czuł. Po wynurzeniu się z wody na lodowato zimne powietrze był jeszcze bardziej przemarznięty, a jego przemoczone buty i ubranie ciążyły mu jak ołów.

Wspinał się z posepnym uporem, na oślepy wymacał drogę w kompletnych ciemnościach, starając się uniknąć zderzenia z kamiennymi ścianami - o ile to było możliwe. Droga wydawała mu się znacznie dłuższa niż wówczas, gdy schodzili nią w dół.

Trwało to tak długo, że zaczął się zastanawiać, czy Howard i Baptiste nie zagasili ognia i przenieśli się w inne, dogodniejsze miejsce. I właśnie wtedy dostrzegł w oddali słabe światełko. Logicznie rozumując, wiedział, że byłoby dla niego znacznie lepiej, gdyby tamci dwaj opuścili już jaskinię, a jednak to światełko podniosło go na duchu. Poruszając się tak cicho, jak na to pozwalały jego pozbawione czucia stopy, Mac zmierzał z uporem ku temu światłu... i nagle był już w wielkiej jaskini. Myślał, że znajduje się ona znacznie dalej, gdyż światło nie wydawało się wcale silne. Teraz jednak zobaczył, że przesłaniają je postacie dwóch mężczyzn, siedzących przy karcianym stoliku koło ogniska.

Mac zastygł w bezruchu, mając nadzieję, że tamci dwaj go nie zauważą, lecz Howard usłyszał widać jego kroki. Zerknął w stronę tunelu i szczeka mu opadła. Gdy tylko otrząsnął się z szoku, zerwał się z krzesła i chwycił swą śrutówkę.

- A niech cię piekło pochłonie. Nie potrafisz zwyczajnie zdechnąć?

- Zawsze mnie ponosiło, gdy mi kazali zbyt długo siedzieć bez ruchu. Mac wpatrywał się w broń przeciwnika i zastanawiał się, jakie by miał

szanse, rzucając się pędem na Howarda w nadziei, że uniknie kuli. Może nie padłby trupem od pierwszego strzału, ale Howard zapewne by go zranił — a wówczas stałby się dla niego łatwą zdobyczą.

- Żebyś zgnił w piekle.

Przemytnik uniósł strzelbę i wycelował w Maca.

Zanim jednak Howard pociągnął za cyngiel, Baptiste wstał, spokojnie wyjął z kieszeni pistolet i strzelił mu w plecy z bardzo bliska.

Howard dziwnie zagulgotał, jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. A potem runął z hukiem na ziemię jak zwalone drzewo.

Przez dziesięć, może dwanaście sekund w jaskini panowała kompletna cisza. Potem Mac westchnął i podszedł do ognia. Rzucił okiem na Howarda i spostrzegł, że przemytnik już nie oddycha. Tym lepiej.

Mac rzucił Baptiste'owi scyzoryk i podszedł do ognia tak blisko, jak tylko mógł. Trząsł się cały - z zimna i na skutek opóźnionego szoku. Wyciągając do ognia zlodowaciałe ręce spytał:

- Dlaczego to zrobiłeś, Jean-Claude? Dla pieniędzy? Nawet jeśli Swinnerton cię zapewniał, że starają się tylko ocalić od kompromitacji bogatą pannicę, która uciekła z domu, z pewnością nie uwierzyłeś w tę bajeczkę, bo przecież opowiedziałbyś mi o tym.

Baptiste z niejakim trudem złapał swój scyzoryk. Ręce mu się trzęsły, gdy składał go i chował do kieszeni.

- Podejrzewałem, że Swinnerton nie mówi mi prawdy, ale nie widziałem nic złego w poinformowaniu go, którądy można się dostać do wnętrza klubu. Nigdy nie przypuszczałem, że dojdzie do porwania albo zabójstwa.

Mac zmrużył oczy i wpatrywał się uważnie w twarz człowieka, któremu do niedawna bezgranicznie ufał.

- Ile ci zapłacili?

- Nie zrobiłem tego dla pieniędzy. - Usta Baptiste'a wykrzywiły się. - Ich francuski mocodawca obiecał, że umożliwi mojej matce wyjazd z Francji. Nie widziałem jej od chwili, gdy uciekłem stamtąd w czasach terroru.

Mac wstrzymał dech; zdawał sobie sprawę, ile znaczyła dla Jean--Claude'a taka obietnica. Sam dałby nie wiem co, by ujrzeć znów swoją matkę... choćby na chwilę.

- Dotrzymali słowa?

- Przysłali mi odpis jej świadectwa zgonu. - Głos Baptiste'a załamał się. - Nie żyła już od dwóch lat z górą, a ja o tym nie wiedziałem. A więc zrobiłem to za darmo. Zdradziłem ciebie i Anglię bez powodu.

Ten człowiek niewątpliwie przyczynił się do złego, ale Mac mimo wszystko mu współczuł. Bóg świadkiem, że sam też popełniał niewybaczalne błędy. Romans z żoną kolegi-oficera był dowodem zbrodniczej głupoty, za którą omal nie zapłacił własną głową. Zginąłby z pewnością, gdyby nie nadzwyczajne starania Willa i Randalla, pragnących go ocalić za wszelką cenę.

- Powiedz mi coś więcej o tym spisku. Kto jest w to wmieszany i kto z Francuzów tym kieruje? Z pewnością nie Napoleon.

Baptiste skrzywił się.

- Joseph Fouche.

Mac aż się zachłysnął. Ten bezlitosny rewolucjonista sprawował różne funkcje. Najbardziej się wyróżnił jako szef policji.

- Czyżby ostatnio wypadł z łask?

- Owszem, i pragnie do nich wrócić.

- Usiłując wymordować brytyjską rodzinę królewską i wymusić zawarcie traktatu pokojowego na dogodnych dla Francji warunkach? - Mac gwizdnął cicho. Wszystko nabrało teraz sensu. - A kim są konspiratorzy po tej stronie kanału La Manche? Z pewnością Fouche nie kontaktował się z tobą bezpośrednio.

Baptiste pokręcił głową.

- Lord Fendall i Rupert Swinnerton to przyrodni bracia. A ich matka, Marie Therese Croizet, była siostrą matki Foucheta.

- Czyli obaj są jego ciotecznymi braćmi? Idealne narzędzia do takich celów. - Mac zmarszczył brwi. - Czyś mi kiedyś nie wspomniał, że twoja rodzina pochodzi z tej samej miejscowości co rodzina Josepha Foucheta?

- Owszem, z Le Pellerin, w pobliżu Nantes. On był znacznie starszy ode mnie, nie znaliśmy się osobiście, ale gdy byłem chłopcem, nasze rodziny pozostawały ze sobą w dobrych stosunkach. - Baptiste wzruszył ramionami. - Owa znajomość stała się podstawą naszej przyjaźni z lordem Fendallem. Lubił słuchać opowieści o swojej wiosce, którą odwiedził kilkakrotnie jako dziecko. A mnie podobało się, że łączy nas niejako wspólna przeszłość. Nawet mi nie przyszło do głowy, że mógłbym Fendallowi nie ufać, a potem było już za późno.

- Przypuszczam, że marzyło się im bogactwo i władza?

- Właśnie. Szczegółów nie znam - odparł Baptiste - ale wiem, że im obu przyrzeczono rozległe dobra we Francji i zapewne góry złota.

- Znałeś Francuza, który został zabity w klubie?

- Nie miałem żadnych kontaktów z ludźmi, których Swinnerton sprowadził tamtej nocy. Ale Fouche z pewnością nalegał, że względu na swoje osobiste interesy, żeby znajdował się w tej grupie ktoś z jego ludzi.

Wszystko wskazywało na to, że związki Baptiste'a ze spiskowcami były nikłe i bez znaczenia.

- Wśród porywaczy znajdowali się dwaj Francuzi i dwaj bokserzy. Jeden na tyle podobny do mnie, że mógł odegrać rolę mojego trupa.

Baptiste znowu zbladł.

- Kiedy wyszedłem i zobaczyłem ciała, a lord Kirkland powiedział, że zostałeś zabity...

Wyglądało na to, że Baptiste odcierpiał już nieźle za swoje grzechy. Mac nie ubolewał nad tym specjalnie; nierozważny postępek Jean-Claude'a miał daleko idące konsekwencje.

- A kiedy zdałeś sobie wreszcie sprawę, że szykują się poważne kłopoty, czemuś nie powiadomił o tym władz?
  - Z kim mógłbym się skontaktować, nie popadając wjeszcze większe kłopoty? - spytał cynicznie Baptiste.
  - Choćby z Kirklandem.
  - Szczerze mówiąc, zawsze go uważałem za dyletanta, któremu bardzo odpowiada czerpanie zysków z klubu, choć sam nie ruszy nawet palcem. -Baptiste spochmurniał. - Widać go nie doceniałem.
- Było to stanowczo zbyt słabe określenie, ale trudno byłoby winić Baptiste'a, że nie potrafił należycie ocenić Kirklanda. Przecież on robił wszystko, by uchodzić za kompletne zero.
- A poza tym - ciągnął dalej Baptiste - choć byłem przerażony śmiercią tych dwóch mężczyzn, aż do dziś nie miałem pojęcia, że zamierzano porwać księżniczkę Charlotte.
  - Ja sam nigdy bym nie przypuścił, że przyjdzie do Klubu Damiana w przebraniu - przyznał Mac. - A czy poinformowali cię przynajmniej, że usiłowania Swinnertona spełzyły na niczym?
  - Nie, Fendall nic mi nie wspomniał na ten temat, a ja nie chciałem go wypytywać. Pragnąłem tylko jednego: żeby zostawili mnie w spokoju. I tak rzeczywiście było, póki Swinnerton nie oświadczył, że muszę tu przyjechać i porozmawiać z pewnym Francuzem, który przepłynął przez La Manche.
  - Swinnerton chciał być świadkiem szoku, jakiego doznasz na mój widok.
- Mac nie dygotał już tak bardzo, choć nadal był przemarznięty do szpiku kości.
- Baptiste spojrział mu prosto w oczy.
- Każesz mnie aresztować? Mac westchnął.
  - Ocaliłeś mi dzisiaj życie, i to dwukrotnie. Nie chciałbym, żeby cię powiesili.
- Jean-Claude'owi wyraźnie ulżyło.
- Myślałem, że będziesz na mnie wściekły.
  - Bo jestem, ale jeśli zamkną cię w więzieniu, to kto, u diabła, będzie zarządzał tym cholernym klubem?
- Francuz osłupiał.

- Zatrzymasz mnie nadal u siebie?

- Niełatwo znaleźć dobrego zarządzającego, któremu mógłbym zaufać. - Oczy Maca zwięziły się w szparki. - Będę mógł ci ufać w przyszłości, prawda?

- *Oui*. Tak. Jak najbardziej. - Baptiste z trudem zaczerpnął tchu. - Anglia była moim wybawieniem. Nigdy świadomie nie działałbym najej szkodę.

Mac nie wątpił w to. Na przynętę, którą podsunął Jean-Claudowi Fendall, złapałaby się większość ludzi.

- Za tydzień albo naprawdę będę trupem, albo w cudowny sposób odzyskam życie. A ty wracaj teraz do Londynu i udawaj, że nic się nie stało.

Baptiste przyknął oczy, na jego twarzy malowały się zarówno przerażenie, jak ulga.

- Jesteś... niezwykle wielkoduszny.

- Popełniłeś poważny błąd, ale nie była to świadoma zdrada. - No i, co tu gadać, Baptiste ocalił mu życie. - Ale na razie zejdź mi z oczu.

- Oczywiście, jak sobie życzysz. - Baptiste podał mu srebrną flaszkę. - To koniak. I jeszcze jedno: na wybiegu czeka twój koń. Mam go osiodłać, zanim odjadę?

- Byłbym ci wdzięczny.

Mackenzie był rad, że Baptiste zatroszczył się o jego powrót do Dover. On sam w tej chwili mógł zdobyć się tylko na jedno: nie rozkleić się całkiem, póki nie zostanie sam.

Otworzył srebrną flaszkę i pociągnął z niej; pozwolił sobie zresztą tylko na jeden łyk. Alkohol spłynął mu do gardła palącą strużką, stwarzając przynajmniej iluzję ciepła. Mac, zbyt wyczerpany, by utrzymać się dłużej na nogach, opadł na jeden ze stołków przy stole, na którym leżały jeszcze karty. O ile mógł się połapać, wynikało z nich, że Baptiste wygrywał.

- Czy mogę jakoś ci pomóc w unieszkodliwieniu spiskowców?

- Powiedz Rupertowi, że się utopiłem i ryby mnie obgryzają. Zachowuj się tak jak zwykle, żeby ani Swinnerton, ani Fendall nie uznali, że trzeba dokonać zmiany planów. - Mac pociągnął znów z flaszki. Zastanawiał się, czy warto, żeby Baptiste przekazał Kirklandowi jakieś wieści od niego. Nie, przecież sam zjawi się w Londynie niewiele później niż Jean-Claude. A poza tym, im mniej ludzie wiedzą o działalności Kirklanda, tym lepiej -...I dołóż jeszcze do ognia, zanim odjedziesz.



Baptiste spełnił jego prośbę. Zagrzechotał dosypywany węgiel, a potem zrobiło się jaśniej i cieplej.  
- *Mera, mon ami* - powiedział cicho Baptiste i dodał jeszcze kilka słów po francusku, których Mac już nie dosłyszał. Potem dotarł do niego odgłos cichnących w dali kroków - i nareszcie, Bogu dzięki, został sam. Powinien wracać do Londynu co koń wyskoczy i przekazać Kirklandowi wszystko, czego się dowiedział na temat spisku, ale najpierw musi choć troszkę odpocząć. Jego nasiąknięte wodą ubranie lekko parowało. To, co miał na sobie Howard, było suche, jeśli nie liczyć krwi; jednak na samą myśl o obdzieraniu trupa żołądek podszedł Macowi do gardła. Powiedział więc sobie, że ubranie Howarda z pewnością byłoby na niego za małe, złożył na stole skrzyżowane ramiona i oparł na nich głowę. Trochę się ogrzeje, na chwilę zdrzemnie, a potem wskoczy na konia i popędzi - do Dover, do Londynu...

### 39

Choć sercem Kiri targał niepokój o Mackenziego, pozwoliła, by Will Masterson wbiegł pierwszy do jaskini. Will nie tylko był równie niespokojny o Maca jak ona, ale jako oficer w czynnej służbie wojskowej miał większą od niej wprawę w poruszaniu się na obcym terenie. Pozostawili swe wierzchowce na niewielkiej łączce, zamienionej na wybieg. Znajdował się już na nim jakiś osiodłany koń; sugerowało to, że w kryjówce przemytników przebywa obecnie co najmniej jedna osoba, a może i więcej. Will miał pistolet w pogotowiu, podobnie jak Kiri swój nóż. Wiatr od morza dmuchał im prosto w twarz, zraszając je kroplami wody; przyływ wciąż przybierał na sile, gdy przebywali ten ostatni odcinek drogi. Serce Kiri waliło młotem, kiedy stali już na progu kryjówki przemytników. O Boże, daj, żeby Mac był żywy. Blask płomieni i dym z ogniska dotarły do nich z wnętrza jaskini, ale nie dobiegał stamtąd żaden dźwięk. Will gestem ręki nakazał Kiri, by pozostała przy wejściu, sam zaś ruszył na zwiady. Kiri zignorowała ten niemy rozkaz, zdecydowana trzymać się tuż za nim.

Will odbezpieczył pistolet i wkraczając do wnętrza jaskini, miał go w pogotowiu. Od razu rzuciło mu się w oczy potężne ciało, wyraźnie widoczne w blasku ognia i jakże podobne do Maca. Will oderwał od niego wzrok i omiół spojrzeniem całą pieczarę, wypatrując, czy gdzieś nie czai się niebezpieczeństwo.

- Damian.

William zabezpieczył pistolet, wetknął go z powrotem do kieszeni i popędził na drugi koniec jaskini.

Kiri ścisnęło się serce na widok wpełzającej postaci. Górna część potężnego korpusu spoczywała bezwładnie na stole, ustawionym koło ognia. I nagle Mackenzie podniósł głowę, zaskoczony, znowu czujny.

- Will? - spytał, nie wierząc własnym oczom.

Zerwał się na równe nogi - sponiewierany, posiniaczony, okrwawiony... wyglądał jak wielkie, piękne, choć przemoczone do cna i omal nie utopione kocisko. Żył, to nie ulegało wątpliwości.

Will pochwyił brata w objęcia i zamknął go w miażdżącym, niedźwiedzim uścisku.

- Mógłbyś już, psiakrew, nie wplątywać się w takie tarapaty.

- Do wszystkich diabłów, Will. - Mackenzie zrewanżował mu się równie potężnym uściskiem. - Jak to dobrze mieć starszego brata, który zawsze mnie uratuje.

- Nie wygląda na to, żebyś musiał cię ratować.

Kiri poszła za wzrokiem Willa i dostrzegła na podłodze skurczone, martwe ciało. A więc ich obawy nie były bezpodstawne. Mackenzie skrzywił się.

- To nie moja robota. Ale jak, u diabła, mnie znalazłeś?

- To ona mnie tu przyprowadziła.

Will ruchem głowy wskazał Kiri, która cofnęła się do wejścia, by nie przeszkadzać w braterskim powitaniu.

Mackenzie obrócił się błyskawicznie i zagapił się na nią, jakby była aniołem, który zstąpił z niebiańskich wyżyn.

- Kiri? - spytał schrypniętym głosem. - Czy to naprawdę ty, czy tylko sen?

- To ja, we własnej osobie. - Wystarczyło sześć kroków i znalazła się w jego ramionach, niebezpiecznie bliska łez. - Mówiłam ci, że nie powinieneś jechać tu sam.

Ociekał wodą i był przemarznięty do kości, ale wystarczyło mu siły, by przytulić Kiri tak mocno, że wszystkie rumaki z królewskich stajen i wszyscy słudzy króla doprawdy nie zdołaliby odciągnąć jego od niej ani jej od niego.

- Prawie już było po mnie, Kiri. Myślałem... że nigdy więcej cię nie zobaczę.

Uznała, że nie powinna aż tak zdradzać się ze swymi uczuciami w obecności Willa - i zdołała jakoś odsunąć się o krok. Z tego miejsca zobaczyła wyraźniej nieboszczyka.

- To Howard. - mruknęła z odrazą. - Chciał cię zabić, bo pomogłeś mi wtedy uciec?

- To był jeden z powodów, dla których napisał list niby to od Hawka, żeby mnie tu ściągnąć. Ale poza tym był opłacany przez spiskowców - wyjaśnił ze znużeniem Mackenzie. - Pozwólcie mi skupić się przez chwilę, to wam wszystko opowiem.

- Wziąłem ubranie na zmianę - oznajmił Will. - Zaraz je wyjmę z juków, żebyś się przebrał w coś suchego, zanim się przeziębisz na śmierć. I może bym uprzątnął przy okazji tego trupa?

Kiri odwróciła się od Howarda z dreszczem obrzydzenia.

- Bądź tak dobry, Will. Ten podlec usiłował zamordować twojego brata. I wmawiał przemytnikom, że najlepiej będzie mnie zgwałcić, a potem zabić.

- Mam nadzieję, że ryby się nie potrują.

Will chwycił nieboszczyka pod pachy i wywłókł go z jaskini, uważając, żeby się przy tym nie pokrwawić.

Jak tylko zostali sami, Mac przyciągnął znów Kiri do siebie.

- Pachniesz trochę rybami - szepnęła nie odrywając ust od jego szyi i przytuliła się do niego całym ciałem. - Czy należy się spodziewać reszty przemytników?

- W tej kwadrze księżyc raczej się tu nie schodzą. Pomożesz mi się rozgrzać?

Całował ją z desperacką zachłannością. Jego ręce wędrowały po plecach i pośladkach Kiri. Wargi miał zimne, ale szybko się rozgrzewały.

Gdyby nie to, że Will miał powrócić za kilka minut, Kiri zdarłaby z Maca to zimne, mokre ubranie i roznieciłaby w nim prawdziwy pożar. Ogromna ulga w połączeniu z namiętnością stanowiły potężny środek odurzający.

Zdołali się jakoś rozłączyć, zanim znów się pojawił Will. Kiri podejrzewała, że umyślnie robił tyle hałasu, by ich ostrzec.

Wszedłszy do jaskini, Masterson rzucił bratu niewielki worek z ubraniami.

- Całe szczęście, że jesteśmy podobnej budowy. Nie zabrałem zapasowych butów, ale im prędzej zrzucisz te przemoczone łachy, tym lepiej.

- Ja przez ten czas dołożę do ognia i sprawdzę, czy uda mi się wyczarować skądś trochę herbaty - oświadczyła Kiri.

- Będę odwrócona do was plecami, słowo daję.

Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby obejrzeć sobie Mackenziego na golasa, ale doszła do wniosku, że w tej chwili lepiej zachować choćby pozory przyzwoitości.

Will sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wydobyl jakąś paczuszkę.

- To herbata. Mam także cukier. Mleka niestety nie zabrałem: za wiele zachodu.

Kiri roześmiała się i złapała w locie herbatę.

- Który z was pierwszy wpadł na pomysł, że można w rozlicznych kieszeniach płaszcza gromadzić takie skarby?

Bracia zerknęli na siebie i uśmiechnęli się od ucha do ucha.

- Ja byłem pierwszy - oświadczył Mackenzie. - A potem staraliśmy się prześcignąć jeden drugiego, gromadząc w nich osobliwości lub najnie-zbędniejsze przedmioty. Ostatecznie doszliśmy do wniosku, że wszystkie te skrytki w kieszeniach są zbyt przydatne, żeby z nich zrezygnować.

Kiri spojrzała z nadzieją na Willa.

- Masz coś do jedzenia?

Wyciągnął płaski pakunek, owinięty w papier.

- Tak się składa, że mam trochę sera. To bardzo pożywne jedzenie i nietrudne do zapakowania.

Mackenzie schwycił paczuszkę i pośpiesznie ją rozwinął.

- Nie miałem nic przeciwko temu, że mnie tu żywili wyłącznie chlebem i serem. Gorzej, że było tego tyle, co kot napłakał.

- Możesz zjeść cały ser, jeśli chcesz - powiedział Will. - My z Kiri przegryźliśmy coś w Dover.

Kiri ostentacyjnie odwróciła się tyłem do Mackenziego i dorzuciła węglą do ognia, który zapłonął żywiej. Potem zajrzała do jednej ze skalnych nisz, które zauważyła już wówczas, gdy była tu uwięziona. Jak słusznie się domyślała, wykorzystano tę niszę jako schowek. Na zbitych byle jak półkach stały garnki, większe i mniejsze, oraz wyszczerbione talerze i kub-

ki; nie brakło nawet sztucców. Nie znalazła wszakże nic do jedzenia ani picia, z wyjątkiem beczki z wodą, napełnionej do połowy. Bez wątpienia kobiety przemytników postarały się o to, żeby ich chłopom nie zabrakło najprostszycch wygód.

Do uszu Kiri dolatywały rozmaite szelesty i szmery; ciurkały też strużki wilgoci z wyżymanego ubrania. Kiri tymczasem napełniła kociołek wodą z beczki i zawiesiła go nad ogniem. W chwili gdy wyprostowała się i otarła ręce, obaj panowie dołączyli do niej.

Mackenzie wyglądał znacznie lepiej, gdy włożył czyste, suche ubranie. Miał też na sobie płaszcz brata, a na nogach grube, wełniane skarpety. Postawił przemoczone buty koło ognia i opadł na jeden ze stołków.

- Masz większe pojęcie o pracach gospodarskich, niż można by się spodziewać po książęcej córce.

- Jestem również córką żołnierza, a gdy wojsko było w marszu, zawsze chętnie siadałam przy obozowych ogniskach i uczyłam się mnóstwa rzeczy. Generał byłby chyba zgorszony, gdyby się o tym dowiedział. - Woda w kociołku zakipiała, więc Kiri ogrzała poobijany brązowy imbryczek, nim wsypała do niego herbaty, a następnie zalała ją wrzątkiem. - Jestem pewna, że moja matka wiedziała, co robię, ale ponieważ zawsze była z niej praktyczna kobieta, sądziła pewnie, że wszelkie wiadomości mogą mi się przydać.

- Święte słowa. - przytaknął Mackenzie. - Will, ty jesteś spec od artylerii. Powiedz, czy można ukryć bombę w czymś w rodzaju wielkiej poduchy tak, żeby nikt niczego nie zauważył, póki to draństwo nie wybuchnie?

Will znalazł jeszcze jeden prymitywny stołek i przysunął go do ognia, żeby mogli wszyscy razem napić się herbaty, którą uroczyście podała im Kiri.

- Jeśli chodzi o bombę, to nic trudnego. Wystarczy twarda skorupa, wszystko jedno, czy z lanego żelaza, czy z wypalanej gliny; należy ją wypełnić prochem strzelniczym. Można do tego dodać ostre odłamki metalu, gdybyś chciał poszatkować ludzi na strzępy. Najtrudniej byłoby z podpaleniem lontu tak, by nikt tego nie zauważył.

Kiri zaparło nagle dech.

- Wielka poducha? Czyżbyś miał na myśli Woolsack, ten okropny, czerwony fotel kanclerski, który stoi w Izbie Lordów obok królewskiego tronu, tylko trochę niżej? Widziałam go, kiedy Adam zabrał nas na zwiedzanie Westminsteru.

- To paskudztwo jest wystarczająco duże, by mogło się w nim pomieścić pół tuzina bomb - orzekł Will. - Księżniczka Charlotta ma tym razem uczestniczyć w otwarciu parlamentu; założę się, że zasiądzie właśnie na fotelu kanclerskim. Ale spiskowcom byłoby bardzo trudno podpalić lont w sali pełnej ludzi - ktoś z pewnością by to zauważył.

- Miałem aż za dużo czasu na przemyślenie tej kwestii - stwierdził z ponurą miną Mackenzie. - Lont można ukryć, jeśli się wywierci otwór w podłodze pod fotel kanclerskim. A co znajduje się w piwnicach, bezpośrednio pod Izba Lordów? Pewnie jakieś składy, magazyny czy coś w tym rodzaju, prawda?

- Sądzę, że masz rację - odparł jego brat. - Ale od czasu spisku prochowego strażnicy zamkowi przeszukują piwnice Westminsteru przed każdym uroczystym otwarciem parlamentu. Czy mogliby nie zauważyć lontu?

- Podczas spisku prochowego zgromadzono w podziemiach trzy tuziny beczek prochu. Czegoś takiego trudno nie dostrzec - zwrócił mu uwagę Mac. - Tym razem wszystko wygląda znacznie prościej. Wystarczy zakraść się w nocy, przesunąć fotel kanclerski i wywiercić odpowiednio głęboki otwór w podłodze. Następnie ukryć bombę w fotelu kanclerskim, od spodu, spuścić długi lont do piwnicy przez dopiero co wywiercony otwór i postawić znów fotel na dawnym miejscu. Następnie zejść do piwnicy i ukryć lont, przypinając go do starej, mocno przybrudzonej belki. Któż by zauważył taki sznurek?

Will wyglądał jak rażony gromem.

- A potem poczekać, aż Izba Lordów się zapełni, podpalić lont w piwnicy - i wziąć nogi za pas, zanim ktokolwiek zda sobie sprawę z tego, co się stało.

Kiri spytała:

- Czy ludzie nie poczują, że coś się tli?

- Najwyraźniej można by to wyczuć w piwnicy - wyjaśnił Will. - W ostatniej chwili przed wybuchem bomby może się rozejść po sali ostra woń prochu, ale w takim tłoku wątpliwe, by ktokolwiek zorientował się dość wcześnie i zapobiegł nieszczęściu. Sprawne usunięcie wszystkich zgromadzonych, zwłaszcza w sali pełnej arystokratów i polityków, nie poszłoby gładko nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach.

- Wybuch bomby, ukrytej wewnątrz fotela kanclerskiego, musiałby spowodować śmierć księcia regenta, księżniczki Charlotty, premiera,

większości jego gabinetu, nie wspominając już o połowie parów Anglii -stwierdził rzeczowo Mackenzie.

- I naszego Adama - szepnęła przerażona Kiri.

Gożąco pragnęła ocalić księżniczkę Charlotte, właściwie wszystkich... ale Adam? To był przecież jej rodzony brat.

- Księżęta siedzą w pierwszym rzędzie, najbliżej tronu. Ja będę nieco dalej, jeśli zajmę swoje miejsce - a mam szczerzy zamiar to uczynić -oświadczył Will. - Ale spiskowcom z pewnością nie uda się przemycić bomby do Izby Lordów.

- Nie udałoby się, gdyby przywódcą spisku nie był jeden z parów Anglii. - Mackenzie pozwolił, by Kiri wlała do jego kubka resztę herbaty. - Lepiej wyjaśnię wam wszystko od początku. Rupert Swinnerton i lord Fendall to przyrodni bracia. Ich matką jest rodzoną siostrą matki Josepha Fouche.

Zapadła m ją cisza, potem Will gwizdnął z cicha.

- To wiele wyjaśnia.

- Bogu dzięki, że możemy jutro z samego rana wrócić galopem do Londynu i aresztować wszystkich spiskowców, żeby znaleźli się bezpiecznie pod kluczem, nim nastąpi uroczyste otwarcie parlamentu.

Kiri zagryzła wargę.

- Ależ otwarcie parlamentu nastąpi już jutro. Mac zakrztusił się herbatą.

- Niech to szlag. Dąty mi się poplątały, odkąd tu jestem. Musimy jechać do Londynu natychmiast.

- Opowiedz nam wszystko, czegoś się dowiedział, dopijemy przez ten czas herbatę - podjął decyzję Will. - Zaraz potem ruszamy do Dover, gdzie wynajmiemy najszybszą karetkę pocztową. Główna część ceremonii rozpocznie się w południe, powinniśmy więc zdążyć na czas.

- Ale nie mamy go za wiele - stwierdził posepnie Mackenzie. - Posłuchajcie więc, czego się dowiedziałem...

## 40

Jechali do Londynu z największą szybkością, jaką mógł wytrzymać powóz i cuganty. Will, który - jak się okazało - widział w ciemności, przejął

wodze od forysia, którego wynajęli wraz z powozem i końmi; okazał się jednak człowiekiem do przesady ostrożnym. Kiri i Mac podróżowali we wnętrzu niewielkiej karetki pocztowej. Wykończony ciężką próbą, przez którą musiał przejść, Mackenzie był w stanie zasnąć nawet w tym pojeździe, pędzącym z zawrotną szybkością mimo wichury i deszczu.

Zwinął się zatem na ławeczce i złożył głowę na kolanach Kiri. Gładziła go czule po włosach, nadal wstrząśnięta tym, jak blisko otarł się o śmierć.

Cóż to był za dziwny, szalony miesiąc... Kiedy postanowiła odwiedzić rodzinę Geoffreya Hitchcocka, rozglądała się z pewną niecierpliwością za odpowiednim mężem, ale takie polowanie specjalnie jej nie bawiło. Teraz wiedziała już, czym jest służba dla kraju, poznała smak namiętności, urok przygody i mocnych wrażeń. Jak zdoła wrócić do poprzedniego nudnego życia? Choć nadal wiele radości sprawiało jej przygotowywanie nowych perfum, odczuwała teraz potrzebę także i innych zajęć.

Udało się jej trochę zdrzemnąć. Przez cały czas kurczowo zaciskała jedną rękę na oparciu, żeby nie spaść z ławki, podczas gdy druga ręka spoczywała na ramieniu Maca. Tak czy owak wkrótce będzie już po wszystkim.

Mac obudził się zdrtwiał, zamroczony i dezorientowany. Wiedział tylko jedno - że Kiri tuli się do niego, ilekroć powóz podskakuje na wybojach. Oboje przykryci byli szarym pledem, który należał do wyposażenia pojazdu i chronił ich przed przeciągami.

Minęła dłuższa chwila, nim Mac przypomniał sobie wszystko, co się ostatnio wydarzyło: jazdę do Dover, wynajęcie karetki pocztowej... Był tak wyczerpany, że omal nie stracił przytomności, znalazłszy się nareszcie we wnętrzu powozu. Jak przez mgłę przypominał sobie postoje, podczas których zmieniali konie: Pamiętał chwilę, gdy Will oświadczył forysiovi, że od tej pory bierze na siebie całkowitą odpowiedzialność za dalszą podróż. Choć Will w zasadzie był łatwy we współzyciu i ustępliwy, umiał zawsze postawić na swoim, jeśli mu na czymś naprawdę zależało.

Teraz był już ranek, choć trudno byłoby określić dokładnie godzinę -to niebo zaciągnięte chmurami i nieustanna mżawka. Mac wyjrzał przez okno: wszystko przelatywało mu przed oczyma z ogromną szybkością. Byli już niedaleko Londynu.



Aż trudno uwierzyć, że taka groźba wisi nad Brytanią w ogóle, a nad rodziną królewską w szczególności. Macowi jedyną rzeczywistością wydawało się to, że w jego ramionach spoczywa Kiri, niewypowiedzianie piękna mimo podkrążonych oczu i potarganych ciemnych włosów.

Była najbardziej niezwykła ze wszystkich kobiet, jakie kiedykolwiek spotkał. I najśliczniej szał. Naprawdę sądził, że utonął i dostał się do nieba, gdy ocknąwszy się, ujrzał najpierw Willa, a potem Kiri. To, że jego starszy brat przybył mu z pomocą, bynajmniej Maca nie zdziwiło. Will zawsze był najlepszym i najwierniejszym przyjacielem, i nigdy, ale to nigdy, nie sprawił mu zawodu.

Kiri jednak była wysoko urodzoną damą, córką księcia. Któraż z wielkich dam przemierzyłaby galopem pół Anglii w ciemną i burzliwą noc, tylko dlatego, że takie żalosne nic jak on, Mac, znalazło się w kłopotach? I która z kobiet potrafiłaby odnaleźć kryjówkę przemytników, w której była tylko raz? Will odznaczał się wyjątkową bystrością i zaradnością, ale i on nie odnalazłby tej jaskini, gdyby Kiri nie zaprowadziła go do niej.

Musnął jej czoło nieskończone czułym pocałunkiem. Nie wyobrażał już sobie życia bez Kiri. A przecież zgoła nierealne byłyby wszelkie marzenia o pozostaniu razem z nią na zawsze. I choć to ich wspólne życie z dala od rzeczywistego świata dobiegało już końca, nigdy nie zapomni, jaka cudowna była Kiri i jakie go spotkało niezasłużone szczęście: miał prawo ją kochać, choćby przez krótki czas.

Kiri poruszyła się, otworzyła senne jeszcze oczy i wsunęła mu rękę pod płaszcz z taką rozkoszną poufałością...

- W łóżku jest znacznie wygodniej - stwierdziła. Uśmiechnęła się szeroko.

- Śmiesz powiedzieć, że nie jestem równie wygodny jak materac?

- Jesteś twardszy i bardziej kanciasty od materaca, ale i ty masz swoje zalety - odparła i zerknęła nań szelmowsko spod ciemnych rzęs. - Gdzie właściwie jesteśmy?

Miała absolutną rację co do jego twardości.

- Zbliżamy się do Londynu. To, co ci teraz powiem, to tylko domysły, bo Howard zwędził mi zegarek, ale chyba powinniśmy dotrzeć do Westminsteru na jakieś dwie godziny przed rozpoczęciem uroczystości.

- Wspaniale. - Przeciągnęła się rozkosznie i ziewnęła, zasłaniając usta ręką. - Ciekawam, czy zdążę przebrać się w coś bardziej odpowiedniego?

O wiele łatwiej byłoby im przekonać o grożącym niebezpieczeństwie strażników, z królewskiego rozkazu pilnujących porządku, gdyby nie wyglądali wszyscy troje na cygańskich obdartusów. Jednak po zastanowieniu Mac potrząsnął głową.

- To zabrałoby nam zbyt wiele czasu.

- Rzeczywiście, nie możemy sobie na to pozwolić - zgodziła się Kiri i popatrzyła ze smutkiem na swój zabłocony płaszcz i równie brudne spodnicospodnie. - Zastanawiam się...

Nie zdążyła dokończyć zdania. Przypuszczalne zagrożenie przekształciło się w niewątpliwą katastrofę. Mac usłyszał charakterystyczny, złowieszczy trzask pękającej osi.

- Uważaj - krzyknął i własnym ciałem osłonił Kiri, żeby nie stało się jej nic złego.

Powóz wyraźnie zjeżdżał na bok drogi, przechylając się niepokojąco. Mac pomyślał z rozpaczą, że nic już nie uratuje księcia regenta i jego córki.

Kiri przekonała się, jak niezawodnym materacem okazał się Mackenzie. Dzięki temu, że osłonił ją całym sobą, przeżyła tę katastrofę. Była wstrząśnięta, ale nie odniosła obrażeń. Powóz przechylał się coraz bardziej w lewo - i wreszcie zwałił się na ziemię, dziwacznie przekrzywiony. Gdy wszystko znieruchomiało, do uszu Kiri dobiegło rżenie strwożonych koni i skrzypienie dwóch kół, które nadal się kręciły - w powietrzu.

Sama Kiri wylądowała ostatecznie na Macu. Kiedy oswobodziła się z jego opiekuńczych ramion, dostrzegła z przerażeniem krew, płynącą z rany na jego głowie. Uderzył się o framugę okna.

- Odezwij się, Mac. Możesz mówić? Bardzo cię boli? Otworzył oczy i w pierwszej chwili zamrugał niezbyt przytomnie,

usiłując skupić wzrok na Kiri.

- Uderzyłem się w głowę. Chyba nic sobie nie złamałem. A ty? I Will?

- Ze mną wszystko w porządku. Sprawdzę, co z Willem, jak tylko obandażuję ci głowę. - Zdobyła się na drżący uśmiech. - Nie chcę, żebyś zobaczył własną krew i zemdłał.

- Wobec tego lepiej zamknę oczy. Jak powiedział, tak zrobił.

Wyglądało na to, że przeżył wstrząs, a poza tą jedną raną nie doznał chyba żadnych innych obrażeń.

Juki Willa podróżowały razem z nimi, wewnątrz powozu. Kiri otworzyła je i znalazła czystą koszulę. Wyciągnęła swój nóż z pochwy, ukrytej tym razem w bucie, pocięła koszulę na pasy i otarła pledem skrwawione włosy Mackenziego. Przekonała się, że rana mocno krwawi, ale nie jest głęboka.

Po oczyszczeniu rany przycisnęła do niej tampon ze złożonego kilkakrotnie kawałka koszuli i obandażowała Macowi głowę, obwiązując ją dwukrotnie paskiem płótna. Czerwona plama skaziła śnieżną biel, ale okazało się, że lniany bandaż nie przesiąka na wylot.

- To na razie powinno wystarczyć. Zaraz się przekonam, co z Willem.

- Pospieszmy się. Mackenzie usiłował się podnieść.

Kiri pchnęła go bez ceremonii w pierś i zmusiła, by znów się położył.

- Poleż bez ruchu przez kilka minut. Jeśli się teraz zerwiesz, możesz się przewrócić.

- Chyba masz rację. - Odetchnął z trudem. - Ale, bardzo cię proszę, obiecaj, że powiesz mi od razu co z Willem.

Inaczej pójdę zaraz za tobą.

- Powiem, obiecuję.

Powóz przekreślił się tak dziwacznie, że drzwiczki z prawej strony zwisały teraz, przekrzywione, nad głową Kiri.

Kiedy podciągnęła się w górę, czepiając futryny, pojazd znów się zakołysał... i opadł na wszystkie cztery koła. Kiri trzymała się kurczowo odrzwi, gdy powóz podskoczywszy, stanął znów względnie prosto, tyle że przód żałośnie opadał z powodu złamanej osi.

- Czy z tobą nadal wszystko w porządku, Mac?

- Nawet trochę lepiej, bo siedzę prosto. Mac zaczął się ostrożnie przemieszczać.

- Proszę cię, nie wychodź stąd przez kilka minut - zaklinała go. - Tylko tego brakuje, żebyś znów zaczął krwawić.

- Masz rację - mruknął.

Kiri schwyciła resztki koszuli Willa i zeskoczyła na drogę. Konie cugowe stały spokojnie, dzięki staraniom forysia, który dosiadał znów lewego w zaprzęgu, jak przed wypadkiem.

- Czy pani i temu dżentelmenowi nic się nie stało, panienko? - spytał z niepokojem.

- Nic poważnego. - Kiri rozejrzała się niespokojnie dokoła. - A co z majorem Mastersonem?

- On jest tam dalej, panienko. Nie podchodziłem do niego, bom musiał uspokoić konie.  
Spojrzała we wskazanym kierunku i zagryzła wargi, dostrzegłszy Willa. Zleciał z kozła i wylądował na polu. Leżał teraz na boku, nie poruszając się. Przebiegła może pół tuzina kroków i uklękła przy nim.

- Możesz mówić, Will? Jesteś ranny? Odetchnął z wysiłkiem i przewrócił się na plecy.

- Nie jest tak źle, dziewczusko... To błoto złagodziło upadek. - Ostrożnie pomacał prawą dłonią swą lewą rękę i aż jęknął z bólu. - Obawiam się, że kość przedramienia jest pęknięta. Albo złamana.

Kiri zawołała głośno do Maca:

- Twój brat też jest ranny, ale to nic groźnego. - Doprawdy, dopisało im szczęście. Kiri zniżyła głos i zwróciła się znów do Mastersona: - Will, rozporządziłam się i pocięłam twoją koszulę. Połowę zużyłam na opatrzenie głowy twojemu bratu. Resztę wykorzystam, żeby ci zabandażować rękę i zawiesić ją na temblaku. Jak myślisz, czy zdołasz usiąść, jeśli ci pomogę?

- Chyba tak. - Minę miał dość sceptyczną, ale gdy podłożyła mu rękę pod plecy, zdołał się wyprostować. Odetchnął głęboko. - Krzepka z ciebie dziewczuska, milady.

- To dlatego, że niewiele we mnie z wielkiej damy. A teraz zdejmę ci płaszcz z lewego ramienia. - Zaczęła z nim gawędzić o byle czym, żeby odciągnąć uwagę Willa od czekającej go bolesnej operacji. - Myślisz, że oś się złamała, bo gnaliśmy z taką szybkością?

- Wcale tak nie myślę. Nie wpadliśmy też w żadną wielką dziurę. - Skrzywił się boleśnie, gdy zaczęła zsuwać mu płaszcz z ramienia. - Ale jeśli oś była już nadpęknięta, to jazda mogła pogorszyć sprawę i doprowadzić do złamania. Zanim udało się zsunąć lewy rękaw jego płaszcza, Will cały spotniał, a Kiri bliska była hysterii. Nie lubiła sprawiać bólu przyjacielom, choćby to było konieczne. Żeby nie narażać Willa na podwójne katusze, obandażowała mu lewą rękę, nie ściągając z niej surduta. Chirurg później zbada obrażenia, a w chwili obecnej najważniejsze było unieruchomienie złamanych kości, by nie przysparzały rannemu jeszcze większych cierpień.

- Gdzie się nauczyłaś obchodzić z rannymi? - spytał Will, gdy pomagała mu ponownie włożyć płaszcz. Krzywił się z bólu, ale było zbyt zimno, by mógł zrezygnować z ciepłego okrycia.

- Jako dziecko nie obawiałam się krwi i ran, byłam nimi wręcz zafascynowana. Lubiłam się przyglądać, jak chirurdzy z naszego regimentu operują rannych żołnierzy. Przy ciężkich obrażeniach kazali mi odejść, ale w lżejszych przypadkach wolno mi było przyglądać się i uczyć.

Z resztek koszuli zrobiła temblak dla Willa.

- Całe szczęście, że jesteś taki potężny; ileż miałam płótna z jednej twojej koszuli.

Mackenzie wysiadł z powozu, trzymając się framugi drzwi, by nie stracić równowagi. Wyglądał całkiem nieźle.

- Pojadę najednym z cugantów do najbliższej stacji pocztowej i wrócę z dwoma wierzchowcami, jak się patrzy. Nie możemy czekać, aż kowal naprawi oś.

Skutkiem wypadku stracili prawie dwie godziny, na które tak liczyli. Wyglądało na to, że przybędą na ostatnią chwilę. Starając się nie okazywać zbyt wyraźnie swego zdenerwowania, Kiri spytała:

- Tylko dwa konie?

Czyżby Mac zamierzał pozostawić ją tu dla jej bezpieczeństwa? Jeśli ośmieli się wyskoczyć z czymś takim...

- Will nie powinien ryzykować konnej jazdy ze złamaną ręką - wyjaśnił Mackenzie. - Musi udać się do najbliższego chirurga, a my tymczasem pojedziemy do Westminsteru.

- Jeździłem już znacznie dalej, będąc w gorszym stanie - rzucił sucho jego brat. - Musimy udać się tam wszyscy. Nie zapominaj, że jestem członkiem Izby Lordów i mam prawo uczestniczyć w obradach parlamentu. Jeśli będę obecny przy wyjaśnianiu całej sprawy, znacznie szybciej nam to pójdzie. Wystarczy, że pomożesz mi dosiąść konia, Mac, a ja ci już ręczę, że z niego nie spadnę.

- Will ma słuszną rację - orzekła Kiri. - Każde z nas trzyma w ręku inny kawałek tej łąmigłówki.

Przyglądając się, jak foryś odprzęga konia, na którym Mackenzie miał wyruszyć do najbliższej stacji pocztowej, Kiri myślała z goryczą, że być może dotrą do Westminsteru tylko po to, żeby być naocznymi świadkami eksplozji.

Czasem nawet mocnych wrażeń może być za wiele.

## 41

Dotarli do miasta w podziwu godnym tempie, ale musieli zwolnić, zbliżając się do Pałacu Westminsterskiego.

- Całe szczęście, że przybywamy konno - stwierdził Mac, gdy z trudem torowali sobie drogę przez zatłoczone ulice. Uroczyste otwarcie obrad parlamentu ściągnęło - mimo niesprzyjającej aury - olbrzymie tłumy; powóz z pewnością utknąłby na amen. Wierzchowce wzbudzały respekt, toteż mogli się posuwać szybciej niż na własnych nogach. Co prawda, niewiele szybciej.

Kiri jechała za Damianem - prawdziwa królowa wojownicza, nieugięta i zdeterminowana. Każdy, kto ją ujrzał, musiał zgadnąć, że płynie w niej królewska krew. Will, z twarzą zszarzałą z bólu, zamykał pochód. Mimo złamanej ręki ani razu nie zwolnił, gdy pędzili do miasta.

Pokonali zakręt i znaleźli się tuż obok pałacu. Wyprężeni na baczność gwardziści stali po obu stronach drogi, którą miał przybyć regent. Will zmarszczył brwi, ujrawszy królewski sztandar, powiewający nad West-minsterem na wietrze i deszczu.

- Członkowie rodziny królewskiej już przybyli; uroczystość otwarcia parlamentu może się zaczęła. Najwyższy czas, żebym to ja objął dowództwo.

Zważając na każdy swój ruch, wyforsował się naprzód i popędził konia przez tłum.

Jeden z gapiów, którzy zostali przez nich zepchnięci na bok, wrzasnął:

- A ty coś za jeden, koleś? Jakim prawem się rozpychasz, psia mać?

- No właśnie: czekamy tu od rana na deszczu - obruszył się inny.

- Czy to nie Damian Mackenzie? Ten, o którym gadali, że parę tygodni nazad odwalił kite?

Kiri podniosła głos, usiłując ich przekrzyczeć.

- Tu idzie o życie księżniczki Charlotty. Przepuście nas. To naprawdę pilne.

Nikt, kto spojrział na śliczną twarzyczkę Kiri, nie mógł pozostać obojętny na jej błagalne spojrzenie.

- Przepuśćta dziewczuszkę i tych, co z nią - ozwał się ktoś. - Może ścigają francuskich śpiegów albo co?

Wybuch śmiechu, jaki nastąpił po tych słowach, nie świadczył o specjalnym szacunku dla trójki jeźdźców, ale tłum się rozstał i zdołali jakoś przejechać gęsiego. Dotarli przed główne wejście. Cały pałac był otoczony przez gwardię królewską.

- Przybywamy w sprawie niecierpiącej zwłoki - huknął Will takim głosem jak na placu musztry. - Przepuście nas.
- Muszę słuchać rozkazów, jakie otrzymałem - odparł niezbyt pewnym tonem kapral.
- Odwołuję te rozkazy - ryknął Will.

Rozpoznawszy w nim bez trudu kogoś, kto ma prawo wydawać i odwoływać rozkazy, żołnierze rozstąpili się, przepuszczając trójkę jeźdźców. Gdy pospiesznie zsiadali z koni, Kiri oznajmiła:

- Pędzę do Izby Lordów. Jako kobieta zdołam, być może, dotrzeć do księżniczki Charlotty.

Mac, który pomagał Willowi zsiąść z konia, myślał, że serce mu pęknie.

- Kiri, nie idź tam. Bomba może wybuchnąć lada chwila.
- Nie bądź głupi, Damianie. - Błysnęła nieustraszonym uśmiechem, który przypominał mu, że to nie tylko królowa, lecz i wojowniczka. - Czyżby wyłącznie mężczyźni mieli prawo ginąć za ojczyznę?

W mgnieniu oka zeskoczyła z konia i już wspinała się po frontowych schodach, pozostawiając zmęczone konisko na łasce jednego z gwardzistów. Przed braćmi wyrósł nagle zahartowany w bojach kapitan, mrużąc podejrzliwie oczy.

- Cóż to ma znaczyć?

Will wyprężył się z całą godnością wyższego rangą oficera.

- Major lord Masterson, do usług. Podejrzewamy, że lada chwila może nastąpić wybuch w Izbie Lordów.

Kapitan spojrzał nań z urazą.

- Królewska straż przyboczna przeszukała piwnice, jak każdego roku od 1605. Nie znaleziono żadnych beczek z prochem.

- W tym roku bomba została ukryta w fotelu kanclerskim, a w piwnicach można by dostrzec najwyżej koniec lontu - warknął Mac. - Zaręczycie głową, kapitanie, że nie przeoczono takiego drobiazgu?

Kapitan zbladł.

- No, raczej nie...

- Schodzimy natychmiast do piwnic - oświadczył rozkazującym tonem Will i wtargnął do budynku. - Jestem członkiem Izby Lordów i oficerem w służbie czynnej. A poza tym mam pewne pojęcie, gdzie tego szukać.

- A ja wiem, kto zamierza podpalić lont - dodał Mac i wkroczył do Westminsteru u boku brata, modląc się w duchu, by nie okazało się, że przybyli za późno.

Zbliżając się do tak zwanej Niższej Izby, która udzieliła schronienia parom Anglii, Kiri przywoływała na pomoc całą dumę swoich hinduskich przodków. Pochodziła z królewskiej krwi i miała do spełnienia misję o decydującym znaczeniu - nie pozwoli więc, by ktoś jej przeszkodził w wykonaniu tego zadania.

Barwnie odziany wartownik, strzegący masywnych drzwi, zagroził jej drogę halabardą.

- Stać. Nie ma wstępu do Izby Lordów. Obrzuciła go miażdżącym spojrzeniem.

- Jestem lady Kiri Lawford, siostra księcia Ashton, towarzyska księżniczki Charlotty, osobiście przez nią wybrana. Muszę bez zwłoki mówić z Jej Wysokością i nic mnie nie powstrzyma.

Zanim wartownik podjął decyzję, co ma teraz zrobić, Kiri odtrąciła halabardę z siłą, jakiej niejeden mężczyzna mógłby jej pozazdrościć. Wkroczyła do wielkiej sali, ujrzała znane już jej okrągłe okna, umieszczone tuż pod sufitem, i wspaniałe gobeliny na ścianach.

Gdy Adam przyprowadził tu swoją rodzinę, sala była pusta, jeśli nie liczyć cieni przeszłości. Teraz wypełniali ją po brzegi lordowie w szkarłatnych, obramowanych gronostajami szatach oraz wytwornie odziani politycy i członkowie Izby Gmin. Wszyscy parlamentarzyści stłoczyli się w Izbie Lordów, by wysłuchać mowy księcia regenta, gdyż zgodnie z tradycją władający państwem nie miał wstępu do Izby Gmin.

Księżę regent zajął miejsce na drugim końcu sali. Jego wielki, rzeźbiony

i pozłacany tron wywierał równie imponujące wrażenie jak potężna postać księcia, odziana we wspaniałe szaty. A księżniczka Charlotta - o zgrozo - przycupnęła nieco poniżej tronu na szkarłatnej poduszce kanclerskiego fotela.

Dziewczyna rozglądała się z ożywieniem po całej sali i czekała na rozpoczęcie ceremonii. Gdyby bomba wybuchła, zarówno Charlotta, jak jej ojciec zginęliby od razu.



Słyszając szepty za plecami, Kiri pomknęła ku księżniczce przejściem po lewej, ciągnącym się przez całą długość sali. Coraz więcej oczu zwracało się w jej stronę. Premier, lord Liverpool, zrobił zdumioną minę i dał znak wartownikom, by zatrzymali intruza. Kiri zręcznie umknęła pierwszemu i pchnęła drugiego z nich tak, że wylądował na podłodze. Gdy Kiri zbliżała się już do kanclerskiego fotela, Charlotta odwróciła się i ją ujrzała. Z rozjaśnioną twarzą księżniczka zerwała się na równe nogi. Kiri poczuła, że dziewczyna użyła - i to szczerze - perfum otrzymanych od niej. Charlotta machnięciem ręki odpędziła wartowników.

- Lady Kiri. Co się stało? Czy to ma jakiś związek z tym, o czym rozmawialiśmy?

Dziękując Bogu, że księżniczka jest taka bystra, Kiri odparła:

- Jak najbardziej, Wasza Wysokość. - Zniżyła głos. - Wszyscy muszą natychmiast stąd wyjść. Proszę ze mną, Wasza Wysokość.

Zanim Charlotta zdążyła coś odpowiedzieć, premier i księżę regent znaleźli się obok nich.

Z błagalną miną Kiri przyklękła na jedno kolano. Jak ma się zwracać do księcia regenta: Wasza Wysokość czy Wasza Królewska Mość? Zdecydowawszy się na bardziej imponujący tytuł, odezwała się cichym głosem:

- Wasza Królewska Mość, przynoszę wieść o zbrodniczym spisku. W tej sali została ukryta bomba, która w każdej chwili może wybuchnąć.

Gdy premier i regent wpatrywali się w nią w osłupieniu, u boku Kiri stanął jej brat. Nie dostrzegła go wcześniej wśród istniejących powodzi lordów w szkarłatnych aksamitach, choć jako księżę siedział w pierwszym rzędzie, zaledwie kilka kroków od niej.

Adam wziął Kiri za rękę i pomógł jej wstać z klęczek. Jego mocny uścisk podtrzymał ją na duchu.

- To moja siostra, lady Kiri Lawford, Wasza Królewska Mość. Od pewnego czasu pomaga agentom wywiadu w wykryciu istic szatańskiego spisku. Jeśli powiada, że w Izbie Lordów znajduje się bomba, to należy stąd wyjść. Wierzę jej bez zastrzeżeń.

- Twoja siostra, Ashton? - Regent przeniósł wzrok z Adama, odzianego w ceremonialny strój para Anglii, na brudną Kiri w spódnicospodniach, spryskanych tu i ówdzie krwią Mackenziego. - Macie identyczne oczy. W porządku, Liverpool. Każ wszystkim opuścić salę, póki nie

stwierdzimy, ile jest prawdy w podejrzaniach lady Kiri. Chodź ze mną, Charlottto.

- Oczywiście, papo.

Księżniczka wydawała się bardziej podekscytowana niż przestraszona. Wyszła wraz z ojcem przez niewielkie drzwi, prawie niedostrzegalne w kącie pokoju, tuż za tronem.

Kiri poczuła taką ulgę, że kolana omal się nie załamały pod nią. Na szczęście, Adam nadal trzymał ją za ramię.

- Czy to możliwe, by ukryto tu bombę? - spytał cicho.

- Jak najbardziej. Głównym organizatorem spisku jest lord Fendall, a on ma przecież wstęp do Izby Lordów. - Kiri przebiegł dreszcz. - Postanowili ukryć bombę w fotelu kanclerskim.

Adam popatrzył z przerażeniem na Woolsack.

- Fendall? Prawie go nie znam, ale gdybym musiał wymienić potencjalnych zdrajców spośród członków naszej Izby, umieściłbym go na tej liście. To człowiek o wygórowanej ambicji i złej woli. To bardzo niebezpieczna kombinacja.

Ale pomówimy o tym później. Na razie wyjdźmy stąd jak najprędzej.

Spojrzenie Kiri pomknęło ku krzesłom przeznaczonym dla żon parów.

- Czy Mariah tu jest?

- Nie, Bogu dzięki. Nie czuła się najlepiej.

Przypomniawszy sobie o swej wysokiej pozycji, Adam rzucił tylko okiem na kłębiącą się masę zdezorientowanych osobników, po czym podprowadził Kiri do tych samych drzwi, za którymi zniknął książę regent i jego córka. Było to najbliższe wyjście, a w dodatku używane tylko przez niewielu.

Mieli się już całkiem oddalić od kanclerskiego fotela, gdy krew nagle zastygła w żyłach Kiri: poczuła wyraźnie ostry zapach tłącego się prochu.

Koszmarne przeszukiwanie piwnic Pałacu Westminsterskiego sprawiło, że serce Maca biło jak oszalały bęben. Co prawda, z grubsza się orientowali, gdzie może się znajdować lont, gdyż musiało to być bezpośrednio pod Izłą Lordów, ale nietrudno było zagubić się w tym labiryncie mrocznych korytarzy i pełnych kurzu schowków, zapchanych starymi meblami, stertami dokumentów i jakimiś rupieciami, trudnymi do zidentyfikowania.

- Co to za stosy kijów? - spytał Mackenzie ze zdumieniem, zajrzawszy do pierwszej izby, którą postanowili przeszukać po zejściu do piwnic.

Podstarzały wartownik przyłączył się do nich, acz z trudem dotrzymywał kroku znacznie młodszemu od siebie.

- To karbownice, sir. Służyły do prowadzenia rachunków ludziom, którzy nie umieli czytać ani pisać. Wszystkie były z wiązu, wiecie? Większe i mniejsze karby na takim kiju oznaczały funty i pence. A potem taki kij rozłupywało się na dwoje - jedna połówka dla wierzyciela, druga dla dłużnika. Pokwitowanie, można powiedzieć. - Uśmiechnął się z wyraźnym sentymentem. - Mamy tu karbownice jeszcze z czasów Plantagenetów.

Mac spoglądał z przerażeniem na wielkie stopy drewna. Gdyby nastąpił wybuch, cały ten cholerny pałac zapłonąłby jak ognisko, na którym palono kukłę Guya Fawkesa.

- Dokąd teraz, Will?

Z latarnią w zdrowej ręce, lord Masterson szedł na ich czele, gdyż bywał w podziemiach Westminsteru już wcześniej, a poza tym miał doskonałe wyczucie kierunku. Mac i kapitan szli tuż za nim, na końcu zaś wartownik z jeszcze jedną latarnią.

Ponieważ niemal biegli, dotarli niebawem do długiego korytarza z szeregiem identycznych brązowych drzwi. Will upewnił się:

- Jesteśmy teraz bezpośrednio pod Izbą Lordów, nieprawdaż?

- A jakże, sir - potwierdził wartownik. - Jest tu może z tuzin składzików.

- Przeszukamy każdy z nich - oznajmił Will z ponurą determinacją. Wartownik i kapitan zabrali się metodycznie do roboty, zaczynając od

początku korytarza. Will oparł się o ścianę i przymknął oczy. Twarz miał mokrą od potu.

Mac zmarszczył brwi i ruszył na drugi koniec korytarza, gdzie wiódł go instynkt i nos. Od chwili poznania Kiri zwracał znacznie większą uwagę na wszelkie wonie. Tym razem wyczuł lekki, niemiły zapach tłącego się prochu.

Przyspieszył kroku i zapach stał się wyraźniejszy. Bezpośrednio nad głową Maca słychać było jakieś szuranie - może odgłos kroków?

Miał szczerą nadzieję, że to kroki ludzi opuszczających Izbę Lordów. Dotarł do ostatnich drzwi po lewej stronie korytarza. Zapach prochu dobiegał chyba stamtąd. Pod drzwiami widoczna była smuga światła. Żałując,

że nie ma przy sobie broni, Mac otworzył drzwi na roścież i stanął z boku, żeby nie stać się zbyt łatwym celem. W pokoju był Swinnerton. Wpatrywał się zachłannie w długi lont, zwisający od sufitu. Płomyk pełził powoli w górę po sznurze. Swinnerton postanowił widocznie zaczekać tu jak najdłużej, upajając się nieuchronną już zagładą, i uciec dosłownie w ostatniej chwili.

Słyszając, że otwierają się drzwi, spiskowiec odwrócił się błyskawicznie i sięgnął po pistolet.

- Mój Boże. To ty, Mackenzie? - wykrzyknął z niedowierzaniem. - Jeszcześ nie zdechł?

Mac wtoczył się do wnętrza pokoju z impetem nurka, rzucającego się na głębinę. Doskonale wyliczył odległość i kierunek, i zdołał kopniakiem wytrącić pistolet z ręki wroga, gdy mijał go w pędzie.

Zahamował pod zwisającym lontem, wyprostował się i podskoczył jak najwyżej. Udało mu się uchwycić go ponad pełzającymi już po nim jęczyczkami ognia. Uwiesiwszy się na nim całym ciężarem, wyrwał go z ukrytej w sali na górze bomby.

W ułamku sekundy stanowiący śmiertelne zagrożenie lont stał się nieszkodliwym kawałkiem sznura.

No, może nie całkiem nieszkodliwym. Mac cisnął tłącym się lontem w twarz Swinnertona.

- Jak widzisz, spadam zawsze - jak kot - na cztery łapy. Zdarzyło mi się to już nieraz, i z pewnością wystarczy mi tej żywotności na wiele lat. A już niechybnie na to, by rozprawić się z tobą.

Swinnerton odskoczył niezgrabnie do tyłu, klnąc straszliwie, gdy płonący sznur smagnał go po oczach.

- Żebyś zdechł. To był taki wspólny plan. Byłbym bogaczem nad bo gacze, księciem Francji. Wszystko, gdyby nie ty.

Mac schylił się po pistolet, odciągnął kurek i wycelował.

- To był kretyński plan. Naprawdę wierzyłeś, że mordując premiera i rodzinę królewską, powalisz Anglię na kolana? Byłoby wręcz odwrotnie. Ale to już koniec zabawy, Swinnerton. Wkrótce odpokutujesz za wszystko, począwszy od zabicia Harriet.

Sądząc z wyrazu jego twarzy, Swinnerton wiedział, że przegrał ostatecznie. Z szaleństwem w oczach sięgnął do kieszeni i wydobyl granat wielkości pięści.

- Może i tak, ale ty zginiesz wraz ze mną. - Chwycił leżący na podłodze, nadal tłący się sznur, by zapalić od niego lont granatu. - Będziesz gnił w piekle, bydlaku.

Granat był o wiele mniejszy od bomby, którą ukryli w fotelu kanclerskim, ale wystarczająco duży, by zabić ich obu w tym ciasnym pomieszczeniu. Mac pociągnął za cyngiel, by powstrzymać Swinnertona...

Pistolet nie wypalił. Mackenzie zaklął, cisnął bezużyteczną bronią w Swinnertona i wypadł z pokoju, zastrzaskując za sobą drzwi.

Gdy pędził korytarzem z powrotem do Willa i pozostałych, w pokoju za nim nastąpiła eksplozja. Maca zważyło z nóg, ale odruchowo zwinął się w kłębek i potoczył, by usłabić siłę ewentualnego zderzenia i nie połamać sobie kości.

Leżał na wznak, z trudem chwytając dech, gdy Will podbiegł do niego, prześcignawszy innych, mimo że był ranny.

- Co to było, u diabła? - Will popatrzył na uszkodzone drzwi, przyklękając obok brata. - W każdym razie to nie ta bomba w Izbie Lordów. Za słaby wybuch.

Mac zdołał usiąść. Podciągnął kolana, objął je rękami i oparł na nich głowę. Trząsał się cały. Dobry Boże. Kiri była tam, na górze. Co by się stało, gdyby nie zdążył wyrwać lontu? Całe szczęście, że nie miał czasu na takie myśli.

Musiał zapobiec nieszczęściu, i tyle.

- Swinnerton był w tym składziku i to on podpalił lont bomby ukrytej w Izbie Lordów. - Macowi znów zabrakło powietrza. Odetchnął głęboko. - Kiedy wyszarpnąłem płonący lont, Rupert wyjął ręczny granat. Chciał, żebyśmy razem poszli do piekła.

Kapitan podszedł do zniszczonych drzwi i zajrzał do wnętrza. Odwrócił się pospiesznie i oznajmił:

- Kimkolwiek był, nie spowoduje już żadnej eksplozji.

Will podniósł się z klęczek i wyciągnął swą zdrową rękę do brata, by pomóc mu wstać.

- A co z ogniem? Nie grozi pożar?

Przydreptał wartownik z wiadrem pełnym piasku. Podał je kapitanowi, który pchnął smętne resztki drzwi i sypnął piachem do wnętrza pokoju.

- Nie ma tu prawie nic, co by się mogło zająć od ognia - stwierdził kapitan. - Ale jeszcze trochę piasku nie zaszkodzi.

- Niech się tym zajmą - powiedział Mac do brata. - Ja wracam na górę i dopilnuję, żeby Fendall nie wymknął się w tym zamieszaniu.

Will uśmiechnął się blado, wychodząc wraz z nim z podziemi. - A potem będziemy już mogli zwalić się byle gdzie i odpocząć? Mac też miał taką nadzieję.

42

Eksplozja w podziemiach wystarczyła, by uciszyć wszelkie wątpliwości gadatliwego tłumu, usuniętego z Izby Lordów. Kiri serce podchodziło do gardła; obawiała się, że cała sala zawali się za jej plecami. Nic podobnego jednak się nie wydarzyło.

- Widocznie zapobiegli wybuchowi tej wielkiej bomby - stwierdził Kirkland. Zdołał jakimś cudem dotrzeć na uroczystość otwarcia parlamentu, choć nie wrócił jeszcze do zdrowia po ataku febry. W zestawieniu ze szkarłatem ceremonialnych szat jego skóra wydawała się kredowo biała. - Nie wiesz czasem, Ashton, gdzie może być Fendall? Adam zmrużył oczy i obiegnął wzrokiem tłum zaniepokojonych arystokratów, po czym wskazał zgubę palcem.

- Tam. Zmierza do drzwi.

Fendall znajdował się w pewnej odległości od rozmawiających. Z wściekłą miną przedzierał się przez tłum.

- Złapiemy podleca - syknęła Kiri, ożywiona nadzieją schwywania człowieka, którego zbrodnicze ambicje omal nie doprowadziły do tragedii.

Absolutnie jednomyślni, Kiri i jej brat zręcznie torowali sobie drogę w tłumie i zrównali się z Fendallem w chwili, gdy dotarł już do wyjścia z budynku.

- Wybacz, milordzie, ale musisz złożyć zeznania w tej jakże przykrej sprawie - odezwał się Adam jedwabistym głosem. - Wysadzenie w powietrze Izby Lordów to żart w wyjątkowo złym guście.

Fendall odwrócił się błyskawicznie. Jego drapieżna twarz stała się zdumiewająco podobna do twarzy Swinnertona.

Widząc, że Adam i jego siostra osaczają go z dwóch stron, baron uznał Kiri za słabszego przeciwnika i rzucił się na nią.

- Nie zatrzymacie mnie.

I to był jego ostatni błąd. Jednym zamachem nogi i równoczesnym wyrzutem ramienia, Kiri posłała Fendalla swojemu bratu drogą powietrzną.

Adam zareagował tak błyskawicznie, że Kiri nie zorientowała się nawet, co się dokładnie wydarzyło - i baron leżał już na podłodze z szyją wygiętą pod nieprawdopodobnym kątem. Miał skręcony kark. Fałdy szkarłatnej szaty spływały po martwym ciele jak strumienie krwi.

- Nie powinieneś być rzucać się na moją siostrę, Fendall - powiedział cicho Adam.

Kiri przypomniała sobie, że Mackenzie nazwał kiedyś jej brata jednym z najbardziej niebezpiecznych ludzi w Anglii. Nie mogła wówczas w to uwierzyć, teraz jednak przekonała się o prawdziwości tych słów. Może śmierć Fendalla była przypadkowa, ale Kiri nie dałaby za to głowy.

Podszedł do nich mistrz ceremonii, prawa ręka lorda kanclerza. Spojrzenie miał nieco błędne - doszło przecież do zakłócenia jakże podniosłej i wspaniałej uroczystości.

- Księżę regent pragnie z wami pomówić. Proszę za mną, milordzie, milady...

Modląc się w duchu, by Mac i Will nie ucierpieli na skutek wybuchu w podziemiach pałacu, Kiri szła w ślad za mistrzem ceremonii. Przebijała się przez tłum, a jej brat tuż za nią. Wprowadzono ich do niewielkiej salki audiencyjnej, znajdującej się w pobliżu.

Księżę regent, nadal olśniewający w swym paradnym stroju, rozpiął się na poręczowym krześle z wysokim oparciem, które niezmiernie przypominało tron. Księżniczka Charlotta siedziała obok niego. Od razu spostrzegła Kiri i uśmiechnęła się do niej.

Kirkland również był obecny. Zapewne wezwano go po to, by wyjaśnił, co się tu, u diaska, dzieje? Ledwie się zjawili Kiri i Adam, w drzwiach naprzeciwko ukazali się Mackenzie i Will pod eskortą innego dworskiego urzędnika.

Kiri uśmiechnęła się do obu braci, jedynie spojrzeniem wyrażając bezmiar swej ulgi, ponieważ doszła do wniosku, że nie powinna odzywać się nieproszona. Mackenzie robił wrażenie jeszcze bardziej sponiewieranego i wykończonego, choć Kiri nie przypuszczała, by coś takiego było możliwe. A jednak pod wpływem znużonego uśmiechu, jakim ją obdarzył, całe jej ciało zapłonęło.

Regent odprawił dworskiego urzędnika, zatrzymując jednakże mistrza ceremonii. Adam szepnął do Kiri:

- Ten biedak jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo w Izbie Lordów. Zazwyczaj to tylko funkcja honorowa, ale... Nie tym razem. Sądząc z groźnej miny regenta, zanosilo się na to, że posypią się głowy winnych całego zamieszania. Stanowczo Kiri powinna być teraz cicha, spokojna i wyjątkowo dobrze wychowana.

Była tak zmęczona, że przyszło jej to bez trudu.

Mackenzie spoglądał podejrzliwie na księcia regenta. Ten człowiek odwiedzał niejednokrotnie Klub Damiana i udowodnił, że potrafi być niekonsekwentny, łaskawy, pompatyczny, czarujący, uparty jak zepsute dziecko, a niekiedy nawet pełen dobroci. Mac miał nadzieję, że właśnie dziś dojdą w księciu do głosu najlepsze cechy charakteru.

Uwagi regenta nie umknął fakt, że Mac, Will i Kiri znajdują się w opłakanym stanie, a Kirkland wygląda tak, jakby utrzymywał się w pozycji pionowej wyłącznie siłą woli.

Księżę zauważył z przekąsem:

- Wyglądasz znakomicie, Mackenzie... jak na nieboszczyka. Kirkland, tobie i twoim ludziom należy się pochwała za wykrycie tego spisku i zapobieżenie tragedii... choć lepiej by było, gdybyście uporali się z tym nieco wcześniej.

- Praca agenta wywiadu połączona jest z ogromnym ryzykiem, Wasza Królewska Mość. Niezmiernie trudno uzyskać na poczekaniu pożądane rezultaty - odparł Kirkland.

Księżę nachmurzył się.

- Jesteś pewien, że odciąłście głowę tej zmił? Mam zdecydowanie dość francuskich zamachowców.

- Sprawa została sfinalizowana tak błyskawicznie, że sam nie bardzo orientuję się w szczegółach - odparł Kirkland. - Pan Mackenzie, lady Kiri Lawford i lord Masterson z pewnością zdołają lepiej to wszystko wyjaśnić.

Spojrzał na Maca i Willa, bez słowa przekazując im pałeczkę.

- Większość tej historii jest najlepiej znana mojemu bratu i lady Kiri - oświadczył Will. Ból w złamanej ręce sprawiał, że z najwyższym wysiłkiem utrzymywał się w pozycji stojącej, ale nikt przecież nie siada w obecności księcia regenta, chyba że otrzyma na to jego specjalne zezwolenie. - Oboje przez szereg tygodni robili wszystko, by trafić na ślad



spiskowców i ostatecznie się z nimi rozprawić, podczas gdy ja zaledwie przed dwoma dniami wróciłem z Półwyspu Iberyjskiego.

Mac odetchnął głęboko, przygotowując w duchu jak najbardziej zwięzłe i treściwe sprawozdanie. Regent nie potrafił skupić dłużej uwagi na żadnym temacie. Na szczęście przekazano mu już kilka podstawowych informacji na temat spisku.

- Lady Kiri i ja zaczęliśmy wspólnie pracować nad tym zagadnieniem od momentu nieudanego, Bogu dzięki, porwania księżniczki Charlotty - wyjaśnił. - Wracamy teraz prosto z Kent, gdzie dowiedzieliśmy się, że kierowali porywaczami lord Fendall i jego przyrodni brat Rupert Swinnerton. To bliscy krewni Josepha Foucheta, ze strony matki. Niewątpliwym celem spisku było przywrócenie Foucheta do łask cesarza. Liczono na to, że uda się osłabić Brytanię i skłonić ją do zawarcia traktatu pokojowego z Francją.

Brwi regenta poszybowały w górę.

- Durnie... To Fendall wszystkim kierował?

- Tak jest. Swinnerton występował w roli oprawcy. Zdaje się, że Fo-uche obiecał swym kuzynom wielkie bogactwa i wysokie stanowiska, jeśli spisek się powiedzie.

- Czy Swinnertona ujęto?

- Przyłapałem go, gdy usiłował podpalić lont bomby, ukrytej w fotelu kanclerskim - odparł Mac. - Wyrwałem lont. Doszło do walki... i Swinnerton zginął na skutek wybuchu ręcznego granatu.

- To była ta eksplozja w podziemiu? - chciał się upewnić Kirkland. Mac przytaknął.

- Zamierzał zabić także i mnie, ale zdołał tylko popełnić samobójstwo. Kiri i Kirkland wzdrygnęli się, słysząc te słowa.

- Szkoda - oświadczył chłodno regent. - Z przyjemnością ukarałbym zdrajcę jak należy. Zasłużył na ćwiartowanie żywcem. A co z Fendallem?

- Nie wiem, co się z nim stało - odparł Mac. - Podejrzewam, że gdy się połapał, iż spisek nie wypalił, uciekł z Izby Lordów. Nie mógł zbiec zbyt daleko, toteż natychmiast rozpoczniemy poszukiwania i prawdopodobnie schwytemy go.

Udowodnienie winy Fendallowi mogło jednak okazać się dość trudne. Wszystko, czym Mac dysponował, można było określić jako „wiadomości z drugiej ręki” lub „pogłoski”. Jeśli Fendall okazał się dość bystry i zachował zimną krew, być może nadal przebywa w Westminsterze i gotów jest

wyprzeć się swego udziału w spisku. Zrzuci całą winę na swego brata, który nie zdoła już niczemu zaprzeczyć. Ashton dyskretnie kaszlnął. On i jego siostra stali razem, niesamowicie wprost podobni do siebie. Urzekająco piękni z tymi ciemnymi włosami i zielonymi oczyma. Tajemniczy. Niebezpieczni.

- Jeśli mogę coś wtrącić, Wasza Królewska Mość, lordowi Fendallowi nie udało się uciec - oświadczył książę Ashton. - Kiedy lady Kiri wyjaśniła mi, że to on stał na czele sprzysiężenia, staraliśmy się we dwoje przeszkodzić mu w ucieczce z pałacu. Niestety, usiłując się wyswobodzić, upadł nieszczęśliwie i zmarł w wyniku odniesionych obrażeń.

- Jak to się dokładnie stało? - zagadnął Will z nieco ironicznym błyskiem oczu.

- To była moja wina - odparł Ashton, udając skrucę. - Fendall zaatakował moją siostrę, a gdy odepchnąłem go od niej, upadł i skręcił sobie kark.

Książę regent zmierzył Ashtona podejrzliwym spojrzeniem, ale nie zadawał dalszych pytań.

- No cóż, unikniemy dzięki temu skandalu. Opinia publiczna nie dowie się - i tym lepiej - że Francuzom niemal się udało wymordować brytyjską rodzinę królewską.

- W piwnicy pod Izbą Lordów znajduje się piec do ogrzewania całego budynku. - Mistrz ceremonii zdobył się na całkiem rozsądną sugestię. - Można by ogłosić, że coś się w nim popsulo i usunięto wszystkich z Izby Lordów, obawiając się pożaru. - A ów wybuch nastąpił przy wygaszaniu pieca.

- To powinno wystarczyć. Im mniej im powiemy, tym lepiej. Ale zanim wrócimy do przerwanej uroczystości... - Tu książę regent zmierzył Mackenziego wzrokiem bazyliuszka. - Odnoszę wrażenie, iż stałe kontakty. .. służbowe z panem Mackenzie poważnie nadszarpaneły reputację lady Kiri. Co masz na swoją obronę, Mackenzie?

Mac poczuł, że oczy wszystkich w pokoju - włącznie z cudownymi zielonymi oczyskami Kiri - zwróciły się na niego. Gardło mu się zacisnęło. Dobry Boże, jak mógłby przy wszystkich mówić o czymś tak dla niego ważnym, tak osobistym?

Przełknąwszy z trudem ślinę, zaczął z wahaniem:

- Wasza Królewska Mość, podczas tego wspólnego śledztwa przekonałem się, że darzę lady Kiri najwyższym szacunkiem za jej inteligencję, lojalność i nieustraszoną postawę w służbie króla i ojczyzny.

Rzucił niespokojne spojrzenie w stronę Kiri, ale nic nie mógł wyczytać z jej twarzy.

- Z najwyższą radością poślubiłbym tę damę, gdyby mnie zechciała, ale zdaję sobie sprawę, że różnica naszych pozycji jest tak wielka, iż moje oświadczenie może uznać za zniewagę. W żadnym zaś wypadku nie chciałbym obrazić tej najdzielniejszej i najbardziej niezwyklej ze wszystkich kobiet, jakie znam.

W pokoju zapanowała taka cisza, że byłoby słycać brzęk spadającej szpilki.

- Istotnie, trudno sobie wyobrazić, żeby bastard, a w dodatku hazardzista i właściciel domu gry, mógł poślubić jedną z najwyższej urodzonych młodych dam w tym państwie - zgodził się książę regent. - Ale sytuacja jest mimo wszystko diablo niewłaściwa.

- Istotnie, Wasza Królewska Mość. - Will uśmiechnął się do Kiri. - Jednakże, jako głowa rodziny, do której należy pan Mackenzie, pobłogosławiłbym temu związkowi z całego serca.

Mac poczuł nieprawdopodobny ucisk w gardle.

- Lord Masterson zawsze był najlepszym i najbardziej oddanym bratem i jestem mu niewypowiedzianie wdzięczny, że popiera moje najgorętsze pragnienia. - Oczy Maca pobiegły znów do ukochanej. - Obawiam się jednak, że rodzina lady Kiri nie mogłaby tego zaakceptować, gdyż podobny związek byłby czymś nieskończenie gorszym od wszystkiego, na co owa dama zasługuje. Ja... nie chcę, by takie małżeństwo rozdzieliło ją z najbliższymi.

Rodzinę Kiri reprezentował w tym pokoju Ashton, zamknięty w sobie, nieodgadniony książę, który dopiero co złamał kark komuś, kto ośmielił się zaatakować jego siostrę. Choć Mac zawsze podziwiał Ashtona, uważał, że jest to człowiek wyjątkowo niebezpieczny. Zebrał więc wszystkie siły i przygotował się na jego werdykt.

- Moja siostra jest mi bardzo droga i pragnąłbym, żeby znalazła tyle szczęścia w małżeństwie, ile ja znalazłem w moim - mówił książę bez pospiechu, nie spuszczać oczu z Maca. - Jeśli szczerze pragnie zostać panią Mackenzie, nie będę się temu sprzeciwiał. I wierzę, że jej matka i ojczym również zaakceptują to małżeństwo, biorąc pod uwagę niezwykle zasługi pana Mackenziego w służbie króla i ojczyzny. Decyzja jednak oczywiście, należy do lady Kiri.

Mac gapił się na Ashtona, oniemiały. Księżę regent jednakowoż nie przeżył podobnego szoku.

- Ale mimo wszystko, to diabelnie niestosowne - powtórzył z irytacją. - Diabelnie!

- Papo! - Księżniczka Charlotta odezwała się po raz pierwszy. Niesłychanie ją to wszystko pasjonowało, a jej urzeczony spójrzanie wędrowało od Kiri do Maca i z powrotem. - Myślę, że można by trochę zmniejszyć tę nierówność pozycji.

Pochyliła się ojcowi do ucha i coś mu zaczęła szeptać.

Księżę najpierw wydawał się zaskoczony, potem wyraźnie ubawiony.

- Kapitalny pomysł, Charlotte

Wstał i zaczął czegoś szukać w fałdach swoich szat.

- Gdzie, u kaduka, jest mój paradny miecz? A, mam. - Dość niezręcznie wyciągnął długą, ozdobną broń z pochwy na lewym biodrze. - Panie Mackenzie, klęknij przed swoim władcą.

Mac sztywno ukląkł przed księciem regentem. Wszystkie mięśnie w jego ciele protestowały przeciw męczarniom, jakie musiały znosić w ciągu ostatnich kilku dni.

Księżę uderzył mocno Maca w prawe ramię płazem swojego miecza.

- Damianie Mackenzie, w uznaniu twojej wiernej służby królowi i ojczyźnie, nadaję ci tytuł szlachecki. - Trzepnął go raz jeszcze, tym razem w lewe ramię. - Wstań, sir Damianie.

Miecz zawadził tępą stroną o ucho Maca, gdy księżę ponownie unosił go do góry. Mac mógł być jedynie wdzięczny losowi, że nie było to ostrze.

Kompletnie oszołomiony, zmusił jakoś swoje zbolące mięśnie do działania i wstał. Był teraz sir Damianem?

Szlachcicem?

- Ja... ja bardzo dziękuję Waszej Królewskiej Mości. Nie zasłużyłem na taki zaszczyt. Każdy lojalny Brytyjczyk na moim miejscu zrobiłby to samo.

- Ale może nie sprawiłby się aż tak dobrze. - Księżę schował miecz do pochwy. - To zdecydowanie zmniejsza przepaść dzielącą cię od lady Kiri. Kiedy zatem odbędzie się wesele, które pozwoli zapomnieć o waszym niestosownym zachowaniu?

Kiri nie odzywała się ani razu, odkąd weszła do tego pokoju. Ręce zwisały jej po bokach, dłonie były zaciśnięte w pięści.

- Nie wiem, Wasza Królewska Mość - przemówiła wreszcie. - Pan Mackenzie nie prosił mnie o rękę. - Oczy jej zwięzły się. - Trzeba to będzie przedyskutować.

- No to przedyskutujcie - zniecierpliwił się regent. - Idziemy, Charlotte.. i ty, mistrzu ceremonii. Najwyższy czas wrócić do przerwanej uroczystości.

Opuścili salkę audiencyjną. Charlotta obejrzała się jeszcze przez ramię. Oczy jej błyszczały.

Kiedy regent i jego córka oddalili się, Will odezwał się z nutką rozbawienia:

- My, trzej lordowie, powinniśmy też być obecni podczas przemowy Jego Królewskiej Mości, ale nie jestem odpowiednio ubrany, chyba więc wrócę do domu Maca i pośpię sobie kilka dni.

- Może byłoby lepiej, gdyby ci przedtem zestawiono kości - podsunął bratu Mac. - Ale poza tym to świetny pomysł.

Co ty na to, Kirkland, żeby wrócić także do domu, nim całkiem zwalisz się z nóg?

- Co takiego? Miałbym kierować się zdrowym rozsądkiem? - obruszył się Szkot. - Wytrzymam jakoś do końca uroczystości. A potem wrócę do domu i pośpię sobie, dzionek albo i dwa.

- Jeśli się stąd wyniesiemy, Kiri i Mackenzie jakoś ustalą we dwoje, co dalej. - Ashton położył rękę na ramieniu siostry. - Mój powóz odwiezie nas po uroczystości do Ashton House. Nie musisz się spieszyć z decyzją, Kiri, jeśli nie jesteś jej pewna.

Wszyscy trzej lordowie wyszli, pozostawiając Maca sam na sam z jego zielonooką królową wojowniczką.

### 43

Mackenzie uważnie obserwował Kiri, z nadzieją, ale nie bez podejrzliwości. Rozbawiło by ją to, gdyby nie skręcała się ze zdenerwowania.

- Powinieneś usiąść - rzuciła cierpko - zanim padniesz z wyczerpania.

- Nie mogę siedzieć, gdy dama stoi - odparł ze swoim krzywym uśmiechem.

Niech diabli porwą ten jego uśmiech. Usiadła na tronie - a może na krześle? - regenta i zaczęła bębnić palcami po rzeźbionej orzechowej po- Jakie to musi być żenujące, gdy król... albo prawie król, zmusza cię niemal, żebyś oświadczył się o moją rękę. I to w obecności takiego audytorium.

Mackenzie przyciągnął sobie krzesło, na którym siedziała księżniczka i opadł na nie z takim pospiechem, że omal przy tym nie klapnął na podłogę'

- Z pewnością nie zamierzałem oświadczać się w chwili takiego zamieszania, ale właśnie dzięki temu okazało się, że - o dziwo - mogę liczyć na wyjątkowo silne poparcie: twojej rodziny, mojej rodziny, księcia i księżniczki Charlotty... chyba nawet mistrza ceremonii. - Mac zmarszczył brwi. - Jedynym wyjątkiem wydajesz się być ty, Kiri.

- Nasze życie z dala od rzeczywistego świata dobiegło końca, Mackenzie. Możesz wrócić do swojego klubu, aja powrócę do mojej rodziny -i będzie tak, jakby tych kilku ostatnich tygodni w ogóle nie było. - Wbiła wzrok w swoje ręce. Pod paznokciami nadal widniały ślady krwi - pamiątka po tym, jak bandażowała Macowi głowę. - Czyż nie tego właśnie pragniemy?

Ujął jej rączkę w obie swoje ręce i powiedział łagodnie:

- Nieważne, czego ja chcę. Może mi wreszcie powiesz, czego ty chcesz?

Wpatrywała się w ich złączone dłonie. Jej śniada ręka pół-Hinduski

ijego ręce - posiniaczone, czarne od prochu strzelniczego. Takie od siebie różne. Stanowczo, zbyt odmienne.

Zwykła pewność siebie Kiri rozpadła się całkowicie, a była to operacja powolna i bolesna, gdy Mac w napuszonych słowach wyjaśniał księciu regentowi, jak bardzo ją - Kiri - podziwia, a zaraz potem wyliczał wszelkie powody, dla których nie powinni się pobierać. Łudziła się, że to co ich łączy, jest czymś niezwykłym, zupełnie wyjątkowym, ale ta wiara ulotniła się, gdy tylko Mac zaczął rezonować. Kiri pojęła, że była tylko podłym mieszkańcem, suką pozbawioną zasad moralnych, a on uwodzicielskim hazardzistą, który ani myślał się żenić.

Uśmiechnęła się niewesoło. Jak głupio okłamywała samą siebie Wmawiała sobie że wystarczy jej w zupełności, jeśli będzie go miała na krotko Teraz jednak, gdy nadszedł czas, by każde z nich powędrowało swoją drogą, czuła, że jej serce płacze krwawymi łzami.

- Kiri? Co się stało? Powiedz mi. - Kiedy jej ręka zacisnęła się mocno na jego dłoni, poprosił przymilnie: - Powiedz mi, czego naprawdę chcesz.

Wiedziała, że wypowiadając na głos swoje pragnienia narazi się na jeszcze większy ból. Jeśli jednak chce zachować szacunek dla samej siebie, musi być szczerą aż do końca.

- Chcę być kochaną, zawsze tego chciałam - wyszeptala, czując, jak beznadziejnie głupio to brzmi. - i chciałam, żebyś to ty obalił wszelkie dzielące nas bariery. Żebyś był... pełen miłości, żebyś był gotów zmienić dla mnie całe swoje życie. Wcale nie chciałam, żeby te bariery same znikły, a ty musiałbyś się rozpaczliwie wykrecać.

W pierwszej chwili był zaskoczony, potem stwierdził:

- W takim razie jesteśmy najzupełniej zgodni.

Nim zdążyła jakoś zareagować, Mac przyciągnął ją sobie na kolana i skłonił, by złożyła głowę na jego ramieniu.

- Psiakrew, wszystkie mięśnie mnie boją - wymamrotał, objął Kiri i oparł się brodą o czubek jej głowy.

- Kocham cię naprawdę, do szaleństwa i z całego serca, moja słodka i nieugięta damo - powiedział miękko. -

Walczyłem z tym uczuciem, bo w żaden sposób nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak moglibyśmy być na zawsze razem. Ale kiedy fale przyływu zalewały mi najpierw nogi, a potem sięgały głowy, pojąłem, że to ty jesteś dla mnie kimś najważniejszym w życiu. Jediną kobietą, której mogę całkowicie zaufać. - Zaśmiał się niewesoło. - Tylko od tamtej pory nie miałem ani chwili, żeby ci to powiedzieć.

Podniosła głowę i wlepila w niego szmaragdowe oczy, pełne łez, wpatrując się z nateżeniem w jego twarz. To, co z niej wyczytała, sprawiło, że jej rysy się odprężyły, a na ustach pojawił się przekorny uśmiech.

- Przepraszam... przepraszam cię za swoją głupotę, Damianie, ale musiałam to usłyszeć na własne uszy. Kiedy przemawiałeś do księcia regenta, wydawałeś się nieczułym światowcem... i pomyślałam, że wcale ci na mnie nie zależy!

Nigdy jeszcze nie widział takiej Kiri - niedoświadczonej i bezbronnej. I czując, że kochają za to jeszcze bardziej, wyznał:

- Niełatwo było mi uwierzyć, że nasze małżeństwo jest możliwe. Nie wspominając już o tym, że nie zwykłem mówić o najbardziej osobistych sprawach w obecności audytorium napawającego mnie takim lękiem. -

Zastanowił się przez chwilę, gładząc lśniące włosy Kiri. - Chyba tylko stając do raportu przed generałem Stillwellem, czułbym się jeszcze gorzej.

Kiri dostała czkawki ze śmiechu, a potem ukryła twarz na ramieniu Maca i wybuchnęła płaczem.

- Ja nigdy nie płaczę - zapewniła zdławionym głosem i rozplakała się jeszcze bardziej.

Mac był zdumiony i wzruszony, widząc, jak bezradną uczyniła ją miłość. Ta zdumiewająco silna, niezależna dziewczyna potrzebowała go równie mocno, jak on potrzebował jej. Chyba zacznie wierzyć w cuda.

Kiri stanęła przed nim bezbronna, bez żadnych osłonek, więc i on powinien odpłacić jej tym samym. Gdy płacz Kiri ucichł, Mac przełknął z trudem ślinę i w przystępie bolesnej szczerości zdarł z siebie obronny pancerz rzekomej bez troski.

- Ja także musiałem usłyszeć te słowa, moja wojownicza królowo. Upewnić się, że mnie kochasz. Uwierzyć, że taka piękna dama królewskiej krwi może docenić i pokochać nic nie znaczącego bękarta, któremu rodzona matka powiedziała, że wydanie go na świat było głupotą i błędem. - Skrzywił się boleśnie. - Muszę mieć pewność, że nie wybrałaś mnie w przystępie chwilowego buntu, i że któregoś dnia nie pożałujesz, żeś poślubiła kogoś o tyle niższego od siebie.

- O, moje głupie kochanie. Czyżbyś nie zauważył, że i ja nie jestem taka znów godna szacunku? - Objęła dłońmi jego szczeciniastą brodę i popatrzyła mu w oczy z absolutną szczerością. - Kocham cię, Damianie. Kocham twój dowcip i twoją dobroć, i twoje niesamowicie pociągające ciało. Ubóstwiam, gdy się tak głupio upierasz, że nie jesteś ani trochę godny szacunku... podczas gdy ja nigdy nie spotkałam doskonalszego od ciebie dżentelmena. - Uśmiechnęła się wyzywająco. - Wspomniałam coś o twoim diabelnie pociągającym ciele, nieprawdaż? No to dowiedz się jeszcze, że twój cudowny, jedyiny w świecie, niesamowicie męski zapach doprowadza mnie do szaleństwa.

Pochyliła się i obdarzyła go pocałunkiem, który aż parzył.

Ten pocałunek sprawił, że reszta jego wątpliwości stopniała. I choć czekał ich jeszcze uroczysty ślub i huczne weselisko, w tej właśnie chwili odbyły się ich prawdziwe zaślubiny. Wyrażali solenne przysięgi i uroczyste zapewnienia nie tylko słowami, ale dotykiem i wspólnotą uczuć zbyt potężnych, by można je było powierzyć słowom.



- Kiri, kochanie moje - mówił zdławionym głosem - nigdy nie przypuszczałem, że się ożenię, bo nie wyobrażałem sobie nawet kobiety tak niezwykłej, tak cudownej jak ty.

- A ja zawsze wiedziałam, że wyjdę za męża, ale nigdy nie sądziłam, że będzie to dla mnie takim szczęściem. - Zmarszczyła czoło. - Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, że jestem bogata? Niektórzy mężczyźni jeżą się na samą myśl, że można by ich wziąć za łowców posagowych.

Uśmiechnął się szeroko.

- Posiadanie znakomicie prosperującego domu gry może nie być w najlepszym guście, ale to wyjątkowo dobry interes. W ciągu ostatnich kilku lat zarobiłem dość pieniędzy, by nawet najbardziej cnotliwi patrzyli przez palce na źródło tego bogactwa. - Zastanowił się. - Czy mam kupić dla nas posiadłość wiejską, żeby sir Damian i lady Kiri Mackenzie mogli zaliczać się do szacownego ziemiaństwa?

Zerknęła na niego spod gęstych rzęs.

- Prawdę mówiąc, mam już piękny dwór na wsi. To część mojego spadku. Adam przepisał na mnie majątek, który graniczy z jego posiadłością.

Mac jęknął.

- Jestem wprost przytłoczony szczodrobliwością Ashtona... i skóra mi cierpnie ze strachu na myśl, że zostaniemy sąsiadami na resztę życia.

- Jestem pewna, że najdalej za rok będziecie najlepszymi przyjaciółmi - orzekła Kiri. - Niebawem przecież uwolnisz Adama od ciężaru odpowiedzialności za wyjątkowo kłopotliwą siostrę.

- Zasłużył sobie na mą dozoną wdzięczność, wyrażając zgodę na nasze małżeństwo. - Mac zastanowił się nad sytuacją. - Stanę się członkiem licznej rodziny, prawda?

Kiri kiwnęła głową potakująco i zaczęła wyliczać nieco przepaszającym tonem:

- Moi rodzice, dwóch braci, siostra, bratowa Mariah, jej rodzina, no i oczywiście rodzina generała. Stillwellowie to po większej części duchowni, ale nie z tych najgorszych świętoszków. Wszyscy cię na pewno pokochają. Jak mogliby nie pokochać?

- Jeszcze się zdziwisz, jak wielu ludzi wcale za mną nie przepada - uprzedził ją z całą powagą.

Roześmiała się.

- Mam nadzieję, że nie dojdiesz do wniosku, iż tylu nowych krewniaków to brzemię nie do zniesienia. Wcale nie chcę, żeby rodzina wiecznie wtrącała się w nasze sprawy, ale miałaś całkowitą rację: byłabym zrozpaczona, gdybym musiała zerwać z nimi kontakty. - Mówiła to z prawdziwym przejęciem. - Jestem szczęśliwa, że nie muszę wybierać między tobą a nimi.

On zaś był zadowolony, że nie musi się zamartwiać, kogo Kiri wybierze.

- Cieszę się, że masz tylu krewnych, których naprawdę lubisz - odparł z całą szczerością. - Ja mam ich tak niewielu. Właściwie tylko Willa, bo prócz niego jest zaledwie kilku Mastersonów, a i oni, biedacy, trochę się mnie wstydzą. Jedynie Will był zawsze moją ostoją i opoką, najcenniejszym darem losu... dopóki nie spotkałem ciebie. Ale teraz im więcej rodziny, tym lepiej.

- Założę się, że pokochają cię od pierwszego wejrzenia. Ale nieraz potrafią doprowadzić człowieka do szału - ostrzegła.

- Z tego, co wiem, na tym właśnie polega urok życia rodzinnego. Tylko najbliżsi i najdrożsi potrafią najbardziej zależeć nam za skórę. - Mac głaskał ukochaną od ramienia po udo, zatrzymując się dłużej na uroczych okrągłościach.

- Nie mogę się już doczekać przyszłości, w której będę spędzał znacznie mniej czasu w Klubie Damiana, a znacznie więcej z tobą.

- A ja chciałabym - całkiem szczerze - zapoznać się bliżej z twoim klubem. Może by tak urządzić w nim stoisko z perfumami dla stałych bywalców? - rzuciła szelmowskim tonem.

- Znakomity pomysł - poparł ją z entuzjazmem. - Ale pod warunkiem, że nie będziesz zbyt gorliwie obwąchiwać klientów rodzaju męskiego.

- Żaden z nich z pewnością nie pachnie tak kusząco jak ty. Zaczęła ocierać się noskiem o jego szyję, co się skończyło pocałunkiem.

- Ty też pachniesz kusząco... - Spróbował wsunąć rękę między jej uda. - Te twoje spódnicospodnie może się nadają do konnej jazdy, ale z pewnością nie ułatwiają uwodzenia.

Zrobiła zatroskaną minę.

- Przykro mi, ale to nie pora na uwodzenie. Kiedy tylko uroczystość dobiegnie końca, Adam zabierze mnie z powrotem do Ashton House. A rodzice, jak sądzę, będą mnie trzymać pod kluczem, póki się nie pobierzemy jak należy.

Mac uśmiechnął się od ucha do ucha, szczęśliwy jak nigdy w życiu.

- W takim razie musimy pobrać się czym prędzej. Może nie?

Kirkland zdołał jakoś utrzymać się na nogach podczas uroczystego otwarcia parlamentu. Mowa księcia regenta była doprawdy imponująca. Kiedy się książę postarał, potrafił przejść samego siebie.

Gdy uroczystość dobiegła końca, najgorętszym marzeniem Kirklan-da było wrócić do własnego domu, do swojego łóżka, zwalić się z nóg i spać... ale poczucie obowiązku kazało mu zajrzeć najpierw do swojego biura. Musiał się przekonać, czy nie wyłoniły się jakieś inne problemy wymagające jego uwagi. Modlił się w duchu, żeby ich nie było. Powinien też zapiąć na ostatni guzik sprawę spisku. Zszedł więc na dół, do cel, i najpierw odwiedził Olliego.

- Panie Brown, jest pan wolny - oznajmił oficjalnym tonem. - Polecilem mojemu asystentowi, by wykupił dla pana bilet na jutrzejszy dyliżans do Newcastle. Wręczy panu także trochę pieniędzy, żeby nie przymierał pan głodem w czasie podróży.

Młody bokser zerwał się z pryczy, oczy mu rozbłysły.

- Mogę wrócić do domu? Już jutro?

- Jak najbardziej. Jeśli pan chce, może spędzić tutaj tę ostatnią noc, proszę bardzo. Jest tu całkiem ciepło, a drzwi nie będą już zamknięte na klucz. Rano przyjdzie jeden z moich ludzi i zaprowadzi pana na stację pocztową; wsiądzie pan tam do dyliżansu odjeżdżającego na północ.

- Bardzo dziękuję, sir - powiedział nieśmiało chłopak. - Na przyszłość będę uważał i nigdy już nie wpadnę w kłopoty. Przysięgam.

- Pozostań z tymi, którzy cię kochają, mój chłopcze, i stosuj się do ich rad. - Oliver Brown może nigdy już nie odzyska w pełni władz umysłowych po obrażeniach, jakich doznał na ringu, ale pod opieką kochającej rodziny może wieść całkiem szczęśliwe życie z dala od niebezpieczeństw Londynu. Kirkland wyciągnął do niego rękę. -

Szczęśliwej podróży, panie Brown.

Ollie uściskał ją z całej siły.

- Jeśli będę miał kiedyś syna, nazwę go po panu.

- A wiesz, jak mi na imię? - spytał go Kirkland. Olliemu zrzędała mina.

- Nie, pszepana, nie wiem, ale nazwę go Sir. Kirkland uśmiechnął się.

- Lepiej nazwij go James.

Ledwie powłócząc nogami, udał się do sąsiedniej celi, gdzie Paul Clement leżał ze wzrokiem utkwionym w pustkę. Gdy Kirkland wszedł, Francuz usiadł na pryczy.

- Coś się wydarzyło. Widzę to z pańskiej twarzy. - Oczy Clementa zwięzły się. — Zamierza pan przekazać mnie brytyjskiemu wymiarowi sprawiedliwości jako szpiega?

- Wręcz przeciwnie - odparł Kirkland. - Pańskie ostrzeżenie, Clement, dotyczące uroczystości otwarcia parlamentu, miało dla nas nieocenioną wartość. Dzięki staraniom moich agentów udało się zapobiec eksplozji, w wyniku której miał zginąć książę regent, księżniczka Charlotta, premier i znaczna część naszej arystokracji.

*Monsieur* Clement uniósł brwi.

- A więc do tego sprowadzał się ich plan. Rad jestem, że udało się zapobiec takiej tragedii. Zabijanie niewinnych ludzi nie powinno być elementem naszej pracy. - Przechylił głowę na bok. - A jaki los spotkał spiskowców?

Clement nie wymienił żadnych nazwisk, więc zrobił to Kirkland.

- Lord Fendall i Rupert Swinnerton nie żyją. Clement skinął głową.

- Cóż, sprawiedliwości stało się zadość. Czy zasłużyłem na pobyt w nieco wygodniejszym więzieniu do końca wojny? Jeśli szczęście naprawdę mi dopisze, moja czarująca wdówka z Paryża, do której się zalecałem, zaczeka może na mnie.

Kirkland oparł się ze znużeniem o futrynę drzwi. Nie tylko był wyczerpany fizycznie, ale tak strasznie zmęczony koniecznością zabijania... Do cna wyczerpany udawaniem groźnego Boga.

Ale Bóg bywał także łaskawym dobroczyńcą. Może więc i on, Kirkland, mógłby sobie na to pozwolić?

- Mam dla pana propozycję, *monsieur* Clement. Jeśli zaręczy mi pan słowem honoru, że nigdy więcej nie będzie spiskować przeciw Brytanii, wypuszczę pana na wolność. Będzie pan mógł wrócić do swego zakładu krawieckiego, do swych przyjaciół i swojej paryżanki. Wystarczy przyrzec, że nigdy już nie będzie pan działał na szkodę mojej ojczyzny.

Francuz z trudem chwycił powietrze; w jego oczach nadzieja zmagala się z niedowierzaniem.

- Zwolni mnie pan na słowo? Uwierzy mi pan, gdy zaręcę honorem?

- Chyba to już przedyskutowaliśmy wkrótce po tym, jak został pan pojmany, nieprawdaż? A zatem, czy jest pan gotów pożegnać się z rolą szpiega?

Clement roześmiał się, ale drżał cały.

- Ależ tak milordzie. Z przyjemnością. Taka praca przeżera duszę jak rdza. Czy poda mi pan rękę?

- Oczywiście. - Uścisnęli sobie dłonie... i nagle Kirklandowi przyszło coś na myśl. - Nigdy się me zniżyłem do próśb o przysługę, ale mój bliski przyjaciel, nazwiskiem Wyndham, został pojmany we Francji, gdy przestał obowiązywać traktat z Amiens. Od tamtej pory me mieliśmy o nim żadnych wieści. Przypuszczam, że od dawna nie żyje, ale po prostu musiałem o to spytać.

Clement zmrużył oczy i zastanowił się.

- Tak się składa - odparł po namyśle - że chyba wiem, gdzie można by znaleźć tego dżentelmena.

## *Epilog*

Typowe zawiadomienia w prasie o ślubach były dyskretne i oficjalne, jak należało się tego spodziewać. Jednakże pewne popularne czasopismo dla pań postanowiło zamieszczać dłuższe i bardziej szczegółowe sprawozdania, z gatunku tych, za jakimi czytelnicy przepadają. Specjalistka od podobnych nowinek z wielkiego świata pisała więc, co następuje:

„Ślub sir Damiana Mackenziego i lady Kiri Lawford odbył się w kościele św. Jerzego przy Hanover Square; po ceremonii religijnej zaproszeni goście udali się na sute weselne śniadanie do domu brata panny młodej, siódmego księcia Ashton. W nieco niekonwencjonalny sposób, oblubienicę prowadził do ołtarza nie tylko jej ojczym, generał John Stillwell, słynny bohater z Indii, ale i jej matka - księżniczka Lakshmi Stillwell, primo voto Lawford, księżna Ashton.

Drużbowali młodej -parze - siostra szczęśliwej oblubienicy, panna Lucia Stillwell, oraz brat pana młodego, major lord Masterson. Jego lor-dowska mość wyglądał niezwykle imponująco w szkarłatnym mundurze swego regimentu, z ramieniem na temblaku na skutek rany odniesionej na Półwyspie Iberyjskim, gdzie pełni zaszczytną służbę, walcząc za króla i ojczyznę”.

Starszawa wdowa, która pisząc takie kawałki dorabiała sobie do niewielkiej wdowiej renty, przerwała na chwilę pisanie i gryzła w zamyśleniu koniec ołówka. Ponieważ kościoły otwarte były dla wszystkich, mogła bez trudu być świadkiem uroczystości ślubnych, podobnie jak chrztów i pogrzebów, które były wydarzeniami z wielkiego świata. Dzięki swemu darowi nawiązywania miłych przypadkowych znajomości, wdowa była zazwyczaj w stanie zebrać dość materiału od gości zaproszonych specjalnie na taką uroczystość. Starła się sprawiać wrażenie, że i ona się do nich zalicza.

W tym wypadku nie była wcale pewna, czy ręka na temblaku lorda Mastersona ma coś wspólnego z wojną na Półwyspie Iberyjskim. Major równie dobrze mógł spaść po pijanemu z konia, ale sformułowanie w rodzaju „zaszczytna rana w obronie ojczyzny” brzmiało zdecydowanie lepiej.

Wdowa zanotowała: „Sprawdzić, z którego regimentu”. Niektóre szczegóły można było brać z wyobraźni, ale w sprawach czysto wojskowych obowiązywała ścisłość danych.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie napomknąć delikatnie, że pan młody był, jak to się mówi, owocem miłości? Ją samą wzruszała serdeczna więź między tymi przyrodnimi braćmi, ale wydawca czasopisma nie życzył sobie aluzji do czyjegoś nieprawego pochodzenia.

Lepiej też nie poruszać sprawy rzekomej śmierci sir Damiana. Reporterka nie miała pojęcia, jak wyglądała prawda, ale twierdzenie Mackenziego, że „ocknął się dopiero po kilku tygodniach w Szpitalu Świętego Bartłomieja” zakrawało na zwykłą bujdcę.

Księżna Ashton - czarująca, życzliwa i niewątpliwie brzemienna młoda kobieta, która ani trochę nie zadzierała nosa, okazała się istną kopalnią wiadomości. Wdowa wydobyła od niej mnóstwo cennych informacji. Z zapałem pochyliła się znowu nad swą relacją, pisaną maczkiem, by nie marnować cennego papieru.

„Promieniejąca szczęściem młoda para poznała się i pokochała dzięki tej szczęśliwej okoliczności, że sir Damian był niegdyś wychowankiem Westerfield Academy, do której uczęszczał również brat lady Kiri, księżę Ashton. Na ślubie zjawili się także inni absolwenci tej szkoły, a jej założycielka i przełożona, lady Agnes Westerfield, przybyła specjalnie na tę uroczystość z hrabstwa Kent i była honorowym gościem”.

Wdowa kierowała się zasadą: „Im więcej tytułów, tym lepiej”. W ostatecznej wersji trzeba będzie zastąpić większość z nich inicjałami ze względu na dyskrecję. Teraz jednak z przyjemnością pisała bez żadnych skrótów. O tym, że Westerfield Academy była szkołą dla chłopców wyróżniających się dobrym pochodzeniem i fatalnym zachowaniem lepiej nie wspominać. Coś takiego mogłoby pobudzić czytelników do zadawania kłopotliwych pytań.

„W gronie gości weselnych zauważyliśmy lorda Kirklanda, majora Alexandra Randalla, przyszłego spadkobiercę hrabiego Daventry, oraz jego prześliczną młodą żonę, lady Julię Randall, a także czcigodnego Charlesa

Clarke-Townsenda waz z żoną i córką. Zjawił się również czcigodny Robert Carmichael".

Czy należało wspomnieć o obecności zawoalowanej młodej damy, uderzająco podobnej do Jej Wysokości księżniczki Charlotty Augusty? Kuszące, bardzo kuszące... Nie ulegało jednak wątpliwości, że księżniczka bierze udział w tym ślubie najzupełniej prywatnie. Nie byłoby rzeczą roztropną wspominać o członkach rodziny królewskiej, gdy wyraźnie pragną zachować incognito.

Teraz następowała ta część opowieści, którą wdowa lubiła najbardziej: opis młodej pary.

„Wysoki i niezwykle przystojny sir Damian to prawdziwy wzór elegancji, a jego marsowa postawa jest najlepszym dowodem, że i on dzielnie zmagał się z wrogiem na Półwyspie Iberyjskim".

Od razu było widać, jaki z niego czaruś i łotrzyk. Przypominał wdowie jej własnego, nieodżałowanego małżonka. Kiedy duchowny, udzielający ślubu młodej parze, zadał tradycyjne pytanie, czy ktoś z obecnych jest przeciwny temu małżeństwu i wie o jakiejś przeszkodzie, która uniemożliwia jego zawarcie, wdowa miała ochotę zerwać się i oświadczyć, że jest przeciwna, gdyż sama chętnie by się wydała za sir Damiana. Może by nawet tak postąpiła, gdyby miała jakieś trzydzieści lat mniej... Ale i wtedy oblubieniec nawet by na nią nie spojrział. Najwyraźniej świata nie widział poza swą wybranką - i tak właśnie być powinno.

„Dla uczczenia tradycji przodków swej matki, hinduskich królów, oblubienica - uosobienie piękności i dziewiczej skromności - przywdziała wspaniałe sari ze szkarłatnego jedwabiu, pokryte olśniewającym złotym haftem. Jej drogocenne naszyjniki, kolczyki i niezliczone bransoletki były również dziełem hinduskich złotników".

Wdowę nieco zaszokowały skomplikowane brązowe tatuaże, pokrywające smukłe ręce i ramiona oblubienicy, jednakże księżna Ashton wyjaśniła jej, że te łatwo zmywalne wzory należą również do hinduskiej tradycji weselnej. Prawdę mówiąc, wdowa nie była wcale przekonana o dziewiczej skromności panny młodej. Usadowiła się wystarczająco blisko ołtarza, by słyszeć, jak generał Stillwell (jakiż to przystojny mężczyzna, choć ma już swoje lata) wyraża wobec sir Damiana nadzieję, że mąż potrafi lepiej



upilnować lady Kiri, niż się to udało jej ojcu. Sir Damian tylko się roześmiał w odpowiedzi i ścisnął mocniej rękę swej oblubienicy.

Wdowa podejrzewała, że noc poślubna nie będzie dla tej pary żadnym zaskoczeniem. Gdy roześmiani wracali środkiem nawy już jako mąż i żona, reporterka miała nieodparte wrażenie, że ta para z pewnością zakosztowała wcześniej tych rozkoszy, do których dopiero przed chwilą uzyskała prawa, i bardzo w nich zasmakowała. Wdowa nie zamierzała ich bynajmniej surowo osądzać. Ona i jej nieboszczyk mąż też nie czekali na dopełnienie formalności, tylko z entuzjazmem baraszkowali przed ślubem tak często, jak się tylko dało.

„Szczęśliwa młoda para zamierza spędzić święta Bożego Narodzenia w gronie rodziny i przyjaciół w Ralston Abbey, wiejskiej rezydencji księcia Ashton. W przyszłości sir Damian i lady Kiri pragną spędzać czas zarówno w Londynie, jak w rodzinnych dobrach w hrabstwie Wiltshire. Związek tych dwojga młodych to wspaniałe zjednoczenie dwóch światów-Wschodu i Zachodu - które dokonało się ku ogólnej radości”.

Zadowolona z tego, co napisała, wdowa z uśmiechem odłożyła ołówek. Potrafiła rozpoznać prawdziwy triumf miłości, gdy widziała go na własne oczy.

***Podziękowania***

Dla Kotła Czarownic - moich równie zwariowanych, jak utalentowanych kumpelek, pełnych niesamowitych pomysłów. I dla Muz - mojej ściany płaczu i niezawodnej ostoji.

### *Nota historyczna*

Księżniczka Charlotta była w rzeczywistości dokładnie taka, jak starałam się ją tu przedstawić. To dziewczynka o dobrym sercu, fatalnie wychowana, którą wyrwała sobie nawzajem para zazdrosnych i pałających do siebie nienawiścią rodziców. Zdaje się, że Charlotta nie miała w sobie ani szczypty arogancji, tak charakterystycznej dla osób krwi królewskiej. Z przyjemnością, na przykład, gawędziła z prowincjonalnym piekarzem w nadmorskim uzdrowisku.

Księżniczka miała natomiast buntowniczego ducha, toteż samotna nocna wyprawa na bal maskowy nie wydaje mi się bynajmniej nieprawdopodobieństwem, zwłaszcza w porównaniu z autentycznymi wybrykami Charlotty.

Znalazła, na krótko, szczęście w małżeństwie z księciem Leopoldem z dynastii sasko-koburskiej, zmarła jednak podczas porodu w wieku dwudziestu jeden lat, na skutek niewłaściwej opieki medycznej. Gdyby znalazła się przy niej akuszerka z prawdziwego zdarzenia, pewnie wszystko zakończyłoby się szczęśliwie.

Doktor, którego niekompetencja była przyczyną śmierci Charlotty i jej synka, popełnił potem samobójstwo. Ta przerażająca historia zyskała miano „potrójnej tragedii położniczej”.

Ponieważ Charlotta była następczynią tronu, jej śmierć spowodowała szaleńczy wyścig królewskich braci, którzy zaczęli na gwałt szukać sobie ślubnych żon w nadziei, że spłodzą następcę lub następczynię tronu. (Większość stryjów Charlotty wolała związki nielegalne, przeważnie zresztą długotrwałe; dzieci, zrodzone z tych romansów, nie mogły jednak - rzecz jasna - dziedziczyć tronu.) Stryjeczna siostra Charlotty Augusty, przyszła królowa Wiktoria, nigdy by nie ujrzała światła dziennego, gdyby księżniczka Charlotta nie zmarła w tak młodym wieku.

Uroczyste otwarcie obrad parlamentu to wspaniała, podniosła ceremonia, z jakich słyną Brytyjczycy. Księżniczka Charlotta istotnie brała po raz pierwszy udział w takiej uroczystości w 1812 roku i zasiadała na kanclerskim fotelu, czyli w tłumaczeniu „worku wełny”. Jednakże uroczystości tej nie zakłóciły żadne dramatyczne wydarzenia, które są wyłącznie tworem mojej wyobraźni. Gdy Charlotta pojawiła się na tej ceremonii, powitano ją hucznymi brawami. Jej ojca nie pozdrawiano tak entuzjastycznie. Londyńczycy mieli dobry gust. Na koniec należy jeszcze dodać, że istotnie zdarzały się chwile, gdy Napoleon powitałby radośnie traktat pokojowy z Brytanią. A jego szef policji, Joseph Fouche - to zwalniany z tego stanowiska, to znów na nie powoływany - rzeczywiście knuł bez przerwy intrygi.